MIESIĘCZNIK

fantastyka

11–12 (14–15) LISTOPAD–GRUDZIEŃ 1983
CENA 100 ZŁ



FANTASTYKA
laureatka nagrody
EUROCON 8


C. Vega (Luserke)

Zdrowych,
pogodnych Świąt
i pomyślnego Nowego
Roku 1984 życzy
Czytelnikom,
Przyjaciołom
i Przeciwnikom pisma

REDAKCJA



71

Jedno z najlepszych opowiadań nadesłanych na nasz konkurs, wyróżniające się tematyczną oryginalnością, niezłym warsztatem literackim oraz możliwością różnorodnych interpretacji...

FELIKS W. KRES – „MAG"

Opowiadania

Larry Niven Dziurawiec	**3**	„Przeszła przez niego na wylot, wyżerając po drodze masę..."
Eric Frank Russel Elemelek	**7**	„– V1098. Pipok, sztuk jedna. – Quoi? – spytał Blanchard, patrząc ze zdziwieniem."
Siergiej Kisielew Tam, na Ziemi	**12**	„Gdy co pół roku przylatuję z Saturna w delegację na Ziemię..."
Ivan Nešić Drzwi	**12**	„Była owalna, prawie przezroczysta i unosiła się na wysokości około metra."
Vonda N. McIntyre Z Trawy i Mgły i Piasku...	**13**	„...nagle z wnętrza torby wychylił się łeb mlecznobiałej kobry..."
Gardner R. Dozois Specjalny rodzaj poranka	**19**	„...W niecałą godzinę od chwili wymiany pierwszych taktycznych pocisków nuklearnych miasto przestało istnieć..."
James Gunn Nieśmiertelni	**30**	„...Najlepszym sposobem byłoby wymyślenie czegoś, dzięki czemu stałby się człowiekiem, którego warto zachować. Wtedy wdzięczni elektorzy będą głosować za przyznaniem mu nieśmiertelności..."

Powieść

Jeremiej Parnow Zbudź się w Famaguście	**39**	„– Zbiorowa halucynacja – lekceważąco odparł Valenti. – Na Wschodzie to się zdarza. Czytałem o tym. A pan dokąd? – spytał po tybetańsku..."

Z polskiej fantastyki

Hanna Kaltenbergh Gruczoł	**62**	„...Wstępujesz wyznaczonego dnia o określonej godzinie na wskazany chodnik w Hali Ślubów i masz pewność, że chodnikiem naprzeciwko płynie w twoją stronę partner idealny dla ciebie..."
Darosław Jerzy Toruń 54812 – TEST	**64**	„...Znowu poczuł dotyk dłoni na ramieniu. Tym razem nie była to dziewczyna. Stał nad nim Jednoręki..."

Nasz konkurs

Feliks W. Kres Mag	**71**	„– Jedynie Ludzie-Zza-Gór – powiedział – nie podlegają Pięknu. Tylko przy ich pomocy możemy udowodnić, że Piękno nie jest najwyższą wartością, że Piękno wcale nie znaczy: Dobro."
Michał Szarzec Taki był początek	**74**	„...zadał cios otwartą dłonią. Tylko raz. W tył głowy. Była w tym uderzeniu cała jego wściekłość i siła."
Marek Hemerling Droga	**76**	„Cornick dostrzegł twarz swojego rywala przy kierownicy tamtego wozu. Była nieruchoma, ale zdradzała wewnętrzne napięcie. W tej samej chwili poczuł, że jest spychany na pobocze..."

Spotkanie z pisarzem

Stanisław Lem	**82**	„...usiłuję stale poszerzać ramy tego gatunku, aby wprowadzić do niego hipotezy fantastyczne, antropologiczne, filozoficzne i inne. Jednym słowem: eksperymentuję..."

Dział krytyki

Wstęp do semiotyki science fiction	**87**	Marc Angenot próbuje zidentyfikować semiotyczne pułapki w tekstach SF.

Nauka i SF

Nowy wspaniały świat inżynierii genetycznej	**92**	Karol Mieczykowski o problemach przedstawionych w wydanej przez PIW książce R. Cooke'a. Maciej Iłowiecki o klonowaniu ludzi(!).

...3...2...1...



Jeden rok z górą naszego pisma na rynku to jeszcze żaden powód do jubileuszowego świętowania. Wystarczający jednak czas, aby wykrystalizowały się zarówno kierunki naszego działania, jak i rozeznanie Czytelników czy trafiliśmy w ich gust. Setki listów, dyskusja na łamach naszych „lądowań", rozpisane ankiety, na które nadeszło mnóstwo odpowiedzi, bogato obesłane konkursy, no i bliskość nowego roku – wszystko to skłania nas do przemyśleń i do wprowadzenia stopniowych ulepszeń. Możemy obiecać więcej dobrej literatury zagranicznej i krajowej, gdyż to był i jest główny postulat czytelniczy. Wzbogacimy dział wywiadów o rozmowy z najbardziej interesującymi pisarzami krajowymi i zagranicznymi. Przybliżymy bardziej naukę do szerokiego grona naszych odbiorców.

Toczy się – nie tylko u nas – żywa wymiana zdań w środowisku zarówno zawodowców, jak i fanów: główny jej temat to narodowe tradycje gatunku SF i wykorzystanie ich we współczesnej fantastyce. Przewijał się on także jako motyw przewodni spotkań z pisarzami radzieckimi, jugosłowiańskimi, a ostatnio z twórcami z RFN, którzy zagadnienie „istnienia prawdziwej, rodzimej twórczości SF" uczynili szyldem Konwentu zachodnioniemieckich profesjonalistów i fanów w Hanowerze. Rozważania o sprawach narodowych tradycji kulturowych w fantastyce to próba dobrania się do sedna błędów literatury SF, próba jej naprawy, a także, tam gdzie to konieczne, jej... zagłady.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że na światowy dorobek kulturalny składają się dzieła różnych narodów, twórczość wywodząca się z odmiennych tradycji, z tego co dla poszczególnych nacji najcharakterystyczniejsze, najbardziej różniące ją od innych. I to jest prawdziwy motor kultury. Nawet najbardziej awangardowa sztuka nie może się obejść bez ożywczego enzymu narodowych tradycji twórczych, narodowej specyfiki.

Fantaści polscy mogą powoływać się na dawność swoich tradycji wskazując na wiele utworów, które zalicza się do literatury bliskiej współczesnym nurtom science fiction. Nawet przecież sam Adam Mickiewicz pisywał fantastykę i to nie jedynie w balladach i romansach. Twierdził m.in. o samolocie, że *„wynalazek ten jest bliski odkrycia, wszakże Opatrzność nie objawi go wprzody, aż nie udoskonali się pewna ilość moralności w masach. Tak Rzymianom nie ujawniła prochu bo zniszczyliby świat. Jeden Dżyngis-chan zniszczył więcej niż wszystkie wojny Rzymian, a cóż by było, gdyby znał strzelby i artylerię..."* A więc nasz wieszcz prawie jak – Juliusz Verne. Mylił się jednak. Wynalazki przegoniły fantazję, a wynalazcy nie oglądają się na moralność. Rzeczywistość poczyna przekraczać ramy wyobraźni. Ale przecież działalności artysty to dziedzina, w której tradycje, marzenia i dążenia załamują się pod naporem rzeczywistości. To jest właśnie materiał twórczy. Mamy znakomite tradycje fantastyki, mamy świetnych twórców w pochodzie historii, ale nasza współczesna fantastyka za mało z tego korzysta.

Prawda, że wielkość Lema przyćmiła zapędy jego następców, przytłumiła możliwości zresztą nie tylko polskiej SF. Uciekają twórcy do historyjek, które są błyskotkami wyobraźni. Doprowadzono do tego, że niektóre nowe gatunki science fiction ochoczo odrzucają naukę – „science", i stają się czystą „fantasy", zapierając się swego rodowodu. Można wobec tego prorokować zagładę fantastyki naukowej. Większość pisarzy współczesnych – także naszych – konstruuje niestety swe opowiadania i powieści jako wynik poszukiwania najlepszych... tricków, a wielu krytyków pod tym trickowym kątem ocenia wartość tej „sztuki". W tym upatruję błędy najistotniejsze. W samym zarodku liczni fantaści mordują tradycje i refleksyjność swoich utworów dla wykazania się tylko pomysłowością. Tak to komercyjne korzyści wysuwa się na pierwszy plan. Nie jest to zjawisko powszechne, ale – niepokojące.

A przecież science fiction wyrosła z oglądania świata skłóconego i niepewnego, z XIX-wiecznego kultu dla nauki, ale i ze strachu przed mało poznaną psychiką człowieka. Z chęci ulepszenia człowieka i jego codzienności, z pasji poznawczych, z proroczych refleksji i wizji. I te nurty są przecież nadal ważne. One, jak sądzę, winny nadawać kierunki pisarstwu tego gatunku. Lem najpierw opisał (tylko mu tego od razu nie wydano) tragedię końca epoki dwudziestolecia międzywojennego na przykładzie hitlerowskiej zagłady szpitala i jego pacjentów. Potem dopiero przedstawił katastrofę atomową – w „Astronautach".

Naszemu światu potrzeba perspektywy lotów kosmicznych do oglądania teraźniejszości, a fantastów do poszukiwania recept na przyszłość. Mówili zresztą o tym sami kosmonauci, właśnie science fiction przypisując inspiratorską rolę w nauce i jej zastosowaniach praktycznych. Rosyjski uczony (polskiego pochodzenia), sławny Konstanty Ciołkowski, był autorem nie tylko naukowych podstaw kosmonautyki, lecz przede wszystkim pisarzem fantastycznym. Autorem np. opowieści „Poza ziemią". Ale o tym się rzadko wspomina. Pierwsze reakcje pierwszego kosmonauty świata miały wybitnie humanistyczny charakter. Spojrzawszy w luk swej kapsuły, w której był zamknięty, wykrzyknął na widok nieznanego – *„jak tu pięknie"*. Świetnie określa potrzeby psychiki ludzkiej, potrzebę wychodzenia w przyszłość – która jest zawsze symbolem tego co nieznane – Heraklit: *„kto nie oczekuje czegoś nieoczekiwanego nigdy nieoczekiwanego nie znajdzie"*.

Chciałbym więc bardzo, aby fantastyka stała się językiem do precyzyjnego wyrażania treści, których nie da się inaczej przedstawić i wyrazić. Świat pod wpływem cywilizacji ulega ogromnym przeobrażeniom, nauka, czy tego sobie życzymy czy nie, nieraz tyranizuje nas. Wciska się w naszą dzienność przez swoje odkrycia, wynalazki techniczne, czy zagrożenia. To wpływa decydująco na psychikę, kształtuje sposoby reakcji na nowe zjawiska, które nas otaczają, czy też osaczają, i gnębią. Język fantastyki musi wyrażać te relacje. Relacje, które przedtem nie dawały się we znaki, a które jednak istniały w zalążku – w konstrukcji naszej psychiki, a także w konstrukcji zjawisk, jakie na nas wpływają.

Przy tym (to wyrażenie mego osobistego gustu, moich intencji) za najlepszą fantastykę Lema należałoby uważać jego „Wysoki Zamek". Wnika w nim autor twórczo i odkrywczo w nieznane, fantastyczne wprost obszary mentalności ludzkiej, ukazując je na najlepiej poznanym przez siebie wzorcu własnej osobowości.

Może zbyt wiele rzeczy chciałem naraz wyrazić w tym przedświątecznym felietonie i przez to będę gorzej rozumiany przez Czytelników. Zrekompensują rafy mojej wypowiedzi bogate treści tego numeru, który jest listopadowo-grudniowym, świątecznym wydaniem naszego pisma. Dajemy mnóstwo opowiadań. Będzie naprawdę co poczytać. Gwoździem publicystycznym numeru stanie się niewątpliwie rozmowa ze Stanisławem Lemem, którą odbył z pisarzem i nam udostępnił krytyk i wydawca austriacki – Franciszek Rottensteiner. Polecam także powieść Jeremieja Parnowa „Zbudź się w Famaguście", w której natraficie Państwo na lamów tybetańskich, na czary i tajemnice. Co tu zresztą wyliczać i reklamować. Macie swoje własne zamiłowania. Wybierajcie więc sami. Ja tylko pozwalam sobie w swoim imieniu i w imieniu całego zespołu redakcyjnego złożyć Wam najlepsze życzenia. Do następnego orbitowania w 1984 roku.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK **fantastyka**

miesięcznik literacki

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.)
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93
Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26

Warunki prenumeraty:
● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach.
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch"
● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:
– do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny.
– do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.
Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź. Zam. 2998/83 r. N. 150 000 egz. M-6

DZIURAWIEC

Larry Niven

(The Hole Man)

Pewnego dnia Mars przestanie istnieć.
Andrew Lear mówi, że rozpocznie się to gwałtownymi wstrząsami i skończy nagle, w parę godzin albo dni później. Powinien był to przewidzieć. To wszystko jego wina. Lear mówi również, że zanim do tego dojdzie, upłyną jeszcze lata, a może nawet stulecia. Zostaliśmy więc. Lear i my wszyscy. Badamy bazę obcych starając się zgłębić jej tajemnice, gdy tymczasem świat, na którym przebywamy jest powoli pożerany od środka. Wystarczający powód, aby dręczyły człowieka koszmary.
To Lear odkrył bazę obcych.
Dotarliśmy do Marsa: czternastu ludzi, stłoczonych w wyposażonym w układy do podtrzymania życia, bulwiastym przedziale załogowym „Percivala Lovella". Nie spiesząc się krążyliśmy po orbicie poprawiając nasze mapy i szukając czegoś, co mogły przeoczyć latające tu od trzydziestu lat sondy Mariner.
Między innymi nanosiliśmy na mapy maskony. Podobne koncentracje masy, występujące pod księżycowymi morzami powstały niemal z pewnością w wyniku zderzeń z asteroidami – ogromnymi skalnymi bryłami spadającymi bezgłośnie z nieba i uderzającymi w powierzchnię z energią tysięcy bomb jądrowych. Mars od czterech miliardów lat przedzierał się przez pas asteroidów. Na Marsie musiały występować większe i lepsze maskony. Gdyby tak było, oddziaływałyby one na naszą orbitę.
Andrew Lear pracował więc bez wytchnienia, obserwując uważnie drgania pisaków po papierze rejestracyjnym. Czujnik z aparaturą leciał, wirując, obok „Percivala Lovella". Jego cienka skorupa kryła pozornie prosty, wyważony układ dźwigni dwuramiennej – Czołowy Detektor Masy. Jego drgania były przenoszone na mapę za pośrednictwem pisaków.
Nad Sirbonis Palus pisaki zaczęły wykreślać dziwne krzywe. Kto inny by zaklął i starał się je uspokoić. Andrew Leara to zjawisko zaintrygowało. Pomyślał chwilę i wysłał do unoszącej się w próżni sondy sygnał wstrzymujący jej ruch wirowy.
Przy sporządzaniu mapy stacjonarnej sonda musiała się obracać. Teraz kreśliła ona zwykłą sinusoidę. Lear zerwał się z fotela i ruszył biegiem do kapitana Childreya.
Biegiem? Przypominało to raczej wyczyny na trapezie. Lear podciągał się za uchwyty, odbijał nogami od ścian, hamował ostro wyciągniętymi przed siebie dłońmi i stopami. Gdy człowiek się spieszy, poruszanie się w stanie nieważkości jest ciężką harówką, a Lear był czterdziestoletnim astrofizykiem, nie atletą. Gdy dotarł wreszcie do bańki sterówki, był porządnie zdyszany i nie mógł wydobyć z siebie głosu.
Childrey – który był atletą – czekał cierpliwie, spoglądając z pogardliwym uśmieszkiem na łapiącego oddech Leara. Już od dawna uważał Leara za stukniętego. Słowa Leara tylko utwierdziły go w tym przekonaniu.
– Sygnały wysyłane za pomocą grawitacji? Doktorze Lear, proszę nie zawracać mi głowy swoimi dziwacznymi pomysłami. Jestem zajęty. Wszyscy jesteśmy zajęci.
To nie było fair. Niektóre z pasji Leara były szczególne: generatory grawitacji, czarne dziury. Uważał, że powinniśmy szukać sfer Dysona: gwiazd otoczonych całkowicie sztuczną powłoką. Sądził, że masa i bezwładność to dwie oddzielne sprawy, że powinno być możliwe wyssanie bezwładności, powiedzmy ze statku kosmicznego i uczynienie go przez to zdolnym do osiągnięcia w przeciągu kilku minut prędkości równej niemal prędkości światła. Był marzycielem o szeroko otwartych oczach, a kiedy się podniecił, miał tendencję do odchodzenia od tematu.
– Nie rozumiesz – powiedział do Childreya. – Promieniowanie grawitacyjne jest trudniejsze do zablokowania od fal elektromagnetycznych. Modulowane fale grawitacyjne byłyby łatwe do wykrycia. Rozwinięte cywilizacje w galaktyce mogą porozumiewać się właśnie za pośrednictwem grawitacji. Niektóre z nich mogą nawet modulować pulsary – wprawiać w ruch obrotowy gwiazdy neutronowe. Niewzięcie tego pod uwagę stało się przyczyną niepowodzenia projektu Ozma: szukali tylko sygnałów w spektrum elektromagnetycznym.
– Jasne – roześmiał się Childrey – twoi kumple używają gwiazd neutronowych do przesyłania ci wiadomości. Co to ma wspólnego z nami?
– No to zobacz! – Lear wyciągnął przed siebie taśmę cieniutkiego, niemal nieważkiego papieru, którą oddarł przed chwilą od rejestratora. – Zdjąłem to nad Sirbonis Palus. Uważam, że powinniśmy tam wylądować.
– Jak bardzo dobrze wiesz, lądujemy na Mare Cimmerium. Lądownik jest już przygotowany i gotowy do wysłania na powierzchnię. Doktorze Lear, spędziliśmy cztery dni na sporządzaniu mapy tego obszaru. Jest płaski. Leży w rejonie zielono-brązowym. Za miesiąc, gdy nadejdzie wiosna, przekonamy się, czy występuje tam życie! Wszyscy oprócz ciebie popierają ten plan.
Przed sobą Lear trzymał wciąż, jak tarczę, arkusz papieru rejestracyjnego.
– Proszę cię. Zróbmy chociaż jeszcze jedno okrążenie nad Sirbonis Palus.
Childrey zgodził się na dodatkowe okrążenie. Być może przekonały go sinusoidy, być może nie. Mogła nim powodować chęć narażenia Leara reszcie załogi. Ale podczas kolejnego przelotu nad Sirbonis Palus dostrzeżono tam maleńki, okrągły twór. Wskaźnik masy Leara znowu kreślił sinusoidy.

Obcych nie było. Przez kilka pierwszych miesięcy spodziewaliśmy się w każdej chwili ich powrotu. Aparatura w bazie pracowała sprawnie i bez zarzutu, jak gdyby jej właściciele dopiero co wyszli.
Baza przypominała kształtem odwróconą do góry dnem, wysoką na dwa piętra brytfannę i nie miała okien. Wypełniająca ją atmosfera nadawała się do oddychania i przypominała składem powietrze ziemskie na wysokości trzech mil, zawierała jednak więcej tlenu. Atmosfera Marsa była o wiele rzadsza i trująca. Najwyraźniej nie pochodzili z Marsa.
Ściany były grube i głęboko skorodowane. Pochylone do wewnątrz, utrzymywały się dzięki panującemu wewnątrz ciśnieniu. Strop był nieco cieńszy i ważył akurat tyle, aby zdołało go podtrzymać wewnętrzne ciśnienie. Zarówno strop, jak i ściany wykonano ze stopionego marsjańskiego pyłu.
Instalacja ogrzewająca ciągle działała. Stanowiła ona jednocześnie instalację oświetleniową: siatki w suficie jarzyły się ceglasto-czerwonym światłem. W bazie było zawsze o dziesięć stopni za ciepło.
Przez prawie tydzień nie mogliśmy odnaleźć wyłączników, skrytych za zaryglowanymi płytkami. System klimatyzacyjny, dopóki się z nim nie uporaliśmy, wciąż dmuchał porywistymi wiatrami.
Z tego, co zostawili, mogliśmy sporo na ich temat wnioskować. Prawdopodobnie przybyli ze świata mniejszego od Ziemi, obiegającego w niewielkiej odległości czerwonego karła. Znajdując się na tyle blisko, aby otrzymać wystarczającą ilość ciepła, planeta ta musiała pozostawać w ucisku potężnych sił pływowych, które trzymały ją skierowaną wiecznie jedną stroną ku macierzystemu słońcu. Cywilizacja obcych musiała się rozwinąć na oświetlonej półkuli w czerwonym blasku niekończącego się dnia i żyć pośród szalejących bez ustanku wichrów, rodzących się na granicy dnia i nocy. Nie odczuwali też potrzeby intymności. Jedynymi przejściami posiadającymi drzwi były śluzy powietrzne. Piętro od parteru oddzie-

Larry NIVEN

(właściwe nazwisko Lawrence van Cott Niven) urodził się w 1938 roku w Los Angeles. Choć jest zawodowym pisarzem, w przeciwieństwie do swoich kolegów po piórze zajęcie to traktuje jako przyjemne hobby. Rodzina van Cott należy bowiem od trzech pokoleń do grona amerykańskich magnatów naftowych. Larry studiował matematykę i fizykę na Uniwersytecie Kalifornijskim i ukończył kurs literacki. Jako autor SF zadebiutował w 1964 roku opowiadaniem **„The Coldest Place"** w magazynie „If". Na rynku światowej SF uważany jest za jednego z czołowych przedstawicieli drugorzędnej fantastyki i za odnowiciela space-opery. Jest trzykrotnym laureatem nagrody HUGO (1967 – za opowiadanie **„Neutron Star,"** 1970 – za powieść **„Ringworld"** i 1971 – za opowiadanie **„Inconstant Moon"**). Powieść **„Ringworld"** przyniosła mu również przyznaną w 1970 roku nagrodę NEBULA. Wśród licznych powieści i zbiorów opowiadań Larry Nivena na szczególną uwagę zasługują **„Ringworld"**, **„The Flying Sorcerers"** (wspólnie z D. Gerroldem), **„The World of Ptavvs"** i **„Lucifer's Hammer"** (wspólnie z Jerrym Pournelle), **„The Mote in God's Eye"** (książka uzyskała nominację do amerykańskiej nagrody literackiej). (A.W.)

lała metalowa, sześciokątna kratownica, tak, że ktoś przebywający na górnej kondygnacji nie był zasłonięty przed wzrokiem towarzyszy pozostających na dole. Sypialnię stanowił robiący duże wrażenie, rozciągający się od ściany do ściany wypełniony rtęcią materac. Pomieszczenia były zbyt ciasne i zagracone, meble i aparatura ustawione zbyt blisko przejść, na skutek czego z początku wciąż obijaliśmy sobie kolana i łokcie. Sufity na obu kondygnacjach znajdowały się na wysokości niecałych sześciu stóp, zmuszając nas do odruchowego schylania się, chociaż niektórzy z nas byli dostatecznie niscy, aby móc się wyprostować bez obawy uderzenia głową o strop. Odruch. Lear miał jednak akurat taki wzrost, że gdziekolwiek w bazie wyprostował się zbyt gwałtownie, walił głową w sufit.

Wywnioskowaliśmy z tego, że musieli być niżsi od ludzi, mimo iż ich wyściełane ławy wyglądały na przystosowane do wielkości człowieka. Być może odmiennie myśleli – ich psychika nie potrzebowała przestrzeni życiowej.

Na statku nie było zbyt wygodnie. Teraz to. Pobyt w bazie doprowadzał nas do klaustrofobii. Byle iskierka wystarczała, by człowiek tracił nad sobą panowanie.

Dwóch z nas nie potrafiło się przystosować do zaistniałej sytuacji.

Lear i Childrey pochodzili jakby z różnych planet. Dla Childreya systematyczność była obowiązkiem. Mógł nią obdarzyć nas wszystkich. To właśnie Childrey wprowadził podczas tych długich miesięcy na pokładzie „Percivala Lovella" codzienne obowiązkowe ćwiczenia gimnastyczne. Nikomu nie pozwalał opuszczać tych zajęć. W końcu przestaliśmy nawet tego próbować.

No i dobrze. Te ćwiczenia trzymały nas przy życiu. Nie była to przecież gimnastyka, jaką co dzień uprawia każdy w normalnej grawitacji, przechadzając się po pokoju dla rozprostowania kości.

Ale po miesiącu spędzonym na Marsie Childrey jako jedyny paradował w ciepłej bazie obcych całkowicie ubrany. Niektórzy z nas traktowali to jako przekorę i może mieli rację, ponieważ pierwszym, który na dobre rozstał się z koszulą był Lear. W mesie Childrey sprawdzał skrupulatnie, czy na jego sztućcach nie pozostały kropelki wody, po czym układał je idealnie równolegle.

Na Ziemi zwyczaje Andrew Leara nie byłyby niczym więcej niż cechą charakteru. W pośpiechu potrafił założyć skarpetki nie od pary. Jeśli pochłonęło go coś interesującego, mógł odłożyć na dzień lub dwa użycie zmywarki do naczyń. Wolał dom, który wyglądał na zamieszkały. Boże zlituj się nad gosposią, która starała się sprzątać jego gabinet. Nigdy potem nie mógł nic znaleźć.

Był genialnym, ale nieobliczalnym człowiekiem. Jego nawyki zmieniłoby może uprawianie szybownictwa albo płetwonurkowanie – w tych dyscyplinach człowiek uczy się nie zapominać o najdrobniejszych szczegółach – ale nigdy go one nie pociągały. Wyprawa na Marsa była czymś, czemu on po prostu nie potrafił się oprzeć. A szkoda, ponieważ brak systematyczności w kosmosie może kosztować życie.

Nie zostawia się otwartego rozporka w skafandrze próżniowym. Miesiąc po wylądowaniu Childrey przyłapał na tym Leara.

„Rozporek" w skafandrze próżniowym jest rurką z miękkiej gumy nasuniętą na członek. Prowadzi ona do pęcherza, na którym znajduje się zacisk sprężynowy. Aby z niego skorzystać otwiera się zacisk. Po załatwieniu potrzeby zamyka się zacisk i otwiera kurek zewnętrzny, aby opróżnić pęcherz. Podobne konstrukcje dla kobiet zawierają cewnik, który jest szkaradnie niewygodny. Sądzę, że konstruktorzy jeszcze nad tym popracują. Nie jest w porządku, jeśli zagradza się połowie ludzkości drogę do tego, do czego została stworzona.

Lear nałogowo uprawiał długie spacery. Uwielbiał krajobraz marsjańskiej pustyni – surowy fiolet nieba, łagodną mgiełkę wirującego, pomarańczowego pyłu, wyraźny, bliski horyzont, bezgraniczną pustkę. Więcej – Lear potrzebował przestrzeni. Cały czas pracy spędzał nad komunikatorem obcych w pomieszczeniu, w którym sufit był zbyt blisko jego głowy, a wszystko inne zbyt blisko jego kościstych łokci.

Wracał z samotnego spaceru i spotkał wychodzącego Childreya. Childrey zauważył, że kurek spustowy w skafandrze Leara jest otwarty, a sprężyna pęknięta. Lear był na zewnątrz kilka godzin. Gdyby próbował oddać mocz, mógłby wykrwawić się na śmierć poprzez rozerwane w próżni ciało.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co Childrey nagadał mu tam na zewnątrz, w każdym razie Lear wszedł do środka zaczerwieniony po uszy, mrucząc coś pod nosem. Nie chciał z nikim rozmawiać.

Psycholodzy z NASA nie powinni puszczać ich obu na tak małą planetę. Mądry człowiek po szkodzie, prawda? Jednak i Lear, i Childrey byli najlepszymi kandydatami pod względem fachowości oraz idącego z nią w parze stanu zdrowia, gwarantującego przetrwanie podróży. Rozważano również kandydatury astrofizyków tak samo kompetentnych i tak samo sławnych jak Lear, byli oni jednak o dziesięciolecia od niego starsi. Za Childreyem przemawiało natomiast tysiąc godzin wylatanych w kosmosie. Był on jednym z ostatnich ludzi na Księżycu.

My wszyscy byliśmy, każdy z osobna, najlepszymi możliwymi kandydatami. To był cholerny wstyd.

Tak jak wszystko inne w bazie, obcy pozostawili komunikator pracujący. Sądząc z odchylających się na zewnątrz, wspierających go grubych kolumn musiał być cholernie masywny. Był to ogromny pojemnik, na tyle duży, że aby go pomieścić budowniczowie bazy musieli przewidzieć spore wybrzuszenie w stropie. Dzięki temu wybrzuszeniu Lear miał około metra kwadratowego powierzchni, na której mógł się wyprostować.

Nawet Lear nie miał pojęcia dlaczego umieszczono komunikator na drugiej kondygnacji. Mógł on przecież wysyłać sygnały z parteru albo nawet przez bryłę planety. Lear przekonał się o tym, kiedy, wiedząc już sporo, badał urządzenie. Nadał wiadomość w kodzie Morse'a do Detektora Masy na pokładzie „Percivala Lovella", który znajdował się wtedy po przeciwnej stronie Marsa.

Lear ustawił Detektor Masy obok komunikatora na bardzo skomplikowanej platformie, która miała zabezpieczyć go przed wibracjami. Detektor wykreślił fale o tak ostrych wierzchołkach, że niektórym z nas wydawało się, iż czują wysyłane przez komunikator promieniowanie grawitacyjne.

Lear był zakochany w tym urządzeniu.

Nie przychodził na posiłki. Kiedy jadł, zachowywał się jak wygłodniały wilk.

– Tam w środku jest ciężka masa punktowa – przemówił do nas z ustami pełnymi jedzenia w dwa miesiące po wylądowaniu. – To urządzenie wprawia ją w drgania o wysokiej częstotliwości za pomocą pól elektromagnetycznych. Patrzcie – pochwycił tubkę pasty z tuńczyka i wyciągnął ją przed siebie. Pomachał nią gwałtownie. Głowy siedzących przy zygzakowatym stole zwróciły się ku niemu. – Wytwarzam teraz fale grawitacyjne, ale są one zbyt słabe, bo tubka jest za duża i ich amplituda równa się prawie zeru. W tym urządzeniu znajduje się coś naprawdę gęstego i masywnego, a na utrzymanie tego tam zużywane jest od cholery energii.

– Co to jest? – spytał ktoś. – Neutronium? Tak jak w sercu gwiazdy neutronowej?

Lear potrząsnął głową i wepchnął do ust następną porcję posiłku.

– Neutronium takich rozmiarów nie byłoby stabilne. Sądzę, że to jest kwantowa czarna dziura. Nie wiem jeszcze jak zmierzyć jej masę.

– Kwantowa czarna dziura? – spytałem.

Lear z zapałem pokiwał głową.

– Miałem szczęście. Wiecie, że byłem przeciwny wyprawie na Marsa. Za zainwestowane w to przedsięwzięcie pieniądze moglibyśmy dokonać dużo więcej badając asteroidy. Moglibyśmy, między innymi, stwierdzić, czy naprawdę występują tam kwantowe czarne dziury. Ale ta jest już złowiona. – Wstał od stołu uważając na głowę, odsunął tacę i wrócił do swych zajęć.

Pamiętam, że patrzyliśmy jeden na drugiego poprzez zygzakowaty stół w mesie. Potem ciągnęliśmy losy... i przegrałem.

Tego samego dnia, w którym Lear zostawił otwarty kurek w swoim skafandrze, Childrey nałożył na niego restrykcje. Lear nie mógł opuścić bazy bez eskorty.

Lear cenił sobie samotność tych spacerów, ale to było coś gorszego. Childrey przedstawił mu listę ludzi, z którymi mógł wychodzić na zewnątrz – sześciu ludzi, co do których Childrey mógł mieć pewność, że dopilnują, aby Lear nie zrobił czegoś niebezpiecznego sobie albo innym. Rozumie się, że byli to ludzie najbardziej doświadczeni w sprawach przetrwania w warunkach kosmicznych, podporządkowujący się bez zastrzeżeń narzuconej przez Childreya dyscyplinie, najmniej skłonni do sympatyzowania z trybem życia Leara. Równie dobrze Lear mógł poprosić samego Childreya, żeby z nim spacerował.

Już nigdy nie wyszedł. Dobrze wiedziałem, gdzie go szukać. Przystanąłem pod nim, spoglądając w górę przez kratownicę stropu.

Skończył już prawie demontaż osłon ochronnych, zainstalowanych wokół generatora fal grawitacyjnych. To co się spoza nich wyłoniło, przypominało trochę kawałek komputera, trochę cewki elektromagnetyczne, a kwadratowa tablica przycisków mogła być rodzajem maszyny do pisania obcych. Lear starał się prześledzić układ połączeń bez zdzierania izolacji z przewodów, posługując się w tym celu indukcyjnym czujnikiem magnetycznym.

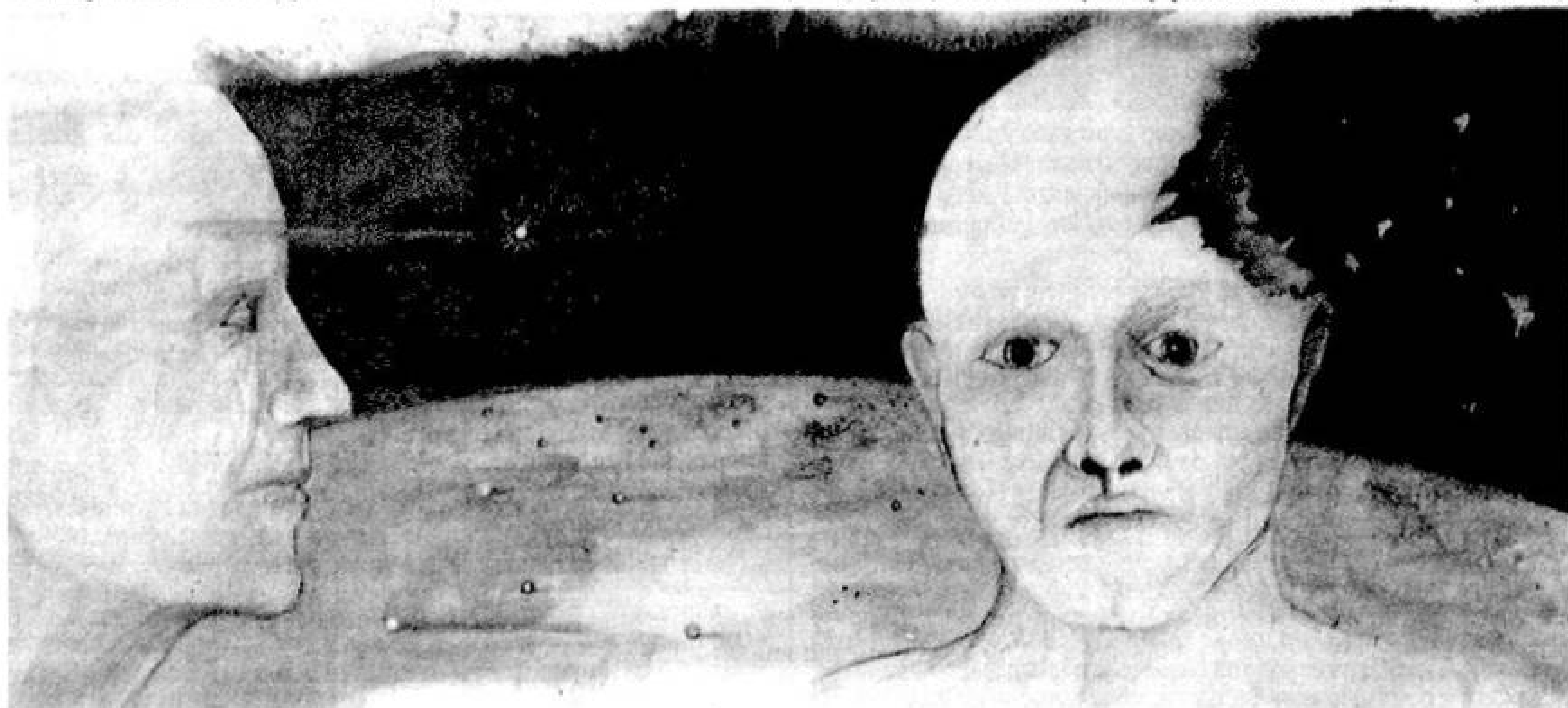
– Jak ci leci? – zawołałem.

– Nie bardzo – odparł. – Izolacja wygląda mi na stuprocentową.

Boję się ją zdejmować. Trudno przewidzieć jak wielka energia płynie tymi przewodami, skoro potrzebują tak dobrego ekranowania.
- Uśmiechnął się patrząc na mnie z góry. - Coś ci pokażę.
- Co?
Przełączył dźwigienkę nad ciemnoszarą, okrągłą płytką.
- To jest mikrofon. Zajęło mi trochę czasu, zanim go znalazłem. Mówi Andrew Lear do każdego, kto może mnie słyszeć. - Włączył mikrofon, potem oddarł kawałek papieru rejestracyjnego od Wskaźnika Masy i pokazał mi zakrętasy, przecinające gładką sinusoidę. - Zobacz. To dźwięk mojego głosu nałożony na promieniowanie grawitacyjne. Nie zaniknie, dopóki nie osiągnie krańców wszechświata.
- Lear, wspomniałeś tam w mesie o kwantowych czarnych dziurach. Co to jest kwantowa czarna dziura?
- Hmmm. Wiesz przecież co to jest czarna dziura.
- Jasne. - Lear uświadamiał nas szczegółowo podczas miesięcy spędzonych na pokładzie „Percivala Lovella".
Kiedy niezbyt masywna gwiazda wyczerpie swoje nuklearne paliwo, zapada się w siebie, przekształcając się w białego karła. Gwiazda cięższa - powiedzmy 1,44 masy Słońca - może kurczyć się po wypaleniu paliwa aż osiągnie średnicę dziesięciu kilometrów i wtedy będzie się składała jedynie z upakowanych ciasno, jeden przy drugim, neutronów - najgęstszej materii w tym wszechświecie.

Ale wielkie gwiazdy idą w tym jeszcze dalej. Kiedy naprawdę masywna gwiazda starzeje się... kiedy panujące w jej wnętrzu ciśnienie gazu i promieniowania staje się zbyt słabe, aby podtrzymać warstwy zewnętrzne, zapadające się pod wpływem własnej, potwornej grawitacji gwiazdy... wtedy może się ona skurczyć całkowicie, dopóki grawitacja nie stanie się większa od jakiejkolwiek innej siły, dopóki nie zostanie sprężona poza promień Schwarzschilda, i w rezultacie opuszcza wszechświat. Co dzieje się z nią później nie wiadomo. Promień Schwarzschilda jest granicą, po przekroczeniu której nic nie może się wydostać ze studni grawitacyjnej, nawet światło.

Gwiazda przestaje zatem istnieć, ale jej masa pozostaje bezświetlną dziurą w przestrzeni kosmicznej, być może dziurą prowadzącą do innego wszechświata.
- Czarną dziurę może pozostawić po sobie zapadająca się gwiazda - powiedział Lear. - Mogą istnieć większe czarne dziury, całe galaktyki, które zapadły się w siebie, ale obecnie nie ma innego sposobu, w który czarna dziura może powstać.
- A więc?
- Był czas, kiedy mogły się tworzyć czarne dziury o dowolnych wymiarach. Było to podczas Big Bangu - wybuchu, który dał początek rozszerzającemu się wszechświatowi. Siły wywołane tą eksplozją mogły sprężyć lokalne zawirowania materii poza promień Schwarzschilda. To co z tego powstało - w każdym razie te najmniejsze - nazywamy kwantowymi czarnymi dziurami.
I wtedy usłyszałem za sobą charakterystyczny śmiech kapitana Childreya. Bryła komunikatora zasłaniała go przed wzrokiem Leara, a ja nie słyszałem jak nadchodził.
- A konkretnie, o jak dużych dziurach mówisz? Czy mógłbym taką wziąć w rękę i rzucić nią w ciebie?
- Zniknąłbyś w dziurze o takich rozmiarach - odparł poważnie Lear.
- Czarna dziura o masie Ziemi miałaby tylko centymetr średnicy. Nie, ja mówię o dziurach, których masa niewiele przekracza 10^{15} grama. Taka może się znajdować w środku Słońca...
- Eee...!
Lear starał się jak mógł. Nie lubił, kiedy robiono z niego wariata, ale nie wiedział jak położyć temu kres. Zachowywanie powagi nie było dobrym wyjściem z sytuacji, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.
- Weźmy czarną dziurę o masie 10^{17} grama i średnicy 10^{-11} centymetra. Pochłaniałaby ona kilka atomów dziennie.
- No, no! Przynajmniej wiesz gdzie jej szukać. Teraz zostało ci tylko pójść po nią.
Lear, wciąż zachowując powagę, skinął głową.
- Kwantowe czarne dziury mogą występować w asteroidach. Mały asteroid mógłby dosyć łatwo przyciągnąć kwantową czarną dziurę, zwłaszcza gdyby posiadał jakiś ładunek. Czarna dziura może być obdarzona ładunkiem, wiesz..
- Jaaaasne.
- Wystarczyłoby nam tylko sprawdzić mały asteroid Detektorem Masy. Jeśli jego masa byłaby większa niż powinna, odciągnęlibyśmy go na bok i zobaczyli, czy pozostawia za sobą czarną dziurę.



- Musiałbyś mieć maciupcie oczka, żeby dostrzec coś tak małego. A co byś z nią zrobił?
- Ładuje się ją, jeśli jeszcze nie jest naładowana, i manipuluje potem za pomocą pól elektromagnetycznych. Można wprawić ją w drgania dla wytworzenia fal grawitacyjnych. Wydaje mi się, że mam tutaj taką - mówiąc to poklepał komunikator obcych.
- Jaaaasne - powiedział Childrey i odszedł, zanosząc się śmiechem.

Po tygodniu nikt w bazie nie nazywał Leara inaczej jak „Dziurawcem" - człowiekiem z czarną dziurą zamiast głowy.
Nie brzmiało to zabawnie, kiedy opowiadał mi o tym Lear. Bogata różnorodność wszechświata... ale w ustach Childreya opowiadanie o czarnej dziurze w Skrzynce do Wszystkiego Leara wywoływało powszechną wesołość.
Proszę tego źle nie zrozumieć: Childrey rozumiał wszystko, o czym mówił Lear. Childrey nie był głupcem. On tylko uważał Leara za stukniętego. Pozostając wśród ludzi wykształconych nie mógł sobie pozwolić na naigrywanie się z Leara nie wiedząc dokładnie czym się on zajmuje.
Tymczasem prace postępowały naprzód.
W pobliżu bazy znajdowały się głębokie po kolana sadzawki marsjańskiego pyłu - fascynującej substancji, wystarczająco rozdrobnionej, aby zachowywać się jak lepki olej. Brodzenie po nich nie groziło niebezpieczeństwem, ale było ciężką harówką i unikaliśmy tego. Pewnego dnia Brace brodząc w najbliższym bazy bajorze zaczął macać wokół siebie pod powierzchnią pyłu. Przeczucie, mówił później. Wygramolił się na brzeg z jakimiś przeżartymi, niby-plastykowymi pojemnikami. Obcy zrobili sobie z sadzawki dół na śmieci.
Z analizą chemiczną materiałów znalezionych w bazie mieliśmy nieco szczęścia. Były praktycznie niezniszczalne. Dowiedzieliśmy się trochę więcej o organizmach gości z kosmosu. Pozostawili swoje ślady na stołach i komunalnym materacu. W tych próbkach znaleźliśmy większość składników chemicznych protoplazmy, ale Arsvey nie odkrył w nich nawet śladów DNA. Nic dziwnego, powiedział. Muszą istnieć inne gigantyczne molekuły organiczne, nadające się do kodowania genetycznego.

Obcy pozostawili po sobie tony notatek. Pisma nie zdołaliśmy, oczywiście, odcyfrować, ale studiowaliśmy fotografie i wykresy. Wiele z nich dotyczyło antropologii!
Obcy badali Ziemię podczas pierwszej Ery Lodowcowej.
Żaden z nas nie był antropologiem i to był cholerny wstyd. Nie wiedzieliśmy nawet, czy znaleźliśmy coś nowego. Wszystko, co mogliśmy zrobić, to sfotografować cały materiał i przesłać go drogą radiową na „Lovella". Jedno było pewne: obcy odeszli stąd bardzo dawno, pozostawiając działającą instalację oświetleniową i klimatyzacyjną oraz wysyłający falę nośną komunikator.
Dla nas? Dla kogo innego?
Istniała jeszcze alternatywa, że baza została wyłączona na jakieś sześćset tysięcy lat, a potem włączyła się ponownie, gdy coś wykryło zbliżającego się do Marsa „Lovella". Lear w to nie wierzył.– Gdyby zasilanie komunikatora zostało wyłączone – powiedział – nie byłoby już w nim tej masy. Żeby ją tam utrzymać pola elektromagnetyczne muszą być wytwarzane bez przerwy. Jest mniejsza od atomu: spadając przeniknęłaby na wskroś każde ciało stałe.
Tak więc system zasilania bazy pracował przez cały czas Co to, u diabła, mogło być? I gdzie to mogło być? Prześledziliśmy bieg paru kabli i stwierdziliśmy, że blok zasilający znajduje się pod bazą, pod kilkujardową skorupą stopionego na lawę marsjańskiego pyłu. Nie próbowaliśmy się przez nią przebijać.
Źródło energii było prawdopodobnie typu geotermicznego: głęboko wydrążona, sięgająca jądra planety dziura. Może obcy musieli wykopać taką dziurę dla pobrania próbek jądra. Potem przekształcili ją w generator, wykorzystujący różnicę temperatur między jądrem a powierzchnią.
Lear poświęcił trochę czasu na prześledzenie dróg, po których rozchodzą się szyny zasilające w komunikatorze. Odkrył sposób wyłączania fali nośnej. Teraz masa – jeśli była tam jakaś masa – znajdowała się w spoczynku. Detektor Masy wykreślał linię prostą, zamiast sinusoidy o spiczastych wierzchołkach.
Nie byliśmy przygotowani, aby czerpać z tych bogactw. Nasze wyposażenie przystosowane było do badania Marsa, nie okrucha cywilizacji z innej gwiazdy. Lear był wyjątkiem. Był w swoim żywiole i tylko jedna sprawa zmąciła jego szczęście.

Zanim ich zobaczyłem, usłyszałem głosy. Lear krzyczał.
Childrey nie krzyczał, ale mówił głośno, w jego głosie można było wyczuć kpinę. Stał z rękoma na biodrach między filarami i zadzierając głowę patrzył w górę na Leara, wyszczerzywszy olśniewająco białe zęby.
Skończyli rozmowę. Przez chwilę obaj się nie ruszali. Potem Lear wydał pomruk rozgoryczenia. Odwrócił się i nacisnął jeden z klawiszy na tym, co mogło być klawiaturą maszyny do pisania obcych.
Childrey wyglądał na zaskoczonego. Klepnął się po prawym udzie i podniósł do oczu zakrwawioną dłoń. Gapił się na nią z niedowierzaniem, potem spojrzał w górę na Leara. Chciał chyba o coś zapytać.
Osunął się wolno w małej grawitacji. Dopadłem doń, zanim uderzył o posadzkę. Przeciąłem mu nogawkę spodni i przewiązałem chusteczką krwawiące miejsce. Było to małe nakłucie, ale ponad nim, wzdłuż pachwiny, ciało było ściągnięte.
Childrey próbował coś powiedzieć. Oczy miał szeroko otwarte. Zakaszlał i na jego ustach pojawiła się krew.
Chyba straciłem głowę. Jak mogłem mu pomóc, skoro nie miałem pojęcia co się stało? Dostrzegłem krwawiące miejsce na jego prawym ramieniu i rozdarłszy koszulę znalazłem drugi mały ślad po nakłuciu.
Przybył lekarz.
Childrey umarł po godzinie, ale lekarz zrezygnował już dużo wcześniej. Między raną na ramieniu, a raną na udzie ciało Childreya było popękane wzdłuż cienkiej linii, która przechodziła przez jedno płuco, żołądek i przez część jelita grubego. Sekcja zwłok wykazała maleńki, zadziwiająco prosty kanalik, przewiercony przez kości biodrowe.
Szukaliśmy i znaleźliśmy – maleńki otworek w posadzce bezpośrednio pod komunikatorem. Miał średnicę ołówkowego grafitu i był zapchany pyłem.
– Popełniłem błąd – odpowiedział na nasze indagacje Lear. – Nie powinienem był nawet dotykać tego przycisku. Musiał być to wyłącznik pola, które utrzymywało tę masę na jej miejscu. Po prostu spadła. Kapitan Childrey znajdował się na jej drodze.
Przeszła przez niego na wylot, wyżerając po drodze masę.
– Nie, niezupełnie – powiedział Lear. – Przypuszczam, że jej masa wynosiła około 10^{14} grama. Wynika stąd, że jej średnica nie przekracza 10^{-6} angstrema i jest o wiele mniejsza od średnicy atomu. Nie mogła pochłonąć dużo. Spustoszenia w jego organizmie dokonały siły pływowe wywołane jej przejściem. Widzieliście jak sproszkowała materiał podłogi.
Nic dziwnego, że wyłoniła się kwestia morderstwa.
Lear zbył to wzruszeniem ramion.
– Morderstwo? Czym? Childrey wcale nie wierzył, że czarna dziura tam jest. Podobnie wielu z was. – Uśmiechnął się niespodziewanie. – Czy możecie sobie wyobrazić, co by to był za proces? Wyobraźcie sobie prokuratora starającego się wyłuszczyć ławie przysięgłych, co się jego zdaniem wydarzyło. Po pierwsze musiałby im powiedzieć, co to w ogóle jest czarna dziura, a potem kwantowa czarna dziura. Następnie musiałby im wyjaśnić, dlaczego nie dysponuje narzędziem zbrodni i gdzie je zostawił. Spadało swobodnie przez wnętrze Marsa! A jeśli dobrnąłby już tak daleko, nie będąc jeszcze wyśmianym, musiałby na dodatek wyjaśnić w jaki sposób coś mniejszego od atomu może wyrządzić komuś krzywdę.
Ale czy Lear nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest niebezpieczne? Czy ze sposobu w jaki się to zachowywało nie mógł się domyślić z jaką ogromną masą ma do czynienia? Lear rozłożył ręce.
– Panowie, wchodzi tu w grę większa liczba zmiennych niż sama tylko masa. Na przykład natężenie pola. Mógłbym oszacować jej masę wychodząc z wielkości siły, jaka była angażowana do utrzymania jej we wnętrzu komunikatora, ale czy ktoś z was skłonny jest przypuszczać, że obcy wykalibrowali swe skale w systemie metrycznym?
Musiały na pewno istnieć jakieś zabezpieczenia przed przypadkowym wyłączeniem pól. Lear musiał je obejść.
– Tak, prawdopodobnie przypadkowo to zrobiłem. Sporo manipulowałem przy komunikatorze, starając się zgłębić zasadę jego działania.
Na tym stanęło. Procesu, oczywiście, by mu nie wytoczono. Nie można się było spodziewać, że zwykły sędzia czy ława przysięgłych zrozumieją o co chodzi prokuratorowi. I nawet nie wspomniano o paru aspektach tej sprawy.
Na przykład o ostatnich słowach Childreya. Mógłbym je powtórzyć, gdyby mnie o to poproszono, a równie dobrze mógłbym tego nie uczynić. Brzmiały one:
– W porządku, pokaż mi! Pokaż ją mi albo przyznaj, że jej tam nie ma!
Po zakończeniu przesłuchania odezwałem się do Leara:
– Do diabła, nie wyszedłeś z tej afery bez szwanku. Co będziesz teraz badał? Jedyna czarna dziura we wszechświecie, a ty wypuszczasz ją z ręki.
Lear zachmurzył się.
– Masz rację. W każdym razie częściową rację. Ale dowiedziałem się o niej tyle, ile chciałem i w sposób, w który chciałem. No więc... powstrzymałem ją od drgań, gdy jeszcze tam była, po czym zmierzyłem masę całego urządzenia Detektorem Masy. Teraz, kiedy już jej tam nie ma, mogę określić masę czarnej dziury mierząc masę samego komunikatora. – Och!
– I teraz mogę już otworzyć to urządzenie, zobaczyć co kryje się w środku, stwierdzić jak je kontrolowali. Cholera, chciałbym mieć teraz sześć lat.
– Co takiego? Dlaczego?
– Widzisz... brak mi czasu na rozwikłanie tej tajemnicy. Matematyka nie jest tu odpowiednim narzędziem. Za kilka lat albo za kilka wieków między Ziemią a Jowiszem powstanie czarna dziura. Będzie dostatecznie duża na to, by ją badać. Przypuszczam, że stanie się to za jakieś czterdzieści lat.
Gdy zrozumiałem do czego zmierza, nie wiedziałem czy śmiać się, czy płakać.
– Lear, nie sądzisz chyba, że coś tak małego wchłonie Marsa!
– Właśnie. Pamiętaj, że ona wchłonie wszystko, do czego się zbliży. Tu jądro, tam elektron... i nie czeka, aż atomy same w nią wpadną. Wytwarzana przez nią grawitacja jest ogromna, a ona miotając się tam i z powrotem przelatuje za każdym razem przez jądro planety wymiatając z niej materię. Im więcej jej pożre, tym staje się większa, a jej objętość rośnie z sześcianem masy. Tak, wcześniej czy później wchłonie Marsa. Wtedy będzie już miała średnicę niewiele mniejszą od jednego milimetra. Będzie wystarczająco duża, aby ją zaobserwować.
– Czy może do tego dojść w przeciągu trzynastu miesięcy?
– Zanim odlecimy? Hmmm – spojrzenie Leara stało się nieobecne.
– Nie sądzę. Będę to musiał jeszcze przemyśleć. Matematyka nie jest tu odpowiednim narzędziem...

Przełożył **Jacek Manicki**

■

Eric Frank Russel

ELEMELEK

(Allamagoosa)

Już dawno S.K. „Szperacz" nie był taki spokojny i cichy. Spoczywał w kosmoporcie Syriusza z wystygłymi dyszami, z pancerzem podrapanym mikrometeorytami - maratończyk, wyczerpany po długim, bardzo długim biegu. Miał prawo tak wyglądać - wrócił właśnie z dalekiej i na pewno nie wolnej od kłopotów podróży.

Teraz, w porcie, czekał go dobrze zasłużony, nawet jeśli tylko chwilowy wypoczynek. Spokój, błogi spokój. Żadnych zmartwień, przesileń, poważnych niedopatrzeń, żadnych straszliwych kłopotów, które w czasie swobodnego przelotu zwykły się pojawiać co najmniej dwa razy w ciągu dnia. Po prostu spokój.

Ha!

Kapitan McNaught, rozluźniony, z nogami na biurku, całkowicie pogrążył się w kontemplacji ciszy. Silniki były martwe, po raz pierwszy od miesięcy nie było słychać ich piekielnego dudnienia. Tam, na zewnątrz, w wielkim mieście, czterystu członków załogi szalało w promieniach jaskrawego słońca. Tego wieczoru, gdy Pierwszy Oficer Gregory wróci, by objąć służbę on, kapitan McNaught, wyjdzie w nasycony upajającymi zapachami zmierzch i zrobi kilka rund po najbardziej interesujących, skąpanych w neonowym świetle miejscach.

W tym właśnie krył się urok dłuższych postojów. Ludzie mogą sobie popuścić cugli, wziąć głęboki oddech i zachłysnąć się swobodą, każdy na swój sposób. W kosmoporcie nie istnieją pojęcia obowiązku, niebezpieczeństwa, odpowiedzialności. Zmęczeni tułacze dotarli wreszcie do bezpiecznej, spokojnej zatoki.

Nareszcie, ha!

Do kabiny wszedł radiooficer Burman. Był jednym z pół tuzina pozostających na służbie i z wyrazu jego twarzy wynikało, że ma co najmniej kilkadziesiąt lepszych pomysłów na spędzenie czasu.

- Właśnie odebrałem depeszę, panie kapitanie - podał kawałek papieru i czekał, aż dowódca rzuci nań okiem i być może podyktuje odpowiedź.

McNaught zdjął nogi z biurka, siadł wyprostowany i przeczytał głośno:

„Kwatera Główna Ziemia do S.K. „Szperacz". Pozostać Syrport w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Kontradmirał Vane W. Cassidy przybędzie siedemnastego. Feldman, Dow. Oper. Floty, Syrsekcja."

Szczęście nagle uleciało z twarzy McNaughta. Podniósł oczy ku sufitowi i jęknął.

- Coś nie w porządku? - spytał poważnie zaniepokojony Burman.

Kapitan wskazał trzy cienkie książeczki, leżące na biurku.

- Środkowa, strona dwudziesta.

Burman przekartkował i znalazł akapit brzmiący: *„Vane W. Cassidy, Kontradmirał, Naczelny Inspektor Wyposażenia"*. Głośno przełknął ślinę.

- Czy to znaczy...?

- Tak, to właśnie znaczy - powiedział McNaught i w jego głosie nie było cienia zadowolenia. - Wracamy do podchorążówki, regulaminów i innych idiotyzmów. Pluć, mydlić, polerować! Ma się błyszczeć jak...! - Przybrał oficjalny wyraz twarzy i dostosował do niego ton głosu. - Kapitanie, ma pan na stanie tylko siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć żelaznych racji. Pański przydział wynosi osiemset. W dzienniku okrętowym nie ma wyjaśnienia dotyczącego brakującej racji. Gdzie ona jest? Co się z nią stało? Jak pan wyjaśni fakt, że na wyposażeniu jednego z pańskich ludzi brakuje pobranej z magazynu pary szelek? Czy złożył pan odpowiedni meldunek o ich stracie?

- Dlaczego on wybrał właśnie nas? - Burman był przerażony. - Nigdy przedtem się nami nie interesował.

- Właśnie dlatego - poinformował McNaught. - Nadeszła nasza kolej na przejście przez magiel. - Jego wzrok zatrzymał się na kalendarzu. - Mamy trzy dni. I będziemy ich potrzebować! Proszę powiedzieć Pike'owi, aby natychmiast się u mnie zjawił.

Burman wyszedł z ponurą miną. Wkrótce potem pojawił się Drugi Oficer Pike. Wyraz jego twarzy potwierdzał starą prawdę, iż złe wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

- Wypisz zamówienie - rozkazał McNaught - na sto galonów plastykowanej farby, regulaminowo szarej, z certyfikatem jakości. Wypisz następne na trzydzieści galonów białej emalii do pokrywania powierzchni wewnętrznych. Idź z tym do magazynów portu i powiedz im, aby dostarczyli to wszystko wraz z właściwym przydziałem pędzli i rozpylaczy dziś do szóstej wieczór. Poza tym łap wszelkie środki czyszczące wydawane bez pisemnych zamówień.

- Ludziom nie będzie się to podobało - powiedział Pike niepewnie.

- Będą zachwyceni - zapewnił McNaught. - Czyściutki, wypicowany, błyszczący statek wpływa dodatnio na morale załogi. Tak jest napisane w podręcznikach. Teraz do roboty, składaj te zamówienia. Po powrocie znajdź spisy wyposażenia i zapasów i przynieś je tutaj. Zanim pojawi się Cassidy musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Jak już tu się zjawi, nie będziemy mieli szansy uzupełnienia braków czy wyniesienia na zewnątrz jakichkolwiek nadwyżek.

- Tak jest, panie kapitanie. - Pike wyszedł z takim samym wyrazem twarzy jak przedtem Burman.

McNaught, półleżąc w swoim fotelu mruczał do siebie pod nosem. Miał dziwne przeczucie, jakieś łamanie w kościach, że w ostatniej chwili coś na pewno wyskoczy. Brak jakiegokolwiek przedmiotu oznaczałby poważne kłopoty, chyba że uzasadniałby go wcześniejszy meldunek, ale nadwyżka byłaby prawdziwą klęską. To pierwsze oznacza niedbałość lub nieszczęśliwy przypadek. To drugie sugeruje bezczelną kradzież własności państwowej połączoną z próbą zatuszowania jej przez dowódcę. Na przykład ostatni przypadek - Williams z ciężkiego krążownika „Chyży" został przyłapany na posiadaniu na pokładzie statku jedenastu zwojów drutu, przeznaczonego na ogrodzenia pod napięciem, podczas gdy oficjalny przydział wynosił dziesięć. Dopiero sąd wojskowy zdecydował, że dodatkowy zwój - mający ogromną wartość wymienną na odpowiedniej planecie - nie został ukradziony z magazynów floty i w żargonie marynarzy, „teleportowany na pokład". Williams jednak dostał naganę, a to nie pomaga w awansie.

Gdy Pike wrócił, niosąc księgę formatu A4, McNaught ciągle wydawał niezadowolone pomruki.

- Zaczniemy od razu, panie kapitanie?

- Będziemy musieli. - McNaught wstał ciężko, żegnając się w myślach z wolnym czasem i urokiem oświetlonych neonami ulic. - Sprawdzenie wszystkiego od dziobu do rufy zajmie nam trochę czasu. Przegląd indywidualnego wyposażenia załogi zostawię na koniec. Wyszedł z kabiny i skierował się w stronę dziobu. Pike podążył za nim z wyraźną niechęcią. Peaslake zauważył ich, gdy przechodzili przez główną śluzę. Pobiegł za nimi z zapałem, potem zwolnił i dołączył z tyłu. Był prawdziwym członkiem załogi, a poza tym dużym psem, którego przodkowie kierowali się raczej entuzjazmem niż doborem rasy partnerów. Nosił z dumą ogromną obrożę, opatrzoną napisem „Peaslake - własność S.K. Szperacz". W zakres jego kompetentnie wypełnianych obowiązków wchodziło przede wszystkim odstraszanie od statku niepożądanych gryzoni oraz, od czasu do czasu, wywąchiwanie niebezpieczeństw niewidzialnych dla ludzkich oczu. Dalej pomaszerowali we trzech - McNaught i Pike z minami ludzi zmuszanych do poświęcania przyjemności na rzecz wypełniania obowiązków, zaś Peaslake z żywą gotowością kogoś, kto zawsze jest chętny do nowej zabawy, bez względu na jej rodzaj. Doszli do kabiny dziobowej, McNaught wziął od Pike'a spisy i umieścił się w fotelu pilota.

- Ty się lepiej znasz na tym, co tu jest. Mój teren to kabina nawigacyjna. Więc ja będę wyczytywał, a ty będziesz sprawdzał czy wszystko jest na miejscu.

Otworzył księgę i zaczął od pierwszej strony.

- K1. Cyrkiel drążkowy, typ D, sztuk jedna.

- Jest - powiedział Pike.

- K2. Czujnik dystansowo-kierunkowy, elektroniczny, typ JJ, sztuk jedna.

- Jest.

- K3. Grawimetry lewej i prawej burty, model Casini, sztuk dwie.

- Jest.

Peaslake położył łeb na udzie McNauhgta, zamrugał z uczuciem, potem zaskomlił. Zaczynał rozumieć punkt widzenia ludzi. To nudne wyczytywanie i sprawdzanie było wszystkim, tylko nie zabawą. McNaught opuścił rękę i pocieszająco podrapał Peaslake'a za uchem, lecz po chwili wrócił do wędrówki w dół listy.

Zanim wrócił Pierwszy Oficer Gregory, dotarli do maleńkiego pomieszczenia centrali interkomu i gmerali w nim w półmroku. Peaslake już dawno sobie poszedł, zdegustowany do głębi.

- M24. Zapasowe minigłośniki, trzy cale, typ T2, komplet sześć sztuk, jeden.

- Jest.

Gregory wsadził głowę do kabinki, obrzucił ich czujnym spojrzeniem i spytał:

- Co się dzieje?

- Ważna inspekcja w najbliższym czasie. - McNaught spojrzał na zegarek. - Idź zobacz czy z magazynów dostarczyli ładunek, a jeśli nie to dlaczego. Potem bądź łaskaw przyjść tutaj i zmienić Pike'a. Należy mu się parę godzin wolnego.

– Czy to znaczy, że inne pozwolenia na wyjście do miasta zostają wstrzymane?
– A co ty myślałeś? Do czasu, aż Ważny Inspektor przybędzie i wybędzie. Spojrzał na Pike'a.
– Jak dotrzesz do miasta, rozejrzyj się i przyślij tutaj każdego członka załogi, jakiego zdołasz złapać. Żadnych dyskusji, żadnego tłumaczenia. Również żadnych wyjątków i spóźnień. To jest rozkaz.
Pike usiłował zrobić nieszczęśliwą minę. Gregory spojrzał na niego groźnie, wyszedł, za chwilę wrócił i powiedział:
– Magazyny dostarczą tutaj wszystko w ciągu dwudziestu minut.
Patrzył z niechęcią jak Pike wychodzi.
– M47. Kabel interkomu, drut pleciony izolowany, trzy szpule.
– Jest – powiedział Gregory, przeklinając się w myślach za powrót w niewłaściwym czasie.

Koło południa drugiego dnia McNaught musiał uznać, że jego przeczucia były prorocze. Szczytywał właśnie dziewiątą stronę, a Jean Blanchard potwierdzał istnienie każdego wyszczególnionego przedmiotu. Przebywszy dwie trzecie drogi w dół listy nadziali się na skałę, mówiąc w przenośni, i zaczęli szybko tonąć.
– V1097. Naczynie na napoje, emaliowane, sztuk jedna – powiedział McNaught znudzonym głosem.
– On jezd – powiedział Blanchard pukając w naczynie.
– V1098. Pipok, sztuk jedna.
– Quoi? – spytał Blanchard, patrząc ze zdziwieniem.
– V1098. Pipok, sztuk jedna – powtórzył McNaught. – Co się na mnie gapisz jak na raroga? To jest kuchnia okrętowa. Ty jesteś kuchmistrzem. Wydaje mi się, że powinieneś wiedzieć co znajduje się w kuchni. Gdzie ten pipok?
– Nigdy nie słyszałem takiego – stwierdził Blanchard kategorycznie.
– Musiałeś słyszeć. To jest tu, na tej karcie, równym, czystym drukiem. Napis głosi: pipok, sztuk jedna. Był tu cztery lata temu, gdy byliśmy ekwipowani. Sprawdziliśmy osobiście i podpisaliśmy.
– Nie podpisywałem żaden pipok – zaprzeczył Blanchard. – W mojej cuisine nie ma taka rzecz.
– Patrz tutaj! – warknął McNaught i podsunął mu kartę. Blanchard spojrzał i prychnął lekceważąco.
– Mam elekthyczny piec, sztuk jedna, mam kocioły ciśnieniowe z pokhywami, sztuk dwie. Mam hondle z uchwytami tehmoodpohnymi, sztuk sześć. Pipoka nie mam. Nie słyszałem takiego. Rozłożył ręce i wzruszył ramionami.
– Nie znam go.
– To musi tu być – nalegał McNaught. – A jeśli nie ma, to Cassidy zedrze z nas skórę i pokroi na kawałki.
– Znajdź jego – zasugerował Blanchard.
– Masz dyplom Międzynarodowej Hotelarskiej Szkoły Gotowania. Masz dyplom Cordon Bleu College d'Cuisine. Masz dyplom trzeciego stopnia z wyróżnieniem Centrum Wyżywienia Floty Kosmicznej – wyliczył McNaught. – Masz te wszystkie dyplomy i nie wiesz co to jest pipok.
– Nom d'un chien! – wrzasnął Blanchard wymachując rękami. Mówię tobie sto tysięcy hazy tutaj nie ma pipoka. Tutaj nigdy nie był pipok. Escoffier osobiście nie znalazł pipoka gdzie jego nie ma. Może ja jezdem magik?
– To jest część wyposażenia kulinarnego – upierał się McNaught. – To musi tu być, ponieważ jest wyszczególnione na stronie dziewiątej. A strona dziewiąta oznacza, że właściwe miejsce tej rzeczy jest w kuchni, pod opieką kuchmistrza.
– Goffno, a nie jezd! – sprzeciwił się Blanchard. Wskazał metalowe pudełko na ścianie. – Wspomagacz interkomu. To jezd moje?
McNaught przemyślał gruntownie sprawę i przyznał:– Nie, to jest Burmana. Jego rzeczy poniewierają się po całym statku.
– Więc spytaj jego o ten pieprzony pipok – oznajmił z tryumfem Blanchard.
– Spytam. Jeśli to nie jest twoje – to musi być jego. Ale najpierw skończmy ten spis. Jeśli nie będę systematyczny i dokładny, to Cassidy zerwie mi naszywki. – Przebiegł wzrokiem listę.
– V1099. Obroża z tłoczonym napisem, skóra z nitami mosiężnymi, na użytek psa, sztuk jedna. Nie ma po co sprawdzać. Sam ją widziałem pięć minut temu.
Postawił znaczek i kontynuował:– V1100. Kosz wiklinowy pleciony, legowisko dla psa, sztuk jedna.
– On jezd – powiedział Blanchard, kopniakiem przesuwając kosz w róg pomieszczenia.
– V1101. Poduszka, guma piankowa, wykładzina legowiska psa, sztuk jedna.
– Pół sztuki – sprzeciwił się Blanchard. – Przez cztehy lata zjadł dhugie pół.
– Może Cassidy poleci wystąpić o nową. Poduszka jest nieważna. Jesteśmy w porządku, póki możemy okazać połowę, którą mamy.
McNaught wstał i zamknął księgę.
– Stąd to już wszystko. Pójdę spytać Burmana o ten brakujący przedmiot.

Burman wyłączył odbiornik UHF, zdjął słuchawki i pytająco podniósł brew.
– W kuchni brakuje pipoka – wyjaśnił McNaught. – Gdzie to jest?
– A co ja mam do tego? Kuchnia to kalifat Blancharda.
– Nie całkiem. Biegnie przez nią wiele twoich kabli. Masz tam dwie swoje skrzynki zaciskowe, jak również automatyczny przełącznik i wspomagacz interkomu. Gdzie jest pipok?
– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – powiedział Burman.
– Nie mów tak! – wrzasnął McNaught. – Przez Blancharda robi mi się niedobrze gdy to słyszę. Cztery lata temu mieliśmy pipoka. Tu jest tak napisane. To jest nasza kopia tego, co sprawdziliśmy i podpisaliśmy. Z tego wynika, że podpisaliśmy odbiór pipoka, sztuk jedna. A więc musimy tę jedną sztukę mieć. Musi zostać odnaleziona zanim Cassidy się tu zjawi.
– Przykro mi, panie kapitanie – współczująco powiedział Burman – ale w niczym nie mogę panu pomóc.
– Możesz jeszcze pomyśleć – poradził McNaught. – Tam w tej misce jest czujnik dystansowo-kierunkowy. Jak WY go nazywacie?
– Czudyk – odpowiedział Burman podejrzliwie.
– A jak nazywacie – kontynuował McNaught, wskazując generator impulsów świetlnych – TO?
– Mrugałka.
– A widzisz! Dziecinne słowa. Czudyk i mrugałka. Teraz rusz trochę głową i przypomnij sobie co cztery lata temu nazywaliście pipokiem.
– Według mojej najlepszej wiedzy nic nigdy nie było nazywane pipokiem – zapewnił Burman.
– Dlaczego w takim razie – zażądał wyjaśnień McNaught – podpisaliśmy odbiór jednej sztuki?
– Ja niczego nie podpisywałem. Pan wszystko podpisał.
– A ty i inni sprawdzaliście. Cztery lata temu, prawdopodobnie w kuchni, przeczytałem: „pipok, sztuk jedna", a któryś z was, ty lub Blanchard, wskazał na to i powiedział „jest". Uwierzyłem waszemu słowu. Muszę przecież wierzyć słowu specjalisty. Ja jestem nawigatorem i znam wszystkie najnowsze wynalazki z dziedziny nawigacji, ale nie muszę znać i nie znam wyposażenia z innych dziedzin. Jestem więc zmuszony polegać na ludziach, którzy wiedzą co to jest pipok – albo przynajmniej powinni wiedzieć.
Burnam nagle doznał olśnienia.
– Podczas załadunku w głównej śluzie, na korytarzach i w kuchni były zwalane graty wszelkiego typu. Musieliśmy to wszystko potem sortować i przenosić tam, gdzie było ich miejsce, pamięta pan? Ten pipok może być teraz gdziekolwiek. Niekoniecznie u mnie czy Blancharda.
– Dobrze, zobaczę co powiedzą inni oficerowie – zgodził się McNaught. – Któryś z nich mógł go przytulić. Jednak gdziekolwiek on jest, musi zostać znaleziony. On, albo sprawozdanie o jego zużyciu.
Wyszedł. Burman wytarł twarz, włożył słuchawki i powrócił do wędrówki po skali swego aparatu. McNaught wrócił godzinę później z miną, nadającą się tylko na pogrzeb.
– Zostało stwierdzone – powiedział z hamowaną furią – że na statku nie znajduje się rzecz o nazwie pipok. Nikt nic o niej nie wie. Nikt nie ma pojęcia co to może być.
– Niech pan postawi na tym krzyżyk i złoży meldunek o stracie – poradził Burman.
– Co? Strata w porcie? Wiesz równie dobrze jak ja, że o stratach i zniszczeniach należy meldować bezpośrednio po ich zajściu. Jeżeli powiem Cassidy'emu, że pipok wyemigrował za chlebem w kosmosie, to ten sukinsyn na pewno będzie się domagał wyjaśnień jak, kiedy, w jakim kierunku i dlaczego nie było na ten temat meldunku. A jeżeli okaże się, że urządzenie kosztuje pół miliona, to będą tu spadały głowy. Nie, nie mogę się pozbywać pipoka ot tak, lekką rączką.
– W takim razie jakie jest z tego wyjście? – spytał Burman, nieświadomie wchodząc wprost w pułapkę.
– Jest jedno. Jedyne możliwe. – oznajmił McNaught. – Ty skonstruujesz pipoka.
– Kto? JA? – spytał Burman i zaczął szarpać włosy na głowie.
– Ty i nikt inny. Jestem niemal pewien, że jest to kamyczek z twojego ogródka.
– Dlaczego?
– Ponieważ jest to typowo infantylna nazwa, z gatunku tych, jakie wy nadajecie swoim instrumentom. Stawiam miesięczną pensję, że pipok jest to coś w rodzaju naukowego elemelka. Może coś w rodzaju dźwiękowego kierunkowskazu.
– Naprowadzacz dźwiękowy do użytku planetarnego – poinformował Burman – nazywa się „Jęczący Jaś".
– O właśnie! – powiedział McNaught, jakby to, co przed chwilą usłyszał ostatecznie potwierdzało jego tezę. – A więc zrobisz pipoka. Ma być gotowy jutro do szóstej wieczór i czekać na mój przegląd. I lepiej by było, gdyby był on przekonywający. A nawet zadowalający. Dokładniej – ma funkcjonować w sposób przekonywający i zadowalający. Burman stał z rękami bezradnie zwisającymi wzdłuż boków.
– Jak mam zrobić pipoka – spytał – jeśli nie mam pojęcia co to jest?
– Cassidy również – powiedział McNaught spoglądając chytrze. – On zwraca uwagę przede wszystkim na ilość. Liczy przedmioty, patrzy na nie, potwierdza, że istnieją. I pyta czy funkcjonują w sposób prawidłowy, czy może są zużyte. A więc musimy tylko sklecić jakiegoś elemelka o imponującym wyglądzie i powiedzieć mu, że to jest pipok.
– Wielki Mojżeszu! – powiedział Burman żarliwie.



Janusz Giniewski

– Lepiej nie polegajmy na wątpliwej pomocy postaci biblijnych – powiedział McNaught z naganą w głosie. – Użyjmy mózgów, które nam są dane od Boga. Łap za lutownicę i jutro do szóstej ma być gotowy pipok najwyższego gatunku. To jest rozkaz!
Wyszedł zadowolony z rozwiązania ważnego problemu. Za jego plecami Burman zagapił się ponuro w ścianę.

Kontradmirał Vane W. Cassidy zjawił się dokładnie o zapowiedzianym czasie. Był to niski, brzuchaty osobnik o rumianej cerze i oczach dawno zdechłej ryby. Poruszał się w sposób świadczący, iż jest w pełni świadomy ważności swej osoby.
– No, kapitanie, mam nadzieję, że u was wszystko jest w porządku.
– U mnie zawsze wszystko jest w porządku – bez zająknięcia zapewnił McNaught. – Dbam o to osobiście.
Ton jego głosu sugerował, iż w pełni wierzy w to, co mówi.
– To dobrze! – ucieszył się Cassidy. – Lubię dowódców, którzy poważnie traktują swoje obowiązki. Muszę jednak z przykrością stwierdzić, że nie wszyscy są tacy.
Przemaszerował przez główną śluzę, zatrzymując rybie oczy na świeżej, białej emalii na ścianach.
– Skąd chciałby pan zacząć, kapitanie, od rufy czy od dziobu?
– Mój spis wyposażenia rozpoczyna się od urządzeń dziobowych i stopniowo cofa się ku rufie.
– Bardzo dobrze.
Skierował pełne powagi kroki ku nosowi statku, zatrzymując się po drodze by poklepać Peaslake'a i przyjrzeć się jego obroży.
– Bardzo zadbany, jak widzę. Czy zwierzę dowiodło swej przydatności?
– Na Mardii ocalił pięciu ludzi warcząc ostrzegawczo.
– Przypuszczam, że umieścił pan szczegóły tej sprawy w dzienniku okrętowym?
– Tak jest, panie admirale. Dziennik okrętowy gotów do przeglądu znajduje się w kabinie nawigacyjnej.
– Przejrzę go w odpowiednim czasie.
Doszli do kabiny dziobowej. Cassidy usiadł i wziął od McNaughta księgę.
– K1. Cyrkiel drążkowy, typ D, sztuk jedna – przeczytał z namaszczeniem.
– To jest to, panie admirale – powiedział McNaught, wskazując palcem.
– Ciągle działa prawidłowo?
– Tak jest, panie admirale.
Sprawdzali dalej, dochodząc do pomieszczenia centrali interkomu, potem do centrum obliczeniowego i do innych miejsc, leżących po drodze do kuchni. Gdy wreszcie tam weszli Blanchard, trwający na posterunku w świeżo wypranym, białym fartuchu, obrzucił inspektora podejrzliwym spojrzeniem.
– V147. Piec elektryczny, sztuk jedna.
– On jezd – powiedział Blanchard, wskazując lekceważącym gestem.
– Stan zadowalający? – dociekał Cassidy, patrząc na kucharza błędnym wzrokiem.
– Nieduży – oznajmił Blanchard. Gwałtownie zatoczył rękami koło.
– Fsziiistko nieduże. Pokój za mały. Fszistko za mały, ja jezdem chef de cuisine, a ona jezd cuisine jak komóhka.
Cassidy wbił wzrok w spis na dłuższą chwilę. Potem zawarczał:
– To jest statek wojenny, a nie luksusowy liniowiec. V148. Wyłącznik czasowy, zamocowany na piecu elektrycznym, sztuk jedna.
– On jezd – prychnął Blanchard.
Posuwając się w ten sposób w dół listy Cassidy zbliżał się coraz bardziej i bardziej, a napięcie wciąż rosło i rosło. Wreszcie dotarł do punktu krytycznego i powiedział:
– V1098. Pipok, sztuk jedna.
– Morbleu! – wrzasnął Blanchard ciskając błyskawice z oczu. – Już mówiłem i powtarzam znowu – tutaj nigdy nie...
– Pipok jest w radiokabinie, panie admirale – wtrącił McNaught skwapliwie.
– Doprawdy? – Cassidy jeszcze raz spojrzał na spis. – Więc dlaczego jest spisany razem z wyposażeniem kuchennym?
– W czasie załadunku wyposażenia został umieszczony w kuchni, panie admirale. To jeden z tych przenośnych instrumentów, które możemy umieszczać w dowolnym dogodnym miejscu.

Eric Frank RUSSEL

urodził się w 1905 roku, zmarł w roku 1978. Należy do czołówki pisarzy brytyjskich lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Debiutował na łamach „Astounding Stories" opowiadaniem **„The Saga of Pelican West"** w 1937 roku. Pierwszą powieść **„Sinister Barrier"** opublikował w 1939 roku w założonym przez Johna W. Campbella magazynie „Unknown". Podczas drugiej wojny światowej E.F. Russel był pilotem RAF, co znalazło później odbicie w jego twórczości. Tematem często powracającym w utworach Russela są walki między kosmicznymi cywilizacjami, zaborcze i obronne wojny toczone we wszechświecie. W 1956 roku Russel otrzymał HUGO Gernsback Award za opowiadanie **„Allamagoosa"**. Do najbardziej znanych książek E.F. Russela należą **„Far Stars"** (1961), **„Martians and Machines"** (1951) i **„The Space Willies"** (1956).

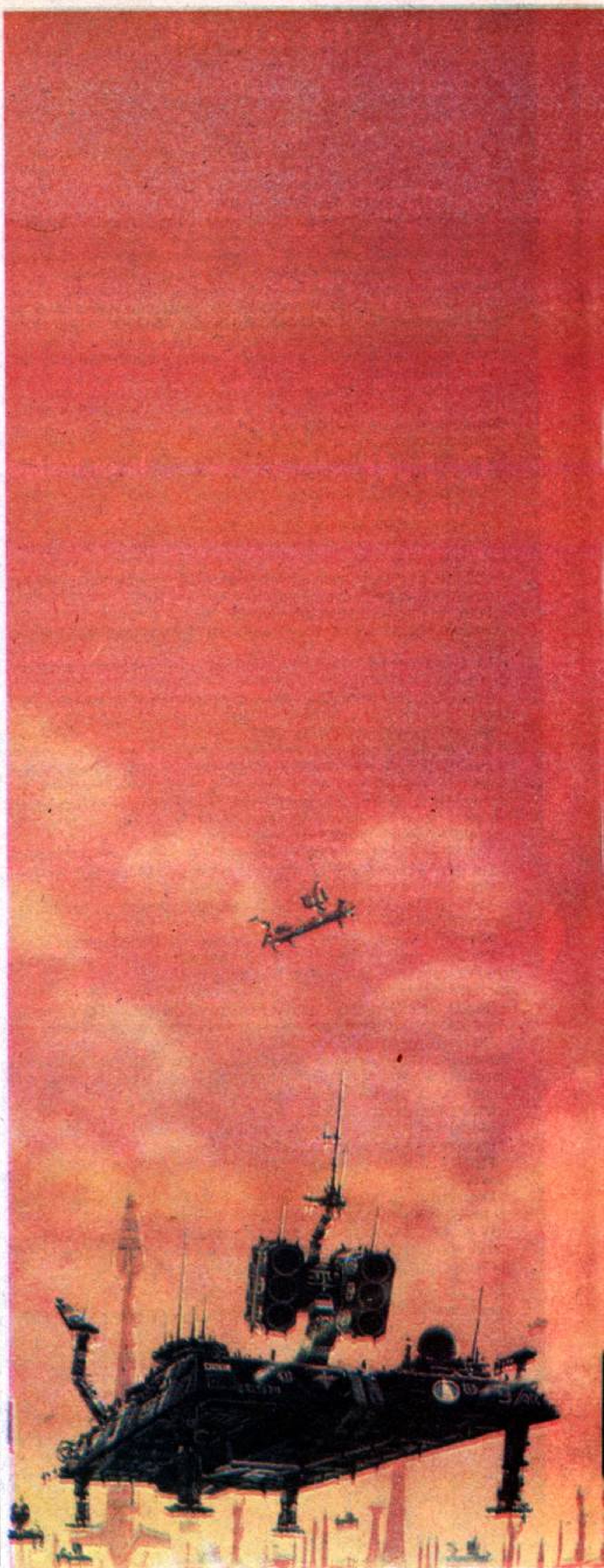
– Hmmm...! W takim razie powinien zostać przeniesiony na listę wyposażenia kabiny łączności radiowej. Dlaczego pan tego nie zrobił?
– Uważałem, że powinienem wstrzymać się z tym do pańskiego przyjazdu, by było to zrobione przez kogoś o pańskich kwalifikacjach, panie admirale.
W rybich oczach odbiło się zadowolenie.
– Tak, postąpił pan właściwie, kapitanie. Dokonam przeniesienia natychmiast. Wykreślił odpowiedni punkt na stronie dziewiątej, postawił swoją parafę, wpisał odpowiedni punkt na stronie szesnastej, znów postawił parafę. – V1099. Obroża z tłoczonym napisem, skóra... ach tak, widziałem ją. Pies ją nosi.
Odfajkował. Godzinę później wkroczył do radiokabiny. Burman powstał, przycisnął ramiona do ciała, ale nie mógł opanować nerwowych ruchów stóp i dłoni. Oczy wystąpiły mu lekko z orbit i zwróciły się w stronę McNaughta pełne niemej prośby. Wyglądał jak człowiek, któremu w spodnie wszedł jeż.

– V1098. Pipok, sztuk jedna – powiedział Cassidy swym normalnym tonem, nie dopuszczającym podejrzeń, że mógłby pleść bzdury.
Kanciastym, szarpanym ruchem, jak nieco rozregulowany robot, Burman położył dłoń na małym pudełku, którego przednią ścianę wypełniały wskaźniki, przełączniki i kolorowe światełka. Przesunął kilka dźwigienek. Światełka zaczęły mrugać, tworząc intrygujące kombinacje.
– To jest to, panie admirale – poinformował z wyraźną trudnością.
– Aha! – Cassidy opuścił fotel i podszedł bliżej, by lepiej widzieć. – Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek przedtem spotkał taki przedmiot. Jednak teraz robią tak wiele modeli tej samej rzeczy... Czy ciągle pracuje zadowalająco?
– Tak jest, panie admirale.
– To jedna z najbardziej użytecznych rzeczy na statku – dorzucił McNaught dla zwiększenia efektu.
– A co ta rzecz ROBI? – spytał Cassidy, zapraszając Burmana, by rzucił przed niego perły mądrości.
Burman zbladł.
McNaught powiedział pospiesznie:
– Pełne wyjaśnienie musiałoby być oczywiście raczej skomplikowane i pełne szczegółów technicznych, ale ujmując kwestię możliwie prosto, urządzenie to umożliwia nam utrzymanie równowagi pomiędzy wzajemnie przeciwstawnymi polami grawitacyjnymi. Kombinacje świateł ukazują stopień i kierunek zakłócenia równowagi w danym momencie.
– Wykorzystano tu w bardzo pomysłowy sposób – dorzucił Burman, któremu te rewelacje nagle dodały odwagi – implikacje zjawiska opisanego stałą Finagle'a.
– Rozumiem – powiedział Cassidy nic nie rozumiejąc. Wrócił na swój fotel, postawił znaczek koło pipoka i ciągnął dalej – Z44. Łącznica automatyczna interkomu na czterdzieści linii, sztuk jedna.
– Jest tutaj, panie admirale.
Cassidy rzucił okiem w jej stronę i wbił wzrok w spis.
McNaugth i Burman wykorzystali chwilowe roztargnienie admirała, by wytrzeć pot z czół.
Zwycięstwo zostało osiągnięte.
Wszystko było w porządku.
Ha! – po raz trzeci.

Kontradmirał Vane W. Cassidy wyjechał zadowolony, chwaląc kapitana na pożegnanie. W ciągu godziny załogę wywiało do miasta. McNaught i Gregory na zmianę napawali się wesołymi światłami różnych interesujących miejsc. W ciągu następnych pięciu dni wszystko było spokojem i przyjemnością.
Szóstego dnia Burman przyniósł depeszę, rzucił ją na biurko McNaughta i poczekał na reakcję. Miał minę pełną satysfakcji i robił wrażenie kogoś, czyje osiągnięcia zasługują na nagrodę:
„Kwatera Główna do S.K. Szperacz. Wracać natychmiast na Ziemię w celu dokonania przeglądu i remontu kapitalnego. Przewidziany montaż ulepszonego reaktora głównego. Feldman, Dow.Oper.Floty, Syrsekcja". – Wracamy na Ziemię – skomentował McNaught głosem pełnym szczęścia. – A remont kapitalny oznacza co najmniej miesiąc urlopu.
Spojrzał na Burmana.
– Powiedz wszystkim oficerom, będącym na służbie, aby natychmiast szli do miasta i kazali załodze wracać na statek. Ludzie przybiegną z powrotem, jeśli będą wiedzieli dlaczego.
– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Burman szczerząc zęby.
Jeszcze dwa tygodnie później zęby szczerzyli wszyscy i ciągle. Syrport został daleko z tyłu, a Sol urosła do maleńkiego punkciku przed dziobem statku. Jeszcze jedenaście miesięcy drogi, ale sprawa była tego warta. Znowu na Ziemi. Hurrra!
Jednak pewnego poranka w kabinie kapitańskiej uśmiechy nagle zniknęły. Burman wszedł do środka i gryząc dolną wargę czekał aż McNaught skończy wpis do dziennika.
W końcu McNaught odsunął księgę, podniósł wzrok i zmarszczył brwi.
– Co ci się stało? Brzuch cię boli?
– Nie, panie kapitanie. Myślę.
– To takie bolesne?

– Myślę – upierał się Burman pogrzebowym tonem. – Wracamy na przegląd. Czy zdaje pan sobie sprawę co to znaczy? Zejdziemy ze statku, a zaraz potem wpadnie tu horda specjalistów.
Spojrzał tragicznym wzrokiem na dowódcę.
– Powiedziałem: SPECJALISTÓW.
– Oczywiście, że będą to specjaliści – zgodził się McNaught. – Wyposażenie statku nie może być testowane, czyszczone i naprawiane przez bandę półgłówków.
– Tak, nawet średniej klasy specjalista nie poradzi sobie z przetestowaniem, wyczyszczeniem i naprawą pipoka – powiedział Burman. – Do tego będzie potrzebny geniusz.
McNaught padł na oparcie fotela, zmieniwszy wyraz twarzy jakby zmienił maskę.
– Wielkie nieba! Zupełnie zapomniałem o tej sprawie. Tamtym chłopcom nie zamydlimy oczu naukową paplaniną.
– Nie, panie kapitanie, nie zamydlimy – poparł dowódcę Burman. Nie dodał „już nigdy", ale jego twarz krzyczała to głośno. – Pan mnie w to wpakował. Teraz niech pan mnie z tego wyciągnie.
Odczekał kilka chwil, podczas których McNaught wykonywał intensywną pracę myślową, a potem spytał:
– Co ma pan zamiar zrobić, panie kapitanie?
Powoli twarz McNaughta wygładzał pełen satysfakcji uśmiech.
– Mam zamiar zepsuć urządzenie – odpowiedział – i włożyć je do dezintegratora.
– To nie rozwiązuje problemu, panie kapitanie – powiedział Burman. – Ciągle nam będzie brakowało pipoka.
– Wcale nie będzie. Mam zamiar zameldować o jego stracie w wyniku niebezpieczeństw czyhających w otwartym kosmosie. – Mrugnął wymownie jednym okiem. – Przecież teraz dokonujemy swobodnego przelotu, a nie stoimy w porcie.
Sięgnął po blok z formularzami depeszowymi i zaczął pisać, a Burman czekał, wyraźnie odprężony.
„S.K.Szperacz do Kwatery Głównej Ziemia. V1098, pipok, sztuk jedna rozpadł się wskutek wstrząsu grawitacyjnego podczas przechodzenia w pobliżu układu gwiazdy podwójnej Hektor Major – Minor. Materiał użyty jako paliwo. McNaught, dowódca S.K.Szperacz".
Burman zabrał depeszę do radiokabiny i wysłał w stronę Ziemi.
Przez następne dwa dni panował ład i porządek. Potem Burman, bardzo zaniepokojony, wpadł jak burza do kabiny kapitańskiej.
– Wiadomość „do wszystkich", panie kapitanie – oznajmił łapiąc oddech. Wcisnął w dłoń dowódcy depeszę.
„Kwatera Główna Ziemia do wszystkich sekcji. Bardzo pilne. Bardzo ważne. Wszystkie statki natychmiast lądować. Statki wykonujące zadania specjalne skierować się do najbliższego kosmoportu i oczekiwać na dalsze rozkazy. Welling, Nacz.Dow.Pogotowia i Obrony, Ziemia".
– Jak pan myśli, co się stało? – spytał Burman.
– Bóg jeden wie. Ostatnie wezwanie „do wszystkich" było siedem lat temu, gdy „Włóczęga" eksplodował w pół drogi do Marsa. Uziemili wszystkie statki, co do jednego, do czasu wyjaśnienia przyczyny.
Potarł policzek, pomyślał chwilę i ciągnął dalej:
– A poprzednie było wtedy, gdy cała załoga „Spluwy" dostała kręćka. Cokolwiek tym razem się stało, mogę iść o zakład, że to jakaś poważna sprawa.
– Chyba nie może być to wybuch wojny kosmicznej?
– Z kim? – McNaught machnął lekceważąco ręką. – Nikt nie ma statków, które mogłyby się przeciwstawić naszym. Nie, to raczej coś technicznego. Dowiemy się w końcu. Powiedzą nam zanim dolecimy do Zaxedu lub wkrótce potem.
Powiedzieli. Sześć godzin później. Burman wpadł do kabiny z twarzą wykrzywioną przerażeniem.
– A tym razem co cię gryzie? – spytał McNaught, patrząc na niego wyczekująco.
– Pipok – wyjąkał Burman. Wymachiwał rękoma, jakby odganiał niewidzialne pająki.
– No i co?
– To błąd drukarski. Opuścili litery. W spisie powinno być „pies pokł."
McNaught zrobił sowie oczy.
– Pies pokł.? – powtórzył z taką intonacją, jakby to były wyjątkowo świńskie wyrazy.
– Niech pan sam zobaczy – Burman rzucił na biurko depeszę i wyleciał z kabiny jak strzała, zostawiając otwarte drzwi. McNaught rzucił za nim groźne spojrzenie, podniósł papier i przeczytał:
„Kwatera Główna Ziemia do S.K. Szperacz. Dotyczy waszego meldunku w sprawie V1098, pies pokładowy Peaslake. Podać szczegóły okoliczności, w których zwierzę rozpadło się na skutek szoku grawitacyjnego. Opisać dokładnie przebieg procesu rozpadu. Przebadać załogę i natychmiast meldować o wszelkich podobnych zaobserwowanych objawach. Bardzo pilne. Bardzo ważne. Welling, Nacz.Dow.Pogotowia i Obrony Ziemia".
W zaciszu kabiny McNaught rozpoczął zjadanie swych paznokci. Za każdym razem, gdy przyglądał się jak dużo z nich jeszcze zostało, oczy ustawiały mu się w lekkiego zeza.

Przełożył **Darosław J. Toruń.**



Tam, na Ziemi...

(Tam, na ziemle)

Siergiej Kisielew

Gdy co pół roku przylatuję z Saturna w delegację na Ziemię w celu pobrania zaopatrzenia, korzystam z usług Aerofłotu, oszczędzam w kasie oszczędnościowo-pożyczkowej, nie pcham się, gdzie mnie nie proszą, nabywam losy loterii pieniężno-fantowej, obchodzę trolejbus z przodu, a tramwaj z tyłu, nie kopię pod nikim dołków, piję soki owocowe, w razie pożaru dzwonię pod telefon 998, w terminie przedłużam prenumeratę gazet i czasopism, trzymam się prawej strony, wypełniam kupony Toto-lotka, sprawdzam pieniądze nie odchodząc od kasy, nie oskarżam bez dowodów winy, wysyłając listy nie zapominam o kodzie pocztowym adresata, przechodzę ulicę przy zielonym świetle, szukam rady nie u starych, a u doświadczonych, wiążę koniec z końcem, kuję żelazo póki gorące, zamykam za sobą drzwi, chronię lasy przed pożarem, nie pcham się na afisz jeśli nie potrafię, oszczędzam energię elektryczną, kocham książki - źródło wiedzy, myję ręce przed jedzeniem, nie mówię „hop" póki nie przeskoczę, nie wsadzam nosa w cudze sprawy, chory, wzywam lekarza, raczej umieram niż oddaję się bez miłości, ściśle przestrzegam zasad bhp, nie śmieję się z cudzego nieszczęścia, widzę źdźbło w oku bliźniego, szanuję pracę sprzątaczki, okazuję przepustkę tak, by była widoczna, przed wyruszeniem w drogę sprawdzam ciśnienie w oponach i stan oleju, nie pozwalam dzieciom bawić się zapałkami, nie opieram się, przed wyjściem z domu sprawdzam czy wyłączyłem żelazko, jestem przezorny - więc zawsze ubezpieczony, jak wejdę między wrony to kraczę jak i one, nie chodzę po torach kolejowych, nie wychylam się, własnego gniazda nie kalam, nie przelewam z pustego w próżne...

Natomiast ze spokojnym sumieniem naruszam pozostałe 974 punkty Regulaminu Służby Kosmicznej, których tutaj nie wymieniłem, gdyż na Ziemi ich przestrzeganie wcale nie jest wymagane.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

Drzwi

(Vrata)

Ivan Nešić

Krótki, piskliwy dźwięk rozszedł się po budynku Instytutu Egzobiologii. Zakończył się jeszcze jeden dzień pracy. Dr Graham ze zwykłą pedanterią spakował rzeczy do przestronnej, czarnej torby i skierował się do windy. Upał był nieznośny. Mógłby pójść popływać... ale nie, czekało go tyle pracy w ogrodzie.
Szybko podszedł do wyjścia. Z wewnętrznej kieszonki wyciągnął kartę osobową i wrzucił ją do aparatu. Automatyczne drzwi rozsunęły się bezgłośnie i doktor znalazł się na ulicy. Rzeka ludzi płynęła we wszystkich kierunkach. Ani śladu taksówki - musiał więc iść pieszo.
W trzydzieści minut później dotarł do celu. „Spacer mi doskonale zrobił" - pomyślał wchodząc na podwórze. Wysadzona kwiatami ścieżka prowadziła prosto do domu. Wyćwiczonym ruchem otworzył podwójny zamek. Powoli zamknął drzwi za sobą i skierował się do salonu.
Wszedł i znieruchomiał...
Na środku pokoju zobaczył wielkie, białe drzwi. Wokół nich przestrzeń otaczały ciemności. Graham zamknął oczy, potrząsnął głową i spojrzał jeszcze raz. Wyciągnął zdrętwiałą rękę i dotknął ich. Były takie zimne...
Takie RZECZYWISTE.
Niezdecydowanie uniósł ręce i spróbował przedostać się w przestrzeń ogarniętą ciemnościami. Była czarna jak płyta z hebanu i twarda jak mur z granitu.
Zaczął się pocić.
Nagle COŚ zawładnęło jego umysłem. Chwycił klamkę i silnie pociągnął. Drzwi odsunęły się bezgłośnie. Ciepłe powietrze owiało mu twarz. Wielka czerwona pustynia ciągnęła się w nieskończoność. Ani śladu życia.
Upadł.
Otoczyły go ciemności.



Powoli przychodził do siebie. Leżał bezradnie straciwszy wszelką koordynację ruchów, a nieznośny żar mącił mu rozum. Zebrawszy siły, powoli podniósł wzrok i z przerażeniem spojrzał prosto na podwójną gwiazdę błyszczącą na czerwonym niebie, tak strasznie blisko.
Rozejrzał się dokoła. Wszędzie tylko pustynia... Znowu opadł na ziemię. Rozgrzany piasek palił mu twarz.
- Witamy, doktorze Graham! - Nieznośna myśl ogarnęła jego świadomość. Nagle poczuł ulgę w całym ciele. Lekko uniósł głowę i spojrzał na istotę przed sobą. Była owalna, prawie przezroczysta i unosiła się na wysokości około metra od powierzchni piasku, przypominała mu bańkę mydlaną. Graham spróbował przemówić, ale nie zdołał. Usta miał martwe.
- Proszę się nie trudzić mówieniem - myśl jak nóż zatapiała mu się w mózgu - wystarczy po prostu myśleć.
- Dlaczego przyprowadziliście mnie tutaj?
- Widzi pan... przypadkowo stał się pan pierwszym przedstawicielem waszego gatunku u nas. Przez kilka dni obserwowaliśmy was, a potem ustawiliśmy drzwi DYMENSJI w pańskim mieszkaniu. Jest nam PAN potrzebny.
- Ale dlaczego?
- Przez miliony lat nasza rasa cierpiała cykliczne zmiany, doktorze Graham. Tak jak i system podwójnej gwiazdy, w którym się znajdujemy. W wyniku zaburzeń grawitacyjnych, nasza planeta zbliżała się coraz bardziej do rozżarzonych słońc. System się już ustabilizował, ale znajdujemy się teraz ZBYT BLISKO podwójnej gwiazdy... Zbadaliśmy setki galaktyk i systemów we wszechświecie, ale niestety, nigdzie nie znaleźliśmy planety podobnej do naszej. Planety odpowiadającej naszemu życiu. Dlatego nie mamy wyboru. MUSIMY zostać tutaj. A to znaczy, że musimy wybudować schronienia, całe miasta pod powierzchnią planety. Nasza ewolucja rozwijała się w jednym kierunku. Rozwijaliśmy się pod względem umysłowym, psychicznym, parapsychologicznym, ale nie pod względem fizycznym. Nie jesteśmy zdolni cokolwiek robić. Jesteśmy planetą myślicieli, doktorze Graham. I grozi nam zagłada. Pan oczywiście rozumie...
- Innymi słowy, potrzebni są wam niewolnicy, którzy będą pracować za was, wy przeklęci... - Graham chciał się podnieść, ale coś przykuło go do gorącego piasku.
- Wy jesteście jedyną rasą we wszechświecie - przepłynęła przez niego ostatnia drżąca myśl - której promienie wysyłane przez nasze słońca nie przeszkadzają. Nam to promieniowanie daje życie, bez niego nie możemy przetrwać. Takiego promieniowania nie ma nigdzie więcej, doktorze Graham - myśl trzepotała gdzieś na krawędzi jego rozumu, znikając - nasza rasa wyginie wraz z wygaśnięciem naszych słońc, ale ta chwila jest daleko...
Został sam.
Niewidzialne ręce podniosły go, pchnęły i powoli ruszył w kierunku oddalonych kopalni polonu. Temperatura jego ciała zaczęła rosnąć, a metabolizm zaczął się zmieniać. Już nie odczuwał nieznośnego upału.
Nic nie czuł.
Niczego nie zauważał.
I nic sobie nie przypominał.

A w następnych dniach wielu ludzi znalazło w swoich domach wielkie, białe drzwi.

Przełożyła **Maria Skiba**

Vonda N.McIntyre

Z Trawy i Mgły i Piasku

(Of Mist, and Grass, and Sand...)

Chłopiec był przestraszony. Żmija dotknęła delikatnie jego gorącego czoła. Troje dorosłych patrzyło podejrzliwie. Stali za jej plecami blisko siebie, zbici w ciasną gromadkę. Bali się okazywać niepokój bardziej niż tylko zmarszczeniem brwi, liniami wokół oczu. Bali się Żmii, ale równie mocno obawiali się o życie swego jedynego dziecka. Migoczące światło lampy, ledwie rozjaśniające panujący w namiocie mrok, nie było w stanie złagodzić ich strachu.

Dziecko miało oczy tak ciemne, że źrenice były niemal niewidoczne, tak matowe, że nawet Żmija zaczęła się obawiać o jego życie. Pogładziła jego głowę. Włosy były długie i bardzo jasne, uderzająco kontrastujące z ciemną, suchą i złuszczoną skórą. Gdyby znalazła się wśród tych ludzi kilka miesięcy wcześniej, wiedziałaby, że dziecko zaczyna chorować.

– Proszę mi podać torbę – powiedziała.

Rodzice chłopca drgnęli, zaskoczeni miękkością jej głosu. Być może spodziewali się usłyszeć syk lub skrzeczenie. Odezwała się w ich obecności po raz pierwszy. Przedtem tylko patrzyła. Widziała, jak ta trójka obserwuje ją z bezpiecznej odległości, jak szepcze o jej młodości i o tym, czym się zajmuje. Gdy w końcu podeszli i poprosili ją o pomoc, tylko słuchała, a potem skinęła głową.

A może myśleli, że jest niema.

Młodszy mężczyzna podniósł torbę z wojłokowej podłogi. Oddychał płytko i szybko, trzymając ją z dala od siebie. Jego nozdrza drgały, łapiąc w suchym, pustynnym powietrzu słaby zapach piżma. Żmija niemal przyzwyczaiła się do takiego zachowania. Często się z nim spotykała.

Wyciągnęła rękę i młody mężczyzna odskoczył, wypuszczając torbę. Rzuciła się do przodu, chwyciła ją tuż nad podłogą i posłała mu ostre spojrzenie. Jego mąż i jego żona podeszli i dotknęli go, by złagodzić strach.

– Był kiedyś ukąszony – powiedziała ciemnowłosa, przystojna kobieta. – Był o krok od śmierci.

To nie były przeprosiny, to było stwierdzenie faktu.

– Przepraszam – powiedział młodszy mężczyzna. – To...

Niepewnym gestem wskazał torbę. Żmija spojrzała na swoje ramię, wyczuwając na nim delikatny ciężar i ruch. Wokół niego owijał się, pełznąc w górę ku jej szyi mały, cienki jak palce dziecka wąż. W końcu dotarł tam, gdzie zamierzał, i wychylił płaski łeb zza jej ramienia, tuż poniżej krótkich, czarnych włosów. Potrójnym językiem spokojnie powąchał powietrze – wysunął go, uniósł w górę, opuścił i schował. Łowił smak zapachów.

Sławomir Skryskiewicz

– To tylko Trawa – powiedziała Żmija. – Nie zrobiłby ci krzywdy. Wąż, gdyby był większy, rzeczywiście mógłby przerazić – jego ciało miało bladozielony kolor, ale wokół pyska łuski były czerwone, jakby przed chwilą ucztował, rozszarpując jakieś stworzenie.
Chłopiec głośno westchnął, walcząc z wzbierającym płaczem. Być może powiedziano mu, że Żmija także poczuje się obrażona, jeżeli będzie płakał. Mogła tylko współczuć tym ludziom. Odmawiali sobie najprostszego sposobu rozładowania napięcia. Odwróciła się plecami do dorosłych, żałując, że się jej boją, ale nie chcąc tracić czasu na tłumaczenie im, że ich reakcja jest nieuzasadniona.
– Nie bój się – powiedziała do chłopca. – Wszystko jest tak, jak powinno być. Trawa jest gładki i suchy, i miękki i jeśli mu każę cię strzec, nawet śmierć nie podejdzie do twego łóżka. – Trawa ześliznął się na jej wąską, wyciągniętą w stronę chłopca dłoń.
– Delikatnie.
Chłopiec uniósł rękę i jednym palcem dotknął gładkich łusek. Żmija czuła, że nawet w tak prosty ruch musiał włożyć ogromny wysiłek. A jednak niemal się uśmiechnął.
– Jak masz na imię?
Chłopiec spojrzał na rodziców. Po dłuższej chwili skinęli głowami.
– Stavin – wyszeptał. Był zbyt słaby, by mówić.
– Ja jestem Żmija. Rano będę ci musiała sprawić ból, krótki, ale potem przez kilka dni będzie cię bolało całe ciało. Jednak gdy to minie, będziesz się czuł znacznie lepiej.
Patrzył na nią z powagą. Żmija wiedziała, że chociaż boi się tego, co ona może zrobić, jego strach jest mniejszy, niż gdyby skłamała. Ból musiał znacznie się nasilić od czasu, gdy choroba się ujawniła, ale rodzice prawdopodobnie ograniczyli się tylko do pocieszania go, mając nadzieję, że dolegliwość zniknie sama albo szybko go zabije.
Żmija położyła Trawę na poduszce chłopca i przysunęła nogą torbę. Pochyliła się i zamek odskoczył pod jej dotykiem. Jedynym uczuciem, jakie dorośli mogli teraz wobec niej czuć, był strach – nie mieli ani czasu, ani okazji, by zacząć jej ufać. Żona była dostatecznie stara, by już nigdy nie mieć następnego dziecka, a z ich oczu, z ukradkowych dotknięć i z ich niepokoju Żmija czytała, jak bardzo kochają tego chłopca. Muszą go kochać, jeśli w tym kraju zwrócili się o pomoc właśnie do niej.
Zapadła noc i temperatura zaczęła spadać. Piasek wysunął się z torby. Uniósł łeb, poruszył językiem wąchając-smakując, lokalizując promieniujące ciepłem ciało.
– Czy to...? – głos starszego męża był niski, spokojny, ale Żmija słyszała w nim strach. Piasek spreżył się do ataku, potrząsając grzechotką. Żmija przemówiła do niego i wyciągnęła rękę. Wąż uspokoił się i owinął wokół jej szczupłego przedramienia, tworząc czarno-brązowe bransolety.
– Nie – powiedziała. – Wasze dziecko jest zbyt chore, by Piasek mógł mu pomóc. Wiem, że to jest trudne, ale proszę was, byście zachowali spokój. Robię tylko to, co powinnam, chociaż być może was to przeraża.
Musiała podrażnić Mgłę, by zmusić ją do wyjścia. Potrząsnęła torbą, potem dwa razy lekko w nią uderzyła. Poczuła przesuwające się sploty i nagle z wnętrza torby wychylił się łeb mlecznobiałej kobry. Zaczęła wypełzać na zewnątrz, poruszając się bardzo szybko, a jednak wydawało się, że jej cielsko nigdy się nie skończy. Sycząc cicho uniosła łeb niemal metr nad podłogę i rozłożyła kark w szeroki kaptur. Rodzice chłopca gwałtownie wciągnęli powietrze, jakby na widok okularów na jej grzbiecie poczuli nagły ból. Żmija zignorowała ich reakcję i przemówiła do kobry śpiewnym głosem.
– Och ty, nerwowe stworzenie, uspokój się. Tym razem będziesz musiała zasłużyć na swoje zwierzątko. Przemów do tego chłopca, dotknij go. Ma na imię Stavin.
W srebrnych oczach kobry odbił się żółty płomień lampy. Powoli zwinęła kaptur i pozwoliła Żmii się dotknąć. Dziewczyna chwyciła ją mocno poniżej łba i odwróciła ku chłopcu. – Stavin – powiedziała. – Teraz Mgła się z tobą przywita. Przyrzekam ci, że zrobi to bardzo delikatnie.
Mimo tego zapewnienia Stavin zadrżał, gdy kobra dotknęła jego chudych piersi. Żmija, nie rozluźniając uchwytu, pozwoliła jej wpełznąć na ciało chłopca i ułożyć się białymi pierścieniami na jego rozdętym brzuchu.
Mgła wysunęła język, by poznać jego smak-zapach.
Młodszy mąż wydał cichy, zduszony, pełen strachu okrzyk. Stavin drgnął. Mgła cofnęła się i otworzyła pysk, ukazując zęby jadowe. Żmija westchnęła i przysiadła na piętach. Czasami, gdzie indziej, krewni mogli się przyglądać jej pracy.
– Musicie wyjść – powiedziała łagodnie. – Mgły nie wolno niepokoić. To niebezpieczne.
– Postaram się...
– Przykro mi, ale musicie poczekać na zewnątrz.
Być może młodszy mąż chciał się sprzeciwić, chciał domagać się odpowiedzi na szereg pytań, być może poparłaby go żona, ale starszy mężczyzna ujął ich dłonie i poprowadził w stronę wyjścia.
– Będę potrzebowała jakiegoś małego zwierzątka – powiedziała Żmija, gdy mężczyzna uniósł przesłaniającą wejście klapę. – Musi być żywe i mieć futerko.
– Dobrze – odpowiedział starszy mąż i we troje wyszli w rozświetloną noc. Żmija przez ścianę namiotu słyszała ich kroki, skrzypiące na ostrym piasku.
Ułożyła kobrę na kolanach i zaczęła uspokajająco ją kołysać. Mgła owinęła się wokół jej talii, wchłaniając promieniujące od ciała ciepło. Zwykle głód czynił ją bardzo nerwową, a teraz była głodna. Żmija również. W czasie podróży przez pokrytą czarnym piaskiem pustynię znajdowali dostateczną ilość wody, ale pułapki, które Żmija zakładała, zawodziły. Teraz w lecie było bardzo gorąco i wiele małych, futerkowych zwierzątek, będących ulubionym pożywieniem Piasku i Mgły, zapadło w letni sen. Gdy węże nie dostawały swych regularnych posiłków, Żmija również nie jadła.
Zmartwiła się, gdy zauważyła, że teraz Stavin boi się znacznie bardziej.
– Przykro mi – powiedziała – że musiałam odesłać twoich rodziców. Niedługo będą mogli tu wrócić z powrotem.
Oczy chłopca zaszkliły się, ale powstrzymał łzy.
– Powiedzieli mi, abym robił wszystko, co mi każesz.
– Chciałabym, abyś płakał, jeśli będziesz miał na to ochotę. To wcale nie jest takie straszne.
Stavin jednak nie zrozumiał, a Żmija postanowiła nie nalegać. Wiedziała, że jego grupa nauczyła się żyć na tej niegościnnej ziemi odmawiając sobie płaczu, śmiechu, rozpaczy. Odebrali sobie prawo do prawdziwego smutku i prawdziwej radości, ale przetrwali.
Mgła uspokoiła się. Żmija odwinęła ją ze swej talii i ułożyła na łóżku obok Stavina. Gdy kobra poruszyła się, poprowadziła jej głowę, dłonią wyczuwając napięte, stawiające opór mięśnie.
– Dotknie cię językiem – powiedziała do chłopca. – To może łaskotać, ale nie będzie bolało. Ona wącha językiem, tak jak ty nosem.
– Językiem?
Żmija przytaknęła i uśmiechnęła się, a Mgła wysunęła język, by poczuć policzek chłopca. Stavin był spokojny, patrzył ciekawie, nagle zapomniawszy o bólu. Leżał zupełnie spokojnie, gdy długi język kobry muskał jego policzki, oczy, usta.
– Wyczuwa chorobę – powiedziała Żmija. Mgła przestała sprzeciwiać się jej woli i posłusznie cofnęła łeb, a gdy Żmija ją puściła wspięła się po jej ręce i ułożyła na ramionach.
– Teraz śpij, Stavin – powiedziała dziewczyna. – Postaraj się mi zaufać i nie bój się tego, co musimy zrobić rano.
Stavin patrzył na nią przez kilka sekund.
– Czy Trawa będzie mnie strzec?
Pytanie zaskoczyło ją. Nie jego treść, raczej zgoda, która się za nim kryła. Odgarnęła mu włosy z czoła i uśmiechnęła się.
– Oczywiście.
Podniosła Trawę w powietrze.
– Będziesz opiekować się tym dzieckiem – powiedziała – będziesz go pilnować.
Wąż leżał spokojnie na jej dłoni, patrząc na nią lśniącymi oczami. Położyła go delikatnie na poduszce chłopca.
– Teraz śpij.

Stavin zamknął oczy i zastygł, jakby nagle uleciało z niego życie. Zmiana w jego wyglądzie była tak duża, iż Żmija sięgnęła dłonią, by go dotknąć, zauważyła jednak, że oddycha, płytko i powoli. Poprawiła okrywający go koc i wstała. Poczuła nagły zawrót głowy, zachwiała się. Kobra na jej ramionach poruszyła się niespokojnie, napinając mięśnie. Oczy piekły ją nieznośnie, wszystko wokół wydawało się zbyt ostre, zbyt wyraźne. Walcząc z głodem i zmęczeniem schyliła się, by podnieść torbę z podłogi. Mgła dotknęła czubkiem języka jej policzka.
Odsunęła w bok zasłonę na wejściu i z ulgą stwierdziła, że ciągle jest noc. Mogła znieść upał, ale jaskrawe światło słońca paliło ją, sprawiając niemal fizyczny ból. Księżyc był chyba w pełni, jednak warstwa chmur rozpraszała jego światło, pokrywając niebo rozciągniętą od horyzontu po horyzont jednostajną szarością. Poza kręgiem namiotów, przy ziemi, czerniały bezkształtne cienie. Tutaj, niedaleko od skraju pustyni było wystarczająco dużo wody, by mogły wyrosnąć i służyć za pożywienie i schronienie różnego typu stworzeniom kępy splątanego buszu. Czarny piasek, połyskujący oślepiająco w promieniach słońca, w nocy wyglądał jak dywan miękkiej sadzy. Żmija wyszła z namiotu i wrażenie miękkości zniknęło – buty zanurzyły się z chrzęstem w ostre, twarde ziarna.
Rodzice Stavina czekali, siedząc obok siebie wśród ciemnych namiotów, stłoczonych na skrawku piasku, z którego wycięto i wypalono zarośla. Spojrzeli na nią w milczeniu, z nadzieją w oczach, ale z twarzami kamiennie obojętnymi. Razem z nimi siedziała nieco młodsza od matki Stavina kobieta. Ubrana była, podobnie jak oni wszyscy, w luźny, owinięty wokół ciała zwój materiału, ale na jej szyi, na rzemiennym pasku wisiała ozdoba, jedyna, jaką Żmija zauważyła u tych ludzi: okrągły znak przywódcy. Jej podobieństwo do starszego męża wskazywało, że była jego bliską krewną – oboje mieli ostre rysy twarzy, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, bardzo czarne, mocno przeplatane siwizną włosy i brązowe oczy, najlepiej przystosowane do pustynnego słońca. Na ziemi, u ich stóp, szarpało się w siatce, czarne zwierzątko, wydając od czasu do czasu przenikliwe, żałosne piski.
– Stavin usnął – powiedziała Żmija. – Nie przeszkadzajcie mu, ale idźcie do niego, gdyż może się obudzić!
Żona i młodszy mąż wstali i weszli do namiotu. Starszy mąż zatrzymał się przed Żmiją.
– Możesz mu pomóc?
– Mam nadzieję, że możemy. Nowotwór jest zaawansowany, ale

chyba nie ma przerzutów. – Słyszała swój głos jakby z daleka, przytłumiony i cichy. – Mgła będzie gotowa o świcie.
Czuła, że powinna go jakoś pocieszyć, ale nic jej nie przychodziło do głowy.
– Moja siostra chciałaby z tobą porozmawiać – powiedział mężczyzna i zostawił je same, nie przedstawiając ich sobie, nie próbując dodać sobie znaczenia podkreśleniem, że jego siostra jest przywódcą grupy. Żmija spojrzała za nim, ale klapa namiotu już opadła. Poczuła się jeszcze bardziej wyczerpana i po raz pierwszy pomyślała, że ułożona na jej ramionach Mgła jest ciężka.
– Czy dobrze się czujesz?
Żmija odwróciła się. Kobieta podeszła do niej krokiem pełnym naturalnej, nieznacznie tylko tłumionej przez zaawansowaną ciążę elegancji. Żmija musiała podnieść głowę, by spojrzeć na jej twarz. W kącikach oczu kobiety widoczne były cienkie, krótkie zmarszczki, jakby się czasem uśmiechała, w tajemnicy, gdy nikt nie widział.
– Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Czy mam polecić komuś, by przygotował ci łóżko?
– Nie teraz – powiedziała Żmija – jeszcze nie. Nie będę spała, aż będzie po wszystkim.
Kobieta spojrzała jej w oczy i Żmija poczuła łączące je, płynące z odpowiedzialności, którą obie na siebie wzięły duchowe pokrewieństwo.
– Tak, wydaje mi się, że cię rozumiem – powiedziała kobieta. Czy możemy coś jeszcze dla ciebie zrobić? Czy potrzebujesz pomocy w swoich przygotowaniach?
Żmija stwierdziła, że zastanawia się nad tymi pytaniami, jakby były one trudnymi, skomplikowanymi problemami – jej zmęczony umysł powtarzał je, analizował, obracał na wszystkie strony, zanim w końcu pojął ich znaczenie.
– Mój kucyk potrzebuje wody i pożywienia...
– Już się nim zaopiekowano.
– A mnie jest potrzebny ktoś do pomocy przy Mgle. Ktoś silny. Poza tym jest bardzo ważne, aby się nie bał.
Kobieta skinęła głową.
– Ja bym ci pomogła – powiedziała i chyba się uśmiechnęła leciutko – ale od pewnego czasu jestem trochę zbyt tęga. Znajdę kogoś.
– Dziękuję.
Kobieta, znowu ponura, skłoniła głowę i powoli poszła w stronę namiotów. Żmija odprowadzała ją wzrokiem, podziwiając grację jej ruchów. W porównaniu z nią czuła się niedojrzała, bardzo mała i niezgrabna.

Piasek zaczął odwijać się z jej przedramienia. Czując przesuwające się po jej skórze łuski chwyciła go, zanim spadł na ziemię. Leżąc na jej dłoniach uniósł górną połowę ciała. Wysunął język, kierując go w stronę małego zwierzątka, czując ciepło jego ciała, wyczuwając strach.
– Wiem, że jesteś głodny – powiedziała Żmija – ale to stworzenie nie jest dla ciebie.
Włożyła grzechotnika do torby, potem pozwoliła Mgle zsunąć się z ramienia i również zniknąć w jej ciemnym wnętrzu.
Zwierzątko znów zaczęło piszczeć i szarpać się. Żmija schyliła się, podniosła je w górę i zaczęła delikatnie głaskać. Stopniowo pełne przerażenia piski cichły, a w końcu umilkły zupełnie, tylko nozdrza drgały nerwowo, wietrząc zapach węży. Zwierzątko leżało spokojnie, oddychając ciężko, wyczerpane, patrząc żółtymi ślepkami w jej twarz. Miało długie tylne nogi i zabawnie sterczące, szerokie uszy. Futerko na jego grzbiecie siatka poznaczyła w regularne romby
– Przykro mi, że muszę ci odebrać życie – powiedziała Żmija – ale to nie będzie bolało i już nigdy nie będziesz czuł strachu. Delikatnie otoczyła je ramieniem, a dłonią drugiej ręki chwyciła kręgosłup tuż poniżej czaszki. Pociągnęła tylko raz, szybko i mocno. Zwierzątko szarpnęło się, jakby chcąc się uwolnić, ale było już martwe. Drgnęło kilka razy, nogi podkurczyły się i przylegly do ciała, palce u stóp podwinęły się, drżąc jeszcze przez chwilę. Zdawało się ciągle patrzeć na nią swymi żółtymi ślepiami. Żmija wyjęła je z siatki. Rozwarła siłą zaciśnięte szczęki, potem z przytroczonego do pasa woreczka wyciągnęła szklany flakon i wpuściła z niego do otwartego pyska zwierzątka kroplę mętnej cieczy. Otworzyła stojącą na ziemi torbę i zawołała Mgłę. Kobra wypełzła powoli na ostre ziarna piasku, prześlizgując się przez krawędź torby. Wyczuła zapach zwierzątka, zbliżyła się do niego, dotknęła językiem. Przez chwilę Żmija obawiała się, że Mgła nie będzie chciała jeść martwego pożywienia, ale ciało było ciągle ciepłe, a kobra była bardzo głodna.
– Zwierzątko dla ciebie – powiedziała Żmija. – Nasyć swój głód. – Mgła powąchała je, cofnęła się i ukąsiła, zanurzając zakrzywione zęby jadowe w małym ciele i wpompowując w nie cały zapas jadu. Potem chwyciła je mocniej i zaczęła połykać, tylko nieznacznie rozciągając przy tym przełyk. Gdy po chwili ułożyła się spokojnie, trawiąc posiłek, Żmija usiadła obok i położyła na niej dłoń, czekając. Usłyszała zbliżające się kroki.
– Przysłano mnie, bym ci pomógł.

Mężczyzna był młody, mimo siwych pasm widocznych w jego ciemnych włosach. Był wyższy niż Żmija i dość przystojny. Miał ciemne oczy i bardzo wyraźne ostre rysy twarzy, podkreślone ściągniętymi i zawieszonymi z tyłu włosami.
– Boisz się?
– Zrobię, co mi każesz.
Ciało mężczyzny było pozbawione kształtów przez luźną szatę, ale długie, muskularne ręce świadczyły o jego sile.
– Więc trzymaj jej ciało. Nie daj się zaskoczyć. – Narkotyk, który Żmija wpuściła do ciała zwierzątka zaczynał działać i Mgła poruszyła się niespokojnie.
– Jeśli ukąsi...
– Trzymaj, szybko.
Mężczyzna wyciągnął ręce, ale trwało to zbyt długo. Mgła skręciła się gwałtownie, potem nagle wyprostowała, uderzając go ogonem w twarz. Odskoczył do tyłu, bardziej zaskoczony niż zraniony. Żmija trzymała głowę kobry w mocnym uchwycie, starając się złapać również resztę jej ciała. Mgła nie była dusicielem, ale była silna, gładka i szybka. Wyciągając się, wypuściła powietrze w długim syku. Ukąsiłaby cokolwiek, czego mogłaby dosięgnąć. Udało się jej ścisnąć torebki jadowe i wypuścić ostatnie krople trucizny. Wisiały przez chwilę na jej zębach, połyskując jak diamenty, a potem skręty ciała wyrzuciły je daleko w ciemność. Żmija zobaczyła, że mężczyzna chwycił wreszcie środek i ogon kobry. Walka urwała się nagle i Mgła leżała spokojnie, bezsilna w ich uchwycie.
– Przepraszam...
– Trzymaj ją – powiedziała Żmija – Przed nami jeszcze kilka godzin.

Podczas drugiego ataku konwulsji mężczyzna trzymał Mgłę bardzo pewnie i był naprawdę pomocny. Potem Żmija odpowiedziała na jego przerwane pytanie.
– Gdyby miała świeży jad i ukąsiła cię, prawdopodobnie byś umarł. Nawet teraz jej ukąszenie wywołałoby chorobę. Ale, o ile nie zrobisz czegoś nierozsądnego, ukąsi mnie, jeżeli w ogóle jej się to uda.
– Niewiele będziesz mogła pomóc mojemu kuzynowi, jeżeli będziesz martwa lub umierająca.
– Nie zrozumiałeś. Mnie Mgła nie może zabić. – Wyciągnęła rękę, by mógł zobaczyć blizny po skaleczeniach i podwójnych nakłuciach. Przyglądał im się przez chwilę, potem długo patrzył jej w oczy; wreszcie odwrócił wzrok.
Jasna, promieniująca światłem plama wśród chmur przesunęła się na zachód. Trzymali kobrę jak dziecko. Żmija zapadła w płytką drzemkę, ale Mgła poruszyła lekko głową, bez zapału próbując odzyskać wolność i Żmija obudziła się gwałtownie.
– Nie wolno mi spać – powiedziała do mężczyzny. – Mów do mnie. Jak ci na imię?
Mężczyzna, podobnie jak przedtem Stavin, zawahał się. Zdawał się czegoś obawiać – jej, a może czego innego.
– Moja grupa – powiedział – uważa za niemądre zdradzanie obcym swego imienia.
– Jeżeli uważacie mnie za wiedźmę nie powinniście prosić mnie o pomoc. Nie znam czarów i wcale nie udaję, że je znam. Nie znam również i nie mogę zapamiętać obyczajów wszystkich żyjących na tej ziemi ludzi, a więc trzymam się moich własnych. A ja mam zwyczaj zwracać się po imieniu do tych, z którymi pracuję.
– To nie jest rezultat przesądów – powiedział. – Nie boimy się, że ktoś rzuci na nas urok.
Żmija czekała, przyglądając mu się uważnie, próbując w mętnym świetle odczytać wyraz jego twarzy.
– Rodziny znają nasze imiona, mówimy je również tym, których chcemy poślubić.
Żmija zastanawiała się przez chwilę i uznała, że ten zwyczaj jej nie odpowiada.
– Nikt więcej? Nigdy?
– No cóż... Można powiedzieć swoje imię przyjacielowi.
– No tak – powiedziała Żmija. – Ja jestem obca, a być może nawet jestem wrogiem.
– Przyjaciel poznałby moje imię – powtórzył młody mężczyzna. – Nie miałem zamiaru cię obrażać, źle mnie zrozumiałaś. Znajomość nie jest przyjaźnią. My cenimy przyjaźń bardzo wysoko.
– W tym kraju każdy powinien potrafić szybko określać, czy kogoś można nazwać przyjacielem.
– Rzadko zawieramy przyjaźnie. Przyjaźń zobowiązuje.

Vonda (Wanda!) N. McINTYRE

urodziła się w 1948 roku. Jest córką polskiej emigrantki i chętnie przyznaje się do swoich koneksji z naszym krajem. Twórczość literacką uprawiać zaczęła na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zaś człowiekiem, który wprowadził ją w wielki świat SF był sam Edward L. Ferman – redaktor naczelny słynnego „Magazine of Fantasy and Science Fiction". Debiut Vondy McIntyre był niezwykle efektowny. Już za pierwsze ogłoszone drukiem opowiadanie **„Of Mist and Grass and Sand"** otrzymała w 1974 roku nagrodę CLARION i nagrodę NEBULA w kategorii minipowieści. Potem przyszło pasmo sukcesów w postaci licznych znaczących opowiadań i dwóch powieści „The Exile Waiting" (1975) i „Dreamsnake" (1978). Za drugą z tych powieści otrzymała w 1978 roku obie najwyższe nagrody w dziedzinie SF – HUGO Award i NEBULA Award.

– Brzmi to tak, jakby była ona czymś, czego należy się bać.
Umilkł na chwilę. Potem powiedział:
– Być może boimy się zdrady. To bardzo bolesne być zdradzonym przez przyjaciela.
– Czy ktoś cię kiedyś zdradził?
Spojrzał na nią ostro, jakby przekroczyła granicę przyzwoitości.
– Nie – powiedział głosem równie twardym jak wyraz jego twarzy.
– Nie ma nikogo, kogo nazwałbym przyjacielem.
Jego reakcja zaskoczyła ją.
– To bardzo smutne. – Umilkła, starając się wyobrazić sobie przeżycia, które mogą zmusić ludzi do takiego zamknięcia się w sobie, porównując swoją samotność z konieczności, z ich samotnością z wyboru.
– Mam na imię Żmija – powiedziała w końcu – Możesz się tak do mnie zwracać – jeżeli takie imię przejdzie ci przez gardło. Do niczego cię to nie zobowiązuje.
Mężczyzna chciał jeszcze coś powiedzieć. Być może pomyślał, że znów ją obraził, a być może czuł, że powinien bronić zwyczajów swojej grupy. Jednak Mgła zaczęła się znowu miotać i musieli trzymać ją mocno, by nie zraniła się o jakiś kamień. Była cienka w stosunku do swojej długości, ale bardzo silna, a konwulsje, które przechodziła, były gwałtowniejsze niż jakiekolwiek przedtem. Wiła się w dłoniach Żmii i niemal udało jej się wyrwać. Próbowała rozwinąć kaptur, ale Żmija trzymała ją zbyt mocno. Otworzyła pysk i zasyczała, jednak na jej zębach nie pojawiła się ani kropla jadu. Owinęła ogon wokół przedramienia mężczyzny. Zaczął ją ciągnąć i odwijać, chcąc uwolnić się z jej splotów.
– Ona nie jest dusicielem – powiedziała Żmija. – Nie zrobi ci krzywdy. Zostaw ją...

Wspólnymi siłami odzyskali nad nią kontrolę. Żmija spodziewała się dalszej walki, ale Mgła nagle uspokoiła się i leżała między nimi niemal nieruchomo.
– Mamy chwilę na odpoczynek – powiedziała. Spojrzała na mężczyznę i zauważyła ciemną linię na jego policzku, ślad po wcześniejszym uderzeniu ogonem. Wyciągnęła rękę i dotknęła jej.
– Będziesz miał tylko siniaka – powiedziała. – Za parę dni nie będziesz już o nim pamiętał.
W czasie walki z kobrą zapomniała o głodzie i zmęczeniu, ale teraz wróciły, silniejsze niż przedtem.
– Żmija...
– Słucham?
Uśmiechnął się, szybko, jakby zawstydzony.
– Próbowałem tylko wymówić.
– Całkiem nieźle.
– Ile czasu zajęło ci przejście przez pustynię?
– Niezbyt dużo. Bardzo dużo. Sześć dni.
– Jak ci się to udało?
– Tam można znaleźć wodę. Jechaliśmy w nocy, z wyjątkiem ostatniego dnia, gdy i tak nie mogłam znaleźć żadnego cienia.
– Wiozłaś ze sobą zapas żywności na całą podróż?
Pokręciła głową.
– Tylko trochę.
Wolałaby, aby nie wspominał o żywności.
– Co jest po drugiej stronie?
– Więcej piasku, więcej zarośli, trochę więcej wody. Kilka grup, kupcy i stacja, na której się wychowałam i przeszłam przeszkolenie. A jeszcze dalej góra, a w niej miasto.
– Chciałbym zobaczyć miasto. Kiedyś.
– Przez pustynię można przejść.
Nie odpowiedział, ale jej wspomnienia z dnia, w którym opuściła dom były dostatecznie świeże, by mogła sobie wyobrazić o czym myślał.

Nadszedł następny atak konwulsji, znacznie wcześniej niż Żmija się spodziewała. Z ich częstotliwości i nasilenia mogła wnioskować o stopniu choroby Stavina i bardzo pragnęła by już był poranek. Jeśli nie było jej dane uratować chłopca, będzie się musiała z tym pogodzić, opłakać go i spróbować zapomnieć. Kobra tłukła o piasek tak gwałtownie, że gdyby jej oboje nie trzymali, pewnie by się zabiła. Nagle znieruchomiała i zesztywniała, rozdwojony język zwisł bezwładnie między zaciśniętymi szczękami.
Przestała oddychać.
– Trzymaj ją – powiedziała Żmija – trzymaj jej głowę. Szybko, łap ją! Jeśli ci się wyrwie biegnij za nią. Trzymaj! Nie ukąsi cię teraz, może cię tylko przypadkowo uderzyć.
Wahał się przez chwilę, potem zacisnął dłoń na karku zwierzęcia. Żmija pobiegła, zapadając się głęboko w piasek, ku rosnącym poza kręgiem namiotów zaroślom. Zaczęła się przedzierać przez suchy kolczasty gąszcz. Kątem oka zauważyła gniazdo żmij, kłębiących się pod splątanymi, suchymi gałęziami. Wyczuły ją i zaczęły syczeć. Zignorowała je. W końcu dostrzegła prostą, pustą w środku łodygę, podniosła ją i wróciła, krwawiąc z jakiegoś zadrapania na dłoni.
Klęknęła przy głowie kobry, otworzyła jej pysk i wepchnęła rurkę głęboko w gardło, w przewód oddechowy u nasady języka. Schyliła się niżej, wzięła drugi koniec łodygi w usta i dmuchnęła delikatnie.
Widziała ręce mężczyzny, trzymające Mgłę tak, jak mu kazała, słyszała jak zdumiony wciągnął gwałtownie powietrze. Ziarna piasku wbijały się jej w kolana, czuła ostry zapach narkotyku, wydobywający się z płuc węża, w głowie huczało z wyczerpania, odsuwanego i duszonego siłą woli.
Żmija dmuchnęła raz, potem drugi, zrobiła przerwę, znów dmuchnęła, powtarzając to aż Mgła chwyciła rytm i zaczęła oddychać sama, bez pomocy.
Żmija usiadła.
– Myślę, że przyjdzie do siebie – powiedziała. – Mam nadzieję...
Wytarła czoło wierzchem dłoni. Poczuła ostry ból. Opuściła rękę, lecz ból nie ustąpił, objął kości, prześliznął się po ramieniu, przez piersi, chwycił żelaznymi palcami serce. Chwiała się przez chwilę, usiłując zachować równowagę, potem upadła. Próbowała jeszcze się podeprzeć, chciała zwalczyć mdłości i zawrót głowy i niemal jej się to udało, lecz ziemia znów ją przyciągnęła. Zapadła w ciemność.
Czuła ziarna piasku, drapiące policzek i dłonie, lecz ten ból był nieważny.
– Żmija, czy mogę ją puścić na chwilę?
Pomyślała, że pytanie musi być skierowane do kogoś innego, jednocześnie wiedząc, że poza nią nie ma tu nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć, nikogo, kto nosiłby jej imię. Poczuła na sobie ręce, bardzo delikatne i chciała na nie zareagować, ale była zbyt zmęczona. Bardziej potrzebowała snu, więc próbowała je odepchnąć. Ale one trzymały jej głowę, wkładały do ust suchą skórę i wlewały wodę do gardła. Zakrztusiła się, zakaszlała.
Uniosła się na łokciu. Gdy ustąpiła ciemność, spowodowana włożonym w ten ruch wysiłkiem, zdała sobie sprawę, że dygocze jak w febrze. Czuła się tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz została ukąszona przez węża. Mężczyzna klęczał obok niej ze skórzanym pojemnikiem na wodę w dłoni. Za jego plecami Mgła odpełzła w ciemność. Żmija zapomniała o bólu.
– Mgła!
Mężczyzna, przestraszony, drgnął i obejrzał się. Kobra uniosła się, rozłożyła kaptur, sycząc, chwiejąc się, rozgniewana, gotowa ukąsić. Biała falująca linia na tle ciemności. Żmija zmusiła się do wstania, czując, że jej wola porusza zupełnie obcym ciałem. Z trudem utrzymała równowagę.
– Nie możesz teraz iść na polowanie – powiedziała. – Czeka cię dzisiaj praca, którą musisz wykonać.
Wystawiła prawą rękę – cel, w który Mgła mogła uderzyć, jeśli zdecydowałaby się to zrobić. Ręka była ciężka od bólu. Żmija bała się. Nie ukąszenia, bała się, że Mgła opróżni z zawartości swoje torebki jadowe.
– Chodź tutaj – powiedziała. – Chodź tutaj i porzuć gniew.
Zauważyła, że między jej palcami cieknie krew i strach o los chłopca jeszcze się zwiększył.
– Ukąsiłaś mnie?
Ale to nie był ten rodzaj bólu – jad kobry spowodowałby odrętwienie, a ten ból był ostry, palący...
– Nie – szepnął mężczyzna zza jej pleców.
Mgła rzuciła się naprzód. Odruchy nabyte długim treningiem zadziałały. Żmija cofnęła błyskawicznie prawą rękę, a lewą złapała kobrę poniżej głowy. Mgła wiła się przez chwilę, potem dała za wygraną.
– Dzikie stworzenie – powiedziała Żmija. – Wstydź się.
Odwróciła się i pozwoliła Mgle wpełznąć po ręce na ramiona i ułożyć się na nich.
– Czy ona mnie ukąsiła?
– Nie – powiedział mężczyzna. W jego pozornie spokojnym głosie brzmiały nuty strachu. – Powinnaś być umierająca. Powinnaś tarzać się w agonii, a twoja ręka powinna być czerwona i spuchnięta. Gdy wróciłaś... – zrobił gest w stronę jej ręki. – Musiałaś zostać ukąszona przez żmiję w zaroślach.
Żmija przypomniała sobie ukryte w gąszczu gniazdo. Dotknęła krwi na swej dłoni. Wytarła ją i między zadrapaniami znalazła dwa czerwone punkty, otoczone lekką opuchlizną.
– Będę musiała to wyczyścić – powiedziała. – To było głupie z mojej strony, że byłam nieostrożna.
Pieczenie zniknęło. Ból zelżał, przepływając przez ramię delikatnymi falami tylko od czasu do czasu.
– Trzymałeś Mgłę bardzo dobrze. Byłeś bardzo odważny – powiedziała do mężczyzny. – Dziękuję.
Zniżył głowę, jakby w ukłonie. Wstał i podszedł do niej. Żmija delikatnie położyła dłoń na karku Mgły, aby kobra się nie przestraszyła.
– Byłbym zaszczycony – powiedział mężczyzna – gdybyś zwracała się do mnie Arevin.
– Z przyjemnością.
Uklękła i podtrzymała zsuwające się z ramienia do torby białe sploty. Niedługo o świcie, gdy Mgła będzie całkowicie gotowa, będą mogli pójść do chłopca.
Koniec białego ogona kobry zniknął we wnętrzu torby. Zamknęła ją i chciała wstać, ale nie mogła. Nie otrząsnęła się jeszcze ze skutków nowego dla jej organizmu jadu. Skóra wokół ukąszenia była czerwona i nabrzmiała, ale krwawienie ustało. Siedziała przez chwilę nieruchomo, przyglądając się dłoni i zastanawiając się co powinna teraz zrobić, tym razem dla siebie samej.
– Pozwól, że ci pomogę.
Dotknął jej ramienia i pomógł jej wstać.
– Przepraszam – powiedziała. – Bardzo potrzebuję odpoczynku...

- Umyję ci rękę - powiedział Arevin. - A potem będziesz mogła iść spać. Powiedz mi tylko kiedy mam cię obudzić.
- Nie. Nie mogę jeszcze spać. -Wyprostowała się, odgarnęła z czoła kosmyki włosów. - Już jest dobrze. Masz trochę wody?
Arevin rozluźnił zewnętrzny zwój szaty. Pod nim nosił tylko przepaskę na biodrach i skórzany pas, na którym wisiało kilka woreczków i pojemników na wodę. Skóra na jego ciele była nieco jaśniejsza niż spalona słońcem twarz. Odwiązał jeden z pojemników i zawinął się z powrotem w szatę. Sięgnął, by ująć dłoń Żmii.
- Nie, Arevin. Jeżeli jad dostanie się do jakiegoś zadrapania, które możesz mieć na ręku, zatrujesz się.
Usiadła i opłukała dłoń. Zaróżowiona woda spadała na piasek i natychmiast znikała, nie zostawiając nawet wilgotnego śladu. Rana zaczęła nieco krwawić, ale ból niemal całkowicie znikł. Organizm Żmii już prawie uporał się z trucizną.
- Nie rozumiem - powiedział Arevin - jak to możliwe, że ci się nic nie stało. Moja młodsza siostra została ukąszona przez taką samą żmiję. - Jego głos nie był tak obojętny, jak by sobie tego życzył. - Nie mogliśmy nic zrobić, aby ją uratować, nic, co zmniejszyłoby chociaż jej cierpienia.
Żmija oddała mu pojemnik, wyjęła z woreczka u pasa słoiczek z maścią i posmarowała nią ślady po ukąszeniu.
- To wchodzi w zakres naszych przygotowań - powiedziała. - Pracujemy z różnymi gatunkami węży, a więc musimy być odporni na ich jad. Wyrabianie tej odporności to długi i trochę bolesny proces. - Wzdrygnęła się i zacisnęła mocno pięść. Po chwili znów była spokojna.
- Jeśli nie chcesz spać - powiedział Arevin - może chociaż przez chwilę odpoczniesz.
- Tak - powiedziała. - Przez chwilę.
Usiadła obok niego i oparła się o jego ramię. Patrzyli jak wstające słońce rozpromienia chmury, jak barwi je na purpurowo i złoto. Prosty, fizyczny kontakt z innym człowiekiem sprawił jej przyjemność, mimo iż nie usatysfakcjonował. Być może w innym miejscu, w innym czasie, zrobiłaby coś więcej, ale nie tutaj, nie teraz.
Gdy dolna krawędź jaskrawej plamy oderwała się od horyzontu Żmija wstała, otworzyła torbę i wywołała z niej Mgłę. Kobra wyszła powoli, jakby osłabiona, i niechętnie wspięła się na jej ramię. Żmija podniosła torbę i oboje, ona i Arevin poszli w stronę namiotów.

Rodzice Stavina czekali na nią tuż przed wejściem do namiotu. Stali zbici w ciasną, milczącą grupę, jakby gotowi do obrony. Przez chwilę Żmija myślała, że zdecydowali się ją odprawić. Potem, czując, że słowa parzą jej język jak rozpalone żelazo, spytała czy Stavin umarł. Potrząsnęli głowami i wpuścili ją do środka.
Stavin leżał tak, jak go zostawiła, ciągle pogrążony w śnie. Dorośli śledzili oczyma jej ruchy. Czuła wyraźnie ich strach. Mgła wysunęła język, wyczuwając niebezpieczeństwo.
- Wiem, że chcielibyście zostać - powiedziała Żmija. - Wiem, że pomoglibyście w miarę możliwości, ale nikt poza mną nie ma tu już nic do zrobienia. Proszę, wyjdźcie i poczekajcie na zewnątrz.
Spojrzeli po sobie, potem na Arevina i Żmija przez chwilę myślała, że odmówią. Chciała zanurzyć się w ciszy i usnąć.
- Chodźmy, kuzyni - powiedział Arevin. - Jesteśmy w jej rękach.
Odchylił klapę i gestem przynaglił ich do wyjścia.
Żmija podziękowała mu spojrzeniem, a on być może się uśmiechnął. Odwróciła się do chłopca i uklękła obok łóżka.
- Stavin...
Dotknęła jego czoła. Było bardzo gorące. Zauważyła, że jej ręka nie jest tak pewna, jak przedtem. Delikatne dotknięcie obudziło chłopca.
- Już czas - powiedziała.
Zamrugał, wyrwany nagle z jakiegoś dziecięcego snu. Zobaczył ją, poznał. Nie wyglądał na przestraszonego. Żmija była z tego zadowolona, ale z jakiegoś innego powodu, którego nie mogła sobie uświadomić, czuła się nieswojo.
- Czy to będzie bolało?
- A czy teraz boli?
Zawahał się, spojrzał w bok.
- Tak.
- Być może będzie bolało trochę bardziej. Mam nadzieję, że nie. Czy jesteś gotowy?
- Czy Trawa może zostać?
- Oczywiście - odpowiedziała.
I wtedy zrozumiała co ją tak niepokoi.

- Za chwilę wrócę - jej głos zmienił się tak bardzo, gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła nie przestraszyć chłopca. Wyszła z namiotu powoli, ostrożnie, starając się zachować spokój. Twarze rodziców powiedziały jej wyraźnie, czego się bali.
- Gdzie jest Trawa?
Stojący tuż obok niej Arevin drgnął, usłyszawszy ton, jakim to powiedziała. Młodszy mąż westchnął ciężko i odwrócił wzrok, nie mogąc dłużej znieść jej spojrzenia.
- Baliśmy się... - powiedział starszy mąż. - Myśleliśmy, że ukąsi nasze dziecko. - Ja tak myślałem. To ja. Ten wąż pełzał po jego twarzy, widziałem jego zęby... - Młodszy mąż nie powiedział nic więcej, uciszony położonymi mu na ramionach dłońmi żony.
- Gdzie on jest? - Chciała krzyczeć, ale pytanie było bardzo ciche.
Przynieśli małe, otwarte pudełko. Żmija wzięła je i spojrzała do środka.
Trawa leżał na jego dnie, niemal przecięty na pół, wnętrzności wypłynęły z jego odwróconego ciała. Gdy spojrzała na niego skręcił się, wysunął język, potem wciągnął. Żmija wydała jakiś dźwięk, głęboko z gardła, zbyt głęboko, aby mógł być szlochem. Miała nadzieję, że były to ruchy pośmiertne, skurcze mięśni, ale podniosła go tak delikatnie, jak tylko potrafiła. Nachyliła się i przytknęła usta do gładkich łusek tuż poniżej głowy. Ukąsiła go szybko, ostro, w nasadę czaszki. Poczuła w ustach chłodną, słoną krew. Jeżeli jeszcze żył, zabiła go błyskawicznie.
Spojrzała na rodziców, na Arevina. Wszyscy byli bardzo bladzi, ale nie współczuła ich strachowi i nie zależało jej, by dzielili jej smutek.
- Takie małe stworzenie - powiedziała. - Takie małe stworzenie, które potrafiło tylko dawać sny i przyjemność.
Patrzyła na nich jeszcze przez chwilę, potem odwróciła się w stronę namiotu.
- Poczekaj. - Usłyszała, że starszy mąż stanął tuż za nią. Dotknął jej ramienia. Potrząsnęła nim, zrzucając jego rękę.
- Damy ci wszystko, co zechcesz - powiedział - ale zostaw dziecko w spokoju.
Odwróciła się do niego z wściekłością.
- Czy z powodu waszej głupoty mam pozwolić Stavinowi umrzeć?
Wyglądał tak, jakby chciał ją zatrzymać siłą. Wbiła łokieć w jego splot słoneczny i wbiegła do namiotu. Wewnątrz kopnęła torbę ku wejściu. Piasek nagle obudzony i wściekły, wysunął się z jej wnętrza, natychmiast zwijając się w pierścienie. Gdy młodszy mąż i żona próbowali wejść syknął i potrząsnął grzechotką z gwałtownością, jakiej Żmija jeszcze u niego nie słyszała. Jednak nawet nie spojrzała w jego stronę. Potrząsnęła głową i wytarła łzy, zanim Stavin je dojrzał. Klęknęła obok niego.
- Co się stało? - Nic nie wiedział, ale słyszał głosy przed namiotem i jej bieg.
- Nic ważnego - powiedziała. - Czy wiedziałeś, że my przyszliśmy z tamtej strony pustyni?
- Nie - odpowiedział po namyśle.
- Było bardzo gorąco i żadne z nas nie miało nic do jedzenia. Trawa teraz poluje. Był bardzo głodny. Czy wybaczysz mi to i czy mogę zacząć? Będę tutaj przez cały czas.
Wyglądał na bardzo zmęczonego. Był rozczarowany, ale nie miał siły, by protestować.
- Dobrze - powiedział głosem przypominającym odgłos przesypywanego między palcami piasku.
Żmija zdjęła Mgłę z ramion i odłożyła na bok koc, którym chłopiec był przykryty. Nowotwór umiejscowił się w klatce piersiowej, zmieniając jej kształt, uciskając żebra, pochłaniając płuca, wysysając z chłopca siły witalne i karmiąc nimi swój wzrost. Żmija, trzymając głowę kobry, pozwoliła jej zbliżyć się do niego, dotknąć i spróbować go. Musiała wzmocnić uchwyt, gdyż Mgła była coraz bardziej niespokojna. Potem przemówiła do niej miękko, głaszcząc jej łuski. Wszczepione długim treningiem reakcje zaczęły brać górę nad naturalnymi instynktami, Mgła uspokoiła się, znieruchomiała, tylko jej język poruszał się szybko, badając skórę nad nowotworem. Żmija wypuściła ją.
Kobra wyprężyła się i błyskawicznym ruchem ukąsiła, zatapiając zęby aż po nasady, puściła, cofnęła się i natychmiast ukąsiła jeszcze raz, teraz już trzymając i poruszając szczękami.
Stavin krzyknął, ale nie ruszył się, krępowany mocnymi uchwytami Żmii.
Mgła wpuściła w ciało chłopca całą zawartość torebek jadowych i cofnęła się. Podniosła łeb, rozejrzała się wokół, zwinęła kaptur i idealnie prostą linią popełzła w stronę torby.
- Już po wszystkim, Stavin.
- Czy teraz umrę?
- Nie - powiedziała Żmija. - Teraz nie. I mam nadzieję, że nie umrzesz jeszcze przez wiele lat.
Z woreczka przy pasie wyjęła flakon z proszkiem.
- Otwórz usta.
Chłopiec usłuchał natychmiast. Wysypała proszek na jego język.
- To złagodzi ból.
Nie wycierając krwi założyła na ślady po ukąszeniach opatrunek.
Potem odwróciła się do niego.
- Żmija? Czy już wyjeżdżasz?
- Obiecuję ci, że przed wyjazdem przyjdę powiedzieć ci do widzenia.

Chłopiec opadł bezsilnie na poduszkę i zamknął oczy.
Piasek leżał nieruchomo na ciemnej podłodze. Żmija zawołała go. Ruszył ku niej i pozwolił się włożyć do torby. Żmija zatrzasnęła ją, podniosła i ciągle miała wrażenie, że torba jest pusta. Usłyszała dochodzące z zewnątrz hałasy. Rodzice Stavina i ludzie, którzy nadeszli na pomoc odsunęli klapę namiotu i zajrzeli do środka, wyciągając przed siebie kije, zanim jeszcze mieli możliwość cokolwiek zobaczyć.
Żmija postawiła torbę.
- Już po wszystkim.
Weszli. Arevin był z nimi, jednak jego ręce były puste.
- Żmija... - w jego głosie był smutek, współczucie, niepewność.
Żmija nie była pewna, co on naprawdę myśli. Obejrzał się za sie-

bie. Tuż za nim szła matka Stavina. Położył dłoń na jej ramieniu.
– Umarłby bez niej. Cokolwiek się teraz stało, on i tak by umarł.
Kobieta strąciła jego rękę.
– Mógłby żyć. To się mogło cofnąć. My... – tłumione łzy nie pozwoliły jej mówić dalej.
Żmija zobaczyła, że ludzie podchodzą do niej, otaczają ją. Arevin zrobił krok w jej kierunku i zatrzymał się. Czuła, że on chce, aby się jakoś broniła.
– Czy któreś z was potrafi płakać? – spytała. – Czy któreś z was potrafi zapłakać nade mną i moją rozpaczą albo nad nimi i ich winą, albo nad małymi stworzeniami i ich bólem?
Czuła łzy, cieknące po policzkach.
Nie rozumieli jej, czuli się obrażeni jej płaczem. Otaczali ją, ciągle się jej bojąc, ale szukając w sobie odwagi.
– Wy głupcy! – Nie udało jej się nadać głosowi takiej twardości, jak pragnęła. – Stavin...
Uderzyło w nich światło z otwartego nagle wejścia.
– Przepuśćcie mnie.
Ludzie rozsunęli się, pozwalając przejść swemu przywódcy. Kobieta zatrzymała się tuż przed Żmiją, nie zwracając uwagi na torbę, której niemal dotykała nogą.
– Czy Stavin będzie żył? – jej głos był cichy, uprzejmy.
– Nie mogę mieć pewności – odpowiedziała Żmija – ale czuję, że będzie.
– Zostawcie nas same.
Znaczenie słów Żmii dotarło do ludzi wcześniej niż treść rozkazu ich przywódcy. Spojrzeli po sobie, opuścili broń, a w końcu, jeden po drugim, zaczęli wychodzić z namiotu. Arevin został. Żmija poczuła, że siła, którą znalazła w sobie w obliczu niebezpieczeństwa, teraz z niej ulatuje. Ugięły się pod nią kolana. Usiadła na torbie, kryjąc twarz w dłoniach. Kobieta klęknęła przed nią, zanim Żmija mogła temu zapobiec, a nawet zauważyć.
– Dziękuję. Dziękuję. Tak mi przykro...
Otoczyła Żmiję ramionami i przyciągnęła ku sobie. Arevin ukląkł obok nich i również zamknął dziewczynę w objęciach. Żmija zaczęła drżeć i oni tulili ją, gdy płakała.

Potem spała, wyczerpana, obok łóżka Stavina, trzymając go za rękę. Nakarmili ją, przynieśli zwierzątka dla Piasku i Mgły, dali jej zapasy na podróż, dali nawet wodę, by się mogła wykąpać, mimo iż musieli przez to znacznie uszczuplić swoje zapasy. Nie dbała już jednak o to.
Gdy się zbudziła i zbadała nowotwór zauważyła, że zaczyna schnąć i zanikać. Umierał, zatruty wprowadzonym przez Mgłę jadem. Poczuła satysfakcję, nikłą. Dotknęła policzka Stavina i odgarnęła wyblakłe włosy z jego twarzy.
– Muszę niedługo odejść – powiedziała. – Nie mogę tu zostać.
Pragnęła spać jeszcze co najmniej trzy dni, aby całkowicie usunąć skutki jadu żmii z zarośli, ale będzie mogła się wyspać gdzie indziej.
– Stavin?
Budził się powoli.
– Już nie boli – powiedział.
– Cieszę się.
– Dziękuję...
– Do widzenia, Stavin. Czy będziesz później pamiętał, że czekałam aż się obudzisz, aby ci powiedzieć do widzenia?
– Do widzenia – powiedział, znowu odpływając. – Do widzenia, Żmijo. Do widzenia, Trawo.
Zamknął oczy. Żmija podniosła torbę i wyszła z namiotu. Obóz był pusty i cichy, zmierzch kładł długie, niewyraźne cienie. Odszukała kucyka, pasiastego jak tygrys, załadowanego zapasami żywności i wody. Siodło leżało na ziemi, a obok niego dodatkowe pojemniki z wodą. Kucyk mrugnął do niej. Podrapała go za uszami, osiodłała i przymocowała torbę do jego boku. Wzięła go za uzdę i poprowadziła na zachód, w kierunku, z którego tu przyszła.
– Żmija...
Wzięła głęboki oddech i odwróciła się. Arevin stał twarzą w kierunku słońca i padające znad horyzontu promienie barwiły jego skórę na czerwono. Pokryte pasmami siwizny włosy były rozpuszczone, spadając na ramiona i nadając jego twarzy wyraz łagodności.
– Nie zostaniesz z nami?
– Nie mogę.
– Miałem nadzieję...
– Jeżeli wydarzenia potoczyłyby się inaczej, mogłabym zostać.
– Byli przerażeni. Czy nie możesz im przebaczyć?
– Nie uważam ich za winnych. To, co zrobili, to była moja wina. Powiedziałam, że on nie zrobi im krzywdy, ale zobaczyli jego zęby, a przecież nie mogli wiedzieć, że jego ukąszenie daje tylko sny i łagodzi umieranie. Nie mogli tego wiedzieć, zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy już było za późno.
– Sama przecież powiedziałaś, że nie możesz znać zwyczajów wszystkich ludzi i wszystkiego, co budzi w nich strach.
– Teraz jestem kaleką – powiedziała. – Jeżeli nie będę mogła kogoś wyleczyć, bez Trawy nie będę mogła mu w ogóle pomóc. Muszę wracać do domu. Być może moi nauczyciele wybaczą mi głupotę, ale boję się spotkania z nimi. Bardzo rzadko nadają komuś imię, które ja noszę. Dali je mnie, a ja ich zawiodłam. Będą rozczarowani.
– Pozwól mi iść z tobą.



Chciała tego. Wahała się, przeklinając jednocześnie swoją słabość.
– Mogą mnie wypędzić i ty byłbyś również wypędzony. Lepiej zostań tutaj, Arevin.
– To nieważne.
– Ważne. Po pewnym czasie znienawidzilibyśmy się. Nie wiem, jaki ty jesteś i ty również nic o mnie nie wiesz. Aby się wzajemnie zrozumieć potrzebny jest spokój. Spokój i czas. – Podszedł do niej, objął ją. Stali tak przez chwilę. Podniósł głowę i Żmija zobaczyła, że Arevin płacze.
– Wróć tutaj – powiedział. – Cokolwiek się stanie, proszę cię, wróć tutaj.
– Spróbuję – odpowiedziała. – W przyszłym roku, wiosną, gdy ucichną wiatry, wypatruj mnie. A jeżeli nie przyjadę zapomnij o mnie. Ja, gdziekolwiek będę, jeśli będę żyła, zapomnę o tobie.
– Będę cię wypatrywał – powiedział Arevin. To była przysięga.
Żmija wzięła kucyka za uzdę i poszła w stronę pustyni.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

Specjalny rodzaj poranka

Gardner R. Dozois

(A Special Kind of Morning)

Słyszałeś kiedy o starym człowieku i o morzu? Zaczekaj, paniczu, zatrzymaj się na chwilę i posłuchaj.
To piękna opowieść, pełna zadumy nad ludzkim losem, z puentą i z wydźwiękiem społecznym. Krótka i węzłowata. Nie jest moja. Moje są długie, chaotyczne, nawiasowe i wywlekają na wierzch to, co siedzi gdzieś głęboko w człowieku. Nie obawiaj się, nie opowiem ci jej. Człowiek w moim wieku ma prawo przedkładać nad inne swój własny materiał i niech diabli porwą wszystkich krytyków razem wziętych. Wolę jakoś wątek, który sam uprządłem. Co się stało z moją nogą? To krwawa historia, ale wiem, że ty zamierzasz ku krwi. Znam ten cel, opowiem ci zatem o nim – może pozwoli ci zrozumieć, gdy staniesz nad mogiłą, może nawet pomoże ci myśleć, chociaż jest to straszliwe brzemię, którego nie życzyłbym żadnemu człowiekowi. Zwykle, zanim zacznę, chcę by wypełniono moją kartę. To po to, żebyś nie uciekł, kiedy skończę, nie zapłaciwszy mi. Dziękuję, młody paniczu. Wystrzegaj się niektórych żebraków, przyjacielu – mają w Centrali konto kredytowe wyższe niż zgromadzi kiedykolwiek któryś z nas. Ciągną niezłe zyski z ubóstwa. Ja jestem uczciwym żebrakiem. Tym gorzej dla mnie. Egzystuję głównie z datków, jeśli można to w ogóle nazwać egzystencją – tak, wiem. Noga. W tym celu będziemy musieli cofnąć się o ponad pół wieku i pół sektora stąd, do Przewrotu na Świecie. Świat nie był jeszcze wtedy członkiem Wspólnoty. Prawdę mówiąc w Przewrocie o to właśnie chodziło – o przyłączenie go do niej. Kwestarze, którzy wtedy dążyli do fuzji, obalili w drodze zbrojnego powstania stare Zjednoczenie i siłą przyłączyli Świat do Wspólnoty. To tam właśnie i wtedy rozpoczyna się ta historia.
Rozpoczyna się czekaniem.
Wiele rzeczy tak się zaczyna – czekaniem. A kiedy tym, na co czekasz jest śmierć, a ty leżysz, kochając życie i dopiero zauważając jakie wszystko jest piękne, leżysz, słuchając coraz bliższego tętentu kopyt ciemności, czując jak podkute żelazem buciory wykrzesują bezlitośnie iskry z powierzchni twego mózgu, wiedząc, że za chwilę śmierć spadnie z nieba na ciebie i nie ma sposobu, aby się przed nią wykręcić – wtedy czekanie może się dłużyć. Minuty stają się godzinami, godziny niewyobrażalnymi horrorami. Dodaj do siebie wiele takich horrorów, zsumuj ich łuskowate pyski i będziesz miał półtora dnia, które spędziłem kiedyś leżąc tam, w górskiej dolinie w Dominikanach na Świecie – chyba ostatnie półtora dnia, które spędziłem gdziekolwiek.

Było to zaledwie parę godzin po zagładzie D'kotty. Wszystko było jedną wielką breją. Na dobrą sprawę nikt nie wiedział co się właściwie dzieje, bo wszyscy mieli poprzerywane przewody komunikacyjne. Byłem wtedy niemal szczeniakiem, ściganym kryminalistą i walczyłem na froncie po stronie Kwestarzy. Nikt nie wiedział, co teraz zrobi Zjednoczenie, nie wiedzieliśmy, jakie będzie nasze następne posunięcie. Oddziały miotały się dziko z miejsca na miejsce, bez żadnego planu. Całą planetę, nawet Środowiska Kontrolowane, ogarnęły panika i rozruchy.
A D'kotta w Dominikanach była nieopisanym, siedemdziesięciomilowym łanem dymiącego szaleństwa, przykrytego od góry kipiącymi parasolami dymu, którego popioły wirując wzbijały się do stratosfery i opadały z powrotem na ziemię. W nocy to wszystko pulsowało roztopionym żużlem, ohydne jak przecięty wrzód, podświetlając aż po widnokrąg pokrywę chmur widocznym z odległości setek mil blaskiem. To właśnie ten upiorny blask zasiał w końcu panikę również wśród zmartwychwstańców ze Środowisk. Było to chyba pierwsze silne wzruszenie w ich życiu.
Trudno było podsumować wyniki bitwy. Wydawało się nam, że osiągnęliśmy przewagę, że Zjednoczenie bliskie jest załamania, nikt jednak nie wiedział tego na pewno. Jeżeli nie byli tak bliscy klęski, jak myśleliśmy, my prawdopodobnie byliśmy skończeni. Kwestarze zużyli na D'kottę większość zgromadzonych przez siebie środków i z pewnością nie moglibyśmy już zadać Zjednoczeniu silniejszego ciosu. Jeśli potrafiliby przetrwać to uderzenie, potrafiliby też na pewno zetrzeć nas potem w proch.

Osobiście nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł zbyć to natarcie wzruszeniem ramion. Obserwowałem wszystko i byłem do głębi wstrząśnięty. Jest takie stare powiedzenie: „Bój się Boga!". Zrozumiałem je pod D'kottą. Nie było już żadnego Boga, ale widziałem rzygający z nieba ogień i ziemię rozwartą szeroko, czekającą na gwałt i była to wystarczająco wstrząsająca namiastka. Do dziś niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak bliscy zniszczenia Świata, tam pod D'kottą, byli Kwestarze i Zjednoczenie.
Kuliliśmy się tamtej nocy – oddział i ja – za wysokimi obwałowaniami w najwyższych partiach Dominikanów, żywiąc nadzieję, że znajdujemy się dostatecznie daleko od wszystkiego, co mogłoby nam spaść na głowę. Między nami a sawanną, na której jeszcze przed chwilą leżało miasto D'kotta, rozciągało się dwadzieścia mil niskiego, pofałdowanego podgórza, ale grunt pod naszymi brzuchami podnosił się i opadał, drżał jak chore zwierzę, a skała parzyła w dotyku, gorączkowała. Mogliśmy odejść dalej, powinniśmy odejść dalej, ale musieliśmy patrzeć. Zdecydowano o tym milcząco, bez zadawania zbędnych pytań... Musieliśmy patrzeć. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, aby podjąć jakiś inny, bezpieczniejszy wariant działania. Gdy rzeczywistość wywracana jest na nice jak brudna skarpetka musisz patrzeć albo nie zasługujesz na miano człowieka. Patrzyliśmy więc na wszystko od początku do końca: dwie godziny, które stały się jedną trwającą eony sekundą. Jak nieruchoma fotografia czasu, skręcona w krzyk – krzyk, rozlegający się wiecznie, a zarazem zdający się nie trwać wcale.
Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie mogliśmy rozmawiać – zbyt głośno wrzeszczały molekuły powietrza, a głuchy grzmot eksplozji zlewał się w nieustający werbel milionów bębnów – ale nie rozmawialibyśmy nawet będąc do tego zdolnymi. Nie rozmawia się w obecności rozzłoszczonego Boga. Od czasu do czasu rzucaliśmy sobie szybkie spojrzenia. Nasze twarze były niemal identyczne: szare jak popiół, stężałe, oczy szkliste, ślepe i zagubione jak blady kawałek drewna, wyrzucony przez falę na plażę. Poprzez gamę grymasów zmierzaliśmy do extremus-rictus: twarze zniekształcone i napięte aż do bólu – i jeszcze bardziej, do ucieczki w szok: mięśnie zbyt zwiotczałe i słabe, aby dalej reagować. Patrzyliśmy na siebie tylko przez chwilę, ledwie skupiając uwagę na tym, co widzimy, prawie tego nieświadomi, a potem nasze oczy wędrowały z powrotem do ognia, jak gdyby przyciągane jego magnetyzmem. Z początku leżeliśmy ciasno, jeden przy drugim, ale w trakcie bitwy odsuwaliśmy się od siebie coraz bardziej, zapadając w indywidualną agonię. To wszystko było tak wielkie, że ciepło ludzkie nic nie znaczyło, tak przerażające, że instynkt gromadzenia się w grupę

dla samoobrony uległ odwróceniu, a obecność innych podsycała tylko świadomość własnej nagości. Wcześniej już ustawiliśmy ekran rozpraszający, aby filtrował co najgorsze z twardego promieniowania – promienie gamma, intensywne promieniowanie podczerwone oraz ultrafioletowe – odprowadzał trochę ciepła, tłumił wstrząsy i hałas. Zdawaliśmy sobie wtedy sprawę, iż nasza szansa na przeżycie jest niewielka, ale mimo to nie potrafiliśmy zrejterować. Sparaliżowani pięknem grozy – grozą piękna byliśmy jak przykuci do skał przechodzącymi przez nasze kręgosłupy włóczniami.

A tam, nad podgórzem, Bóg tańczył w złości, a jego stopy ścierały ziemię na popiół.

Jak to wyglądało?

Na Kos nadal istnieją oceany i szaleją sztormy. Czy obserwowałeś kiedy morze, smagane silnymi wiatrami? Sztorm spienia wodę, ubija ją na biało, aż stanie się ona oceanem rozwścieczonej koronki, wirami mleka, bez śladu błękitu. Tak właśnie wyglądała ziemia pod D'kottą. Wzgórza poruszały się. Kwestarze mieli tam projektor nieciągłości i pod jego smagnięciem grunt falował jak zakalcowate ciasto pod łopatą piekarza, falował, drżał, jęczał, pękał, kruszył się. Jedne połacie terenu pęczniały, wypiętrzając się w nowe góry, inne zapadały się, tworząc kaniony.

Wyobraź sobie olbrzyma, drzemiącego tuż pod powierzchnią pokrytej roślinnością ziemi, śniącego sny o skałach i kryształach. Wyobraź sobie, jak pod wpływem zakłócającego rytm jego sennych marzeń koszmaru porusza się on niespokojnie, miota, jęczy, sygnalizuje niepokój drgawkami, wstrząsającymi długim na mile cielskiem. Wyobraź sobie, jak budzi się nagle, przejęty zgrozą, zrywa na kolana z ochrypłym rykiem dziesięciu milionów płonących cieląt, jak parujące szpony ze skał i czarnej ziemi orzą niebo. Wyobraź sobie teraz, że w mgnieniu oka otaczający go ląd zapada się, tonie jak skała w oceanie i otwiera się szerokie na tysiąc stóp łono pochłaniając wszystko i ścierając na pył. Wyobraź sobie górę i szybko, niemal niezauważalnie tworzący się pod nią krater, cała góra zapada się i omywa podnóża starszych Dominikanów pływową falą ziemi, potem wali się dalej w dół, a na jej miejscu powstaje przepastna otchłań. W tym samym czasie ziemia opadająca na dno innego krateru zawraca i zaczyna tryskać w górę drżącą pięścią gruzu. Potem następuje zmiana ról, potem kolejna zmiana, tak jakbyś oglądał ten sam fragment filmu, puszczany bez przerwy to w przód, to w tył. Pomnóż to teraz przez milion i rozpostrzyj tak, aby wszystko aż po widnokrąg było gulaszem falującej skały. Wyobrażasz to sobie? Chyba nie.

Derwisze ognia grasują pośród chaosu, stapiając się ze sobą co chwila, wirując. Od czasu do czasu eksplozja taktycznego pocisku nuklearnego wybija dziurę w nocy – krótkotrwała, jaskrawa flara, zdmuchnięta jak świeca w gęstej, śnieżnej burzy. To znów detonacja nuklearna zbiega się w czasie z procesem wypiętrzania się góry gruzu, dając efekt przypominający wybuch petardy w rozhuśtanym worku ziarna.

Miasto nie istniało. Nie dostrzegaliśmy już niczego, co stworzyła ręka ludzka – był tam jeden kamienny wir. Wyparowując w mgnieniu oka znikła również rzeka Delva. Przez chwilę widzieliśmy jeszcze wąwóz jej wyschłego koryta, przecinający równinę wijącym się ściegiem, ale potem ziemia uniosła się w górę i pochłonęła go.

Trudno było uwierzyć, że tam w dole coś mogło utrzymać się przy życiu. Bardzo trudno. Na stanowiskach trwały jeszcze tylko gniazda ciężkiej broni, niewidoczne dla nas w panującym chaosie. Ochraniane nadal parawanami fazościan i ekranów rozpraszających waliły do siebie na ślepo – Zjednoczenie jakoś mało skutecznie z biodetów i pociskami nuklearnymi, Kwestarze odpowiadając podnoszeniem mocy wyjściowej projektora nieciągłości. Był tylko jeden taki w sztabie dowodzenia i technicy Kwestarzy modlili się gorąco, aby nie rozwaliła go jakaś przypadkowa salwa. Nie była to właściwie broń, tylko urządzenie terenotwórcze, ale Zjednoczenie, nie będąc przygotowane na tego rodzaju atak, ponosiło ogromne straty. Nagle wszystko zaczęło migotać. Przypadkowo rozrzucone rejony sawanny rozbłyskiwały i zachodziły mgłą, wyostrzając się, to znów zamazując w szarpany, nieuporządkowany sposób, tak jakbyś oglądał film, puszczany z zacinającego się projektora. Z początku sądziliśmy, że jest to zjawisko spowodowane prądami cieplnymi ponad pożarami, ale po chwili migotanie przybrało drastycznie na częstotliwości i tempie, przyspieszając tak, że wkrótce nie było można widzieć coś ostro dłużej niż przez sekundę. Obracało szeroki step od jednego horyzontu po drugi w szalony kalejdoskop wijących się, zmieniających kształty i barwy wzorów. Nie można było na to patrzeć. Raniło oczy i wypełniało nas oleistą, niewytłumaczalną paniką, której nie byliśmy nawet zdolni wyrazić słowami. Odwracaliśmy oczy, zalewani stęchłymi falami nieprzytomnego przerażenia.

Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, że obserwujemy pierwsze praktyczne zastosowanie procesu, który długo utrzymywany był w tajemnicy zarówno przez Zjednoczenie, jak i przez Wspólnotę, procesu opartego na wykorzystaniu wymiarowego „napędu" statków kosmicznych (nie będącego w istocie „napędem", ale to właśnie słowo weszło do powszechnego użytku). Umożliwia on wytrącenie czasu z fazy na ograniczonym obszarze za pomocą projektora nieciągłości w taki sposób, aby miejsce „tutaj" znajdowało się w nieprzerwanej sekwencji o parę minut w przyszłości lub przeszłości względem miejsca oddalonego odeń o kilka cali. Wyjaśnienie, które tu ci przytaczam doprowadziłoby psychofizyków do rozstroju nerwowego, ponieważ „czas" nie jest w rzeczywistości takim, jakim my go „doświadczamy", tak więc ten proces nie robi „rzeczywiście" tego, co powiedziałem – robi natomiast coś bardzo zawiłego – ale tak to mniej więcej wygląda z praktycznego punktu widzenia, bo jeśli nawet zniekształcenie czasu jest „efektem iluzorycznym" – podobnie jak odnosimy wrażenie, że słońce wschodzi i zachodzi – to nadal wykorzystują je do zabijania ludzi. Tak więc proces ten wytrąca czas z fazy i czyni to bez przerwy, przełączając dyslokacje w przypadkowej sekwencji tak, że na dowolnej stopie kwadratowej terenu mogą w sekwencji czasowej istnieć cztery albo pięć sprzeczności, które wciąż się zmieniają. A więc „tutaj" może być w jednej chwili „przed" wyjściowym „teraz", sekundę później (język zawodzi przy tych łamańcach logicznych, trzeba by tu matematyki) o dwie minuty „za" „teraz", potem o pięć minut „za", potem trzy „przed" i tak dalej. I do tego wszystkiego sąsiednie strefy na tej stopie kwadratowej podlegają temu samemu procesowi przełączania (cholera z tym językiem!). Aparatura Zjednoczenia rozerwała się na strzępy. Tak samo ludzie: niektórzy udusili się wskutek pięciominutowego odstępu pomiędzy zaczerpnięciem powietrza, a dotarciem tlenu do płuc, inni utopili się we własnej krwi. Trwało to jakieś dziesięć minut, tak przynajmniej wydawało się nam, obserwatorom z zewnątrz. Pewien psychofizyk powiedział mi kiedyś, że „to" zarówno „trwa" wiecznie, jak i „nie trwa" wcale i że opowiedzenie się za jednym z tych stwierdzeń nie kwestionuje prawdziwości drugiego, a w konsekwencji każde stwierdzenie zarówno „posiada" jak i „nie posiada" zastosowania do konkretnej sytuacji – nie zrozumiałem. Trwało to dziesięć minut.

Po upływie tego czasu świat znieruchomiał.

Podnieśliśmy głowy. Ziemia przestała kipieć. W niewielkiej odległości od naszych stanowisk, pośród rumowiska, pojawiła się mikroskopijna gwiazdka, mała jak główka od szpilki, ale nieprawdopodobnie jasna i wyraźna. Wydawało się, że wsysa w siebie noc niczym wir, jak gdyby była dziurką po nakłuciu szpilką materii wszechświata, prowadząc do bardziej intensywnej rzeczywistości, która nabiera właśnie wielkiego oddechu do krzyku.

Instynktownie, jak jeden mąż, zasłoniliśmy sobie głowy rękoma. Buchęło bardzo jasne światło, światło, które czuliśmy przez wierzchy naszych czaszek, światło, które oślepiało swym blaskiem nawet przez zamknięte i mocno zaciśnięte powieki. Góra podskoczyła pod nami, wyrzuciła nas w powietrze raz, potem drugi, sponiewierała prawie do nieprzytomności. Nie słyszeliśmy nawet huku.

Po chwili wszystko ucichło, poza nieprzerwanym, niskim dudnieniem. Unieśliśmy głowy i naszym oczom ukazały się grube, leniwe jęzory płynnej magmy, wyciekające z wnętrza ziemi na step ogromnymi potokami, poznaczonymi tu i ówdzie efektownymi fontannami rzygających w górę iskier.

Ekrany rozpraszające przyjęły na siebie falę uderzeniową wybuchu, wytrzymały jej ciśnienie dostatecznie długo, by ocalić nam życie, a potem, przeciążone, spaliły się na skwarki. Był to jeden z pierwszych wypadków, kiedy w ogóle do tego doszło.

Nikt nie powiedział nawet słowa. Nie patrzyliśmy na siebie. Po prostu leżeliśmy.

Chronometr wskazywał, że upłynęła godzina, ale nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

W końcu dwóch z nas wstało i w milczeniu zaczęło kręcić się bez celu tam i z powrotem. Jeden po drugim podźwignęła się z ziemi reszta. Wciąż milcząc, wciąż starając się nie patrzeć sobie w oczy otrzepywaliśmy się z pyłu. Słyszałem jak ktoś mówi: „zesrałem się z tego wszystkiego w spodnie". Automatycznie opatrywaliśmy sobie sińce i skaleczenia, automatycznie uporządkowaliśmy obóz i zakopaliśmy zrujnowany generator ekranu rozpraszającego. Automatycznie usiedliśmy znowu na ziemi i gapiliśmy się tępo w rozjarzający sawannę blask.

Każdy z nas wiedział, że wojna się skończyła – podpowiadał to nasz instynkt. Była to reakcja emocjonalna, ale bardzo chłodna, bardzo zrezygnowana, bardzo pasywna. Było to coś zbyt wielkiego aby zadawać pytania. To stało się faktem oczywistym. Po D'kotcie nie mogło być już więcej nic. Kropka. Wojna się skończyła.

Byliśmy bliscy prawdy, ale niezupełnie.

Po godzinie, czy coś koło tego, nad górskim grzbietem ukazał się człowiek ze sztabu dowodzenia w zdobycznym próżniolocie i wylądował w obozie. Wyłączył próżniowca, zeskoczył na ziemię, zrobił dwa kroki w kierunku wału ochronnego, wychodzącego na piekło, zatrzymał się. Ręka powędrowała mu do góry, aby osłonić gardło, opadła, zawahała się, uniosła z powrotem. Milczeliśmy. Sztab, kierujący atakiem na D'kottę ulokowano przezornie za masywem Dominikanów. Osłaniał ich łańcuch górski i nie widzieli stamtąd nic, prócz blasku na pokrywie chmur. To był jego pierwszy rzut oka na miasto – na miejsce, gdzie było miasto. Obserwowałem grę mięśni na jego karku, widziałem jak jego plecy garbią się, niczym pod uniesioną nad nimi pięścią. Wielu ludzi ze sztabu Kwestarzy, biorących udział w planowaniu operacji D'kotta natychmiast po przewrocie popełniło samobójstwo, wielu tego nie uczyniło. Nie wiem do której kategorii ten się zaliczał. Łącznik odwrócił wreszcie głowę i na uginających się nogach powlókł się w naszym kierunku. Jego ruchy były nieskoordynowane, a twarz miała dziwną barwę, ale panował nad sobą. Odwołał Heynitha, dowódcę naszego oddziału, na stronę. Rozmawiali pół godziny. Łącznik pokazywał Heynithowi mapę, nabazgrał coś pośpiesznie na wyrwanej z notesu kartce i wręczył jakieś papiery. Heynith kiwał od czasu do czasu głową. Łącznik pożegnał się z nami i niemal biegnąc skierował się do swego próżniolotu. Próżniowiec poderwał się w górę z dziwacznym szarpnięciem, znieruchomiał na chwilę nad naszymi głowami, po czym, zataczając szeroki łuk, zniknął za poszarpanymi szczytami Dominikanów. Heynith stał w skłębionym obłoku pyłu wzniesionym przez wir powietrza i patrzył za nim z kamienną twarzą.

Znowu zapadła cisza, ale teraz było to trochę bardziej zrozumiałe.

Heynith podszedł do nas, lustrował przez chwilę wszystkich badawczym wzrokiem, po czym kazał się nam zbierać do wymarszu. Gapiliśmy się na niego. Powtórzył rozkaz spokojnym stanowczym głosem, był nie do zniesienia cierpliwy. Przez sekundę panowała cisza, potem ktoś stęknął, ktoś inny zaklął i klątwa D'kotty została częściowo przełamana, przynajmniej na chwilę. Otrząsnęliśmy się z niej na tyle, aby przygotować nasz rynsztunek. Było nawet trochę rozmów, ale niewiele.

Heynith stanął na czele oddziału i poprowadził nas w luźnym szyku marszowym najpierw trawersem, w poprzek zbocza, potem pod górę w kierunku grzbietu. Dotarliśmy do wcześniej już odkrytej przełęczy i zaczęliśmy schodzić na drugą stronę masywu górskiego.

Każdy chciał obejrzeć się do tyłu, ku D'kotcie. Nikt tego nie zrobił. W jakiś niewytłumaczalny sposób wciąż panowała noc.

Nigdy, oczywiście, nie rozmawialiśmy podczas marszu, ale tej nocy cisza była wprost upiorna – mogłeś słyszeć chrzęst butów o kamienie, lekko chrapliwe oddechy, stłumiony szczęk noży, obijających się o nasze uda. Mogłeś słyszeć nasz strach, mogłeś go wąchać, mogłeś go zobaczyć.

My mogliśmy go dotykać, mogliśmy go smakować.

Byłem członkiem czegoś tak starego, że nazwę dla tego musieli odgrzebywać z zapomnienia, przekopując rumowisko starożytnej historii w poszukiwaniu pomysłów, które dałoby się wykorzystać przeciwko Zjednoczeniu: Byłem członkiem „oddziału komandosów". Nie pytaj mnie co to znaczy, ale tak właśnie się to nazywało. Wiedziałem, widzisz, co to znaczy w kategoriach ludzkiego ciała: to znaczy ohyda. Długie, ohydne dni i noce, które powracają w snach jeszcze ohydniejszymi, tak, że nie chcesz o nich wcale myśleć, bo to myślenie uciska ci gałki oczu jak imadło. Chłód, mrok, wilgoć, śmierć wynurzająca się nie wiadomo kiedy i skąd, szarpiąca nerwy śmiertelnym zagrożeniem, jak ciskaną w twarz gumową rękawicą pełną lodowatej wody. Żyjesz w nieustannym napięciu, które w końcu staje się bólem. Zaczynasz się do tego przyzwyczajać. Ten ból jest tak nieodłączny, że zapominasz o jego istnieniu, zapominasz, że były kiedykolwiek czasy, kiedy go nie odczuwałeś. Żyjesz na adrenalinie.

My lubiliśmy takie życie. Byliśmy nawiedzeni. Nienawidziliśmy, a to pozwalało nam coś robić z naszą nienawiścią, coś namacalnego, co mogliśmy zobaczyć. Byliśmy pierwszymi od setek lat, którzy to robią. Był w tym jakiś tryumf. Uczeni i Antykwariusze, którzy zapoczątkowali ruch Kwestarski – będący nadal pełnorozumnymi i niezbyt czujnie obserwowanymi członkami społeczności, dzięki czemu mogli lepiej poskładać z dziedziczonych po minionych generacjach archiwów zawiłą łamigłówkę prehistorii – oni byli inteligentni. Zdawali sobie sprawę, że jedyna szansa pokonania Zjednoczenia leżała w zaskoczeniu go radykalnymi koncepcjami i taktyką, czymś, na co nie miało ono sposobu, czymś wykraczającym poza jego doświadczenie.

Tak więc koncepcje wygrzebywali z prehistorii, z czasów tak dawnych, jak najstarsze dokumenty z archiwów. Znaleźli gdzieś w końcu pisemne zapisy takich koncepcji i opracowali sposób ich wykorzystania na współczesnym polu walki.

Z jednego z takich zapisów zaczerpnęli pomysł „wojny podjazdowej". Nie, ja też nie wiem co to znaczy, ale chodzi tu o to, że grasz według własnych reguł, zamiast naśladować zasady walki, stosowane przez nieprzyjaciela. Po prostu pozwalasz nieprzyjacielowi, aby ten postępow⁻ł według własnych zasad, ale sam kierujesz się swoimi. Daje ci to większe pole manewru. Działasz. To znaczy działasz absurdalnie, ale jest to tak starożytna taktyka, że nieprzyjaciel nie zna przed nią obrony, bowiem nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie musiał się przed nią bronić. Nie wiedział nawet do tej pory, że taka taktyka istnieje.

I tak zwykliśmy chodzić na akcje z bronią balistyczną, którą skopiowali ze starych planów i po kryjomu produkowali masowo w zautomatyzowanych fabrykach, kradnąc czas komputera. Zabawki te działały na zasadzie reakcji chemicznej, zachodzącej wewnątrz mechanizmu i wyrzucającej z wielką prędkością malutkie pociski. Taki pocisk uderzał cię z taką siłą, że wchodził w ciało, przebijał narządy wewnętrzne, zabijał. Wiem, że ten pomysł brzmi absurdalnie, ale miał on swoje zalety.

Nie zapominaj jak ściśle kontrolowanym społeczeństwem było Zjednoczenie, na swój sposób gorszym nawet niż Wspólnota. Nie mogliśmy kraść po prostu broni energetycznej, czy biodetów i korzystać z nich, ponieważ wszystko to zasilane było mocą emitowaną przez Zjednoczenie i zaraz po zameldowaniu o braku jednego z tych urządzeń Zjednoczenie wyłączyłoby przekaźnik dla przypisanego im kodu. Nie mogliśmy robić ich sami, bo nie korzystając z mocy Zjednoczenia, potrzebowalibyśmy ton sprzętu generacyjnego, aby zapewnić każdemu egzemplarzowi niezbędną dla jego zasilania ilość energii, a nie dysponowaliśmy taką technologią, aby zminiaturyzować zasilacze. Nasze „karabiny" były przynajmniej samowystarczalne, a oprócz tego wyszły na jaw ich nieprzewidziane zalety. Stwierdziliśmy, że pola maskujące, ekrany rozpraszające, fazościany, osłony osobiste nie są w stanie zatrzymać „kul" (tych maleńkich pocisków miotanych przez „karabiny") – były po prostu zbyt skomplikowane, aby reagować na coś tak zwyczajnego jak grudka metalu, poruszająca się ze względnie małą prędkością balistyczną. To samo było z „bombami" i „granatami" – urządzeniami tak skonstruowanymi, aby zachodząca w nich reakcja chemiczna była wystarczająco gwałtowna, by zabić w pomieszczeniu zamkniętym. Ta lista ciągnie się i ciągnie. Zjednoczenie sądziło, że nie możemy swobodnie przenosić się z miejsca na miejsce, ponieważ wszystkie pojazdy były zakodowane i pracowały na mocy emitowanej. Czy słyszałeś kiedy o „rowerach"? Są to urządzenia przetwarzające energię mechaniczną w ruch – jadą na kołach, które wprawiane są w ruch obrotowy za pośrednictwem pracy fizycznej. Rowery również nie posiadały dostatecznej masy, aby wywołać pole alarmowe lub ujawnić się na ekranach sond przeczesujących, tak więc, nie wykryci, mogliśmy dostać się do miejsc, do których, jak sądziło Zjednoczenie, nie można się było nawet zbliżyć. Łączność? Posługiwaliśmy się lustrami do nadawania meldunków za pomocą błysków, stosowaliśmy jako szyfr kłęby dymu, mieliśmy ludzi, którzy przenosili wiadomości z miejsca na miejsce.

Co ważniejsze, spersonifikowaliśmy wojnę. To była najbardziej radykalna rzecz, jakiej dokonaliśmy, to było coś, co zmieniło nas z

Gardner R. DOZOIS

Amerykański pisarz, krytyk i redaktor antologii, urodzony w 1947 roku. Debiutuje w 1967 na łamach magazynu „Worlds of IF" opowiadaniem **„The Empty Man"**. Jednak dopiero po odbyciu rocznej służby wojskowej, w czasie której pracuje jako korespondent w RFN, zaczyna pisać takie utwory jak **„Specjalny rodzaj poranka"** (1971) czy **„Chains of Sea"** (1972), dzięki którym zdobywa liczącą się pozycję wśród twórców współczesnej amerykańskiej Nowej Fali.

Utwory GD mrocznym nastrojem i pesymizmem oraz brakiem elegancji ich formy ściągają na siebie sporo niepochlebnych ocen, głównie ze strony bardziej konserwatywnych krytyków.

W 1975 pisze wraz z A. Effingerem niemal niezauważoną przez krytykę i czytelników powieść **„Nightmare Blue"**. Znacznie lepszą ocenę uzyskuje jego pierwsza samodzielna powieść **„Strangers"** (1974, rozszerzona w 1978), zaś zbiór opowiadań **„The Visible Man"** (1977) zdobywa mu opinię jednego z najbardziej znaczących pisarzy SF lat 70-tych.

Wśród prac krytycznych GD wyróżnia się analiza **„Fiction of James Tiptree jr"** (1977), zaś wśród redagowanych przez niego antologii **„A Day in the Life"** (1972), **„Another World"** (1977) oraz **„Best Science Fiction Stories of the Year, Sixth Annual Edition"** (1977).

GD był współredaktorem **„Isaac Asimov's Science Fiction Magazine"**.

(djt)

bandy dzieciaków, biegających tu i tam i zabawiających się płataniem psot, w ludzi o zawziętych twarzach, to było coś, co bardziej niż cokolwiek innego odebrało Zjednoczeniu ducha walki. To z tego powodu ludzie jeszcze dzisiaj, po tylu latach, mówią o Przewrocie z trwogą, zwłaszcza we Wspólnocie.

My zabijaliśmy ludzi. Robiliśmy to własnymi rękoma. Podchodziliśmy blisko i zarzynaliśmy ich. Wspominałem już wówczas o nożu, chłopcze, i wiem, że nie masz pojęcia co to takiego. Dobrze blefujesz jak na dzieciaka – to najlepsza droga do zdobycia reputacji człowieka mądrego: rób mądrą minę i nie puszczaj pary z gęby. No już dobrze, nóż to zwężający się kawałek metalu, zaopatrzony w rękojeść, zaostrzony na obu krawędziach, o bardzo ostrym, szpiczastym końcu, wystarczająco ostrym, by ten metal wszedł w ciało jak w masło, przeciął je, rozpruł, zabił, a wtedy na twoich rękach pojawia się krew – najpierw wilgotna, potem szybko krzepnąca i trudno ją zmyć, bo zasycha i przywiera do włosków na grzbietach twych nadgarstków. Nauczyliśmy się zadawać pchnięcia wystarczająco silnie, by zabijały, byśmy słyszeli trzask kości, pękających pod skórą jak suche patyki w nasiąkniętej olejem szmacie. Tak robiliśmy. Dusiliśmy ich kawałkami drutu. Jesteś zaszokowany. Tak samo zaszokowane było Zjednoczenie. Przywykli do zabijania na odległość przez naciśnięcie klawisza, przerzucanie przełącznika, wykorzystanie potężnych, czystych, bezosobowych sił. My zabijaliśmy ludzi – nie jakąś statystyczną, abstrakcyjną siłę żywą. Słuchaliśmy ich wrzasków, widzieliśmy ich twarze, ich krew, ich rzygi, ich gówna i mocz, gdy w chwili śmierci wysiadały ich organizmy. Trzeba było być szalonym, żeby robić takie rzeczy. My byliśmy szaleni. Tworzyliśmy dobry oddział.

Było nas w oddziale dwunastu, chociaż działaliśmy przeważnie w drużynach po czterech. Ja byłem w drużynie dowódcy oddziału i przez ponad dwa lata zastępowała mi ona rodzinę. Heynith – krępy, łysiejący, ogorzały, twardy, uczciwy mężczyzna. Doskonały organizator.

Ren – spokojny, zamknięty w sobie, małomowny, przerażająco sprawny, o dziwnym poczuciu humoru.

Goth – młody, niestrudzony, porywczy, łatwo poddający się euforii i łatwo wpadający w depresję. Tylko on był z nami od około czterech miesięcy, przychodząc na miejsce Masona, który poległ w czasie odwrotu po wypadzie na Cape Itica. No i ja.

Wszyscy byliśmy ludźmi spaczonymi, w taki czy inny sposób kalekami emocjonalnymi.

Wszyscy byliśmy szaleni.

Zjednoczenie, mimo że przez te lata zgładziło bezosobowo miliony ludzi, nie mogło pojąć tego rodzaju szaleństwa. Bali się go i przez nie ponieśli klęskę, nie potrafiąc mu się przeciwstawić czy choćby wziąć pod uwagę przy opracowywaniu swych planów. Prawdę mówiąc nie mogli w to uwierzyć.

Dzięki temu właśnie na parę godzin przed atakiem na D'kottę zdobyliśmy Nadajnik Dominikański. Otoczony, warstwa po warstwie, zaporowymi polami przeciwpociskowymi, przeciwchemicznymi i przeciwbakteriologicznymi oraz ekranami, osłaniającymi przed atakiem energetycznym, był nie do zdobycia. Weszliśmy tam na piechotę. Nie przyszło im nawet do głowy, że ktokolwiek ważyłby się tak postąpić, że można było zaatakować w ten sposób, a więc nie mieli przed tym obrony. System alarmowy zaprojektowany był na bardziej wyrafinowane zagrożenia. Nawet po dziesięciu latach eskalacji wojny podjazdowej nie mogli uwierzyć, że ktoś może wykorzystać własne ciało do prowadzenia walki. No więc weszliśmy tam. Weszliśmy i wyrżnęliśmy wszystkich w pień. Załogę stanowił klon rozumny, składający się z dziesięciu ludzi i instruktora-dowódcy. Żadnych zerowców czy zmartwychwstańców. Dziesięciu identycznych techników, miotających się w panice i instruktor, gapiący się na nas z niedowierzaniem i czymś, co według mnie było oburzeniem, że tak daleko wykroczyliśmy poza ramy ustalonej procedury. Zabiliśmy ich, jak zabija się insekty, nawet się nad tym nie zastanawiając, z wyjątkiem może pewnej cząstki nas, która zawsze o tym myśli, która rejestruje i odtwarza to potem podczas snu. Później wysadziliśmy nadajnik chemicznym materiałem wybuchowym. Kiedy buchnęły płomienie, wyżerając dziury w nocy, wskoczyliśmy na nasze rowery i odjechaliśmy, pędząc na złamanie karku w kierunku Dominikanów, garbatych gór wyłaniających się przed nami z mroku, rysujących się na tle nocnego nieba niczym poczerniałe pieńki zębów. Pole maskujące zatrzęsło się w chwilę potem, ale nas już tam nie było.

To było wszystko, co ja osobiście miałem wspólnego z „historyczną" bitwą pod D'kottą. To wystarczyło. Utorowaliśmy dla tego pojedynku drogę. Bez energii, emitowanej przez Nadajnik, broń i systemy transportowe – włączając w to windy, ruchome chodniki, rozsuwane drzwi, instalacje grzewcze, oświetleniowe, ściekowe – przestały działać. D'kotta została unieruchomiona. Bez materii emitowanej przez stację, tysiące budynków, kompleksów przemysłowych, dróg i domów mieszkalnych pogrążyło się w chaosie – dosłownie zawaliło się. Co ważniejsze, bez emitowanego pożywienia cztery główne Mózgi D'kotty rozwiązujące niewiarygodną gmatwaninę problemów militarno-przemysłowo-administracyjnych przestały funkcjonować. Podobnie było z licznymi pomniejszymi Mózgami – synapsami, wymagającymi nieprzerwanego dokarmiania, a także z zespołami ganglionów, przez które ciągle przepływać musi prąd psychocybernetyczny, gdyż w przeciwnym razie, pozbawione bodźców czuciowych, popadają w szaleństwo. Nawet zerowcy, pobudzeni głodem prawie do uświadomienia sobie własnego istnienia, szybko stali się krnąbrnymi. Umarli w końcu po kilku dniach głodówki. W takim samym położeniu co zerowcy znalazła się wkrótce wielka rzesza klonów rozumnych niższej kategorii – wszystkich tych bez żołądków lub układów trawiennych, należących w większości do kast militarnych i przemysłowych. Bez transmitowanego pożywienia umarli w ciągu paru dni. Nawet gdyby zdołali zdobyć w jakiś sposób pożywienie, to i tak zatrułyby ich odkładające się odchody własnych organizmów, nie odprowadzane przez nieczynne urządzenia, dublujące funkcje uległych zanikowi jelit. Niezależne dozowniki żywności zaopatrujące w pożywienie pełnorozumnych i wyższe klony, nawet po przystosowaniu ich do wspomagania systemów dożylnych, nie mogłyby na tyle zwiększyć swojej wydajności, aby wykarmić taką masę ludzi. Nie wspominając już o zmartwychwstańcach ze Środowisk, rozrzuconych po całym mieście.

Istniały oczywiście wspomagające systemy awaryjne, ale nie były używane od wieków i większość z nich uległa zniszczeniu, a o to, żeby nie działała reszta, zatroszczyły się inne oddziały Kwestarzy.

D'kotta poniosła klęskę zanim została oddana pierwsza salwa. Zjednoczenie zareagowało tak, jak się tego spodziewaliśmy, jak to sugerowały mu nadchodzące z wiarygodnych źródeł meldunki wywiadu, donoszące o koncentracji znacznych sił Kwestarzy pod D'kottą. W ciągu kilku godzin Zjednoczenie ściągnęło do D'kotty większość swych wojsk – niemal cały stan liczebny tradycyjnej kasty militarnej, duży procent milicji, którą utworzyli pośpiesznie z klonów przemysłowych, gdy Kwestarze zaczęli przysparzać coraz więcej kłopotów oraz główną część swego ciężkiego uzbrojenia. Mieli nadzieję zaskoczyć Kwestarzy, uderzyć na nich między miastem a niedostępnymi partiami Dominikanów, naszpikować ten obszar taką siłą ognia, aby wymknięcie się zeń było niemożliwe, doścignąć niedobitków Kwestarzy, unicestwić ich, uniemożliwić raz na zawsze odrodzenie się ruchu.

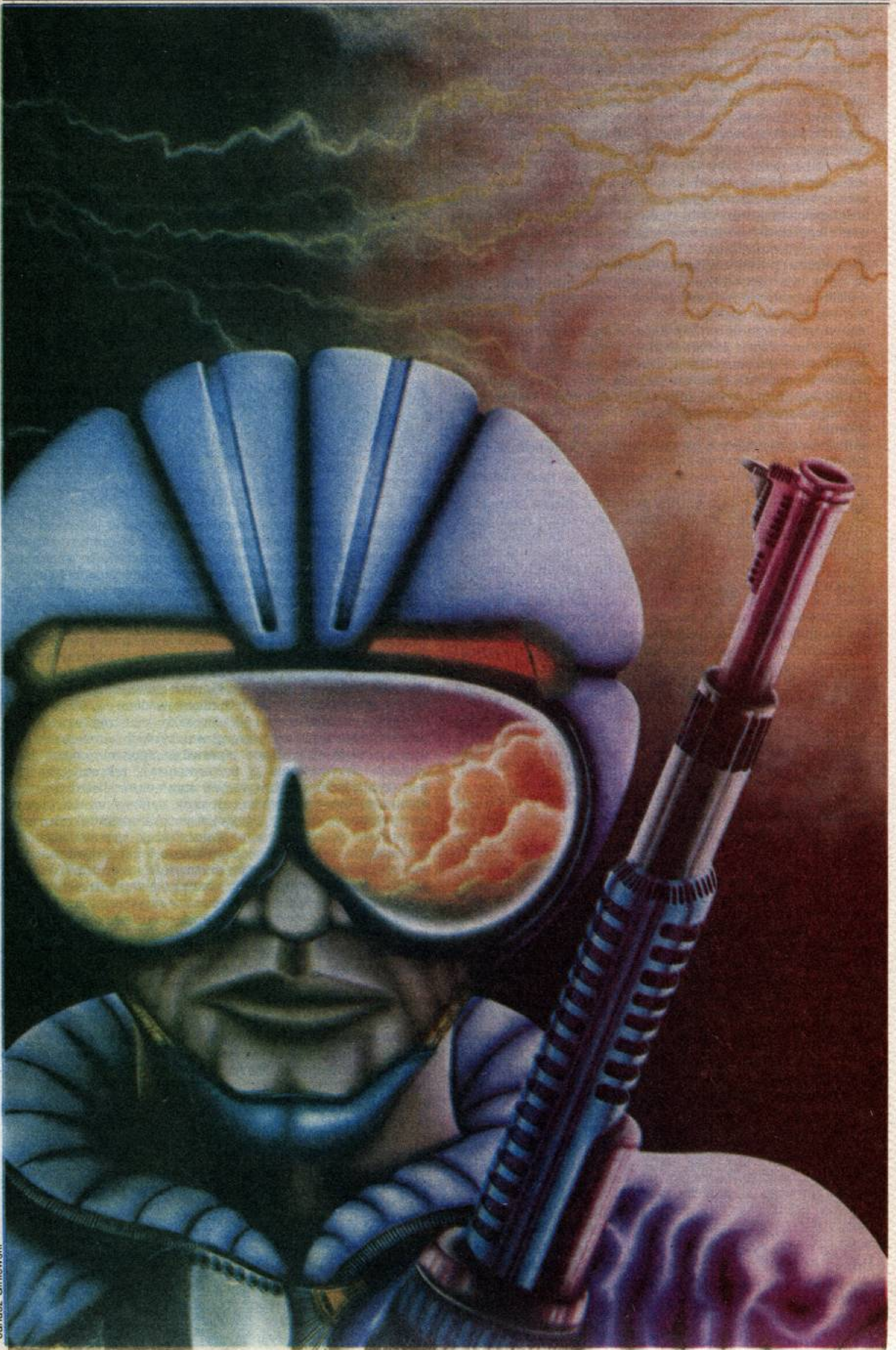
Obróciło się to przeciwko nim.

Kwestarze od lat szarpali i odskakiwali, wycofując się, gdy Zjednoczenie nacierało, nigdy nie spotykając się z nim w konwencjonalnej bitwie, nigdy nie stosując przeciw niemu żadnej ciężkiej broni. Gdy Zjednoczenie zaryzykowało i stawiając wszystko na jedną kartę zdobyło się na jeden gigantyczny wysiłek, rzucając przeciw Kwestarzom praktycznie wszystkie swoje środki militarne i spodziewając się z ich strony normalnego w podobnych sytuacjach zachowania, zmieniliśmy nagle taktykę. Kwestarze przyjęli bitwę i uderzyli na siły Zjednoczenia wszystkim, co przez ponad piętnaście lat konspiracji i wymierzonej przeciw temu ruchowi kampanii zdołali zaoszczędzić, ukraść, zdobyć i nabyć potajemnie od swych sympatyków ze Wspólnoty.

W niecałą godzinę od chwili wymiany pierwszych taktycznych pocisków nuklearnych miasto przestało istnieć. Z ziemią zrównane zostało wszystko prócz dwóch Mózgów i Ochronki Escridela. Wtedy Kwestarze uruchomili swoje urządzenie terenotwórcze, które, jak mi się wydaje, kupili od jakiejś firmy tu, na Kos. To było kompletne szaleństwo – systemy terenotwórcze wykorzystywane bez zastanowienia mogą zniszczyć całą planetę – ale było to szaleństwo podyktowane rozpaczą i w końcu się na to zdecydowali. W przeciągu pół godziny przestały istnieć niedobitki baterii ciężkiej broni Zjednoczenia i te dwa Mózgi. Kilka minut później przestała istnieć Ochronka – był to pierwszy w historii wypadek zniszczenia Ochronki, ale przypuszczalnie doszło do tego nieumyślnie. Potem, kiedy cykliczne dozowanie energii wymknęło się spod kontroli, a filtrowane sprzężenie zwrotne narosło do punktu kulminacyjnego, przestało istnieć wszystko na stepie.

Rzeź była nieprawdopodobna.

Weź za punkt wyjścia ogromną populację D'kotty, drugiego co do wielkości miasta na świecie, a nawet jednego z największych w tym sektorze Wspólnoty. Cumowały tam floty statków podwodnych, dostarczających w górę Delvy zbiory betii oraz inne towary – o tej porze roku ruch na rzece był zawsze największy. Weź pracujące pełną parą kopalnie i fabryki, weź gigantyczne Stocznie Zachodnie i Zakłady Silnikowe. Dodaj do tego masę mieszkańców sześciu głównych Środowisk Kontrolowanych, otaczających pierścieniem miasto. Dodaj miasto w mieście – Administrację Okręgu


Janusz Giniewski

Południe, zarządzającą tą półkulą. Dodaj dwadzieścia pokoleń pełnorozumnych z D'kotty, których wyselekcjonowane wzory osobowości przechowywane były w górze „niezniszczalnego" mikromolekularnego układu zwanego Ochronką Escridela. Ci instruktorzy zmarli wreszcie prawdziwą, nieodwracalną śmiercią, bez nadziei, tym razem, na wskrzeszenie nawet pod postacią bezcielesnych intelektów, umieszczonych w sztucznych środowiskach zapewniających im funkcjonowanie: zapisy elektryczno-chemiczno-psychocybernetycznych rytmów ich mózgów zostały bezpowrotnie zniszczone, a nie można odtworzyć świadomości ze stopionej kałuży żużlu. Był to dla Zjednoczenia cios dosłownie śmiertelny i wywołał wstrząs większy niż wszystko inne. Dodaj do tego liczebność obu walczących stron, wszystkich naszych ludzi, którzy w przewidywaniu tego, co się będzie działo, popełnili samobójstwo. Dodaj sobie te wszystkie składniki.
Suma urasta do wielu miliardów istnień ludzkich.
Ta liczba była zbyt wielka, aby ją objąć rozumem. Nasze mózgi wysilały się nad tym rachunkiem podczas marszu i zrezygnowały. Ta liczba była zbyt wielka.
Idąc, wpatrywałem się w plecy Rena, w jego niemal niewidoczną sylwetkę manekina i próbowałem wymnożyć sobie to wszystko, aby otrzymać pożądany wynik. Szedłem na oślep, potykając się, zagubiony i zalewany tysiącami rąk, nóg, twarzy... rzędem twarzy zamazujących się z krzykiem w nieskończoności – i wyobraźnia nie mogła sprostać rzeczywistości.
Miliardy.
Ile duchów tych umarłych nie zazna spokoju? Kogo będą nienawidzieć?
Miliardy.

Świt zastał nas o dwie godziny marszu od miejsca rzezi. Przyszedł jak zwykle – bez ostrzeżenia. Posuwaliśmy się po omacku przez atramentowo ciemną, bezksiężycową noc świata, obserwowani przez miliony jej lodowatych oczu, miliony okruchów kryształowej kuli wiedźmy, niewyobrażalnie zimnych i dalekich. Obserwowałem je przez lata, noc w noc, jak gryzmoliły na niebie swoje nie dające się odcyfrować hieroglify, obojętne na niepojętność człowieka. Teraz, jak zawsze, niebo przypominało mi negatyw komputerowej karty perforowanej. O wschodzie słońca zatrzymałem się na sekundę, ściągając z oczu okulary noktowizyjne i gapiąc się w niebo. Jaki program tam wydrukowano? Słońca jako cyfry? Światy jako miejsca dziesiętne? Bzdurne pytanie – byłem kiedyś tak samo głupi jak ty, przyjacielu – ale to była pierwsza w pełni artykułowana myśl, jaka przyszła mi do głowy od chwili, gdy tam, na wałach, kiedy życie pragnęło wyrwać się z mych piersi, zdałem sobie sprawę z nagości ciała. Zadałem je znowu, na wpół spodziewając się odpowiedzi, patrząc jak mój oddech zestala się w pióra i kłaczki, parując w srebrnym chłodzie gwiazd.
Słońce pojawiło się jak meteor. Wyprysnęło zza horyzontu z tą złudnie niestałą prędkością, do której nie zdołali jeszcze przywyknąć nawet rdzenni mieszkańcy Świata. Zalało nas nowe światło, błękitne i surowe z początku, czerniąc cienie i wyostrzając ich kontury. Słońce pięło się niestrudzenie po nieboskłonie połykając gwiazdy, bladoróżowym blaskiem oczyszczając z nocy horyzont. Światło stawało się coraz soczyściej złote. Sunęliśmy po kolana w srebrnej mgle, wirami wzbijającej się w niebo wokół górskich szczytów. Idąc tak wysoką percią, między mgłą a niebem, chłonąc poranek nowym głodem, borykając się z myślami, które wciąż przerastały możliwości mojego umysłu i wymykały mi się, gdy już miałem nad nimi zapanować, stwierdziłem nagle, że po policzkach płyną mi łzy. Rozległ się cichy szum. To nasze termoskafandry reagowały na wzrastającą temperaturę, przepolaryzowując się z barwy czarnej na białą, wydalając ciepło z powrotem do atmosfery. Na zboczach Dominikanów i niżej, na rozciągającej się w dole równinie – widocznej teraz, gdy mgła uniosła się już piruetami ponad nasze głowy ku najwyższym szczytom – zamierały usychając w oczach milowymi pokosami, nocne rośliny. W ciągu paru sekund Dominikany stały się ponurym pustkowiem, obróconym w nagie wzgórza z popiołu i kości. Słońce było teraz rozdętym żółtym dyskiem, otoczonym aureolą czerwieni i ciemniejącego szkarłatu i przyciemniało mroźny błękit rozrzedzonego powietrza. Odarte z roślinności, porzłobione księżycowymi cieniami góry były teraz surowe i porowate jak pumeks. Pod naszymi stopami zaczęły się pojawiać zieloną pajęczyną kiełkujące ze szczelin w suchej, popękanej ziemi pierwsze z roślin dziennych. Przeprawiliśmy się przez nowy strumień, wypływający z topniejącego lodowca i spłukujący pokryty pyłem żleb.

W godzinę później znaleźlimy tę dolinę.
Heynith sprowadził nas w dół na rozciągającą się hen, aż po widnokrąg bagnistą równinę. Zatoczyliśmy szerokie koło, zbliżając się do wylotu doliny od strony nizin. Heynith podniósł rękę, wskazał na mnie, na Rena i na Gotha. Pozostali rozproszyli się, tworząc tyralierę w poprzek wylotu doliny i zalegli w ukryciu, aby na nas czekać. Przełęcz przekroczyliśmy sami. Szablotrawy rosły gwałtownie – sięgały nam już do piersi. Wczołgaliśmy się między nie, synchronizując swoje ruchy tak, aby pokrywały się z długimi podmuchami porannej bryzy. Zabrało to nam pół godziny żmudnego, zroszonego potem wysiłku. Oceniwszy na wyczucie, że podpełzłem dostatecznie blisko, zatrzymałem się i ostrożnie rozchyliłem szablotrawy na tyle, żeby wyjrzeć z nich bez podnoszenia głowy. To był wielki próżnioprom, pięćsetstopowiec, wyposażony w dźwignię do samozaładunku.
Było przy nim trzech ludzi.
Wycofałem się z powrotem w trawy, sprawdziłem czy mój „karabin" jest gotowy do oddania strzału, a potem znowu ostrożnie podpełzłem w pobliże promu.

Kiedy ponownie spojrzałem w górę, znajdował się już bardzo blisko, około dwudziestu pięciu stóp ode mnie. Stał pośrodku pozbawionej trawy polanki. Na jego burcie mogłem odczytać pulsujący, fotograficzny hologram identyfikacyjny: symbol Urheim – największego miasta Świata i Stolicy Zjednoczenia, leżącego pół świata stąd, na północnej półkuli. Przebyli długą drogę, aby tu dotrzeć – wciąż długą dla nóg i oczu, pomimo że statki kosmiczne śmigały już między gwiazdami. Przebyli też drugą jeszcze dłuższą drogę: drogę od zarodków w szklanych łonach do ludzi, przytupujących i trzęsących się teraz z zimna w fałdzie górskiego uda, obserwujących wstający poranek. Ta myśl rozbawiła mnie. Zastanawiałem się, czy przeczuwają, że będzie to ostatni poranek, jaki widzą w życiu. To rozbawiło mnie jeszcze bardziej. Ta myśl jeszcze raz połechtała mój mózg i tańcząc odpłynęła. Po raz drugi, bez określonej potrzeby, sprawdziłem mój karabin.

Czekałem, czując niepokój i starając się go stłumić.
Dwóch z nich stało obok siebie o kilka stóp przed dziobem promu. Palili na spółkę, zaciągając się głęboko, słabego atomizera narkotyzującego i, chwiejąc się lekko na nogach z niewyspania i zimna, popatrywali ponad szablotrawami w kierunku równiny. Mieli zdrętwiały, zmiętoszony, zapyziały wygląd ludzi, którzy spędzili pełną niewygód noc w zatłoczonym miejscu. Ubrani byli jak pełnorozumni, nieklonowani młodsi oficerowie kasty militarnej i jak to bywa w przypadku większości nieklonowanych kadetów z wyższych warstw, odziedziczyli pewnie te stanowiska po swoich rodzicach. Nie licząc kadry z Urheim i innych głównych miast, musieli być jednymi z niewielu ocalałych członków klanu – w D'kotcie zginęło setki tysięcy kadetów i oficerów kasty militarnej (wraz z niezliczonymi klonami i półrozumnymi wszystkich warstw), a ta kasta nigdy nie była zbyt liczna. Wprawdzie regulamin zalecał Zjednoczeniu utrzymywanie sił Bezpieczeństwa, rekrutujących się spośród nieklonowanych wyższych rang – niemal ostatniego bastionu zacofanego nepotyzmu – ale siły te stały się z czasem formacją czysto tradycyjną i nie odgrywającą większej roli. Taki stan rzeczy sprzyjał powstaniu ruchu Kwestarskiego i zmusił w końcu Zjednoczenie do podjęcia niepopularnego kroku przymusowego wcielenia wielkich rzesz klonów przemysłowych do milicji. Niższy z tych dwóch był bardzo młody, młodszy ode mnie. Trzeci siedział w kabinie promu. Widziałem rozmazany zarys jego twarzy przez owiewkę, której podgrzewanie było włączone, mimo że prom nie znajdował się w ruchu.
Czekałem.
Wiedziałem, że reszta zajmuje pozycje wokół mnie. Wiedziałem również na co czeka Heynith.
Trzeci mężczyzna zeskoczył z wysoko usytuowanej kabiny na ziemię. Był starszy od tamtych i nosił hologram oficerski: pełny instruktor. Powiedział coś do kadetów, odszedł parę kroków w stronę rufy promu i zaczął oddawać mocz. Kolumna złotego płynu parowała w chłodnym powietrzu poranka.
Heynith gwizdnął.

Poderwałem się na kolana, rozgarnąłem porastające skraj polanki szablotrawy i uniosłem lufę karabinu. Dwaj kadeci drgnęli. Mięśnie ich twarzy stężały w grymasie nieokreślonego przerażenia. Starszy, wciąż ściskając w palcach atomizer, zrobił mimowolnie krok w przód. Ren z Gothem skosili go seriami pocisków. Karabiny wydawały bardzo głośny metaliczny terkot, od którego drętwiały zęby, a z ich luf tryskał ogień. Ze zboczy otaczających dolinę gór poderwały się z wrzaskiem chmary ptaków. Uderzenia pocisków ścięły kadeta z nóg, obróciły go w powietrzu tak, że spadł na brzuch. Tak znieruchomiał. Atomizer poszybował parę metrów dalej, uderzył w ziemię i potoczył się po niej. Młodszy kadet rzucił się w kierunku kabiny, wpadając wprost w moją linię ognia. Nacisnąłem spust. Pociski głośnymi eksplozjami opuściły lufę. Kadeta szarpnęło do tyłu. Rozkrzyżowując szeroko ramiona grzmotnął plecami o bok kabiny, wyprężył się gwałtownie, osunął wolno po

ścianie i zwalił się na ziemię. Przez sekundę podpierał się jeszcze na łokciu, potem upadł na plecy. Na dźwięk pierwszego strzału instruktor odwrócił się gwałtownie, struga moczu z dyndającego u rozporka członka rozprysnęła się szerokim łukiem. Mężczyzna odskoczył za rufę promu i salwa Heynitha chybiła celu, rykoszetując z przenikliwym wizgiem od burty i pozostawiając w tym miejscu głęboką bruzdę. Instruktor przykucnął, wychylił się zza rufy z biodetem w dłoni i w chwili, gdy rozpoczynał ogień, nadział się na pojedynczą kulę posłaną mu przez Rena. Uderzenie pocisku wytrąciło go z równowagi. Zatoczył się wkoło z palcami wciąż zaciśniętymi na spuście. Wiązka nośna poszła w bok, odbiła się od burty promu nie pozostawiając na niej żadnego śladu i wycięła długą bruzdę poprzez szablotrawy. Smagnięte wiązką rośliny momentalnie uschły i poczerniały. Heynith ponownie otworzył ogień, nie czekając aż ta bruzda śmierci dosięgnie kępy trawy, w której leżał. Jego salwa odrzuciła instruktora – w jakiś niewytłumaczalny sposób utrzymującego się wciąż na nogach – aż za rufę promu. Słaniał się. Biodet wypadł mu z rąk i wyłączył się. Heynith nie przerywał ognia i instruktor, podtrzymywany strumieniem pocisków cofał się tyłem na piętach i podrygiwał jak pozbawiona kości kukiełka. Heynith zdjął palec ze spustu. Instruktor runął na ziemię – kupa rąk i nóg, powykręcanych pod niewiarygodnymi kątami.

Kiedy podeszliśmy do promu, młody kadet jeszcze konał. Jego ciało drgało i prężyło się. Bębnił piętami o ziemię, chwytał palcami pustkę, potem znieruchomiał. Było dużo krwi. Od wejścia do doliny nadciągnęła reszta oddziału. Heynith posłał ich na patrol wzdłuż szczytów ścian, okalających z trzech stron dolinę.

Odciągnęliśmy trupy na bok i ukryliśmy je pod głazami.

Znowu, tak jak po D'kotcie, czułem się otępiały.

Czułem się otępiały przez całą resztę poranka, którą spędziliśmy na oszalałych przygotowaniach. Mój umysł zdawał się być oderwany od ciała, gdy ono tymczasem pociło się, kopało coś, coś wlokło. Miało dużo roboty. Na wyposażeniu mieliśmy cztery ciężkie lasery przemysłowe – przecinaki skał, nieporęczne, duże, mało wydajne urządzenia, nie nadające się do wykorzystania ich w charakterze broni, ale musiały jako broń posłużyć – ta akcja została nie tyle zaplanowana, co naprędce zmontowana na dwie godziny przed tym, jak łącznik skontaktował się z nami za obwałowaniami pod D'kottą. Trzeba było uruchomić wszystko, co się mogło w niej przydać. Nie było czasu, aby zrobić to dobrze. Gdy sztab dowodzenia otrzymał ten meldunek, byliśmy najbliższym oddziałem, posiadającym z nimi kontakt, tak więc skwapliwie skorzystano z naszych usług. Te lasery były jedynymi urządzeniami pod ręką, miały moc zbliżoną do broni ciężkiej, użyliśmy więc laserów.

Zaraz po zdobyciu promu i niedopuszczeniu do tego, aby ktoś ostrzegł Zjednoczenie z kabiny przez radio, Heynith błysnął lustrem sygnałowym w kierunku skalnej półki, którą opuściliśmy kilka godzin temu. Łącznik spłynął z góry w dziesięć minut później, przywożąc jeden z laserów, przytroczony niezgrabnie do grzbietu jego próżniolotu. Zrobił jeszcze trzy takie kursy, składając masywne cylindry delikatnie jak jajka, potem odleciał swym próżniowcem, mknąc z powrotem w kierunku Dominikanów wariackim łukiem – tym z rodzaju samobójczych. Jego twarz była nadal szara, mocno zaciśnięte usta kontrastowały z nią bezkrwistą bielą. Podczas całej procedury nie wymówił ani słowa. Sądzę, że był jednym z tych Kwestarzy, którzy wybrali potem Drogę Pokuty. Nie widziałem go nigdy więcej. Czasami żałuję, że nie znalazłem w sobie tyle odwagi, aby pójść za ich przykładem, ale pocieszam się wmawiając sobie, że bardziej odpokutowałem swym życiem niż swoją śmiercią. Kto wie, być może mam rację. Miło jest, w każdym razie, tak pomyśleć.

Ustawianie laserów na stanowiskach zajęło nam parę godzin. Rozmieściliśmy je w czterech punktach wokół doliny, ukryte w wydrążonych w ścianach ukośnych szybach. Najtrudniejszą rzeczą było wyznaczenie podniesienia i trajektorii, ale w końcu zgraliśmy wszystkie lufy na punkt położony na wysokości około stu stóp ponad środkiem dna doliny, przy czym urządzenia celownicze dawały każdemu laserowi kilka stopni swobody w każdą stronę. Tam właśnie musiał się opuścić, jeśli był standardowym orbotem, bo dolina miała akurat taką szerokość, aby pomieścić obok siebie orbota i próżnioprom z wystarczającym marginesem bezpieczeństwa między nimi. Jeśli wylądują poza wylotem doliny sprawa oczywiście się rypnie. W takim przypadku zdołalibyśmy może nakierować jeden albo dwa lasery na nowy cel, obracając je lewarkami, a gdyby nam się to nie udało moglibyśmy jeszcze starać się wziąć orbota, z marszu, gdy tylko wyląduje, z jedną szansą na osiem, że nam się powiedzie. Uważaliśmy jednak, że wylądują tu, w dolinie. Tu był zaparkowany próżnioprom, a oprócz tego będą chcieli skorzystać z osłony wysokich górskich zboczy, aby ukryć orbota przed oczyma jakiegoś Kwestarza, który mógłby kręcić się przypadkiem w pobliżu. Gdyby nasze przewidywania potwierdziły się, szanse na sukces byłyby dużo większe. Mniej więcej jak jeden do trzech.

Po zainstalowaniu laserów rozproszyliśmy się, po czterech ludzi na stanowisko, kryjąc się w zamaskowanych transzejach, wykopanych wzdłuż ogromnych luf. Heynith poprowadził mnie i Gotha w kierunku lasera, który umieściliśmy w zboczu góry, bezpośrednio za i ponad próżniopromem, na wysokości pięćdziesięciu stóp. Ren został na dole. Stał obok promu z charakterystycznie przygarbionymi plecami, z kciukami zatkniętymi za pas, z twarzą starannie wystrzegającą się jakiegokolwiek wyrazu i patrzył jak znikamy mu z oczu. Potem spojrzał na wylot doliny, poprawił karabin, splunął w kierunku Urheim i wspiął się do kabiny promu.

Dolina znowu opustoszała. Z naszego stanowiska próżnioprom wyglądał jak błyszcząca zabawka. Refleksy słońca igrały po jego wygrzewającej się w skwarze południa powierzchni. Porzucona zabawka, zagubiona w wysokim zielsku, czekająca na odnalezienie przez właścicieli, którzy nigdy nie przyjdą. Mijał czas.

Ptaki, które spłoszyliśmy, zaczęły znowu siadać na zboczach. Zmieniłem niespokojnie pozycję, próbując usadowić się wygodniej. Heynith unieruchomił mnie wzrokiem. Kuliliśmy się w transzei długiej na osiem stóp i głębokiej na pięć, nakrytej maskującym brezentem, podpartym od strony doliny palikami. Brezent przysypany był parocalową warstwą ziemi i darni. Heynith zajmował miejsce pośrodku, siedząc okrakiem na siodełku operatora lasera. Po jego lewej stronie przywarł Goth, a po prawej ja. Heynith miał obsługiwać laser, gdy nadejdzie na to pora, do tego potrzebna była tylko jedna osoba. Ja i Goth nie mieliśmy nic do roboty, nie będziemy mieli nic do roboty nawet podczas bitwy, chyba, że zajdzie potrzeba zastąpienia Heynitha, jeżeli zdarzy się nieprawdopodobny przypadek i zostanie on zabity strzałem, który nie rozwali od razu nas wszystkich, albo w razie konieczności obrócenia lasera lewarami. Jedno i drugie było mało prawdopodobne. Nie, to był występ Heynitha, a my mu tylko statystowaliśmy, zbyteczni i bezczynni.

To nie było dobre.

Mieliśmy dużo czasu na rozmyślania.

I to było jeszcze gorsze.

Czułem narastające otępienie, jakby pomiędzy mnie a świat wsunięta została tafla przezroczystego szkła. Powoli, warstwa po warstwie, grubiejąca. Wraz z tym grubieniem przyszło uczucie niewyobrażalnej izolacji (izolacji, chociaż było ciasno i dusiłem się, chociaż siedziałem przyciśnięty do umięśnionego uda Heynitha – nie mogłem go dotknąć, był mile ode mnie), a z nim mdląca, przytłaczająca panika. Było to przeciwieństwo klaustrofobii. Moje ciało przeistoczyło się w przeźroczysty plastyk, moje kości w szkło i nie było nic, w co mógłbym się owinąć. Otoczony przez armię, nadal byłbym sam, zakuty w stal i zakopany trzydzieści stóp pod ziemią, nadal byłbym nagi. Jedna część mego mózgu zastanawiała się beznamiętnie czy doznaliśmy szoku, jego reszta walczyła, aby powstrzymać krzyk, który wzbierał we mnie wraz z napinaniem się mięśni. Poczucie izolacji narastało. Byłem już nieświadomy otoczenia z wyjątkiem ciepła i ciśnienia zamkniętej przestrzeni.

Widziałem roztopionego pająka D'kotty leżącego na grzbiecie, pokazującego swój ohydny brzuch i wierzgającego w niebo kończynami płomieni, które dotykając chmur, wywoływały na nich bąbel jadowego ukąszenia.

Widziałem chłopca o twarzy zlanej krwią, bijącego piętami o ziemię.

Zaczynałem wątpić w wielkie, proste idee.

W dolinie nie poruszało się nic, prócz falujących na wietrze traw i duchów, krążących pod postacią ptaków.

Nogi pająka.

Taniec kraba.

Gęsty cień próżniopromu pełzający po dolinie. •

Nagle z dziwną wyrazistością ujrzałem Rena, siedzącego tam w kabinie: rozparty na siedzeniu, nogi wyciągnięte przed siebie, wspierające się stopami o tablicę przyrządów, skrzyżowane ramiona, karabin spoczywający w poprzek kolan, oczy obserwujące przez owiewkę wylot doliny. Pali papierosa, wyjmuje go od czasu do czasu z ust, strząsa paznokciem popiół na błyszczące skale, i uśmiechając się swym dziwnym uśmiechem z namaszczeniem przytyka go do pluszowej tapicerki. Tkanina (prawdziwa tkanina, nie syntetyk) tli się, wysyła smużkę śmierdzącego dymu i w fotelu powstaje jeszcze jedna osmalona dziura. Ren uśmiecha się znowu, wtyka papierosa z powrotem do ust, odchyla się na oparcie i wypuszcza gęsty kłąb dymu. Ren pozostał tam, aby odpowiedzieć na sygnał radiowy z orbota, aby zapewnić ich, że wszystko jest w porządku, aby ściągnąć ich na dół w objęcia śmierci. Gdyby zaczęli podejrzewać, że coś jest nie tak, byłby pierwszym, który umrze. I

tak, nawet gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, było bardzo prawdopodobne, że zginie. Był najbardziej z nas wystawiony. To była robota dla samobójcy. Ren powiedział, że nie zesra się w spodnie. Może tak było, a może sam siebie próbował przekonać, że do tego nie dojdzie. Był dziwnym człowiekiem, najstarszym z nas, starszym nawet od Heynitha. Większość życia pracował jako kadet-instruktor w Administracji w Urheim. Tej pracy poświęcił się bez reszty, włożył w nią całą swą energię. Był trzykrotnie przedstawiany do awansu na stanowisko instruktora, a w latach między kolejnymi oddaleniami wniosków zdwajał wysiłki i stawał się bardziej niespokojny. Wraz z trzecią odmową posłano go spokojnie na rentę, aby żył z subwencji kredytowej, na którą zapracował przez czterdzieści lat służby. Następnego ranka, dokładnie w momencie rozpoczęcia godzin pracy w jego biurze, ukradł biodet strażnikowi ochrony w Kompleksie Administracyjnym, poszedł do swego sektora, zabił tam wszystkich i znikł z Urheim. Po roku ukrywania się zdołał nawiązać kontakt z Kwestarzami. Po kolejnym roku szkolenia przydzielono go, pomimo wieku, do oddziału komandosów. To było pięć lat temu. Ja znałem go od dwóch. Niewiele w tym czasie powiedział. Wykonywał swą robotę bardzo dobrze, tracąc minimum energii na ruch, nigdy nie popełniając błędów, nigdy się nie skarżąc, nigdy nie okazując swoich uczuć. Ale od czasu do czasu uśmiechał się i wypalał w czymś dziurę. Albo w kimś.

Słońce zanurkowało za horyzont, zdając się roztrzaskiwać o równinę w eksplozji płomieni. Noc połknęła nas jednym haustem. Czarna jak brzuch bestii.

To momentalnie przywołało mnie do rzeczywistości. Przez chwilę miałem stracha, że oślepłem, ale potem wróciła mi zdolność logicznego rozumowania i zsunąłem na oczy okulary noktowizyjne, jednocześnie je włączając. Świat powracał w odcieniach szarości. Heynith tarł zdrętwiałymi nogami o podstawę lasera. Wydał nam krótkie polecenie i łyknęliśmy po tabletce pobudzającej, aby odpędzić senność i znużenie. Były gorzkie i jak zwykle trudne do przełknięcia na sucho, ale pobudziły znajome bulgotanie w żołądku i krew szybciej zaczęła krążyć w żyłach. Zerknąłem na Heynitha. Był milczący, nawet jak na niego. Zastanawiałem się o czym myśli. Spojrzał na mnie, być może czytając w moich myślach i kazał nam wyleźć z transzei.

Wypełzaliśmy z Gothem na zewnątrz.

Masowaliśmy sobie zdrętwiałe uda i ramiona i przytupywaliśmy w miejscu, aby przywrócić krążenie. Gwiazdy upstrzyły niebo jak sól, rozsypana po czarnej porcelanie. Dzienne rośliny zanikały, dzienne zwierzęta zapadały w stan katalepsji. Z gruntu wyrzynały się rośliny nocne, karmiąc się szczątkami roślin dziennych. Rosły gwałtownie, podwajając, a potem potrajając na naszych oczach swoją wysokość. Były to przeważnie grube, lepkie krzaki o wysokości około czternastu stóp, z szerokimi ciemnopurpurowymi lub czarnymi liśćmi w kształcie grotów włóczni. Nie naruszając korzeni wykopaliśmy z Gothem parę z nich i ustawiliśmy na brezencie zamiast roślin dziennych, które zwiędły z pierwszym dotykiem ostrego, wieczornego mrozu. Musieliśmy chwytać je przez watowane rękawice – powierzchnie liści pochłaniały zachłannie najmniejszą ilość ciepła i parzyły jak suchy lód.

Potem znowu siedzieliśmy w okopie i było jeszcze gorzej. Ruch pomógł na chwilę, ale teraz znów czułem jak ogarnia mnie otępiająca panika, a chwilowe odprężenie uczyniło ją jeszcze gorszą do zniesienia. Próbowałem nawiązać rozmowę, ale zamarła w monosylabowych mruknięciach, a jej echa utonęły w ciszy. Heynith po raz n-ty sprawdzał metodycznie urządzenia celownicze lasera. Był spięty, widziałem sploty mięśni na jego ramieniu, nabrzmiałe do twardości skały kostki stóp, wsparte o podnóżki siodełka. Goth wyglądał jeszcze gorzej niż ja. Był ode mnie nieco młodszy i zazwyczaj energiczny i wesoły. Nie tej nocy.

Powinniśmy rozmawiać, rozproszyć słowami ból. Wydaje mi się, że wszyscy to rozumieliśmy. Ale nie mogliśmy się przełamać, krępowały nas nasze własne, specjalne myśli. Dawniej każdy z nas osiągał wreszcie taki stan, w którym musiał się odezwać, bo myślał, że inaczej zwariuje, nawet Heynith, nawet Ren. Dawniej wszyscy mówiliśmy i słuchali, wcześniej czy później zamieniając się rolami, wylewaliśmy na siebie nawzajem nasze lęki, sny, sekretne wspomnienia i znaliśmy się już aż za dobrze. To napełniało nas strachem. Każdy z nas bał odkryć się za bardzo, przełamać zbyt wiele barier. Baliśmy się słabości – noża godzącego w najczulsze miejsce. Wszyscy byliśmy już ludźmi pokrytymi bliznami i dwa razy tak bojaźliwymi. I narastała obawa, że inni mogą zobaczyć, że jesteśmy tak bezsilni, tak słabi. A więc dzielące nas mury rosły i stały się jeszcze grubsze i gdy znowu potrzebowaliśmy rozmowy, nie mogliśmy się na nią zdobyć. Byliśmy już zbyt bliscy sobie, aby ryzykować dalsze zbliżenie.

Napływając i odpływając, powracały wypełniające ciemność wizje.

Magma kipiąca, czkająca gorącym oddechem, który śmierdział zgniłymi jajami.

Ten kadet, jego twarz nieludzka w śmiertelnym rozwarciu ust, krew buchająca falami ze strzaskanego czoła, zalepiająca otwarte oko, bulgocząca mu w nozdrzach, pieniąca się wokół warg, warg naprężających się, gdy głowa opadała mu gwałtownie na piersi, a potem odskoczyła do tyłu, waląc w ziemię, warg miękniących, gdy ciało zwiotczało, szczęka opadała i ustami rzucił się strumień krwi i flegmy, spływając po brodzie i szyi, wsiąkając w płótno tuniki. Jego stopy bębniące w ostatniej chwili o ziemię, wzbijające w górę jej grudki... Po omacku szukałem wytłumaczenia. Zabijałem już ludzi i nigdy nie robiło to na mnie większego wrażenia, powracając najwyżej we snach. Robiłem to mechanicznie: rutyna wspierana nienawiścią, nienawiść temperowana rutyną. Zastanawiałem się, czy ta noc kiedykolwiek się skończy. Przypomniałem sobie poranek, który obserwowałem z gór. Nie chciało mi się wierzyć, że ta noc się kończy. W mózgu zaświtała mi znowu jakaś wielka myśl.

Miasto pożerane przez kamień.

Kadet padający z szeroko rozkrzyżowanymi ramionami.

Dlaczego zawsze kadet w połączeniu z miastem? Czyżby jedno uczuliło mnie na drugie, a jeśli tak, to co na co? Wahałem się.

Czy oba te wypadki były jednakowo ważne?

Zagwizdał dowódca jednej z pozostałych drużyn.

Drgnęliśmy wszyscy, w jakiś sposób jeszcze bardziej sprężając się w sobie. Jodłujący gwizd rozległ się ponownie. Dźwięk unosił się w ciszy jak olej na wodzie. Ktoś nadchodził. Po chwili usłyszeliśmy szelest od strony gór i zbliżające się w dół zbocza trzeszczenie podszycia. Ktokolwiek to był, nie starał się nawet zachować ciszy. Zdawał się iść po omacku, przedzierając się przez splątany gąszcz i czyniąc przy tym nieopisany hałas, przypominający odgłos młócki. Goth i ja odwróciliśmy się w stronę tych dziwnych odgłosów, przyłożyliśmy karabiny do ramion i zarepetowaliśmy. To był instynkt. Zastanawiałem się, kto mógłby schodzić z gór w naszym kierunku. To był rozsądek. Heynith wykręcił się do nas plecami, aby obserwować kierunek przeciwny do tego, z którego dochodził hałas i oparł kolbę karabinu o obrzeże siodełka. To była ostrożność. Młocarz minął pod osłoną krzaków nasze stanowisko w odległości jakichś sześciu stóp. Dziesięć stóp dalej w dół zbocza, wzdłuż krawędzi stromej skarpy opadającej ku dolinie, rozciągała się wolna od krzaków polanka. Obserwowaliśmy ją. Zarośla na skraju polanki zatrzęsły się i ktoś rozgarnął je na boki. Wyszła z nich słaniająca się na nogach postać. To był zerowiec.

Goth wziął głęboki oddech i przez zaciśnięte zęby z sykiem wypuścił powietrze. Heynith pozostał niewzruszony, ale wyobrażałem sobie jego oczy, zwężające się za grubymi szkłami. Przez trzy uderzenia serca w mym mózgu panowała kompletna pustka, potem przyszło zdziwienie-zerowiec! Poderwałem lufę karabinu, wtedy przyszło niedowierzanie-zerowiec? i opuściłem lufę. Przez sekundę pustka, potem-skąd? i znowu-jak? Myśli splątały mi się w kłąb, muszka karabinu to unosiła się, to opadała.

Zerowiec pokonywał chwiejnym krokiem otwartą przestrzeń, zataczając co chwila powolne ósemki. Niemal runął w dół skarpy. Jedną stopę zatrzymał niezdecydowanie nad przepaścią, potem cofnął się gwałtownie, dźgnięty bodźcem odruchu bezwarunkowego. Zatoczył się parę kroków do tyłu jak pijany, zatrzymał się, z trudem odzyskując równowagę i osunął się na kolana.

Klęczał. Zwiesił nisko głowę i oparł przedramionami o ziemię, skierowując dłoń do góry.

Heynith położył swój karabin z powrotem na kolanach i potrząsnął głową. Powiedział, że niech go diabli, jeśli wie skąd tamten się tu wziął, ale musimy się go pozbyć. Gdyby go dostrzeżono, mógłby zdradzić zasadzkę. Automatycznie uniosłem karabin i wziąłem go na cel. Heynith powstrzymał mnie. Żadnego hałasu, powiedział, nie teraz. Kazał Gothowi pójść i zabić go po cichu.

Goth odmówił. Heynith popatrzył na niego bez słowa i krew napłynęła mu do twarzy. Goth i Heynith już przedtem mieli się na pieńku. Goth był dobrym żołnierzem, odważnym jak byk, ale był przy tym uparty, miał zbyt wielkie ciągotki do kierowania się własnym zdaniem, zbyt wiele było w nim sentymentalizmu i przewrażliwienia, za dużo myślał, aby być naprawdę sprawnie działającym trybikiem w maszynie.

Nie zgadzali się od początku. Coś takiego nie byłoby tolerowane aż do tej pory, gdyby Kwestarze tak rozpaczliwie nie potrzebowali ludzi. Goth był diabłem w walce, kiedy już do niej doszło, jednym z najlepszych i dlatego dotychczas wybaczano mu jego upór. Odznaczał się jednak osobliwą delikatnością. Nie wykształcił w sobie warstw otępiałej niewrażliwości, koniecznej przy prowadzeniu wojny podjazdowej, a to niemal nieuchronnie prowadziło do zguby. Już przedtem zastanawiałem się obojętnie jak długo pociągnie.

Goth był dziedzicznym pełnorozumnym, jednym z nielicznych,

którzy związali się z Kwestarzami. Był kiedyś kadetem instruktorem w Administracji, uzyskał dostęp do starych archiwów i ich lektura powoli zraziła go do Zjednoczenia. W psychologicznie odpowiednim momencie zetknął się z przybierającą na sile agitacją propagandową Kwestarzy i zdezerterował. Po dwuletnim okresie próbnym dopuszczono go do aktywnego uczestnictwa w tym ruchu. Goth był jednym z niewielu frontowców, którzy walcząc w szeregach Kwestarzy kierowali się raczej idealizmem niż nienawiścią i dlatego nie ufaliśmy mu. Heynith też żywił niechęć do dziedzicznych pełnorozumnych. Zanim przyłączył się do Kwestarzy, był przez ponad dwadzieścia lat częścią sześcioklonu przemysłowego. Jego Szóstka zginęła w wypadku przy pracy, zawinionym przez zwykłe niedbalstwo Zjednoczenia. Ocalał jedynie Heynith. Zjednoczenie złożyło mu wyrazy współczucia i oznajmiło, iż planuje wycięcie z niego nowego klonu, który zastąpiłby zniszczoną Szóstkę. On oczywiście, z racji starszeństwa, stanąłby na jej czele. Uśmiechali się doń, nie widząc przyczyny, dla której nie miałby pracować przez następnych dwadzieścia lat z biologicznymi kopiami zmarłych braci i sióstr, z ludźmi przypominającymi do złudzenia jego samego z czasów młodości, nie noszącego jeszcze piętna lat znoju. Heynith podziękował im grzecznie, wyszedł i szedł tak i szedł, przemierzył pieszo Śmietnisko Vonix i przyłączył się do Kwestarzy.

Widziałem jak pod wpływem wściekłości na Gotha to wszystko odbija się na twarzy Heynitha. Goth także czuł tę nienawiść, ale postawił na swoim. Zerowiec nie był w stanie wyrządzić nikomu żadnej krzywdy, więc on nie miał zamiaru go zabijać. Dosyć już było rzezi. Krew odpłynęła z twarzy Gotha i widziałem jak w jego oczach odbija się D'kotta, ale nie czułem doń sympatii, pomimo moich własnych niedawnych koszmarów. Odmówił wykonania rozkazu. Pomyślałem o Masonie, człowieku, którego zastąpił Goth, człowieku, który umarł na moich rękach na Itica i nienawidziłem Gotha za to, że zamiast Masona żyje on. Kochałem Masona. Był antykwariuszem w archiwach Urheim i pracował dla Kwestarzy niemal od samego początku. Po latach owocnej służby jego działalność została wykryta przez Zjednoczenie. Uszedł wtedy obławie, ale jego rodzina pozostała. Zaproponowano mu pracę administracyjną w Kwaterze Głównej Kwestarzy, ale odrzucił tę ofertę i nie zważając na ostrzeżenia, że to samobójstwo dla człowieka w jego wieku, domagał się, by przydzielono go do jednostki bojowej. Mason był wysokim, łagodnym, wykształconym mężczyzną, udającym gbura i nieokrzesańca i płakał nocami, gdy sądził, że nikt tego nie widzi. Często myślałem, że gdyby bardziej się postarał, mógłby uciec z Itica, ale on był załamany, chory, dręczony wyrzutami sumienia, zmęczony i jego dusza nie chciała już uciekać. Ta myśl powracała potem często, zmuszając mnie do łamania sobie nad tym głowy. Mason był jedynym człowiekiem, o którego kiedykolwiek się troszczyłem, był tym, który bardziej niż ktokolwiek przyczynił się do wyciągnięcia mnie z mroków nieświadomości i przywrócenia mi człowieczeństwa i w tym momencie mógłbym zastrzelić Gotha, bo wydawało mi się, że kala pamięć Masona.

Heynith w końcu wybuchnął. Splunął na Gotha, zaczął mu wymyślać od różnych, potem przerwał i tylko wpatrywał się weń rozwścieczonym wzrokiem. Usta mu pobielały. Zanim zamilkł, przechwyciłem szybkie spojrzenie, jakie mi rzucił, niemal niezauważalny obrót głowy. Zapomniał się i nazwał Gotha zmartwychwstańcem, przezwiskiem szeroko na Świecie rozpowszechnionym, którego starannie unikano od kiedy dołączyłem do oddziału. Moja furia przerodziła się w zimną złość, obrzydliwy wstręt nie tylko do Gotha, ale i do całego świata.

Heynith powiedział Gothowi, że policzy się z nim później, dobrze się z nim policzy i kazał mi iść i zabić zerowca. Zabrać go najpierw w jakieś ustronne miejsce w górę zbocza, potem ukryć ciało.

Wygramoliłem się mechanicznie z okopu i ruszyłem zboczem w dół, w kierunku polany. Przez kilka pierwszych kroków przepełniała mnie złość i z wściekłością smagałem krzaki obleczonymi w watowane rękawice rękoma, rozgarniając je gwałtownie na boki, ale złość szybko odpłynęła, pozostawiając pustkę i otępienie. Wiedziałem teraz co naprawdę o mnie myśli reszta oddziału. Jakoś nigdy dotąd nie dopuszczałem tej myśli do siebie. Teraz wpadłem w to z butami, a razem ze wszystkimi katuszami, przez jakie przeszedłem w ciągu ostatnich dwu dni było tego już za wiele.

Wtargnąłem na polanę.

Odgłos moich kroków wywołał u zerowca reakcję, dźwignął się na nogi i chwiał jak pijany. Ramiona zwisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Zwrócił twarz w moją stronę. Był nieco wyższy ode mnie, wątłej budowy i nie mógł ważyć więcej niż sto funtów. Był łysy, kompletnie bezwłosy. Palce miał wysuszone, z dłoni zwisało miękkie ciało. Ta dłoń nigdy nie była używana. Duże palce u nóg były wykształcone, aby umożliwić technikom przepędzanie go z jednej sekcji Mózgu do drugiej, ale stopy nigdy nie miały szansy umięśnić się czy stwardnieć: były teraz miazgą krwi i ran. Nos był nieregularną plamą różowego mięsa wokół nozdrzy, również uszy były w zaniku. Oczy miał olbrzymie: ogromne mlecznobiałe białka i małe źrenice, jak u nocnych pająków, przystosowane do wiecznego mroku Mózgu. Pozostawiono je, aby nie pozbawić go całkowicie zmysłów postrzegania, co mogłoby się ujemnie odbić na funkcjonowaniu jego mózgu. Na skroniach, na nadgarstkach, u nasady kręgosłupa, skąd wyrwane zostały elektrody, widniały małe, paskudne rany. Miał na sobie podobne do piżamy ubranie z nieprzewodzącego materiału, ale teraz znajdowało się ono w opłakanym stanie. Pozostało po nim tylko kilka bezładnie zwisających strzępów. Nie miał narządów płciowych. Ciało pod klatką piersiową było dziwnie zapadnięte – żadnego żołądka, czy przewodu pokarmowego. Cały pokryty był sińcami, zadrapaniami, głębokimi ranami, rozległymi plamkami oparzeliny drugiego stopnia, w innych miejscach śladami poważnego odmrożenia lub szpetnymi bliznami poparzeń od zetknięcia się z nocnymi krzakami.

Moja groza wzrastała, przeradzając się z wolna w pierwotne przerażenie.

On był z D'kotty, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Przeżył jakoś zagładę swojego Mózgu, doszedł jakoś przez wrzące piekło do podnóży gór, wdrapał się jakoś na szczyt, przelazł na drugą stronę. Wątpiłem, że jego działaniu przyświecał jakiś określony cel: prawdopodobnie wyszedł po prostu na ślepo z rozwalonego Mózgu i szedł dalej po linii prostej. Dowodziło tego jego zachowanie się nad skarpą. Może i wcześniej jakiś instynkt pomagał mu omijać napotkane po drodze pułapki, ale teraz był już wyczerpany, zbity z tropu, zagubiony. To był cud, że doszedł tak daleko, a męki, jakie musiał cierpieć po drodze były niepojęte. Wzdrygnąłem się ze zgrozą. Zjeżyły mi się włosy na karku.

Zerowiec rzucił się w moim kierunku.

Zaskowyczałem i odskoczyłem do tyłu, niemal padając. W locie poderwałem lufę karabinu.

Zerowiec zatrzymał się. Głowa mu się chwiała, opisując powolne półkola. Toczył oczyma i wątpiłem, czy w ogóle mnie widzi. Musiałem być dla niego rozmazaną plamą ciemniejszej szarości.

Próbowałem uspokoić mój nierówny oddech. On nie mógł mi nic zrobić, był nieszkodliwy, prawie umarły. Powoli opuściłem lufę, oderwałem palce od kolby i przewiesiłem karabin przez ramię.

Przesunąłem się ostrożnie w stronę zerowca. Słaniał się na nogach, ale pozostał tam, gdzie stał. W dole, u stóp urwiska, widziałem próżnioprom – nikłą plamkę metalicznego połysku. Wyciągnąłem powoli rękę. Zerowiec nie poruszył się. Z tak bliska widziałem jak jego sterczące żebra z wysiłkiem unoszą się i opadają w rytm nierównego oddechu. Drżał. Niespodziewanie całą jego postacią wstrząsnął konwulsyjny spazm. Zdziwiłem się, że nie cuchnie – plotka głosiła jakoby zerowcy wydzielali silny, specyficzny odór – tak przynajmniej opowiadano w obozach polowych. Bzdura, jakich wiele głoszono w tamtych czasach. Zafascynowany obserwowałem go przez chwilę, ale doświadczenie podszepnęło mi, że długo nie mogę tu stać – byliśmy zanadto widoczni. Postąpiłem drugi krok, wyciągnąłem po niego rękę i zawahałem się. Wzdragałem się go dotknąć. Walcząc z odrazą wyszukałem na jego ramieniu nie poparzone i nie zranione miejsce i mocno zacisnąłem na nim dłoń.

Zerowiec drgnął. Ale nie usiłował mi się wyrwać czy uciekać. Przez sekundę czekałem, gotowy do zmiany mego chwytu na obronny, gdyby próbował mnie zaatakować. Pozostał nieruchomy i tylko jego ciało pełzało mi pod palcami. Zadowolony, że zerowiec nie stawia oporu, popchnąłem go i ruszyłem w górę zbocza.

Dał się popychać aż dotarliśmy do pierwszych nocnych krzaków. Wtedy zatrzymał się i wydał miaukliwy, nieartykułowany dźwięk. Krzew oparzył go, wysysając ciepło z jego ciała. W miejscach, gdzie kawałki skóry przylgnęły do krzaka, powstały świeże, szpetne pręgi. Wzruszywszy ramionami popchnąłem go znowu przed sobą. Miauknął i szarpnął się. Przystanąłem. Oczy zerowca powędrowały w moim kierunku. Zaskomlał z bólu. Klnąc siebie samego za marnowanie czasu wysunąłem się przed niego i ruszyłem przodem, ciągnąc go za sobą i torując drogę przez zarośla. Odgarniane gałęzie chlastały o mój termoskafander nie czyniąc mi żadnej szkody, od czasu do czasu któraś wyślizgiwała się z rąk i smagała zerowca, który wzdrygał się wtedy i skamlał, unikał jednak większości z nich. Zastanawiałem się dlaczego to robię. Po co zawracać sobie głowę oszczędzaniem komuś (czemuś – poprawiłem się nerwowo) bólu, jeśli i tak za chwilę masz go (to) zabić? Co to da? Odpędziłem od siebie te myśli i skupiłem się na ruchach mego ciała. Zerowiec nie był ciężki, ale mimo to nie było łatwe ciągnąć go pod górę, zwłaszcza że potykał się co parę jardów, padał i musiałem go z powrotem stawiać na nogi. Wkrótce byłem zlany potem, ale nie zwracałem na to uwagi, bo działanie pomagało mi zająć czymś mózg. Wchodziliśmy pod górę, aż znaleźliśmy się o trzydzieści stóp ponad okopem, zajmowanym przez Heynitha i Gotha. Miejsce wy-

glądało na dobre. Krzaki sięgały tu prawie do piersi i były wystarczająco wysokie, aby zasłonić ciało zerowca przed obserwacją z powietrza. Zatrzymałem się. Zerowiec wpadł na mnie jak ślepy i znieruchomiał, wsparty o moje plecy. Jego rzężący oddech rozlegał się tuż przy moim uchu. Przy tym niespodziewanym kontakcie moim ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Gęsia skórka pokryła mi ramiona i nogi, rozpełzła się na całe ciało. Pamięć podszeptywała mi jakieś skojarzenia, ale zignorowałem je pod groźą narastającej paniki. Wykręciłem ramię, na którym spoczywał ciężar zerowca i strząsnąłem go z siebie. Ześliznął się parę stóp w dół zbocza prawie upadł, odzyskał równowagę.

Obserwowałem go, dysząc ciężko. Powróciły wspomnienia, wygryzając się z mroków podświadomości. Tym razem się przegryzły.

Mason, pełznący na czworakach, w kierunku czekającej łodzi podwodnej, po zalewanych morskimi falami skałach Cape Itica, a za nim ogień biczujący niebo, wyławiający nas z ciemności. Mason zbyt wolno przesadzający skałę, zbyt długo balansujący na jej ostrej jak brzytwa krawędzi i rysujący się wyraźną sylwetką na tle nocnego nieba. Mason, ugodzony wiązką stapiacza, biorącą swój początek na szczycie wysokiego wzgórza, prostujący się gwałtownie z dziurą w topniejących jak wosk plecach. Mason, padający mi w ramiona, niemal obalający mnie na kolana. Mason, już nieżywy, ciążący mi na rękach. Mason, oderwany ode mnie przez załamującą się nad nami i zalewającą mnie pianą falę. Mason, znikający mi z oczu i Heynith wrzeszczący, żebym ruszał dalej i brnął po pierś w morskiej wodzie do łodzi podwodnej... Z tym właśnie skojarzyło mi się podpieranie zerowca:

Mason, ciążący mi na rękach.

Zamęt w głowie, strach i mdłości.

Jak zerowiec mógł skojarzyć mi się z Masonem?

Wściekłość na samego siebie za to, że mój umysł mógł porównać Masona, szlachetnego jak wymarzony ojciec, którego nigdy nie miałem, z czymś tak odpychającym jak zerowiec. Gniew narastał, usiłując zatrzeć wstyd i poczucie winy. Nie mogłem wytrzymać. Pozwoliłem spłynąć mu na zerowca. Warcząc skoczyłem naprzód i potrząsnąłem nim wściekle, a głowa chwiała mu się i chybotała na wątłej szyi. Złapałem go za ramiona i cisnąłem na kolana.

Wyrwałem z pochwy nóż. Ostrze błysnęło w gwiezdnej poświacie. Objąłem go ramieniem za gardło, aby odchylić głowę do tyłu. Ciało miał ciepłe. Pod moją dłonią łomotał puls.

Naraz gniew minął i pozostały tylko mdłości.

Uprzytomniłem sobie nagle jak zimna jest noc. Wiatr przenikał do szpiku kości.

Patrzył na mnie.

Wydaje mi się, że miałem szczęście. Sieroctwo nie jest już tak powszechnym zjawiskiem, jak niegdyś – nie w społeczeństwie, w którym reprodukcja przeniesiona została do laboratoriów – ale ze sporą regularnością zdarza się nadal. Byłem synem nieklonowanego młodszego instruktora, który zaciągnął ogromny dług kredytowy, zbankrutował i zmuszony został do ogłoszenia niewypłacalności. Zjednoczenie wycięło z niego klon, aby powstałe w ten sposób ludzio-godziny odpracowały dług bankowy, wypaliło mu wyższe poziomy mózgu i wtrąciło go do jednego z karnych Środowisk Kontrolowanych dla bezrozumnych. Jego żonę również klonowano, ale ona uniknęła skrobanki mózgu i wróciła do pracy niskiej kategorii w Administracji. Ja, jako dziecko, dostałem się wtedy pod kuratelę państwa i wysłano mnie do jednego ze Środowisk przemysłowych. Wyobraź sobie niekończące się serie cichych szmerów, powtarzanych wciąż od nowa, bez żadnych wyższych ani niższych tonów, cały czas jednostajne: MMMMMMMMMMM MMMMMM. Coś w tym rodzaju. To jedyny sposób na opisanie lat spędzonych w Środowiskach. Karmiono nas, trzymano w cieple, pracowaliśmy na taśmach montując zminiaturyzowany sprzęt, usypiano nas elektronicznie, budziliśmy się z palcami już zajętymi wykonywaniem monotonnych, rytmicznych ruchów, które nie wiadomo skąd potrafiliśmy wykonywać, ruchów, które powtarzaliśmy miliony razy dziennie od dzieciństwa. Raz na dzień podawano nam posiłek, składający się z koncentratów i witamin. Co pewien czas, w dokładnie wyliczonych odstępach, zmuszano nas do zwiększenia wysiłku mięśni. Po osiągnięciu okresu dojrzewania onanizowano nas czasami bodźcami elektrycznymi, a nasienie przesyłano do banków spermy. Administratorzy Środowisk nie byli okrutni, prawie ich nie oglądaliśmy. Instruktorzy nie musieli być okrutni. Wystarczyło to MMMMMMMMMMMMMMM. Gdzieś na wczesnym etapie, poddając prawdopodobnie wstrząsom i bodźcom mechanicznym, nauczono nas wkładać odpowiednią część w odpowiednią szczelinę sunących przed nami po taśmie bloków sprzętu. Nigdy nie nauczono nas mówić, chociaż, niezależnie od tego, rozwinął się między nami pewien rodzaj skrajnie ograniczonego języka, składającego się z kilku nastrojodźwięków. Instruktorzy w tych rzadkich przypadkach, kiedy przychodzili sprawdzić działanie nadzorującej nas aparatury nigdy się nie odzywali. Nigdy nie powiedziano nam kim byliśmy, gdzie jesteśmy. Nigdy nic nam nie mówiono. Te sprawy nic nas nie obchodziły, te pojęcia nigdy nie uformowały się w naszych umysłach. W najlepszym przypadku i tak byliśmy tylko półświadomi. Nie istniało dla nas nic, prócz tego MMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMM MMMMMMMMM. Instruktorzy nie interesowali się naszym rozwojem psychicznym. Ze Środowisk nie było żadnej drogi awansu społecznego. W tym sztywno uwarstwionym społeczeństwie nie było dla nas innego miejsca, do którego moglibyśmy pójść. Zjednoczenie wywiązywało się ze swego obowiązku, utrzymując nas przy życiu w miejscu, w którym mogliśmy być chociaż minimalnie użyteczni. Chociaż wykonywane przez nas prace były mało skomplikowane i z pewnością większe korzyści przynosiłoby powierzenie ich komputerowi, uważali koszta związane z naszym utrzymaniem za uzasadnione społecznie, szufladkowali nas wygodnie. Byliśmy tam, aby żyć. Mogliśmy wyrosnąć z niemowlęctwa, postarzeć się i umrzeć, skąpani w MMMMMMMMMMMMMMMMM MMMMMMMM. Moim pierwszym realnym, wyróżniającym się wspomnieniem jest napad Kwestarzy na Środowisko: ściana hali montażowej, rozjarzająca się do czerwoności, wybrzuszająca się, waląca do zewnątrz, Mason, wypadający z chmury dymu i pyłu z karabinem gotowym do strzału i podchodzący wolno do mnie. To późniejsza refleksja. Wtedy była to tylko nagła inwazja niezrozumiałych dźwięków, świateł, kształtów i barw, zbyt wielu, aby można je pojąć, niewiarygodnie obcych. To była pierwsza fałszywa nuta, jaka wtargnęła w nasze życie: MMMMMMMMMMMMM!!! – gruchocząc w jednej chwili nasz świat, popychając nas w inny wymiar egzystencji. Kwestarze uprowadzili nas wszystkich, załadowali do próżniopromów, zabrali na wzgórza, próbowali choć po części naprawić wyrządzoną nam krzywdę. To było sześć lat temu. Biorąc nawet pod uwagę środki, jakimi dysponowali Kwestarze w swym podziemnym kompleksie – hipnotrenerzy i komputery analizujące, które, podczas gdy moje ciało pogrążone było w letargu, przywracały mi dzieciństwo i krok po kroku prowadziły ponownie przez dziesięć tysięcy lat czasu subiektywnego – nawet biorąc pod uwagę to wszystko miałem szczęście, że wyszedłem z tego w miarę normalny. Większość zmarła lub zapadła w stan katalepsji. Jak się potem okazało, miałem nawet szczęście, że znalazłem się pod kuratelą państwa. Miałem szczęście, że byłem zmartwychwstańcem. Mógłbym być przecież klonem niskiej kategorii bez układu trawiennego, na zawsze nierozerwalnymi więzami związanym ze Zjednoczeniem. Albo mógłbym być jednym z hodowanych w zamkniętych pomieszczeniach, kompletnie bezrozumnych stworów, których mózgi wykorzystywane są jako banki pamięci komputera organicznego w Mózgach: mógłbym być zerowcem.

Ogromne oczy, wpatrujące się we mnie bez mrugnięcia.

Ciepło pod mymi palcami.

Myślałem, że zwymiotuję.

Wiatr zawodził monotonnie w dolinie poszumem przypominającym MMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMMM.

Heynith syknął na mnie, żebym się pośpieszył. Ten ledwo dosłyszalny dźwięk przyniósł mi wiatr. Zacisnąłem dłoń na rękojeści noża. Mówiłem sobie: on i tak nigdy nie był naprawdę rozumny. Jego mózg był używany jedynie jako jednostka zewnętrzna komputera, nie ma w nim żadnej indywidualnej inteligencji. Nie zrobi mu to żadnej różnicy. Mówiłem sobie: i tak umiera z tuzina powodów. Cierpi na ból. Zabijając go sprawię mu ulgę.

Uniosłem nóż i przyłożyłem go do gardła zerowca. Napierałem powoli na ostrze, aż w ciele na szyi powstało pod nim gotowe w każdej chwili pęknąć zagłębienie.

Oczy zerowca zbiegły się u nasady nosa i śledziły ostrze noża.

Żołądek podszedł mi do gardła. Odwróciłem głowę i spojrzałem na dolinę. Czułem, że mój z takim mozołem budowany świat trzęsie się w posadach i rozmazuje wokół mnie, czułem się znowu katapultowany na inny poziom pojmowania, którego istnienia wcześniej nie podejrzewałem. Bałem się.

Błysnęły reflektory próżniopromu. Dwukrotnie zapaliły się i zgasły.

Padłem na ziemię, kryjąc się pod lepkimi krzakami. Machinalnie pociągnąłem za sobą zerowca i obejmując go ramieniem za szyję rozpłaszczyłem na brzuchu. To był znak od Rena, że odebrał sygnał wywoławczy z orbota, dał mu przez radio odpowiedź prawidłowym szyfrem, aby sprowadzić go na ziemię. Wyobrażałem go sobie, jak obsługując przyrządy uśmiecha się w zaciemnionej kabinie.

Unosząc się na łokciu gwałtownym ruchem podniosłem nóż i zawahałem się na moment, szukając wzrokiem miejsca, w którym kark przechodzi w plecy – miejsca najlepszego na zadanie ciosu. Jeśli mam go (to) zabić, muszę zabić go (to) teraz. Szybko, jak seria

slajdów, jak ciąg działań wykonywanych przez komputer przy rozwiązywaniu równania, przeleciało mi przez myśl: D'kotta – kadet – Mason – zerowiec. Pojęcia: „to" i „on" wciąż mi się mieszały. Niech będzie „on". Opuściłem nóż. Nie mogłem tego zrobić. On był człowiekiem. Każdy nim był.
Zmieniłem się na lepsze, czy na gorsze. Nie byłem już tą samą osobą.
Spojrzałem w niebo. Gdzieś w górze, na skraju atmosfery, wisiała błyszcząca kolekcja przeciwstawnych sił nazywana gwiazdolotem, delikatnie niewrażliwa jak żelazny motyl. Na przemian to znika z „rzeczywistości", to wynurza się w niej, aby utrzymać swą pozycję nad Światem, powiązana z tym kontinuum najwątlejszymi jedynie nićmi. Wystrzelił właśnie orbota, posłał go na spotkanie z próżniopromem w tej dolinie. Orbot jest wypełniony kulturami genów, które można będzie wykorzystać do stworzenia setek tysięcy bezrozumnych klonów, a im z kolei wryć w mózgi wzory zachowań celem przekształcenia w sterowanych komputerowo żołnierzy. Okrutne, ale efektywne. Orbot jest wypełniony milionami maleńkich, metalowych kostek przechowywanych pod ogromnym ciśnieniem. Po zmniejszeniu ciśnienia molekularna pamięć odtworzy ich kształty, przetwarzając sześcianki w arsenał wszelkiej broni, wymagającej tylko źródła zasilania, aby nadawała się do użycia. Orbot wiezie więc wielką armię i jej sprzęt bojowy pod postacią umożliwiającą jej transport pięćsetstopowym próżniopromem do Urheim, gdzie znajdują się urządzenia zdolne postawić je w stan gotowości bojowej. To była ostatnia szansa Zjednoczenia, drugi wiatr, którego potrzebowali w swe żagle, aby przetrwać. Przedsięwzięcie finansowały różne firmy przemysłowe Wspólnoty, mające swój interes w tym, aby Zjednoczenie przetrwało na Świecie. Ładunek orbota załadowany został i wysłany przed D'kottą, kiedy liczono na to, że takie wsparcie pomoże odnieść Zjednoczeniu zwycięstwo. Teraz było ono niezbędne. Po D'kottcie Zjednoczenie nabrało obaw, że następne może być Urheim, że, jeśli miasto jest otoczone, orbot może zostać przechwycony przez Kwestarzy, gdy będzie próbował wylądować. Tak więc Zjednoczenie postanowiło sprowadzić orbota na ziemię gdzie indziej, a jego ładunek przemycić do miasta. Na miejsce spotkania wybrano Dominikany, bowiem prawdopodobieństwo, że Kwestarze będą się spodziewali jakiejkolwiek działalności Zjednoczenia w tym rejonie tak szybko po D'kotcie było minimalne, a jeśli nawet zatrzymają prom, to mogą go wziąć za pojazd przewożący uciekinierów z D'kotty i zignorować. Skontaktowano się poprzez esper z będącym już w drodze gwiazdolotem i poczyniono zmiany w planie.
Czterech ludzi zginęło, aby poznać plan akcji.
Jeszcze dwóch zapłaciło życiem, aby dowiedzieć się o nowym miejscu lądowania i na czas przekazać tę wiadomość Kwestarzom.
Z nieba opuszczał się orbot.
Patrzyłem nań jak urzeczony, klękając i wystawiając głowę ponad krzaki. Zerowiec poruszył się pod moją ręką, dźwignął z ziemi, usiadł.
Orbot był punkcikiem, plamką, piłką, zabawką. Cicho ześlizgiwał się po wiązkach antygrawitacyjnych wprost na nas.
Wyobraziłem sobie Heynitha przygotowującego laser, Gotha patrzącego w górę i ssącego wargę, jak to zwykł czynić w chwilach napięcia. Widziałem, że powinienem być przy nich, ale nie mogłem się ruszyć. Strach i napięcie były ciągle we mnie, ale znajdowały się jakby pod szkłem. Byłem już wydrenowany emocjonalnie. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie już nic więcej, nawet w obliczu śmierci.
Orbot napęczniał do rozmiarów ogromnej kulistej góry.
Opadał ku miejscu, w którym liczyliśmy, że wyląduje. Teraz zawisł nad środkiem doliny, ocierając się niemal o jej dwie przeciwległe ściany. Wypełniał już całe niebo i odruchowo odchyliłem się do tyłu. Zaczął znowu opadać...
Pierwszy otworzył ogień Heynith.
Z ziemi trysnęła silna wiązka światła, wpijając się w burtę orbota. Po chwili ze ściany po drugiej stronie doliny wystrzeliła druga, a po niej trzecia, jednocześnie dwie pozostałe. Orbot zawisł, sparaliżowany czterema nieruchomymi, niewyobrażalnie jasnymi słupami.
Przez chwilę wydawało się, że nic się nie stanie.
Wyobraziłem sobie konsternację na pokładzie orbota i pilota starającego się szybko odwrócić polaryzację wiązki antygrawitacyjnej. Na kadłubie pojazdu wykwitły cztery rozlewające się coraz szerzej wiśniowo-czerwone plamy. Potem z wolna bielały.
Słyszałem jak zerowiec porusza się obok mnie i wstaje.
Podniosłem się również, dłonią osłaniając oczy przed blaskiem.
Orbot eksplodował.
Oczywiście, to nie poszedł reaktor – są tak zbudowane, że nie może do tego dojść. To były tylko konwencjonalne silniki pomocnicze, stosowane do manewrowania i do zasilania systemów wewnętrznych. Ale to wystarczyło.
Wyobraź sobie gmach, zwijający się w gigantyczną kamienną pięść i walący nią w ciebie. Miazga. Ból tak straszliwy, że gasi twą świadomość zanim zdążysz go poczuć.
Ostrzeżony instynktem miałem jeszcze czas na zrobienie dwóch rzeczy:
Pomyślałem, wyraźnie pamiętam: a więc ta noc nigdy się nie skończy.
I zrobiłem krok do przodu, wysuwając się przed zerowca, aby osłonić go własnym ciałem.
Potem nic już nie pamiętam.
Ocknąłem się na krótko, czując ból nie do zniesienia. Świat był litą bryłą czystej czerwieni. Gdzieś z daleka dolatywał mnie czyjś krzyk. To ja krzyczałem.
Ocknąłem się znowu. Ból zelżał. Widziałem. Był dzień i nocne rośliny zamarły. Słońce oblewało swym światłem nagie skały. Nade mną stał zerowiec, wydając się dotykać głową nieba. Krzyknąłem w nieziemskim przerażeniu. Świat znikł. Gdy ponownie otworzyłem oczy, niebo było bardzo zachmurzone i padał deszcz, jedna z tych ulewnych, południowych nawalnic. Medyk Kwestarzy robił coś przy mojej nodze, a w pobliżu stał próżniolot. Zerowiec leżał na plecach o kilka stóp ode mnie z kulą w piersiach. Głowę miał uniesioną ku ołowiano-szarym chmurom. W jego oczach odbijał się deszcz.

Tak właśnie było z moją nogą. Zniszczeniu uległo tak dużo połączeń nerwowych, że nie mogli mi przyszyć nowej i musiałem zadowolić się tą sztywną protezą. Ale przyzwyczaiłem się do niej. Uważam ją za opłatę za naukę.
Nauczyłem się dwóch rzeczy: że każdy jest człowiekiem i że wszechświat jest obojętny na wszystko. Odpowiedzialni są tylko ludzie. Wszechświat ma wszystko gdzieś. Czy to nie cudowne? Czy to nie ulga? On nie dąży do tego, żeby przy pierwszej sposobności podstawić ci nogę, ani też nie zamierza ci pomagać. Jesteś zdany na własne siły. Wszyscy jesteśmy pozostawieni samym sobie i wszyscy sami musimy się o siebie troszczyć. Sami tworzymy nasze własne raje i piekła. Nie możemy zwalać odpowiedzialności za swe czyny na nikogo. O ile łatwiej by było, gdybyśmy mogli obarczać swoimi złymi i dobrymi uczynkami Boga.
Och, mógłbym w to wszystko wmieszać jakieś nadprzyrodzone siły – twierdzić, że zostałem Ocalony, bo sam ocaliłem zerowca, że wynagrodziła mnie za to jakaś łaskawa siła – a co z Gothem? Zginął, a gdyby nie ociągał się wtedy z wykonaniem rozkazu, zerowiec nie pozostałby przy życiu na tyle długo, abym mógł mieć z nim cokolwiek wspólnego. Co z innymi członkami oddziału? Wszyscy zginęli – czy nie było między nami człowieka tak dobrego jak ja i tak samo wartego ocalenia? Nie, nie, przyczyna mego ocalenia jest o wiele prostsza. Popychany przekonaniem o jego człowieczeństwie, osłoniłem go przed eksplozją. Wybuch przeżyło jeszcze trzech ludzi, ale wystawieni na bezpośrednie działanie promieni słonecznych umarli na wiele godzin przed przybyciem grupy medycznej – słońce upiekło ich na śmierć. Ja nie umarłem, bo przez te godziny, kiedy słońce smażyło skały, stał nade mną zerowiec i padał na mnie jego cień. Nie twierdzę, że robił to świadomie, że osłaniał mnie celowo (chociaż kto wie), ale zaznał ode mnie ciepła, jakiego nie znał do tej pory, żyjąc w długim koszmarze bólu, pozostał więc przy mnie, chociaż nic nie stało na przeszkodzie, aby uciekł – i na jedno wyszło. Nie potrzebujesz inteligencji ani słów, żeby odpowiedzieć życzliwością na życzliwość, można ją przekazać dotykiem palców – wiesz to, jeśli kiedykolwiek pieściłeś, kiedykolwiek byłeś zakochany. I dlatego ocalałem – ciepło za ciepło – z tego samego powodu, z jakiego w tym życiu zdarza się wszystko, co dobre. Kiedy przybyła grupa medyczna, zastrzelili zerowca, bo myśleli, że chce mi wyrządzić jakąś krzywdę. I to by było wszystko na temat naprzyrodzonej nagrody na Dobry Uczynek. Tak więc życzliwość wobec ludzi jest tym, co cementuje życie, jest płomieniem, którym się dzielimy, aby odpędzić strach. Ciepło jest jedyną odpowiedzią na stare, zimne pytanie.
I tak szedłem przez życie, chłopcze – popełniałem błędy, robiłem wiele rzeczy, często przenosiłem się z miejsca na miejsce, kochałem trochę i skończyłem na Kos, czekając na wieczór. Ale noc jest rzeczą względną. Zawsze się kończy. Zawsze, bo jeśli nawet nie ma cię w pobliżu, aby to obserwować, słońce i tak zawsze wstaje i zawsze będzie ktoś, kto to zobaczy.
Mamy dziś piękny i słoneczny poranek.
Zawsze jest gdzieś piękny poranek, nawet w dniu twojej śmieci.
Jesteś młody – nie potrafisz jeszcze czerpać z tego faktu otuchy. Ale nauczysz się.

Przełożył **Jacek Manicki**

■

NIEŚMIERTELNI

(The Immortals)

James Gunn

Klinika była pusta.

Henry Elliott stłumił ziewnięcie, idąc powoli w stronę udrapowanego stołu operacyjnego. Stół ustawiony był pod zimnym, bezcieniowym światłem w głębi dużej sali, wyłożonej antyseptycznymi, białymi kafelkami i przesyconej niewidzialnym, bakteriobójczym promieniowaniem ultrafioletowym. Zapalił palniki bunsenowskie, stojące po obu stronach stołu i włączył wentylatory, umieszczone pod freskiem przedstawiającym Nieśmiertelność, która zabija Śmierć strzykawką lekarską. Powietrze, płynące bezpośrednio z Centrum Medycznego, było czyste, wolne od bakterii i pachnące szpitalnym kadzidłem - alkoholem i eterem. Wiedza, chirurgia i ocalenie - klinika mogła je dać każdemu według potrzeb.

Harry doszedł do wniosku, że zapewne będzie to jeszcze jeden zwykły dzień. Wkrótce rozlegnie się przeraźliwa kakofonia sygnałów, oznajmiających godzinę szóstą i fabryki wypuszczą ludzką falę w kanały między wysokimi murami. A wtedy przez godzinę czy dwie będzie miał dużo pracy.

To była jednak niezła zmiana. Był zajęty tylko między szóstą a godziną policyjną. Od czasu do czasu mógł zerknąć do Dziennika Geriatrycznego albo wyświetlić parę szpul tekstu na wewnętrznej powierzchni szkieł swoich okularów. Nosił je nie po to, by lepiej widzieć (gdyby zachodziła taka konieczność, używałby szkieł kontaktowych), ale dlatego, że dobrze nadawały się do projekcji i wyglądało się w nich poważniej i bardziej dojrzale.

Dla osiemnastoletniego Harry'ego miało to duże znaczenie... Niedziela była paskudna. Ale niedziela dla każdego była paskudnym dniem.

Byłby szczęśliwy, gdyby miał już to wszystko za sobą. Jeszcze tydzień i znowu będzie pracował w środku. Jeszcze sześć miesięcy i spełni wszystkie wymogi stałego zatrudnienia w Centrum. Gdy tylko komisja go zaakceptuje, a nie wątpił, że tak właśnie się stanie, skończy wreszcie z kliniką. Nieść lekarstwa masom - owszem, to była bardzo piękna idea, o tym zresztą między innymi mówiła przysięga Hipokratesa, ale przecież lekarz powinien myśleć praktycznie. Przecież nie sposób zapewnić opiekę medyczną wszystkim. Leczenie jednemu zapalenia ucha, a drugiemu trypra było równoznaczne z wylewaniem antybiotyków do rzeki. Rezultaty były niezauważalne. Z osobami, które miały szanse na nieśmiertelność, sprawa wyglądała inaczej. W tym przypadku ratowanie życia miało jakiś sens. Mogło mu nawet przynieść odroczenie, wtedy, gdy będzie go potrzebował. A takie odroczenia mogą przekształcić się w nieśmiertelność.

Perspektywy były jednak niezbyt różowe. Najlepszym sposobem byłoby wymyślenie czegoś, dzięki czemu stałby się człowiekiem, którego warto zachować. Wtedy wdzięczni elektorzy będą głosować za przyznaniem mu nieśmiertelności. Właśnie dlatego Harry postanowił specjalizować się w geriatrii.

Najważniejsza była synteza. Świat nie mógł być ciągle uzależniony od Cartwrightów. Byli zbyt egoistyczni. Woleli ukrywać swą przypadkową nieśmiertelność, niż w regularnych odstępach czasu ofiarowywać pewną, nieszkodliwą dla zdrowia dawkę krwi. Jeżeli dokonana przez Fordyce'a analiza statystyczna badań Locka była poprawna, jest wystarczająco dużo Cartwrightów, by dać nieśmiertelność 50.000 śmiertelników - i liczba ta będzie wzrastać w postępie geometrycznym w miarę, jak na świat przychodzić będą następni Cartwrightowie. Gdyby tylko nie byli oni tak samolubni...

Ale jak do tej pory odnaleziono ich zaledwie tylu, by zapewnić nieśmiertelność tylko stu czy dwustu osobom - na dobrą sprawę nikt dokładnie nie wiedział ilu. Mogli dostarczać swą bezcenną krew jedynie w niewielkich dawkach. Uzyskiwano z niej znikome ilości gammaglobuliny, zawierającej czynnik immunizujący. Nawet przy zastosowaniu bardzo precyzyjnie obliczonego dozowania, musiano ograniczyć dostęp do szczepionki do małej grupy najniezbędniejszych osób. Musiano tak postępować również dlatego, że immunizacja miała charakter przejściowy. Utrzymywała się jedynie od trzydziestu do czterdziestu dni. Gdy jednak uda się syntetyzować proteiny krwi...

Szedł z wolna w stronę wyjścia na ulicę, mijając umieszczone po obu stronach długiego korytarza gabinety ze stojącymi w nich leżankami diagnostycznymi. Zatrzymał się między gigantycznymi laskami Eskulapa, podtrzymującymi belkę nadproża, tuż przed kurtyną powietrzną, która zamykała dostęp letniemu upałowi, zimowym chłodom, kurzowi i chorobom miasta.

Budynek kliniki jednym bokiem dotykał muru Centrum Medycznego. Naprzeciwko wznosiło się wysokie ogrodzenie fabryki, produkującej samochody pancerne, eksportowane potem do przedmieść. Z niej właśnie Centrum otrzymywało swoje ambulanse. Nieco dalej znajdowała się druga, mniejsza przybudówka. Na jej dachu umieszczony był neonowy napis: SKUP KRWI. Tuż przy drzwiach wejściowych widniał inny, mniejszy anons: „Obecnie płacimy 5 $ za pintę".

Już za parę minut technicy banku krwi będą mieli pełne ręce roboty. Zaczną wbijać igły w pokryte bliznami żyły przedramion robotników, którzy po oznajmiających koniec pracy gwizdkach zaczną przepływać przez laboratoria, trwoniąc swe siły żywotne. Wielu z nich wróci nim miną dwa tygodnie, inni, mniej liczni, po dwóch miesiącach. Nie było na nich sposobu. Będą robić wszystko: handlować dowodami osobistymi, zdzierać naskórek z wewnętrznej strony przedramienia, by zatrzeć poprzedni ślad igły, przysięgać, że blizny powstały po zastrzykach antybiotyków...

A potem jednym haustem wypiją sok pomarańczowy - niektóre dzieci oddawały krew tylko dlatego, że nigdy dotąd nie piły soku - schwycą swoje pięć dolarów i popędzą do najbliższego handlarza nielegalnymi antybiotykami i panaceami.

Albo oddadzą je znachorowi z sąsiedztwa, by namaścił balsamem jakiegoś leciwego inwalidę, albo by wymamrotał zaklęcia nad umierającym niemowlakiem.

No cóż, obywatele byli niezbędni. Musiał o tym pamiętać. Stanowili olbrzymie źródło preparatów immunologicznych. Byli oddani na pastwę wszelkich chorób, pleniących się z biedy, nieuctwa i brudu, chorób, przed którymi szlachetni byli zabezpieczeni. Szlachetni potrzebowali gammaglobuliny swych obywateli, ich antyciał. Szlachetni potrzebowali serum, które produkowały ciała obywateli, szczepionek wytwarzanych dzięki reakcjom ich organizmów.

Za bankiem krwi mur Centrum zakręcał gwałtownie. Dalej było miasto. Miasto nie umierało - ono już było martwe.

Drewniane domy przekształciły się w stosy gnijących rupieci. Czynszówki z cegły rozpadały się, jedynie tu i ówdzie sterczały fragmenty murów. Ściany z aluminium i magnezu były podziurawione i poszarpane. Wszędzie panował rozkład. Ale podobnie jak zielone pędy przebijają w lesie warstwę martwych liści, tak i miasto odradzało się na nowo. Z desek wyciągniętych ze śmietnisk budowano dwuizbową chałupę. Za ruinami czynszówki stał ceglany domek. Metalowe ściany przekształciły się w szeregi szałasów.

Wieczny krąg, pomyślał Harry. Ze śmierci rodzi się życie. Z życia - zagłada. Tylko człowiek może się z tego wyrwać. Z poprzedniego miasta pozostały tylko otoczone ogrodzeniami fabryki i rozległe kompleksy budynków szpitalnych. Wznosiły się za swoimi murami - wysokie, potężne i bezosobowe. Na murach, w pomarańczowo-czerwonych promieniach wiszącego nisko słońca, połyskiwały opancerzone strażnice.

Rozległy się gwizdki o różnej tonacji i natężeniu, tworząc dziwny, przerażający kontrapunkt, zharmonizowany z widokiem zachodzącego słońca. Było w tym coś pierwotnego i podniecającego, coś, co przypominało dziką ceremonię, która ma na celu wybłaganie u bogów powrotu słońca.

Bramy zwinęły się, odsłaniając otwory w murach fabryki. Robotnicy wylali się na ulicę - mężczyźni i kobiety, dzieci, starcy, słabi i silni. Byli w jakiś sposób do siebie podobni. Obdarci, brudni i schorowani - mieszkańcy miasta. Powinni czuć się nieszczęśliwymi, ale zazwyczaj byli radośni. Jeżeli znad rzeki nie nadciągnął jeszcze smog, patrzyli w górę, na błękitne niebo, śmiali się bez powodu. Dzieci pod nogami rodziców bawiły się w berka, krzycząc i chichocząc. Nawet starcy uśmiechali się pobłażliwie.

To zdrowi szlachetni zawsze byli stateczni i zatroskani. No cóż, to zrozumiałe. Ci, którzy żyją w niewiedzy mogą być weseli. Obywatele nie muszą przejmować się zdrowiem czy nieśmiertelnością.

Zresztą, to przekraczało ich możliwości pojmowania. Pojawiali się jak jętka-jednodniówka, by pofruwać beztrosko i umrzeć. Natomiast wiedza przynosiła troski, za nieśmiertelność trzeba było płacić.

Harry'emu natychmiast poprawiał się humor, gdy o tym myślał. Kiedy widział te wielkie hordy obywateli, którzy nie mieli najmniejszych szans na nieśmiertelność, od razu uświadamiał sobie swoją przewagę. Wychował się w podmiejskiej willi, daleko od chorób i rakotwórczych wyziewów miasta. Od niemowlęctwa miał zapewnioną najstaranniejszą opiekę lekarską. Miał za sobą cztery

lata szkoły średniej, osiem lat studiów medycznych i prawie trzy lata stażowania na internie.

W walce o nieśmiertelność dawało mu to wyraźną przewagę i uważał, że sprawiedliwą za to ceną było zatroskanie i niepokój.

Za murami zaczęły wyć syreny. Harry odwrócił się. Brama Centrum Medycznego zwinęła się.

Najpierw wyjechała eskorta na motocyklach. Ludzie na ulicy rozbiegali się pod ściany, pozostawiając wolne pasmo na środku jezdni. Policjanci niedbale przejechali tuż obok nich - zdrowi panicze z filtrami w nozdrzach, pychą w przysłoniętych goglami oczach, rewolwerami zawieszonymi nisko na biodrach. Policjant - to jest ktoś! - pomyślał Harry. Była w nich buńczuczność, cień przemocy.

To faceci z piekła rodem. I jeżeli przypisywane im powodzenie u kobiet tylko w jednej dziesiątej odpowiadało prawdzie, nie było kobiety - od obywatelki poczynając, przez personel techniczny, pielęgniarki i na damach z przedmieść kończąc - które byłyby w stanie im się oprzeć.

No cóż, niech sobie mają splendory i kobiety. On wybrał bezpieczniejszą i pewniejszą drogę do zdobycia nieśmiertelności. Niewielu policjantów ją osiągnęło.

Za motocyklistami pojawił się ambulans. Jego pancerne luki były zamknięte, automatyczne działko czterdziestomilimetrowe nerwowo poszukiwało celu. Z tyłu mknęła na motocyklach następna grupa policjantów. Nad konwojem gwałtownie znurkował śmigłowiec. Coś rozbłysło w promieniach słońca, przekształciło się w szereg małych, okrągłych przedmiotów, oddzielających się od maszyny i opadających łukiem na ulicę. Z cichym puknięciem pękały jeden po drugim układając się wzdłuż całego konwoju. Policjanci, jak kukiełki, którym nagle poprzecinano sznurki, zwalili się na jezdnię. Potoczyli się jeszcze siłą rozpędu, podczas gdy ich motocykle zwolniły i stanęły.

Ambulans nie mógł się zatrzymać. Przejechał przez ciało jednego z policjantów i uderzył w motocykl, spychając go z drogi. Czterdziestomilimetrowe działko drgało nerwowo, usiłując uchwycić śmigłowiec w celownik radarowy, ale maszyna leciała tuż nad dachami.

Zniknęła, zanim padł choć jeden strzał. Harry poczuł ostry, przenikliwy zapach. Jego głowa stała się jakby spuchnięta i lekka. Ulica przechyliła się i wyprostowała.

Zobaczył, jak w środku tłumu za ambulansem czyjaś ręka robi zamach. Coś czarnego mignęło w powietrzu i rozbiło się o dach ambulansu. Wokół bryznęły płomienie. Spływały po burtach, wciskały się w strzelnice i szczeliny obserwacyjne, wsysało je do chwytu powietrza.

Przez następną chwilę nic się nie działo. Przypominało to żywy obraz - ambulans i balansujące na jezdni motocykle, policjanci i najbliżej stojący obywatele zwinięci i poskręcani na chodniku, gapie, płomienie strzelające w górę, kłęby czarnego, tłustego dymu...

Otworzyły się boczne drzwi ambulansu. Chwiejnym krokiem wyszedł z nich medyk. Trzymał coś kurczowo w jednej ręce, drugą próbował ugasić liżące jego białą kurtę płomienie. Obywatele patrzyli w milczeniu. Nikt nie pospieszył z pomocą, ale nikt też nie przeszkadzał. Z tłumu wyszedł czarnowłosy mężczyzna. Uniósł rękę. Trzymał w niej coś ciemnego i obwisającego. Ręka opadła na głowę medyka.
Do Harry'ego nie dotarł żaden dźwięk. Wszystko zagłuszał ryk pracujących na wolnych obrotach silników motocykli i ambulansu.

Pantomima trwała dalej, a on był częścią widowni, która widziała jak medyk pada, mężczyzna zatrzymuje się, tłumi płomienie gołymi rękami, wyjmuje z dłoni medyka zaciśnięty przedmiot i spogląda na drzwi ambulansu.
Harry zauważył, że stoi w nich dziewczyna. Z tej odległości widział tylko, że jest ciemnowłosa i smukła.
Płomienie na ambulansie wypaliły się. Dziewczyna stała w drzwiach bez ruchu. Mężczyzna, znajdujący przy leżącym medyku popatrzył na nią, zaczął wyciągać rękę w jej kierunku, zatrzymał się, opuścił dłoń, odwrócił się i wtopił w tłum. Minęły zaledwie dwie minuty od chwili, w której zaczęły wyć syreny.
Obywatele w milczeniu ruszyli do przodu. Dziewczyna odwróciła się i cofnęła w głąb ambulansu. Obywatele obdarli policjantów z ubrań i broni, wyszabrowali z ambulansu czarną torbę i zapas medykamentów, pozbierali swoich leżących towarzyszy i zniknęli.
Przypominało to sztuczkę magiczną. Przed chwilą ulica była pełna. W następnym momencie nie było już nikogo, żywego ducha.
Za murami Centrum Medycznego znów zaczęły wyć syreny. Z Harry'ego jakby zdjęło urok. Zaczął biec po ulicy, krzycząc coś bez sensu.
Z ambulansu wyszedł mały, szczupły chłopiec. Miał nie więcej niż siedem lat, krótko obcięte blond włosy, ciemne oczy i smagłą twarz. Ubrany był w postrzępioną, niegdyś białą koszulkę tenisową i obcięte nad kolanami dżinsy.
Wyciągnął rękę w stronę ambulansu. Z drzwi wysunęła się na spotkanie żółtawa dłoń o palcach jak szpony i ramię, które przypominało powykręcany patyk, oplecony wijącymi się jak liany sznurami niebieskich żył. Była to ręka bardzo starego człowieka, stojącego na sztywnych, przypominających szczudła nogach. Jego włosy były cienkie i białe jak jedwabne nici. Skóra na twarzy i czaszce jak pomarszczony pergamin. Łachmany tuniki, spadając z kościstych barków i przygarbionego grzbietu, owijały się wokół ud.

Chłopiec powoli i ostrożnie wyprowadził starca na zniszczoną nawierzchnię. Stary człowiek był niewidomy. Płaskie, ciemne powieki przykrywały puste oczodoły. Z wysiłkiem pochylił się nad leżącym medykiem. Zbadał dotykiem jego czaszkę. Następnie podszedł do przejechanego przez ambulans motocyklisty. Policjant miał zgniecioną klatkę piersiową i gdy próbował wciągnąć powietrze do podziurawionych płuc, na jego ustach pękały bąbelki różowej piany.
Na dobrą sprawę był już martwy. Medycyna była bezsilna przy tak ciężkich, tak rozległych obrażeniach.

Harry schwycił starca za kościste ramię. - Co chcesz zrobić? - zapytał.
Starzec nie poruszył się. Przez chwilę trzymał rękę policjanta w swojej dłoni, a potem wyprostował się przy akompaniamencie trzeszczących stawów. - Leczę - odparł głosem przypominającym chrzęst papieru ściernego.
- Ten człowiek umiera - powiedział Harry.
- Wszyscy umieramy - odrzekł starzec.
Harry spojrzał na motocyklistę. Oddychał z mniejszym wysiłkiem, czy tylko mu się to wydawało?

Właśnie w tym momencie dotarli do nich sanitariusze z noszami.

Harry z trudem odnalazł biuro dziekana. Centrum Medyczne zajmowało powierzchnię kilkuset miejskich kwartałów, powiększało się pod wpływem jakichś własnych, osobliwych bodźców. Nikt nigdy nie planował, że będzie aż tak wielkie, ale nagle dobudowano skrzydło, gdy nie wystarczało już miejsca na potrzeby opieki medycznej i służb badawczych - potem następne, później łączniki i arterie komunikacyjne - dołem, naokoło, przez środek...
Jego przewodnikiem był świecący pręt kierunkowy. Prowadził go przez nieoznakowane korytarze i Harry próbował zapamiętać drogę. Bez skutku. Włożył pręt w zamek opancerzonych drzwi. Drzwi wessały pręt i otworzyły się. Gdy tylko Harry wszedł do środka, zamknęły się za nim i zaryglowały. Znajdował się w pustym przedpokoju. Wzdłuż jednej ze ścian, na metalowej, przykręconej do podłogi ławeczce siedzieli chłopiec i starzec z ambulansu. Chłopiec popatrzył z ciekawością na Harry'ego, potem opuścił wzrok na swe złożone dłonie. Stary człowiek opierał się o ścianę.
W pewnej odległości siedziała na ławce dziewczyna. Przypominała mu tę, która stała w drzwiach ambulansu. Harry'emu wydawało się jednak, że tamta była niższa i młodsza. Jej twarz była blada i tylko oczy rozbłysnęły na jego widok jakimś niezwykłym błaganiem, a po chwili przygasły znowu. Harry przesunął wzrokiem po jej chłopięcej, nieuformowanej jeszcze sylwetce. Ubrana była w prostą, przepasaną w talii, brązową sukienkę. Pomyślał, że dziewczyna nie może mieć więcej niż jakieś dwanaście, trzynaście lat.

Skrzynka recepcyjna już po raz drugi musiała powtórzyć pytanie:
- Nazwisko?
- Doktor Henry Elliott - odpowiedział.
- Zbliżyć się do identyfikacji.

Podszedł do ściany przy znajdujących się w głębi pokoju drzwiach i oparł dłoń o wmontowaną w nią płytę. W jego prawe oko błysnęło ostre światło - porównywano wzór siatkówki.

- Proszę złożyć wszystkie metalowe przedmioty na odbieralniku - poleciła skrzynka.
Harry zawahał się, a następnie wyjął z kieszeni bluzy stetoskop, zdjął zegarek, opróżnił kieszenie spodni z monet, scyzoryka i hipnosprayu.
Coś przytknęło. - Filtry - powiedziała skrzynka.

Harry wyjął filtry z nozdrzy i również położył je na odbieralniku. Dziewczyna obserwowała go, lecz kiedy spojrzał w jej stronę, odwróciła wzrok. Drzwi otworzyły się. Wszedł i drzwi zamknęły się za nim.

Biuro dziekana Mocka mieściło się we wspaniałym pokoju długości trzydziestu i szerokości dwudziestu stóp. Urządzone było w wiktoriańskim stylu. Meble, a szczególnie wykonane z żółtego dębu biurko o żaluzjowym zamknięciu i mahoniowa szafka na instrumenty lekarskie sprawiały wrażenie prawdziwych antyków.

Pokój imponował bogactwem. Harry, mimo wszystko, wolał jednak Dwudziestowieczny Modern. Jego czyste linie, szklane i chromowane części, sprawiały przyjemne, estetyczne wrażenie. Poza tym był to styl początków nauk medycznych - okresu, w którym ludzkość zaczęła rozumieć, że dobry stan zdrowia nie jest dziełem przypadku, że można go kupić, jeżeli ludzie będą chcieli zań płacić.
Harry widział już dziekana Mocka, ale nigdy z nim nie rozmawiał.

Jego rodzice nie mogli tego zrozumieć. Myśleli, że skoro jest lekarzem, jest tym samym równy rangą wszystkim pracownikom Centrum Medycznego. Ciągle im tłumaczył, jak wielkie jest to miejsce, ilu ludzi w nim pracuje: 75.000, 100.000 - tylko statystycy wiedzieli, jak wielu. To nie pomagało, w dalszym ciągu nie mogli tego pojąć. Harry w końcu dał sobie spokój.

Dziekan go nie znał. Ubrany w białą bluzę siedział przy swoim biurku i studiował akta Harry'ego, wyświetlane na wkładce z matowego szkła.

Czarne włosy dziekana zaczynały rzednąć. Miał obecnie prawie osiemdziesiąt lat, ale nie wyglądał na tyle. Pochodził z dobrej linii genetycznej i miał najlepszą opiekę lekarską. Da sobie radę bez zastrzyków długowieczności – pomyślał Harry – jeszcze przez jakieś dwadzieścia lat. Oczywiście, do tego czasu, biorąc pod uwagę jego stanowisko i osiągnięcia, na pewno przyznają mu odroczenie.

Mock spojrzał nagle do góry. Harry opuścił wzrok, ale nim to uczynił, dostrzegł, że w oczach Mocka maluje się coś, co przypominało strach albo rozpacz.

Harry nie mógł tego pojąć. Napad istotnie był zuchwały, tuż pod murami Centrum, ale przecież nie było to nic nowego. Napady już się zdarzały i na pewno będą się jeszcze nieraz zdarzać. Jeżeli tylko pojawi się coś cennego, nieprawomyślni ludzie będą próbowali to ukraść. W czasach Harry'ego tą wartościową rzeczą były leki.

Mock odezwał się raptownie: – A więc widziałeś tego człowieka? Czy mógłbyś go rozpoznać, gdybyś zobaczył go znowu, albo gdyby ci pokazano dobry solidograf?

– Tak, proszę pana – odparł Harry. Dlaczego Mock robi taką aferę wokół całej tej sprawy? Przecież wyspowiadał się już lekarzowi naczelnemu i komendantowi policji.

– Czy znasz Gubernatora Weavera? – spytał Mock.

– Nieśmiertelny!

– Nie, nie o to chodzi – przerwał niecierpliwie Mock. – Czy wiesz, gdzie mieszka?

– W Pałacu Gubernatora. Czterdzieści mil stąd, prawie dokładnie na zachód.

– Tak, tak – powiedział Mock. – Zaniesiesz mu wiadomość. Wiadomość. Transport został porwany. Porwany. – Mock miał nerwowy odruch powtarzania słów. Harry musiał uważnie słuchać, by nie stracić wątku. – Minie tydzień, zanim następny transport będzie gotowy, tydzień. Nie wiem, jak nam się uda go dostarczyć. Nie wiem. – Ostatnie dwa zdania Mock mruknął sam do siebie.

Harry próbował zrozumieć, po co to wszystko. Zanieść Gubernatorowi wiadomość?

– Dlaczego pan do niego nie zatelefonuje? – spytał bezmyślnie. To pytanie wyrwało Mocka z zadumy.

– Podziemne kable są poprzecinane. Poprzecinane. Nie ma po co ich reperować. Ludzie, których wysyłamy, by je naprawili, są zabijani. A nawet jeżeli uda im się je wyremontować, to następnej nocy znowu są przecinane. Radio i telewizja są zagłuszane. Przygotuj się. Musisz się pospieszyć, by dotrzeć do południowo-zachodniej bramy przed godziną policyjną.

– Przecież wypuszczą mnie, jeśli będę miał przepustkę – powiedział Harry nic nie rozumiejąc. Czyżby Mock oszalał?

– Nie mówiłem ci? Nie mówiłem? – Mock przesunął ręką po czole, jakby zgarniał pajęczynę. – Idziesz sam, pieszo, przebrany za obywatela. Konwój zostałby doszczętnie zniszczony. Doszczętnie. Próbowaliśmy. Trzy tygodnie nie mamy kontaktu z Gubernatorem. Trzy tygodnie! Pewnie zaczyna się niecierpliwić. Nigdy nie pozwól, by Gubernator zaczął się niecierpliwić. To niezdrowe.

Harry dopiero teraz pojął sens polecenia dziekana. Gubernator! Mógł cofnąć połowę czasu życia, niezbędnego Harry'emu w jego badaniach nad nieśmiertelnością. – Ale mój rejon...

Mock zrobił mądrą minę. – Gubernator jest w stanie zrobić dla ciebie więcej niż tuzin komisji. Więcej.

Harry przygryzł dolną wargę i zaczął wyliczać, zaginając palce. – Będę potrzebował: filtry do nosa, mały zestaw medyczny, pistolet...

Mock pokręcił głową. – Nic z tych rzeczy. To nie będzie pasowało do roli. Do Pałacu Gubernatora dostaniesz się nie dlatego, że będziesz się dobrze bronił czy leczył swe rany, ale dlatego, że będziesz dobrze udawać obywatela. Dzień lub dwa bez filtrów nie zmniejszą ci średniej wieku. No co, doktorze? Przedostaniesz się?

– Jak pragnę nieśmiertelności! – odparł z przejęciem Harry.

– Dobrze, dobrze. Jeszcze jedno. Weźmiesz ze sobą ludzi, których widziałeś w przedpokoju. Chłopiec ma na imię Christopher, stary mówi, że nazywa się Pearce. Jest czymś w rodzaju znachora. Gubernator prosił o niego.

– O znachora? – zapytał Harry z niedowierzaniem.

Mock wzruszył ramionami. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że uważa ten okrzyk za nietakt, ale Harry nie mógł się opanować i ciągnął dalej: – Gdybyśmy zrobili parę pokazówek tym oszustom...

– To kliniki byłyby jeszcze bardziej przepełnione niż w chwili obecnej. Obecnej. Spełniają pożyteczną rolę. A zresztą, cóż możemy począć? Nie podaje się za lekarza. Mówi o sobie, że jest uzdrowicielem. Nie stosuje lekarstw, nie operuje, nie udziela rad... Przychodzą do niego chorzy, a on ich dotyka. Dotyka ich. Czy można to nazwać uprawianiem praktyki lekarskiej?

Harry potrząsnął przecząco głową.

– A co zrobić, jeżeli chorzy twierdzą, że zostali uleczeni? Pearce nic takiego nie mówi. Nic. Nie bierze żadnych honorariów. Żadnych. Jeżeli chorzy są mu wdzięczni, jeżeli chcą mu coś dać, to któż może im zabronić?

Harry westchnął. – Będę musiał spać. Uciekną.

Mock uśmiechnął się drwiąco. – Słaby starzec i chłopiec?

– Dziewczyna jest dość żwawa.

– Marna? – Mock sięgnął do szuflady i wyjął srebrną obręcz składającą się z dwóch połówek, połączonych zawiasem. Rzucił ją Harremu. Harry schwycił ją i obejrzał.

– To bransoleta. Załóż ją.

To rzeczywiście wyglądało jak bransoleta. Harry wzruszył ramionami, wsunął ją na przegub i zatrzasnął. Przez chwilę miał wrażenie, że jest zbyt duża, ale nagle zacisnęła się. Skóra pod bransoletą zaczęła go swędzić.

– Jest nastrojona na bransoletę, którą ma na ręku dziewczyna.

Nastrojona. Kiedy dziewczyna się będzie od ciebie oddalać, przegub zacznie ją świerzbić. Im dalej odejdzie, tym bardziej będzie ją boleć. I wkrótce wróci do ciebie. Założyłbym takie same bransoletki chłopcu i staremu, ale one działają tylko parami. Parami. Jeżeli ktoś będzie próbował zdjąć bransoletę siłą, dziewczyna umrze. Umrze.

Bransoleta jest podłączona do systemu nerwowego. Tylko Gubernator ma klucz.

Harry popatrzył na Mocka. – A co z moją?

– To samo. Dla ciebie będzie ona urządzeniem ostrzegawczym.

Harry nabrał głęboko powietrza w płuca i spojrzał na swój przegub. Odniósł wrażenie, że srebro połyskuje teraz jak zimne oczy węża.

– Dlaczego jednej z nich nie założyliście medykowi?

– Założyliśmy. Musieliśmy amputować mu rękę, by ją zdjąć.

Mock odwrócił się w stronę biurka i klatki mikrofilmów znów zaczęły przebiegać przez ekran. Po chwili uniósł wzrok i wydawał się być zaskoczony tym, że Harry nie ruszył się z miejsca.

– Ciągle tu jesteś? Idź już. Jeżeli chcesz zdążyć przed godziną policyjną, to straciłeś już zbyt wiele czasu.

Harry odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Strzeż się wampirów – krzyknął za nim dziekan Mock. – I uważaj na łowców głów.

Zanim doszli do bramy południowo-zachodniej, Harry opracował metodę poruszania się ich niewielkiej grupki, sposób, który dla obu stron był w równym stopniu niewygodny.

– Śpieszcie się – mówił. – Do godziny policyjnej zostało nam tylko parę minut.

Dziewczyna spoglądała na niego i odwracała wzrok. Pearce, który i tak poruszał się szybciej, niż Harry oczekiwał, mówił: – Spokojnie. Zdążymy.

Nikt z nich nie miał ochoty się śpieszyć. Wtedy Harry gwałtownie przyspieszał kroku, wyprzedzając pozostałych. Jego przegub zaczynał swędzić, potem szczypać, palić i boleć. Im dalej w tyle pozostawała Marna, tym ból stawał się silniejszy. Tylko myśl, że ona czuje to samo, podtrzymywała go na duchu.

Po chwili ból zaczynał ustępować. Wiedział wtedy, nawet nie patrząc w jej stronę, że przełamał jej opór. Spoglądał wstecz, wiedząc, że idzie jakieś dwadzieścia stóp za nim, woląc trochę cierpieć, niż podejść bliżej.

Wtedy zatrzymywał się i czekał na starca. Za pierwszym razem minęła go, ale wróciła, gdy już nie mogła znieść bólu. W innej sytuacji Harry uważałby Marnę za urocze stworzenie. Była szczupła i pełna gracji, skórę miała jasną, rysy regularne i ujmujące, a kontrast między jej czarnymi włosami i niebieskimi oczyma był frapujący. Była jednak młoda, zawzięta i związana z nim w nienawistny dla niej sposób.

Dotarli do bramy na minutę przed zamknięciem.

Po obu stronach, jak okiem sięgnąć ciągnęło się podwójne ogrodzenie. Było bez końca, całkowicie otaczało miasto. W nocy przepuszczano przez nie prąd wysokiego napięcia, a pomiędzy dwoma rzędami siatki włóczyły się dzikie psy.

Jednak obywatele w jakiś sposób wydostawali się poza nie. Tworzyli wyjęte spod prawa bandy i napadali na bezbronnych podróżnych. To było jedno z niebezpieczeństw.

Dowódcą straży był ciemnoskóry szlachetny w średnim wieku. Miał sześćdziesiąt lat i stracił już nadzieję na nieśmiertelność. Teraz starał się korzystać z tego, co mu pozostało z życia. Do swych przyjemności zaliczał również znęcanie się nad słabszymi.

Popatrzył na niebieską przepustkę dzienną, a potem na Harry'ego.

– Topeka? Pieszo? – zachichotał. Jego wielki brzuch trząsł się przez chwilę, aż wreszcie szlachetny zaczął kaszleć i przestał się śmiać. – Jeżeli nie wpadniecie w łapy wampirom, to schwytają was łowcy głów. A za głowy płaci się obecnie dwadzieścia dolarów. Oczywiście, tylko za głowy banitów, ale cóż, głowy nie mówią. Na pewno nie mówią, gdy się je oddzieli od ciała. Ale ja wiem, co macie zamiar zrobić. Chcecie przyłączyć się do wilczego stada. – Splunął na trotuar tuż koło stopy Harr'ego.

Harry z obrzydzeniem cofnął nogę. Oczy strażnika rozbłysły.

– Czy pan nas przepuści? – spytał Harry.

– Czy was przepuszczę? – Dowódca spojrzał na zegarek. – Nie mogę. Już jest godzina policyjna. Widzisz?

Harry odruchowo schylił się, by popatrzeć. – Ale przecież przyszli-

śmy tu przed godziną... – zaczął. Pięść strażnika wyrżnęła go za uchem, aż się zatoczył.
– Wracaj skąd przyszedłeś i zostań tam, ty wszawy obywatelu! – wrzasnął strażnik.
Harry odruchowo sięgnął do kieszeni, w której zawsze miał swój hipnospray, ale kieszeń była pusta. Na usta cisnęły mu się najstraszliwsze przekleństwa, ale nie odważył się nawet pisnąć. Nie był już doktorem Elliottem, nie był nim do chwili, w której dotrze do Pałacu Gubernatora. Był Harrym Elliottem, obywatelem, którego każdy mógł zdzielić pięścią, który powinien czuć się szczęśliwy, jeżeli była to tylko pięść.
– Jeżeli – powiedział dwuznacznym tonem strażnik – zostawilibyście dziewczynę jako zakładnika... – Zakaszlał.

Marna cofnęła się gwałtownie. Przypadkowo dotknęła Harry'ego. Po raz pierwszy, mimo tej intensywnej, osobistej więzi, jednoczącej ich w bólu i wyzwoleniu, dotknęli się i z Harrym coś się stało. Jego ciało odruchowo cofnęło się przed tym dotknięciem, jak przed rozpalonym sterylizatorem. Marna zesztywniała.

Harry zauważył z niepokojem, że Pearce, kierując się głosem idzie w stronę strażnika. Wyciągał rękę i macał w powietrzu. Dotknął munduru strażnika, potem ramienia i przesuwał dłoń w dół, aż dotknął jego dłoni. Harry stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami, czekając na chwilę, w której strażnik uderzy starca. Szlachetnego powstrzymał jednak odruch szacunku, należnego podeszłemu wiekowi. Spojrzał tylko na Pearce'a ze zdziwieniem.

– Słabe płuca – szepnął Pearce. – Uważaj na nie. Zapalenie płuc może zabić, nim antybiotyki zdołają pomóc. A w dolnym lewym płacie ślad raka...

– Hej, ty... – Strażnik gwałtownie cofnął rękę, ale w jego głosie zabrzmiał przestrach.
– Rentgen – szepnął Pearce. – Nie zwlekaj.

– Nic... nic mi nie dolega – wyjąkał strażnik. -Pró-próbujesz mnie przestraszyć. – Kaszlnął.
– Unikaj wysiłku. Usiądź. Odpręż się.
– Dlaczego... – zaczął kaszleć gwałtownie. Ruchem głowy wskazał bramę. – Idźcie – powiedział, krztusząc się. – Wynoście się i zdechnijcie.
Christopher ujął starca pod rękę i wyprowadził go przez bramę. Harry schwycił ramię Marny – znów ten dotyk – i ni to pomagając jej iść, ni to popychając, przeszedł z nią przez bramę. Obserwował bacznie strażnika. Ten jednak głęboko przeżywał o wiele dlań ważniejsze sprawy.

Gdy tylko wyszli, brama opadła za nimi z hukiem. Harry puścił Marnę jakby z obrzydzeniem. Wyszli na prawą część nieużywanej, sześciopasmowej autostrady. Była pusta. Wspaniała niegdyś nawierzchnia wyszczerbiła się i popękała. W szczelinach pleniła się gęsta, wysoka trawa. Po obu stronach rosły chwasty, wysokie jak młode drzewa, tu i ówdzie spokojnie kołysały się obrzeżone żółtymi płatkami duże, brązowe tarcze słoneczników.

Dalej stały ruiny tego, co dawnej nazywano przedmieściami. Kiedyś od miasta oddzielała je tylko wykreślona na mapie linia. Nie było żadnych ogrodzeń. Gdy je wzniesiono, domy położone za ich obrębem wkrótce się rozpadły.
Prawdziwe przedmieścia były o wiele dalej. Najpierw ważniejszym od odległości okazał się czas dojazdu, potem czas lotu śmigłowca. Wreszcie życie miasta dobiegło kresu. Stało się jasne, że miasto jest siedliskiem chorób i czynników rakotwórczych i wtedy jego więź z przedmieściami uległa zerwaniu. Do miast nadchodziły transporty żywności i surowców, miasto wysyłało gotowe produkty, ale nikt już do niego nie przyjeżdżał, chyba że do centrów medycznych. Były one zlokalizowane w miastach, tam bowiem znajdowało się ich źródło surowców: krew, narządy, choroby, ciała, na których można było eksperymentować...

Harry szedł przed Christopherem i Pearce'em, obok Marny, ale dziewczyna nie patrzyła na niego. Szła z wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby była zupełnie sama. Wreszcie Harry powiedział: – Słuchaj, to przecież nie moja wina. Nie chciałem tego. Czy nie możemy zostać przyjaciółmi?

Spojrzała na niego tylko raz. – Nie!
Zacisnął wargi i pozostał nieco w tyle. Niech ją szczypie. Cóż go może obchodzić to, że trzynastoletnia dziewczyna go nie lubi.

Niebo na zachodzie zmieniało kolor ze szkarłatnego na ciemnopurpurowy. Nic się nie poruszyło wśród ruin i na drodze. Byli sami w tym oceanie zniszczeń. Równie dobrze mogli być ostatnimi ludźmi na spustoszonej Ziemi.
Harry zadrżał. Wkrótce trudno już będzie odnajdywać drogę. – Pospieszcie się – powiedział do Pearce'a – jeżeli nie chcecie spędzać nocy tutaj – wśród wampirów i łowców głów.
– Niekiedy zdarza się gorsze towarzystwo – szepnął Pearce.

Zanim dotarli do motelu zapadła głucha, bezksiężycowa noc, a stare przedmieścia pozostały już daleko w tyle. Cały teren motelu pogrążony był w ciemności – świeciła się tylko duża, neonowa reklama „MOTEL", mniejszy napis: „Wolne miejsca" i przy bramie w ogrodzeniu, na wycieraczce, trzeci, który głosił: „Witamy". Na płytce z matowego szkła widniały słowa: „Proszę przycisnąć guzik".

Harry miał właśnie zamiar to zrobić, gdy Christopher powiedział ostro: – Doktorze Elliott, proszę spojrzeć! – Kijem, podniesionym z ziemi jakieś pół mili wcześniej, wskazał na prawo, w stronę ogrodzenia.
– Co tam? – warknął Harry. Był zmęczony, zdenerwowany i brudny. Popatrzył badawczo w ciemność. – Martwy królik.
– Christopher chciał przez to powiedzieć, że ogrodzenie jest pod napięciem – wyjaśniła Marna – a wycieraczka, na której stoisz, jest metalowa. Sądzę, że nie powinniśmy tu wchodzić.
– Bzdura! – odparł stanowczo Harry. – Wolelibyście zostać tutaj, oddani na pastwę wszystkiego, co się włóczy po nocach? Zatrzymywałem się już w tych motelach. Są bez zarzutu.
Christopher podał mu kij. – Może lepiej będzie, jeżli przyciśnie pan guzik tym.
Harry zmarszczył brwi, wziął kij i zszedł z wycieraczki.
– No, już dobrze – burknął. Przy drugiej próbie udało mu się. Matowa szybka zmieniła się w oko kamery telewizyjnej. – Kto dzwoni?
– Czworo podróżnych do Topeki – odparł Harry. Przysunął przepustkę do obiektywu. – Mamy czym płacić.
– Witajcie – odezwał się głośnik. – Domki numer trzynaście i czternaście otworzą się, gdy wrzucicie odpowiednią ilość pieniędzy. O której chcecie być obudzeni?
Harry popatrzył na swoich towarzyszy. – O wschodzie słońca – oznajmił.
– Dobranoc – powiedział głośnik. – Śpijcie dobrze.
Brama zwinęła się. Christopher przeprowadził Pearce'a obok wycieraczki i skierowali się w dół podjazdu. Marna poszła ich śladem. Harry przeskoczył przez wycieraczkę i dołączył do nich.
Pojedyncza linia szklanych cegieł na skraju podjazdu fluoryzowała w ciemności, wskazując drogę. Minęli dół przeciwczołgowy i kilka stanowisk karabinów maszynowych. Wszędzie było pusto.
Gdy dotarli do domku nr 13, Harry powiedział: – Nie będziemy potrzebowali obu, przenocujemy razem. – Włożył trzy dwudziestodolarowe, uranowe monety do otworu.
– Dziękuję – odpowiedziały drzwi. – Proszę wejść.
Gdy tylko drzwi się otworzyły, Christopher wskoczył do środka. W małym pokoiku znajdowało się podwójne łóżko, krzesło, biurko i lampa stojąca. W rogu mieściła się niewielka łazienka, z prysznicem, umywalką i sedesem za przegródką. Chłopiec szybko podszedł do biurka, wziął leżącą na nim plastikową kartę z wydrukowanym menu i wrócił do drzwi. Pomógł Pearce'owi wejść do pokoju, poczekał na Harry'ego i Marnę. Przełamał plastikową kartę na pół i gdy drzwi zaczęły się zamykać, wsunął jedną część między krawędź drzwi, a framugę. Później zaczął iść w stronę Pearce'a, potknął się o lampę i przewrócił ją. Pozostało im tylko światło płynące z łazienki. – Ty cholerny niezgrabiaszu! – zaklął Harry.
Marna siedziała przy biurku i pisała. Potem odwróciła się i podała Harry'emu kartkę papieru. Skierował ją tak, by padało na nią światło i przeczytał:
„Christopher rozbił obiektyw, ale pokój w dalszym ciągu jest na podsłuchu. Nie możemy tego zlikwidować bez wzbudzania podejrzeń. Czy mogę porozmawiać z tobą na dworze?"
– To najidiotyczniejsza... – zaczął Harry.
– Wydaje się, że to słuszne... – szepnął Pearce. – Wy oboje możecie spać w czternastce. – Jego twarz z niewidzącymi oczyma obrócona była wymownie w stronę Harry'ego.
Harry westchnął. No dobrze, zrobi im tę przyjemność. Otworzył drzwi i wyszedł wraz z Marną w noc. Dziewczyna przysunęła się do niego bliżej, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła swój policzek do jego. Bezwiednie objął ją w pasie. Jej usta przysunęły się do jego ucha. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Marna mówi do niego.
– Nie lubię cię, doktorze Elliott, ale nie chcę, by nas wszystkich pozabijano. Czy stać cię na wynajęcie drugiego domku?
– Oczywiście, ale ... nie mam zamiaru zostawiać tych dwóch samych.
– Byłoby głupio z naszej strony, gdybyśmy nie trzymali się razem. A teraz, proszę. Proszę nie zadawać pytań. Gdy wejdziemy do czternastki, zdejmij bluzę i zarzuć ją niedbale na stojącą lampę. Ja zajmę się resztą.
Harry pozwolił zaprowadzić się do sąsiedniego domku. Zapłacił drzwiom. Pozdrowiły ich i wpuściły do środka. Pokój był identyczny jak w trzynastce. Gdy drzwi się zamykały, Marna wsunęła kawałek plastiku między framugę, a krawędź drzwi. Popatrzyła na Harry'ego z wyczekiwaniem.
Wzruszył ramionami, zdjął bluzę i zarzucił ją na lampę. Cienie, które wpełzły do pokoju, nadały mu złowieszczy wygląd. Marna uklękła, zwinęła chodnik i zdjęła z łóżka przykrycie. Następnie podeszła do wiszącego na ścianie telefonu, pociągnęła lekko, a wtedy płaski ekran odchylił się na zawiasach. Włożyła rękę do środka, schwyciła coś i wyciągnęła na zewnątrz. Wyglądało to jak nawinięte na szpulkę setki zwojów miedzianego drutu.
Marna weszła do przegródki z prysznicem, rozwijając po drodze przewód. Stanęła przed kabinką i przywiązała jeden jego koniec do kranu z gorącą wodą. Przeciągnęła przewód naokoło pokoju jak sieć pajęczą, zerwała go i przymocowała koniec rury odpływowej w podłodze, pod prysznicem. Przeciągnęła następny przewód wokół pokoju – blisko pierwszego, ale tak, by go nie dotykał

Starannie unikając kontaktu z przewodami wsunęła rękę do kabinki z prysznicem i odkręciła kurek z gorącą wodą. W kranie coś zabulgotało, ale gorąca woda nie popłynęła. Ostrożnie wydostała się spomiędzy przewodów, podniosła zwinięty dywanik i rzuciła go na łóżko.

– No cóż, dobranoc – powiedziała pokazując Harry'emu na migi, by szedł w stronę drzwi nie dotykając drutów. Gdy bez komplikacji dotarł do wyjścia, zgasiła lampę i zdjęła z niej jego bluzę. Zatrzasnęła drzwi i westchnęła z ulgą.

– Ale załatwiłaś sprawę! – szepnął Harry z wściekłością. – Nie mogę wziąć prysznicu i będę musiał spać na podłodze.

– Prysznicu nie wziąłbyś tak czy owak – odparła Marna. – To byłby twój ostatni prysznic w życiu. Tam wszystko było pod napięciem.

Jeżeli chcesz, możesz spać na łóżku, choć osobiście radziłabym ci położyć się razem z nami na podłodze.

Harry nie mógł zasnąć. Wpływał na to mroczny i cichy pokój oraz oddechy – ciężki, Pearce'a, cichsze, Christophera i Marny. Nie był przyzwyczajony do spania w jednym pokoju z innymi osobami.

Potem zaczął go swędzić przegub. Nieznacznie wprawdzie, ale wystarczająco, by nie dać mu zasnąć. Wstał z łóżka i podpełzł do miejsca, w którym leżała Marna. Ona również nie spała. Starał się ją namówić gestami, by położyła się koło niego na łóżku, zapewniając, że jej nie dotknie. Wcale nie miał ochoty jej dotykać, a gdyby nawet przyszło mu to do głowy, to przecież składał przysięgę wstrzemięźliwości. Chciał tylko, by swędzenie stało się mniej dokuczliwe i by mógł wreszcie zasnąć.

Wskazała, że może spać obok niej na podłodze, ale odmownie pokręcił głową. Wreszcie zgodziła się położyć przy łóżku. Harry, leżąc na brzuchu z opuszczoną ręką, zdołał wreszcie na tyle opanować swędzenie, że zapadł w niespokojny sen. Śniło mu się, że przeprowadza długą i trudną resekcję płuca. Manipulatory mikrochirurgiczne ślizgały się w jego spoconych palcach, skalpel przeciął aortę.

Pacjentka zerwała się ze stołu operacyjnego, krew tryskała z jej serca. To była Marna. Zaczęła go ścigać po długich korytarzach szpitala. Światła nad głową stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie Harry biegł w kompletnej ciemności, brodząc w ciepłej, lepkiej krwi, która wzbierała coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie całkowicie go zakryła.

Ocknął się przyduszony, zmagając się z czymś, co spowijało go całkowicie. Obok słychać było odgłosy szamotaniny. Coś trzasnęło. Ktoś zaklął.

Harry walczył, ale bez skutku. Coś rozdarło się z trzaskiem. Znowu. Harry dostrzegł skrawek nieco jaśniejszej ciemności, przesunął się w tę stronę i wydostał przez wielkie rozdarcie w podwiniętym ze wszystkich stron pod krawędzie łóżka, mocno napiętym kocu.

– Szybko! – zawołał Christopher składając nóż. Skierował się w stronę drzwi, przy których cierpliwie stał Pearce.

Marna schwyciła metalową nogę, którą odkręciła od biurka. Christopher odsunął krzesło, którym podparł uprzednio klamkę i cicho otworzył drzwi. Christopher wyprowadził Pearce'a na zewnątrz, potem wyszła Marna. Harry, oszołomiony, ruszył ich śladem. W domku nr 14 ktoś wrzasnął przeraźliwie. Coś błysnęło niebiesko.

Ktoś upadł. Harry poczuł smród palącego się ciała. Marna pobiegła w stronę bramy. Oparła nogę biurka jednym końcem o ziemię i opuściła ją na ogrodzenie. Płot plunął błękitnym ogniem, który zbiegł potrzaskując wzdłuż tej metalowej sztaby. Noga rozżarzyła się do czerwoności i wygięła. Potem zgasły światła.

– Pomóż mi! – zawołała Marna, dysząc ciężko.

Próbowała unieść bramę. Harry wsunął ręce pod dolną krawędź i pchnął ją ku górze. Brama uniosła się o stopę i zamarła.

W głębi podjazdu rozległ się nieartykułowany wrzask. Harry z całej siły szarpnął bramę ku górze. Poddała się i uniosła bezgłośnie. Podtrzymywał ją wyprostowanymi rękami, aż Marna, Pearce i chłopak wyszli na zewnątrz. Harry wyślizgnął się również i pozwolił bramie opaść. W chwilę później elektryczność znów się włączyła.

Noga biurka stopiła się i odpadła.

Harry spojrzał do tyłu. W ich kierunku nadjeżdżał samobieżny fotel inwalidzki. Siedziało w nim coś bryłowatego i potwornego, coś, z czego emanowało koszmarne niebezpieczeństwo. Po chwili Harry widział wyraźnie: plecionka, a w niej kadłub człowieka po czterokrotnej amputacji. Przymocowana z tyłu fotela aparatura płuco-serca wyglądała jak druga głowa. Za fotelem biegł stwór, przypominający stracha na wróble. Miał na sobie strój, wyglądający jak kobieca suknia.

Harry stał jak zahipnotyzowany. Wózek zatrzymał się raptownie przy stanowisku karabinu maszynowego. Z oparcia fotela wysunęły się podobne do włosów Meduzy przewody. Podłączyły się do wtyczek sterujących. Karabin maszynowy zaczął terkotać. Coś szarpnęło rękaw Harry'ego.

Czar prysnął. Harry odwrócił się i pobiegł w ciemność.

Pół godziny później uświadomił sobie, że się zgubił. Marna, Pearce i chłopiec odeszli. Czuł w całym ciele potworne zmęczenie, ramię paliło go, a przegub bolał bardziej niż kiedykolwiek. Dotknął ramienia. Rękaw był mokry. Uniósł palce do nosa. Krew. Pocisk go drasnął.

Usiadł ciężko na krawężniku, w ciemności gęstej jak sadza. Spojrzał na świecącą tarczę zegarka. Dwadzieścia po trzeciej. Parę godzin do wschodu słońca. Westchnął i próbował uśmierzyć ból w przegubie, rozcierając skórę wokół bransolety. Miał wrażenie, że to pomaga. Po paru minutach czuł już tylko swędzenie.

– Doktorze Elliott – powiedział ktoś łagodnie.

Odwrócił się. Poczuł ulgę i coś zbliżonego do radości. Na tle bladych gwiazd zobaczył Christophera, Marnę i Pearce'a.

– No cóż – burknął Harry. – Cieszę się, że nie próbowaliście uciekać.

– Nie zrobilibyśmy tego, doktorze Elliott – powiedział Christopher.

– W jaki sposób mnie znaleźliście? – spytał Harry.

Marna bez słowa uniosła rękę.

Bransoleta. Oczywiście. Zbyt wysoko ich oceniałem, pomyślał cierpko Harry. Marna szukała go, bo nie mogła sobie sama z nią poradzić, a Christopher potrzebował pomocy, bowiem w przeciwnym razie zostałby sam ze starcem, którym musiałby się opiekować. Z drugiej jednak strony, musiał uczciwie przyznać, że tam, w motelu właśnie on potrzebował pomocy, a nie Christopher czy Pearce. Gdyby mu zaufali, ich głowy już leżałyby na półce w suszarni, czekając na chwilę, w której pobrano by za nie nagrodę. Albo ich wciąż żyjące ciała wieziono by do jakiegoś banku narządów.

– Christopher – powiedział Harry do Pearce'a – musiał praktykować u człowieka, który specjalizuje się w unikaniu poborców nieściągalnych długów.

Pearce potraktował to zdanie zgodnie z intencją Harrego – jako komplement i przeprosiny.

– Unikanie pułapek urzędów podatkowych i wymykanie się inspektorom zdrowia – szepnął – sprawia, że wychowanie w mieście daje dobre przygotowanie do życia... Jesteś ranny.

Harry drgnął. Skąd ten starzec o tym wiedział? Nawet gdyby mógł widzieć, to przecież było tak ciemno, że widać było tylko sylwetki. Harry wytłumaczył to sobie i uspokoił się. To zapewne instynkt. Słyszał, że diagności z wieloletnią praktyką mają coś takiego. Czują chorobę, zanim pacjent położy się na leżance. Dane wskaźników tylko potwierdzają diagnozę.

Nadspodziewanie delikatne palce starego człowieka dotknęły jego ramienia. Harry cofnął je szorstko. – To tylko draśnięcie.

Palce Pearce'a znowu spoczęły na jego ramieniu. – Krwawi. Christopher, znajdź trochę suchej trawy.

Pearce oderwał rękaw bluzy.

– Masz tu trawę, dziadku – powiedział Christopher.

Jakim sposobem ten chłopak znalazł po ciemku suchą trawę?

– Chyba nie masz zamiaru przyłożyć tego do rany? – spytał Harry ostrym tonem.

– To zatamuje krwawienie – szepnął Pearce.

– Ale zarazki...

– Zarazki nie zrobią ci krzywdy, chyba, że będziesz tego chciał. Położył trawę na ramię i owinął rękawem.

– Wkrótce będzie dobrze.

Harry pomyślał, że powinien to zdjąć, gdy tylko ruszą dalej. Uznał jednak, że skoro zło już się stało, to lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, Harry znalazł się przy Marnie.

– Przypuszczam, że ty również zdobywałaś swoje wykształcenie uciekając przed inspektorami zdrowia w mieście, co? – powiedział sucho.

Potrząsnęła głową. – Nie przed inspektorami, chociaż od kiedy pamiętam, usiłowałam uciec. Raz mi się udało – byłam wolna. – W jej głosie zadźwięczało zapamiętane szczęście. – Przez dwadzieścia cztery godziny byłam wolna, a potem mnie znaleźli.

– A ja myślałem... – zaczął Harry. – Kim jesteś?

– Ja? Jestem córką Gubernatora.

Harry cofnął się gwałtownie. To nie jej oświadczenie tak nim wstrząsnęło, ale gorycz, z jaką je wypowiedziała.

Wschód słońca zastał ich na autostradzie. Minęli ostatni zniszczony motel. Teraz po obu stronach drogi rozciągały się faliste, pokryte trawą wzgórza i pełne drzew doliny.

Dzień był gorący. Niebo błękitniało nad ich głowami, jedynie na zachodzie unosiły się drobne, wełniste obłoczki. Czasami przez drogę przed nimi kicał królik, znikając w krzakach po drugiej stronie. Raz zobaczyli sarnę stojącą z uniesioną głową przy przepływającej opodal rzeczce i obserwującą ich ze zdziwieniem.

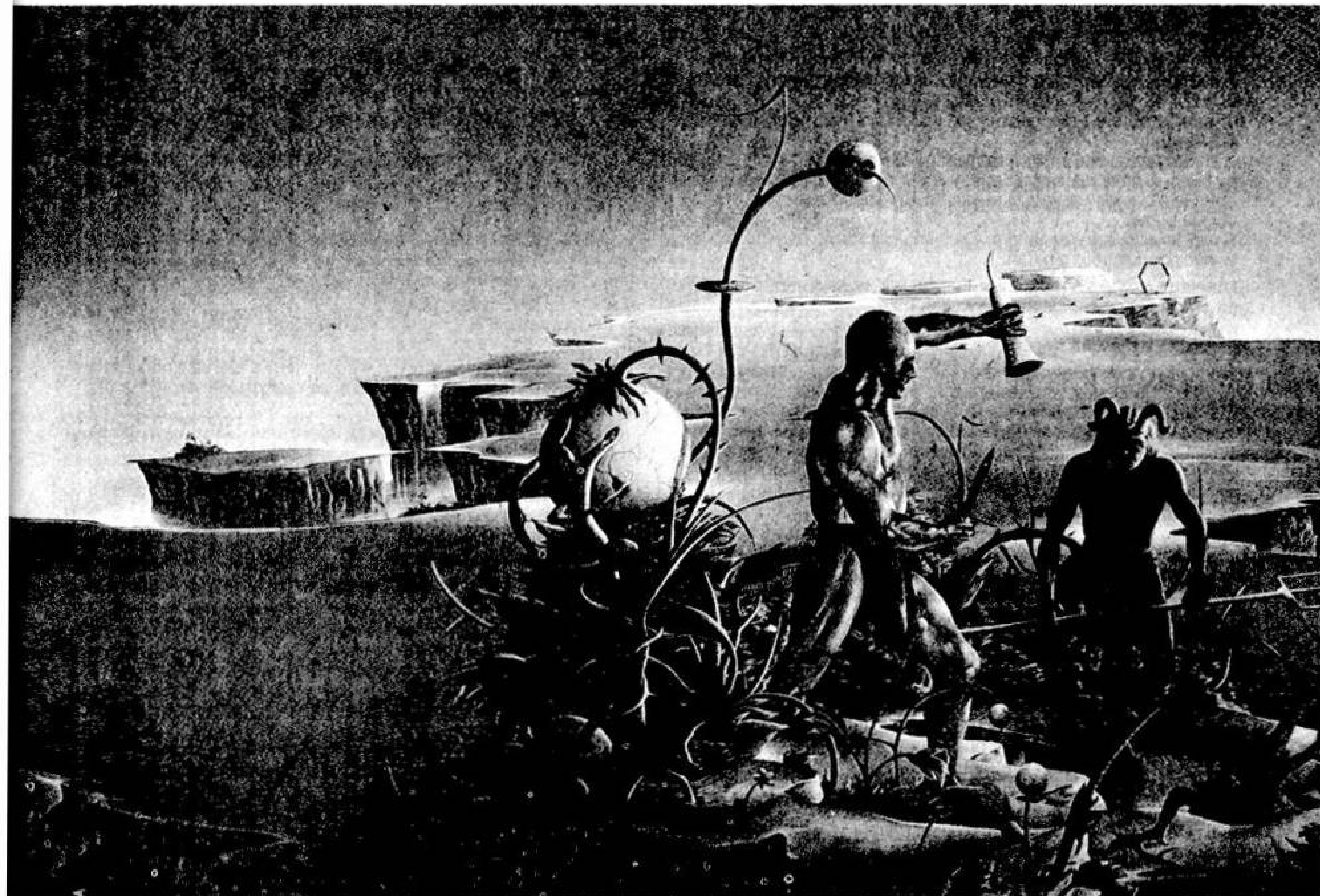
Harry wpatrywał się w nią głodnymi oczyma.

– Doktorze Elliott – odezwał się Christopher.

Harry spojrzał na niego. Na brudnej dłoni chłopca leżała nieregularna bryłka skawalonego, brązowego cukru, upstrzona strzępkami nitek i jakimiś innymi, niezidentyfikowanymi dodatkami. Dla Harry'ego w obecnej chwili był to szczyt marzeń. Ślina napłynęła mu do ust. Przełknął ją z wysiłkiem.

– Daj to Pearce'owi i dziewczynie. Muszą zachować siły. I ty też.

– W porządku – odparł Christopher. – Mam więcej. – W drugiej ręce trzymał jeszcze trzy kawałki. Jeden podał Marnie, a drugi Pearce'owi. Starzec wgryzł się w cukier pieńkami zębów. Harry



odskubał największe kawałki obcych dodatków, ale nie mógł już dłużej opanować głodu. Był to niezwykle sycący posiłek. Szli niezbyt szybko, ale w równym tempie. Pearce nigdy się nie skarżył.

Dreptał do przodu na swych pałąkowatych, starczych nogach i Harry przestał go ponaglać.

Na odległym wzgórzu zobaczyli podmiejską willę, ale nikogo przy niej nie było widać. Szli ciężko w stronę Lawrence po zarośniętej trawą autostradzie.

Nagle Christopher zawołał: - Do rowu! Padnij!

Tym razem Harry zareagował błyskawicznie, bez pytań. Pomógł Pearce'owi zejść do stoku - starzec był bardzo lekki - i upadł na dno rowu obok Marny. W chwilę później usłyszeli pędzące w pobliżu motocykle. Gdy już ich minęły, Harry odważył się zerknąć zza krawędzi rowu. Na drodze grupa motocyklistów oddalała się w kierunku miasta.

- Co to było? - zapytał, wstrząśnięty.
- Wilcze stado! - odpowiedziała Marna tonem pełnym odrazy i nienawiści.
- Ale przecież wyglądali jak policjanci - rzekł Harry.
- Kiedy dorosną, zostaną policjantami - odparła Marna.
- Sądziłem, że wilcze stada składają się ze zbiegłych obywateli - powiedział Harry.

Marna popatrzyła na niego z pogardą: - Tak ci mówiono?
- Obywatelowi - wyszeptał Pearce - uda się utrzymać przy życiu, jeżeli będzie sam. Grupa nie przetrwa tygodnia.

Wrócili na drogę i zaczęli iść dalej. Christopher, prowadząc Pearce'a rozglądał się nerwowo na boki, spoglądał do tyłu.

Wkrótce jego nastrój udzielił się Harry'emu.
- Padnij! - krzyknął Christopher.

Rozległ się świst i zaraz potem, gdy Harry padał na jezdnię, coś mocno uderzyło go w plecy i rzuciło na ziemię. Marna krzyknęła przeraźliwie.

Harry przekoziołkował, zastanawiając się, czy ma przetrącony grzbiet. Christopher i Pearce leżeli obok, ale Marna zniknęła. Nad nimi ryknął silnik rakietowy. Potem drugi.

Harry spojrzał w górę. Stromą świecą wzbijał się w niebo rakietoplan, a pod nim wiła się i szarpała Marna, usiłując się wyswobodzić. Z drugiego rakietoplanu zwisały puste szpony, które niemal chwyciły Harry'ego - takie same haki z wyściółką, jakie przed chwilą porwały Marnę.

Harry ukląkł, ściskając przegub. Jego ramię zaczął przeszywać ból, zapowiedź cierpienia. Tylko wściekłość, która czarną falą przepływała przez jego żyły i pozwalała przezwyciężyć słabość sprawiła, że nie upadł na ziemię, wijąc się w męce. Potrząsnął pięścią w stronę przechylonych w zakręcie rakietoplanów. Z ich silników buchały smugi dymu.

- Doktorze Elliott! - zawołał Christopher.

Harry zamglonymi oczyma spojrzał w stronę, z kórej dobiegał głos. Chłopiec leżał w rowie. Starzec również.
- One wrócą. Niech się pan położy - powiedział Christopher.
- Ale przecież oni schwycili Marnę - odparł Harry.
- W niczym pan jej nie pomoże, jeżeli da się pan zabić.

Jeden rakietoplan znurkował jak sokół na mysz. Drugi, niosący Marnę, w dalszym ciągu wzbijał się spiralą w górę. Harry skoczył do rowu. Strumień świergoczących pocisków wyszczerbił jezdnię w miejscu, w którym Harry stał przed chwilą.
- Myślałem - wykrztusił - że chcą nas porwać.
- Oni także polują na głowy - odpowiedział Christopher.
- Wszystko dla dreszczyka emocji - szepnął Pearce.
- Nigdy nie robiłem czegoś takiego - jęknął Harry. - Nie znam nikogo, kto by tak postępował.
- Byłeś zajęty - odrzekł Pearce.

To była prawda. Od momentu, w którym skończył cztery lata, przez cały czas był w szkole. Tylko od przypadku do przypadku wpadał do domu na jeden, krótki dzień: już prawie zapomniał swoich rodziców. Cóż mógł wiedzieć o rozrywkach młodych szlachetnych? Ale to - te wilcze stada! Takie upodlenie życia ludzkiego napełniało go zgrozą.

Pierwszy rakietoplan był już tylko małym krzyżykiem na niebie, a Marna zwisającą pod nim kropką. Rakietoplan wyprostował lot i z wyłączonym silnikiem zaczął szybować w stronę miasta. Drugi podążył w ślad za nim.

Nagle Harry zaczął tłuc bolącą ręką o ziemię. - Dlaczego zrobiłem unik? Powinienem pozwolić, by i mnie złapali. Ona zginie.
- Jest silna - szepnął Pearce - silniejsza niż ty czy Christopher, silniejsza od wielu innych. Ale siła staje się czasem czymś okrutnym. Idź za nią. Uwolnij ją.

Harry popatrzył na bransoletę, z której ból promieniował na ramię i całe ciało. Tak, może iść jej śladem. Póki będzie mógł się poruszać, póty będzie mógł jej szukać. Ale jakże wolne są stopy w porównaniu ze skrzydłami rakietoplanu.
- Motocykle będą wkrótce wracać - powiedział Christopher. - Dali im znać z rakietoplanów.

– Ale w jaki sposób zdobędziemy motocykl? – spytał Harry. Ból nie pozwalał mu jasno myśleć.
Christopher zdążył już ściągnąć koszulę tenisową. Wokół pasa miał owinięte zwoje nylonowej linki. – Czasem łapiemy ryby – oznajmił.

Przeciągnął linkę przez oba pasma autostrady maskując ją rosnącą w szczelinie trawą. Dał znak Harry'emu, by położył się na ziemi po drugiej stronie. – Przepuścimy ich wszystkich, oprócz ostatniego – powiedział.
– Miejmy nadzieję, że jakiś maruder będzie wystarczająco daleko, by tamci nas nie zauważyli, gdy wstaniemy z ziemi. Proszę owinąć linkę wokół pasa i unieść ją potem tak, by znalazła się na wysokości jego piersi.
Harry leżał za krawężnikiem. Czuł, jak jego ramię przekształca się w nabrzmiały bólem balon.

Minęła cała wieczność, zanim dobiegł ich warkot motorów. Gdy pierwsze motocykle przejechały obok nich, Harry ostrożnie uniósł głowę. Tak, był maruder. Jechał jakieś sto stóp za tamtymi i przyspieszał teraz, by ich dogonić.

Motocykle przejechały. Gdy maruder zbliżył się na odległość dwudziestu stóp, Harry zerwał się, napiął mięśnie i czekał na szarpnięcie. Christopher poderwał się w tej samej chwili. Młody szlachetny zdążył tylko spojrzeć ze zdziwieniem, zanim uderzył o linę, która wyciągnęła zapierającego się obcasami Harrego na środek jezdni.

Christopher przywiązał swój koniec liny do młodego drzewka. Szlachetny runął na jezdnię. Motocykl zwolnił i zatrzymał się.
Harry wyplątał się z liny i podbiegł do szlachetnego. Był w wieku Harry'ego, jego wzrostu i tuszy. Miał zajęczą wargę i uschniętą nogę. Już nie żył. Jego czaszka była zdruzgotana. Harry zamknął oczy. Widział już umierających ludzi, ale nigdy nie był sprawcą czyjejś śmierci. To wyglądało na złamanie przysięgi Hipokratesa.
– Tacy muszą umrzeć – szepnął Pearce. – Lepiej, gdy źli umierają młodo.
Harry rozebrał się szybko i nałożył ubranie oraz gogle szlachetnego. Umocował pistolet na biodrze i odwrócił się w stronę Christophera i Pearce'a. – Co będzie z wami?
– Nie będziemy próbowali uciekać – odparł Pearce.
– Nie o to chodzi. Czy dacie sobie radę?
Pearce położył dłoń na ramieniu chłopca. – Christopher się mną zaopiekuje. Znajdziemy cię, gdy uwolnisz Marnę.

Przeświadczenie, z którym Pearce wypowiedział te słowa, dodało Harry'emu sił. Nie tracił czasu. Wsiadł na motocykl, przekręcił manetkę gazu i gwałtownie ruszył. Jazda jednośladem wymagała zręczności, ale Harry miał już doświadczenie w prowadzeniu podobnych pojazdów w podziemnych arteriach Centrum Medycznego. Ręka bolała go, ale teraz ból stał się czymś w rodzaju systemu naprowadzania. Zauważył, że w miarę jazdy ból się zmniejsza. Oznaczało to, że zbliża się do Marny.

Zanim ją znalazł, zapadła noc.
Wyboista, asfaltowa droga skręciła na wschód i ból w ramieniu Harry'ego wyraźnie się zmniejszył. Droga urwała się przed zwartą ścianą zarośli. Harry w ostatniej chwili zdążył zahamować. Zamarł bez ruchu na siodełku i zamyślił się.
Do tej pory nie zastanawiał się, co będzie robił w chwili, gdy odnajdzie Marnę. Po prostu rzucił się w pościg, powodowany częściowo promieniującym od bransolety na przegubie bólem, częściowo zaś rodzącym się uczuciem przywiązania do tej dziewczyny.
– Ralf? – spytał ktoś w ciemności i w tym momencie Harry stracił ostatnią możliwość wycofania się.
– Tak. Gdzie szą wszyszczy? – wyseplenił.
– Tam, gdzie zawsze – pod skarpą.
Harry, utykając, ruszył w stronę, z której dobiegał głos.
– Nicz nie widzę.
– Poświecę.
Coś rozświetliło drzewa i przed Harrym wyrósł czarny kształt. Harry mrugnął, rzucił ukradkowe spojrzenie w bok i kantem dłoni uderzył szlachetnego w czwarty krąg szyjny. Gdy tamten wolno osiadał na ziemi, Harry złapał w powietrzu latarkę i podtrzymał padające ciało. Ułożył na trawie bezwładny kształt i pomacał kark leżącego. Był przetrącony, ale szlachetny jeszcze oddychał. Wyprostował mu głowę, by zmniejszyć nacisk na tkankę nerwową i popatrzył w górę.
Gdzieś przed nim błyszczało i migotało światło. Nie słychać było żadnego ruchu, żadnego dźwięku – najwidoczniej nikt nic nie zauważył. Włączył latarkę, ujrzał ścieżkę i ruszył przez młody las.

Ognisko było rozłożone pod glinianym nawisem w taki sposób, że z góry nie było go widać. Piekła się nad nim cała, młoda sarna, obracana na rożnie przez jednego ze szlachetnych. Harry zidentyfikował świdrujący go w dołku ssący ból – to był głód.
Pozostali szlachetni siedzieli półkolem wokół ognia. Marna ze skrępowanymi rękami znajdowała się nieco dalej. Głowę miała uniesioną, jej oczy uważnie wpatrywały się w ciemność za ogniskiem, jakby szukając czegoś wzrokiem. Czegoś? Oczywiście, szukała jego. Bransoletka zasygnalizowała jej, że Harry jest gdzieś blisko.

Bardzo chciał dać jej jakiś znak, ale było to niepodobieństwem.

Przyglądał się szlachetnym: jeden był albinosem, drugi – makrocefalem, trzeci był garbaty. U pozostałych Harry nie zauważył widocznych ułomności czy usterek fizycznych. U wszystkich, prócz jednego, wyglądającego na starszego od pozostałych członków grupy. Stał on oparty o brzeg skarpy. Był niewidomy, lecz w jego oczodołach chirurgicznie osadzono lornetę z elektronicznym sterowaniem. Na plecach miał zasobnik z zasilaniem, od którego prowadziły przewody do lornetki i do umocowanej do kurtki anteny.

Harry ostrożnie przeszedł skrajem lasu na tę stronę ogniska, gdzie siedziała Marna.
– Najpierw uczta – rozkoszował się albionos – a potem zabawa.

Ten, który obracał rożen, zaoponował: – A ja uważam, że najpierw powinniśmy się zabawić – wtedy będzie nam dobrze i będziemy głodni.
Zaczęli się spierać, najpierw dobrodusznie, potem, w miarę jak do dyskusji zaczęli przyłączać się inni, coraz bardziej zażarcie. Wreszcie albinos zwrócił się do tego z lornetką:
– A co ty na to powiesz, Oczy?
Oczy odpowiedział głębokim, niskim głosem: – Dziewczynę sprzedać. Młode części są najcenniejsze.

– Ba – odparł albinos – ale ty nie widzisz, jaka z niej ślicznotka. Dla ciebie to tylko wzór z białych kropek na szarym kineskopie. A dla nas jest biała, różowa, czarna i...

– Któregoś dnia – powiedział Oczy spokojnie – posuniesz się za daleko.
– Nie z nią. Ja nie...
Pod nogą Harry'ego trzasnęła gałązka. Wszyscy umilkli i zaczęli nasłuchiwać. Harry wyjął pistolet z kabury.
– To ty, Ralf? – spytał albinos.
– Tak – odparł Harry, wychodząc na oświetloną przestrzeń i stojąc w ten sposób, by blask płomieni nie oświetlał mu twarzy. Pistolet trzymał tuż przy udzie.

– Wyobraź sobie – rzekł albinos – ta dziewczyna powiada, że jest córką Gubernatora.
– Jestem – odparła Marna z naciskiem – I ojciec każe was za to pomalutku obedrzeć ze skóry.
– Ale to ja jestem Gubernatorem, kochanie – zapiszczał falsetem albinos – i mam w...
– To nie Ralf – przerwał mu Oczy. – Ma zdrową nogę.

Harry zaklął w duchu. Co za pech. Lornetka była dostosowana nie tylko do odbioru obrazu radarowego, ale i promieni Rentgena. – Uciekaj! – wrzasnął, wykorzystując chwilę ciszy, która zapadła po słowach Oczu.
Strzelił. Celował przede wszystkim w Oczy. Trafił go w zasilacz. Szlachetny krzyknął przeraźliwie i zaczął szarpać osadzoną w oczodołach lornetkę. Ale Harry nie zwracał już na niego uwagi. Wywalił cały magazynek w skarpę nad ogniskiem. Rozpulchniona gorącem glina runęła w dół zasypując ogień i siedzących najbliżej skarpy szlachetnych.
Uskoczył w bok. Kilka pocisków przeleciało przez miejsce, w którym znajdował się przed chwilą.

Rzucił się w las i zaczął biec. Obijał się o drzewa, ale biegł dalej. Zgubił gdzieś latarkę. Za jego plecami odgłosy pościgu stawały się coraz słabsze, aż wreszcie zupełnie ucichły.

Całym rozpędem wpadł na coś miękkiego i ciepłego, co ustąpiło pod jego naporem i upadło na ziemię. Potknął się, przewrócił. Jego pięść uniosła się, gotowa do zadania ciosu.
– Harry – usłyszał głos Marny.

Wzniesiona do uderzenia ręka opadła miękko, przygarniając mocno dziewczynę.
– Marna! – załkał. – Nie wiedziałem, że to ty. Nie sądziłem, że mi się uda. Myślałem, że byłaś...
Ich bransolety szczęknęły o siebie. Miękkie do tej pory ciało Marny zesztywniało nagle. Dziewczyna odepchnęła go gwałtownie. – Nie roztkliwiajmy się za bardzo – powiedziała ostro. – Wiem, dlaczego to zrobiłeś. A poza tym, usłyszą nas.
Harry ze złością nabrał powietrza do płuc i westchnął głęboko. Zaczęła wstawać. – Siedź spokojnie! – warknął. – Musimy poczekać, aż przestaną nas szukać.
Siedzieli w ciemności i czekali, wsłuchując się w odgłosy nocnego lasu. Minęła godzina. Harry miał właśnie zamiar powiedzieć, że chyba mogą już ruszać, gdy nagle usłyszał szelest. Zwierzę czy człowiek – wróg? Marna, która do tej pory nie dotknęła go, ani nie odezwała się, chwyciła go z całej siły za ramię.

– Doktorze Elliott! Marna! – usłyszeli szept Christophera.
Ciepła fala ulgi spłynęła na Harry'ego. – Ty cudowny, mały diable! Jakim cudem nas znalazłeś?

– Dziadek mi pomógł. On to potrafi wyczuć. Ja też, trochę, ale on jest lepszy. Chodźmy. – Harry poczuł, jak mała dłoń ujmuje go za rękę.

Christopher prowadził ich długo, ale wreszcie wyszli na niewielką polankę. Pod osłoną szałasiku z liści jarzyło się przytłumionym żarem ognisko. Pearce siedział przy nim, obracając wolno rożen, zrobiony ze świeżo ściętej gałązki, opartej na dwóch rozwidlonych patykach. Na rożnie skwierczały złocisto-brązowe tuszki królików.
Gdy znaleźli się na polance, niewidzące spojrzenie Pearce'a skierowało się w ich stronę. – Witajcie – powiedział. Harry poczuł, jak

ogarnia go wzruszenie. To przypominało powrót do domu. – Dzięki – rzekł ochrypłym głosem.

Marna uklękła przed ogniskiem, grzejąc nad nim wyciągnięte dłonie. Z jej przegubów zwisała przedarta lina, którą pracowicie rozszczepiała przy tamtym ognisku.

Gdy Christopher zdjął króliki z rożna, mięso nieomal się rozpadało. Owinął zadnie części w wilgotne, zielone liście i wepchnął je w chłodną dziuplę pod dwoma korzeniami. – To na śniadanie – powiedział.

Cała czwórka zabrała się do jedzenia. Nawet bez soli był to najwspanialszy posiłek, jaki Harry kiedykolwiek jadł. Gdy skończył, oblizał palce, westchnął i opadł na stertę starych liści. Czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Trochę dręczyło go pragnienie, nie chciał bowiem pić z płynącego nieopodal ich zaimprowizowanego obozu strumyka, ale mógł je bez trudu wytrzymać. W końcu człowiek nie powinien rezygnować ze wszystkich swoich zasad. Byłoby ironią losu umrzeć na tyfus tak blisko od nieśmiertelności. Nie wątpił, że Gubernator przyzna mu nieśmiertelność albo przynajmniej zapewni mu stanowisko, na którym będzie mógł ją osiągnąć.

Przecież ocalił jego córkę.

Marna była ładną dziewczyną. Szkoda, że to jeszcze dziecko. Harry westchnął jeszcze raz i wyciągnął się wygodnie. Tej nocy będzie dobrze spał.

Marna umyła się w strumyku. Twarz miała czystą, promienną.

– Będziesz spała tu przy mnie? – spytał ją Harry, wskazując suche liście. Przepraszającym gestem uniósł rękę z bransoletą. – Nie pozwala mi zasnąć, gdy jesteś zbyt daleko ode mnie.

Zimno skinęła głową i usiadła przy nim – w takiej jednak odległości, by uniknąć przypadkowego dotknięcia.

– Nie mogę pojąć – powiedział Harry – dlaczego napotkaliśmy tak wiele przypadków potworniactwa. Nie przypominam sobie, żebym w czasie mojej praktyki w Centrum Medycznym zetknął się choć z jednym.

– Pracowałeś w klinice? – spytał Pearce. I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. – Medycyna w coraz większym stopniu przekształca się w leczenie potworów. W mieście umarłyby, ale w suburbiach utrzymuje się je przy życiu i dopuszcza do ich rozmnażania. Pozwól, że obejrzę twoją rękę.

Harry drgnął. Pearce powiedział to tak zwyczajnym tonem, że Harry na moment zapomniał, iż starzec nie widzi. Jego delikatne palce rozwiązały bandaż i ostrożnie zdjęły sfilcowaną trawę. – Już ci więcej nie będzie to potrzebne – powiedział.

Harry ze zdziwieniem dotknął rany dłonią. Od wielu godzin nie czuł bólu. A teraz w tym miejscu była już tylko blizna. Położył się na posłaniu z liści czując przy sobie obecność Marny. Pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć ją, ale nie zrobił tego. W przeciwnym razie nie będzie prawa, bezpieczeństwa, nie będzie nieśmiertelności.

Obudziła go bransoleta. Przegub zaczął go świerzbić. Potem boleć. Harry wyciągnął rękę. Posłanie z liści było jeszcze ciepłe, ale Marna znikła.

– Marna! – szepnął. Uniósł się na łokciu. W sączącym się przez gałęzie drzew świetle gwiazd spostrzegł, że poza nim na polanie nie ma nikogo. Miejsca, gdzie spali Pearce i chłopiec były puste. – Gdzie jesteście? – powiedział nieco głośniej.

Zaklął pod nosem. Odczekali i uciekli. Ale w takim razie, czemu Christopher odnalazł ich w lesie i przyprowadził tutaj? I na co liczy Marna? Że dotrze do pałacu sama?

Harry drgnął, słysząc chrzest suchych liści. Zamarł w bezruchu. W chwilę później oślepiło go jaskrawe światło.

– Nie ruszaj się! – powiedział ktoś wysokim głosem. – W przeciwnym razie będę musiał cię zastrzelić. A jeśli spróbujesz umknąć, Węszyciel cię wytropi.

Głos był opanowany i rzeczowy. Ręka, która trzyma pistolet, pomyślał Harry, jest zapewne równie opanowana i precyzyjna.

– Nie ruszam się – odparł Harry. – Kim jesteś?

Głos pominął milczeniem jego pytanie. – Było was czworo. Gdzie troje pozostałych?

– Usłyszeli jak nadchodzisz. Czekają na dogodną chwilę, by cię zaatakować.

– Kłamiesz – oznajmił z pogardą głos.

– Posłuchaj mnie – powiedział Harry natarczywie. – Po głosie sądząc, nie jesteś obywatelem. Jestem lekarzem – zadaj mi jakieś pytanie z medycyny, obojętnie jakie. Mam do spełnienia pilną misję. Niosę wiadomość dla Gubernatora.

– Jaką wiadomość?

Harry gwałtownie przełknął ślinę. – Transport został porwany. Następny będzie gotowy nie wcześniej niż przed upływem tygodnia.

– Jaki transport?

– Nie wiem. Jeżeli jesteś szlachetnym, musisz mi pomóc.

– Usiądź. – Harry usiadł. – Mam dla ciebie wiadomość. Nie przekażesz swojej wiadomości.

– Ale... – Harry poderwał się.

Gdzieś za światłem rozległa się cicha eksplozja – niewiele głośniejsza niż gwałtowny wydech. Coś ukłuło Harry'ego w pierś. Spojrzał w dół. Między połami jego bluzy wisiała maleńka strzałka. Próbował sięgnąć po nią i nie mógł. Nie był w stanie poruszyć ręką. Nie mógł również poruszyć głową. Przewrócił się na bok nie czując wcale upadku. Odniósł wrażenie, że tylko wzrok, słuch i praca płuc nie uległy zmianie. Leżał, sparaliżowany, a myśli pędziły mu pod czaszką.

– Tak – oznajmił spokojnie głos. – Jestem wampirem. Niektórzy z moich przyjaciół są łowcami głów, ja natomiast poluję na ciała i dostarczam je żywcem. To lepsza zabawa. I lepszy zysk. Głowy są warte zaledwie dwadzieścia dolarów za sztukę, ciała – ponad setkę. Niektóre, z narządami tak młodymi jak twoje, są warte o wiele więcej. Idź, Węszyciel. Szukaj innych.

Światło zgasło. Coś zatrzeszczało w gąszczu i oddaliło się. Po jakimś czasie Harry dostrzegł czarną postać, siedzącą na ziemi w odległości jakichś dziesięciu jardów.

– Zapewne jesteś ciekaw, co się z tobą stanie – powiedział wampir. – Gdy tylko znajdę twoich towarzyszy, sparaliżuję także ich i przywołam moje nosze. Przetransportuję was do mojego śmigłowca. A potem, biorąc pod uwagę, że przyszliście z Kansas City, zawiozę was do Topeki.

Harry poczuł, że gaśnie w nim ostatni promyk nadziei.

– Przekonałem się, że to najlepszy sposób – ciągnął wysoki głos. – Pozwala uniknąć komplikacji. Szpital w Topeka, z którym prowadzę interesy, kupi wasze ciała bez zbędnych pytań. Jesteś sparaliżowany na stałe, a więc, nie tracąc przytomności, nie będziesz czuł bólu. W ten sposób narządy nie będą ulegały rozkładowi. Jeżeli jesteś, jak twierdzisz, lekarzem, wiesz co mam na myśli. Może nawet znasz naukową nazwę trucizny, jakiej użyłem w tej strzałce. Ja wiem tylko tyle, że została ona wysyntetyzowana z jadu osygrzebacza. Dzięki odżywianiu dożylnemu, te znakomite banki narządów można utrzymać latami, aż nadejdzie ich pora...

Głos ciągnął dalej, ale Harry już go nie słuchał. Zdawało mu się, że oszaleje. Tak się często zdarzało. Widział ich, leżących na półkach w bankach narządów, z oczyma przepełnionymi szaleństwem. Wtedy tłumaczył sobie, że znaleźli się tu właśnie z racji swej choroby psychicznej, ale teraz znał prawdę. Wkrótce będzie jednym z nich.

Może uda mu się udusić, zanim dostarczą go do szpitala, zanim wetkną mu w gardło rurę, na pierś położą mu respirator i podłączą kroplówkę do rąk. Czasami się dusili, mimo opieki.

Nie, nie oszaleje. Jego psychika była zbyt silna. Wytrzyma wiele miesięcy.

Usłyszał, jak coś poruszyło się w zaroślach. W oczy błysnęło mu światło. Zakotłowały się ciała. Ktoś stęknął. Ktoś inny wrzasnął. Rozległo się ciche puff! A potem w ciszy, która nagle zapadła, słychać było czyjś szybki oddech.

– Harry! – zawołała zaniepokojonym głosem Marna. – Harry! Nic ci się nie stało?

W chwili, gdy przysadzisty Węszyciel powłócząc nogami wylazł na polankę, znów zrobiło się jasno. Przez smugę światła przekuśtykał Pearce. Za nim szli Christopher i Marna. Niedaleko nich, na ziemi leżała powykręcana postać. Harry nie mógł uzmysłowić sobie, co to takiego i dopiero po chwili zorientował się, że to karzeł, gnom, człowieczek z małymi, cieniutkimi nóżkami, powyginanym grzbietem i wielką, guzowatą głową. Na jej czubku rosły skąpe, czarne włosy. Jego oczy płonęły czerwienią, przepojone nienawiścią do całego świata.

James Edwin GUNN

Urodzony w 1923 roku w Kansas City amerykański pisarz, krytyk i nauczyciel akademicki. Ukończył Uniwersytet w Kansas City, na którym obecnie jest wykładowcą dziennikarstwa i teorii literatury, ze szczególnym uwzględnieniem science fiction. Prowadzi cykle wykładów, będące swoistą szkołą pisarzy SF.

Debiutem JG było opublikowane pod pseudonimem Edwin James opowiadanie **„Communications"** (magazyn Startling Stories, 1949). Pseudonimem tym posługiwał się do 1952 r., firmując nim 10 opowiadań.

Jego dwie pierwsze książki to powieści z gatunku „space opera" **„This Fortress World"** (1955) oraz **„Star Bridge"** (współautor – Jack Williamson; 1955), jednak ulubioną formą literacką JG były i pozostają opowiadania. Pisze ich dużo, często tworząc połączone treścią cykle, z których później rodzą się nowele lub powieści. W ten sposób powstały **„Station In Space"** (1958), **„The Joy Makers"** (1961), **„The Burning"** (1972) i inne. Taki rodowód mają również jego dwa najbardziej znane utwory – **„Nieśmiertelni"** (1962) oraz **„The Listeners"** (1972). Na bazie noweli „Nieśmiertelni" został nakręcony w 1969 r. film telewizyjny, rok później rozbudowany w trzynastoodcinkowy serial TV. Scenariusze tego serialu JG przepracował w powieść **„The Immortal"** (1970).

JG jest wybitnym krytykiem, laureatem Pilgrim Award (1976), przyznawanej przez Science Fiction Research Associacion za najlepsze prace krytyczne. Wśród tego typu prac JG należy wymienić **„The Discovery of the Future: The Ways Science Fiction Developed"** (1975) oraz **„Alternate Worlds: The Illustrated History of Science Fiction"** (1976).

JG zredagował również trzytomowy cykl antologii **„The Road to Science Fiction:** tom I **„From Gilgamesh to Wells"** (1977), tom II **„From Wells to Heilein"** (1979), tom III **„From Heinlein to Here"** (1980).

– Harry! – tym razem głos Marny przypominał lęk.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Przez chwilę myśl, że nie jest w stanie odpowiedzieć sprawiła mu przyjemność, ale natychmiast ogarnęła go litość nad samym sobą.
Marna podniosła z ziemi miotacz strzałek i cisnęła go daleko w zarośla. – Co za wstrętna broń!

Harry'emu wrócił rozsądek. A więc jednak nie uciekli. Po prostu, tak jak powiedział wampirowi, zniknęli, by przyjść mu z pomocą, gdy tylko nadarzy się sposobność. Ale wrócili zbyt późno. Był sparaliżowany na stałe. Na tę truciznę nie było antidotum. Może teraz go zabiją. W jaki sposób ma im dać znać, że chce, by go zabili? Zamrugał gwałtownie.
Marna przysunęła się do niego. Ułożyła jego głowę na swoim łonie. Jej dłoń bez przerwy gładziła go po włosach. Pearce ostrożnie wyjął strzałkę i wdeptał ją głęboko w ziemię. – Zachowaj spokój – powiedział. – Nie poddawaj się. Coś takiego, jak stały paraliż nie istnieje. Jeżeli spróbujesz, zobaczysz, że możesz poruszyć małym palcem. – Uniósł dłoń Harry'ego, poklepał ją delikatnie.

Harry spróbował poruszyć palcem, ale bez skutku. Co się z tym starym szarlatanem dzieje? Dlaczego go nie zabije i nie zakończy tego wszystkiego. Pearce mówił dalej, ale Harry już go nie słuchał. Po co robić sobie płonne nadzieje? To sprawia tylko większy ból.
– Transfuzja może mu pomóc – powiedziała Marna.
– Tak – zgodził się Pearce. – Jesteś skłonna to zrobić?
– Wiesz, kim jestem?
– Oczywiście. Christopher, obszukaj wampira. Powinien mieć przy sobie igły i cewniki na wypadek, gdyby musiał nagle wykonać zabieg na swojej ofierze. – Pearce znowu zwrócił się do Marny. – Krew będzie się trochę mieszać. Trucizna wniknie do twojego organizmu.
Głos Marny przepojony był goryczą. – Nawet cyjanek mi nie zaszkodzi.
Rozpoczęły się przygotowania. Harry nie mógł się na nich skoncentrować. Przedmioty zamazywały się. Czas posuwał się w tempie lodowca.

W chwili, gdy pierwsze, szare światło poranka przebiło się przez gałęzie drzew Harry poczuł, jak życie drgnęło boleśnie w jego małym palcu. Było to gorsze niż wszystko, z czym się do tej pory zetknął, stokroć gorsze niż ból sprawiony przez bransoletę. Ból przepływał do innych palców, do stóp, ramionami i nogami przedostawał się do tułowia. Chciał poprosić Pearce'a, by przywrócił mu stan paraliżu, ale nim minęło porażenie gardła, ból prawie ustąpił. Gdy mógł wreszcie usiąść, rozejrzał się, szukając wzrokiem Marny.
Siedziała oparta o pień drzewa, oczy miała zamknięte, była bardzo blada. – Marna! – odezwał się. Jej oczy otwarły się powoli, ze znużeniem. Błysnęła w nich radość i ponownie się zamgliły.
– Nic mi nie jest – odparła.

Harry podrapał miejsce, w którym wbita była igła. – Nie mogę pojąć... ty i Pearce... wyciągnęłaś mnie z tego... choć...
– Nie próbuj tego zrozumieć – stwierdziła. – Po prostu przyjmij to do wiadomości.
– To niemożliwe – mruknął. – Kim ty jesteś?
– Córką Gubernatora.
– A poza tym?
– Cartwrightem – odparła z goryczą.
Jego myśli zawirowały. Jedno z Nieśmiertelnych. Nic więc dziwnego, że jej krew zwalczyła truciznę. Krew Cartwrightów w szczególny sposób oddziaływała na obce substancje. Pomyślał o czymś innym. – Ile masz lat?
– Siedemnaście – odparła. Spojrzała na swą szczupłą figurę. – My, Cartwrightowie, dojrzewamy późno. To dlatego Weaver posłał mnie do Centrum Medycznego – sprawdzić, czy jestem już płodna. Płodny Cartwright nie może marnować czasu rozmnażania.
Nie miał żadnej wątpliwości – nienawidziła swego ojca. Nazywała go Weaver.
– Zmusi cię do rozmnażania – powiedział osłupiały.
– Sam spróbuje to zrobić – odparła spokojnie. – Nie jest zbyt płodny. Dlatego jesteśmy tam tylko we trzy – moja babka, matka i ja. Potrafimy nieco kontrolować proces poczęcia – zwłaszcza, gdy jesteśmy dorosłe. Nie chcemy jego dzieci, nawet jeżeli dzięki temu bylibyśmy mu mniej potrzebne. Obawiam się – jej głos załamał się – obawiam się, że nie jestem wystarczająco dorosła.
– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – spytał Harry natarczywie.
– Żebyś traktował mnie jak Cartwrighta? – W jej oczach zapłonęła złość. – Cartwright nie jest człowiekiem, wiesz przecież. To chodzący bank krwi, żywa fontanna młodości, coś, co się posiada, używa, strzeże, ale czemu nie pozwala się żyć samodzielnie. A poza tym – opuściła głowę – nie wierzysz mi. W to, co mówiłam o Weaverze.
– Przecież on jest Gubernatorem! – zawołał Harry. Zobaczył wyraz jej twarzy i odwrócił się. Jak może jej to wytłumaczyć? Człowiek ma swoją pracę, ma swe obowiązki. Nie może się za nich wycofać. A poza tym – bransolety. Tylko Gubernator ma klucz. Połączeni nimi, nie przetrwają długo. Znowu zostaną rozdzieleni – przez przypadek lub siłą, a wtedy on umrze. Wstał z ziemi. Las przez chwilę wirował mu przed oczyma, aż wreszcie uspokoił się. – Znów winienem ci wdzięczność – zwrócił się do Pearce'a.
– Bardzo trwałeś przy swych przekonaniach – szepnął Pearce – ale była w tobie ta odrobina zdrowego rozsądku, która współdziała ze mną. Powiadają, że lepszy jest zdrowy człowiek z okaleczonymi poglądami, niż kaleka z nienaruszonymi przekonaniami.

Harry popatrzył poważnie na starego człowieka. Albo był on prawdziwym uzdrowicielem, który nie jest w stanie wyjaśnić, w jaki sposób dokonuje swych cudów, albo świat jest bardziej szalony, niż Harry kiedykolwiek to sobie wyobrażał. – Jeżeli zaraz ruszymy – powiedział – dotrzemy do pałacu w południe.

Pałac Gubernatora stał na szczycie wzgórza przypominającego literę L i piętrzącego się w widłach dwóch dolin rzek. Dawniej w tym miejscu znajdował się wielki uniwesytet, lecz swego czasu podatki przeznaczane na jego utrzymanie zostały skierowane na bardziej żywotne potrzeby. Liczba wspierających osób zmniejszała się w miarę, jak zwiększało się zapotrzebowanie na badania medyczne i opiekę lekarską. Wkrótce przestano interesować się rozmaitymi naukowymi fatałaszkami i uniwersytet umarł.

Gubernator wybudował tu swój pałac jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu, wtedy gdy w Topece nie można już było wytrzymać. Na długo przedtem funkcja ta stała się dożywotnią – a mógł żyć wiecznie.
Stan Kansas był baronią. Określenie było dla Harry'ego niezrozumiałe, bowiem jego wiedza historyczna ograniczała się wyłącznie do historii medycyny. Gubernator był feudalnym baronem, jego pałac był zamkiem. Wasalami byli szlachetni z przedmieść, którym płacił nieśmiertelnością lub nadzieją jej uzyskania. Gdy tylko ktoś z nich otrzymał zastrzyk, miał tylko jedną alternatywę – być lojalnym wobec Gubernatora i żyć wiecznie (chyba, że zdarzyłby się jakiś wypadek) lub umrzeć po trzydziestu dniach.

Gubernator od czterech tygodni nie otrzymał przesyłki. Szlachetni znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji.

Pałac był właściwie fortecą. Jego zewnętrzne mury miały pięć stóp grubości i wykonano je ze sprężonego betonu, zbrojonego pięciocalowymi płytami pancernymi. Wokół murów ciągnęła się pełna piranii fosa.
Nad pierwszą linią murów piętrzyły się mury wewnętrzne. Pusta przestrzeń między nimi była wyłożona płytami i w każdej chwili mogła zostać zalana napalmem. W murach ukryte były gniazda zdalnie sterowanych pocisków.

Sam pałac wznosił się jak ziggurat, tarasowymi stopniami. Na każdym dachu znajdowała się ferma hydroponiczna. Na samym szczycie budynku umieszczona była szklana nadbudówka mieszkalna. Na sterczącym nieopodal niej maszcie obracał się talerz anteny radaru.
Większa część pałacu, podobnie jak góra lodowa, ukryta była pod powierzchnią. Wgryzała się w wapień i granit na milę głęboko. Budowla była nieomal żywą istotą, automaty nadzorowały ją, doprowadzały powietrze, ogrzewały i chłodziły, dostarczały wodę, strzegły przed nieprzyjaciółmi i zabijały ich, gdy podchodzili zbyt blisko.
Całym pałacem mogła kierować zaledwie jedna osoba. I tak też było w chwili obecnej.

Do wnętrza nie prowadziło żadne wejście. Harry stanął przed murami i zaczął machać swą bluzą: – Hej tam, w pałacu! Wiadomość z Centrum Medycznego dla Gubernatora. Hej tam, w pałacu!

– Kto przybywa do mnie z wiadomością? – odezwał się pałac potężnym, boskim głosem.
– Doktor Harry Elliott. Mam ze sobą córkę Gubernatora, Marnę i znachora.
Ponad zewnętrznym murem ukazało się ramię dźwigu. Zwisał na nim wielki, metalowy samochód. Gdy znalazł się na ziemi, otworzyły się w nim drzwi.
– Stańcie przed moim obliczem – rzekł pałac.

Samochód był pełen kurzu. Podobnie przybudówka, w której zostali umieszczeni. Obszerny basen był pusty, kwiaty, krzewy i palmy uschły.
W połyskującej jak lustro centralnej kolumnie, jak czarne usta rozwarły się drzwi. – Wejdźcie – powiedziały.

Winda długo wiozła ich w dół. W końcu drzwi otworzyły się na obszerny salon, utrzymany w różnych odcieniach brązu. Jedną ze ścian w całości zajmował ekran.
Marna wybiegła z windy. – Mamo! – zawołała. – Babciu! – Przebiegła przez cały apartament. Harry nieco wolniej poszedł jej śladem.

Z długiego holu prowadziły drzwi do sześciu sypialni. W jego końcu znajdował się pokój dziecinny. Z drugiej strony salonu widniały wejścia do jadalni i kuchni. W każdym pokoju był ekran na całą ścianę. Wszystkie pokoje były puste.

– Mamo? – odezwała się znowu Marna.
Ekran w jadalni rozbłysnął. Pojawił się na nim obraz olbrzymiego stworzenia, kołyszącego się na pneumatycznych poduszkach. Było ono niewiarygodnie tłuste, przypominało morze falującego i dygocącego ciała. Było nagie, lecz jego płeć była zagadką. Piersi wyglą-

Dokończenie na stronach 59 i 60

Smith wiedział już, że pójdzie tam, w te dzikie góry okryte parami ciężkich metali. Wszystko co jego mózg we śnie zbierał i układał w komórkach nieoczekiwanie ułożyło się w jakiś, na razie jeszcze chimeryczny system. Pomiędzy urywkowymi wiadomościami i aluzjami zaczęły powstawać więzi przyczynowe, za którymi widniało, albo raczej dało się wyczuć, rozwiązanie zagadki.

Ostrożnie, jakby próbując gruntu pod nogami, Smith dążył na spotkanie tego odświeżającego powiewu. Przeszedł przez pałający żarem i przepełniony widziadłami labirynt, wyrwał się z majaków. I razem ze zdjętymi czarami, opadły więzy, które krępowały jego myśli. Smith nie odważył się jeszcze na śmiały lot ku odległym wyżynom, tam gdzie widniało wyzwolenie, lecz chciwie uchwycił się pierwszej deski ratunku, którą tak w porę podsunęła mu pamięć. Dziwne było tylko to, że on, chemik, nie rozpoznał od pierwszego spojrzenia przyczyny tak niezwykłego zabarwienia par, otulających tajemnicze wejścia. Tylko miedź w sąsiedztwie uranu mogła dać tak charakterystyczne widmo!

Smith oczywiście pamiętał, że w Afryce geolodzy odkryli naturalny reaktor, w którym przez tysiąclecia przebiegała spowolniona reakcja łańcuchowa. Od razu narzucał się wniosek, że coś podobnego mogło zdarzyć się również i tutaj, u stóp Kanczendzangi. W naturalny sposób wyjaśniał on ślady technetu w miedzi, która stanowiła podstawę bhutańskich brązów. Podobnie jak grzyby atomowe na zwoju przedstawiającym Dankana pędzącego przez dym i płomienie na koźle o spiralnych rogach, technet mógł być ostrzeżeniem, które pozostawili ludzkości współbracia stojący na wyższym szczeblu rozwoju. Choć Smitha irytowała oczywiście fantastyczna banalność takiej koncepcji, to jednak sferoid unoszący się nad górami, zagłuszanie fal radiowych i inne tajemnicze osobliwości doliny nadawały jej spore prawdopodobieństwo.

Ostrzeżenia były wystarczająco zamaskowane, by nie rzucać się w oczy. Należało je odkrywać i to na różnych etapach myślenia i kultury. Mit ze swą skomplikowaną symboliką i obrzędami odwoływał się do atawistycznych instynktów. Spektrometria masowa pobudzała zdrowy rozsądek i od widmowego, lecz nie poddającego się powierzchownej interpretacji obrazu zaniepokojona myśl powracała mimo woli do wieloznacznych, pełnych przesądów opowieści na temat doliny.

„Może nie tylko tutaj - myślał Smith doskonaląc logiczną konstrukcję wywodu - ale i na innych planetach utrwalona została pamięć katastrof, które położyły kres ewolucji rozumu we Wszechświecie? I ten, kto przyniósł tę tak wspaniale ukrytą informację - obojętnie, czy byli to ostatni mieszkańcy niebios czy ich automaty - zadbał, by nie miał do niej dostępu człowiek niegodny".

Coś mówiło Smithowi, jeżeli nie było to kolejną halucynacją, że przeszedł wszelkie próby i stoi teraz przed ostatnim, najważniejszym testem.

Wielki Architekt, w którego istnienie Smith w żaden sposób nie mógł uwierzyć, powinien być wszechwiedzący i w konsekwencji nie potrzebował stosować żadnych prób czy testów. Należało również wykluczyć starodawne czary, bowiem w żaden sposób nie dało się ich pogodzić z aparatem latającym. A więc, Bóg z nimi, z niespójnymi stereotypami, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie jak wytarte jednocentówki. Z tajemniczych przybyszów, dobroczyńców z dalekiej przyszłości trudniej było zrezygnować, ale Smith i ten balast wyrzucił za burtę.

Nieznane, z którym nikt i nigdy jeszcze nie miał okazji się zetknąć, wydało mu się pustką.

Księżyc w pełni wzywał go w nieznaną drogę.

„Famagusta" - przez myśl przemknęło mu znajome słowo, i jakby echem odezwało się: „Holocaust"... „Masowa zagłada..." Nazistowskie piekło na ziemi...

—Z przełęczy idzie karawana - zameldował naczelnemu lamie obserwator. - To oni wrócili.

- Wszyscy? - niesłychanie zdziwił się starzec o twarzy pociemniałej figurki z drzewa sandałowego.

- Jest ich bardzo mało - odpowiedział obojętnie mnich i otulił się szkarłatną szatą.

Koniec

Jeremiej Parnow

Zbudź się w Famaguście

(Prosniś w Famagustie)

przełożył Sławomir Kędzierski

Jeremiej Parnow urodził się w 1935 roku w Charkowie. Jest absolwentem wydziału chemii Uniwersytetu Moskiewskiego, doktorem nauk. Pracuje w Akademii Nauk ZSRR. Ma bardzo szerokie zainteresowania. Spod jego pióra wyszły liczne opowieści historyczne, biograficzne, kryminalne, popularnonaukowe i fantastyczno-naukowe. Właśnie ten ostatni rodzaj twórczości przyniósł Parnowowi największe uznanie. W latach 1976-1978 był wiceprzewodniczącym Europejskiego Komitetu SF, od 1978 roku jest członkiem władz Światowej Organizacji Profesjonalistów SF i delegatem narodowym ZSRR do Europejskiego Komitetu SF. Znaczną część swoich fantastyczno - naukowych opowieści Jeremiej Parnow napisał wspólnie z przyjacielem, również doktorem chemii Michaiłem Jemcewem.

Stary, przesiąknięty dymem palonego kiziaku mnich buddyjski zszedł z wieży. Przepłukał usta święconą wodą z wzorzystego nefrytowego flakonika, z jękiem rozprostował połamane reumatyzmem plecy i podreptał zameldować, że z przełęczy idzie pieszo obcokrajowiec. Oczywiście, ani samej przełęczy, ukrytej za górami, ani tym bardziej tajemniczego piechura nie widział...

I

Gdy MacDonald przekonał się, że przełęcz Lha-la zatkana jest śnieżnym czopem, zmuszony był zejść do wąwozu. W głęboko wyżłobionym rwącym nurtem kanionie, jak w tunelu aerodynamicznym ryczała rzeka. Było to zaledwie tysiąc stóp w pionie, ale zejście było równoznaczne z cofnięciem się o tysiąc lat.

Minikomputer bez wyraźnego powodu połączył się z satelitą komunikacyjnym i wziął namiar. Na ekranie nieprzyjaźnie zamigotało rubinowe światełko. Można było nie sprawdzać – źródło zakłóceń znajdowało się gdzieś za przełęczą, która o tej porze roku powinna być już dostępna, ale wciąż znajdowała się w śnieżnych okowach.

Fort, a właściwie „rdzong" – ten tybetański wyraz oznacza nie tylko twierdzę, lecz także jednostkę administracyjną – stał na straży jedynej drogi, która wiodła przez przełęcz do zagadkowej doliny „Siedmiu szczęśliwych klejnotów". W promieniu setek mil było to jedyne zamieszkałe miejsce, gdzie można było doczekać końca pory monsunowej i początku topnienia śniegów. MacDonald dysponował nie tylko szkicem topograficznym, ale również wyjątkowo dokładną mapą sporządzoną na podstawie danych kosmicznej fotogrametrii. Nie wiedział jednak, co oczekuje go tam, za pokrytym dachówką murem i basztami przypominającymi nisko ścięte piramidy.

Wynikało to nie tylko ze skąpych informacji, ale i z chronicznego bałaganu administracyjnego. Z prawnego punktu widzenia, rdzong, którego ludność liczyła obecnie niewiele ponad sto osób, był suwerennym księstwem, związanym z sąsiednim królestwem Brug-jul więzami starej, feudalnej zależności. Zgodnie z zawartym w siedemnastym, a może w osiemnastym wieku traktatem, miejscowy radża, czy jak go tam zwali, płacił rocznie władzom centralnym trybut w wysokości czternastu i pół juka suszonego sera, który do niedawna uważany był za podstawowy środek płatniczy kraju. Ponieważ „Wszechpochłaniające światło" nie posiadało przedstawicielstw dyplomatycznych w żadnej ze stolic świata, wjazd doń, jeżeli w ogóle był możliwy, nie był ograniczony żadnymi przepisami prawnymi.

Gdy MacDonald minął granicę wiecznych śniegów i zaczęły pojawiać się sztywne krzewy rododendronów, nagle, za zakrętem ścieżki otworzyła się przed nim oszałamiająca sceneria. Horyzont przecinały ostre kontury nie zdobytych siedmiotysięczników. Dal bez końca, w której matowe grzbiety górskie o wszelkich odcieniach błękitu piętrzyły się stopniowo narastającymi falami, przekształciła się w przepaść, pełną kłębiącej się mgły. Ścieżka wisząca tuż nad krawędzią urywała się u stóp lekko odchylonego ku górze muru, ułożonego starannie z ciemnych, płaskich głazów pokrytych żółtymi liszajami porostów. Przylepione doń niewysokie baszty i widniejące nad ogrodzeniem kultowe stele sprawiały wrażenie naturalnego przedłużenia gór. Twierdza wyglądała jak dziwaczny, wyrzeźbiony przez wiatr monolit. Obramowana piargami, statyczna panorama tchnęła bezgraniczną samotnością i wiecznym spokojem.

się wody. Myśli rozsypywały się i opadały, jak zetlałe łachmany. Wola, chęć stawiania oporu, zostały złamane.

I tylko plamka światła, padającego tu z szerokiej, wonnej doliny, do której nie chciał zstąpić, szarzała przed nim, jak odblask nadziei.

„Wychylić kielich do dna..."

XXIII

Dzień, chmurny i krótki, jak zwykle w zimie, gasł w oczach. Smith ledwo zdążył załadować bańki z klonowym sokiem, gdy prześwitujące między drzewami niebo, a zarazem zaspy i nadtopione czapy na sosenkach pochłonął głęboki błękit.

Pokryte szronem konie parsknęły, wydmuchując kłęby pary, niechętnie ruszyły z miejsca i brnąc w śniegu wyciągnęły sanie na drogę. Sucho pisnęły płozy, wcinając się w oblodzone koleiny, zadzwoniły, uderzając o siebie, napełnione bańki.

Smith wiedział i zarazem nie wiedział, dokąd wiozą go poskrzypujące sanie. Kiedy ukazał się plujący iskrami komin i malinowo oświetlone okienko przypomniał sobie samotną warzelnię cukru i poczuł lekkie rozczarowanie. Miał wrażenie, że źle ocenił te objawy, że sugerowały mu inne spotkanie. Hucząca paszcza pieca, przysłonięta częściowo rozpalonymi drzwiczkami, przekształciła się nagle, jak we śnie, w kominek, w którym pękały rozpalone węgle. Na dywaniku, położywszy pysk na wyciągniętych łapach, czujnie drzemała stara Sandy. Długo patrzył na psa i nie wpadło mu do głowy, by popatrzeć za siebie. Kiedy jednak odwrócił głowę, nie zdziwił się widząc wszystkich w komplecie.

Zapewne w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że coś takiego jest po prostu niemożliwe. Ale jednak siedzieli wszyscy razem, jak na zdjęciu, z rękami na stole: ojciec w starej bonżurce, mama w szlafroczku i Lien z maleńką Beverley na ręku.

Smith nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się za stołem, jak dotknął palcem żółtych plam na wychudzonej ręce matki. Pochylił się w stronę ojca, by w nieprzeniknionej głębinie uchwycić choć cień rozpoznania i ojciec odpowiedział mu słabym uśmiechem.

– Gdzie byłeś tak długo? – z delikatnym wyrzutem spytała matka.

W rzeczy samej, gdzie był? Smith nie mógł przypomnieć sobie ani lat, które przeżył, ani poszczególnych wydarzeń. Nie wiedział, po co w ogóle była potrzebna ta tragiczna rozłąka, nie rozumiał, jak mógł być tak daleko od swych bliskich, myśląc z bólem, że nie wie, czy żyją jeszcze. W niewyobrażalnej teraz dali domyślał się chyba, że został całkiem sam, ale nie wiedział o tym dokładnie, choć próbował się dowiedzieć, kto kiedy umarł. Chociaż nie, chwilami podejrzewał, że przeczucia go oszukały, że kogoś jeszcze można uratować i płacząc we śnie biegł na pomoc.

– Tak na ciebie czekaliśmy, a ty wciąż nie przychodziłeś – nie odwracając woskowej twarzy, powiedział obcym głosem ojciec.

– Tak, bardzo na ciebie czekaliśmy – przytaknęła Lien i ze smutkiem skinęła głową.

– Myśleliśmy już, że nas nie zastaniesz. – Mama powoli cofnęła rękę.

– Nawet zaczęliśmy cię zapominać – przyznała się Lien.

– A ja najpierw zaczęłam zapominać, tatusiu – wyciągnęła do niego rączki córka. – Ale teraz przypomniałam sobie.

Smith domyślał się, że musi zdobyć się na nieprawdopodobny wysiłek i dać upust rozpaczy, która nie pozwalała mu ani mówić, ani oddychać. I gdy tylko zaczął domyślać się, jak to zrobić, nagle zadął mrożący krew w żyłach wiatr, wydmuchując żar spod popiołu.

„Dlaczego mówią do mnie jakby po kolei? – zadał sobie pytanie. – A nie wszyscy razem, przerywając jedno drugiemu, jak to bywa przy dawno oczekiwanym spotkaniu?"

„Nie pytaj martwych – ukłuła go w serce odpowiedź. – Oni nic nie mogą opowiedzieć".

Smith domyślał się, że jest jeszcze w stanie ostatnim wysiłkiem nakarmić gasnące cienie, wejść w ich widmowy krąg i zostać tu, dopóki we wszechświecie nie rozwieje się jego żywe ciało.

To była wielka pokusa, choć nie miał już żadnej wątpliwości, że drogie obrazy nie mogą mówić. Siła, która je stworzyła, nie była władna obdarzyć glinę duchem i pamięcią. Pozostawiono mu swobodę wyboru, a on nie zechciał zamknąć się w wiecznym milczeniu.

Pokój z wygasłym kominkiem wyblakł i stał się przeźroczysty.

I wkrótce księżyc, doskonały i martwy rozpędził ostatnie cienie. Drżąca ścieżka oświetliła antracytowy żwir i przekształciła pustynię w jezioro.

prawie połowę Indii, zawisła groźba skażenia radioaktywnego. Wysłane natychmiast ekspedycje „alpinistyczne", wyposażone w najnowsze liczniki cząsteczek radioaktywnych, wróciły z pustymi rękami. Zaginiona stacja, która mogła na trzysta lat zatruć wodę w rzece, w której codziennie dokonywały rytualnych albucji dziesiątki milionów Hindusów, przepadła bez śladu. Dopóki Waszyngton milczał, wszystko szło swoją koleją – staruszkowie spieszyli do Benares, by umrzeć na świętych brzegach i bez najmniejszej zwłoki włączyć się do koła życia, zaś niezliczeni pielgrzymi w dalszym ciągu roznosili świętą wodę po wsiach i miastach.

Kiedy wiadomości o awarii na lodowcu Nanda Devi przedostały się do prasy, wybuchł koszmarny skandal, który zmusił CIA do chwilowego zamrożenia długofalowego programu. Dopiero po upływie kilku lat, gdy prasa przycichła, znów podjęto prace nad rozbudową nowej sieci.

Dla zmodernizowanej stacji, wyposażonej w system awaryjny, wszczynający alarm przy najmniejszym przemieszczeniu aparatury, wybrano najpustynniejszy i najtrudniej dostępny fragment „Gór Śnieżnego człowieka". Stację uruchomiono w najściślejszej tajemnicy w bieżącym roku, ale z powodu nieznanych zakłóceń, jakby specjalnie dostrojonych do aparatury nadawczej, cała ta impreza nie przyniosła żadnych rezultatów. Całą zakodowaną informację kompletnie zagłuszały szumy. Ta właśnie nieprzewidziana komplikacja zmusiła kierownictwo w Langley do wezwania z niespokojnego regionu Morza Śródziemnego swego najzdolniejszego pracownika, posiadającego w dodatku odpowiednie przygotowanie alpinistyczne i do przerzucenia go w rejon Himalajów.

MacDonald wykonał swoje zadanie w ciągu jedenastu tygodni, nie licząc czasu koniecznego na aklimatyzację i zapoznanie się z warunkami. Jednakże zdobyta przezeń bezcenna informacja w dalszym ciągu była bezużyteczna. Rezultat wyjątkowej operacji, która niewątpliwie będzie obiektem badań w szkołach wywiadowczych, zależał obecnie od takich błahostek jak haki, liny, czy blok przeprawowy.

MacDonald przeanalizował wszystkie swoje dotychczasowe poczynania i ocenił je pozytywnie. Nawet chwilowe zaćmienie umysłu w rzymskiej willi było niezbędne do skonstruowania ogólnego obrazu. Był to swoisty eksperyment, bez którego dalsze tarapaty mogły się źle skończyć. MacDonald wiedział, bądź w najgorszym przypadku domyślał się istnienia stale czuwającego oka i dlatego nie założy w jaskini ładunku wybuchowego, by kierunkową eksplozją usunąć zagradzającą przejście wodę. Nie będzie również przeprowadzał ryzykownej próby zniszczenia źródła zakłóceń uderzeniem atomowym, choć mógłby bez trudu „stworzyć" dwie półkule z plutonu lub uranu 235 i siłą woli połączyć je gdzieś w pobliżu latającej kuli. Nie! Nawet myśli na ten temat są niebezpieczne. Trudno przewidzieć, jak o n i zareagują na agresję, choćby tylko pomyślaną...

Dopiero gdy do krwi ugryzł się w rękę, udało mu się wyzwolić od natrętnych skojarzeń. Znów przestawił się na samoanalizę i doszedł do niezbyt pocieszającego wniosku, że o ile do historii z pontonem zachowywał się, ogólnie rzecz biorąc, poprawnie, to wszystkie dalsze jego poczynania były łańcuchem kolejnych błędów.

I znowu pojawił się, odrzucony przed chwilą zespół myśli. Wrócił do niego i umocnił w świadomości. MacDonald zacisnął zęby.

N i e m a p r a w a o t y m m y ś l e ć !

Ale nawet ból, który pojawił się pod plombą, nie przeszkodził mu w udzieleniu odpowiedzi na pytanie, które znów wypłynęło z otchłani, gdzie kształty i słowa nie łączyły się z przedmiotami i obrazami.

„Dlaczego pluton? – zadał sobie pytanie. – A nie uran?"

Zrozumiał wtedy, że pomyślał o tym izotopie tylko dzięki asocjacji z baterią zasilającą stację śledzenia. Przyczyny i skutki stworzyły koło, nierozerwalne jak obręcz na szyi człowieka przykutego do pregierza.

MacDonald ocknął się, słysząc brzęknięcie żelaza. Zapalił następną pochodnię i bez trudu odnalazł hak, który wypadł z z takim trudem wykutego otworu. Było to co najmniej dziwne, ale nie kolidowało z prawami przyrody. Z charakterystycznym dla siebie uporem MacDonald wybrał nowe miejsce i znów zaczął odbijać wapniowe nacieki. Zdołał odpędzić nieproszoną wizję, choć nie podejrzewał, że jego własny umysł szykował nową pułapkę.

W jego mózgu pojawiła się i utrwaliła myśl, która sprawiła, że bezsilnie opuścił uniesioną rękę i wypuścił młotek.

Jeżeli informacji o dolinie nie można było przekazać za pośrednictwem fal radiowych, to trudno uwierzyć, by dało się tego dokonać za pomocą innych środków. Człowieka, a właściwie jego umysł, łatwiej trzymać w niewoli, niż nieuchwytny kwant elektronów.

MacDonald zaczął miotać się po wąskim korytarzyku, napełnionym świstem i grzmotem zbliżającej

Fort, na szkicu MacDonalda opatrzony niezbyt zrozumiałym napisem „Wszechpochłaniające światło", wyraźnie rysował się w pustce miedziano-zielonego nieba. MacDonald dotknął szczeciny, którą zarosła jego pokryta zaschniętymi strupami twarz i popatrzył na siebie krytycznie. Koszula pod pomarańczowym anorakiem była kiedyś niebieska, ale teraz pociemniała od kopciu, pokryta krwawymi śladami ukąszeń pijawek z mglistego lasu, przypominała raczej szmatę, w którą malarz wytarł swoje pędzle. Buty, szczególnie zaś getry, napęczniałe wilgocią, pełne były powbijanych kolców.

Mógł tylko mieć nadzieję, że mieszkańcy „Wszechpochłaniającego światła" spotykali się już z alpinistami, w ostatnich latach szeroką falą wdzierającymi się w dziewicze obszary „Mahalangur-Himal". W przeciwnym razie wezmą go za włochatego, przynoszącego nieszczęście „telmę" i obrzucą kamieniami.

MacDonald rozwiązał plecak i wyciągnął przenośną radiostację. Gdy tylko włączył zasilanie, w słuchawkach zawyła burza i zaskrzypiała przerdzewiała blacha. Najwidoczniej nazwa „Wszechpochłaniające światło" była prorocza. Fala radiowe były pochłaniane prawie we wszystkich zakresach.

Różnica między tutejszymi a bhutańskimi prawami była dość istotna. Zdobycie przepustki do Brug-jul było praktycznie niemożliwe. MacDonald mógł się cieszyć, że odwiedziny zamkniętego królestwa nie leżały w jego planach. Przecież nawet w najgorszym przypadku, jeżeli bhutańskim przepisom podlega również „Wszechpochłaniające światło", nikt nie może zabronić samotnemu alpiniście rozbicia namiotu pod ścianami rdzongu lub koło tego zagajnika po drugiej stronie kanionu.

„Taki kompromis chyba nie zaszkodzi handlowi wymiennemu" – doszedł do wniosku MacDonald. Miał nadzieję, że za rarytas, jakim była tu butelka whisky i karton papierosów uda mu się dostać coś do jedzenia.

MacDonald złożył antenę teleskopową, złożył ramkę pelengacyjną i na wszelki wypadek, chcąc uchronić baterie przed wilgocią, schował radiostację do plastykowego worka. Papierosy na wysokości prawie trzynastu tysięcy stóp zupełnie nie smakowały, postanowił więc skrócić swój ostatni postój.

Do celu było już bardzo niedaleko – należało tylko przejść po moście z pięciu bambusów oplecionych lianą na drugą stronę rzeki. W blasku fałszywych słońc ta niepewna konstrukcja przypominała pajęczynę, pobłyskującą kropelkami rosy. MacDonald dobrze wiedział, jak często podobne kładki się załamywały, zrzucając ludzi w szalejące, białe od piany potoki. Ale innego wyjścia nie było – musiał zacisnąć zęby i wejść na te zielonkawe, o charakterystycznych kolankach słomki. Mostek kołysał się i wyraźnie uginał pod nogami. Wilgotne podeszwy ześlizgiwały się co chwilę, bardzo przeszkadzał plecak. Ręce mimowolnie zaciskały się na „poręczach" – identycznych, oplecionych lianami bambusach. Himalajskie mosty były poważną próbą charakteru nawet dla tak doświadczonego alpinisty, za jakiego słusznie uważał się Charles MacDonald, doktor elektroniki i obywatel australijski. O ileż prościej byłoby przelecieć nad szalejącą w otchłani ponurą rzeką po dobrze umocowanej „fiksami" linie.

Zapadał już zmrok, gdy MacDonald doszedł do zbitych z potężnych cedrowych bali wrót, strzeżonych przez parę straszliwych masek uwieńczonych koronami z ludzkich czaszek o płonących cynobrem oczodołach.

II

Początkowo przybysza uznano za „gościa", choć nie miał on wcale prawa do tak wysokiej i przynoszącej zupełnie wymierne korzyści rangi. Zresztą, to nieporozumienie wyjaśniło się natychmiast, gdy tylko zaprowadzono MacDonalda do komnat najwyższego lamy. Początkowo obaj byli rozczarowani tym spotkaniem. Bariera językowa była nie do pokonania. Co prawda MacDonald zdołał wyjaśnić gestami, że przyszedł z gór, ale nie mógł się zorientować, jak tę pantomimę zrozumiał duchowy przywódca maleńkiego księstwa. Zasuszony staruszek, przypominający pociemniałą od starości figurkę z drzewa sandałowego, zdążył już jednak wyrobić sobie opinię o przybyszu.

– Kapo re? – zapytał, zauważywszy, że biały barbarzyńca nieprzystojnie gapi się na jedwabną, pokrytą aplikacjami kapę z wyobrażeniem nauczyciela mądrości Padmasmbhawy.

MacDonald nie zrozumiał pytania, ale pokazał lamie język. Ten gest uważano tu za coś w rodzaju przyjacielskiego pozdrowienia. Gdy alpinista zauważył, że lama ma na sobie taką samą czapkę ze złotą gałką jak ten wyhaftowany na jedwabiu jegomość, groźnie ściskający w ręku berło z nanizanymi na nie czaszkami i szkieletem pochylił z szacunkiem głowę. Być może kontemplacja świętych atrybutów sprawiła, że nagle doznał daru objawienia i kierowany przemożnym impulsem uznał, iż należy przejść do czynu. Podskoczył do leżącego przy progu plecaka, wyciągnął pieczołowicie przechowywaną butelkę „G and B" i z pełnym szacunku uśmiechem wręczył ją gospodarzowi. Była to najlepsza ze wszystkich możliwych decyzji.

Lama uśmiechnął się miło i przywołał gestem krótko ostrzyżonego nowicjusza w takiej samej, wyszarzałej czerwono-brązowej szacie, odsłaniającej prawe ramię. Chłopiec pobiegł gdzieś za kolumny, zaczepiając po drodze o poobwieszany pstrymi szarfami zielony bębenek i niema audiencja trwała nadal.

Młody mnich wrócił wkrótce w towarzystwie tłumacza. MacDonald natychmiast zorientował się, że ten korpulentny, o prawie czarnej opaleniźnie mężczyzna, to Szerpa-przewodnik. Wszedł do komnaty nie zdejmując dawno zdefasonowanego filcowego kapelusza. Teraz tylko zrzucił z ramion i związał rękawami w pasie swą czubę – ciepły tybetański chałat.

Na potężnej piersi Szerpy dumnie połyskiwał złoty żeton „Tygrysa śniegów" – najwyższa alpinistyczna nagroda, przyznawana za zdobycie ośmiotysięcznika. MacDonald wiedział, że tylko bardzo bogatego człowieka może być stać na wynajęcie takiego przewodnika.

– Jak się pan ma? – odezwał się Szerpa zupełnie przyzwoitą angielszczyzną i przedstawił się. Ang Temba... Pochodzę z Solo-kimbu w Nepalu i pracuję na kontrakcie.

– Bardzo jestem rad, mister Temba – szczerze ucieszył się MacDonald i wyciągnął rękę. – O ile zrozumiałem, zgodził się pan pełnić rolę tłumacza?... To wspaniale! Będę panu niezmiernie zobowiązany. – Zauważył pełne wyczekiwania spojrzenie swojego rozmówcy i przedstawił się pospiesznie. – Charles MacDonald z Sydney... To w Australii, mister Temba.

– Świątobliwy lama Ngagwan – Temba wskazał staruszka – chce wiedzieć, jak pan się tu dostał.

– Chętnie wyjaśnię – zaczął szybko tłumaczyć MacDonald.– Pan, mister Temba, zna góry o wiele lepiej ode mnie. O tym wymownie świadczy pańska odznaka – wskazał na żeton. – Nasza grupa miała przeprowadzić wstępne rozpoznanie podejść do Sijama Tare. Była to część przygotowań do przyszłorocznej próby wejścia na szczyt. Razem z partnerem wyszedłem z dużego obozu, by zbadać trawers komina skalnego na styku lodowców w odległości trzech godzin marszu. Szliśmy bez liny po idealnie równym płaskowyżu i nie spodziewaliśmy się żadnych trudności. Pogoda jednak się załamała, ze żlebów zaczęła unosić się mgła i zasłoniła wszystkie punkty orientacyjne. Uznaliśmy, że trzeba wracać i wtedy właśnie nagle, bez najmniejszego hałasu zeszła na nas lawina i rozrzuciło nas w obie strony. Lawina wlokła mnie chyba z pięć albo i więcej minut. Kilka razy uderzyłem o kamienie i tylko cudem pozostałem przy życiu. Gdy wszystko się skończyło i udało mi się w jakiś sposób wydostać spod śniegu, mgła zgęstniała tak, że nie widziałem nic na odległość wyciągniętej dłoni. Czekałem prawie dobę zanim widoczność uległa poprawie, a potem ruszyłem, orientując się za pomocą kompasu. Wyszedłem jednak nie w okolice obozu, lecz na zupełnie nieznaną drogę. Próbowałem połączyć się z kolegami drogą radiową, ale wszystkie moje próby zakończyły się niepowodzeniem. W eterze szalała jakąś burza elektromagnetyczna. Czy tutaj tak zawsze, mister Temba? A może we wskazania kompasu też nie należy wierzyć?

MacDonald zamilkł. Wyglądało na to, że jego wyjaśnienia uznano za przekonywające, a zadane na końcu pytania były dobrą puentą. Szerpa krótko streścił lamie emocjonującą opowieść gościa. Staruszek najwidoczniej przyjął ją do wiadomości i zadał jakieś krótkie pytanie.

– Świątobliwy lama interesuje się pańskimi planami na przyszłość – przetłumaczył Szerpa.

– Proszę powiedzieć świątobliwemu ojcu, szanowny kolego, że chwilowo nie mam żadnych określonych planów. Chciałbym najpierw dojść do siebie i nieco się podleczyć... Być może uda mi się nawiązać łączność z kolegami albo oni mnie znajdą...

– W jaki sposób znalazł się pan w lesie? – Ang Temba prześliznął się wzrokiem po plamach, jakie na jego odzieży pozostawiły długo krwawiące ranki. – O tej porze prawie nie sposób go przejść ze względu na pijawki.

– Ścieżka kończyła się na półce skalnej, która wydała mi się zbyt wąska... Musiałem szukać okrężnej drogi. Może dłuższej, ale za to bezpieczniejszej.

– Bezpieczniejszej? Mogły pana wyssać co do kropli. Gdzie pan zszedł ze ścieżki?

– Tuż obok kamiennej piramidy, na której przywiązuje się wstążkę i kładzie pieniądze.

– Darkszed – powiedział Temba zwracając się raczej do lamy, a nie do tego na wpół szalonego włóczęgi, który zdecydował się iść w porze monsunowej przez las, kiedy to drzewa i trawy pokryte są krwiożerczymi pijawkami spadającymi z góry i gotowymi wpełznąć do butów przez najdrobniejszą szczelinę.

– Oczywiście pańska ekspedycja miała licencję? – zapytał Ang Temba i MacDonald mógłby przysiąc, że pytanie to Szerpa zadał z własnej inicjatywy, by poprzeć jakieś swoje argumenty.

– Oczywiście! Oto moje dokumenty – MacDonald odsunął nieco suwak i wyciągnął portfel. Jakby nieumyślnie pokazał jego lewą część, która wypchana była najrozmaitszymi kartami kredytowymi i wyciągnął australijski paszport z wizami sąsiednich państw.

Lama i Szerpa długo kartkowali postemplowane strony, wymieniali co chwila niespieszne i zupełnie

Przytrzymała nieco wodze, chciała zapytać o coś biedną podróżniczkę, ale nic nie przyszło jej do głowy. W uszach dudniło, świadomość tonęła jak w lepkiej mgle. Joy przejechała obok i gdy prawie zapomniała już o spotkaniu, nagle gwałtownie ściągnęła wodze. Przez mózg przeleciała koszmarna myśl.

Joy zrozumiała, kogo podświadomie przypominała jej ta oberwana starucha w podartej, niebieskiej bluzce i wytartych dżinsach. To była ona sama, w swoim ubraniu, ale postarzała o jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt lat.

Joy długo patrzyła w ślad swej odchodzącej przyszłości.

– Tommaso! Kochany, jedyny – szepnęła. – Jak wiele mi odsłoniłeś... Szkoda tylko, że tak późno. Wybacz.

Nie tylko umysłem, ale całym swym jestestwem zrozumiała straszliwą prawdę – w tej dolinie śmierć była bezsilna wobec tych, którzy bali się umrzeć.

XXII

Gdy MacDonald zbadał cały system jaskiń, przekonał się, że wpadł w pułapkę. Jak zwykle przy słonecznej pogodzie śniegi topniały gwałtowniej, woda podniosła się i zalała dolne galerie. Teraz, by popłynąć pod prąd, w kierunku wejścia, musiałby dysponować przynajmniej motorówką, a nie gumową łajbą. Wydostać się z pieczary można było, oczywiście kosztem znacznego wysiłku, po sklepieniu, jak jakaś mucha czy jaszczurka. MacDonald zapalił pochodnię i pedantycznie obejrzał wilgotny, stalaktytowy strop. Zapowiadała się niezła robota. Żeby dobrze umocować haki, najpierw trzeba było odbić łamliwe, wapniowe nacieki. I wszystko to powinien MacDonald zrobić sam, własnymi rękoma. Po tej historii z gumową łódką nie można było ufać „sile umysłu". Co innego wyobrazić sobie diament – rzecz o prostej strukturze, co innego zaś – syntetyczny kauczuk, którego dokładnej formuły nie pamiętał nawet dyplomowany chemik Smith. Dlatego też należało całkowicie odrzucić wszelkie wyroby polimerowe, gdyż ich wytrzymałość w decydującym stopniu zależała od mikroskopijnych defektów struktury. MacDonald przypomniał sobie historię z wiosłem i wykluczył również wszelkie stopy. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie mógł „wybudować" nie tylko jakiejś maszyny, ale nawet czegoś najprostszego – lotni, czy też balonu, którym bez obaw mógłby powierzyć życie.

„Jakże wrażliwa jest cywilizacja – przemknęła mu myśl. – Gdy tylko znikną informatory i podręczniki, człowiek musi sam tworzyć wszystko od nowa, jak jakiś Robinson".

Superkomputer, jeżeli istotnie był to statek z innej planety, na myślowy impuls odpowiadał dość różnie. Czasami, reagując na jakiś minimalny impuls w strefie podkorowej, tworzył stabilne produkty o niewiarygodnym stopniu komplikacji, czasami zaś popełniał niewiarygodne błędy w najprostszych rzeczach. MacDonald przekonał się w czasie swych eksperymentów, że największą stabilnością odznaczały się właśnie spontaniczne reakcje nieznanego gospodarza doliny. Wyglądało to tak, jakby czerpanie wzorów z podświadomości było dla niego ciekawym, pociągającym zajęciem, podczas gdy wypełnianie dokładnych, inżynieryjnych zadań stanowiło coś w rodzaju nudnej rutyny.

Pierwszy hak wszedł, chwała Bogu, dobrze i trzyma mocno. Alpinista tej klasy co on, może polegać na własnych siłach. Tym bardziej że ma z czym wracać do domu. Najważniejsza sprawa – to naprowadzić na cel, a później przetartym szlakiem pójdą satelity, śmigłowce, specjalne ekspedycje. W mgnieniu oka wykonają całą czarną robotę, na którą pojedynczemu człowiekowi nie starczyłoby całego życia, potem zaś włączy się centrala obliczeniowa, poukłada wszystko do szufladek, zrobi ostateczny bilans, jasny jak dwa razy dwa i wyciągnie wniosek, w którym nie będzie miejsca na żadne tajemnice. A wtedy każdy otrzyma według zasług. Za MacDonaldem stoi wszechmocna organizacja, która dysponuje najnowocześniejszą techniką i nieograniczonymi funduszami. I to jedyna rzecz, o której powinien pamiętać we dnie i w nocy.

Przystojny mężczyzna w wieku czterdziestu lat, którego fotografia widniała w autralijskim paszporcie wydanym w Sydney na nazwisko Charlesa MacDonalda, uważany był w Langley za specjalistę najwyższej klasy. Zazwyczaj otrzymywał wyjątkowo delikatne zadania, takie, które wymagały szczególnego taktu i wyczucia sytuacji międzynarodowej. Dopiero wyjątkowe okoliczności zmusiły kierownictwo do włączenia go do programu „Człowiek śniegów", który początkowo funkcjonował zupełnie gładko.

Punkt śledzenia badań atomowych został w tajemnicy zmontowany na górze Nanda Devi już w 1965 roku. Aparatura zasilana praktycznie wiecznymi bateriami plutonowymi pracowała bez zarzutu przez ponad dziesięć lat, kontrolując rozległe obszary Środkowej i Południowej Azji. Pierwsze komplikacje pojawiły się, gdy niespodziewana lawina porwała urządzenia i zniosła je w stronę źródeł Gangesu, wypływającego z lodowej pieczary „Krowia morda". Nad świętą rzeką, która zaopatrywała w wodę

zbierającego rozłożoną na kamieniach odzież Australijczyka. - Jeżeli nie wrócę, nie wrócimy - poprawił się - powiedzmy po upływie tygodnia, niech pan jej pomoże powrócić do cywilizowanego świata.
- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy - obiecał MacDonald.
Smith i Valenti odprowadzili MacDonalda i zaczęli szykować się do drogi. Profesor wyszedł na półkę skalną i osłonił dłonią oczy. Za gajami muszkatowców, za rzeką z jej wodospadami i zarośniętymi lotosem starorzeczami, za górą - Valenti ujrzał pięć ośnieżonych szczytów.
Była to wielka Kanczendzanga i gdzieś tam, u jej podnóża, spowitego kłębami żółto-zielonych par, kryło się tajemnicze wejście do zaklętej krainy. Srebrnoszara, tytanowa kula bezszelestnie przesuwała się w zaczarowanej ciszy.
- To sur - z uśmiechem wyjaśnił Valenti i skierował lornetę na trującą chmurę. - Strzeże Szambali.
- No proszę! - obojętnie odparł Smith.
Niedawno każda aluzja dotycząca tajemniczej krainy powodowała, że zaczynał snuć gorączkowe domysły, ale teraz i tak wiedział już wszystko, co wiedzieć powinien i nie czuł potrzeby podzielenia się tym z innymi osobami. Poprzednie życie zszarzało ostatecznie, a wraz z nim umarła i ciekawość.
- Jestem przekonany, że zdołamy pokonać tę ostatnią przeszkodę! - Starając się nie okazywać radości profesor powoli chował lornetę.
- Życzę panu powodzenia, Tom. Jestem pewien, że wszystko będzie o'key.
- Porzuca mnie pan? - Valenti natychmiast posmutniał. - Ale dlaczego, Roberto?
- Tak trzeba, profesorze. Rozstaniemy się przy tych schodach. Widzi pan? Zasypane są białymi kwiatami.
- Czy spotkam pana, gdy będę wracał? - spytał Valenti patrząc Smithowi w oczy.
- Nie wiem. - Amerykanin spojrzał w bok. - Niech pan próbuje...
- No cóż, pójdę sam. Powinienem dowiedzieć się, co tam jest. Dowiem się.
- Mną też stale kierowało poczucie obowiązku. Ale teraz, Tom, ostatecznie zrozumiałem, że nic nikomu nie jestem dłużny. Nawet samemu sobie.
- I nie wydaje się panu, że jakoś pana zubożyło?...
- Zubożyło? Pan żartuje, Tom! Stałem się ostatnim nędzarzem! Ale to obdarzyło mnie zadziwiającą wolnością.
- A więc żegnaj, przyjacielu. Nie mam już panu nic do powiedzenia.
- Żegnam pana, signore!
Uścisnęli się, postali tak chwilę i rozeszli, bowiem każdy z nich znalazł swą prowadzącą w dół ścieżkę.

XXI

Rankiem Joy odszukała Szerpę, który zdążył już opróżnić cztery butle cz'angu.
- Mam zamiar odwiedzić t e n dom, mister Temba. Mam już dość oczekiwania całymi dniami i zdychania z nudów. Chciałabym się trochę przewietrzyć.
- Weźmie pani jaki?
- Wolę pozostawić je pod pańską pieczą. Kiedy wróci mister Valenti, to proszę mu powiedzieć, gdzie jestem, dobrze?
- Ale ja nie czekam na mister Valentiego, madame, mam czekać na mister Smitha. Jeszcze cztery dni madame. Piątego ranka będę wolny.
- To wszystko jedno, przecież poszli razem... Innymi słowy, wie pan, gdzie mnie szukać.
- Rozumiem, madame. W każdym razie przyjadę po panią w drodze powrotnej. Czy życzy pani sobie bym przyniósł siodło?
- Niech pan będzie łaskaw, mister Temba - Joy skinęła głową. - A ja pójdę się pakować.
Wyjechała o dziesiątej i koło południa przekroczyła granicę pustyni, na której już nie mogła znaleźć miejsca, by się ukryć i przeczekać upał. Bezchmurne niebo i odbijające się od pokrytego miką żwiru promienie słońca szybko dały się we znaki niedoświadczonej podróżniczce. Mimo „stetsona" i okularów przeciwsłonecznych ledwo trzymała się w siodle. Ciężkie powieki opadały mimowolnie, w skroniach i potylicy narastał ciężki ból.
Gdy dostrzegła samotną, rzucającą długi cień postać pomyślała początkowo, że to halucynacja. Przymknęła zmęczone oczy, poczekała aż trochę przygasną tańczące, purpurowe kręgi i ostrożnie uniosła dygoczące rzęsy. Cień nie zniknął. Joy popędziła muła i wkrótce zrównała się z wychudzoną staruchą, która wlokła się nie wiadomo gdzie po rozpalonych kamieniach.

niezrozumiałe dla Australijczyka zdania. MacDonald zdołał rozpoznać tylko trzy znajome słowa. Kilka razy padły słowa: „alpinizm" i „Bhutan" oraz wspomniana przez Szerpę nie zdobyta Sijama Tara. Lodowy tron siedmiookiej, miłosiernej bogini udostępniony został dopiero w ubiegłym roku. Temba najwidoczniej powtarzał opowieść alpinisty. Płynnym ruchem ręki nakreślił w powietrzu zarys grzbietu górskiego i gwałtownym gestem zaznaczył komin skalny. Można już było nie wątpić, że stał się rzecznikiem cudzoziemca.
Lama raczej się nie upierał, ale i nie spieszył się z wyrażeniem zgody. Obaj rozmówcy tak dalece zgłębili się w rozważanie wszelkich pro i contra, że MacDonaldowi wydawało się, iż całkowicie już zapomnieli o co toczy się spór.
- Może pan, rzecz jasna, mieszkać tu tak długo, jak pan zechce - oznajmił Temba, przypomniawszy sobie wreszcie o czekającym na decyzję gościu. - Pozostaje tylko problem wyżywienia.
- Przecież mam na to wystarczające środki! - zawołał MacDonald i potrząsnął portfelem.
- Sprawa jest dość skomplikowana - Temba wzruszył ramionami z zażenowaniem. - Przełęcze, sam pan wie, są zasypane śniegiem, a w ogóle drogi są tu przez sześć-siedem miesięcy w roku nieczynne... Krótko mówiąc, dowóz jest trudny, a miejscowych zapasów starcza tylko dla tutejszych mieszkańców. Jednym słowem, nie sądzę, by udało się panu kupić żywność i opał, sir... A może ma pan jakieś przedmioty do wymiany?
MacDonald udał, że myśli intensywnie.
- Wszystko co miałem, zostało w obozie - podrapał się w głowę - tu są tylko najniezbędniejsze rzeczy... No cóż, mam trochę papierosów, jakieś lekarstwa, grzałkę katalityczną, bez której mogę się obejść... W ostateczności gotów jestem rozstać się z namiotem, śpiworem i... Zresztą, mogę poświęcić wszystko - poza radiostacją - to moja ostatnia nadzieja...
Gdy tylko Szerpa przetłumaczył jego słowa gospodarzowi, stary lama skinął głową i zwrócił się bezpośrednio do MacDonalda.
- Świątobliwy lama powiada - Szarpa nie ukrywał zadowolenia - że człowiek nie powinien rozstawać się ze swoimi narzędziami pracy. Może pan bezpłatnie jeść wraz z mnichami dopóty, dopóki nie zostaną otwarte drogi. Świątobliwy lama chciałby porozmawiać z panem o lekarstwach, ale nie teraz, lecz później, gdy będzie miał wolny czas.
„No, pomogła moja whisky!" - MacDonald spojrzał z wdzięcznością na wielkiego Padmasambhawę, który natchął go tą genialną myślą i zaczął rozpływać się w podziękowaniach.
- Nie ma się pan z czego tak cieszyć - po przyjacielsku ostrzegł go Temba. - Oni jedzą tylko dwa razy dziennie: o wschodzie słońca i w południe. I co to za jedzenie! Długo pan na nim nie pociągnie. Ryż i suszone owoce są tu tylko od święta, poza tym - wyłącznie gorąca polewka z campy... Oczywiście, że to lepsze niż nic i z głodu pan nie umrze, ale... - Jakby przecząc własnym słowom, Szerpa z powątpiewaniem wzruszył ramionami. - W porządku! - machnął energicznie ręką. - Spróbuję porozmawiać z sahibem, na pewno nie odmówi ziomkowi pomocy.
- Co? - zdziwił się szczerze MacDonald. - Jest tu jeszcze jeden Australijczyk?
- Jest jeden - sprecyzował dokładny Temba. - Ze Stanów Zjednoczonych, stan Filadelfia - i wskazał gdzieś na północ.

III

Robert Smith z Filadelfii przebywał we „Wszechpochłaniającym świetle" już drugi tydzień. W przeciwieństwie do swego niespodziewanego „ziomka", przez cały czas myślał w jaki sposób, legalny lub nie, dostać się do tajemniczego królestwa. Po nieudanej próbie dostania się do Brug-jul z Kalimpongu, zastosował manewr obejścia i czekał na otwarcie dróg, by posłać nowe podanie do Thimpchu. Oczywiście, prawie nie liczył na pozytywną decyzję, ale przypuszczał, że wraz z ożywieniem ruchu odżyje miejscowy rynek. Smith był z wykształcenia chemikiem, był również weteranem wojny wietnamskiej i parę ostatnich lat zajmował się badaniami rytualnych brązów lamajskich, które wciąż piętrzyły przed nim kolejne zagadki.
Wszystko zaczęło się od świątynnego dzwoneczka dril-bu, którego zadziwiająco czysty i delikatny dźwięk nie milknął przez długie minuty. Smith zidentyfikował w stopie srebro, złoto i nawet iryd; próbował zrekonstruować recepte, ale bez rezultatu. Dzwoneczek odlany według woskowego modelu oryginału żadnymi szczególnymi właściwościami akustycznymi się nie odznaczał. To samo spotkało Smitha, gdy próbował wytapiać metal do maleńkich tybetańskich talerzyków cin-lin. Oryginał, ozdobiony przedziwnie posplatanym wzorem „nici życia" dźwięczał jedenaście minut od momentu uderzenia

go srebrną wadżrą, kopia natomiast milkła w ciągu kilku sekund. Nie pomagało ani dokładne kopiowanie stopu, ani badanie pod mikroskopem elektronowym struktury krystalicznej, ani nawet oksydowane zreprodukowanie magicznej „nici życia", którą Tybetańczycy z niejakim brakiem szacunku nazywali „kiszkami Buddy". Aż nagle, gdy uniwersytet podjął decyzję, by temat skreślić z planu i Smith prawie popadł w czarną rozpacz, analiza dokonana spektrografem masowym wykazała, że w stopie znajdują się wyraźne ślady pierwiastka o liczbie atomowej 43-technetu. Łatwo pojąć zaskoczenie badaczy, gdy weźmie się pod uwagę, że do niedawna na Ziemi nie istniał ani jeden atom tego pierwiastka. Można było tylko zgadywać, w jaki sposób w odlewie pochodzącym najpóźniej z końca osiemnastego wieku pojawił się technet.

Temat natychmiast został reanimowany i solidne dotacje posypały się jak z rogu obfitości. Smith natomiast otrzymał stosowne stypendium i pomknął w Himalaje, by kupować stare wyroby z brązu. W każdym razie taką wersję usiłował przedstawić alpiniście z piątego kontynentu.

Smith przybył do „Wszechpochłaniającego światła" karawaną złożoną z dziesięciu jaków i zorganizowaną przez Ang Temba. Umowa, którą Smith zawarł z Szerpą w Katmandu była, jak do tej pory, jedynym sukcesem chemika z Filadelfii.

MacDonald siedział na skórze himalajskiego niedźwiedzia naprzeciwko Amerykanina i co chwila pochylał się, by z bambusowej rurki pociągnąć łyk gorącego piwa cz'ang – miejscowej egzotyki.

– O'kay, Charlie – zgodził się Amerykanin, gdy tylko wysłuchał smutnej opowieści o blaskach i cieniach alpinizmu. – Mogę panu odstąpić trochę żywności.. Oczywiście za cenę, jaką płaciłem w Katmandu.

– Ale nie jesteśmy w Katmandu... – zaczął protestować uradowany MacDonald, Smith jednak przerwał mu stanowczo.

– Ani centa więcej! To moja ostateczna decyzja, Charlie. Jeżeli zaś chodzi o zwierzęta, to boję się, że w niczym nie mogę panu pomóc. Nawet jeżeli odpowiedź z Thimpchu będzie pozytywna, to nie oddam panu ani jednego jaka. Któż może wiedzieć, co mnie spotka w takim kraju jak Bhutan? Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe?

– Ależ skąd! I tak jestem panu niezmiernie zobowiązany.

– Co innego, jeżeli zgodzi się pan pójść ze mną. Przetniemy, mam nadzieję, Bhutan z północnego wschodu na południowy zachód i wrócimy do cywilizowanego świata. Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią. Niech się pan rozejrzy, zastanowi... Czasu mamy, niestety, aż nadto.

MacDonald nie spieszył się z odpowiedzią, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że do zakazanego królestwa, bez względu na okoliczności, nie ma prawa wstępu.

– A dlaczego nie spróbuje pan szczęścia w dolinie „Siedmiu szczęśliwych klejnotów"? – próbował delikatnie zasugerować inną marszrutę. – Przełęcz Lha-la uwolni się od śniegu lada dzień i tam można by chwilowo poszukać brązów.

– To niemożliwe – pokręcił głową Smith. Przysunął się bliżej rozmówcy i powiedział szeptem: – Niech pan o tym więcej nie wspomina.

– Ale dlaczego? – MacDonald posłusznie ściszył głos.

– Niektórzy sądzą, że za przełęczą rozpoczyna się droga do cudownej krainy wszelkiej szczęśliwości. Lepiej nie kusić licha.

– Pan poważnie?

– Gdyby pan wiedział, co ja wycierpiałem przez ten brąz! – Smith gwałtownie zmienił temat. – Przywlokłem się tu po to, by zdobyć bhutańskie brązy, rozumie pan – właśnie bhutańskie! Ale oni nic, dosłownie nic nie chcą sprzedać. Nawet za dwie butelki „Canadian Club" nie mogłem dostać dwóch mizernych muzycznych talerzy! A na ulicy Tybetańskiej w Katmandu jest ich do licha i trochę.

– No więc o co chodzi?

– Przecież mnie są potrzebne bhutańskie.

– A jeżeli spróbować za przełęczą? Choć zerknąć jednym okiem – MacDonald próbował poprowadzić rozmowę w interesującym go kierunku. – W raju nawet mnisi będą przystępniejsi..

– Psst! – Smith uniósł ostrzegawczym gestem palec. – Ani słowa więcej. – Nawet pan nie podejrzewa, jak fanatyczni są tutejsi mnisi – „Czerwone Czapki". Jednym słowem, niech pan trzyma język za zębami, bo skomplikuje pan życie sobie i mnie. A ja, doprawdy, nie szukam dodatkowych kłopotów.

„Ten Jankes wcale nie jest takim prostaczkiem na jakiego wygląda przy pierwszym zetknięciu" – pomyślał MacDonald.

Smith oparł się plecami o juki, odsunął ostygłe już piwo, nabrał powietrza w płuca i wyciągnął skądś nowiutki kornet. Popłynęła przejmująca, trochę urywana melodia. Potem Amerykanin zaśpiewał ochrypłym i dość miłym głosem. Jedynie piosenka była dość dziwna.

– Czy ma pan choć najmniejsze wyobrażenie o strukturze elastomerów? – MacDonald poczuł, że przemókł do nitki i nie mógł powstrzymać się, aby nie robić wyrzutów.

– A pan? – odciął się szczękający zębami Valenti.

– Niech diabli wezmą ten pański pomysł! – przemarznięty do szpiku kości Australijczyk upadł piersią na sflaczałą burtę. Łódka przechyliła się i nagle przewaliła na bok. Gwałtowny strumień wody w mgnieniu oka zmył ludzi i ładunek. Obracało ich w niesamowitym wirze, uderzało o kamienne sklepienia, pod którymi kłębiła się brudna piana i niosło, niosło, to wciągając w bezdenne głębie, to wyrzucając na powierzchnię.

MacDonald pierwszy odzyskał przytomność. Odsunął się od ognia, który porządnie osmalił mu bok i z jękiem zmienił pozycję. Patrzył na oświetlone odbłyskami płomieni sklepienie, z którego spadały ciężkie jak stalowe kulki krople i nie bardzo mógł pojąć, co się z nim dzieje. Potem zobaczył ognisko i leżące przy nim dwa ciała, nad którymi kłębiła się para. Gdy poleżał tak przez dłuższą chwilę, zauważył z radością, że przestało go boleć porozbijane ciało, że rytm oddechu i bicie serca wróciły do normy.

Wkrótce mógł już bez specjalnego trudu wstać i rozejrzeć się wokół. Obydwaj jego towarzysze najwyraźniej żyli, bo udało im się samodzielnie zmienić położenie i odsunąć od ogniska. Było to głębokie omdlenie lub też zdążyło już ono przejść w sen.

Zegarek, podobno wodoodporny, który też przebył lodowatą kąpiel, stał. W odległym wyłomie wejścia migotały ledwo widoczne gwiazdy.

„Ile czasu minęło?" – spytał sam siebie MacDonald i dręczące uczucie głodu podpowiedziało mu, że dużo...

Poczuł drażniący zapach pieczonego mięsa i bez trudu odnalazł ułożone z zakopconych kamieni prymitywne palenisko, nad którym potężne udo baranie ociekało syczącym sosem. Nieco dalej podgrzewało się do właściwej temperatury sake w tradycyjnych japońskich ołowianych dzbankach, a w glinianej misce lśnił polany obficie oliwą ryż z frutti di mare.

Australijczyk chciwie łyknął ciepłą wódkę prosto z dzbanka, splunął na węgle i zaklął wściekle przez zęby.

Swego czasu, gdy los rzucił go do Tokio, pił tam taką samą łagodną i nieco słodkawą wódkę. Ale to było pół biedy. Gorzej wyglądała sprawa z rizotto, które MacDonald jadł swego czasu w Famaguście.

Przypomniał sobie idiotyczną piosenkę Smitha i zamyślił się głęboko. Zdrowy rozsądek mówił mu, że pora kończyć sprawy jak najszybciej

„Jeżeli nie jest już za późno" – trzeźwo ocenił sytuację.

Boleśnie ukłuło go wspomnienie kontenerów, które zostawił pod pieczą Szerpy i prawie natychmiast zatliła się w nim nadzieja. Powtórzył w myśli parametry siatki diamentu, skoncentrował myśl na szlifie i tak jak tam, w willi, unaocznił sobie migocące stosy i błękitne iskry.

Ale tym razem nic się nie stało. O n i – teraz MacDonald myślał o nich w liczbie mnogiej – wyraźnie znudzili się jednostajną zabawą.

Przyszła mu do głowy nieproszona, całkiem obłąkańcza myśl.

Z a p r a g n ą ł e m i zaprzedałem duszę. Nie mam już drogi powrotu. Cóż za bzdury pchają się do głowy... Precz z tymi głupotami! Spokojnie zjeść, spróbować osiągnąć zadowolenie, wysuszyć odzież nad ogniskiem i spać, spać..."

Obudził się późno. Smith i Valenti już wstali i coś jedli bez apetytu siedząc przy wygasłym ogniu. Daleka, rozproszona poświata wskazywała wyjście na drugą stronę, ale nikt się nie spieszył tak jak wczoraj.

Mgliste marzenia, podświadome nadzieje, niekontrolowane przez umysł pragnienia – wszystko to stało się niezwykle niebezpieczne. Normalna, przebiegająca jakby bez udziału woli praca umysłu stała się podobna do ślepego błądzenia po polu minowym. W każdej chwili mógł nastąpić wybuch. Niebezpieczeństwo kryło się w sąsiedzie, w samym sobie, przede wszystkim w szczerości, gdy opadały więzy i zasypiali niewidzialni strażnicy.

– Jak pan się czuje, Charlie? – zapytał elegancko Smith widząc, że współtowarzysz nie śpi.

– Dziękuję, a pan?

– Wspaniale, Charlie, jak zawsze... Nie jest pan głodny?

– Nie. – MacDonald od razu wszystko sobie przypomniał i uznał, że nie należy odwlekać rozwiązania tej sytuacji. – Wiecie panowie, postanowiłem, że wycofuję się z gry. Zawracam.

– Być może ma pan rację. W głosie Włocha zabrzmiała ulga. – Na swój sposób, oczywiście. A czy pan, Roberto, nie zmienił decyzji?

– Pójdę z panem, Tom.

– A więc proszę, przyjacielu, niech pan zaopiekuje się Joy! – Valenti gwałtownie odwrócił się w stronę

- Proszę mi wybaczyć, panowie, ale chciałbym nieco dokładniej wiedzieć, w której z nich się znajdujemy. - MacDonald z uśmiechem przerwał wykład. - Jeszcze żyję, czy już umarłem?
- Chwileczkę - Smith drgnął nagle i wskazał oczyma Joy. Stała koło pontonu, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się na brzegu i płakała cicho.
- Pan t e g o chciał, Bobby? - spytał ostrym tonem MacDonald.
- Wątpię - Smith pokręcił głową.
- A więc pan? - MacDonald odwrócił się i palcem, jak lufą pistoletu, wskazał Valentiego.
- Tak mi się zdaje, choć nie ręczę...
- Trzykomorowa, sześcioosobowa łódź typu „Pstrąg" - określił Smith. - Specjalnie przystosowana do górskich rzek. Widział już pan coś podobnego?
- Tak - skinął głową Valenti, bezwiednie obgryzając paznokcie. - Mieliśmy identyczną w czasie badań źródeł Mekongu.
- Za nic na świecie nie wsiądę do tej łódki. - Joy nerwowo zapaliła papierosa. - Mam tego dość.
- Ale dlaczego? - zmartwił się Valenti. Mam wrażenie, że nie powinniśmy odrzucać takiego zaproszenia, jeżeli w ogóle chcemy coś zrozumieć.
- Ja również tak uważam - poparł go z zapałem Smith. - To jest jak obrzęd inicjacji, który trzeba przejść, by zostać dopuszczonym do tajemnic.
- Albo test - skinął głową Valenti.
- Obrzęd! Test! Nie możecie, panowie, mówić bardziej zrozumiałym językiem? - MacDonald udał, że ogarnia go wzburzenie. - Nie mam nic przeciwko uczestniczeniu w takiej grze, ale zanim się do niej przyłączę, wolałbym ustalić jej zasady i określić stopień ryzyka.
- Obawiam się, że to gra bez reguł - z goryczą odparł Smith.
- Dlaczego? - zaoponował Włoch. - Ja odnoszę raczej wrażenie, że prowadzimy dialog z jakimś komputerem, który próbuje wszechstronnie nas ocenić.
- I nawet pozwala korygować zadanie techniczne na displayu?
- I bardzo dobrze! - Valenti złożył dłonie w geście dziękczynienia. - To kolejny dowód, że nie mamy do czynienia z wszechwiedzącym bogiem. O n też się uczy, doskonali... Uważam, że powinniśmy wziąć tylko niezbędne rzeczy.
- Jeżeli to koryto w ogóle może pływać. - MacDonald dał do zrozumienia, że przyłącza się do większości. - Ja również odniosłem wrażenie, że j e g o wszechmoc jest nader ograniczona. Zdolny jest tworzyć jedynie to, co sam dobrze zna.
- Albo to, co wiemy my - uściślił Valenti.
- W tym rzecz, że tak naprawdę, to nie wiemy prawie nic... Dlatego proponuję, by najpierw wypróbować tę łajbę.
- Zgoda! - Valenti z zadowoleniem machnął ręką. - Słyszałaś naszą rozmowę, kochanie? - pochylił się w stronę Joy i szepnął do niej po włosku.
- To okrutne doprowadzać mnie do szaleństwa! - krzyknęła szeptem. - Czemu nie możesz tego pojąć?
- Dobrze. - Valenti pochylił głowę. - Daj mi jeszcze pięć, najwyżej sześć dni i wrócimy.
- Chcesz zbadać jaskinie?
- Tam musi być przejście.
- I odejdziesz, nie próbując nawet popatrzeć? Nie wierzę!
- Dałem słowo i dotrzymam go. Tylko sześć dni, najwyżej tydzień...

XX

Błędy konstrukcji i ukryte wady materiału dały o sobie znać zbyt późno, w chwili, gdy nic nie można już było zmienić. Najpierw nie wytrzymało wiosło. Gdy MacDonald próbował wyminąć skałę, na którą niósł ich nieubłagany prąd, aluminiowa łopata zaledwie otarła się o kamień i natychmiast odpadła. Przez jakiś czas łódka, prawie niesterowna, w miarę pomyślnie płynęła z prądem, wpadając na głazy i trąc nadymanymi burtami o najrozmaitsze szorstkie i ostre fragmenty skał.

Kiedy wreszcie wyszarpało dziurę w dnie i w łódkę wlało się ze sto litrów lodowatej wody, okazało się, że guma nie utrzymuje ciśnienia i drogocenne powietrze bezpowrotnie ulatuje przez mikroskopijne pory.

Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące,
Zbudź się pod krzyżem w Famaguście...

Famagusta?

MacDonald trafił kiedyś do tego miasteczka, przesyconego zapachem smażonej makreli. Wyraźnie przypomniał sobie grecki cmentarz, wysypane oślepiająco białym koralowym tłuczniem alejki i zakurzone, oblepione brudną pajęczyną cyprysy. Kontrast z rosistą łąką był uderzający.

MacDonald wstał, opłukał ręce wodą z wysokiej, bambusowej butli i po pochyłej kłodzie z wycięciami zamiast szczebli zszedł na dół.

IV

Maleńki oddziałek z przemycaną heroiną pełzł po grani na niewielkiej, jak na Himalaje, wysokości. Przez jedenaście dób strzałka lotniczego wysokościomierza drgała przeważnie wokół kreski oznaczającej 3000 metrów. Potem rozpoczęło się stopniowe podejście. Po minięciu bez trudności chińskich posterunków granicznych, których usytuowanie było dobrze znane, dowódca dał sygnał do krótkiego odpoczynku.

Pakistańczyk Abbas Rahman położył automatyczny karabin „M-16" i zaczął rozwiązywać plecak. Należało już wyciągnąć dywanik, by powitać wschód słońca pierwszą modlitwą prawowiernego muzułmanina - as-subh. Sadżad - dywanik, który Abbas przywiózł z pielgrzymki do Mekki, leżał pod zestawem wysokościowym i ochraniał plastykowe woreczki z drogocennym proszkiem. Do tego, ważącego około dziesięciu kilogramów kompletu należał dwumiejscowy, nylonowy namiot, dwa ocieplane śpiwory, nadmuchiwane materace i lekka kuchenka spirytusowa z plastykowymi naczyniami. Żywność i amunicję niósł partner Abbasa, jednooki Muslim, który znał góry nie gorzej od giaurów Szikari - przewodników oddziału. Wieloletnia praktyka dowiodła, że niesiony na plecach ciężar nie powinien przekraczać trzydziestu dwóch kilogramów i dlatego, nie licząc broni, każdy niósł dziewięć-dziesięć kilogramów narkotyków. Według cen czarnorynkowych ładunek ten miał wartość około ośmiu milionów dolarów. Tak dochodowy interes usprawiedliwiał każde ryzyko i wszelkie straty.

A ryzyko było spore. Rozproszone oddziały powstańców z plemienia Khampa zmuszone były zejść z gór i szukać schronienia wśród sąsiednich plemion. Pojedyncze grupki, zapędzone w głuche pustynie, ustronne pieczary i na trudno dostępne przełęcze, zmuszone były czasowo zaprzestać otwartej walki. Doprowadzeni do rozpaczy ludzie tylko z rzadka wychodzili na szlaki karawan, by w poszukiwaniu żywności, broni i lekarstw zaatakować transport wojskowy lub po prostu ściągnąć daninę z kupców.

Khampa, wychowani w lamaistycznych tradycjach poszanowania wszelkich przejawów życia, nie dążyli do przelewu krwi i gdy otrzymali to, co było dla nich najniezbędniejsze, na długo znikali w górach. Ale dla mafii, wpływowej i wspaniale zaopatrzonej w opium, stali się prawdziwym biczem bożym. Wolni od wielu przesądów młodzi powstańcy, choć nosili na swych wojskowych kapeluszach z szerokimi rondami kokardy z podobizną dalajlamy, wcale nie chcieli powrotu dawnych czasów. Znali prace Marksa i Sun-Jat-sena, a każdy z nich miał krewnych, którzy zaprzedali ciało i duszę dymowi przynoszącemu cudowne sny. Nic więc dziwnego, że Khampa wyjątkowo surowo rozprawiali się z handlarzami „białą śmiercią".

Dopóki muzułmanie-stażnicy odprawiali salat, a kulisi podgrzewali duszone mięso z ryżem, przywódca oddziału - szczupły, lecz silny starzec niewiadomej narodowości - rozmawiał o czymś szeptem z dwoma Szikari. Byli oni ubrani w bawełniane koszule, wypuszczone na przepaski biodrowe i mimo że nogi mieli całkiem gołe, wcale nie odczuwali chłodu. Nalegali, by ruszyć w dalszą drogę. Jednogłośnie radzili sahibowi, by obszedł Wielkie Jezioro od północy tą starą dawno już nie używaną ścieżką, po której Tybetańczycy pędzili kiedyś na himalajskie bazary kozy, objuczone woreczkami z solą. Mimo przewężeń, które trzeba było przechodzić parami i z asekuracją linową, była to zupełnie bezpieczna droga, prowadząca bezpośrednio do Niebieskiego Wąwozu, gdzie można było przenocować w opuszczonej gompie.

I właśnie tam, przed samym zejściem w dół, kiedy oddział minął skałę całą w świętych zaklęciach, zaś na dole widać już było drzewce z modlitewnymi flagami i ogonami jaków, przemytników czekała zasadzka. Ponieważ wiszący most został zerwany przez przybór wody i oddział musiał przeprawiać się po wąziutkiej grobli, kontrabandziści szli powiązani linami w pary. W tym miejscu uderzyła w nich salwa.

Gdy Abbas i Muslim zobaczyli, że idący przed nimi kulisi padli twarzą w śnieżny pył, pokrywający

gałązki rododendronu, natychmiast rzucili się na ziemię, wgnieceni w rozmiękły grunt ciężarem plecaków.

Abbas uwolnił się z szelek plecaka i ukrywszy się za nim, gorączkowo, zdzierając skórę z palców odbezpieczył karabin. Strzelił na oślep, przetoczył się w bok i, pochylony, zaczął wycofywać się w górę zbocza po osypujących się i wilgotnych od topniejącego śniegu kamieniach. Na dobrą sprawę napastnicy wtedy właśnie powinni go wykończyć, gdy nagle Muslim, który wciąż jeszcze nie zrzucił swego niewygodnego bagażu rozrzucił ręce i upadł pod nogi partnera. Abbas upuścił karabin i runął w śnieg. Wczepieni w siebie potoczyli się w dół skłonu.

Potem było urwisko, upadek. Abbasowi wydawało się, że to już koniec, ale po uderzeniu, po oślepiającym bólu i wstrząsie nastąpił długi lot w duszących kłębach piasku i śniegu, przy akompaniamencie trzasku gałązek i łomotu kamiennej lawiny. Ocknął się późną nocą. Dygotał z zimna. Każdy ruch powodował eksplozje bólu. Zagryzł wargi by nie jęczeć i starannie obmacał całe ciało. Podniosło go to nieco na duchu. Wbrew oczekiwaniom, wszystko wskazywało na to, że kości miał całe. No, może z wyjątkiem żeber, bowiem coś straszliwie kłuło go w boku. Abbas zebrał całe swe siły i energię, by się podnieść. Wyciągnął rękę i dotknął czegoś twardego. Jak oparzony cofnął palce.

Jednakże chłód i nieomal odczuwalne wrażenie nadciągającej śmierci zmuszały do działania. Abbas obmacał, najpierw ostrożnie, potem w gorączkowym pośpiechu, leżące obok ciało i wreszcie odnalazł to, czego szukał. Poza plastykowymi woreczkami z narkotykiem i puszkami z konserwami, znalazł w plecaku Muslima koc z wielbłądziej wełny, zmianę bielizny i materiał wybuchowy. Kryjąc się pod kocem i próbując rozgrzać się własnym oddechem, przemytnik włączył latarkę. Widmowe światło hipnotyzowało spojrzenie, odwracało uwagę od mrocznych myśli.

Człowiek przeżył i mógł dziękczynną modlitwą powitać wschód słońca, by później rozgrzany jego palącymi promieniami, znów pobłogosławić niebiosa. Lecz nie należało modlić się obok trupa. Nieboszczyk jest zawsze nieczysty, nawet jeżeli był przyjacielem. Najpierw należało oddać ciało ziemi i dokonać ablucji. Z trudem przewrócił ciężkie zwłoki na wznak. Pierś Muslima była przestrzelona w trzech miejscach. Z trudem, pomagając sobie zębami i bagnetem, Abbas zdołał zdjąć z nieboszczyka skafander, moherową kamizelkę i szerokie wojskowe spodnie. Ostrożnie przesypał heroinę do kieszeni skafandra Muslima i schował wszystko do plecaka. Równie starannie i bez pośpiechu zdjął ze sztywnej, martwej ręki zegarek elektroniczny, a swój, uszkodzony, rozdusił obcasem. Zebrał sterczące spod śniegu kamienie i byle jak przykrył nimi zwłoki. Następnie postał chwilę nad samotnym kurhanem, odmówił modlitwę za zmarłych i, podniósłszy z ziemi karabin, zaczął oddalać się od prawie pionowej, zapełnionej śniegiem szczeliny skalnej, która ocaliła mu życie.

Na szkicu Muslima od Wielkiej Grani prowadziły tylko dwie, oznaczone punkcikami, ścieżki. O północnej, na której poległa wczoraj większa część oddziału, trzeba było zapomnieć. Pozostawało więc tylko jedyne wyjście: ominąć Niebieski Wąwóz od południa i dojść granią do przełęczy, za którą znajdowała się droga do Bhutanu. Innej szansy na szybkie dotarcie do zamieszkałych miejsc nie było.

V

Na ceremonię ofiarowania wszechświata przybyli wszyscy mieszkańcy fortu. Oprócz bezpośrednio uczestniczących w ceremonii trzydziestu siedmiu mnichów, przed wejściem do świątyni tłoczyli się chłopi, kupcy i czterej żołnierze, którzy tworzyli garnizon fortu. Ich bezpośredni dowódca i żywiciel, piastujący rangę komendanta rdzongu, został dopuszczony do ołtarza, przy którym naczelny lama obsypywał ziarnem schodkowy, inkrustowany turkusami i koralami dysk, którego poszczególne, koncentryczne stopnie były symbolem otoczek świata iluzorycznego.

Mnisi, odziani w szkarłatne, odświętne stroje czytali święte teksty. Ich umyślnie niskie, dudniące basem głosy zlewały się w monotonny, przytłumiony łoskot, jakby rozbrzmiewający z obnażonego brzucha Majtrei – Buddy Przyszłości.

Umilkł mruczący chór. Dźwięk gongów obwieścił kulminacyjną chwilę nabożeństwa – wyniesienie mandali. Starsi lamowie, trzymając się za ręce wypowiedzieli zaklęcia, położyli dysk na jedwabny ręcznik i wyszli na zewnątrz.

Garstka świeckich rozsypała się, ludzie padli na ziemię i pełzli za odrodzonym wszechświatem, całując ślady swoich mądrych pasterzy i zbierając rozsypane ziarna. Jęczmień i proso, które pozostały po obrzędzie karmienia ptaków, uzyskiwały cudowne właściwości leczenia stu ośmiu chorób.

Na tym nabożeństwo się zakończyło i wszyscy mogli wrócić do swoich zajęć. Jednak mieszkańcy „Wszechpochłaniającego światła" nie rozchodzili się. Nie wiadomo skąd rozeszły się słuchy, że minionej

nę, na którą natknęliśmy się w samą porę! – Poprawiła rozsypane na ramionach włosy i machnęła ręką. – Jakaż ze mnie była idiotka!

– O czym pani mówi, Joy? – Smith ze współczuciem dotknął jej ramienia.

– A, tak. To drobiazg, Robercie, niech pan nie zwraca uwagi.

– Wydawało mi się, że jest pani szczęśliwa – szepnął, jakby próbując się usprawiedliwić.

– Mylił się pan – sucho oznajmiła Joy, zawróciła i nagle zamarła – Co to Robercie? – szepnęła wskazując na niebo.

Smith uniósł głowę. W mroźnym, przeszywanym dzikimi wiatrami błękicie, wschodziła nieznana planeta – nieco spłaszczona, w jednym momencie połyskująca jak lustro, w innym prawie czarna kulka. Oślepiła ich metalicznym połyskiem, przekreśliła ukośnie nieboskłon i zniknęła za niewzruszoną, wieczną ścianą lodu. Wstrząśnięty Amerykanin zdążył jedynie zauważyć jak przecięły się na niej, tworząc ukośny krzyż, ostre promienie niewidzialnego jeszcze słońca.

MacDonald, któremu właśnie udało się schwytać upragnione zakłócenia zastygł z uniesioną głową i otwartymi ze zdziwienia ustami. Tylko Valenti nic nie zauważył.

– Widział pan? – zawołał Smith podbiegając do towarzysza. MacDonald w milczeniu pokiwał głową.

– Co to... było? – wyszeptał, stopniowo odzyskując mowę.

– Lubi pan fantastykę naukową? – ironicznie uśmiechnął się Smith.

– No, lubię!

– To wie pan już wszystko.

– Czyżby...

– Tak, tak, właśnie to! – przerwał mu ze zniecierpliwieniem Smith. – Statek kosmiczny, automatyczna sonda, boja awaryjna – co pan sobie życzy.

– Panowie też byli tego świadkami? – Valenti, któremu Joy zdążyła już opowiedzieć o wydarzeniu, zbliżył się do nich ze zwojem w ręku. – Sądzicie, że to latający talerzyk? – Błysnął zębami w ironicznym uśmiechu.

– A pan? – spytał ponuro Smith.

– Choć nie byłem szczęśliwym naocznym świadkiem, osobiście wolę inną interpretację.

– Jaką? – wrogim tonem zapytał Smith.

– Proszę sobie przypomnieć nauki „Kalaczkary". – Profesor z satysfakcją zatarł ręce. – Powiedziano zaprawdę: „znakami siedmiu gwiazd otworzone zostaną wrota..." O, proszę. – Zręcznie rozwinął zwój. – Ta rzeka – wskazał lazurową żyłkę, wijącą się wśród zielonych garbów – płynie na południe...

– Na południowy wschód – uściślił MacDonald.

– Skąd pan wie? – zdziwił się Valenti.

– Wiem – łagodnie, ale z jakąś niepowtarzalną, władczą intonacją, która zazwyczaj odbiera ochotę na zadawanie dalszych pytań, stwierdził MacDonald. – Pójdziemy tam, oczywiście jeżeli potrafimy – dodał pewnym tonem. Zorientował się, że popełnił błąd i uśmiechnął się. – Zdaje się, że chciał pan coś powiedzieć, profesorze?

– Ja? – Valenti zmarszczył brwi. – Ach tak, rzeczywiście. Po prostu chciałem wszystkim nam złożyć gratulacje z okazji przybycia do Szambali! Prawdę mówiąc, do ostatniej chwili nie wierzyłem. Sądziłem, że Szambala to zniekształcona Czampala, to znaczy przełęcz Majtrei i uważałem to za swego rodzaju metaforę.

– No, a pańska ekspedycja? – przypomniał mu Smith. – Czy warto było pchać się tak daleko dla metafory?

– Przecież powinienem się przekonać, czy miałem rację? – Valenti rozłożył ręce. – Proszę mi wierzyć, gra była warta świeczki. Teraz wiem, że Szambala to nie tylko wyższy stopień doskonałości duchowej, lecz i...

– Co? – z nieukrywaną goryczą w głosie przerwał mu Smith. – Co za „i"?

– ... pewien zespół zjawisk, które należy zbadać – skończył Valenti jakby nigdy nic.

– Brawo, profesorze! – MacDonald udawał, że klaszcze. – Jestem całkowicie po pańskiej stronie.

– Ładne mi „zjawiska"! A więc wszystko, co przeżyliśmy było tylko złudzeniem? – ni to z wyzwaniem, ni to z żalem zapytał Smith.

– A jak pan myśli? – profesor wywinął się od odpowiedzi.

– Tak nie myślę, ale trudno mi zaręczyć, że jest inaczej.

– Bardzo rozsądnie. Podzielam pana zdanie. Właściwie również w klasztorze Moruling w Lhassie i w Taszil-hun-po, gdzie znajduje się bezcenne dzieło trzeciego Panczen-lamy, dawno już uznano, że istnieją dwie Szambale: niebiańska i ziemska...

patrząc na błogie pląsy hurys. W tym zaczarowanym pałacu, gdzie czas wstrzymał swój bieg, a choroby nie miały władzy nad człowiekiem, można było sobie pozwolić na taki pełen wielkoduszności kaprys.

Ale Abbas nie mógł się pogodzić z wyzwaniem, rzuconym jego męskiej godności. Targany sprzecznymi uczuciami stał dość długo, aż wreszcie zdrętwiały palec sam bezwiednie nacisnął język spustowy.

Allach świadkiem, że Abbas nie chciał tego.

Przed rozbłyskiem, błyskawicznym jak otwarcie migawki, Norbu zdołał wyrobić w sobie pełną obojętności odrazę do wszelkich przejawów życia zmysłowego. Zgasił w sobie wszelkie ludzkie uczucia i nawet to wyższe pragnienie do połączenia się z niepojętym. Dążąc do ogarnięcia nieogarnionej władzy pana śmierci - Jamy i uginając się pod jej ciężarem, Norbu oczyszczał swą duszę od osadu pragnień, tak jak oczyszcza się ciało od złości i brudu.

Leciał w bezdenną, nieprzeniknioną przepaść ostatnim przebłyskiem gasnącej pamięci uzmysławiając sobie niejasno, że jest to właśnie Sunjata - absolutna pustka.

XIX

Czwartego dnia połączony oddział przeszedł przez pustynię i znalazł się nad rzeką, miotającą się ślepo w kamiennym chaosie. Smith, jadący na czele, skierował konia wzdłuż brzegu. Pozostali bezmyślnie ruszyli jego śladem. Dni, które spędzili w dolinie, nałożyły na nich niezatarte piętno samotności. Stępiało zainteresowanie, prawie całkowicie zniknęła ochota do prowadzenia rozmów, wymiany wrażeń, planów. Odczuwalna obecność jakiejś siły, która strzegła ukryte w tajemniczej głębi obrazy i działania, rodziła wzajemną obcość. Ale było i coś innego - wręcz przeciwnego. Myśli, które każdy krył w sobie, często okazywały się wspólne i podjęta przez kogoś z nich decyzja stawała się jakby plonem wspólnych rozmyślań, milczącym przyzwoleniem. Tak też stało się i tym razem, gdy Smith pobieżnie spojrzał na okolice i skierował karawanę w stronę wąwozu.

Nieważki, wodny pył przyjemnie odświeżał twarz. Mimo dużej wilgotności, powietrze było zadziwiająco lekkie i przyjemne.

Wąwóz nie miał wyjścia. Potok rozlewał się szeroko warkoczami piany i ginął w mroku jaskiń.

Jeźdźcy kolejno zeszli z koni i wręczyli wodze Szerpie. Ang Temba zgonił objuczone jaki razem i otworzył bambusową butlę z cz'angiem. Wypił ją co do kropelki i przykucnąwszy zaczął kreślić na ziemi jantry chroniące przed złym urokiem. Potem odwrócił się w stronę gór, odśpiewał zaklęcia, nasunął czapkę na nos i prawie demonstracyjnie pogrążył się w drzemkę. Czyż nie uprzedzał, że nie zna tutejszych dróg?

Valenti prześliznął się spojrzeniem po pionowej ścianie skalnej upstrzonej jaskiniami i wyszlifowanej przez spływającą wodę. Wyjął lornetkę i skierował ją na grotę, której wejście prawie całkowicie przysłaniała siatka pnącej roślinności. Nad nią zauważył wyraźnie widocznego, wyrzeźbionego w skale i lekko obwiedzionego ochrą konia z promienistym czandamani na wysokim siodle. Ten szczęśliwy symbol sam przez się nie miał żadnego znaczenia i chyba nie był żadnym drogowskazem. Raczej po prostu upamiętniał jakieś miejsce.

Valenti rozwinął bezcenną t'ang-ke i spróbował porównać ją z okolicą. Wymalowana na zwoju stylizowana góra i strumień ginący w głębinie mogły podpowiedzieć właściwy kierunek. Cała trudność polegała na tym, że t'ang-ki nie można było precyzyjnie zorientować według stron świata.

W czasie, gdy profesor zajmował się zwojem, MacDonald zmontował radiostację i nastawił ją na odpowiednią częstotliwość. Zbliżał się moment, w którym włączało się nieznane źródło sygnałów, które okazało się być niezawodnym punktem orientacyjnym.

– Nie ma pani ochoty rozprostować trochę kości? – Smith przeciągnął się z rozkoszą i pociągnął Joy za sobą, oddalając się od rzeki. – Cudowne miejsce! I nawet kwiaty tu są!

Towarzyszyła mu w milczeniu, nie podzielając wcale jego przesadnych zachwytów. Ale i w niej zaszła jakaś niedostrzegalna zmiana. Poczuła ochotę, by otworzyć przed nim duszę, podzielić się uczuciem głęboko ukrytej niepewności.

– Czy nie znudziła się pani ta włóczęga po górach i pustyniach? – spytał Smith, wręczając jej skromny bukiecik różowych pierwiosnków.

– To nie to, Robercie! – odparła gwałtownie. – Gdyby to ode mnie zależało, już dawno wrócilibyśmy. Ale widzi pan, Tommaso jest jak opętany.

– Jak ja, jak Charlie, jak my wszyscy – smutno zażartował Amerykanin. – Cóż począć?

– Oczywiście, że nic. – Joy w rozdrażnieniu pokręciła głową. – Musimy porozbijać sobie łby o tę ścia-

nocy w Niebieskim Wąwozie wybuchła krwawa walka i tuż przy gompie leży cała góra trupów. Z ust do ust przekazywano straszliwe szczegóły rzezi. Największy niepokój wywołała wieść, że podobno miał miejsce przypadek rollangu. Ożył nieboszczyk i natchniony złymi mocami, kieruje się obecnie w stronę rdzongu. Gdy dotrze do świata żywych, może stać się przyczyną niezliczonych nieszczęść.

Przesądni górale szeptali zaklęcia, które miały ich bronić i ze wszystkich sił kręcili modlitewne młynku odpędzając nieszczęście od siebie i swego domu.

– Co robić z demonem, który do nas idzie, nauczycielu?

– Zostańcie na miejscu – uspokajał lama, który nauczał niezrównanej sztuki pisania. – Nieulękniony duch, to największa z cnót.

Jednym słowem, w przeddzień przybycia Abbasa Rahmana, sytuacja w rdzongu „Wszechpochłaniające światło" była dość napięta. Ale wbrew mrożącym krew w żyłach plotkom i mrocznym przepowiedniom pod wrota twierdzy podjechał wcale nie ten, kogo się spodziewali. Zamiast ludojada z okrwawionymi ustami i pustymi oczodołami wszyscy ujrzeli czarującą, złotowłosą damę. Jechała na srokatym mule na czele wielkiej karawany. Tuż za nią podążał, kołysząc się w siodle wąsaty mężczyzna w nepalskiej czapeczce „topi", procesję zaś zamykał wędrowny jogin z posochem w kształcie trójzębu. Zgodnie z obyczajem szedł boso, przez ramię, na szatę wędrownego mnicha, zarzuconą miał skórę lamparta, która najwidoczniej służyła mu jako mata do ćwiczeń. Nikt z gości ani bhutańskich poganiaczy nie przypominał piekielnej zjawy. Wręcz przeciwnie, złotowłosa kobieta, pierwsza biała lady, która zaszczyciła swym przybyciem „Wszechpochłaniające światło" od początku jego istnienia, przypominała raczej niebiańską dziewicę - apsarę.

Już na samym początku wyjaśniło się, że wąsaty jegomość w nepalskiej czapeczce swobodnie mówi po tybetańsku i nie potrzebuje usług tłumacza, wszędobylskiego Szerpy Ang Temba. Wiadomość o tak wielkim cudzie została przyjęta nie tylko ze zrozumiałym zachwytem, ale i z pewną dozą niepokoju. Do tej pory wszyscy biali podróżnicy, którzy dotarli do rdzongu - i ci, o których wspominały stare kroniki, i ci dwaj ostatni - byli całkowitymi niemowami.

Czy nie kryje się w tym jakieś perfidne czarnoksięstwo? A jeżeli karawana i piękność, jadąca w męskim siodle to tylko omam, rezultat czarów ludojada, który przybrał postać Europejczyka? A może to karmiczne widzenie narzucone psychiczną mocą jogi w skórze lamparta?

– Zaufajcie mi – odpowiadał na pytania wartowników wąsaty jegomość. – Jesteśmy takimi samymi ludźmi z krwi i kości jak wy. Nie jesteśmy duchami, demonami, niewolnikami, ani dziećmi niewolników. Nazywam się Tommaso Valenti i przybyłem do was z pismem jego wysokości króla Bhutanu – potrząsnął w powietrzu zwojem papieru z woskową pieczęcią. – A oto moja żona Joy – płynnym, aktorskim gestem wskazał piękną kobietę. – Za nią natomiast, jak widzicie, stoi świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e z klasztoru „Tygrysie leże", który ma pismo do wielce świątobliwego naczelnego lamy.

– To znaczy, że idziecie z Bhutanu? – z zaskoczeniem zawołał komendant rdzongu i dotknął amuletu na piersi, by zabezpieczyć się przed urokiem.

– Z samej stolicy Thimpchu – odpowiedział człowiek, który podawał się za Tommasa Valentiego. – Prosimy o chwilową gościnę i zapewniam was, że udzielicie jej godnym ludziom...

Ci, którzy stali na górze zdążyli już dokładnie obejrzeć przybyszów od stóp do głów i musieli przyznać, że sprawiali oni korzystne wrażenie. Lama Ngagwan-rin-po-cz'e postanowił, że najpierw wybada poganiaczy. Są rdzennymi Bhutańczykami, prostodusznymi i szczerymi. Potem można będzie porozmawiać z przybyłym lamą, który w dodatku ma ze sobą list. I dopiero później, kiedy wyrobi już sobie pogląd na sprawę, przyjmie królewskiego gościa i jego żonę.

VI

Mimo ascetycznej surowości reguły klasztornej Ngagwan-rin-po-cz'e przyjął swego wędrownego brata z królewskim przepychem. Lecz wszystkie te prowincjonalne próby zaimponowania światowym szykiem spaliły na panewce.

Jogin, przyzwyczajony do zimna i zahartowany podczas swych wędrówek, usiadł daleko od rozsnuwających wonny dym grzałek i prawie nie tknął postawionych przed nim potraw. Spróbował jedynie kwaśnego mleka, którego odrobinę nalał sobie do nieodłącznej, żebraczej miseczki z orzecha kokosowego. Nieco później wyssał kilka owoców, pozostawiając nienaruszone pestki z zalążkami nowego życia i tylko pił dużo herbaty szczodrze przyprawionej tłuszczem, solą i lekko podrumienioną jęczmienną mąką.

– Jakie są twe zamiary, świątobliwy? – okazał uprzejmie zainteresowanie naczelny lama, choć z przywiezionego przez Norbę listu wiedział już, że ma on zamiar odbyć pielgrzymkę do doliny.

– Pójdę na spotkanie światłości – gość użył najprostszego eufemizmu.

– Jeszcze jedna dolina na twojej drodze – skinął z aprobatą głową lama Ngagwan. Alegoria umyślnie miała dwuznaczny charakter, gdyż słowo „dolina" można było pojmować zarówno jako tajemny kraj za przełęczą, jak też i jeden z etapów „samadahi".

– Jestem gotów – odpowiedział po prostu jogin, odgadując niedopowiedzenie.

– Jakże się tam dostaniesz, bracie? – zapytał z ledwo wyczuwalną nutką dezaprobaty starzec. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie będzie pomagać człowiekowi, który, niestety, nie potrzebuje niczyjej pomocy.

– Bogaty sahib, który przybył z daleka z przepiękną apsarą, wziął mnie do swojej karawany.

– Co? – szepnął oszołomiony lama Ngagwan, z trudem panując nad sobą. – Czy biali ludzie również chcą przedostać się do doliny?

Spełniły się jego najgorsze przypuszczenia. Obcy ludzie mieli zamiar i to zupełnie otwarcie, zejść z przełęczy Lha-la na zielone niziny!

Bezpośrednich zakazów, oczywiście, nie było. Lecz przez stulecia dojrzewała i wyraźnie skrystalizowała się w świadomości pokoleń tradycja, której naruszenie równałoby się świętokradztwu.

Zaszczyt przejścia przez przełęcz mógł spotkać tylko bezinteresownego poszukiwacza prawdy, który przez całe swe życie przygotowywał się do tego heroicznego czynu. Jakże mogło być inaczej? Całkiem możliwe, że właśnie życie było jedyną zapłatą z zuchwałą próbę. Nie na próżno w kronikach „Wszechogarniającego światła", które dokładnie opisywały trzynaście minionych stuleci, nie było ani słowa o tym, czy ktoś z tych, kto poszedł w dolinę, wrócił, czy też wszyscy pozostali w „Krainie obrazów". (Było to jeszcze jedno omówienie stosowane przez kronikarzy).

– Czeka was marny koniec, strącenie w mrok złych reinkarnacji.

– Dojdę – nieustraszenie zaoponował Norbu.

– Nikt nie zna dróg tam, w nizinie.

– Wyczuwam przyciąganie, jak igła magnes.

– Tam, gdzie zdoła ocaleć taki jak ty, bracie – Ngagwan nie wątpił, że lama mówił prawdę i zdawał sobie sprawę, że zdoła on pokonać wszelkie przeszkody – tam, gdzie ty zdołasz przejść, cudzoziemiec zginie. Czy nie lękasz się, że wiedziesz innych na pewną śmierć? – spróbował innych argumentów.

– Nikogo nie wiodę – odparł bez cienia bojaźni Norbu. – Zmierzamy tą samą drogą, lecz ku różnym celom. Każdy ma prawo iść swoją drogą i nikt za nikogo nie odpowiada.

– Trudno było się z nim nie zgodzić. Norbu-rin-po-cz'e ani na jotę nie odszedł od ducha i litery buddyjskiej etyki.

– Lecz jeżeli cudzoziemcy kierują się złą wolą? – starzec zdecydował się podzielić swymi obawami. – Jeżeli sprowadzą oni śmierć na wiele niewinnych istot?

– Nie poczułem tego – odparł twardo jogin.

– Ale to obcy ludzie.

– On zna nasz język.

– Dusza nie potrzebuje języka.

– Zna nasze prawo.

– Znać, to znaczy żyć. To za mało – tylko pamiętać cztery wielkie prawdy. Przecież nawet ptaki zapamiętują słowa... Jak ci ludzie żyją?

– Po swojemu... Ale szanują nasze obyczaje i z całego serca tęsknią za naszą przeszłością. Jego droga jest długa i godna szacunku. Jak i wasza świątobliwość, szuka zasług w uczoności. Znany mu jest tajny język Kalaczakry, mandale i znaki na naszych kamieniach czyta jak wielki pandit. Przez trzy lata żył w klasztorze Spittug, gdzie otrzymał święcenia i tajne imię, aby mógł je wymienić, gdy nadejdzie czas opuścić walący się dom.

– Czy znasz już, bracie, czas? – spytał cicho Ngagwan.

– Wkrótce – beznamiętnie odparł Norbu. – Biali ludzie znikną lekko i szczęśliwie, jak obłoczek w promieniach słońca.

VII

Profesor Tommaso Valenti spędził kilka lat w Ladakh i otrzymał w najstarszym klasztorze Spittug najwyższy stopień lha-rams-pa metafizyki buddyjskiej.

Do ekspedycji w dolinę „Siedmiu szczęśliwych klejnotów" szykował się długo i starannie, można

ną łatwością, ostatecznie uwierzył w bliskość „drugiego brzegu", jak nazwano nirwanę w świętej „Dhammapade".

Szedł przez pustynię nie odczuwając upału ani pragnienia, nie potrzebując nawet odpoczynku. Znikome przeszkody w postaci paru dziwnych i, prawdę mówiąc, nieopisanych w odpowiednich traktatach fantomów, tylko umocniły jogina w wierze w słuszność wybranej drogi.

Norbu-rin-po-cz'e całe życie spędził w Transhimalajach i nigdy nie widział samochodu, ale oczywiście słyszał to i owo o tych „diabelskich wózkach", które zatruwają powietrze mdlącym dymem i najeżdżają na żywych ludzi.

„Landrover", za którym nie widać było ani centymetra śladu zostawionego przez koła sprawił na nim przygnębiające wrażenie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że złośliwe demony-rakszasy wciąż knuły przeciwko niemu. Postawiły na drodze bosonogiego ascety szatański pojazd i tym chcą zawrócić go ze świętej drogi. Nie, nigdy się tak nie stanie!

„Om-mahum-swa-ha!" – magiczne sylaby przebudziły kosmostwórcę i uformowały się w niepojęte dla umysłu figury.

Gdy Norbu-rin-po-cz'e rozprawił się z kolejnym podstępem rakszasów, popatrzył na ruiny, otoczone uschniętymi zaroślami i czarnymi, jakby nadwęglonymi pniami drzew. Upojony własną odwagą, jak Don Kichot, który zobaczył wiatraki, jogin poprawił zsuwającą się z ramienia skórę i ruszył do ataku. Błądząc w mrocznych korytarzach, zasypanych rozbitymi kamieniami i osypującą się sztukaterią, Norbu zauważył, że spod niedokładnie zamkniętych drzwi, które jakimś cudem ocalały wśród tych ruin, pada wąski trójkąt światła.

Drzwi otwierały się do wewnątrz. Mnich delikatnie popchnął je ramieniem i nie bez ciekawości zajrzał do środka. I to, co niespodziewanie zobaczył w kłębach sandałowego dymu, do głębi wstrząsnęło biednym pustelnikiem, który zdawało się przywykł do oglądania wszelkich fantasmagorii i dawno zapanował nad swym ciałem.

Norbu już na pierwszy rzut oka w jednej z trzech tańczących apsar rozpoznał białą lady, z którą jechał z „Tygrysiego legowiska" do rdzongu „Wszechpochłaniające światło" i zrozumiał, że nawet rakszasy nie są władne dokonać takich czarów. Najwidoczniej sam Mara, demon śmierci i ciemnych żądz pragnął ukryć się za fałszywą kurtyną „drugiego brzegu". I ten brodaty sługa zła – Norbu natychmiast odgadł prawdziwe oblicze Abbasa – został tu posłany, by swą siłą życiową karmił obrzydliwe duchy, które przyjęły cudowną, kobiecą postać.

Norbu zebrał całą swą odwagę i twardym krokiem przekroczył próg. Wszedł, pozostawiając na błękitnym worsie dywanu ślady swych zakurzonych stóp, wmieszał się w magiczny korowód i w odpowiedniej chwili dmuchnął w twarz czarnoskórej tancerce.

Niezawodne zaklęcie zniszczyło obraz utkany z cząsteczek światła. Odważny wojownik wykorzystał moment zaskoczenia. Tworząc świecącą szafirowo pomocną projekcję nirmanicznego Buddy, rozpylił drugą apsarę i ruszył za trzecią, którą świętokradczo skopiowano z dobrej lady Joy. Powstrzymało go jednak mocne pchnięcie w plecy.

Abbas, który nie zdążył doprowadzić swego seraju do kanonicznej czwórki, płonął żądzą zemsty. Tak gwałtowne zmniejszenie stanu osobowego groziło mu nie tylko całkowitą samotnością, ale było również wyzwaniem, niedopuszczalnym wtrącaniem się w najświętsze sprawy.

Otrząsnął się z początkowego szoku, skoczył na równe nogi, zębami zerwał bandaż – bólu w unieruchomionej ręce prawie nie czuł – i schwycił nieodłączny „M-16". Przyszpilił mnicha lufą do ściany jak żuka szpilką i zapytał.

– Ktoś ty?

Norbu nie znał języka białych ludzi i dlatego milczał, ale bez słów zrozumiał co oznacza i jakim językiem przemawia uciskający go pod lewą łopatką chłód metalu. Błyskawiczne przejście od męczących obrotów sansary do wiecznego niebytu właśnie teraz wydawało mu się szczególnie łatwe i pociągające. Bez udręki, którą przed rozstaniem doświadcza ludzką duszę ulotne, ziemskie piękno, ale i bez zniecierpliwienia Norbu-rim-po-cz'e czekał na wystrzał.

Przy pierwszym dotknięciu stali, na wiele długich chwil przed szczęknięciem odbezpieczanego karabinu poczuł, jak jego doskonałe ciało rozszarpuje pocisk.

Abbas z doświadczenia wiedział, że w maleńkim raju, na który zasłużył swą głęboką wiarą i pobożnością, wszystko będzie tak, jak sobie zażyczy i nieme hurysy powrócą na pierwsze jego wezwanie – i nie chciał śmierci pogańskiego derwisza.

Słyszał już wiele o potędze tutejszych czarowników i jak ognia bał się ich straszliwego gniewu. Rozsądnie byłoby tego derwisza, który z głupoty wetknął nos w nieswoje sprawy, po prostu wyrzucić kopniakiem za drzwi i natychmiast o nim zapomnieć, słuchając uspokajającego akompaniamentu strun i

– To nie Grecja – oznajmił dobitnie swym dobrze postawionym głosem zawodowego wykładowcy – nie Rzym czasów upadku, no i, oczywiście, nie Kandahar, na co choć w niewielkim stopniu można było liczyć. To godna pożałowania, ślepa eklektyka, zrodzona przez bardzo chłonną, ale nieprecyzyjną pamięć. Jestem gotów zgodzić się z pańską prognozą, mister MacDonald. Złudzenie, należy przypuszczać, rozwieje się, gdy zniknie zasilające je źródło.

– Ale co to właściwie jest? – pokonując wewnętrzne opory zapytał Smith. – Czy to obiektywna rzeczywistość, czy zbiorowa hipnoza?

– Niczego nie mogę wykluczyć – z wyraźnym zadowoleniem oznajmił Valenti – choć osobiście wolałbym to drugie. Dla wewnętrznego spokoju. Niestety, właśnie dla spokoju, a nie na podstawie obiektywnej analizy, jak mógłby pan tego po mnie oczekiwać.

– Rozumiem pana – ze współczuciem westchnął Smith. – Doskonale rozumiem... Ang pomoże się panu ulokować – machnął ręką, przywołując Szerpę. – Jeżeli te wspaniałe róże będą smakować waszym jakom, to nie będziemy protestować. Czyż nie tak, mister Temba?

Po wspólnej uczcie, w czasie której na stole demonstracyjnie postawiono tylko s w o j e, dokładnie sprawdzone wiktuały, w milczeniu ignorując pojawiające się dania, MacDonald zszedł z cygarem do ogrodu.

Gdy wracał do siebie, usłyszał głośne oddechy i szamotaninę. Włączył latarkę, z którą nigdy się nie rozstawał. Oszołomiony Abbas, z wykrzywioną, pokrytą krwawymi śladami paznokci twarzą, ciągnął gdzieś opierającą się ostatnim wysiłkiem Joy. Zamarła na chwilę, zahipnotyzowana światłem, przykryła łokciem szeroko rozwarty dekolt i nienaturalnie wolno zaczęła sunąć wzdłuż ściany w stronę galerii.

Z gardłowym, chrypliwym rykiem Abbas wyrwał z pochwy sztylet i jak kot sprężył się do skoku. MacDonald jednak rzucił mu się pod nogi, schwycił rękę ze sztyletem i gwałtownie szarpnął ją w bok. Trzasnęły przerywane ścięgna, ale nim Pakistańczyk zdążył poczuć straszliwy ból, MacDonald zadał mu niezbyt silny, precyzyjny cios w skroń. To chyba nie było już potrzebne, ale MacDonald działał prawie instynktownie i nie był w stanie powstrzymać uderzenia.

Zarzucił sobie na ramię bezwładne ciało i rozejrzał się wkoło szukając wzrokiem Joy.

– Bydlę – wycedził przez zęby, opuszczając nieruchomy ciężar.

Gdy następnego dnia wybierali się w podróż przyglądał się uważnie Joy, która siodłała karego muła. W wyglądzie Włoszki nic nie przypominało wczorajszego zdarzenia.

Joy poczuła, że jest obserwowana, odwróciła się i zobaczywszy MacDonalda rozpromieniła się dyżurnym uśmiechem pięknej, pewnej siebie kobiety.

Karawana ruszyła. Jej ślad w pierwotnej, czarnej jak antracyt pustyni tworzyła chmura duszącego pyłu.

– No, jak minęła noc? – zapytał MacDonald, podjeżdżając do Tommasa Valentiego.

– Lepiej nie mówić – wzdrygnąwszy się nerwowo odparł profesor. – Jedynym pożytkiem z tej całej fantasmagorii jest to, że czuję się całkiem zdrów. Wie pan, to całkiem zapomniane przeze mnie uczucie...

– Cieszę się, profesorze.

– Słyszysz, dziecino? – zawołał tryumfalnie profesor i odwrócił się do jadącej w ślad za nim żony. – Nie czuję wcale podagry!

– A więc pomogły ci te kąpiele w wodzie z gejzerów?... Jakże się cieszę, kochany!

MacDonalda znów oszołomiło opanowanie Włoszki. Niechętnie odwrócił wzrok od jej wypoczętej, wspaniale zadbanej twarzy i zobaczył jaskrawopomarańczową kropkę, wyraźnie odcinającą się od ascetycznego tła pustyni.

MacDonald spojrzał przez lornetkę i z zadowoleniem rozpoznał wędrownego jogina. Zatrzymał się w odległości kilku kroków od „landrovera" i, oparty na trójzębie, uważnie przyglądał się nie zakończonemu dziełu.

I nagle „landrover" zniknął.

Mnich w dalszym ciągu stał, nieruchomy jak posąg, ale prostokątnej, rzucającej krótki cień bryły już nie było.

MacDonald gwałtownie wyprostował się w siodle i spojrzał za siebie. Na grzbiecie jaka uspokajająco pobłyskiwało duraluminiowe zwierciadło kontenera.

XVIII

Ćwiczenia medytacyjne z dnia na dzień wzmacniały w Norbu poczucie więzi z absolutem, nierozerwalną łączność z siłą, która uduchawia wszechświat.

Tu właśnie, w dolinie, w której najbardziej skomplikowane ćwiczenia mógł wykonywać z niesłycha-

powiedzieć, całe życie. Gdyby nie zaskakujący, wedle opinii przyjaciół i znajomych, ożenek z młodziutką aspirantką, wyprawa mogłaby odbyć się o wiele wcześniej. Ale co zostało zapisane w górze, to musi się spełnić – Valenti mimo wszystko dostał się do legendarnego rdzongu „Wszechpochłaniające światło". Fakt, że stało się to właśnie teraz, w roku Wody i Psa, a nie w zeszłym, czy jeszcze wcześniej, był bez znaczenia.

Valenti potraktował spotkanie z naczelnym lamą jako wydarzenie o niezwykłej wadze. Zbliżając się do ostatecznego celu swych badań utracił niezaprzeczalne prawo badacza do błędu. Naprawić lub zmienić cokolwiek już nie było można. Dlatego też Valenti okazał stanowczość i pozostawił żonę u stóp wzgórza, choć Joy straszliwie chciała odwiedzić klasztor. Wyjątkowo tolerancyjni buddyści oczywiście dla białej lady zrobiliby wyjątek, lecz zgodnie z regułą kobieta nie powinna była przekraczać zakazanej granicy i to przeważyło szale.

Wielce świątobliwy Ngagwan przyjął gościa w bibliotece, okazując w ten sposób szacunek jego zasługom naukowym. Stary lama przywitał Valentiego przy samych drzwiach. Po wymianie powitań wskazał mu uprzejmie honorowe miejsce przy północnej ścianie, wisiała na niej wspaniała t'ang-ka, na której wyobrażono władcę demonów Dankana, galopującego po falach krwi na koźle o spiralnych rogach. Zgodnie z tradycją Valenti podał świątobliwemu lamie hadak – niebieską, jedwabną szarfę z hieroglificznymi znakami szczęścia i długiego życia, na której z trudem mógł utrzymać troskliwie dobrane dary – zegarek elektroniczny, blaszane pudełko z kandyzowanymi owocami, wodę kwiatową i bursztynową broszkę, zakupioną na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Bursztyn, którym w Tybecie leczono przerost tarczycy, ceniono tu o wiele wyżej od złota.

Starzec podziękował i na chwilę wyszedł do przylegającego do biblioteki pokoiku. Wyszedł z niego z białym, tkanym w domu ręcznikiem i figurką z brązu. Valenti z zapartym tchem rozpoznał P'radżnjaparamitrę – opiekunkę uczonych mnichów. Pozłacany odlew zachwycał elegancją linii i precyzją wykonania detali.

– Przecież to prawdziwe arcydzieło! – zawołał Valenti. – Ma co najmniej dwieście lat!

– Nie wiem – lama potarł broszkę o chałat. – Niech przyniesie panu szczęście.

Valenti dyskretnie spojrzał na stelaże zapełnione deskami drukarskimi i owiniętymi w cenne tkaniny książkami – plikami nie zszytych kart, ozdobionych niejednokrotnie wykwintnymi miniaturami. Na pewno były tu i stare, być może nikomu jeszcze nie znane manuskrypty pisane na liściach palmowych i paskach bambusa, grawerowane na płytkach z kości słoniowej, złota i srebra. „Czy przed wyprawą uda mi się zapoznać z tym skarbcem starej mądrości? – przemknęła przez głowę myśl. – To niemożliwe, by nie znalazł się tu choć krótki opis kraju za przełęczą..."

– Jak się podobał panu Bhutan? – uprzejmie spytał lama.

– Ta wspaniała kraina przekroczyła wszelkie moje wyobrażenia – sztampowo, lecz zupełnie szczerze odpowiedział Valenti.

Po wymianie ogólnych uwag i charakterystycznych dla Wschodu zapytań o rodzinne miejsca, zdrowie bliskich osób i widziane w drodze osobliwości, stopniowo zaczęli się zbliżać do głównego tematu rozmowy.

– Bardzo chciałbym odwiedzić dolinę za przełęczą Lha-la – otwarcie wyjawił swe najgorętsze pragnienie Tommaso Valenti.

– Nie ma tam nic godnego uwagi – odparł ostro mnich.

– Cóż więc jest? – z delikatną natarczywością dopytywał się Włoch.

– Pustynia, na której błądzą obrazy. Nic więcej.

– No, a za nią?

– Pustka – westchnął lama i nagle dodał. – Tego nikt nie wie...

– A więc nie popełnię świętokradztwa ośmielając się zejść do doliny?

– Nie wiem. Proszę spytać samego siebie... Czy pan się nie boi?

– Czego?

– Strach jest owocem niewiedzy. Prawda i strach nie dadzą się ze sobą pogodzić. A więc nie boi się pan?

– Istnieje coś straszniejszego niż niewiedza – Valenti spróbował przejąć inicjatywę.

– Imię jego – głupstwo... Czyżby uważał pan, że jest przygotowany do tej wyprawy?

– Pod względem duchowym czy materialnym?

– O materialnym później... Przecież wie pan doskonale, dlaczego mnisi umartwiają swe ciało. To walka, często bezskuteczna, z nienasyconym przywiązaniem człowieka do czczych rozkoszy, pokonanie zgubnej władzy pragnień. Czy próbował pan choć raz zdławić pożerającą pana żmiję? Zmierzyć otchłań w sobie samym? Zrozumiał pan, do czego jest pan zdolny, a czego, nawet pod groźbą śmierci,

nigdy pan nie uczyni? Jak więc można, nie znając swych ograniczeń, narażać się na tak wielką pokusę?

– Ma pan rację, świątobliwy ojcze – zasępił się Valenti. – Choć spędziłem pewien czas w przybytku, to myśli me były inne niż u pozostałych braci. Zawsze badałem rozum, nigdy zaś ducha. Lecz w mej słabości tkwi moja siła. Droga poznania jest czysta, natomiast pragnienie, by odsunąć zasłonę tajemnicy, choć jak każde pragnienie jest źródłem cierpień, różni się jednak od nikczemnych dążeń. I dlatego, jak sądzę, zdołam oprzeć się pokusom.

Lama ze zmęczeniem przymknął oczy. Tak, brak lęku wypływający z niewiedzy, to po prostu głupota. Jogin powiedział prawdę. Dni tego człowieka zostały już zważone i policzone. Niech więc koniec połączy się z początkiem.

– Kiedy chcecie wyruszyć? – zapytał lama, z trudem unosząc pergaminowe powieki.
– Niech ludzie trochę odpoczną, a jaki nabiorą sił.
– To rozsądne.
– Czy tam, za przełęczą, są ludzie? Wsie? Klasztory? – Valenti z trudem opanowywał podniecenie.
– Proszę na to nie liczyć. Tak będzie lepiej. Niech pan weźmie jak najwięcej prowiantu. Dróg, oczywiście, zupełnie pan nie zna?
– Świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e łaskawie zgodził się nam towarzyszyć.
– Towarzyszyć wam, czy was prowadzić?
– Czy to nie jedno i to samo?
– Gdy zorientuje się pan, na czym polega różnica, będzie już za późno...
– A więc nie będzie pan stawiać przeszkód? – nie wierząc własnemu szczęściu spytał cicho Włoch.
– Kimże jestem, by przerywać łańcuch, w którym jedno ogniwo łączy się z drugim – z goryczą w głosie spytał lama. – I w którym miejscu należy go rozłączyć?

Żegnając się z mędrcem Valenti przez chwilę zatrzymał spojrzenie na malowniczej t'ang-ka, gdzie pałający gniewem Dankan ze stojącymi dęba włosami pełnymi ukrytej energii, pędził, ogarnięty złotymi płomieniami i czarnym dymem. W dolnej części obrazu malarz, który zapewne nie widział nigdy morza, namalował niebieskie fale. Z głębin wód strzelały trzy ogniste snopy i rozpływały się na tle zielonych pagórków wyraźnymi, podobnymi do grzybów, słupami dymu. Nieznany malarz w żaden sposób nie mógł widzieć podwodnych wybuchów atomowych, ale tryskające z głębin strumienie ognia przysłonięte straszliwą bielą rozpalonej pary wyglądały tak naturalistycznie, że Włoch z trudem powstrzymał okrzyk zdziwienia.

„Najpóźniej koniec osiemnastego stulecia – określił wiek obrazu. – Cóż to jest: zadziwiająca przepowiednia, czy zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności, kiedy coś obcego i nieznanego przybiera zrządzeniem losu znajome kształty?" – zapytywał sam siebie Valenti.

Zszedł ze wzgórza wstrząśnięty. Była to jedna z tych porywających zagadek, które wciąż dostarcza nam niepojęta w samej swej istocie sztuka.

Ngagwan-rin-po-cz'e zamknął się w bibliotece i próbował odzyskać wiarę i zwykły spokój ducha. Okazywało się, że pod żadnym pozorem nikogo z tych ludzi nie należało wpuszczać do doliny. Im prędzej opuszczą oni „Wszechpochłaniające światło" i wyniosą się do swych pieleszy, tym lepiej dla wszystkich istot związanych z utrzymaniem tajemnicy.

Lama wyrwał kartkę z zeszytu i nakreślił kilka linijek do zarządcy sąsiedniego rdzongu, który znajdował się w odległości pięciu dni drogi od „Wszechpochłaniającego światła". Lama Nadom Lapo, który miał szerokie pełnomocnictwa i dysponował imponującym oddziałem składającym się z siedemnastu żołnierzy, mógł rozwiać wszelkie wątpliwości.

Przełożony klasztoru minął świątynię i za refektarzem zaczął ostrożnie schodzić po wykutych w skale stopniach. Strome schody prowadziły do pieczar pustelników.

W oddalonej grocie, do której prawie nie dobiegały nikłe odblaski dnia Ngagwan spostrzegł niejasne zarysy ludzkiej postaci. Pustelnik, obnażony do pasa, siedział na wytartej skórze lamparta zapatrzony w sobie tylko znaną dal. Lama oparł dłonie na głowie marzącego i sprawił, że widzenia rozpłynęły się.

– Teraz pójdziesz – powiedział wręczając mu posłanie i ponownie dotykając splątanych włosów zaczął dokładnie opisywać drogę.

Człowiek zaczął oddychać nosem szybko i głęboko, jakby usiłując węchem złapać trop i nagle przez nieprzeniknioną warstwę skał ujrzał znajomą ścieżkę, pobłyskujący miką żwir, ubogie, kamienne piramidki na przełęczach i kruche, śnieżne mostki wiszące nad jęczącą otchłanią. Gdy we wczesnym dzieciństwie oddano go do klasztoru, został poddany dokładnym oględzinom i wyznaczony do roli biegacza. Po wielu latach uporczywego treningu opanował niewiarygodną sztukę rkang-mgjoga – górskiego szyb-

przestać myśleć o przeklętym samochodzie. – No? Co tam? Co? – zawołał ze zniecierpliwieniem, ze wszystkich sił starając się nie zwracać uwagi na blaszany zgrzyt. – Niechże pan odpowiada! – zażądał, gdy wreszcie podniesiona maska przysłoniła mu niebo.

– Nic – po chwili milczenia odparł Smith, pokonując nagłą chrypkę. – Ciemna pustka... Chociaż coś tam, mam wrażenie, zaczyna się pojawiać... Filtr powietrza, cewka, akumulator, ale bez zacisków...
– Dosyć – przerwał mu zmęczonym głosem MacDonald. Kopnął drzwi i zeskoczył na żwir. – Taki samochód nigdy nie pojedzie.
– Tak – posępnie skinął głową Smith. – „To" nie ma pojęcia o technice budowy maszyn.

Zrozumieli się natychmiast.

– Mamy zbyt pobieżne wiadomości o wszystkim, by wyobrazić sobie każdą śrubkę i każdą nakrętkę – uśmiechnął się MacDonald. – Trzeba będzie objuczać jaki.
– Chyba tak, Charlie... Pójdziemy na peleng?
– To najpewniejszy sposób, choć warto by było skonsultować marszrutę wspólnie z signore Valentim. Są już blisko.
– Skąd pan wie?
– Wiem.
– To nie odpowiedź, Charlie.
– Mam nadzieję, że mnie pan nie potępi, jeżeli przyznam się, że przed odjazdem podłożyłem „pluskwę"?
– „Pluskwę?"
– Chyba pan wie, co to takiego?
– Mikrofon do podsłuchu?
– Po co takie namiętności? Przecież to tylko miniaturowy nadajnik, nic więcej. Przyczepiłem go do siodła Joy i dlatego wiem, oczywiście w przybliżeniu, gdzie w chwili obecnej znajduje się najpiękniejszy tyłeczek w promieniu tysiąca mil.
– Kim pan jest naprawdę, Charlie? – spytał zakłopotany Smith, przecierając irchą okulary.
– Czy ma to istotnie dla pana jakieś znaczenie? – MacDonald ze zniechęceniem machnął ręką. – Tu? Teraz?

XVII

Państwo Valenti natrafili na rzymską willę w momencie, gdy przygotowania do wyjazdu szły pełną parą. Profesor nie ukrywając zdziwienia patrzył na kwitnący sad, głęboko wdychał chłodny, gorzkawy zapach opadłych pięciopłatkowych kwiatów campy. – Szkoda niszczyć to piękno!

– Nie ma o czym mówić – Smith lekceważąco machnął ręką.
– Trudno by mi było zaręczyć, czy owa kwitnąca oaza nie zniknie jak sen złoty, gdy tylko zamkniemy za sobą furtkę – melancholijnie zauważył MacDonald zdejmując z siodła piękną Joy.
– Mam nadzieję, że znajdą się tu dla nas wolne pokoje? – Joy wzięła walizeczkę z biżuterią i kosmetykami i czarująco uśmiechnęła się do Smitha.
– Dla pani, signora, przygotowane są apartamenty prezydenckie – MacDonald przejął inicjatywę. – Dziękujemy, że państwo zaszczycili swym wyborem właśnie nasz hotel.
– Jak się nazywa?
– „Amarantowa willa" – Smith błysnął konceptem, nieco poirytowany tym, że zepchnięto go na drugi plan. – Kategoria pięć gwiazdek.
– Kuchnia do wyboru! – roześmiał się Australijczyk.
– Naprawdę? – Rumieniec na twarzy Joy pobladł nagle. – Czy dobrze pana rozumiem?
– Niestety, mistress Valenti – Smith ze smutkiem skinął głową.
– Kolekcje? – zainteresował się profesor i postukał paznokciem w przytroczony do juków kontener.
– Mam nadzieję – w nieco wymijający sposób odparł MacDonald.
– A więc wam również przytrafiały się rozmaite cuda? – Valenti jakby szukając dziury w całym obrzucił uważnym spojrzeniem antyczne kolumny, wyraźnie barokowe okna i idiotyczny, gotycki łuk przyporowy do połowy zasłonięty przez kamienny komin. – Oczywiście, moi przyjaciele, coś takiego nie może istnieć. Nie znam podobnych budowli.

Posągi z karraryjskiego marmuru pokryte wiekowymi spękaniami i zatartymi przez czas rysami, nie spodobały mu się jeszcze bardziej.

– Sądzę, że mam – Smith pzypominał sobie z wysiłkiem. – Były w jednym z juków...
– Były, były! – przedrzeźniał go poirytowany MacDonald. – Nie znam pańskiego bagażu, czy co? A nawiasem mówiąc, skrzynki zrobiono nie używając ani jednego gwoździa. Sprawdziłem.
– Jak to?
– A bo ja wiem? Może czymś sklejone...
– Trzeba to dobrze zbadać, Charlie – Smith potrząsnął głową jakby budząc się ze snu. – Bardzo bym chciał zachować swoje brązy.
– Ja również – wymknęło się MacDonaldowi.
– Jak to, u pana też pojawiły się wyroby z brązu?
– Coś w tym rodzaju. – Australijczyk zrobił nieokreślony gest. – I, doprawdy, nie mniej od pana jestem zainteresowany zachowaniem, czy raczej stabilnością... ładunku.
– Te przedmioty są realne, Charlie – ze zrozumieniem skinął głową Smith. W każdym razie składają się z atomów – jak my, jak otaczająca nas przyroda... Mam przenośny spektrometr. Sprawdzałem.
– Brzmi pocieszająco, jeżeli to wszystko nie przyśniło się panu: statuetki, sprawdzanie, spektrometr.
– A czy pańskie życie nie przyśniło się panu, Charlie? Może tylko śnimy o sobie samych?
– No, coś takiego w ogóle nie poddaje się sprawdzeniu.
– Banalne.
– Życie ludzkie w ogóle jest dość banalne i bezsensowne, nie uważa pan? A między nami mówiąc, z bezsensem równie trudno jest się pogodzić, jak i z własną zagładą. Mimo woli człowiek zadaje sobie pytanie: po co?
– I ma pan na to stosowną odpowiedź?
– Parę dni temu z całkowitym przekonaniem odpowiedziałbym „nie", ale teraz, Charlie – nie wiem...
– A więc, przewidział się panu raj. Jak temu głupkowi Abbasowi, który urządził sobie taki, wie pan, przytulny seraj. Ale czegóż można wymagać od Abbasa? Bałwan, ciemny półanalfabeta, lecz pan, pan, Bobby, mam nadzieję rozumie, że te dziwki potrafią tylko jęczeć namiętnie i pokrzykiwać w odpowiednim momencie? I nic więcej.
– Jakie dziwki? – Smith wytrzeszczył oczy.
– Takie – warknął MacDonald. – Złocista, brązowa, niech je diabli wezmą... Długo ma pan tu zamiar siedzieć? – spytał, gwałtownie zmieniając temat. – Czy nie czas ruszać dalej?
– Po co?
– Jak to „po co"? – MacDonald aż się zakrztusił. – Niechże się pan wreszcie obudzi, Bobby! Straciliśmy Bóg wie ile czasu. Trzeba to nadrobić!... A może woli pan wrócić?
– Wrócić? – odparł Smith w zamyśleniu. – Nie. Chciałbym tu trochę pobyć, choćby z ciekawości.
– No to niech się pan zbiera. Galopem! – MacDonald odzyskał swą normalną formę i zaczął go popędzać. – Wydaje się, że nie powinniśmy zwlekać. „To" nas popędza i jakby obiecuje, że im dalej, tym... – urwał raptownie i szarpnął rozmówcę za rękaw. Stara flanela trzasnęła i rozpełzła się pod palcami.
– Co? – spytał Smith, lecz gdy jego spojrzenie napotkało niebieski, zakurzony „landrover" zamilkł raptownie.
Samochód stał w odległości około dwudziestu jardów, rzucając na ziemię wyraźny, geometryczny cień.
– Tego pan chciał? – spytał cicho sposępniały nagle MacDonald.
– Nie, nie wiem... A pan?
– Ja też nie wiem, choć to raczej ja jestem winien... No cóż, chodźmy.
Podszedł do „landrovera" i zatrzymał się na chwilę, mimowolnie starając się namacać klamkę. Zamek otworzył się, lecz nie od razu, jakby z pewnym opóźnieniem. W taki sam, stopniowy sposób, jak obraz wywoływanego zdjęcia, pojawiły się zegary i wskazówki na tablicy przyrządów, mosiężny klucz w stacyjce. MacDonald chciał go przekręcić, ale w tej samej chwili przez uchyloną szybę dobiegł go pełen zdziwienia okrzyk Smitha.
– Ale przecież to monolit!
– Co? – nie zrozumiał MacDonald.
– To, że maska jest dokładnie przyspawana do karoserii, koła zaś do błotników! – zawołał Smith, ale zaraz poprawił się. – Och, nie, zdaje się, że po prostu nie zauważyłem szczeliny... I koła też...
– Tak – westchnął zafrasowany MacDonald, domyślając się reszty. – Niech pan spróbuje otworzyć maskę. – Oparł się wygodnie, zmarszczył w skupieniu brwi i niewiarygodnym wysiłkiem woli starał się

kobiegacza. Jego jedynym zadaniem było dotrzeć do celu, nie zatrzymując się przed przeszkodami, nie tracąc czasu na jedzenie i sen. Mógł umrzeć jak zagoniony koń, ale dopiero gdy spełnił polecenie.
Gdy starzec zdjął swe suche, pozbawione ciężaru i ciepła dłonie z głowy młodzieńca, ten, jak gołąb pocztowy, utrwalił już w sobie najdrobniejsze szczegóły oczekującej go drogi. Bezwiednie wyszedł na światło, które nie mogło oślepić jego skierowanego do wnętrza jaźni wzroku i wkrótce znikł za zakrętem, który prowadził do sąsiedniej pieczary. Tam zaczynało się podziemne przejście, prowadzące za mury twierdzy.

VIII

Przy pomocy niezawodnego Szerpy MacDonald wynajął niziutką, długogrzywą kobyłkę i pojechał na rozpoznanie przełęczy.
– Dlaczego mu pomagasz? – zganił Szerpę świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e. – Ma czarną aurę. Czyż nie widzisz tego?
– Zaprzyjaźnił się z moim sahibem... – próbował się usprawiedliwić Ang Temba.
– Sahib tworzy swą własną karmę, a ty swoją – tonem ostrzeżenia oznajmił Norbu. – Nikomu nie dano składać odpowiedzialności za własne postępki na ramiona innych. Stało się to, co się stało. Na przyszłość bądź bardziej rozważny.
W tym samym czasie MacDonald kołysał się już w siodle jadąc z prędkością najwyżej dwóch mil na godzinę. Zrobione ze sznura strzemiona były zbyt krótkie i jazda z zadartymi ku górze kolanami nie należała do najwygodniejszych. Oczywiście przedłużenie strzemion nie sprawiłoby większych trudności, ale MacDonald pogodził się z niewygodą – gdy nogi wloką się po ziemi, powodów do irytacji jest jeszcze więcej.
Ołowiany blask nieba, gorąco i monotonne kołysanie usypiały. Seria z automatu zaskoczyła go w chwili, gdy puściwszy wodze przypadł do twardej, pachnącej cierpkim potem grzywy. Wyleciał z siodła, upadł na gruboziarnisty piasek, zdołał jednak schwycić się strzemienia. Przerażone zwierzę zarżało krótko i powlokło za sobą jeźdźca. Znowu gdzieś z boku zadudnił automat kreśląc błotnistymi fontannami fatalną linię. Legła ona tuż obok, ciskając MacDonaldowi w twarz ostre bryzgi. Australijczyk podciągnął się wysoko na strzemieniu i osłaniając się koniem, bokiem podpełzł do najbliższego głazu. I natychmiast po wierzchołku kamienia uderzyła jeszcze jedna, krótka seria.
MacDonald, mrużąc bolące oczy i łapczywie chwytając powietrze, oparł się plecami o głaz i po omacku odszukał pistolet. Oczywiście „walter" kalibru 5,6 z całkowicie zbędnym w tej sytuacji tłumikiem w porównaniu z automatem był zwykłą zabawką. Ale jeżeli pewny swej bezkarności zabójca zechce wyjść z ukrycia i postawić kropkę nad i, spotka go niezbyt przyjemna niespodzianka.
Gdy MacDonaldowi wrócił już normalny rytm oddechu, przemył oczy wodą z manierki, przepłukał gardło i napił się do syta. Teraz był już gotów spotkać wroga twarzą w twarz. Popłynęły sekundy odmierzane niespokojnymi uderzeniami serca. Pierwsza, nieskończona godzina minęła w pełnym napięcia oczekiwaniu i całkowitej bezczynności. Jeżeli była to wojna nerwów, to trafił mu się przeciwnik nietuzinkowy, zasługujący na najwyższą ocenę. Oryginalny sposób prowadzenia ognia nie zdradzał w gruncie rzeczy ostatecznych intencji. Koń, który był w górach bardzo cenionym zwierzęciem, mógł być dodatkiem do głównej nagrody za jego, MacDonalda głowę. Przełożył broń do drugiej ręki i wytarł spoconą dłoń. Pomyślał, że tłumik lepiej zdjąć. Kiedy trzeba będzie strzelać, to lepiej, by wystrzał był jak najgłośniejszy. Co drugi pocisk w magazynku zawierał dodatkowy ładunek i przy uderzeniu w cel wybuchał jak maleńki granat.
Wyjął magazynek i przełożył nabój z pomarańczowym paskiem na samą górę.

IX

Profesorowi Valenti, który mógł jak lama Norbu zająć jedną z cel, wspaniałomyślnie pozwolono rozbić namiot u stóp klasztornego wzgórza. W taki oto sposób w rdzongu „Wszechpochłaniające światło" powstał drugi ośrodek zachodniej cywilizacji.
Mimo iż od świtu do południa profesor spędzał czas z braćmi w dharmie, kontynuując gruntowne studia lamaickiej obyczajowości, mieszkańcy czarnego namiotu godziny wieczorne chętnie poświęcali życiu towarzyskiemu.

Robert Smith, który wynajął jedyny niezamieszkały dom w rdzongu, stał się nie tylko stałym gościem włoskiej pary, ale i wielkodusznym nauczycielem Joy, pragnącej zgłębić bogactwa kombinacji pokerowych rozgrywek. Spotykali się wszyscy prawie codziennie – albo w feudalnej baszcie Anglosasów, albo u Włochów.

Tym razem Smith przyniósł do namiotu sensacyjną wiadomość.

– Dowiedziałem się przed chwilą, że pański przyjaciel lama jest w rzeczywistości dość przewrotną bestią.

– Ale w jaki sposób nas to dotyczy?

– W jak najpaskudniejszy. Krótko mówiąc wszystkie nasze plany idą do diabła... Okazuje się, że wielce świątobliwy w tajemnicy wysłał gońca do gubernatora, żeby w szybkim tempie pomógł mu pozbyć się nas stąd. Nieźle, co? W każdym razie moje nadzieje, że wkrótce uda mi się uzyskać pozwolenie na wjazd do Bhutanu, pozostaną nie spełnione. Nie mogę pozwolić żeby mnie stąd wyrzucono jak jakiegoś pijanego petaka z porządnego lokalu. Zbyt wiele postawiono na tę kartę.

– Przypuszczam – Valenti uśmiechnął się znacząco. – To nie byle co – technet w średniowiecznym brązie! Ale przecież nie będzie się pan wdzierał do obcego kraju siłą?

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że patrzą tu na mnie jak na kompletnego idiotę! – przyznał Smith. – Nawet „Tygrys" podejrzewa, że trochę zwariowałem... – Zerknął na statuetkę podarowaną przez lamę, która zgodnie z obyczajem ozdabiała północną stronę namiotu. – Ale czy nie mogliby sprzedać jakiegoś drobiazgu i to za dobre pieniądze? Choć parę sztuk!

– Ma pan apetyt!

– Prawdopodobieństwo sukcesu jest wprost proporcjonalne do ilości przeprowadzonych prób – posmutniał Amerykanin. – To abecadło każdego eksperymentu.

– Rozumiem – westchnął ze współczuciem Valenti.

– Może w dolinie ludzie będą bardziej ustępliwi?

– Nie jestem wcale pewien, że tam w ogóle są ludzie.

– No, a czy nie mógłby pan wziąć mnie ze sobą? – zapalił się nagle Smith. – Skoro nie mogę iść dalej tak czy owak, chętnie bym wypłatał staruszkowi psikusa. Choćby dla zasady!

– O ile dobrze zrozumiałem, to nasza podróż również znajduje się pod znakiem zapytania. A może nie?

– Ale po co ma pan czekać, aż jakiś niedomyty tryton czy trypon, nie wiem dokładnie, porwie posiadane przez pana królewskie pisma? Dlaczego nie wyruszy pan jutro, pojutrze, za dwa dni?

– Wiele spraw – pokręcił głową Tommaso Valenti. – Po pierwsze, nie mam jeszcze całej żywności, po drugie nie zgromadzono jeszcze wszystkich juków... Ale nie to jest najważniejsze. Rzecz w tym, że traktują mnie tu jak przyjaciela i chciałbym nim pozostać bez względu na okoliczności.

– Nawet jeżeli pana, mówiąc wulgarnie, wykopią?

– To ich prawo, mister Smith. Może się to nam podobać lub nie, ale to ich prawo.

– Cóż począć – Amerykanin zasępił się. – A może uważa pan, iż nie pojmuję bardziej szlachetnych uczuć? Doskonale pojmuję... Wschód, jeżeli choć raz da się mu fory, przenicuje człowieka zupełnie. Pozornie nic się nie zmienia, ale jesteś już zupełnie kimś innym... Spędziłem w Wietnamie siedemnaście miesięcy, ale starczy tego na dwóch. Kiedy od naszych chłopaków, systematycznie obrabiających dżungle, dowiedziałem się, że o mały włos nie zatruliśmy całego okręgu, natychmiast uznałem, że trzeba się stamtąd wynosić. – Smith gwałtownym gestem wyciągnął portfel i wyjął z niego polaroidowe zdjęcie, na którym znajdowała się młoda, ujmująca kobieta z dziewczynką na ręku. Obie były w jednakowych, złocistych tunikach z wysokim stójkowym kołnierzem i patrzyły prosto w aparat. Spojrzenie ich podłużnych, nieprzeniknionych oczu było zarazem przestraszone i zawstydzone, jakby fotografię tę zrobiono w najbardziej nieodpowiednim momencie.

– Udało mi się. Nie tylko zdołałem się zdemobilizować, ale również zabrałem coś do Stanów. Moja żona Lien – wyjaśnił Smith. – Wzięliśmy katolicki ślub w Sajgonie, ale Beverley urodziła się już w Filadelfii.

– Cudowna twarz! – zawołał z zachwytem Valenti. – Jak z porcelany. Spójrz Joy, jakie delikatne rysy.

– Powiadają, że jeśli Wietnamka jest piękna – wyjaśnił Smith z niedobrym uśmiechem – to jej uroda zbija z nóg.

– Proszę mi wybaczyć, Robercie – profesor przerwał porażony nagłym domysłem – ale pańska żona...

– Tak – potwierdził krótkim skinieniem głowy Smith. – Zginęły w czasie lądowania w Honolulu.

– Mój biedaku! – oczy Joy napełniły się łzami.

„Trzeba iść dalej – pomyślał, składając antenę pelengacyjną. – I jak najprędzej kończyć tę nazbyt już przeciągającą się partię. Rozwiązać wszystkie węzełki, nagłą wymianę figur doprowadzić do pata... Gdzie jest Smith? Gdzie Abbas?

W pokoju Smitha, skąpo poprzecinanym padającymi przez żaluzje promieniami słońca, panował duszny półmrok. Wyroby z brązu, porządnie zapakowane w pianoplast leżały w jeszcze otwartych, obitych blachą, drewnianych skrzyniach. Widok tych złożonych w kącie archaicznych opakowań podziałał na MacDonalda uspokajająco. Dary Mnemozyny uzyskały jakby dodatkową realność. Na swoje skarby MacDonald natychmiast wybrał duraluminiowe kontenery z zamkami i uchwytami, przez które można było przewlec przypinane do nadgarstków łańcuszki.

Aby dostać się do pomieszczenia zajmowanego przez Abbasa, musiał wyjść na wewnętrzną galerię i obejść atrium. Przenikliwe dźwięki wschodniej muzyki dobrze wskazywały kierunek. MacDonald delikatnie otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Dwie skąpo okryte muślinowymi woalami dziewczyny melancholijnie krążyły z uniesionymi rękoma przy akompaniamencie niewidzialnej orkiestry. Ich obficie namaszczone wdzięki połyskiwały w ukośnie padającym promieniu światła. W jednej z tancerek MacDonald rozpoznał Ritę Liares, która w ubiegłym roku zdobyła tytuł „Miss Universum", drugą zaś była nieznana Etiopka bądź Nubijka o niespotykanie krągłych kształtach. Sam Abbas leżał na wspaniałym perskim dywanie i leniwie ssał nargile.

Abbas był najbardziej konsekwentny. Stworzył sobie coś na kształt mahometańskiego raju i niezmiennie trwał przy tym, co uzyskał. Zasnute wilgotną mgiełką źrenice Pakistańczyka zapatrzone były w pustkę. MacDonald ostrożnie zamknął drzwi.

Smitha zastał, jak zwykle, na pustkowiu. Zapaskudzonego urwiska i zasieków nie było. Za przerdzewiałymi prętami ogrodzenia rozciągała się aż po zapylony horyzont, żwirowata pustynia. Przez delikatną mgiełkę połyskiwały liliowym aksamitem odległe szczyty.

Najwidoczniej Amerykanin sam zniszczył chorobliwy wytwór swej pamięci.

– Co się stało? – spytał MacDonald, machinalnie zeskrobując rdzawy nalot z prętów.

– Jakby to panu powiedzieć? – Smith skrzywił się i poprawił okulary. – Znalazłem plastyk i detonator...

– Znalazł pan? – spytał znacząco MacDonald.

– No, zobaczyłem je rano przy śniadaniu. Leżały na stole – uściślił Smith.

– I zdecydował się pan zrobić przejście w zasiekach?

– Owszem...

– A czy t a k – z naciskiem powiedział Australijczyk – czy t a k nie ustępowało?

– Nie wiem. Nie próbowałem.

– Dlaczego?

– Nie próbowałem i już – ze złością odparł Smith. – To plastyk nasunął mi ten pomysł. Podłączyłem do detonatora lont...

– Nie wspominał pan o loncie.

– Doprawdy? Ale również miałem go ze sobą... – Smith zamrugał, zaskoczony.

– No dobrze, załóżmy – burknął MacDonald.

– Zrobiłem wszystko jak trzeba i nawet zacisnąłem detonator kombinerkami...

– Skąd u diabła kombinerki...

– Nie wiem. – I znów dygotanie rudych rzęs zdradziło zakłopotanie. Smith jeszcze niezupełnie doszedł do siebie i nie zdaje sobie sprawy skąd i dlaczego pojawiają się przedmioty.

– Niech pan mówi dalej – machnął ręką MacDonald.

– Jednym słowem, działałem zgodnie z zasadami, ale choć lont zaczął dymić, wybuch nie nastąpił... Gdy ogień zgodnie z moimi obliczeniami powinien był dojść do detonatora, zasieki zniknęły, wyparowały tak, jakby ich wcale nie było.

– Bo ich nie było... do pana przyjścia.

– Tak, rozumiem... Razem z nimi rozpłynęła się również spowita mgłą przepaść.

– Krótko mówiąc, stało się to, czego pan sobie życzył?! – zawołał MacDonald tonem raczej twierdzącym, niż pytającym.

– Chyba tak – niezbyt pewnie odpowiedział Amerykanin. – Nie pamiętam...

– A wyroby z brązu w pana pokoju? Sam pan je pakował?

– Chyba tak...

– Własnoręcznie zrobił pan skrzynki? Obił je pan metalowymi taśmami? Ma pan młotek? Gwoździe?

MacDonald otrzymał na śniadanie gorącą bouillabaisse i wspaniałe ostendzkie ostrygi z cytryną i lodem. W srebrnym wiaderku z lwimi pyskami zieleniała zmrożona butelka „Dom Perignon" z 1929, błogosławionego dla Szampanii roku.

I natychmiast zaczęły się te same zabawy, co zwykle.

Ledwie MacDonald upił nieco z kieliszka, smak wina zmienił się w nieuchwytny sposób. Nie był to już wytrawny szampan, ale raczej whisky, rozcieńczona tak, że szczególnie wyraźnie dał się w niej wyczuć lekko przydymiony smak wrzosowego torfu. Czyżby pragnąc w głębi duszy jednego, mimo wszystko chciał czegoś innego?

„A czemu nie, do diabła? Dusza i ciało nie zawsze uzgadniają swe zamiary. Organizm wie lepiej, co mu jest potrzebne i jeżeli wybrał whisky, to wie, co robi... Czy nie mogłoby to być nieco mocniejsze?"

Procent alkoholu natychmiast podskoczył. Odcień płynu w ciężkiej, o masywnym dnie szklance, w którą przekształcił się kieliszek, stał się wyraźnie ciemniejszy.

„Wspaniale! – MacDonald pochwalił niewidzialne siły. – „Hankie Bannister" – określił gatunek whisky. – Choć lepszy byłby „Johnnie Walker" z czarną etykietką".

Wcale się nie zdziwił, gdy na dnie znalazł złoty suweren z podobizną George'a III, taki sam, jaki widniał na butelce „Hankie Bannistera". Gdy wziął monetę do ręki okazało się, że jest podejrzanie lekka. Była ona wykonana z jakiegoś plastyku i miała tylko awers – rewers był zupełnie gładki. Okazało się, że usłużny duch, a tym samym i MacDonald nie wiedzieli, jak wygląda prawdziwy suweren. Jaskrawa naklejka na butelce, na której widniał gentleman w rurkowej peruce nie była najlepszym wzorem do naśladowania. Zadanie stawało się trudne i zarazem pasjonujące. O ile bowiem wiadomości o arcydziełach kuchni śródziemnomorskiej zakodowane były w samym jestestwie MacDonalda, który długo działał w tamtym rejonie, o tyle o złocie wiedziała, powiedzmy, tylko głowa.

Język nauki był jednak bardziej zrozumiały dla nieznanych sił i moneta uzyskała niezbędną wagę i dźwięk. Ale rewersu nie było w dalszym ciągu. Cóż robić – MacDonald nigdy nie miał w ręku prawdziwej gwinei. Nie był również w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądają luidory, dublony, piastry i inne postacie złotego cielca, których numizmatyczna cena niekiedy zdecydowanie przewyższała wartość szczerego metalu.

Ale jeżeli nie można wzbogacić się na numizmatyce, to może da się zarobić na materiale? Ledwo w jego umyśle powstała ta zdrowa skądinąd myśl, na podłogę, dzwoniąc, posypały się złote krążki. Wkrótce było ich tak wiele, że musiał wytężyć całą siłę woli, by powstrzymać złoty deszcz. O wyniesieniu stąd takiego ciężaru nie mógł nawet marzyć. Alchemiczne, idealnie czyste złoto należało natychmiast zniszczyć.

Kierując się zimnym pragmatyzmem, MacDonald zdecydował się uprościć cały proces i wyjąwszy z portfela studolarowy banknot, zaczął drukować wprost z powietrza kolejne kopie, zmieniając dowolnie oznaczenia serii i numery.

Przez pół godziny zarobił około dwóch milionów, co udało mu się ustalić z dużym przybliżeniem po trwającym ponad pół godziny podliczaniu.

Następny cykl eksperymentu dotyczył diamentów. Australijczyk z wysiłkiem, który omal nie przypłacił wylewem krwi do mózgu, ostatecznie zniszczył gwineje i banknoty. Ciężar i nader osobliwy skład chemiczny złota mogły stać się przyczyną kłopotów, a numery na banknotach na kilometr śmierdziały kryminałem. Nie, nic na świecie nie mogło równać się z drogimi kamieniami. Były czyste, niewinne i dosłownie niczym nie splamione.

W ciągu kilku godzin MacDonald stał się multimilionerem, bijąc wszelkie najbardziej zwariowane rekordy, zarejestrowane w księdze Guinessa. Trzeba się było tylko przekonać, że to nie halucynacja i dobrze się zastanowić, w jaki sposób wyplątać się z innej, niestety nie tak pięknej gry...

Ale na radość było jeszcze za wcześnie. Skarby, podobnie jak złoto czarownic, mogły zmienić się w popiół, zaś śmierć wciąż stała za plecami. MacDonald otrząsnął się, spojrzał na zagarek i ogarnęło go przerażenie. Od ich zejścia w dolinę minęło już jedenaście dni! Co robił przez cały czas? Mózg zasnuwała tęczowa mgła.

No cóż, tym bardziej czas już brać się do roboty.

MacDonald włączył radiostację, wysłał zakodowany sygnał i podłączył się do satelity komunikacyjnego. Indykatory wskazywały, że połączenie jest stabilne, ale epicentrum ubocznego źródła sygnałów znajdowało się gdzieś zupełnie blisko i całkowicie zagłuszało korespondencję. Zaczarowana dolina zamykała wokół siebie przestrzeń jak neutronowa kurtyna. Przez szumy przebijał wyraźnie tylko jeden, melodyjnie popiskujący sygnał. Wysyłająca go radiostacja znajdowała się gdzieś w pobliżu i w związku z tym także była niesłyszalna z zewnątrz. „Informacyjne więzienie" – uśmiechnął się MacDonald i zrobił znaczek na mapie.

– Dość! – przerwał jej Smith. – Jak mówili dawniej „niech martwy w grobie spoczywa, a z życia niech korzysta żywy"... Czy weźmie mnie pan ze sobą, Tom?

– Też pytanie! – gestykulując gwałtownie odparła signora. – Będziemy szczęśliwi, jeżeli pójdzie pan z nami.

– W każdym razie zrobię wszystko, co będę mógł – mniej kategorycznie obiecał Valenti.

Gdy Amerykanin wrócił do swej kamiennej baszty, zastał już w niej MacDonalda, który właśnie usiłował się ogolić przy świetle elektrycznej latarki.

– Czekaliśmy na pana już trzeciego dnia, Charlie. – Smith silnie uścisnął wyciągniętą rękę. – Coś pana zatrzymało?

– Ta przeklęta kobyła. – MacDonald wymownie skinął głową w stronę rzuconego tuż przy wejściu siodła. – Gdy szukałem jakiegoś odpowiedniego brodu, widać poślizgnęła się na kamieniach i wpadła do wody. Prąd straszny, wszędzie wiry, ostre jak brzytwa skały... Wyobraża pan sobie moją sytuację?... Wyrzuciło biedaczkę na brzeg trzy mile dalej. Żeby gospodarz źle sobie o mnie nie pomyślał, musiałem jej obciąć uszy – poklepał się po kieszeni. – Nasi farmerzy mają, wie pan, taki dziwny zwyczaj...

– Obawiam się, że ta przygoda będzie pana kosztować z półtora tysiąca – uprzedził go Smith, który zdążył się już zapoznać ze skomplikowanym systemem rozliczeń swojego Szerpy z miejscowymi pastuchami. – Najmniej.

– Cóż mam począć? – rozłożył ręce MacDonald.

– Więc nie dotarł pan do samej przełęczy?

– Nawet nie przeprawiłem się przez rzekę. Na Boga, lepiej było iść pieszo przez most. Następnym razem tak zrobię.

– Niech się pan wstrzyma z planami, przyjacielu. Mam dla pana dwie wesołe nowiny.

X

Już pierwsze słowa Amerykanina pozwoliły MacDonaldowi zrozumieć, że jego godzina wybiła. Szczęśliwy przypadek, na który wciąż liczył, sam wychodził mu naprzeciw.

Smitha nie trzeba było nawet namawiać. Dotychczasowe wysiłki zaowocowały wspaniałym sukcesem. Potrzebny był tylko emocjonalny impuls i uparty Jankes, który wciąż bredził o królestwie Smoków Gromu, równie gorąco przejął się koncepcją, by przedostać się do zagadkowej doliny. Tajny zamysł MacDonalda stał się jego zamysłem.

A teraz sam zapraszał MacDonalda do wzięcia udziału w wyprawie!

Zgodnie z umową Smith poinformował komendanta rdzongu, że nie może już dłużej czekać na pozwolenie wjazdu do Bhutanu i dlatego chce wrócić do Nepalu.

– Jaką drogę sahib wybierze? – spytał Szerpa.

– Czy musimy ustalać to już teraz? – skrzywił się Amerykanin. Nie chciał kłamać bez wyraźnej konieczności.

Oczywiście, sir. Od tego, jak długa będzie droga, zależy ile weźmiemy prowiantu. – Ang Temba był niemile zaskoczony lekkomyślnością swego zleceniodawcy. – Ilość jucznych zwierząt również. – Cóż robić, musi mu przypominać podstawowe zasady. – I poganiacze też powinni wiedzieć z góry, dokąd mają iść.

– Ma pan całkowitą rację, mister Temba – Smith położył dłoń na sercu. – Ale, widzi pan, chciałbym trochę połazić po okolicy... Może, jeśli się uda, zejdziemy z przełęczy Lha-la w dolinę, by dopiero potem przejść granią do Mustang... Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Jak sahib sobie życzy – obojętnie zgodził się przewodnik. – Tylko, że ja nie znam tej drogi.

– To nie szkodzi, mister Temba – Smith protekcjonalnie poklepał po ramieniu wiernego „Tygrysa". – Poszukamy wspólnie, a w ostateczności zawsze możemy wrócić.

– W takim wypadku należy wszystko obliczyć jak na najdłuższą drogę.

– No to właśnie tak zrobimy.

– Trzeba będzie dokupić jeszcze żywności.

– Czy możemy wyruszyć jutro? – zapytał Smith.

– Pojutrze – oznajmił kategorycznie Ang Temba.

– Dobrze, ale potrzebny będzie jeszcze jeden koń.

– Dla kogo?

– Dla mister MacDonalda, alpinisty. Uprzejmie zgodził się nam towarzyszyć.

– Nie, sahib.

– Co, nie? – próbował uściślić Smith. – Nie ma odpowiedniego konia?

– W naszym kontrakcie nie ma mowy o mister MacDonaldzie.

– Ale przecież nie będę od pana wymagał żadnych specjalnych usług! – zawołał zaskoczony Smith. – Poza tym, możemy uzgodnić odpowiednią dopłatę do umówionej sumy. Mam nadzieję, że tutejsze władze nie odmówią poświadczenia umowy.

– Nie o to chodzi, sir – niechętnie przyznał się Szerpa. – Po prostu nie chciałbym prowadzić mister MacDonalda do doliny.

– Ale dlaczego, przyjacielu? Dlaczego?

– Jakby to panu powiedzieć, sir. Jednym słowem sprawiałoby mi to przykrość.

– Panu, Temba, czy może komuś innemu? spytał, zasępiwszy się Amerykanin. – Mam nadzieję, że możemy być ze sobą zupełnie szczerzy.

– Tak, bardzo pana szanuję, sir, ale mądrzy ludzie uważają, że mister MacDonald ma czarną aurę. On nie powinien iść do doliny.

– Szkoda – zmartwił się Smith. – A ja, głupi, dałem mu słowo... Co mam teraz zrobić?

– ?

– Pewnie trzeba pomyśleć, sir?

– Czy lamowie nie mogliby nam pomóc? Zdjąć, czy rozproszyć tę jego aurę? Słyszałem, że można coś takiego zrobić.

– Dla lamów nie ma rzeczy niemożliwych, sir.

– No, tośmy się umówili! – Smith jeszcze raz poklepał Szerpę przyjacielskim gestem po ramieniu.

W gompie na wzgórzu klasztornym Temba oddał Buddom całe srebro, które pozostało mu z zakupów i poprosił lamę, by jak najszybciej zdjął z niego urok.

Staruszek dotknął suchymi, chłodnymi palcami pochylonej głowy Szerpy i wymamrotał oczyszczające mantry. Pod jego dotknięciem znów powrócił do duszy spokój.

– Obcy dami rzucił na mnie urok – śmierć – poskarżył się Ang Temba. W jego duszy tliła się nadzieja na zmianę wyroków losu.

– Śmierci nie ma – uspokoił go lama. – Istnieje tylko przeszłość, przyszłość i czterdzieści dziewięć dni bardo, które je rozdziela. Nie bój się, idź...

XI

Abbas obdarł ze skóry i podzielił pozostawioną przez giaura kobyłę i przygotował, podwędziwszy je lekko nad ogniskiem, suszone mięso. Było co prawda nieco twarde, ale pachniało apetycznie, o wiele lepiej niż bawole. W suchym i czystym powietrzu gór nie groziło mu popsucie.

Koło głazu, za którym zdołał się ukryć Amerykanin – Abbas wszystkich giaurów nazywał jednakowo – znalazł wygodną jaskinię, a na szerokim, żwirowatym brzegu leżało mnóstwo przyniesionych przez wodę gałęzi, a nawet całych pni. O mieszkanie i opał mógł się więc nie martwić.

Abbas wziął dywanik i zszedł do potoku, aby modlitwą al-isza złożyć hołd nadchodzącej nocy.

Gdy wypowiedział już odpowiednie wersety i wykonywał właśnie itidal, to jest wyprostowywał się po ostatnim pokłonie, za jego plecami rozbłysła latarka. Zastygł na klęczkach, z podniesionymi rękoma w świetlnej elipsie, która natychmiast zgasiła i gwiazdy i odblask piany na wodnym pyle.

– Wstań – rozległ się cichy rozkaz.

Abbas wstał. Promień powtórzył jego ruch.

– Ręce na kark. Odwróć się.

Teraz latarka świeciła mu prosto w oczy. Ktoś go z ciemności uważnie oglądał.

– Dlaczego do mnie strzelałeś? – po długiej chwili milczenia padło nieoczekiwane pytanie. – Przecież to ty zastrzeliłeś mojego konia?

Abbas drgnął i oblizał wyschnięte nagle wargi.

– To był przypadek, prawda? – padło następne pytanie.

– Tak, sir – wykrztusił z trudem kontrabandzista. – Celowałem w pana, sir.

– Dlaczego więc nie doprowadziłeś sprawy do końca? – W spokojnym, pewnym tonie głosu zabrzmiała ironiczna i jakby przyjacielska nutka. – Odpowiadaj, nie bój się...

– Nie wiem, sir – po chwili namysłu przyznał uczciwie Abbas.

– Przecież był ci potrzebny tylko koń, czyż nie? Wcale nie miałeś zamiaru na mnie polować?

– Nie, nie miałem, sir... Mogłem pana zabić, sir, kiedy zdejmował pan siodło, albo potem, na drodze, ale tego nie zrobiłem.

Państwo Valenti wrócili do namiotu. Na łóżku polowym, na którym profesor pozostawił swoje notatki, leżał płócienny zwitek. Valenti rozwinął go w roztargnieniu i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Leżał przed nim podzielony na cztery różnobarwne sektory krąg jednoczący widzialne żywioły.

Była to słynna tajna mandala, najprawdopodobniej pozostawiona na pożegnanie przez świątobliwego Norbu. Valenti szukał jej wszędzie, ale nie mógł natrafić nawet na ślad bezcennego zwitka.

I teraz ma go tu, u siebie! Ale tę radość zatruwało zwątpienie, które jak zimne źródło przenikało przez nieznane warstwy.

Zdawało mu się, że w centrum mandali widać, jakby nałożony na jej rysunek, jeszcze jeden nie namalowany krąg, składający się z koguta, świni i żmii.

„Pożądanie? – spytał sam siebie profesor. – Pożądanie i żądza poznania?"

Odpowiedzi nie było.

XVI

Willa stale przekształcała się. W nieuchwytny dla oka sposób zmieniała swe zewnętrzne zarysy i wyposażenie. Otaczała swych gości niezwykłymi wygodami, sprowadzała na nich dziwne sny. Teraz wokół niej rozciągał się stary, zapuszczony park z grotami i polanami, w którym unikalne węże eskulapa wiły się leniwie w zaroślach bielunia.

I jak pajęczyna oplątuje suche pędy ostu, podobnie dusze ludzi spowijał delikatny, narkotyczny woal. Bardzo szybko przytępiła się ciekawość i zniknęła chęć badania wciąż na nowo zaczarowanej oazy, w której odgadywano podświadome pragnienia, chwilami najbardziej nieoczekiwane.

W oplecionych pędami winorośli altankach talie kart i szachownice z nefrytowymi figurkami czekały na graczy. Ale nikt nie rozgrywał żadnych partii. Porozdzielani, zatopieni w sobie podróżnicy samotnie układali skomplikowane pasjanse albo rozgrywali zagmatwane kombinacje szachowe, nie potrzebując kontaktu z innymi, nie pragnąc dzielić się swymi najskrytszymi myślami.

Lśniąca amarantowymi tynkami willa jakby rozdzieliła się na odizolowane komórki, w których zapomnieli o przeszłości, zagubili swój cel. Nieznany kuchmistrz przygotowywał i podawał wyszukane potrawy, które mogły sprawić rozkosz najbardziej wymagającemu podniebieniu. Równie niewidzialna, ale sprawna służba troszczyła się o wygody i czystość. Zamiast dawnymi, nadtłuczonymi doniczkami z geranium schody ozdobiono kryształowymi misami z nilowymi lotosami i złotymi rybkami, zaś wszystkie ślady upadku i zaniedbania zostały jakby starte niewidzialną ręką.

Pewnego razu Smith i MacDonald odnaleźli w trinklinum amfory, pokryte skamieniałymi muszlami, ale nie dowiedzieli się, co w nich było – nie chciało im się ich otworzyć.

„Santorińskie? – pomyślał Smith. – A może falern?"

„Na pewno oliwa z oliwek" – uznał MacDonald.

I zapomnieli o zapieczętowanych amforach, które zniknęły następnego ranka. Niezbyt wymagający Ang Temba natomiast, chwytając wargami bijący z fontanny strumyczek zawsze napotykał ten sam napój – zimny cz'ang. Wcale go to nie dziwiło – cóż, takie były obyczaje tutejszych, przychylnych ludziom duchów. Istnienia innych, znacznie bardziej wyszukanych darów nawet nie podejrzewał i dlatego spał zawsze głębokim, spokojnym snem. Nie słyszał, jak nocami dźwięczą struny santuri i dudni bębenek w pokoju Abbasa, jak do świtu nie milkną w nim kobiece popiskiwania, śmiech i niezrozumiały ruch.

Smitha prześladowały głosy. Wołały go zza drzew, przyzywały, prowadziły po zagmatwanych, zakurzonych ścieżkach. Kolczaste pędy jeżyn pokrywały krwawymi liniami jego twarz i ręce. Pachniał wiciokrzew, wisiały w powietrzu otępiałe muchy i znajomy zew wiódł go za sobą coraz dalej, tam, gdzie za przerdzewiałym drutem kolczastym widniały zupełnie inne krajobrazy – ryżowe pola, zarośnięte trzcinami koryta rzek, brzeg morza z palmami i chatynkami z plecionych mat.

Tego ranka obudził się późno i pospiesznie zjadł śniadanie, nie zastanawiając się nad tym skąd wzięło się jedzenie – miska racuszków po sajgońsku, galaretowate mięso żółwia i ostry rybny sos niuk-nam z cieniutkimi krążkami czerwonego pieprzu. Ugasił pożar w gardle filiżanką złocistej herbaty z budzącymi wspomnienia płatkami lotosu, nałożył flanelową piżamę – skąd się tu wzięła? – i wyszedł na spotkanie wezwaniu. Słońce boleśnie uderzyło go w oczy przez nabrzmiałe mlecznym sokiem gałązki campy. Przez noc opadły z nich wszystkie liście i teraz pędy wiły się jak jelenie rogi, tworząc przysłaniający opadające w dół stopnie, dziwaczny wzór.

Smith zszedł do ogrodu i ruszył prosto przed siebie, przez zarośla jeżyn i wiciokrzewu. Chciał jak najprędzej znaleźć się przy zamykających dalszą drogę zasiekach.

który zdążył wręczyć poplamiony krwią list tripona z radą, by do czasu nadejścia żołnierzy zatrzymać obu białych przybyszów, nie czyniąc przy tym żadnych przeszkód królewskim gościom.

Rkang-mgjogs wolno, lecz systematycznie zbliżał się do obozu. Nie szedł, ale jakby płynął nad srebrzystą, kołysaną przez wiatr trawą. Można było odnieść wrażenie, że na miejsce pobytu ludzi naprowadza go jakaś nieznana siła, tak jak ciepło wydzielane przez pracujące silniki samolotu naprowadza nań rakietę.

Świątobliwy Norbu oczywiście nic prawie nie wiedział o samolotach i rakietach, ale za to doskonale orientował się w innych sprawach. Od razu zrozumiał, że jest świadkiem rollangu - wskrzeszenia trupa - i należy natychmiast podjąć odpowiednie kroki, by gość zza grobu nie spowodował jakichś nieszczęść.

Bystry wzrok jogina dostrzegł zarówno ślepe, szkliste oczy trupa, jak i przerażenie białej lady, która dosłownie zamarła beznadziejnie próbując osłonić się żałosnym skrawkiem czerwonego jedwabiu.

Wprawdzie opatrzność uchroniła Tommaso Valenti przed tym mrożącym krew w żyłach widokiem, ale to właśnie on miał się stać pierwszą ofiarą straszliwego przybysza, który nieubłaganie zbliżał się do czarnego banaku.

Muskularne, idealnie rozwinięte ciało jogina błyskawicznie rozprostowało się i jak zwolniona sprężyna wzbiło nad ziemię.

Norbu zrobił dwa skoki i znalazł się pomiędzy namiotem a nawiedzonym. Obiegł go w koło, dmuchnął prosto w martwą twarz i krzyknął przy tym:

- Hri!

Nieboszczyk drgnął, po jego ciele przebiegły drobniutkie fale, jak po odbiciu na wodzie, i rozdzieliwszy się na pasemka, zniknął bez śladu.

Norbu skamieniał.

„Jeżeli to rollang - myślał - to gdzie podział się trup? A jeżeli było to widzenie karmiczne, to dlaczego rozpadło się pod wpływem najprostszego zaklęcia?"

Któż mógł odpowiedzieć mu na to pytanie?

Profesor Valenti nawet nie podejrzewał, jak bezprzykładny pojedynek między światłem a ciemnością rozegrał się w odległości dwóch kroków od jego wezgłowia.

Robił właśnie notatki z „Wisznu-purany", które miały bezpośredni związek z celem jego podróży, kiedy przeraźliwy krzyk Joy omal nie zrzucił go z polowego łóżka.

Wreszcie jakimś cudem uspokoił rozszlochaną kobietę i zmusił ją do wypicia dobrego łyku brandy.

- Za długo siedziałaś na słońcu, kochanie - wyjaśnił z całkowitym przekonaniem Valenti, kiedy wreszcie Joy była w stanie cokolwiek pojmować. - No i przywidziały ci się jakieś koszmary.

- Wcale mi się nie przywidziało! - upierała się przy swoim. - Możesz go spytać - drżącą ręką wskazała odważnego obrońcę.

Norbu siedział w pozycji lotosu i leniwie przesuwał koralowe paciorki różańca.

- Widzenie karmiczne - skomentował po tybetańsku jogin, trzymając się chwilowo najbardziej prawdopodobnej wersji.

- No widzisz - ucieszył się Valenti. - Po prostu zwykłe widzenie karmiczne! No i co ci mówiłem? Przegrzałaś sobie główkę i przywidziało ci się... Mówisz, że rozpłynął się w powietrzu? To znaczy, że w ogóle go nie było.

- Ale przecież on także widział! - wciąż jeszcze szczękając zębami zaciekle broniła się Joy. - Jemu także się wydawało?

- Zbiorowa halucynacja - lekceważąco odparł Valenti. - Na Wschodzie to się zdarza. Czytałem o tym. A pan dokąd? - spytał po tybetańsku, widząc, że Norbu wstał i przerzucił przez ramię skórę lamparta.

- Na mnie czas.

- Ale przecież uzgodniliśmy, że trzeba zrobić mały odpoczynek!

- Wzywa mnie droga. Wołają święte miejsca.

- Prawdę powiedziawszy, świątobliwy ojcze, zaskoczył nas pan - Valenti nerwowo zacierał ręce. - A może poczeka pan choćby do jutra? No, bo wie pan, tak niespodziewanie...

- Wy macie swoją drogę, a ja swoją.

- I jest pan gotów rzucić nas ot tak, w szczerym polu?... No cóż, proszę wybrać któregoś z jaków, a worki z campą...

- Dojdę bez tego - pokręcił głową jogin. - Teraz, czuję, nie będą mi potrzebne ani jaki, ani żywność.

Podniósł trójząb i nie żegnając się ruszył na południowy wschód.

- I to był błąd. Nie musiałbyś teraz stać i czekać na wyrok.

- To prawda, sir.

- Podobasz mi się, chłopie. Odnoszę wrażenie, że mimo wszystko będziemy mogli jeszcze się zaprzyjaźnić. Jak sądzisz?

- Bardzo bym chciał, sir.

- Możesz opuścić ręce... Kim jesteś?

- Nazywam się Abbas Rahman, sir.

- Jak się tu znalazłeś?

- Odłączyłem się od karawany.

- Jakiej?

- Kupieckiej, sir. Byłem strażnikiem.

- Jak to się stało?

- Zeszła lawina. Cudem ocalałem, sir.

- Ach, lawina - w głosie przysłuchującego go człowieka dała się słyszeć ironia. - A w którym miejscu zeszła?

- Na podejściach do Niebieskiego Wąwozu - niechętnie wykrztusił Abbas. Czuł, że to kłamstwo nie wyjdzie mu na dobre.

- Jakie towary wieźli kupcy?

- Różne, sir... Nie interesuję się cudzymi sprawami.

- A więc heroina to twój prywatny handelek? - Pod nogi przemytnika ciężko upadł plastykowy woreczek.

Abbas drgnął i sprężył się cały, gotów do skoku poza świetlny krąg, ale władczy głos natychmiast zgasił ten nieświadomy, prawie instynktowny impuls.

- Nie ruszać się! Bo zarobisz kulę.

- Tak jest, sir - Abbas uniósł ręce w uspokajającym geście. - Nie zrobię nic złego.

- Widzę, że można się z tobą dogadać - głos podstępnego giaura, który jak widać zdążył już obszukać jaskinię, znowu stał się przyjacielski. - Opowiedz mi wszystko tak, jak było naprawdę i wtedy pomyślimy co robić dalej.

- To nie moje - Abbas ostrożnie dotknął woreczek czubkiem buta - przez pomyłkę wziąłem cudzy ładunek.

- Narkotyki mnie nie interesują. I w ogóle, możesz być spokojny, nie jestem z policji.

- Ach tak, sir...

- A więc, co naprawdę stało się w Niebieskim Wąwozie?

Abbas przez chwilę milczał, porządkując myśli, a następnie dokładnie i całkiem szczerze opowiedział o zasadzce i wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce po strzelaninie.

- A teraz wróćmy do samego początku - zaproponował człowiek z latarką wysłuchawszy uważnie przemytnika. - Po co był ci potrzebny koń?

- Po co może być człowiekowi potrzebny koń? - wzruszył ramionami Abbas. - Chciałem jak najszybciej wrócić do domu.

- Cieszę się, że nasze plany są jednakowe... Mam dla pana propozycję, mister Rahman - odezwał się z szacunkiem nieznajomy. - Czy nie chciałby pan podjąć u mnie służby, by po maleńkiej podróży znów wrócić do cywilizowanego świata?

- Nie śmiałem o tym nawet marzyć! - Abbasowi aż odebrało dech z radości. - Gotów jestem być pańskim wiernym niewolnikiem, sir!

- Po co niewolnikiem? Będzie pan robił to, co do tej pory. I choć, jak się mogłem przekonać, pieniędzy pan nie potrzebuje, a właściwie przestanie ich pan potrzebować, kiedy, powiedzmy, upłynni pan produkty, gotów jestem sowicie wynagrodzić pańskie usługi... Powiedzmy - dwa tysiące dolarów. Urządza to pana?

- Niech pana Allach wynagrodzi!

- Doskonale! Od tej chwili jest pan u mnie na służbie, mister Rahman. Może pan wstać albo siedzieć - jak pan woli. Wierzę panu... Jutro przybędzie tu niewielka karawana, do której się przyłączymy. Żeby wszystko odbyło się gładko i bez zbytecznych pytań, przygotowałem dla pana maleńką legendę. Mam nadzieję, że wie pan co to takiego?

- Oczywiście, sir. Już raz zajmowałem się czymś takim...

- Ponieważ spodobał mi się pański pomysł z lawiną, przyjmijmy go za podstawę. Różnica polega na tym, że teraz obydwaj będziemy alpinistami, pracującymi w jednej ekspedycji mającej za cel rozpoznanie podejść do Sijama Tary. Czy taki wariant panu odpowiada?

- W zupełności, sir. Jak pan rozkaże, sir.

– Proszę zapamiętać, że nazywam się Charles MacDonald i powinien pan zwracać się do mnie po imieniu. Zgoda?
– Jak pan sobie życzy, mister MacDonald.
– No to proszę szybko zwijać swój dywanik i pójdziemy do pańskiej pustelni.
Noc minęła we wzruszającej zgodzie. Abbas wciąż dorzucał do ognia modrzewiowe gałązki i aromatyczny, ciężki dym przeszywany ostrymi iskierkami ścielił się nisko nad chłodną już ziemią.
Zbliżał się himalajski świt. Ognisko już nie oślepiało, lecz świat na dole wciąż jeszcze był nieruchomy i czarno-biały. Bulgotała spowita parą rzeka. Ciągnąca się tuż nad kamienistym piargiem, pokryta szronem ścieżka, wyglądała jak nieważka pajęczyna. Gdy na dróżce pojawiła się niewyraźna postać, MacDonald początkowo nie uwierzył własnym oczom. Zerknął na swego rzeczywiście drzemiącego kompana i uniósł lornetkę. Do rozwidlenia ścieżek naprawdę zbliżał się człowiek. Wszystko wskazywało na to, że był to ktoś tutejszy. Poruszał się dość szybko, ale nie biegł jak sportowiec-maratończyk lecz sunął, jakby ślizgając się po powierzchni ziemi.
– Abbas! – MacDonald bezszelestnie wstał i obudził pochrapującego Pakistańczyka. – Proszę tam spojrzeć. – Rzucił mu schowany przezornie do śpiwora „M-16" z lunetą.
Przemytnik obudził się błyskawicznie i automatycznym gestem przyłożył broń do ramienia.
– Madżun – oznajmił po dłuższej obserwacji. – Porusza go obca wola. W tym kraju, w którym ludzie podobni są do demonów i oddają cześć ansabom, takie rzeczy się zdarzają. Nieraz o tym słyszałem od starszych.
– Co to takiego madżun? – spytał MacDonald nie opuszczając lornetki.
– Człowiek opanowany przez złe moce, sir.
– Ach więc to tak?... Cóż, bardzo dobra definicja... No, zdejmij go.
– Jak to... zdjąć, sir?
– Ognia! – cicho rozkazał Australijczyk.

XII

Na pożegnanie Robert Smith ofiarował naczelnemu lamie półgalonowy termos, który wywołał prawdziwą sensację wśród miejscowej elity, natomiast komendanta rdzonga, przestawiciela króla Burgjul, obdarował całkowicie nieprzydatnym, ale mimo wszystko ciekawym ekspresem do kawy, wykonanym z żaroodpornego szkła.
Smitha żegnali wszyscy. Chłopcy-nowicjusze owinięci w żółte szmaty łapczywie zaciągali się ostatnimi podarowanymi papierosami. Kobiety wyniosły kulki masła, skamieniały groch, owinięty w szmatkę, i trochę miodu dzikich pszczół.
Nawet stary lama ukazał się w drzwiach biblioteki, zszedł kilka stopni w dół i podniósł błogosławiącym gestem różaniec.
Smithowi wydało się to wszystko czymś niepowtarzalnym. Na zawsze porzucał dziwaczny, miły światek, do którego serdecznie już przywykł i miał teraz wrażenie, że wszystko to jest jakieś nierealne. Zaraz zrobi jeden krok, potem następny i wszystko rozpłynie się jak miraż.
Kierując się jakimś nagłym porywem pomachał na pożegnanie lamie białym szalem, jak rycerz ruszający na wyprawę krzyżową, a następnie podbiegł do Joy i przykląkł przed nią. Podniosła go, pocałowała w czoło i, nie ukrywając łez, przeżegnała na drogę.
Smith uścisnął Valentiego, wskoczył na swego pokornego konika i wyjechał za wrota.
Doganiając karawanę wyciągnął połyskujący złocistym żarem kornet i zagrał ulubioną melodię, która szarpała i koiła jego zagubione serce:
Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące...
Nie obejrzał się ani razu i dlatego nie zobaczył, jak w rozwarte wrota twierdzy wśliznęło się ciemne widmo z krwawą ramą na piersi. Ludzie rozbiegli się na boki zostawiając mu wolne przejście do schodów i niewidzący lunatyk zaczął powoli wchodzić na nie, szukając nogą kolejnych stopni. Gdy znalazł się na podeście, na którym stał naczelny lama, podał mu poplamiony krwią zwitek papieru i padł pod nogi swemu panu.

XIII

Po trzech dobach karawana, do której nad rzeką przyłączyli się MacDonald i Abbas, dotarła do świętego gaju, związanego z kultem Bogini Matki. Z tego miejsca rozpoczynało się długie podejście do przełęczy.

korytarzyk – przechodząc Smith musiał się schylić – i za zakrętem okazało się, że jest tam przestronna sala.
Na samym jej środku stał olbrzymi, wyciosany z jednego bloku stół, zastawiony figurkami z brązu. Smith zacisnął powieki i do krwi zagryzł wargę, jakby starając się odpędzić omam. Od razu rozpoznał idamów, których widział w pieczarze. Serce przeszył bolesny skurcz, jego rytm stał się płytki i przyspieszony. Poczuł, że brak mu tchu, na czoło wystąpił lepki, zimny pot. Odniósł wrażenie, że zaraz zwali się na po podłogę, próbował oprzeć się o jakby odsuwającą się ścianę, gdy nagle – wszystko minęło, jak pod wpływem jakiegoś cudownego lekarstwa. Rytm oddechu i pracy serca wyrównał się, wrócił do normy, ustąpiły mdłości.
Ale nie tylko to! Zniknęły również krwawiące pęcherze. Zrobił na próbę kilka energicznych gestów i przekonał się, że cudowna kuracja nie ograniczyła się tylko do pęcherzy. Ustąpiło również łamanie w stawach i ból mięśni.
Smith uspokoił się nieco i znowu skierował światło latarki na stół wypożyczony z rzymskich łaźni albo z prosektorium.
Zresztą, myśl o stole przemknęła zaledwie gdzieś na krańcach świadomości. Cała uwaga, spotęgowana dodatkowo tą niezwykłą sytuacją, skoncentrowała się na figurkach.
W tym tajemniczym domu nie tylko powtórzony został ten sam zestaw demonów z brązu. Smith mógłby przysiąc, że ma przed sobą dokładnie te same statuetki, które z takim żalem pozostawił w gaju Bogini Matki! Tak idealny zbieg okoliczności jest niemożliwy, niewiarygodny. Nie ma dwóch identycznych odlewów. Kalaczkara – „Koło Czasu", Mahakala – „Wszechpożerający czas", i Sangduj, i magiczny Hajagriwa – wszystkie jakąś nieznaną siłą przeniesione zostały z lasu za przełęczą w ten dom duchów.
„A jeżeli to odbicie naszych pragnień?" – pomyślał.
MacDonald przypomniał sobie o rzymskich wykopaliskach i odkopanej z popiołów Pompei mimochodem, ale on, Robert Warren Smith, myślał o tych bezcennych brązach prawie bez przerwy.
I proszę bardzo, bierz – są twoje.
Oczywiście, weźmie wszystkie figurki, co do sztuki. Obojętne, jaką cenę trzeba będzie potem zapłacić, weźmie, nie przepuści okazji, choć wszystko to wygląda na piekielne sztuczki.
Zresztą, po Wietnamie Smith nie wierzył już ani w niebo, ani w piekło.
Dotknął zimnego metalu i przebiegł go chłód. Wzdrygnął się. Przekładając do drugiej ręki latarkę zobaczył wsuniętą w kąt żeliwną grzałkę. Dokładną kopię tej, która kiedyś, w niepamiętnych czasach, ogrzewała hotelowy pokój, w którym spędził swą noc poślubną z Lien.
Smith usiadł na podłodze i zamyślił się. Mocno zatkał palcami uszy, w których jak kryształowe dzwoneczki dźwięczał cudowny, niezapomniany głos.

XV

Signore Tommaso w przeciwieństwie do pierwszej grupy rozbił obóz na łączce koło gejzeru. Czarny, tybetański namiot z plecioną linią życia nad wejściem rozbito w zaroślach, gdzie usypiająco brzęczały niespotykane, błękitne trzmiele. Profesor słusznie uznał, że kąpiele jodobromowe dobrze wpłyną na jego podagrę i wylegiwał się w gorącej kałuży z rozrzewnieniem przyglądając się przeżuwającym młody piołun jakom. Przed długim marszem również zwierzęta powinny wypocząć. Jednym słowem w obozie panowała idylliczna atmosfera. Joy, która podjęła się spełniać rolę czarującej pastuszki, na wszelki wypadek opalała się z dala od parskających potworów, zdjąwszy z siebie i tak zupełnie symboliczne bikini.
Tylko Norbu-rin-po-cz'e, siedząc na skórze lamparta zajmował się w ten cudowny poranek słodkiego - jak mówią Włosi – nieróbstwa swą zwykłą pracą – medytacjami.
Po długich ablucjach i całkowitym oczyszczeniu, dokonanym za pośrednictwem długiego bandaża, przeciągniętego przez cały przewód pokarmowy, jogin wykonał kilka asan o najwyższym stopniu trudności i zastygł w całkowitym bezruchu. Jego duch wzniósł się nad czasem i przestrzenią i porzuciwszy powłokę cielesną uleciał w kosmiczną nieskończoność.
Jednakże, gdy jogin koncentrował się, by przejść do wyższych stopni samadhi, które odsłaniają istotę pustki i niebytu, poczuł niepojęte przeciwdziałanie. W jego wizje wdarła się obca, ciemna moc, niszcząc połyskującą, wzniesioną w absolutnej pustce konstrukcję.
Wędrowny mnich, zmartwiony tą przeszkodą podniósł głowę i spoglądając na otaczający go świat niższych iluzji dostrzegł gońca z raną w piersi. Niewątpliwie widział przed sobą tego samego biegacza,

się z hinduskim buddyzmem nie tak daleko stąd. Różne Kuszany, Baktrie, Sogdiany... Istnieje również legenda, że jedną z himalajskich dolin do tej pory zamieszkują potomkowie żołnierzy Aleksandra Macedońskiego.

– Niech pan da spokój tym uczonym bzdurom, Bobby! – MacDonald popędził nieco konia. – Jeżeli nie zawodzi mnie intuicja – rzucił przez ramię – to oczekuje nas wcale nie Macedończyk.

– Wkrótce się przekonamy! – zawołał Smith doganiając go.

Resztę drogi odbyli w milczeniu i wkrótce podjechali do piętrowego domu. Był to dziwny budynek, raczej częściowo nie wykończony, niż zburzony. Przypominał on bardziej dekorację w Hollywood, choć nigdzie nie było widać ani ukrytych rusztowań, ani rozmaitych wiązarów czy zwykłych podpór. Mimo wszystko jednak trudno było oprzeć się wrażeniu, że widać tylko fasadę, za którą po prostu nie ma żadnych pomieszczeń mieszkalnych.

– Trzeba być absolutnym kretynem, żeby kręcić tu film – warknął Smith przywiązując konia do balustrady. Była rzeczywiście z marmuru, pokryta żyłkowaniami i pęknięciami.

– Problem tylko w szmalu – MacDonald zrobił charakterystyczny gest palcami, jakby odliczał niewidzialne pieniądze. – Wejdziemy?

Zaczęli powoli wchodzić po schodach, nieufnie badając każdy stopień. Pochodnia w brązowym uchwycie, wmurowanym po prawej stronie rozwartych na oścież drzwi, rzucała drżący, wielokrotnie załamany klin światła.

– Proszę tu na nas zaczekać, Temba! – zawołał Smith zanim przekroczył wysoki próg.

– Proszę spojrzeć – „salve"! – MacDonald wskazał łaciński napis przy wejściu. – Tak jak mówiłem, rzymska.

Weszli i natychmiast znaleźli się w atrium, oświetlonym martwym światłem księżyca, przesączonego przez mgiełkę obłoków tuż nad otwartym prostokątem.

Wrażenie, jakie odnieśli oglądając willę z zewnątrz, okazało się fałszywe. Willa była dość obszerna. Puste pomieszczenia były chłodne i zapuszczone. Wszędzie leżały rozbite dachówki, kawałki cegieł, skamieniałe bryłki jakiegoś podobnego do cementu spoiwa. I znów trudno było stwierdzić, czy to stary śmietnik, powstały w czasie budowy, czy ślady zniszczeń.

W którymś pokoju, najprawdopodobniej triklinum, MacDonald przypomniał sobie o latarce i oświetlił sufit.

– A niech to diabli! – zaklął przez zaciśnięte zęby, gdy jego wzrok natrafił na niewiarygodnie śmiały w swym erotyzmie fryz. Farby, które zalśniły w promieniu lampy były zadziwiająco jaskrawe i świeże.

– Czy przypadkiem nie jest pan purytaninem? – spytał go uprzejmie Smith, patrząc z ciekawością na fantazyjnie frywolne sceny.

– Raczej przeciwnie... Ale niech mnie licho, przecież dokładnie takie obrazki widziałem w Pompei, w domu do którego wpuszczają tylko mężczyzn.

– No i co z tego? To, że tak powiem, wieczne tematy – Smith roześmiał się wesoło. – Tu, w Himalajach, wszędzie można zobaczyć coś w tym stylu. Czy nie widział pan tantrycznych figur? Zupełnie, jakby mi kamień spadł z serca.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł przeciągle Smith. – Ale po tym, wydaje mi się...

– Niech się panu nie wydaje – przerwał mu niegrzecznie MacDonald. – Był pan w Pompei?

– Nie. Ale pan, zdaje się, wszędzie bywał.

– To jest – MacDonald nie zwrócił uwagi na przytyk – idealna kopia – jeden do jednego.

– To jeszcze o niczym nie świadczy, Charlie. Jeżeli weźmiemy na przykład kino, to pomysł...

– Do diabła z kinem! Po prostu łażąc po tych śmieciach przypomniałem sobie, jak byłem w martwym mieście.

– Lepiej, żeby pan nigdzie nie bywał! – posmutniał nagle Smith. – Ale tak czy owak są tu zupełnie przyzwoite pokoje i mamy szansę przenocować po ludzku. Przyznam się, że już mi obrzydł namiot, do którego muszę włazić na czworakach.

– Niech będzie... Proszę zawołać „Tygrysa", mnie i tak by nie posłuchał.

– Chwileczkę! Tylko obejrzę górne piętro. Woli pan iść ze mną, czy posiedzi pan tu chwilę po ciemku?

– Niech pan idzie – westchnął MacDonald i oddał latarkę.

Amerykanin szybko odnalazł wewnętrzne schody i przyświecając sobie, przeszedł przez pustą amfiladę, zaglądając w najmniejsze zakamarki. Po nagich ścianach przemykały cienie, pod nogami trzeszczał piasek.

Nagle rozświetliły się drzwi prowadzące na płaski dach, albo może do krytej galerii. Oddzielał je niski

Koło kamienia wymalowanego ognistym cynobrem – tam, gdzie dawniej składano ofiary z ludzi – Ang Temba dał znak, by wszyscy stanęli i zeszli z koni. Poganiacze wzięli przygotowane dary i nieśmiało weszli w cień omszałych, wiekowych jodeł.

Kierując się zwykłą ciekawością, Smith ruszył za swymi ludźmi. Gdy zobaczył, że w jednej z górnych pieczar rozjarzyło się światło, wdrapał się na najbliższą skałę i zaczął wchodzić po cyklopicznych schodach. Świątynia, w której tubylcy zapalili swe kadzidlane pałeczki przypominała raczej jakiś diabelski chram, w którym zwykli ucztować kanibale. Nierówne ściany i zakopcone, osnute pajęczynami sklepienie pokryte były malowidłami przedstawiającymi niesamowite potwory. Okrwawione kły i pazury szarpały biedne ludzkie ciała, czaszki z wyszczerzonymi zębami zwisały ciężkimi girlandami.

Na brudnych, zatłuszczonych i stoczonych przez termity ołtarzach, połyskiwał matowo stary brąz. Smithowi zaparło dech w piersi. Te niepowtarzalne figurki były bezcenne. I, co najważniejsze, nie należały do nikogo! Nikt ich nie pilnował i tylko niezbyt często idący tędy podróżni napełniali pozieleniałe czarki arakiem i bawolim tłuszczem. Wystarczyło jedynie odczekać, aż pójdą sobie poganiacze i Smith mógł stać się właścicielem tutejszych skarbów: mógł pobrać próbki, mógł wziąć ze sobą dowolny przedmiot. Ale nawet nie dotknął żadnej z brązowych statuetek. Tygodnie spędzone w ścianach „Wszechpochłaniającego światła" nie minęły bez śladu. Smith poczuł potężną, powstrzymującą go siłę. Powstała wyraźna granica między tym, co dozwolone, a tym czego uczynić nie wolno pod żadnym pozorem.

Przed zachodem słońca, kiedy pionową ścianę po prawej stronie rozjaśnił ciepły poblask, karawana dotarła do najwyższego punktu przełęczy. Po obydwu stronych rozpościerała się nieogarniona dal. W spokojnym, chłodnym powietrzu słabo kołysały się modlitewne szarfy i wypłowiałe flagi, wetknięte w kamienną piramidę. Poganiacze, składając należną daninę gospodarzom gór, zeskoczyli ciężko na ziemię, by złożyć w ofierze przygotowany kamyczek. Skały podobne do kawałków żeber gigantycznych jaszczurów były całkowicie pokryte wizerunkami bóstw.

Abbas z pogardliwym uśmieszkiem przejechał obok pogańskiego kopca i dopiero, gdy zobaczył pustą wieżyczkę strażniczą, pogładził brodę, błogosławiąc Allacha.

– A jednak udało się nam ich wyprzedzić! – uśmiechnął się zadowolony MacDonald. – Na wieży ani żywego ducha. Jak do tej pory, wszystko idzie zgodnie z planem. A pan miał wątpliwości!

– Przyzna pan, że miałem istotne powody – niechętnie odezwał się Smith.

– Żołnierze zajmują strażnice, gdy tylko przełęcz nadaje się do przejścia, ja jednak liczyłem na to, że triponowi zazwyczaj się nie spieszy i straże pojawiają się dopiero po paru tygodniach.

– Tak Charlie, wygrał pan.

– Nie chodzi mi o zakład! – uśmiechnął się zadowolony MacDonald. – Po prostu, gdy wszystko idzie tak, jak planowałem, przeżywam prawdziwą estetyczną satysfakcję. Idea organizuje rzeczywistość, mój drogi...

– Niestety, nie zawsze...

– Zawsze, jeżeli wszystko dokładnie się wyliczy.

– Ale przecież mogli nas wyprzedzić – zaoponował leniwie Smith, przytrzymując konia wodzami na zboczu.

– Nigdy! – roześmiał się zadowolony z siebie MacDonald.

– Nawet gdyby przybył goniec?

– Ale nie przybył, przyjacielu, i w tym rzecz. Co więcej, nigdy nie przybędzie.

– Być może – obojętnie wzruszył ramionami Smith.

Postanowili rozłożyć się na nocleg na przełęczy i zaraz o świcie dokładnie zbadać zejście. Szerpa zlecił poganiaczom rozstawienie namiotów, a sam zaczął przygotowywać wyposażenie, rozkładając na stosiki bloki, młotki, haki lodowe i karabińczyki, przez które przechodzi lina.

Rankiem przystąpili do rozpoznania zbocza. Droga z wiosny do lata prowadziła przez zimę. Północna orientacja stoku i cień Sijama Tary sprawiły, że śnieg leżał prawie na całej drodze zejścia. Twardy i pewny firn, który pokrywał bardziej poziome fragmenty trasy przechodził w skaliste zerwy i ledwo przysłonięte piargami języki lodowe. Przez lornetkę z pomarańczowym filtrem widać było gwałtowne zawirowania śniegu. Najwidoczniej nad chaosem nadkruszonych skał i zniszczonych moren hulały wiatry o sile huraganu.

– Hmm – mruknął MacDonald w zamyśleniu. – Muszę stwierdzić, że spodziewałem się czegoś lepszego.

– Jak pan sądzi, mister Temba, uda się nam zejść? – Smith bez specjalnej nadziei spytał Szerpę, który stał, nie odejmując lornetki od oczu.

Przewodnik ze złością machnął ręką, podbiegł do „żandarma" – samotnej skały, stojącej na grani, i zręcznie wdrapał się na wierzchołek.

– Dobry zawodnik! – MacDonald z zawiścią pokręcił głową.
– Spróbujemy, sahib – dość pewnym tonem powiedział powracający Ang Temba. – Są dwa, trzy trudne miejsca, ale przejdziemy je zjeżdżając na podwójnej linie.
– Ale co ze zwierzętami? – zapytał Smith.
– Spróbujemy je spuścić. Jeżeli ocaleje choć połowa, będzie pan mógł mówić, że mieliśmy szczęście, sahib. Przecież poganiacze i tak zostaną tutaj.
– Nie da się ich namówić? – MacDonald zdawał się nie zauważać, że Szerpa całkowicie go ignoruje. – Odpowiednio zapłacić?
– Niech pan odpowie, mister Temba – zmarszczył brwi Smith.
– Nie, sir – wycedził przez zęby przewodnik. – Pomogą nam zejść i pójdą do domów. Wrócą po czterech tygodniach i będą na nas czekać przez pięć dni. Jeżeli znajdziemy inną drogę i nie przyjdziemy, odejdą. Taka była umowa i pan o tym wie, sir.
– No, trudno – skrzywił się MacDonald. – Mam nadzieję, że wystarczą nam te cztery tygodnie.
– A wtedy poganiacze pójdą z nami do samego Mustang – starał się go uspokoić Smith. – Ang Temba ma rację – takie były warunki.
– Koi pan mą skołataną duszę – odparł zimno MacDonald.

Potem były pięćdziesiąt trzy godziny straszliwej, wyczerpującej pracy, od której dygotały ściśnięte skurczem mięśnie, pracy, którą przerwał jedynie krótki, podobny do omdlenia sen w jednoosobowym namiociku jakimś cudem przylepionym do płytkiej szczeliny skalnej.

Ale wszystko skończyło się względnie szczęśliwie, jeżeli nie liczyć, oczywiście, dwóch straconych jaków i konia, którego trzeba było dobić – biedne stworzenie wpadło do zasypanej śniegiem szczeliny i połamało nogi.

Obóz rozbili byle jak i po wypiciu szklaneczki nie rozcieńczonej whisky, wleźli do śpiworów. Pogrążając się w rozkoszny sen Smith usłyszał jeszcze syk i poczuł upajający zapach polewki, którą przygotowywali bhutańscy poganiacze.

XIV

Smith obudził się tuż przed południem i choć w dalszym ciągu rwały go stawy i bolały krwawe pęcherze na rękach napełniało go dawno już zapomniane uczucie szczęścia.

– *„Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące..."* – zaśpiewał ironicznie MacDonald, widząc, że dziwaczny Jankes wreszcie otworzył oczy. – Tu naprawdę jest raj! Nie musiałem nawet podgrzewać wody do golenia, wziąłem prosto z gejzeru... Szkoda, że nie mamy jajeczek... Za to może pan sobie ugotować na śniadanie bażanta. Pełno ich tutaj. I skowronki – MacDonald przymrużył z rozkoszą oczy i popatrzył w niebo. – Czy wie pan chociaż, jak się nazywa to czarujące miejsce? Na mojej wspaniałej mapie jest biała plama. – Wytarł tłuszcz z patelni podpłomykiem z campy, dopił kawę i pobiegł do strumienia. Popatrzył z zachwytem na połyskujące złotem pstrągi przemykające pod prąd, głośno przepłukał gardło, a potem wymył ręce. – Ale zimna! Aż zęby bolą!
– Z lodowca... No i co, pora ruszać?
– Tak, będziemy się zbierać. – MacDonald włączył radiostację i nastawił na tę falę, co zawsze.
– Wyje? – zainteresował się Smith.
– Jak sabat czarownic. – Australijczyk wprawnie wziął peleng. – A więc kurs, jak poprzednio – sto dziesięć.
– Niech i tak będzie. – Smith z trudem wyprostował się i poszukał wzrokiem Szerpy, który gdzieś daleko za strumieniem pasł na bujnych trawach ocalałe zwierzęta. Poganiacze odeszli, pewnie jeszcze o świcie.

Zmierzch zapadł, gdy oddział jeszcze był w marszu. Niebo nad otaczającą dolinę postrzępioną granią jeszcze mieniło się wszelkimi odcieniami wczesnej zorzy, podczas gdy tu, na posmutniałych nagle polach, na których nie widać było ani dróg, ani żadnych innych śladów ludzkiej obecności, nieubłaganie zapadała ciemność. W coraz chłodniejszym powietrzu przelatywały nietoperze.

Skądś nadleciały całe chmury komarów. Pokąsane powieki natychmiast spuchły i zaczęły płonąć boleśnie. Wystarczyło jednak, by Smith tylko pomyślał, że dobrze by było wysmarować się repellentem, gdy nagle zaczął wiać delikatny wietrzyk i rozgonił krwiożercze eskadry.
– Jak na zamówienie! – Odezwał się z zadowoleniem MacDonald. – Warto jednak pomyśleć już o noclegu... Hej, tam widać jakiś ogieniek!

Rzeczywiście, w odległości jakiejś półtorej mili migotało ciepłe, przyzywające światełko.
– Przypomina pochodnię gazową – mruknął MacDonald wpatrując się w ciemność.
Smith wyjął ze skórzanego futerału lornetę.
W obiektywie pojawił się dymiący płomień i skrawek oświetlonej nim czerwonawej ściany.
– Pochodnia. Ale nie gazowa. To raczej wygląda jak malos, który oświetla wejście do domu.
– Czy pan oszalał, Bobby? Skąd mógł się tu wziąć dom?
– Co więcej, to jest willa. I to z portykiem, kolumnami doryckimi i altaną. – Im dłużej Smith się wpatrywał, tym wyraźniej w jego lornecie pojawiały się szczegóły: liście akantu na rzeźbionych kapitelach, balaski, wazy, marmurowe popiersia na balustradzie wachlarzowato ułożonych schodów. – Dałbym głowę, że to rzymska willa. Chyba, że zapomniałem wszystkiego, czego nauczyli mnie w szkole.
– Oszalał pan – powtórzył zmienionym głosem MacDonald.
– Nie wiem, jak pan, Charlie, ale ja czuję się nieswojo. – Smith zeskoczył ze zmęczonego konia i podał MacDonaldowi lornetkę. – Proszę popatrzeć.

Chociaż na piersi Australijczyka wisiał futerał z nie mniej silnym „zeissem", MacDonald posłusznie wyciągnął rękę i omiótł przelotnym spojrzeniem ledwo widoczne w ciemności podesty schodów, lekki zarys perystylu, fontann i posągów, bielejących żałobnie w nieprzeniknionym mroku.
– Bardzo mi to przypomina willę Hadriana, do której zaszedłem kiedyś błądząc po Forum Romanum... Nawet kwitnące geranie w glinianych doniczkach.
– No cóż, pan wie lepiej. Ja w Rzymie nie byłem.
– Ale najśmieszniejsze jest to – wydusił z trudem MacDonald – że przed paroma minutami o niej pomyślałem... Nie, nie o willi, ale, jakby to powiedzieć, o znikomości naszej egzystencji... I przypomniałem sobie nagle lekko wypukłą, wybrukowaną drogę, łuk, nie pamiętam już czyj, Tytusa czy Konstantyna.
– Istotnie, dość dziwny zbieg okoliczności...
– Więcej... Trudno mi się wypowiadać na temat całej willi, ale ruiny i gaj oliwny, z którego patrzyłem w dół, a fragmenty ocalałej kolumnady, widziałem dokładnie. Później jakby mi się zachciało spać, pomyślałem o naszych przejściach w podróży, trochę się nad sobą porozczulałem i zupełnie zapomniałem o starożytnościach rzymskich. I gdyby nie to diabelskie opętanie, nie przypomniałbym sobie...
– Diabelskie, myśli pan? – spytał smutnym głosem Smith.
– Przekonamy się na miejscu.

– Czy mogą tu być domy? – Smith obrócił się i zawołał do przewodnika. – Jak pan sądzi, mister Temba?
– Domy mogą być wszędzie tam, gdzie żyją ludzie – odparł z niezmąconym spokojem Szerpa. Gdy dostrzegł, że sahib i jego podejrzany przyjaciel zsiedli z koni, odjechał na bok i zapalił długą tybetańską fajkę ze srebrnym cybuchem.
– Zupełnie słusznie – ironicznie burknął MacDonald.
– Ale czy tu mieszkają ludzie? – pytał w dalszym ciągu Smith, jakby próbując zyskać na czasie.
– Nie wiem, sahib. Jeszcze tu nigdy nie byłem.
– Ale przecież tam, przed nami, jest dom.
– Widzę, sir.
– I nie wydaje się to panu dziwne?
– Dom jak dom. Widać żyją w nim bogaci ludzie.
– Myślałby kto, że nasz cicerone spędza dni i noce w gościnie u rzymskich cezarów – mruknął MacDonald.
– Wie pan co, wcale nie mam ochoty na żarty – ostro odezwał się Smith.
– Ja też, Bobby, ale z humorem zawsze jakoś raźniej... No i co, jedziemy, czy czekamy do rana? Aż się rozwidni?
– Jedziemy – burknął Smith, wstydząc się swego chwilowego niezdecydowania. – Ale mimo wszystko czegoś się boję – przyznał po chwili. – Jakoś nieswojo się czuję...

– Ale chyba nie gorzej niż w Wietnamie? – MacDonald dopędził go i pojechał obok stepa. – Albo tam, w tym lodowym chaosie, kiedy polipropylenowe liny rwały się jak niteczki?
– Niech mi pan wierzy, Charlie, to zupełnie inny rodzaj strachu.
– Rozumiem, że inny. Ale życie to samo? Pana i moje. Skoro więc stawka się nie zmienia, to można kontynuować grę. Czyż nie mam racji?
– Ma pan, bo dręczy mnie nie tylko strach, ale i ciekawość.
– Ba! Rzymska willa w sercu Himalajów!... Nonsens.
– Wygłasza pan zbyt kategoryczne opinie, Charlie. Różne rzeczy się zdarzają. Świat antyczny stykał

NIEŚMIERTELNI

Dokończenie ze strony 38

dały jak olbrzymie wały tłuszczu, jednak między nimi widać było rzadkie włosy. Przypominająca księżyc w pełni twarz była nieproporcjonalnie mała w porównaniu z tym fantastycznym ciałem, oczy wyglądały w niej jak dwa rodzynki.

Ssało z rurki jakąś substancję; a gdy zobaczyło ich na ekranie, baloniastą ręką odsunęło rurkę na bok. Zachichotało. Zabrzmiało to jak chichot bogów.

– Halo, Marna – powiedziało głosem, w którym rozpoznali głos pałacu. – Szukasz kogoś? Wiesz, twoja matka i babka sprzeciwiały się moim planom. Bezpłodne stworzenia! Podłączyłem je bezpośrednio do banku krwi – teraz już nie będzie opóźnień w dostawach krwi...

– Zabijesz je! – Marnie zaparło dech w piersi.

– Cartwrightów, głupia dziewczyno? A poza tym, dziś będzie nasza noc poślubna i nie będziemy chcieli mieć ich tu przy sobie. Prawda, Marno?

Marna cofnęła się do salonu, ale stworzenie i tam patrzyło na nią z ekranu. Zwróciło podobne do rodzynek oczy w stronę Harry'ego. – To ty jesteś lekarzem z wiadomością. Mów.

Harry zmarszczył brwi. – To pan jest... gubernatorem Weaverem?

– We własnej postaci, chłopcze. – Stworzenie roześmiało się zduszonym śmiechem. Fale tłuszczu zakołysały się na całym jego ciele.

Harry nabrał głęboko powietrza w płuca. – Ładunek został porwany. Następny będzie gotowy za tydzień.

Weaver zmarszczył brwi i serdelkowatym palcem dotknął czegoś poza polem widzenia kamery. – No! – Popatrzył na Harry'ego i uśmiechnął się jak idiota. – Właśnie wysadziłem w powietrze biuro dziekana Mocka. Siedział w nim. To sprawiedliwe. Od dwudziestu lat podprowadzał mi systematycznie porcje eliksiru.

– Eliksiru? Ale... – Wiadomość o Mocku była zbyt niewiarygodna, by się nią przejmować. Harry nie uwierzył w nią. To wiadomość o eliksirze nim wstrząsnęła.

Usta Weavera ułożyły się w dziubek, jakby w wyrazie współczucia. – To był dla ciebie wstrząs, jak widzę. Mówiono ci, że nie zdołano dotąd wysyntetyzować eliksiru. Nieprawda. Kilkaset lat temu dokonał tego lekarz o nazwisku Russell Pearce. Miałeś zamiar opracować metodę syntezy i, być może, otrzymać za to nieśmiertelność w nagrodę. Nie, nie jestem telepatą. Pięćdziesięciu lekarzy na stu marzy o tym samym. Powiem ci coś, doktorze – to ja stanowię całe ciało wyborcze. To ja decyduję, kto ma zostać nieśmiertelny i ta arbitralność sprawia mi przyjemność. Bogowie zawsze są arbitralni. To właśnie czyni ich bogami. Mogę ci dać nieśmiertelność. Zrobię to, zrobię. Jeżeli będziesz mi dobrze służyć, doktorze, to gdy zaczniesz się starzeć, uczynię cię znowu młodym. Mogę cię mianować dziekanem Centrum Medycznego. Co o tym myślisz?

Weaver znowu zmarszczył brwi. – Nie, nie zrobię tego – ty również będziesz mi podkradać eliksir jak Mock i nie będziesz dostarczać ładunków, których potrzebuję dla moich szlachetnych. – Podrapał się między piersiami. – Co mam zrobić? – Jęknął. – Umierają moi najwierniejsi. Nie mogę dać im zastrzyków i ich własne dzieci napadają na swych rodziców. Pewnego dnia Whitey zakradł się do swego ojca i sprzedał go śmieciarzowi. Starzy strzegli swoich młodych przed niebezpieczeństwem. Starzy jednak umierają, a młodzi nie potrzebują eliksiru, jeszcze nie potrzebują. Ale będą potrzebować. Wtedy przyczołgają się do mnie na kolanach, żebrząc, ale ja będę się im śmiać prosto w twarz i pozwolę im umrzeć. Tak, jak to czynią bogowie, wiesz?

Weaver podrapał się po przegubie ręki. – Widzę, że wciąż jesteś wstrząśnięty wiadomością o eliksirze. Myślisz, że można by go było produkować całymi galonami, uczynić wszystkich młodymi. Pomyśl o tym trzeźwo. Wiemy, że to absurd, prawda? Nie można by go było nastarczyć. I jaką cenę miałaby nieśmiertelność, gdyby wszyscy żyli wiecznie? – Ton jego głosu uległ zmianie, stał się nagle bardzo rzeczowy. – Kto porwał ładunek? Czy to ten człowiek?

W dolnej części ekranu pojawił się portret.

– Tak – odparł Harry. Czuł zawrót głowy. Wyjaśnienia i nieśmiertelność, wszysto razem. To spadło na niego zbyt gwałtownie.

Weaver potarł wierzchem dłoni swe pulchne wargi. – Cartwright! Jak on to robi? – W jego głosie zabrzmiała nuta przerażenia. – Ryzykować wieczność. Jest szalony, tak, ten człowiek jest szalony. Chce umrzeć. – Potężna masa cielska zadrżała. – Niech spróbuje ze mną.

Dam mu tę upragnioną śmierć. – Znów popatrzył na Harryego i podrapał się po karku.

– Jak się tu dostaliście?

– Przyszliśmy – odparł Harry.

– Przyszliście! Niewiarygodne!

– Proszę zapytać zarządcę motelu koło Kansas City albo wilcze stado, któremu nieomal udało się porwać Marnę, albo wampira, który mnie sparaliżował. Potwierdzą, że przyszliśmy na piechotę.

Weaver podrapał się po swym ogromnym brzuchu. – Ach, te wilcze stada. Mogą być uciążliwe. Ale z drugiej strony, przydają się. Utrzymują kraj w porządku. Ale skoro twierdzisz, że byłeś sparaliżowany, to czemu jesteś tu, a nie czekasz na to, by cię położono na półce w jakimś banku narządów?

– Znachor zrobił mi transfuzję z krwi Marny. – Harry zbyt późno dostrzegł, że Marna daje mu znaki, by nie odpowiadał. Twarz Weavera zachmurzyła się. – Ukradłeś moją krew? Teraz przez miesiąc nie będę mógł pobierać z niej krwi! Będę musiał cię ukarać. Ale nie teraz, później, gdy obmyślę coś, co będzie właściwą karą za twoją zbrodnię.

– Miesiąc to zbyt mało – powiedział Harry. – Nic dziwnego, że ta dziewczyna jest taka blada, skoro co miesiąc upuszczasz jej krew. Zabijesz ją.

– Ale przecież ona jest Cartwrightem – odparł Weaver, zdziwiony – a ja potrzebuję krwi.

Harry zacisnął wargi. Uniósł rękę z założoną bransoletą.

– Czy mogę prosić o klucz?

– Powiedz mi – spytał Weaver, drapiąc się pod piersią – czy Marna jest płodna?

– Nie, proszę pana. – Harry spojrzał Gubernatorowi Kansas prosto w oczy. – A klucz?

– Aj, aj, aj – zawołał Weaver. – Mam wrażenie, że gdzieś go zarzuciłem. Będziecie musieli trochę ponosić te bransolety. No cóż, Marna. Sprawdzimy tej nocy, jak to jest z tą płodnością, co? Znajdź coś odpowiedniego na noc poślubną, dobrze? I staraj się nie mącić tej uroczystości płaczem, jękami i krzykami bólu. Przybądź pełna czci i radości.

– Jeżeli mam mieć dziecko – odparła Marna z pobladłą twarzą – to tylko przez dzieworództwo.

Morze cielska zakołysało się z wściekłością. – Może jednak będą krzyki tej nocy. Tak. Znachorze! Hej, ty obrzydliwy staruchu z chłopakiem. Jesteś podobno uzdrowicielem.

– Tak mnie nazywają – szepnął Pearce.

– Słyszałem, że czynisz cuda. No cóż, masz więc uczynić ze mną cud. – Weaver podrapał się po grzbiecie dłoni. – Swędzi mnie. Lekarze nic u mnie nie znaleźli i umarli. To mnie doprowadza do szaleństwa.

– Leczę dotykiem – odparł Pearce. – Każdy leczy się sam, ja tylko pomagam.

– Nikt nie może mnie dotykać – oznajmił Weaver. – Wyleczysz mnie nim zapadnie noc. Bez żadnych wykrętów. W przeciwnym razie rozzłoszczę się na ciebie i tego chłopca. Tak, bardzo się na was rozzłoszczę, jeżeli ci się nie powiedzie.

– Tej nocy – odpowiedział Pearce – uczynię dla ciebie cud.

Weaver uśmiechnął się i sięgnął po rurkę doprowadzającą pokarm. Jego oczy pobłyskiwały jak czarne kamienne kulki, zanurzone w wielkiej misie budyniu. – A więc, do zmroku! – Jego obraz zniknął z ekranu.

– Robak – szepnął Harry. – Wielki biały robak w pączku róży. Drąży go – ślepy, samolubny i niszczycielski.

– On jest jak płód – powiedział Pearce – płód, który nie chce się narodzić. Bezpieczny w łonie matki niszczy ją, nie zdając sobie sprawy, że zarazem niszczy sam siebie. – Odwrócił się w stronę Christophera. – Czy jest tu obiektyw kamery?

Christopher popatrzył na ekran. – W każdym pokoju.

– Podsłuch?

– Wszędzie.

– Musimy liczyć na to – stwierdził Pearce – że nie przesłucha wszystkich nagrań albo że uda się odwracać jego uwagę do czasu, aż zrobimy to, co trzeba.

Harry popatrzył na Marnę, potem na Pearce'a i Christophera.

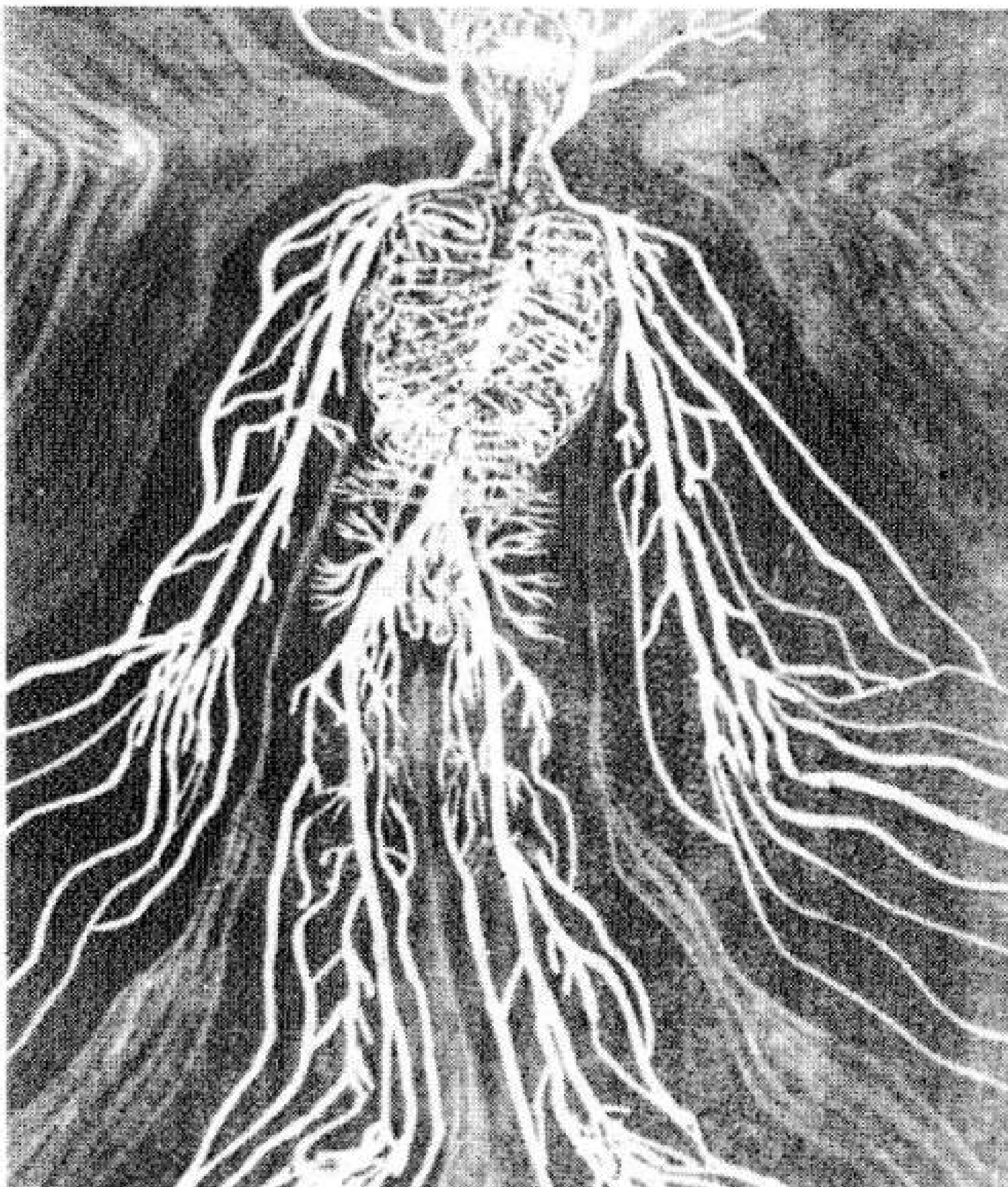
– Co robimy?

– Zgadzasz się? – spytała Marna. – Chcesz zrezygnować z nieśmiertelności? Rzucić wszystko na szalę?

Harry skrzywił się. – Cóż mogę utracić? Taki świat, jak ten...

– Jak wygląda sytuacja? – szepnął Pearce. – Gdzie jest Weaver?

Marna bezradnie wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Moja matka i babka nigdy się tego nie dowiedziały. Wysyła windę. Tam nie ma schodów, nie ma innych wejść. A windy są sterowane za pośrednictwem pulpitu, który ma obok łóżka. Tam są tysiące przełączników. Dzięki nim kontroluje cały budynek – światło, wodę, powie-



Zbigniew Latała

trze, ogrzewanie i dostawy żywności. Może wypuścić trujące albo obezwładniające gazy, albo płonącą benzynę. Może detonować ładunki wybuchowe nie tylko tu, ale i w Kansas City albo w Topece, może też odpalać rakiety w kierunku innych rejonów. W żaden sposób nie można się do niego dostać.
– Ty się dostaniesz – szepnął Pearce.
Oczy Marny rozbłysły. – Gdybym tylko mogła wziąć ze sobą jakąś broń... Ale w windzie jest aparatura kontrolna, wykrywacze magnetyczne i fluoroskopowe.
– Nawet gdybyś przemyciła nóż – powiedział Harry marszcząc brwi – nie byłabyś w stanie zadać mu śmiertelnego ciosu. A poza tym, nawet jeżeli nie może się poruszać, to musi mieć niezwykle silne ręce.
– Być może jest pewien sposób – rzekł Pearce. – Jeżeli uda się nam znaleźć kawałek papieru, to Christopher ci napisze.

Panna młoda czekała przy drzwiach windy. Była ubrana w białą satynową suknię i stare koronki, zarzucone na głowę jak welon. Przed ekranem w salonie, w wielkim, brązowym, wyściełanym fotelu siedział Pearce. O jego kościste kolano, na wpół leżąc na podłodze, opierał się Christopher.
Ekran rozjarzył się i ukazał się na nim Weaver, wyszczerzony w uśmiechu skretyniałego bożka. – Jesteś niecierpliwa, Marno. Cieszę się, że z takim zapałem pragniesz się rzucić w ramiona swego oblubieńca. Oto twój powóz weselny...
Z cichym sykiem otworzyły się drzwi windy. Panna młoda weszła do kabiny. W chwili, gdy drzwi się zamykały Pearce wstał, odsuwając lekko na bok Christophera i rzekł: – Szukasz nieśmiertelności, Weaver, i uważasz, że ją zdobyłeś. Ale to, co osiągnąłeś, to tylko śmierć za życia. Pokażę ci prawdziwą nieśmiertelność.
Kabina windy ruszyła w dół. Opadała przy akompaniamencie marsza weselnego z Lohengrina. Wykrywacze obszukały narzeczoną i nie znalazły nic metalowego. Winda zaczęła zwalniać. Gdy zatrzymała się, drzwi przez chwilę pozostały zamknięte, a potem otworzyły się ze zgrzytem.
Zaduch rozkładu napełnił kabinę. Początkowo panna młoda cofnęła się gwałtownie, potem jednak wyszła z windy. Swego czasu pokój ten był cudem mechaniki – nierdzewną, stalową macicą. Pokój, niewiele większy od gigantycznego, pneumatycznego materaca znajdującego się w centrum, był całkowicie zautomatyzowany. Termostaty utrzymywały w nim temperaturę na poziomie ciepłoty krwi. Pożywienie docierało tu bez udziału człowieka za pośrednictwem rurek prosto z sal przygotowawczych. Zainstalowano wodne spryskiwacze, które miały spłukiwać brud i odchody do kolektorów nieczystości, umieszczonych pod samymi ścianami. Spryskiwacz umieszczony nad głową powinien był obmywać leżącą na materacu istotę. Naokoło posłania stał skomplikowany pulpit kontrolny, przypominający stół gry gigantycznych organów wyposażony w dziesiątki tysięcy klawiszy i przycisków. Bezpośrednio nad materacem, w suficie, zamontowany był ekran.
Kilka lat temu, najwidoczniej na skutek jakichś drobnych ruchów skorupy ziemskiej, pękła rura doprowadzająca wodę. Oczyszczające spryskiwacze przestały działać, a lokator tego pokoju albo bał się, że wrogowie dowiedzą się o jego kryjówce, albo już mu nie zależało na czystości.
Podłoga zasłana była rozkładającą się żywnością, puszkami i opakowaniami, odchodami. Gdy panna młoda weszła do pokoju, olbrzymie stada karaluchów rozbiegły się, przestraszone jej obecnością. Myszy w popłochu uciekły do swoich kryjówek. Panna młoda podniosła długą suknię z białej satyny wyżej ud. Odwinęła cienką, nylonową linkę okręconą wokół pasa. Na jej końcu zrobiona była pętla. Potrząsnęła nią kilkakrotnie, tak, że pętla zwisła swobodnie.
Widziała, że Weaver wpatrzony jest w ekran nieomal w hipnotycznym napięciu. Pearce mówił: – Starzenie się nie jest chorobą ciała, ale psychiki. Umysł zaczyna się męczyć i to właśnie sprawia, że ciało umiera. Swą odporność na śmierć Cartwrigtowie tylko w połowie zawdzięczają swojej krwi, ta druga połowa to ich niezłomna wola życia.
Masz sto pięćdziesiąt trzy lata. Opiekowałem się twym ojcem, który umarł przed twoim przyjściem na świat. Nieświadomie zrobiłem mu transfuzję z krwi Marshalla Cartwrighta.
Weaver szepnął: – Ale to znaczy, że masz.... – Jego głos był piskliwy, wysoki, nie brzmiał już jak głos boga. To, że wydobywał się z takiej masy cielska, sprawiało komiczne wrażenie.
– Prawie dwieście lat – odparł Pearce. Jego głos był mocniejszy, głębszy – to już nie był szept. – Bez żadnej transfuzji krwi Cartwrightów, żadnego eliksiru życia. Umysł może uzyskać skuteczną kontrolę nad systemem nerwowym, nad każdą komórką wytwarzającą krew i nad ciałem.
Panna młoda pochyliła głowę, by zobaczyć ekran na suficie. Pearce wyglądał dziwnie. Był wyższy. Jego nogi były proste i muskularne. W czasie, gdy panna młoda patrzyła, pod skórą Pearce'a zaczęły rozwijać się muskuły i tkanka tłuszczowa, wzmacniając ją, wygładzając zmarszczki. Kości twarzy pokryły się młodym ciałem i skórą. Jedwabiste, białe włosy pociemniały i stały się gęstsze.
– Zastanawiasz się, dlaczego byłem stary – powiedział Pearce mocnym, dźwięcznym głosem. – Bowiem tej wiedzy nie można wykorzystywać tylko dla siebie samego. Uzyskuje się ją dając, nie biorąc.
Jego zapadnięte powieki wypełniły się, pojaśniały i otworzyły. Pearce spojrzał na Weavera – wysoki, silny i wyprostowany – nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Na jego twarzy malowała się uśpiona moc – ale moc poskromiona, pod kontrolą. Weaver cofnął się gwałtownie.
Oczy Weavera wyszły z orbit. Odwrócił głowę w stronę panny młodej. Harry zrzucił woalkę i lekko rozkołysał linkę, trzymając ją w dwóch palcach. Pierwszy rzut musiał być celny, mogło już nie być szansy na drugi. Jego palce, palce chirurga, były zwinne, ale nigdy dotąd nie rzucał lassem. Christopher wyjaśnił mu, jak to się robi, ale nie miał możliwości zrobić nawet jednej próby.
Jeżeli zostanie przyciągnięty w zasięg tych potężnych, nalanych ramion, ich uścisk go zmiażdży.
Zaskoczony Weaver uniósł głowę i jego ręka gwałtownie skoczyła w stronę pulpitu. Harry rzucił linkę. Pętla zacisnęła się na szyi Weavera.
Harry szybko owinął lasso kilkakrotnie wokół przedramienia i pociągnął je mocno. Weaver szarpnął się do tyłu, zaciskając pętlę jeszcze ściślej. Cienka linka całkowicie zniknęła w fałdach tłuszczu na karku. Palce Weavera szarpnęły ją, rozdzierając skórę, jego cielsko miotało się na materacu. „Mam – przemknęła przez głowę Harry'ego szalona myśl – na końcu swej wędki Nieśmiertelnego – wielkiego, białego wieloryba, który walczy, chce się wyswobodzić i żyć wiecznie, pluskając się w tych pneumatycznych falach". To było jak koszmarny, niewiarygodny sen.
Weaver jakimś straszliwym wysiłkiem zdołał się obrócić. Jego ręce były teraz zaciśnięte na lince. Podźwignął się na klęczki i zaczął przyciągać lasso, wlokąc Harry'ego w stronę materaca. Oczy zaczęły wyłazić mu z orbit.
Harry wbił obcasy w podłogę. Weaver uniósł się jak wyskakujący z wody wieloryb i stanął na równych nogach, bezkształtny i potworny, z twarzą, która purpurowiała coraz bardziej. Aż wreszcie serce nie wytrzymało, całe ciało zwiotczało nagle i opadło znów na materac, na którym spoczywało prawie trzy czwarte wieku.
Harry machinalnie odwinął linkę z dłoni. Werżnęła się głęboko w ciało, ze skaleczenia sączyła się krew. Gdy wypuszczał sznur, nie poczuł nic. Zamknął oczy i zadygotał.
Po jakimś czasie usłyszał, że ktoś go woła: – Harry, Harry! – Był to głos Marny. – Co z tobą? Harry, proszę!
Odetchnął głęboko. – Tak, tak, wszystko w porządku.
– Podejdź do pulpitu – powiedział młody człowiek, który kiedyś był Pearcem. – Musisz znaleźć właściwe przyciski, powinny być oznakowane. Musimy uwolnić babkę i matkę Marny. A potem będziemy musieli się stąd szybko wynieść. Marshall Cartwright czeka na zewnątrz i mam wrażenie, że zaczyna się niecierpliwić.
Harry skinął głową, ale nie ruszał się z miejsca. Trzeba będzie zebrać całą siłę ducha, by wyjść na świat, w którym nieśmiertelność jest raczej faktem, a nie marzeniem.
Będzie musiał się oswoić i z tym, i z wynikającymi stąd problemami. Problemami, które będą przekraczać jego wyobraźnię. Ruszył przed siebie i zaczął szukać.

Przełożył Sławomir Kędzierski

■

LISTA BESTSELLERÓW

PO ROKU

I oto za nami pierwszy rok wspólnego czytania i wyróżniania książek SF na polskim rynku. Z początku obawialiśmy się, że chociaż większość Czytelników ma swoje zdanie na temat wydawanych u nas książek, to poza gronem kolegów dzielić się z nim będzie niechętnie. Baliśmy się również, iż różnice w ocenie poszczególnych książek na obu listach – redakcyjnej i czytelniczej mogą doprowadzić do tego, iż któraś z nich stanie się dla większości naszych odbiorców niewiarygodna. A do tego doszła jeszcze jedna trudność, sygnalizowana w czasie licznych spotkań przedstawicieli redakcji z Czytelnikami. Otóż spotkaliśmy się z zarzutami, iż listy są opóźnione, a ponadto, że lista tworzona przez redakcję jest anonimowa, zaś lista Czytelników zbyt mało reprezentatywna. W ciągu roku sytuacja zmieniła się na lepsze. Przede wszystkim głosów na listę Czytelników przychodzi z miesiąca na miesiąc wciąż więcej, czyniąc ją bardziej reprezentatywną. Przy ocenach redakcyjnych postanowiliśmy zastosować istotne modyfikacje. Mamy też nadzieję, że zmniejszą się opóźnienia pisma. Wyniki prezentowane przez nas dzisiaj różnią się od publikowanych poprzednio. Początkowo pragnęliśmy podsumować punkty mechanicznie, stwarzając rodzaj listy, która ukazywałaby niejako książki roku. Doszliśmy jednak do wniosku, iż biorąc pod uwagę opóźnienia nie byłoby to sprawiedliwe i zamazywałoby, zamiast uwypuklić, faktyczny stan zainteresowania wydawanymi przez nasze oficyny, coraz liczniejszymi książkami fantastycznymi. Obawialiśmy się – słusznie chyba – że pozycje wydawane w większych nakładach, a więc łatwiej osiągalne na rynku z powodu samej jedynie przewagi liczebnej, mogły być lepiej znane szerszemu ogółowi czytających i wobec tego częściej były wymieniane w Waszych listach, choć nie zawsze pokrywałoby się to z faktyczną wartością literacką danego dzieła. Nie można także uznać listów z propozycjami bestsellerów, nadesłanych do redakcji, za reprezentatywne dla ogółu Czytelników. Nie znamy bowiem nawet w przybliżeniu faktycznej liczby tych, co nas czytają, niewiele wiemy o ich zawodach, zainteresowaniach itp. Stąd rozpisanie w „Lądowaniu" ankiety i nasze zamiary „naukowego" sondażu całej rzeszy czytelniczej. To jednak sprawa na przyszłość. Na razie potraktujemy listy bestsellerów bez koturnów, jako pewną orientację w tym, co z science fiction chętnie u nas się czytuje.

Książki najczęściej wymieniane w listach Czytelników (w układzie alfabetycznym, bez hierarchii punktowej).

J. S. Abramowowie	**Wszystko dozwolone**	Iskry
Brian Aldiss	**Cieplarnia**	Iskry
Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
James G. Ballard	**Ogród czasu**	Wydawnictwo Literackie
	Wyspa	Czytelnik
Kirył Bułyczow	**Retrogenetyka**	Iskry
Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
Dariusz Filar	**We własnej skórze**	Nasza Księgarnia
Harry Harrison	**Planeta śmierci**	Czytelnik
Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	Iskry
	Solaris	Iskry
	Wizja lokalna	Wydawnictwo Literackie
Michał Markowski	**Ocean niespokojny**	KAW
Marek Oramus	**Senni zwycięzcy**	Czytelnik
Kate Wilhelm	**Gdzie dawniej śpiewał ptak**	Czytelnik
Adam Wiśniewski-Snerg	**Robot**	Wydawnictwo Literackie
Marcin Wolski	**Numer**	KAW
Stefan Wul	**Remedium**	KAW
Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
	Ogon diabła	KAW
Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie

Książki autorów z bezpośredniego kręgu naszego pisma, także wymieniane w listach Czytelników.

Adam Hollanek	**Kochać bez skóry**	KAW
	Olśnienie	KAW
Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
	Śpiew kryształu	Wydawnictwo Lubelskie
Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW
Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik

Wiele nowych książek ukazało się w ostatnim okresie roku i listy z wymienionymi ich tytułami nie mogły jeszcze dotrzeć do redakcji. Znajdą one odzwierciedlenie w nowej formule listy bestsellerów, w nowym roku 1984.

GRUCZOŁ

Hanna Kaltenbergh

Iona nie mogła nadziwić się komputerowi. Dlaczego wybrał właśnie jej męża? Przez dwadzieścia lat wspólnego życia przekonała się przecież, że Wel był uosobieniem słabości. Miał oczywiście i rozliczne uroki. Głównie towarzyskie. Potrafił interesująco opowiadać: skupiał na sobie uwagę ludzi w każdym wieku. Ale – często blagował albo zmieniał zdanie w zależności od tego, co mogło wywołać poklask, bądź zdobyć mu sympatię słuchaczy. W rezultacie lubiano go, lecz nie traktowano poważnie.

Kiedy Iona przyłapywała Wela na kłamstwach lub odżegnywaniu się od spraw, które poprzedniego dnia jeszcze popierał, czyniła mu gorzkie wyrzuty. Oczywiście robiła to nocą, gdy byli już sami, a wszystkie nieprzenikacze pozostawały na pewno włączone. Mówiła mężowi:

– Nie wolno ci być chorągiewką na dachu. Ośmieszasz się nie tylko przede mną. Taka Rewa na przykład dobrze wiedziała, że blagujesz. Rewa – drobiazg. Jest moją przyjaciółką. Ona ci nie zaszkodzi. Ale Eno czy Kepih... Z nimi nic nie wiadomo. Udają życzliwych, licho wie, co myślą.

Wel wściekał się:

– Nie twoja sprawa! Zresztą i tak nic nie rozumiesz! Ani ty, ani cała ta twoja Rewa. Lepiej pilnowałaby gruczołów dokrewnych – naturalnych i syntetycznych. Podobno na nich się zna... Hm, zresztą w to wątpię. Powtarzam: nic nie rozumiecie, a macie czelność się wtrącać. Ptasie móżdżki! Kretynki!

Och, rozumiały go aż nadto. Wel udawał ważnego i puszył się, a równocześnie brakowało mu pewności siebie. Dlatego chłonął łakomie każdy, nawet mało znaczący dowód uznania. Zresztą o znaczące nigdy nie umiał walczyć. W rezultacie jego sukcesy zaczynały się i kończyły w kuluarach i przy stolikach bufetu. Gdzie indziej, zaledwie lubiano go. Zwłaszcza jednak lubiano go wyzyskiwać w Instytucie Prognoz Postępu, w którym tkwił od lat i niezmiennie pozwalał sobie wpychać najmniej interesujące tematy. Potulnie wykonywał żmudne prace potrzebne innym do efektownych syntez i uogólnień. Gorzej jeszcze. Do ciekawych programów brano go „na murzyna":

– Wel, pomóż, zaplątałem się. Chyba mi nie odmówisz, stary.

Oczywiście nie potrafiłby odmówić. Sypał pomysłami, ślęczał po nocach. A inni oficjalnie uznawani za autorów pracy, porastali w piórka i potem wypinali pierś, żeby ułatwić przypięcie orderów. Rewa śmiała się z tego:

– Widocznie Wel potrzebuje, żeby go wyzyskiwali.

Dla Iony taki obrót spraw był bolesny. Zwłaszcza że i Wel, gdy napotkał kant grubszego kalibru, łamał się, popadał w depresję i zupełnie zaniedbywał Instytut. Tworzyło się błędne kółko. W okresach załamań Wel jeszcze bardziej osłabiał swoją pozycję, więc potem skwapliwie przystawał na wyzyskiwanie, żeby rozpędzić zbierające się chmury. A to po pewnym czasie znów wpędzało go w depresję. I w ramiona Iony. Musiała pocieszać Wela jak dziecko. Szkoda tylko, że uparcie nie chciał uczyć się na błędach. Gdy Iona po tygodniu czułości wygarniała mu wreszcie tak zwaną całą prawdę zawsze się obrażał. A w Instytucie z fazy załamania przechodził do fazy przypodobywania się otoczeniu.

Przeciw ingerencji komputerów w losy ludzkie Iona buntowała się już parokrotnie. Najpierw, kiedy maszyna przetwarzająca dane wybrała za nią studia, które określały przyszły zawód.

– Ionko – tłumaczyła jej matka – Najtrudniej człowiekowi znać samego siebie. Praca zawodowa to nieraz pół życia. Kiedyś młodzież sama wybierała sobie szkoły średnie i wyższe. I było pełno pomyłek życiowych. A jaki stan gospodarki... jaka bieda.

Od dzieciństwa Iona marzyła o zawodzie aktorki. Z woli komputera została jednak pedagogiem. Rzeczywiście w atelier mogło jej się nie udać. Ileż aktorek gra same „ogony". Z dzieciakami natomiast radziła sobie świetnie, i one też ją uwielbiały. Sprawiało to Ionie masę przyjemności. W dodatku chyba rzeczywiście potrafiła pakować dzieciom do główek wszystkie te mądrości, jakie przeznaczono na ich wiek.

Drugi raz stanęła przed komputerem, gdy należało pomyśleć o zamążpójściu.

– Już wolę być samotna – popłakiwała.

– Nie dziwacz! Samotność jest kalectwem – oburzała się matka. I znów zaczęła długie gadanie o tym, że ludzie dobierali się dawniej sami, zawsze w zaślepieniu. Potem w wypadku złego doboru następowało piekło pożycia lub nawet rozwód. Istna plaga rozwodów, których współcześnie jest przecież bardzo mało. Dzieje się tak dzięki obiektywizmowi komputerów. Sumują cechy i pragnienia. Kojarzą pary o cechach uzupełniających się, a pragnieniach właśnie podobnych. Wstępujesz wyznaczonego dnia o określonej godzinie na wskazany chodnik w Hali Ślubów i masz pewność, że chodnikiem naprzeciwko płynie w twoją stronę partner idealny dla ciebie.

Tere-fere... Ionie komputer wybrał Wela. Słabeusza, choć wolałaby znaleźć oparcie w silnym mężczyźnie. Niepłodnego, mimo że przekazała informacje o chęci posiadania dzieci. A do tego Wel nieudolnie pragnął tej nieszczęsnej popularności, co Ionie wydawało się zawsze niskie i głupie. Nawet marząc o zawodzie aktorki myślała przede wszystkim o przeżyciu większej ilości wzruszeń, niż dostarcza normalny życiorys, a nie o popularności. Stawać przed kamerami z wciąż nową rolą wsączaną w pamięć przez sen. A więc i we śnie uaktywniać emocje. To ją pociągało... Po prawdzie uczniowie też potrafili ją wzruszać. A męża mimo wszystko pokochała.

– Bo komputer bierze pod uwagę także cechy i pragnienia nieuświadomione – mówiła jej Rewa, wspaniała przyjaciółka. Tym wspanialsza, że samodzielnie wybrana. Widząc, jak Iona garnie się do jej dzieci, jak dojmująco odczuwa brak własnych – doradzała najpierw sztuczne zapłodnienie.

– Posłuchaj, głuptasie. Dziś komórki rozrodcze rozbija się na poszczególne chromosomy, dzieli i dowolnie zestawia. Nie tylko płeć można wybrać, ale kolor włosów jednego dawcy doczepić do zalążka sylwetki drugiego. I dołożyć zapowiedź kształtu nosa z jeszcze innej komórki. Pójdź do Banku Nienarodzonych. Na ekranie wyświetlą ci kilka czy kilkanaście kombinacji z domieszką tego, co ewentualnie sama dzieciakowi przekażesz. Portrecik niemowlaka, dwulatka, dziesięciolatka. Najpiękniejsze i najzdolniejsze dzieci są właśnie z Banku rodem. Wiem o tym na pewno, jestem przecież lekarką. I mam kolegów, którzy w Banku pracują. Mogłabym cię zaprotegować. Po znajomości, prócz komórek z katalogu, podsunął ci jeszcze parę specjalnych. Zawsze takie mają od dawców spełniających pod względem fizycznym i psychicznym wszystkie wymagania. Trzymają je dla protegowanych biorczyń oczywiście.

W tajemnicy przed Welem wielokrotnie chodziła do Banku. Z trwogą, że im się tam uprzykrzy. Ale pracownicy Banku cierpliwie klecili jej portrety córeczek i synków, które mogłaby urodzić. Aż ktoś współczująco napomknął, że powinna przyjść z mężem. We dwoje łatwiej wybiorą. Ależ ona była gotowa mieć każde z tych dzieci. Wszystkie wryły się jej w serce. Cóż, Wel nie chciał żadnego, nawet najpiękniejszego. Po prostu nie życzył sobie.

– Jasne. On, gdyby nawet mógł też nie zostałby ojcem. Rozpieściłaś go. Dlatego nie zamierza z nikim się dzielić tym twoim ciągłym bieganiem na paluszkach, usługiwaniem, ocieraniem łez. A czy jako matka miałabyś tyle cierpliwości dla mężowskich kaprysów? Wątpię – sama odpowiedziała sobie Rewa. – I chyba on, ten twój kopnięty Wel, wystarczająco zastępuje ci dziecko. W przeciwnym wypadku dawno byś go zostawiła.Tutaj już Rewa nie miała racji. Choć przyjaźniły się od dawna, jej system wartości był przecież inny, niż Iony. Rewa kochała dzieci i męża. Ale najmocniej angażowała się w pracę. Umiała koncentrować na niej wszystkie myśli. Była zdolna i piekielnie pracowita. Odnosiła sukcesy. Stała się pupilką profesora. Ponieważ była w dodatku najładniejszą lekarką kliniki zazdrośnicy głośno plotkowali o jej romansie z szefem. Wyssali ten romans z palca. Ale skutecznie umieli zatruwać Rewie życie. W odpowiedzi pracowała jeszcze usilniej i starała się wyglądać jeszcze ładniej. A przy okazji odrobinę kokietowała profesora. Przyszły następne sukcesy. Plotki i dogryzania zwiększały się, nieraz doprowadzając Rewę do skrywanego płaczu. Pacjenci również za nią nie przepadali. Mieli swoje racje. Owszem, pomagała im, jednak traktowała ich bezosobowo. Spieszyła się do laboratorium, do biblioteki, na konferencję. Brakło jej wciąż czasu dla rodziny. Iona w sytuacji Rewy wolałaby zrezygnować z wygórowanych ambicji i cieszyć się dziećmi, i więcej wiedzieć o kłopotach męża. Miał chyba jakieś kłopoty Rewie jakby obojętne. Ograniczała się do troski o jego zdrowie. W razie potrzeby sama kurowała się skutecznie z wszystkiego, choć była przecież endokrynologiem-chirurgiem. Tylko za leczenie dzieci nie miała odwagi się brać.

O nieoczekiwanej decyzji komputera Iona dowiedziała się właśnie od Rewy. Wcześniej nawet niż Wel. Wróciła ze szkoły i na wszelki wypadek wyłączyła nieprzenikacz. Mogło się zdarzyć, że Wel lub Rewa zechcą z nią zamienić parę słów. Rzyczywiście wkrótce brzęknął sygnał i na ekran wpłynęła pracownia Rewy z nią w fotelu, uśmiechniętą od ucha do ucha.

– Ionko, bomba! – zawołała bardzo podniecona. – Będziemy wszczepiać Welowi GSD. No, wiesz ten Gruczoł Sprawnego Decydowania. Masz pojęcie. Komputer wytypował właśnie jego z pośród tysiąca kandydatów. Ich stary zestarzał się zupełnie. Ktoś nowy musi pokierować Instytutem. Dzięki naszej klinice tworzy się wspaniała, niezawodna kadra kierownicza. A teraz będzie do niej należał i Wel.

– I on się zgodził?

– Wel jeszcze nic nie wie. Powiedzą mu o tym za jakieś pół godziny. Po cichu wyszłam z sali, w której na oczach rady naukowej dokonał się wybór. A Wel, nie obraź się, jest kopnięty. Jednak nie aż tak, żeby odrzucić zawrotną karierę. Och, zacznie się wam teraz powodzić... w ogóle cieszę się ze wszystkich dotychczasowych wszczepień. Operacja wyszła z fazy eksperymentalnej, nie stwarza najmniejszych niebezpieczeństw. Tym razem dodatkowo raduje mnie

myśl, że los wskazał twojego męża, też w końcu przyjaciela.
– Ale operacja, to zawsze operacja... Ból.. I te wszystkie zmiany...
– Operacją się nie przejmuj. Nic strasznego. Spróbuję ci ją dyskretnie pokazać. Ból żaden. Zmiany korzystne. Wel stanie się pięknym, potężnym mężczyzną zdolnym do rozkazywania. Nie zmęczyła cię jeszcze jego szmatławość?
– Właśnie. On jest zbyt chwiejny...
– Wkrótce o tym zapomnisz. Zrobimy z niego chłopa jak stal. No, cześć! – Rewa zniknęła.
Zdziwienie i wątpliwości Iony zaczęły ustępować marzeniom o dostatku. Oboje z mężem należeli do tych ludzi, którzy niczego nie potrafią się dochrapać. Po dwudziestu latach małżeństwa stan posiadania mniej niż średni. Uzbierasz na jedno, popsuje się drugie. A Iona tak lubiła piękne wnętrza, tak nieraz tęskniła do pięknych kiecek. I do nowszych robotów gospodarskich. Spojrzała w lustro. Nie jest jeszcze stara. Jeśli ubierze się dobrze i uwolni od chronicznego zatroskania znów poczuje się prawdziwą kobietą.
Terkot ekranu. Wel:
– Słuchaj! Wszczepią mi GSD! Ty wiesz, co to w ogóle jest?!
– Wiem, wiem...
– Prawda, od Rewy. I pewnie obie macie coś przeciwko. Sądzicie, że się nie nadaję.
– Otóż wyobraź sobie, że nic nie mamy przeciwko.



Korga

Dni do operacji biegły błyskawicznie. Ostatniego wieczoru już w klinice Wel załamał się. Nie chce żadnych wszczepień. Iona pobiegła do Rewy:
– Ratuj go! Zrób coś!
Przyjaciółka roześmiała się beztrosko:
– Każdy z nich tak. Tchórzą w ostatniej chwili. Przecież Wel podpisał zgodę na operację. Gdyby teraz pozwolić mu odejść miałby pretensję do końca życia. A po wszczepieniu będzie nam wdzięczny. Zyska wspaniały syntetyczny gruczoł. I wszystkie naturalne zaczną pod jego wpływem lepiej działać. Zyska nową postać, na pewno zrobi karierę. Nikt już nie zdoła go zepchnąć z funkcji kierowniczej. Możliwe będą tylko następne awanse.

Dopiero co czas gnał, jak wariat, a ostatnia noc wlokła się w nieskończoność. Ani chwili snu mimo proszków i usypiającej muzyki. Od świtu Iona zasiadła przed ekranem. Długo, długo nic. Pięć razy sprawdzała, czy aby przez pomyłkę nie włączyła nieprzenikacza. Ale w ścianach mieszkania nie tkwiła żadna przeszkoda. A ekran pozostawał pusty.

Brzdęk. No wreszcie. Stół operacyjny otoczony mnóstwem ludzi w czerwieni. Czerwień – kolor endokrynologii. Kitle lekarskie skojarzyły się Ionie z ubiorem kata. Jedną z tych osób jest Rewa. Którą? Obojętne. Ważny jest tylko on, Wel na stole operacyjnym pochyłonym trochę jak zjeżdżalnia. Twarzy męża nie może dostrzec. Ukryto ją pod narkotyzującą aparaturą. Widzi jego bezradnie rozrzucone chuderlawe nogi. I głowę – ogoloną. Głowa jest właśnie polem operacyjnym. Okropność. Ludzie w czerwieni coś mówią. Dźwięk do Iony nie dociera. Ale nad jedną z masek osłaniających usta i pod lekarską mycką spostrzega w końcu niebieskie oczy Rewy. Roześmiane. Nie musi być tak źle.

Przyjaciółka chwyta w urękawiczone dłonie przezroczysty pojemnik. Pływa w nim liliowego koloru twór o nieregularnym kształcie. Ten gruczoł. Rewa wywołuje chyba zdziwienie kolegów. Mówią coś. Szkoda, że brak dźwięku... Och, zaraz zacznie się wszczepianie. Żeby tylko Welowi czegoś nie uszkodzili. Laser sięgnie milimetr dalej niż trzeba i... Co to? Obraz zgasł. Widocznie Rewa uznała, że Iona więcej nie powinna oglądać.

Po operacji Wel od razu czuł się dobrze, jadł, dowcipkował. Wkrótce wypełnił sobą szczelnie przygotowane wcześniej piżamy z obszernymi kurtkami i szerszymi nogawkami spodni. Najpierw wystąpiły zmiany zewnętrzne polegające na przyroście tkanki mięśniowej. Ten sam kościec, a jakby inny typ fizyczny. Wel cieszył się:
– Dotknij bicepsów!
Rewa też promieniała.
– I włosy, patrz, jak bujnie rosną. Przed ogoleniem miał mniej. A tors jak mu pociemniał.
– Włosów miał zawsze bardzo dużo – zaprotestowała Iona.
Wcale nie była pewna, czy mąż wyładniał. Rysy twarzy rozlały się. Ściągnięte policzki Wela, które bardzo lubiła stały się już tylko wspomnieniem. Pierwsze zmiany psychiczne dały o sobie znać podczas wizyty krawca. Wel nigdy nie dbający o ubranie teraz zażądał najlepszego fachowca z próbkami najlepszych materiałów i żurnalem. Nie mizdrzył się do krawca, co dawniej by zrobił, nie zdawał się na niego, tylko sam zastanawiał się nad krojem i barwą. Pedantycznie i drobiazgowo tropił niedokładności roboty. Kolejne wizyty i przymiarki nie męczyły Wela, tylko krawca.
– Nie czepiaj się drobiazgów – doradzała Rewa zgorszonej Ionie. – Poczekaj, aż Wel opuści klinikę. Wtedy – ręczę – zmiany cię ucieszą.

W domu Iona zorientowała się szybko, co naprawdę dawał syntetyczny gruczoł. Nie tyle zdolność sprawnych decyzji, co niezachwianą pewność siebie. Wel czarował i blagował, jak dawniej, potrafił też po swojemu zaprzeć się wczorajszych przekonań. Nie robił tego jednak po to, żeby przypodobać się innym. Na niczyjej sympatii mu nie zależało. Teraz kłamał lub zmieniał poglądy wyłącznie dla wygody, z taktycznych względów. Złą decyzją najzwyczajniej się nie przejmował. Ukrywał błąd lub zrzucał winę na współpracowników. A z wielkim hałasem reklamował wszystkie decyzje trafne, nawet gdy mało znaczyły. Jak kościec Wela pokryła tkanka rozwiniętych mięśni i tłuszczu, tak jego charakter porósł po wszczepieniu syntetycznego gruczołu tupetem. Nie było już mowy o wypłakiwaniu się w ramionach żony po porażkach. Nikt zresztą nie śmiałby Wela ukrzywdzić. Mimo pozorów swobodnej atmosfery, w Instytucie drżano przed nowym, a przecież tak długo znanym dyrektorem. Znanym z poprzedniej postaci...
Wel w domu nie radził się, nie dzielił wątpliwościami, bo już ich nie miał. Owszem, obchodziły go trochę domowe inwestycje. Dbał o podniesienie standardu życiowego. Zadaniem Iony było urządzić wszystko jak najlepiej. Sprawdzał czy to, co kupiła utrafia w jego gust. Niezadowolony ganił żonę ostro, choć krótko. Miał masę nowych zajęć, przeważnie wcale nienaukowych. Narady, spotkania kurtuazyjne, bankiety. Ich małżeńskie noce też się zmieniły. Na gorsze. Na początku, gdy szedł do niej taki odmienny, z grubym karkiem i udami atlety, odczuwała wstręt. Drażnił ją też nowy zapach skóry Wela. Później wróciło przyzwyczajenie, odarte jednak z dawnej czułości.
Z Rewą pokłóciła się na amen. Uważała, że wszczepienie GSD jest krzywdą, a nie genialnym osiągnięciem społecznym.
– Jaka będzie ta nasza kadra kierownicza? – wołała z oburzeniem.
– A żony, a dzieci tych „powszczepieńców" za jakie grzechy mają cierpieć? W imię czego ja utraciłam męża, z którym byłam szczęśliwa. Dlaczego muszę żyć z pyszałkiem?
– Szczęśliwa... akurat. Wiem co nieco o twoim utraconym szczęściu.
– I po co wszczepiać GSD małemu, nieszkodliwemu blagierowi.

Hanna KALTENBERGH

(ur.1927) – dziennikarka „Sztandaru Młodych" i „Magazynu Rodzinnego", kiedyś specjalizująca się w reportażu. Autorka wielu wywiadów i broszur popularyzujących psychologię stosunków międzyludzkich. Zaciekła i ofiarna miłośniczka psów i kotów. Od paru lat, częściowo pod wpływem męża, znanego pisarza Lwa Kaltenbergha, porzuca literaturę faktu na rzecz bajek dla dzieci i... fantastyki. Jej opowiadanie reprezentuje widoczny w świecie, a niemal nieobecny w naszej prozie SF nurt feministyczny, którego przedstawicielki konfrontują światy wartości kobiecych i męskich. Z niekorzyścią dla tych ostatnich – niestety. (mp)

Dokończenie na stronie 70

54812 TEST

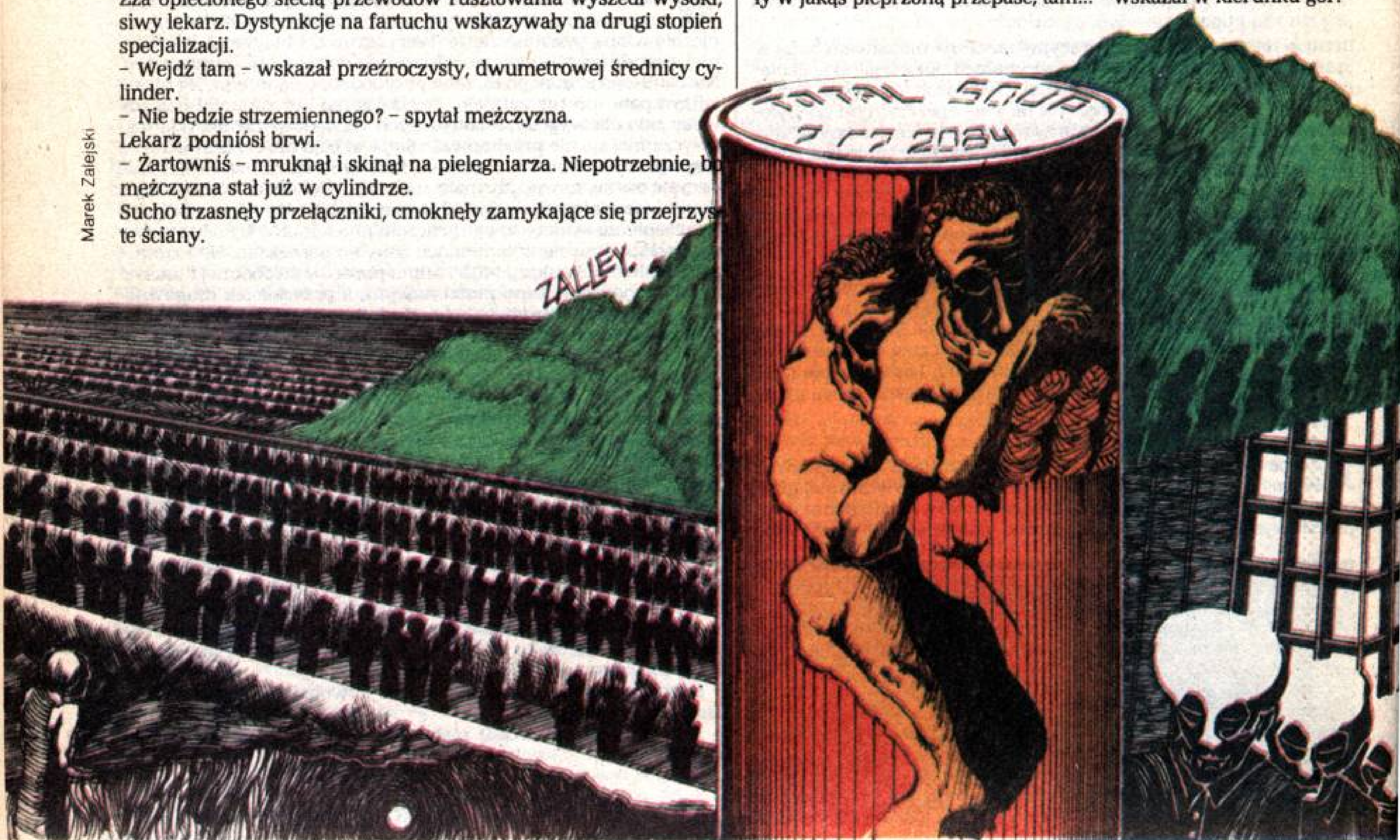
Darosław Jerzy Toruń

„Na razie nie boli" – pomyślał mężczyzna.
Ostro jeszcze przed sekundą rysujące się kontury przyrządów poczęły mięknąć, rozpływać się. Sala bladła, gubiła się w szybko gęstniejącej, szarej mgle. Unosił się, leciał. Zagubiły się kierunki, zmysły, myśli. Pustka. Nicość.

Leżał na trawie i czuł, jak wilgoć przez kurtkę i spodnie wgryza mu się w kości.
– Trzeba wstawać – usiadł.
– Przecież gdzieś w końcu dojdę – powiedział do swoich butów.
Pokazały mu język.
Znów szedł, jak przez ostatnie dni, bez celu, nieznaną okolicą. Przełęcz, zejście w dolinę, szemrzący po kamieniach strumień, nocleg na posłaniu z gałęzi, w górę, w dół i znowu w górę. Kolejna przełęcz...
Na wzgórzu, odcinając się od tła jasnego nieba, siedział człowiek. Siedział na poboczu, nieruchomo, jakby był świadkiem powstawania tej drogi i miał zamiar doczekać, aż zapomniana, zarośnie trawą.
Zwolnił. Zaszurał butami, każdym krokiem wzbijając mały obłoczek kurzu.
Stopniowo, w miarę wchodzenia na wzgórze, widział coraz wyraźniej. Wymięta, szara kurtka, narzucona na gołe ciało. Równie szare, brudne i poplamione spodnie. Bose stopy. Obok rzucone niedbale stare, rozlazłe buty. Bez sznurowadeł. Z młodej, niegolonej od dłuższego czasu twarzy patrzyły czujne oczy.
– Masz coś do jedzenia? – głos był zachrypnięty, trochę bełkotliwy.
Usiadł obok, sięgnął do torby, wyciągnął chleb i cebulę. Miał wrażenie, że dla mężczyzny świat ograniczył się do tej odrobiny pożywienia.
Ostatnie okruchy zostały starannie zlizane z palców i dłoni. Szybkie spojrzenie na torbę.
– Nie masz więcej?
– Mam.
– To daj!
– Już jadłeś. Co się stało z twoimi zapasami?
Mężczyzna nie starał się ukryć rozczarowania.
– Zgubiłem – wciąż patrzył na torbę, na razie nieosiągalną. – Spadły w jakąś pieprzoną przepaść, tam... – wskazał w kierunku gór. –

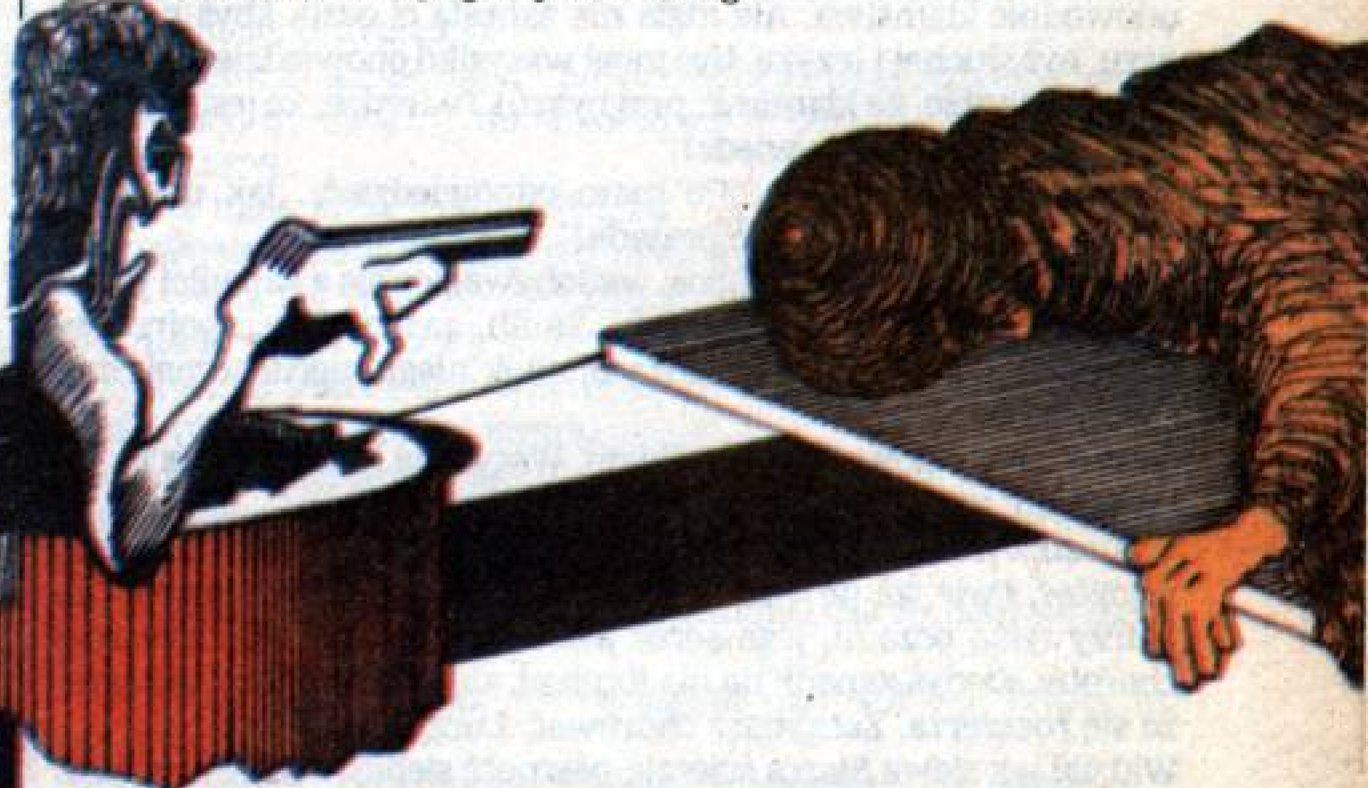
– No, zbieraj się! Już czas.
Mężczyzna wziął głęboki wdech i ścisnął mocno kciuki.
Lekarz prowadził go inną niż zwykle drogą, jakby chciał podkreślić wyjątkowość dzisiejszego dnia. Szli korytarzami, na ukos przez dziedziniec, potem obok budynku administracyjnego. Kiedy stanęli przed Halą Rekreacji, lekarz szepnął coś do mikrofonu. Drzwi rozsunęły się.
– Denerwujesz się?
Mężczyzna skinął głową.
– Nic dziwnego! – lekarz roześmiał się głośno.
Mijali znajome sale i mężczyzna zaglądał w każde otwarte drzwi.
– Często tu bywałeś?
– Wystarczająco – odpowiedział.
– Może już więcej tu nie przyjdziesz.
– Może – a w myślach – „Mam nadzieję!"
Wreszcie doszli do drzwi tej właściwej sali.
– Tu cię zostawiam. Dasz to tym w środku – wcisnął w dłoń mężczyzny płytkę identyfikacyjną. – Baw się tam dobrze! – znów się zaśmiał, a potem dodał: – Tylko nie zawal, szkoda by cię było.
Gdy odszedł kilkanaście kroków, drzwi się rozsunęły. Mężczyzna wszedł do środka. Położył płytkę na wyciągniętej dłoni pielęgniarza i z zainteresowaniem rozejrzał się po sali. Aparaty, przyrządy, wskaźniki...
– 54812 – powiedział pielęgniarz. Sięgnął do stojącej przy drzwiach szafy i wyjął płócienną torbę. Podał ją mężczyźnie.
Zza oplecionego siecią przewodów rusztowania wyszedł wysoki, siwy lekarz. Dystynkcje na fartuchu wskazywały na drugi stopień specjalizacji.
– Wejdź tam – wskazał przeźroczysty, dwumetrowej średnicy cylinder.
– Nie będzie strzemiennego? – spytał mężczyzna.
Lekarz podniósł brwi.
– Żartowniś – mruknął i skinął na pielęgniarza. Niepotrzebnie, bo mężczyzna stał już w cylindrze.
Sucho trzasnęły przełączniki, cmoknęły zamykające się przejrzyste ściany.

Marek Zalejski



A ty skąd wiesz, że miałem zapasy? Kim ty w ogóle jesteś?
– Nazywam się John Smith. Przyjrzyj mi się. A potem sobie.
Spojrzenie prześliznęło się po kurtce, spodniach, butach.
– Z mgły? – głos był słaby, niepewny.
– Tak – odpowiedział – Ty też, prawda? Co pamiętasz?
Mężczyzna wstał gwałtownie. Zaczął chodzić, kilka kroków tam, kilka z powrotem.
– Nic nie pamiętam – powiedział w końcu. – Co za cholerna sytuacja! Nic nie pamiętam...
Nastąpił na jakiś ostrzejszy kamień, syknął z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze.
– Włóż buty, bo porozcinasz sobie stopy.
– Nieważne! – ukląkł przed Smithem i złapał za poły jego kurtki. – Słuchaj, znalazłem się w górach... Ani skąd się tam wziąłem, ani po diabła wlazłem w tę mgłę i czy w ogóle właziłem – nie wiem. Nie wiem co robiłem przedtem i nie wiem co mam robić teraz! Nazywam się Robert Jones i mam coś do zrobienia – tyle wiem! Szedłem przed siebie i znalazłem się tutaj. Miałem dość, usiadłem, żeby... – zamilkł nagle, jakby sobie coś przypomniał.
Skoczył w bok, w stronę torby z jedzeniem, złapał ją i potoczył się kilka metrów.
– Żeby zdechnąć! – krzyknął, zrywając się na nogi. – Od dwóch dni nic nie jadłem!
Smith spokojnie patrzył, jak na jego twarzy pojawia się zdumienie, potem złość.
– Tu nic nie ma! Mówiłeś, że jeszcze masz!
Rzucił torbę na ziemię, podszedł i stanął nad Smithem.
– Zdążyłeś schować! Gdzie? – zacisnął pięści. – Mów!
– Niczego nie schowałem. Przed chwilą zjadłeś resztkę.
Smith zastanawiał się, czy tamten zdecyduje się go kopnąć. Jednak nie... Odwrócił się, podszedł do swoich butów. Nie schylając się wsunął w nie stopy.
Smith patrzył za nim długo, aż zgarbiona sylwetka z rękami w kieszeniach skryła się za następnym wzniesieniem. Potem wyciągnął się z zadowoleniem na trawie.

Obudził go tętent końskich kopyt. Uniósł nieco głowę i spojrzał w dół, na drogę. Dwóch jeźdźców, czarne peleryny, czarne, przykrywające górną połowę twarzy hełmy, wysokie, kare konie...
„Po co się chowam?" – myślał, czołgając się precz od drogi i tuląc w jakimś zagłębieniu.
Przegalopowali obok, słońce błysnęło na pancerzach pod pelerynami. Wiatr przyniósł z drogi kurz, podniesiony końskimi kopytami.
Leżał jeszcze chwilę, potem wstał i wrócił na drogę.
– Być może straciłeś w ten sposób dobry posiłek i parę informacji – powiedział, patrząc na wędrujący nad łąką warkocz pyłu.
– A może lepiej... – ruszył przed siebie.
Las. Zobaczył na horyzoncie ciemne pasmo i zrezygnował z myśli, że w ciągu najbliższych godzin dojdzie gdzieś, gdzie mógłby otrzymać jedzenie i kawałek dachu nad głową.
Słońce, nabrzmiewając czerwienią, chyliło się już ku zachodowi. Dotarł do pierwszych drzew. Spojrzał w przecinkę, którą biegła droga i zapomniał o głodzie. Znów zobaczył jeźdźców.
Leżeli ułożeni sztywno w poprzek traktu. Podszedł bliżej. Spod czarnego, wgniecionego z przodu hełmu wyglądała nieco tylko jaśniejsza plama. Metr dalej leżał drugi. Długa, gruba strzała przeszyła jego szyję idealnie z przodu. Górna połowa ciała była przechylona na bok, jakby jeździec chciał przyjrzeć się śmiałkowi, który odważył się zakłócić jego spokój.
Patrzył. Bez myśli, bez uczuć, był tylko oczami. Musi coś zrobić... Pójść...
– To nie... To nie jest dobre miejsce na nocleg. – Obszedł leżące ciała.
– Stój! Nie ruszaj się! – to nie był jego głos. To mogły mówić drzewa.
– Jones? Co się wygłupiasz?
Z lasu wyszedł mężczyzna. To nie był Jones. Nie miał prawej ręki. Lewa pewnie trzymała kuszę.
– Nie znam żadnego Jonesa – powiedział. – Kim jesteś?
Dobre pytanie.
– Nazywam się Smith. Idę od gór. To wszystko, co o sobie wiem.
Mężczyzna studiował jego twarz, ubranie. Przez chwilę zatrzymał wzrok na sflaczałej torbie.
– To niewiele – powiedział w końcu. – Jaki jest twój stosunek do Słowa?
Smith nie zrozumiał.
– Jakiego słowa? – spytał i zauważył, że mężczyzna uśmiecha się, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.
– Jesteś głodny?
Po obu stronach drogi pojawiło się pięć... sześć... osiem... sylwetek. Nieruchome, bezszelestne zjawy, nieco tylko ciemniejsze od tła.
– Idziemy – mruknął Jednoręki i wszedł w las.
Ciemne sylwetki zniknęły, wtopiły się w ciemność. Może ich w ogóle nie było.
Smith wahał się.
– Czekam – w dobiegającym spośród drzew głosie brzmiało zniecierpliwienie. To nie było zaproszenie. To był rozkaz.
Szli długo, godzinę, może trzy. Czas przestał istnieć. Smith uwierzył, że będą tak szli do końca świata, uwierzył, że nie istnieje nic, poza kluczeniem w ciemnościach między drzewami, a jedynym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek się zrodził jest sapanie Jednorękiego. Wpadał na drzewa, co kilka kroków potykał się o korzenie, o leżące na ziemi suche gałęzie.
Przebijające przez gęstwę światło wywoływało tylko zdziwienie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że doszli do celu. Jednoręki gdzieś zniknął. Był sam z tym migotliwym światłem. Szedł w jego kierunku. Drzewa nagle zostały z tyłu i zobaczył wysokie ognisko. Wokół niego, wyrwany z ciemności czerwonym blaskiem siedział krąg milczących, nieruchomych postaci. Jedna z nich podniosła się i chybotliwy cień oparł mu się o stopy.
– Podejdź tutaj – to był głos Jednorękiego.



Zbliżył się i jego niedawny przewodnik wskazał mu miejsce obok siebie. Usiedli jednocześnie. Drugi sąsiad był stary. Długie, siwe włosy opadały na skulone ramiona, nad zapadniętą piersią wisiała rzadka broda. Przygarbiony, nieruchomy, z oczami wbitymi w pląsające płomienie. Nie poruszył się, nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.
Poczuł dotyk dłoni na ramieniu. Odwrócił się. Patrzyły na niego wielkie, czarne oczy, błyszczące odblaskiem ogniska. Przez chwilę nie widział nic poza nimi. Do rzeczywistości przywołał go zapach pieczonego mięsa i świeżego chleba, unoszący się z dużej, drewnianej tacy. Podawała mu ją młoda dziewczyna.
– Jedz – powiedział Jednoręki.
Dziewczyna uśmiechnęła się, gdy nieco zbyt gwałtownie sięgnął po tacę. Podniosła się i odeszła w mrok.
Jadł i czuł na sobie wzrok siedzących wokół ognia mężczyzn. Mło-

dzi, przeważnie młodzi, tylko kilku nieco starszych. Czekali, aż skończy jeść.
– Kim jesteś? – Jednoręki powtórzył zadane na drodze pytanie.
– Nie wiem – odpowiedział.
– Skąd jesteś?
– Nie wiem. Idę od gór. Wyszedłem z mgły.
Przez krąg przebiegły szepty. Brodaty, potężny mężczyzna spytał:
– Jak udowodnisz, że nie jesteś szpiegiem Strażników?
Kilka głosów zamruczało z aprobatą. Smith poczuł ukłucie niepokoju. O co ten człowiek pyta?
– Nie potrafię tego udowodnić – powiedział w końcu. – Nie wiem nawet, kto to są Strażnicy. Nie wiem nic o tym kraju, tak jak nie wiem, gdzie się urodziłem. Nazywam się John Smith. To wszystko.
– Widziałeś Strażników. Tam, na drodze – powiedział Jednoręki. – Musieli cię minąć. Jak to się stało, że nie wpadłeś w ich ręce?
Niepokój rósł.
– Leżałem w trawie. Usłyszałem tętent koni, gdy jeszcze byli daleko i schowałem się obok drogi. Nie zauważyli mnie, przejechali obok.
I znów szepty.
– Twierdzisz, że nigdy przedtem nie widziałeś Strażników i nic o nich nie wiesz – Jednoręki spojrzał na niego pytająco.
– Tak.
– Wobec tego czemu się przed nimi chowałeś?
Zapadła martwa cisza. Czuł jak spojrzenia mężczyzn wpiły się w jego twarz, ciężkie, wyczekujące. „No właśnie, czemu... – pomyślał. – Chyba lepiej było tego nie robić..."
– Nie wiem. Po prostu zobaczyłem ich i pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeśli się ukryję.
„Kim są ci ludzie? Gdzie ja jestem?"
– Kto to jest Jones? Wymieniłeś to imię na drodze.
„Jones? Kto to jest Jones? Ach, Jones!"
– Nie widzieliście go? Musiał przechodzić drogą kilka godzin przede mną. Spotkałem go dziś rano. Jest taki jak ja. Nic nie pamięta, też wyszedł z mgły w górach.
– Nie widzieliśmy wcześniej nikogo takiego jak ty – powiedział Jednoręki.
– Przebiegłość Kapłanów nie ma granic – po drugiej stronie ogniska podniósł się wysoki młodzieniec. – Zabiliśmy wszystkich szpiegów, których na nas nasłali. Łatwo ich demaskowaliśmy. Zbyt gorliwie pluli na Słowo, zbyt głośno krzyczeli, że należy powiesić wszystkich Kapłanów i Strażników, zbyt wielkie łzy lali nad losem ludu. Teraz Kapłani wymyślili kogoś takiego jak ty, przybyszu. Kogoś, kto nic nie wie, niczego nie pamięta. W górach dzieją się dziwne rzeczy i łatwo jest powiedzieć, że nic się nie pamięta, że mgła zabrała pamięć. Temu nie można zaprzeczyć, nie można udowodnić kłamstwa. Ale mgła nie zabrała ci oczu, abyś patrzył, uszu, byś słuchał i języka, byś mógł wszystko opowiedzieć Strażnikom. Twierdzę, że kłamiesz, przybyszu! Twierdzę, że jesteś szpiegiem Kapłanów! Odpowiedz!
Słuchał, sparaliżowany. „Co mam odpowiedzieć... Jak udowodnić... Przecież to może być prawda!"
– Ja za ciebie odpowiem – głos, wydobywający się z zapadłej piersi był zadziwiająco mocny i czysty. Smith, zaskoczony, spojrzał w bok. Niemal zapomniał o siedzącej obok niego nieruchomej, milczącej postaci.
Starzec wstał, powoli i z wysiłkiem. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu, rozmowy i szepty umilkły.
– Łucznik jest młody i zapalczywy – powiedział. – Wszędzie widzi wrogów, rwie się do walki. Nienawiść do Kapłanów sprawia, że patrzy tylko oczami, jego serce jest ślepe. To początek strasznej choroby. Kiedyś zapadli na nią Kapłani, zarazili Strażników i zaraza się rozszerza. Zaczynasz chorować, Łuczniku.
Widział jak słowa Starca ścierają pewność siebie z twarzy modego człowieka.
– Ja wiem, że przybysz mówi prawdę. Wy się o tym niedługo przekonacie.
Starzec zamilkł i zamyślił się, zapatrzony w ogień. Nad polaną zawisła cisza. W końcu spojrzał na Smitha.
– Jesteś dziwnym człowiekiem, przybyszu – powiedział – bardzo dziwnym... Czuję w tobie obcość, jakiej dotychczas nie spotkałem. Jednocześnie mam wrażenie, że jesteś jednym z nas, jakbyś tu się wychował i szedł od początku tą samą, co my, drogą. Tacy jak ty tutaj nie trafiają. Nie gniewaj się, że jesteśmy podejrzliwi. Wkrótce zrozumiesz, dlaczego. Idź odpocząć, a jutro zadawaj pytania.
Starzec odwrócił się i odszedł w ciemność. Nikt się nie poruszył. Smith również siedział, nie wiedząc jak postąpić. Nikt już na niego nie patrzył. Mężczyźni zamknęli się w sobie, zamyślili.
Wiedział, że słowa Starca uratowały mu życie. Strach i poczucie zagrożenia były aż nadto realne. Jednak przez cały czas, gdzieś w podświadomości odsuwał się, dystansował od tego, co się wokół niego działo. Intuicyjnie czuł, że niebezpieczeństwo kryło się w nim samym, w niejasnych przypomnieniach, które kołatały się po głowie, w tym, co niosły ze sobą i w tym, czego się nie mógł z nich dowiedzieć.
Zaczął jeszcze raz powtarzać wszystko od początku. Raz, drugi, trzeci... Wciąż jednak obracał się wśród tych samych faktów i domysłów, niezdolny rozerwać zasłony przegradzającej wspomnienia.
Znów poczuł dotyk dłoni na ramieniu. Tym razem nie była to dziewczyna. Stał nad nim Jednoręki. Pogrążony w myślach, nie zauważył, że już niemal wszyscy odeszli od ogniska.
– Chodźmy – usłyszał.
W otaczającym polanę lesie świeciły prostokąty okien, gdzieniegdzie przesuwał się chybotliwy płomień pochodni.
Podeszli do zbudowanej z grubych pni chaty.
– Tu będziesz spał – powiedział Jednoręki. Odwrócił się i zniknął wśród drzew. Smith otworzył ciężkie, okute drzwi i wszedł do środka. Stół, na nim gruba świeca. Obok ława. Pod ścianą przykryte kocami łóżko. Łóżko... Już się nie rozglądał, nie szukał niczego innego.

Obudzono go. Wstał gwałtownie, mrużąc zaspane oczy. W sączącym się przez okna bladym świetle zobaczył nieznanego mężczyznę, siadającego za stołem.
– Jednoręki przeprasza, że kazał cię obudzić tak wcześnie – mężczyzna skłonił lekko głowę. – Z karczmy za lasem przysłano chłopca z wiadomością. Twój przyjaciel został złapany przez Strażników. Są tam i nie wyruszą wcześniej, niż w południe. Jednoręki pyta, czy chcesz go uwolnić?
– Mnie pyta? – Smith zdziwił się.
– Tak. Nam jest on obojętny. To jest twój przyjaciel i do ciebie należy decyzja. Jeśli zechcesz go uwolnić, pomożemy ci.
– To nie jest mój przyjaciel – powiedział.
– Jak uważasz... – mężczyzna podniósł się i podszedł do drzwi.
– To jednak nie znaczy, że chcę go zostawić w rękach Strażników. Będę wam wdzięczny za pomoc.
Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i skinął powoli głową.
– Przyjdź na polanę, jak będziesz gotowy – machnął ręką w kierunku stołu. Dopiero teraz Smith zauważył, że przyniesiono mu śniadanie. Obok leżało ubranie. Nie różniło się niczym od tych, jakie widział wczoraj na mężczyznach przy ognisku. Przy ścianie stała miska i wiadro wody.
Pół godziny później wyszedł. Wokół, w lesie, chaty podobne do tej, w której spędził noc tworzyły niemal wioskę. Pomyślał, że to niemożliwe, aby żyło tu tylko tych kilkudziesięciu mężczyzn, których widział wczoraj. Jak potwierdzenie zabrzmiał z którejś z chat krzyk dziecka, potem podniesiony głos kobiety. Wydeptaną w poszyciu ścieżką doszedł na polanę. Przy spopielałych resztkach ogniska stało kilkunastu mężczyzn. Zobaczył wśród nich Jednorękiego, Łucznika i swego porannego gościa.
– Witaj – powiedział Jednoręki. – Zdecydowałeś się uwolnić Jonesa?
Skinął głową.
– Tak. Chociaż nie jestem pewien, czy będzie z tego zadowolony.
Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu, zdumione.
– Jak to?
– On był w takiej samej sytuacji, jak ja. A ja ciągle nic nie wiem ani o was, ani o Strażnikach. Przekonałem się, jak traktujecie spotkanych na drodze wędrowców, ale nie wiem, jak to robią oni. W waszym świecie toczy się walka, ale nie miałem okazji dowiedzieć się, o co. A więc również nie wiem, po której stronie bym wystąpił w tej walce, gdybym znał wszystkie fakty.
– Mówiłem wam, że to zdrajca! – krzyknął Łucznik.
– Zamknij się! – warknął Jednoręki. Patrzył na Smitha, jakby coś ważył w myślach, nad czymś się zastanawiał.
– Starzec nie pomylił się co do ciebie – powiedział. – Z czasem wszystkiego się dowiesz, zobaczysz i wtedy sam ocenisz. Jestem

Darosław Jerzy TORUŃ

(ur. 1952) – absolwent Wydziału Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Były rzecznik prasowy Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, potem parkieciarz, od stycznia 83 pracownik działu zagranicznego naszego miesięcznika. Tłumaczy fantastykę angielską i radziecką; jako czytelnik najbardziej lubi fantasy. Sam pisze rzadko, ale jego opowiadanie „Historia z [illegible] zakończeniem" opublikowane w drugim tomie KAW-owskiej antologii „Spotkanie w przestworzach – 79" – wyróżnia [illegible]. Podobnie jak tam, i w nowszej noweli „54812 – [illegible] skłonności do social fiction. (mp)

pewien, że zostaniesz z nami. Teraz musimy już iść. To dla ciebie - wskazał leżącą u jego stóp kuszę, kołczan pełen krótkich, grubych strzał oraz długi nóż w skórzanej pochwie. - Umiesz się tym posługiwać?
Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Smith podniósł broń. Wiedział, że w świecie, z którego przyszedł, kusza należy do zamierzchłej przeszłości.
Szli już blisko godzinę, gdy podszedł do niego mężczyzna, który go obudził tego ranka.
- Nazywam się Pierwszy - powiedział. - Dlaczego powiedziałeś, że ten człowiek, którego idziemy uwolnić nie jest twoim przyjacielem?
- Jones? Nie pamiętam moich przyjaciół, ale to określenie kojarzy mi się z zaufaniem.
- Dlaczego w takim razie chcesz dla niego ryzykować życiem?
- Dlaczego jesteście gotowi mi pomóc?
Mężczyzna wzruszył ramionami.
- Dla nas Jones nie jest ważny. Nam zależy na wykorzystaniu jeszcze jednej okazji, by zmierzyć się ze strażnikami Słowa.
Smith zamyślił się.
- Jones to jedyny człowiek - powiedział w końcu - z którym jestem w jakiś sposób związany . Znaleźliśmy się tutaj w ten sam sposób i obaj mamy coś do zrobienia, coś, czego nie potrafimy sobie przypomnieć...
- Tak... Starzec cię zaakceptował bardzo szybko i właściwie bezwarunkowo. To było niemal dziwne.
Szli chwilę w milczeniu.
- Mówiłeś, że nie wiesz, jak postępują Strażnicy. Opowiem ci pewną historię. Wiele lat temu pojmali na drodze dwóch braci, idących do miasta w poszukiwaniu zarobku. Starszego zabili od razu, gdyż nie wiedział, co jest podstawą powszechnego szczęścia. Młodszego powlekli ze sobą i na rynku w mieście publicznie obcięli mu prawą rękę. By nigdy jej nie podniósł na prawowitych władców tego kraju. Od tamtego czasu minęło wiele lat. Teraz już nikogo nie wypuszczają żywego.
Smith odszukał wzrokiem idącego na czele grupy człowieka.
- Jednoręki jest waszym dowódcą? - spytał.
- Tak. W boju. Duszą jest Starzec.
- Co jest podstawą powszechnego szczęścia?
- Słowo.
- Słowo... powtórzył Smith. - Jak ono brzmi?
- Tak, jak je wypowiadają Kapłani. Za każdym razem inaczej i zawsze zgodnie z ich interesem.
Czoło oddziału zatrzymało się, czekając aż podejdą wszyscy. Jednoręki wydał rozkazy. Potem powiedział:
- Ktoś musi na chwilę zająć ich uwagę. - Patrzył na prześwitującą między drzewami karczmę, przysadzisty, rozległy budynek, odległy o kilkadziesiąt metrów od skraju lasu. Na wydeptanym wybiegu między drogą a frontem karczmy kilkunastoletni chłopiec oporządzał sześć wysokich, karych koni. Obok stał mężczyzna w czarnej pelerynie i zakrywającym połowę twarzy hełmie.
- Zrobię to - powiedział Smith.
Pochwycił kilka szybkich spojrzeń. Pierwszy niemal niedostrzegalnie skinął głową.
- Zostaw kuszę - powiedział Jednoręki. - Zastrzelą cię natychmiast. Obejdź karczmę łąkami od tyłu. Muszą myśleć, że idziesz od strony miasta. Najważniejszy jest Strażnik na zewnątrz. Musisz go zwabić do środka. Albo zabić.
Smith odłożył kuszę, nóż schował pod kaftan z grubej skóry. Poszedł skrajem lasu, oddalając się od drogi. Karczma zniknęła, skryta za nierównościami terenu. Wyszedł na łąkę. Zatoczył szeroki łuk, czołgając się kilkadziesiąt metrów, gdy prześwit między wzgórzami groził, że może zostać dostrzeżony z któregoś z okien. W końcu dotarł do drogi.
Szedł pewnym krokiem, środkiem traktu. Wkrótce był już widoczny i Strażnik przestał się przechadzać wokół koni. Stał nieruchomo, zwrócony w jego stronę.
„Ciekawe, czy w moim świecie ludzie się mordują i czy ja już zabijałem? Może nawet to lubię..."
Był już bardzo blisko. Strażnik najwyraźniej nie obawiał się nieuzbrojonego, samotnego wędrowca. Stał i czekał.
Smith zatrzymał się kilka kroków przed nim. Zauważył, że skryta pod peleryną ręka trzyma długi, rzemienny pejcz. Z karczmy dobiegł głośny śmiech, jakaś rozmowa.
- Witam, panie - powiedział cicho. Musiał coś powiedzieć - Pozwól mi, proszę, wejść do karczmy i posilić się. Jestem zmęczony drogą z miasta.
Pejcz świsnął w powietrzu i owinął się Smithowi wokół łydek. Strażnik szarpnął i ziemia stanęła dęba.
- Na kolana, chamie - usłyszał warknięcie. - Przypomnę ci, jak się okazuje szacunek!
Znów świst i smagnięcie ogniem przez pierś.
„Jestem bity!" - myślał... i nagle furia, świat pociemniał, odpłynął, była tylko czarna sylwetka, ręka uniesiona do następnego ciosu, i gdzieś na skraju świadomości - żeby tylko tamci nie usłyszeli! Straszny wysiłek mięśni, skok, stopy wbite w twardą pierś, czarny kształt na ziemi. Nóż! Gdzie uderzyć? Ręka wpychająca krzyk z powrotem do gardła, krew! Krew tryskająca z rozpłatanej szyi... Świat wrócił na swoje miejsce i Smith podniósł się z leżącego bezwładnie ciała, które przed chwilą było Strażnikiem. Spojrzał na zaciśnięty kurczowo w dłoni nóż, nagle pokryty rdzą, potem na głowę w hełmie, oddzieloną niemal od tułowia. Żołądek powędrował w górę i wyrwał się przez zęby. „Chyba jednak tego nie lubię..." - myślał, pochylony, ciężko oddychając. Z karczmy wciąż brzmiał śmiech, pokrzykiwania... „Niczego nie słyszeli. To zadziwiające, ale oni niczego nie słyszeli... Jakby się nic nie stało..."
Od lasu biegło kilkunastu mężczyzn. Chłopiec, czyszczący przed chwilą konia, wlókł za nogi martwego Strażnika gdzieś w bok, za karczmę.
Smith podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do środka. Sień i następne drzwi. Duża izba, zastawiona stołami, naprzeciw szynkwas, jakieś beczki.
- To on! On wszystko powie... potwierdzi, że mówię prawdę! Ty, powiedz im, że jestem niewinny! - spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos. Jones... Przywiązany do podtrzymującego sufit słupa, nagi tors poznaczony czerwonymi pręgami.
- No, powiedz im! Panowie, zapytajcie go, on też przyszedł z gór! Tak jak ja! Tak samo jak ja!
Żaden z siedzących za stołem mężczyzn nie poruszył się. Podniesione do ust dzbany zamarły wpół drogi, pięć par oczu patrzyło z bezbrzeżnym zdumieniem.
Smith też był zdziwiony. Strażnicy byli łysi. Gołe, gładkie czaszki, błyszczące w padającym z okien świetle, były niemal śmieszne. Niesamowite oblicza zniknęły wraz z hełmami, wpatrującymi się teraz ślepymi szczelinami w sufit. To było pięciu zwykłych, ubranych na czarno mężczyzn, popijających wino w przydrożnym zajeździe.
Smith spojrzał na Jonesa. To nie byli zwykli mężczyźni.
- No, powiedz im!
Postawiony nagle dzban nie wytrzymał i rozprysnął się w kawałki, rozlewając po stole zawartość. Przewrócona ława uderzyła głucho o podłogę. Świst bata. Tym razem urwany, zagłuszony krzykiem. I znów ziemia stanęła na głowie. Ostry ból w tyle czaszki. I ciemność.

Odzyskał przytomność, oblany wiadrem zimnej wody. Było już po wszystkim. Dwaj Strażnicy, siedzący tyłem do okna nie zdążyli wstać i teraz spali, oparci na stole. Z pleców sterczały im krótkie bełty. Trzech pozostałych leżało na podłodze. Nie miał ochoty im się przyglądać.
- Myślałem, że już po tobie - powiedział Pierwszy, gdy wychodzili z karczmy, by dołączyć do pozostałych. - Leżałeś przy drzwiach, cały we krwi...
- To nie moja krew - odpowiedział.
Na zewnątrz, na wybiegu Jones poklepywał po plecach Łucznika.
- Nie wiem, jak wam się odwdzięczę - mówił. - Oni byli straszni. Bili mnie, na pewno by mnie zamordowali. Chcieli, żebym się przyznał, że jestem zbrodniarzem, że występuję przeciwko czemuś... nie pamiętam już czemu...
Łucznik odsunął jego rękę.
- Przeciwko Słowu - powiedział. - To my jesteśmy tymi zbrodniarzami.
Zauważył wychodzącego z karczmy Smitha i uśmiechnął się szeroko.
- Umyj się - powiedział. - Wystraszysz nam kobiety. Wyglądasz jak upiór.
- Ooo! - wykrzyknął Jones. - To ty! To prawda, jak wszedłeś to wyglądałeś strasznie, jakbyś kogoś zaszlachtował! Aż zaniemówiłam z wrażenia.
- Naprawdę? - spytał.
Łucznik znów się uśmiechnął i odszedł w stronę koni. Smith dopiero teraz zauważył, że strzały w przytroczonym do pleców Łucznika kołczanie są długie i grube. Jak ta, którą widział dzień wcześniej, na drodze, w gardle Strażnika.
- No, a potem ten skurwysyn złapał cię batem za nogi i szarpnął. - Jones chwycił go za ramię, jakby się bał, że Smith mu ucieknie. - Rąbnąłeś głową o ławę, aż mnie stanęły świeczki w oczach. A potem oni zaczęli strzelać z okien i wpadli do środka... Gładko ich załatwili, mówię ci! - ściszył nagle głos. - Słuchaj, a kim oni są, ci ludzie? Dlaczego zabili tych czarnych?
Smith uwolnił ramię z uścisku.
- Zabili Strażników, żeby cię uwolnić - powiedział. - A kim są?

Dowiesz się niedługo, sami ci powiedzą.
Podszedł do nich Jednoręki.
– Idź się umyj – powiedział. – Musimy wracać.
Studnia była z tyłu, za karczmą i gdy Smith,, jeszcze ociekający wodą, wrócił na wybieg, zauważył, że został tylko jeden koń. Pozostałe zniknęły, a wraz z nimi większość mężczyzn. Zostali tylko Jednoręki, Łucznik i Pierwszy. Jones siedział sztywno na koniu. Na głowie miał czarny kaptur.
– Poniesie was obu – powiedział Jednoręki.
Smitha bolała głowa i wcale nie miał ochoty odpowiadać na pytania.
– Nie, pójdę pieszo – powiedział.
– Dasz radę? Jak chcesz. – Jednoręki wzruszył ramionami. – Ktoś jednak będzie musiał z nim pojechać. Pierwszy, może ty?
Łucznik wziął konia za uzdę i ruszyli w stronę lasu. Przez całą drogę do osady żaden z nich nie powiedział ani słowa. Z początku Jones usiłował protestować przeciwko zawiązywaniu mu oczu, potem zaczął wypytywać Pierwszego, ale nie doczekawszy się odpowiedzi i on w końcu umilkł. Milczał też, gdy już dojechali na miejsce i później, w czasie obiadu, który wszyscy mężczyźni jedli wspólnie, przy wyniesionych na polanę długich stołach. Dopiero gdy Jednoręki polecił im obu odpocząć do wieczora i znaleźli się sami w chacie, w której Smith spędził noc, powiedział:
– Słuchaj, nie podobają mi się ci ludzie. Wiesz, że oni mi siłą nałożyli ten kaptur? Powiedzieli, że nie mogę widzieć drogi do ich kryjówki, bo potem mógłbym się załamać i pokazać ją tym Strażnikom. Też coś, ja – załamać się! Nie ufają nam, to jasne!
Smith udał, że śpi. Po chwili rzeczywiście spał.

Obudził ich Jednoręki.
– Chodźcie, już czas – powiedział.
Było ciemno, tylko od strony polany rozlewał się czerwony blask. Ognisko. Smith zauważył na jego tle idącą ku nim smukłą, dziewczęcą postać. Minęła ich w milczeniu. Jones pochylił się i szepnął:
– Fajna dupcia. Warto by ją tego... wypróbować.
Jednoręki odwrócił się, złapał Jonesa za połę kurtki i przyciągnął do siebie.
– To moja córka – powiedział. – Nie waż się do niej zbliżyć.
Jones chrząknął coś, przestraszony.
Podeszli do ogniska, otoczonego kręgiem milczących mężczyzn, zapatrzonych w płomienie. Smith zauważył, że Pierwszy przywołuje go ręką, wskazując miejsce obok siebie. Usiadł i patrzył, jak Jones usiłuje przyoblec twarz w spokój, ja wierci się między wyprostowanym Jednorękim a Starcem, błądzącym myślami gdzieś, w sobie tylko znanych światach.
– Kim jesteś?
Jones zaśmiał się niepewnie.
– Po co pytasz? Przecież wiecie. On musiał wam powiedzieć – machnął ręką w stronę Smitha.
– Nic nam nie powiedział. Kim jesteś?
– Jak to wam nie powiedział? Nic im o mnie nie mówiłeś?
Smith otworzył usta, ale Jednoręki podniósł dłoń, nakazując milczenie.
– Pytania będziesz zadawał później. Teraz odpowiadaj. Kim jesteś?
Jones wzruszył ramionami.
– Jestem... Nazywam się Robert Jones.
Nagle wstał i uśmiechnął się szeroko. Rozłożył ręce, jakby chciał objąć i przygarnąć do piersi cały świat.
– Jestem waszym przyjacielem – stwierdził. – Uwolniliście mnie, przyjęliście do swego grona... Nie zawiodę waszego zaufania! Przydam się wam, na pewno wam się przydam. Będziemy razem walczyć przeciwko złu, które rozpanoszyło się w waszym świecie...
Przemawiał. Smith patrzył na niego ze zdumieniem.
– Jakiemu złu? – spytał Jednoręki i Jones zawahał się.
– No, złu... w ogóle... Ci czarni, Strażnicy, oni muszą być źli. Zaczęli mnie bić zupełnie bez powodu. Siedziałem i jadłem, a oni przyszli i zaczęli mnie bić. Jak tak można? – znowu się odnalazł i pałał świętym oburzeniem. – Potem przyszliście wy i pomściliście mnie. Jestem wam bardzo wdzięczny. A jak ja mówię, że jestem wdzięczny, to znaczy, że można na tym polegać. Nie rzucam słów na wiatr!
Smith przestał słuchać. Nachylił się w bok i szepnął:
– Dlaczego używacie takich imion? Starzec, Jednoręki, Łucznik... Nie macie innych, prawdziwych?
– Mamy – usłyszał szept – ale nikt ich nie pamięta. Zostały tam... w popiołach naszych domów...
– A ty? Dlaczego mówią na ciebie Pierwszy?
– Pod zamkiem Kapłanów są kazamaty. Nikomu przede mną nie udało się stamtąd uciec – w jego głosie brzmiała duma. – Po mnie chyba też nie. Jestem pierwszy i chyba jedyny. Opowiem ci kiedyś tę historię.
– A Kapłani? Kim oni są?
Pierwszy nie odpowiedział. Położył palec na ustach. Smith zauważył, że Jones zdążył usiąść, a teraz podrywa się znowu i pochyla nad Starcem.
– Chce pan wstać? – pyta. – Pomogę panu...
Starzec nie dostrzegł wyciągniętego ramienia. Wyprostował się. Nad ogniskiem, tak jak wczoraj, zapadła wypełniona oczekiwaniem cisza.
– Twierdzisz, że jesteś taki jak on – powiedział Starzec i jeszcze raz czystość i siła jego głosu zdumiała Smitha – ale to nieprawda. Jesteś inny. Nie ma w tobie nic, poza troską o siebie. Nasze drogi są różne. Musisz odejść. Jutro dostaniesz jedzenie, ubranie i pieniądze, które pozwolą ci przeżyć w mieście, póki nie znajdziesz swojego miejsca w naszym świecie.
Starzec odwrócił się i odszedł. Jones przeciągnął zdumionym wzrokiem po twarzach wstających mężczyzn.
– Co to znaczy? – zwrócił się ku Jednorękiemu. – Co ten stary mówi?
– Słyszałeś. Starzec powiedział, że musisz odejść. Jutro rano zostaniesz odprowadzony na drogę.
– Wyrzucacie mnie? Żebym znowu wpadł w łapy tych czarnych? – Niemal krzyczał. – To po co mnie ratowaliście, co?
Mężczyźni zaczęli się rozchodzić. Smith stanął z boku. Słuchał.
– Dasz sobie radę – powiedział Jednoręki. – Tacy jak ty łatwo nie giną. Unikaj tylko Strażników na drodze, a w mieście już dasz sobie radę. Teraz idź spać.
Jonest zauważył Smitha.
– To świństwo! – krzyknął. – Skazują mnie na pewną śmierć! Powiedz im, że nie mogą tego zrobić!
– Uspokój się – powiedział Smith. – Po pierwsze, wcale cię nie skazują na śmierć. Gdyby chcieli cię zabić, już byłbyś trupem. A po drugie – jesteśmy tylko gośćmi. To jest ich świat i mogą tutaj robić, co im się podoba.
– Ach, to tak... – Jones nagle wszystko rozumiał. – A ja głupi myślałem, że my powinniśmy trzymać się razem, pomagać sobie. Widzę jednak, że już się z nimi dogadałeś.
Smith odwrócił się i poszedł w stronę chaty.

Któregoś dnia, chyba w miesiąc po odjeździe Jonesa, Jednoręki zaproponował mu, a poszedł razem z nimi i Pierwszym do miasta. Ucieszył się. Miasto ciągle przewijało się w rozmowach, ale jeszcze nie było okazji, aby je obejrzał.
Poszli pieszo, bez broni. Szli długo lasem, by ominąć karczmę, w której Strażnicy wystawili silny i bardzo czujny posterunek. Mijało południe, gdy Jednoręki powiedział:
– Dochodzimy.
Pierwsze zauważone zabudowania zrobiły na Smisie przygnębiające wrażenie. Parterowe, drewniane chałupy, powykrzywiane i brudne, bezgłośnie krzyczące w niebo dziurawymi dachami. Niemal przed każdymi drzwiami siedzieli równie starzy i zgrzybiali ludzie. Puste oczy odprowadzały ich, gdy przechodzili obok, nieprzyzwoicie młodzi i silni.
– To przedmieścia – powiedział Pierwszy. – Mieszkają tu starcy i tacy, którzy nie mogą pracować. Przychodzą i zajmują pustą chatę. Potem umierają. Wtedy na ich miejsce zjawiają się inni.
– Dziwne – mruknął Jednoręki.
Smith spojrzał na niego ze zdziwieniem.
– Co dziwne?
– Nigdzie nie widać Strażników. Zwykle chociaż kilku się tu kręci.
Rzeczywiście. Nie tylko tutaj, na przedmieściu, ale również w ciągu kilku godzin marszu drogą nie zauważyli ani jednej czarnej postaci.
– Pusto też jakoś... Nie ma przechodniów.
Przyspieszyli kroku. Nędzne chałupy ustąpiły miejsca porządniejszym domom, te z kolei piętrowym kamieniczkom. Weszli w wąskie, brukowane uliczki. I wciąż tylko ich krok odbijał się od ścian i tylko ich słowa zakłócały ciszę. Pozamykane drzwi i okna, ślepiące drewnianymi żaluzjami witryny sklepów, opuszczone, tulące się do murów kramy. I nagle daleki szmer tysięcznego chóru.
– To z centralnego placu – powiedział Pierwszy.
Szmer nasilał się i w pewnej chwili Smith wyraźnie usłyszał: „Prowadź nas...", a potem pojedynczy głos, mówiący coś, czego już nie mógł zrozumieć.
– Co to może być? – spytał.
– Zobaczysz – powiedział Jednoręki. – Impreza. Uroczystość. Oni bardzo to lubią. Na szczęście rzadko mają okazję urządzać.
I znów: „prowadź nas...". Szli szybko, niemal biegli. Stukot kroków przeszkadzał Smithowi słuchać. Wkrótce jednak usłyszał.
A potem zatrzymał się, osłupiały. Wyszli na plac. Ogromny, ogra-

niczony z trzech stron frontami wąskich kamieniczek, z czwartej zamknięty potężny, gładkim murem, wybrukowany zgiętymi plecami tysięcy ludzi. Klęczeli, dotykając czołami ziemi. Po drugiej stronie, pod murem, czerń i plama czerwieni. Zwarta ściana setek Strażników. Nad nią, wyniesiona drewnianymi rusztowaniami, duża platforma. I kilkanaście odwróconych postaci w długich, karmazynowych szatach. Ręce wyciągnięte w stronę muru. A tam ołtarz, złote promienie, bijące od wielkiej, oprawnej w czerwień księgi.
– Nie stercz tak – obudziło go szturchnięcie. – Chcesz, by nas zauważyli?
Podbiegli pochyleni i wtopili się w ostatni rząd klęczących.
– I daj nam swoją mądrość – powiedział głos i wszystkie plecy się wyprostowały – byśmy nie błądzili, dążąc ku przepowiedzianemu w Tobie szczęściu. O Wielkie Słowo...
– Prowadź nas... – zamruczał tłum i znów zniżył czoła ku ziemi.
– I daj nam swoją siłę, byśmy kruszyli naszych wrogów na drodze ku przepowiedzianemu w Tobie dobru. O Wielkie Słowo...
– Prowadź nas...
– I wspieraj naszych nauczycieli, Twoich Kapłanów, by światło ich geniuszu rozjaśniało mroki naszej niewiedzy. O Wielkie Słowo...
– Prowadź nas...
Zginał się i prostował wraz z innymi.
– Wstańcie! – powiedział głos.
Tłum podniósł się. Pokasływania, szuranie nogami, przyciszone rozmowy. Twarze ponure, niektóre zawstydzone.
– Idziemy do przodu – szepnął Pierwszy.
Rozgarniali ludzi, przepychali się i prześlizgiwali, aż dotarli do jednego z pierwszych rzędów, zaledwie kilkanaście metrów od Strażników, odgradzających tłum od platformy. Kapłani odwrócili się, jeden wystąpił do przodu. Pulchny człowieczek o nalanej, usianej żyłkami twarzy i błyszczącej potem łysej czaszce. Czerwona tunika wypchnięta potężnym brzuchem. Uniósł dłoń, jakby w geście pozdrowienia. Część Strażników przeformowała się i utworzyła szpaler od schodków na platformę ku podnóżu muru. Smith zauważył tam małe drzwi. Otworzyły się i wypluły kolejno trzech mężczyzn ze związanym z tyłu rękoma. Stali przez chwilę, mrużąc oczy, oślepieni zbyt jaskrawym światłem. Popchnięci przez Strażników ruszyli w stronę platformy, podeszli do schodów i, ciągle poszturchiwani, zaczęli na nie wchodzić. Widział ich twarze, zarośnięte i brudne. Nie miał wątpliwości. Ci ludzie szli na śmierć. Weszli i klęknęli na skraju platformy, twarzami do tłumu. Pulchny Kapłan stanął nad nimi.
– Wielkie Słowo niesie mądrość naszych przodków – powiedział. Jego głos miał dziwną siłę, dobiegał zewsząd. „Głośniki?" – pomyślał Smith. – Wskazuje nam drogę, po której wszyscy chcemy kroczyć. Jest to jedyna słuszna droga. Tylko ona może nas zaprowadzić ku przyszłości naszych marzeń, ku życiu bez problemów i pytań, w którym każdy będzie znał swoje miejsce.
Kapłan uniósł rękę i szerokim gestem wskazał klęczących przed nim mężczyzn.
– Są jednak tacy, którzy tego nie rozumieją! – Mówił spokojnie, wyraźnie rozdzielając słowa. – Patrzcie na tych ludzi! Patrzcie na twarze zbrodniarzy!
Wydał rozkaz i tłum mu się podporządkował. W tysiącach zwróconych ku platformie oczu nie było jednak potępienia. Promieniowały skupieniem, godnością, odwagą – uczuciami jakby przejętymi z tych trzech posiniaczonych twarzy. A może własnymi, płynącymi z głębi serc i umysłów...
– Podczas gdy my – mówił Kapłan – w pocie czoła trudziliśmy się, by budować, według wskazówek Wielkiego Słowa, życie godne i sprawiedliwe, ci ludzie – patrzcie na nich! – knuli w leśnych norach swoje brudne spiski, układali perfidne plany. Burzyć i rabować, siać zamęt, grozę i anarchię – takie były ich zamiary!
– Hańba im! – pojedynczy krzyk wyrwał się gdzieś spośród tłumu, blisko, z boku.
– Śmierć im! – podjęło kilka gardeł.
Smith wzdrygnął się. Ten okrzyk... znajomy głos... Wspiął się na palce, usiłując wyłowić krzyczących spośród morza głów. „Zdawało mi się..." – z powrotem zwrócił się ku platformie.
– Oto głos ludu! – zagrzmiał Kapłan – Tak, hańba im! Śmierć im! Nasi przodkowie, zostawiając nam Wielkie Słowo, w swej niezwykłej dalekowzroczności przewidzieli, że narodzą się podli, podstępni wrogowie, burzyciele spokoju naszych domów. Ale przewidzieli też odpowiednią dla nich karę i zostawili nam jej narzędzie!
Jeden ze stojących z tyłu Kapłanów zbliżył się do ołtarza i coś z niego zdjął. Podszedł do mówcy, podając mu błyszczący wypolerowaną powierzchnią przedmiot.
Smith znał nazwę i przeznaczenie tego przedmiotu. Rewolwer. Zwykły, bębenkowy rewolwer.
Pulchny Kapłan ujął kolbę.
– Oto ono! – powiedział. – Narzędzie kary, zostawione nam przez wielkich twórców Słowa! Śmierć buntownikom!
Lufa opadła i wskazała tył głowy jednego ze skazanych. Nie odwrócił się, nie spojrzał. Twarz zacięta, patrząca w tłum niewidzącymi oczami.
Huk wystrzału, ciało nagle drgające, przechylające się w bok. I cisza nad placem, złamana przetaczającym się echem.
Przestraszone oczy drugiego. Usta rozwarte jak do krzyku. I strzał.
Potem jeszcze jeden. Ostatni.
Cisza. Łzy płynące po twarzach.
– Taki koniec czeka wszystkich, którzy sprzeciwią się Słowu – powiedział Kapłan.
– Hurra! – znów ten głos, gdzieś z tłumu, blisko.
Smith drgnął. Teraz nie miał wątpliwości. To był głos Jonesa. „Ty gnido..." Rzucił się w bok, brutalnie roztrącając ludzi. Chwycił oburzone spojrzenia. Okrzyki bólu. Nieważne! Parł naprzód, myśląc tylko o jednym. I wreszcie go zobaczył. Jones stał sam, pośrodku kilkumetrowej, pustej przestrzeni. Ludzie wokół, odsunięci jak od zadżumionego, głowy spuszczone, wzrok wbity w ziemię.
– Ty skur... – skoczył.
Okrągłe, zdumione oczy... Palce wreszcie czujące szyję, mocno! Żeby zadusić...
I wtedy przerażona twarz przed nim zaczęła blaknąć, rozmywać się. Świat wokół niknął, gęsta szara mgła zjadała plac, domy, ludzi. Palce chwytały już tylko powietrze. Znajome uczucie... Wirowania. Pustka. Nicość.

Klucz zachrobotał w zamku i drzwi, skrzypiąc dawno nie smarowanym mechanizmem, rozsunęły się.
– Chory 54812! Do Ordynatora!
Leżący na pryczy mężczyzna podniósł się niespiesznie. Nareszcie! Skończy się niepewność, miotająca nim od dwóch dni, od momentu, gdy wyszedł z mgły do pełnego przyrządów pomieszczenia w Hali Rekreacji. Przeciągnął wzrokiem po odrapanych tapetach, popatrzył na prycze, na zepsuty, schowany tylko do połowy w ścianie kibel.
– Ruszaj się!
Minęli pogrodzone kratami korytarze i wyszli na dziedziniec. Mężczyzna spojrzał na ogromną, żelazną bramę w tworzącym bok dziedzińca murze. Patrzył na nią codziennie z okna swej sali, czekając, aż uchylą się, ginące niemal w jej ogromie, drzwi. Przez nie go tu wprowadzono i tędy też wyjdzie. Weszli do budynku administracyjnego, potem do gabinetu Ordynatora.
– Doprowadzony chory 54812 – zameldował lekarz.
Siedzący za biurkiem mężczyzna podniósł wzrok znad papierów.
– Aha, 54812 – powiedział i odszukał jakąś teczkę. Otworzył ją.
– Nazwisko Smith, imię John – czytał – kategoria A4... No, proszę! I tacy tutaj trafiają... Urodzony 7 lipca 2052, zawód hmm... zamieszkały... – głos przeszedł w mruczenie. – Hospitalizowany z miejsca zamieszkania na podstawie donosu. Wynik testu – negatywny.
Ordynator spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę.
– Słyszałeś?
– Co to znaczy – spytał 5482.
– A co może znaczyć? – Ordynator wzruszył ramionami. – Nie sprawdziłeś się. Wynik testu ne-ga-tyw-ny! Stwierdzono, że nie nadajesz się do życia w normalnym, zdrowym społeczeństwie.
Mężczyzna westchnął głęboko. A więc to tak...
– I co macie zamiar ze mną zrobić? – spytał.
– Zostaniesz dożywotnio odizolowany. Coś jeszcze? Nie? Lekarz, wyprowadzić. – Ordynator znów pochylił się nad papierami.
Mężczyzna poszedł powoli ku drzwiom. Tuż przed nimi odwrócił się.
– Chwileczkę... – powiedział. – Czy mógłbym wiedzieć, na czym polegał ten test? Co się ze mną działo?
Ordynator machnął ręką ze zniecierpliwieniem.
– Nie mógłbyś. Przebieg testu oraz stosowane przy ocenie kryteria objęte są tajemnicą. Lekarz!
Mężczyzna został wypchnięty za drzwi.
Wrócili do sali. Trzasnęły drzwi, 54812 usiadł przy oknie i patrzył. Dziedziniec. Brama. Dożywotnio odizolowany...
Z budynku administracyjnego wyszedł jakiś człowiek. Wymachując wesoło trzymaną w ręku torbą szedł w kierunku bramy. Z dyżurki wyjrzał pielęgniarz. Drzwi w bramie odskoczyły w bok, odsłaniając fragment chodnika, po którym kroczyli normalni, zdrowi ludzie. Człowiek z torbą podszedł do nich, ukłonił się pielęgniarzowi i zniknął.
„To ten z sali obok... – pomyślał 54812. – No proszę, wyszedł... Ma szczęście. Jak on się nazywał? Jakoś tak zwyczajnie... Jones... Tak, chyba Robert Jones".
■

Dokończenie ze strony 63

Czy potrzebny był wam duży blagier?
– Kandydatów wybiera komputer, nie klinika – syknęła Rewa i włączyła swój nieprzenikacz.

Po półrocznej przerwie, trudnej do zniesienia dla obu, Rewa pojawiła się na ekranie ze spłoszonym spojrzeniem.
– Pozwól wpaść do ciebie. Łatwiej mi będzie gadać przy kieliszku czegoś mocniejszego. Ale błagam, zrób tak, żeby Wela nie było w domu.

Warunek łatwy do spełnienia. Więc spłakały się obie, uściskały, przeprosiły.
– Przepraszać powinnam wyłącznie ja – powiedziała w końcu Rewa. – Gruczoł nie wpłynął na Wela dodatnio. A tak się entuzjazmowałam wszczepieniami. Wel przychodzi do nas na okresowe badania. Był dziś i... i bezwstydnie mnie podrywał, robił niesmaczne propozycje. Uważaj: on gotów cię puścić kantem. Taki kawał życia w biedzie, przy mężu niedojdzie nie umiejącym zarobić. Wreszcie masz trochę grosza. Nie daj sobie tego odebrać.
– Siłą go nie przytrzymam...
– Też racja.
Wieczorem Wel spytany, czy ma w planach rozwód roześmiał się:
– Coś ty! Ach, więc pogodziłyście się z Rewą. Na rozwodzie mi nie zależy, tylko stałem się normalnym mężczyzną. Rewa rzeczywiście jest wciąż ponętna, choć znam lepsze i młodsze.
– Normalni mężczyźni nie mają w sobie syntetycznych gruczołów.
– Normy się zmieniają, moja droga. Dziwne, żeś tego nie zauważyła. Iono, wytrzymałaś ze mną tak długo – wytrzymaj do końca.

Wkrótce wybuchła afera z Kepihem. Wel postanowił zwolnić go z pracy rozdmuchując do gigantycznych rozmiarów jakieś drobnie niedopatrzenia. Kepih całe życie związał z Instytutem, był autorem wielu interesujących prac prognostycznych, których trafność potwierdziła praktyka. Zwolnienie w zaawansowanym wieku oznaczało dla niego degradację. Nie ma przecież drugiego Instytutu Prognoz Postępu. Kepih mógł się zaczepić ewentualnie w małej placówce przyzakładowej. Odreagowywał to okropnie. Znalazł się nawet w szpitalu, chory z upokorzenia i gniewu, że musi właśnie z Welem przegrać. Iona dowiedziała się o wszystkim od Ena, który prosił ją, żeby wpłynęła na męża i spowodowała zmianę niesprawiedliwej decyzji. Naiwny En! Nie miała na Wela odrobiny wpływu. Mąż wysłuchał jej, wyrzuty puścił mimo uszu, a potem cynicznie i szczerze powiedział, czemu to zrobił:
– Potrzebuję etatu. Widziałaś w dzienniku Kongres Kadry Kierowniczej? Prosił mnie o ten etat kolega siedzący po mojej prawej ręce. Potrzebuję kogoś dobrze urządzić. Wszedłem z nim w układy. Straciłbym odmawiając.
– Ale Kepiha masz na sumieniu!
– Jakoś nie czuję – roześmiał się. – Kepih to stary histeryk. W szpitalu dadzą mu na uspokojenie i zakrzątnie się wokół następnej pracy. Instytut nie zajmuje się dobroczynnością.
– Kepih należy do wybitnych prognostyków...
– Należał. Przejrzałem indeks jego prac. Od pięciu lat nie zrobił nic rewelacyjnego. Każda następna robota słabsza od poprzedniej. Więc drugi argument za zwolnieniem. Poza tym czy ja się wtrącam do dwójek, które stawiasz w szkole? I – wybacz – mam kontrolną wizytę w klinice. Muszę lecieć. Obiecuję nie podrywać Rewy.
– Wel, zastanów się! Wel, gdzie twoja sławetna życzliwość. Zawsze pomagałeś kolegom, a teraz... Błagam cię, Wel!

Po wyjściu męża Iona wywołała z pamięci naradę Kongresu Kadry Kierowniczej. Kolega po prawej stronie Wela był też „powszczepieńcem". Łatwo ich rozpoznawała, stali się podobni. Te grube karki, te oczy pyszałków. Co będzie, kiedy u steru znajdą się już sami ludzie z wszczepionym GSD?
– Brzdek... Wel na ekranie:
– Wiesz? Dzisiejsza analiza wykazała, że stałem się płodny. Możesz jeszcze urodzić bez obaw o zdrowie dziecka i własne – twierdzi Rewa. Więc zdecydowałem się na dziecko. Przyda ci się. Mniej będziesz się interesowała moimi sprawami. Pa...Całuję.
Gorączkowo zbierała myśli. Dziecko? Jakie to będzie dziecko? Po godzinie powtórzyła pytanie Rewie. Czy nagle, bo za sprawą GSD, płodny Wel przekazuje w genach swoje dawne cechy? Czy – obecne?
– Jeszcze nie wiemy. Wszczepienia są całkiem świeżą sprawą. Przyjdź wieczorem. Zastanowimy się, co masz robić? Będziesz?
– Raczej nie...
Iona dokładnie wyłączyła wszystkie nieprzenikacze i zabrała się do pakowania walizki. Weźmie tylko niezbędne rzeczy. Parę sztuk bielizny, przybory toaletowe. Wystarczy. Byle prędzej opuścić ten dom.

Hanna Kaltenbergh

Nasz konkurs

ODSŁONA DRUGA!

Cieszymy się! Chyba powoli będziemy mogli wycofać się z zastrzeżeń wyrażonych tu przed czterema miesiącami. Po lawinie tekstów nijakich, obciążonych wszelkimi możliwymi grzechami, nie tylko przeciw literackim kanonom, lecz także przeciw regułom gramatyki – karta raptem się odwróciła. Zadziałało znowu prawo serii, tym razem serii rzeczy dobrych, i teraz każdy z nas – czytaczy konkursowej poczty – trzyma w dłoniach kilka niezłych opowiadań.

A przecież byliśmy tylko o krok od uznania naszego konkursu za inicjatywę nieudaną. Znawcy literatury (nie tylko fantastycznej), podpowiadali nam, że przykra sytuacja jest poniekąd zrozumiała. Otóż tak się składa, że krótka forma prozatorska w ogóle, nie ma w Polsce wielkich tradycji. Nie istnieje właściwie polska szkoła „short story" (w przeciwieństwie np. do polskiej szkoły felietonu, który od lat zastępował nam opowiadanie); osiągnięcia polskiej noweli poza może Iwaszkiewiczem, Hłaską, Głowackim, a na terenie SF Lemem i Grabińskim, nie są wysokie. Polski rynek literacki nie promuje raczej krótkich form, unikają ich zarówno wydawcy, jak i, z małymi wyjątkami, redakcje czasopism. Kółko jak widać się zamyka – przyczyna jest tu skutkiem, a skutek przyczyną. Sytuacja diametralnie różna od tej, która od dwustu lat bez mała panuje w Anglii, we Francji czy Stanach. Dlatego tomiki opowiadań polskich autorów są na naszym rynku rzadkością, a KiW-owskie „Koliberki", fantastyczna seria WL, krótkie formy wydawane w PIW – są to najczęściej zbiory autorów zagranicznych.

Wracajmy jednak na nasze poletko. Jeśli idzie o dzień dzisiejszy autorów polskich, to bodaj wypadnie stwierdzić, że wystartowaliśmy – i z naszym pismem, i z konkursem – w momencie zmiany warty. Nowych opowiadań znanych i zasłużonych dla gatunku autorów nie drukowaliśmy nie z powodu niechęci,lecz dlatego po prostu, że ich zwyczajnie nie było. Natomiast dobre opowiadania autorów młodych, w konkursie i poza konkursem, kapały jak krew z nosa. I nagle, proszę nam wierzyć, nagle zjawiło się w redakcji kilkanaście utworów, o które warto się spierać. Większość spośród nich dotarła do nas w końcowej fazie konkursu, po tym jak rynek wchłonął pierwsze trzy-cztery numery naszego pisma. Być może zgrzeszymy przeciw cnocie skromności przypisując sobie szczególne zasługi w dziedzinie nakręcenia koniunktury i lansowania dobrych wzorów literatury SF, ale jest faktem, że gdyby nie nasza inicjatywa, część z tych udanych opowiadań zapewne w ogóle by nie powstała. Pozwólcie więc, że to co w nich dobre, zapiszemy także na swoje konto.

Dziś w drugiej konkursowej odsłonie trójka autorów dopuszczonych do ścisłego finału: MAREK HEMERLING z Koszalina, FELIKS W. KRES z Łodzi i MICHAŁ SZARZEC ze Skoczowa.

Ich szczegóły biograficzne, a także innych nagrodzonych i wyróżnionych podamy państwu w momencie ostatecznego rozstrzygnięcia konkursu. Na razie teksty (zamieszczone z niewielkimi skrótami) niech bronią się same. Nam spodobała się ich tematyczna oryginalność, niezły warsztat, a także równowaga między elementami przynależącymi do konwencji SF, potraktowanymi zresztą bardzo umownie, a symbolicznym, metaforycznym naddatkiem, który każde z tych opowiadań zdaje się zawierać. Prezentowanym dziś autorom, takie mamy wrażenie, udało się szczęśliwie znaleźć własny prywatny sposób na pomieszczenie w atrakcyjnej literackiej formie problemów ważnych i aktualnych. A więc – gratulacje dla autorów, a Państwu życzymy przyjemnej lektury!

Maciej Parowski

MAG

Feliks W. Kres

Ciężkie, złote drzwi rozchyliły się powoli, pozwalając wślizgnąć się memu zaciekawionemu spojrzeniu do wielkiej sali wykładanej szmaragdowymi kafelkami. Mieszkałem w pałacu, ale w łazience Pani nigdy dotąd nie byłem. Po pierwsze dlatego, że nikt jeszcze nie dostąpił tego zaszczytu, a po wtóre pałac był tak wielki, że mało kto znał więcej, niż dziesiątą jego część. Bywało, że dworzanie zamieszkujący północne skrzydło w ciągu całego życia nie dotarli dalej, niż do skrzydła północno-wschodniego.

Postąpiłem dwa kroki naprzód, wzrok mój prześliznął się po tysiącu srebrnych, nie grubszych od ramienia kolumn. Misternie rzeźbione, delikatnie, lecz ze stanowczą siłą podpierały sufit, kryjący się za lekką, błękitno-białą mgiełką. Otaczały one zwartym szykiem niewielki, owalny basenik, wypełniony granatową wodą.

Uczyniłem kolejne dwa kroki. Niski, melodyjny, przypominający tchnienie głos zaanonsował:

– Jego Wysokość Książę Deloa, Twój Nadworny Mag, o Pani.

Potrafiłem wyglądać tak, jak chciałem. Teraz musiałem ukazać się Najpiękniejszej jako człowiek, na którego nie warto napluć. Choć lekko już oszołomiony otaczającym mnie Pięknem, wierzyłem jednak, że mi się to uda; Najpiękniejsza widziała mnie zaledwie kilka razy.



Ukląkłem i na kolanach poczołgałem się ku drzwiom. Gdy do nich dotarłem, dotknąłem głową posadzki i odtąd toczyłem ją po błyszczących jak zwierciała srebrnych płytkach. Odbijała się w nich moja wykrzywiona kretyńsko twarz, mrugały z posadzki lekko zezujące oczy półidioty.
- Zatrzymaj się, Książę. Wstań! - głos był dźwięczny, młody, stanowczy. Głos Pani.
Byłem tak zdumiony, że na moment zapomniałem o głupkowatym wyrazie twarzy. Musiała to zauważyć, bo gdy odrywałem głowę od podłogi, powiedziała:
- Jeszcze jedna oznaka twojego nienaturalnego zachowania się i zabiję cię. Wiem doskonale, że nie jesteś głupcem.
Powoli odprężyłem się, przekształcając pokrywającą moją twarz maskę w swoje zwykłe rysy.
- Wybacz, Królowo Światła - wyszeptałem - nie wierzę we własne szczęście. Nikt przede mną nie dostąpił zaszczytu klęczenia przed Tobą podczas rozmowy.
- Istotnie, jesteś pierwszym człowiekiem, któremu na to pozwoliłam. Lecz nie koniec na tym. Wolno ci patrzeć na mnie przez cały czas trwania rozmowy.
Zadrżałem:
- Pani moja, nie śmiem...
- Powiedziałam, że pozwalam, więc spiesz się, bym nie pożałowała swych słów!
Oszołomiony pięknem Jej głosu powoli uniosłem oczy. Natychmiast poraził mnie blask rozsiewany przez cudownie oszlifowane diamenty, z których zbudowany był niski, z trzech stron otoczony ścianą kolumn stół. Na nim leżała Córa Niebios. Niewolnice i niewolnicy obstępowali Jej boskie ciało, namaszczając je cudownie pachnącymi olejkami.
Klęczałem w milczeniu, z rozkoszą kontemplując piękno opalonego na brąz ciała Boskiej Pani. Widziałem Ją z bliska po raz pierwszy, w ogóle byłem chyba pierwszym (nie licząc rzecz jasna niewolników) człowiekiem, który mógł patrzeć na Nią z tak niewielkiej odległości. Dworzanie i lud podziwiali Ją czasem, gdy znużona przebywaniem w pałacu przechadzała się po parku lub też zażywała kąpieli w Jeziorze, lecz nigdy podczas rozmowy z Nią. Zresztą zaszczytu rozmowy z Panią dostępowali tylko nieliczni. Nic więc dziwnego, że klęczałem na srebrnej posadzce oszołomiony nie tylko Pięknem, ale i tyleż zdumiewającą, co zagadkową łaskawością Pięknej Pani.
- Wezwałam cię, Książę, w związku z niepokojącymi wydarzeniami, jakie ostatnio miały miejsce na terenie naszego kraju - Najpiękniejsza z wdziękiem przetoczyła się na brzuch, wystawiając plecy na zabiegi niewolników. Potrząsnęła złotowłosą główką. - Wiesz zapewne, o czym mówię?
- Nie, o Najpiękniejsza - poczułem, że skóra mi cierpnie na grzbiecie.
- Czyżby? Doniesiono mi, że i ty, Książę, brałeś udział w Wielkim Zebraniu Magów. Czyżbyś nie wiedział, o czym tam rozmawiano?
Zaniepokoiłem się nie na żarty. A więc jednak...
- Wiem o wszystkim, co zostało tam powiedziane, o Pani.
- I cóż? - wąska, wypielęgnowana dłoń wyciągnęła się ku jednemu z niewolników, który natychmiast, za pomocą małego pędzelka, począł ją pokrywać czarnymi i czerwonymi kwiatami.
Poczułem, że blednę. Zrozumiałem, że jedynym moim ratunkiem jest sugestia. Przez długą chwilę walczyłem z obezwładniającym Pięknem, nim udało mi się skoncentrować.
- Pani - zacząłem cichym, monotonnym głosem - wiesz dobrze, że jestem Twoim najwierniejszym i najpokorniejszym sługą. Wiesz też, że nigdy nie kłamię i to, co powiem...
Zauważyłem, jak malutkie, ślicznie wykrojone usteczka ściągnęły się w wąską rysę. W tej samej chwili moi Sprzymierzeńcy zasygnalizowali mi niebezpieczeństwo. Nim zdążyłem zorientować się w sytuacji, otrzymałem potężny cios biczem przez plecy. Zachwiałem się, wtedy spadło drugie uderzenie. Upadłem na twarz, na posadzkę.
- Przewidziałam twoje sztuczki, Książę - posągowe ciało drżało od powstrzymywanego śmiechu. - Mam Sprzymierzeńców Koldorona. Są oni potężniejsi od twoich. Będziesz mówił?
Z trudem podniosłem się na kolana. Natychmiast spadł na mnie trzeci cios, tym razem przez głowę. Bicz przeciął skórę, poczułem na twarzy lepkie strumyczki krwi. Znów upadłem.
- Pani, wybacz mi - wycharczałem. - Powiem wszystko. Na Wielkim Zebraniu obecnych było dwudziestu siedmiu Czarowników ze wszystkich regionów kraju. Wybacz mi, Pani! Zgrzeszyłem ciężko, to prawda...
Bicz po raz czwarty przeciął moją skórę.
- O czym mówiliście? - Najpiękniejsza z zadowoleniem przyglądała się kwiatom na swej drobnej dłoni.
Próbowałem wymyślić jakieś zręczne kłamstwo, ale ból i Piękno odbierały mi przytomność. Wykrztusiłem:
- Wysnuliśmy teorię, że to człowiek powinien dominować nad Pięknem, powinien wyzwolić się spod jego władzy...
- Co takiego?! - zdumiała się Pani. - Mów dalej!
- To wszystko, Zorzo...
- Na pewno? - Najpiękniejsza skinęła głową, bicz znowu przeciął moją skórę.
- Na pewno, o Najpiękniejsza...
Następne uderzenie.
- Pani, powiedziałem już wszystko, uwierz mi!
- Wystarczy. - Boska Pani zmarszczyła rozkosznie nosek i zaśmiała się dźwięcznie. - A teraz słuchaj, Deloa, co ci powiem: nie zabiję cię, choć powinnam. Będziesz żył, ale dla mnie. Od jutra mój wysłannik będzie przekazywał ci szczegółowe rozkazy. Od tego, czy i jak je wykonasz, będzie zależała twoja dalsza kariera i... życie.

Lektyka była wymoszczona puchem, ale moje poszarpane ciało reagowało bólem na najdelikatniejszy nawet dotyk. Przez całą drogę zaciskałem z bólu zęby. Gdy tylko niewolnicy donieśli lektykę do moich apartamentów, natychmiast przy pomocy Sprzymierzeńców sporządziłem maść gojącą. Odetchnąłem z ulgą, gdy rany zabliźniły się w oczach.
„Sprzymierzeńcy, co mam robić?"
„Porozum się z uczestnikami Wielkiego Zebrania. Przedstaw im sytuację".
„Zrobię tak, jak radzicie, ale gdzie ich szukać?"
„Deltreos przebywa obecnie w Stolicy. Przeniesiemy cię do niego".
Deltreos był jednym z najpotężniejszych Magów w Państwie. Niezwłocznie powierzyłem swą Świadomość Sprzymierzeńcom i natychmiast ujrzałem komnatę Deltreosa. On sam pochylał się nad stołem, na którym rozłożone były karty gęsto zapisanego papieru.
- Czekałem na ciebie, Mistrzu Deloa - powiedział, nie unosząc nawet głowy. - Moi Sprzymierzeńcy towarzyszyli ci podczas wizyty u Najpiękniejszej. Pragnę ci podziękować w imieniu całego Wielkiego Zebrania. Zachowałeś się, jak przystało na członka naszego zgromadzenia.
„Dlaczego, Mistrzu, twoi Sprzymierzeńcy nie ukazali się oczom mej duszy?"
- Dusza twa, Deloa, była kontrolowana przez Koldorona i jego Sprzymierzeńców.
„Jak to? Więc Koldoron był w łazience Pani?!"
- Owszem, pod postacią jednego z Jej niewolników. Ale ty, Deloa, nie mogłeś o tym wiedzieć, Koldorn ma potężniejszych Sprzymierzeńców niż ty.
„Co mam robić, Mistrzu?" - zapytałem po długiej chwili milczenia.
- Możesz wrócić do pałacu, ale nie wolno ci przyjmować posłańców od Najpiękniejszej, ani spotykać się z Pięknem.
„Nie chcę wracać do pałacu, Mistrzu. Nic tam po mnie. Powiedz mi, co mogę zrobić dla Sprawy, a będę posłuszny".
Mistrz Deltreos bardzo powoli uniósł głowę znad stołu. Jego nieobecne oczy świadczyły o tym, że Mag rozmawia ze Sprzymierzeńcami. Myśli jego i Sprzymierzeńców biegły nieuchwytnymi dla mnie drogami. Minęła długa chwila, nim się odezwał:
- Jedynie Ludzie-Zza-Gór - powiedział - nie podlegają Pięknu. Tylko przy ich pomocy możemy udowodnić, że Piękno nie jest najwyższą wartością, że Piękno wcale nie znaczy: Dobro.
„Mistrzu - powiedziałem cicho - wybacz, lecz nie zrozumiałem wszystkich słów wygłoszonych przez ciebie na Wielkim Zebraniu. Czy mógłbyś mi je teraz wyjaśnić?"
Mistrz Deltreos powoli zbierał myśli. Wreszcie rzekł:
- Nie, Deloa. Niewiele zrozumiałeś, bo chciałem, byś niewiele zrozumiał. Czasem lepiej jest nie wiedzieć wszystkiego, bezpieczniej. Powiem ci tylko, że nie jesteś jedynym, który nic nie zrozumiał. Tylko dwaj Mistrzowie oprócz mnie znają Tajemnicę. Są to Elosteo i Hagrodoa. Prosiłeś mnie o zadanie - otrzymasz je. Udasz się do Ludzi-Zza-Gór, porozumiesz się z nimi. Zrozumiesz wszystko, gdy spotkasz się tam z Hagrodoa. A teraz, Mistrzu Deloa, złożymy wizytę Najpiękniejszej.

Najpiękniejszą odnaleźliśmy w jednej z Jej osobistych komnat. Towarzyszył jej Koldoron, lecz nie obawialiśmy się go. Połączone siły naszych Sprzymierzeńców pozwoliły nam na zatajenie swej obecności.
Przyczailiśmy się pod sufitem tuż przy najpotężniejszej, centralnej kolumnie, bogato zdobionej srebrem. W tym miejscu sufit wykonany na podobieństwo morskich fal marszczył się na kształt ogromnego wiru. Zawieszona w powietrzu mgiełka przywodziła na myśl rozpylone nad wściekle uderzającymi o siebie falami drobinki wody.
Pani, stąpając lekko po uginającej się pod jej bosymi stopami podłodze podeszła do klęczącego przy drzwiach Koldorona. Piękno Jej lekkiego kroku uderzyło we mnie jak obuchem. Przez chwilę byłem gotów ujawnić się, błagać Ją o przebaczenie za swe szpiegowskie zamiary, za kradzież Jej Piękna...
„Uspokój się Deloa - Deltreos zasyczał tak obrzydliwie, że przy-

wróciło mi to przytomnosc. – Patrz i słuchaj".
Znów spojrzałem w dół. Koldoron mówił właśnie:
– Proponuję poczekać na rozwój wypadków, o Pani. Uczestników Wielkiego Zebrania nie wolno lekceważyć.
– Wygubimy ich przy pomocy Deloa – głos Pani brzmiał jak cudna muzyka. Słuchając Jej głosu czułem dreszcze na całym ciele.
– Mylisz się, o Najpiękniejsza. Deloa nie będzie pracował dla nas.
– Jak to?
– Możesz mi wierzyć, Zorzo. Sprzymierzeńcy Deloa niewiele są warci, natomiast on sam... Nie ma Maga, o Pani, który potrafiłby odczytać jego myśli.
– Wynika z tego, że i ty ich nie jesteś w stanie przeniknąć?
„Deloa!" – głos Deltreosa wyrwał mnie z wywołanego Pięknem odrętwienia. Znów zacząłem zwracać uwagę na rozmowę.
– Masz słuszność, o Pani – mówił Koldoron. – Deloa potrafi ukryć swoje myśli nawet wtedy, gdy jest oszołomiony Pięknem.
– A więc nie potrafisz powiedzieć, co myślał, gdy z nim rozmawiałam?
– Nie, o Pani. Wiem tylko, że mówił prawdę. Ale czy całą prawdę...
Najpiękniejsza gniewnie zacisnęła usta.
– Więc to tak... Co radzisz?
– Już powiedziałem, o Pani: czekać na rozwój wypadków.
Pani potrząsnęła głową.
– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie wolno nam tego tak zostawić. Okazuje się, że Deloa jest niebezpieczniejszy, niż przypuszczałam. Musimy go usunąć. Czy zrobisz to, Koldoronie?
Czarownik z uśmiechem skinął głową.

„Tak więc, Mistrzu Deloa, sprawa się skomplikowała – Deltreos był wyraźnie zatroskany. – Będziesz musiał walczyć z Koldoronem".
„Wiesz doskonale, Mistrzu – odparłem – że Koldoron jest silniejszy ode mnie".
„Koldoron tak, lecz nie jego słudzy, którzy już zaczęli cię szukać. Zrobimy tak: ja zajmę się Koldoronem, podczas gdy ty spróbujesz wydostać się z pałacu. Jeżeli ci się to uda, przedostań się do Kraju Za Górami. A teraz szybko wracaj do swego ciała".
„A ty, Mistrzu?"
„Ja nie mam już na to czasu. Zmierzę się z Koldoronem tylko przy pomocy swej Świadomości i Sprzymierzeńców".
„Mistrzu..."
„Pospiesz się, Deloa. Czas ucieka".
„Żegnaj, Mistrzu".
Szybko jak myśl połączyłem się ze swym ciałem. Przebiegłem przez kilka pokoi i znalazłem się przed drzwiami wiodącymi na korytarz pałacowy. Zamykając za sobą drzwi swego pięknego mieszkania, byłem niemal pewien, że robię to po raz ostatni.
Spokojnym krokiem ruszyłem wesoło-ponurym korytarzem, którego ściany świeciły rubinową ciemnością. Wzrok gubił się między ciemno-jasnymi ścianami, obejmując jedynie najbliższe metry chodnika. Wszystkie korytarze pałacu były zbudowane w taki sposób, by człowiek czuł się w nich jak w labiryncie, mimo iż biegły prosto jak strzelił. Trzeba było nie lada wprawy, by nie wpadać na osnute purpurową, jasną (ciemną?) mgłą ściany.
Szedłem. Spokojnie.
„Powinienem był wziąć lektykę" – pomyślałem. „Idący pieszo Książę Deloa musi zwracać na siebie uwagę. Na szczęście korytarz jest pusty..."
Sprzymierzeńcy. Sygnał – niebezpieczeństwo. Unik. Błękitna kula eksplodująca nad głową. Skok. Długi, co najmniej dwudziestometrowy. CIOS!
Trzymałem go za gardło patrząc, jak płonie jego ciało. Uczeń Koldorona.
I znów: Sprzymierzeńcy – sygnał. Unik. Kątem dłoni w przecinające powietrze splecione ręce napastnika. Swąd zwęglonej skóry i wrzask tamtego.
Sprzymierzeńcy – informacja: jeszcze trzech. Skok.
Stali kilka metrów przede mną i strzelali. Unik. Błękitne kule eksplodujące wokół mnie. Unik. Unik. Skok. CIOS! CIOS! CIOS! Koniec?
Gwałtowny wir powietrzny, rozpadający się przede mną. Człowiek. Koldoron.
Błysk. Skok! Zabiłem? Błysk.
Biegnę. Kiedy wreszcie zrozumiałem
kiedy wreszcie rozumiem
kiedy wreszcie zrozumiem
że nie żyję
że jestem martwy martwy jak myśl oszołomionego pięknem pałacowego lokaja martwy jak piękno martwy bez sensu to wszystko a zwłaszcza piękno zdumiewające bezsensem piękno głupie piękno rozumne piękno odrażające piękno czy ono jest czy warto było dla niego przebudowywać świat deltreos uważa że tak że ważne jest iż ludzie zrozumieli
Uniósł ramiona w górę. I wolno, przerażająco wolno poszybował ku niebu.

Leciał coraz szybciej, lodowate powietrze usztywniło jego ciało, chlaszcząc je mroźnym biczem. W oddali majaczyły...

ale czy zrozumieli dlaczego ten przewrót czy oni w ogóle są w stanie coś jeszcze rozumieć ot choćby teraz stoją wszyscy przy sztalugach i fortepianach malując i komponując inni rzeźbią jeszcze inni budują gmachy niemal tak samo piękne jak pałac pani wszystko to dla piękna którego są niewolnikami choć o tym nie wiedzą są niewolnikami książąt i grafów takich jak ja czy najpiękniejsza a to tylko dlatego że my urodziliśmy się piękni a oni nie

...szczyty Gór. Jeszcze chwila...

co teraz zrobi koldoron przecież on jest dobrym człowiekiem każdy człowiek przekonany o słuszności swoich racji zasługuje na szacunek choćby w imię tych racji mordował torturował gwałcił na pogardę zasługują tylko ci którzy czynią zło dla sławy zysku proszę bardzo recepta na sumienie na silną wolę potrzebną do walki z wadami dlaczego dopiero teraz to rozumiem koldoron to święty człowiek bo uważa że ma rację pragnie dobra państwa a zło czyni tylko z jednego ściśle określonego punktu widzenia który wcale przecież nie jest jego punktem jest mi przykro że znaleźli się ludzie którzy odrzucili piękno którzy gotowi są krzyknąć mi w twarz nie jesteś pięknem myśli najpiękniejsza a ja przecież naprawdę jestem piękna tylko dlatego zajmuję tron gdyby znalazła się w kraju dziewczyna piękniejsza ode mnie z radością oddałabym jej władzę trudno mieć do niej pretensję o to że ludzi odrzucających piękno uważa za nienormalnych trudno też ją winić za okrucieństwo względem poddanych uczono ją tego od dziecka najpiękniejsza ma rację a może nie sądzi że tylko piękno jest sprawiedliwe bo każdy jest taki jaki jest przy urodzeniu mu matka natura wyznacza miejsce w społeczeństwie to sprawiedliwe bo wszystkie inne kryteria według których wybiera się władców nie wytrzymują krytyki na przykład wiedzę jeden zdobędzie bo ma pieniądze na nauczycieli drugi zaś nie bo urodził się na ulicy a nawet gdyby nauka była bezpłatna to i tak nie sposób wyeliminować wszystkich okoliczności rzutujących na proces uczenia się na przykład trudne dzieciństwo i cóż z tego że uwzględni się to na egzaminach składanych przed radą ojców żadne punkty dodatkowe nie zapełnią luki w wiadomościach bo przecież mimo wszystko ten lepiej usytuowany będzie wiedział więcej i to on powinien zająć odpowiedzialne stanowisko wybierać arystokrację biorąc pod uwagę stopień zamożności to już zupełny absurd bo przecież nikt nie wybiera sobie biednych czy bogatych rodziców poza tym nie wolno dopuścić do tego żeby władza była dziedziczna a piękno piękno jest bezwzględnie sprawiedliwe dla wszystkich dlatego dawno temu czarownicy uzależnili ludzi od niego okazuje się jednak że to też nie jest optymalne rozwiązanie a może należałoby wziąć pod uwagę wszystko i wiedzę i zamożność ale to chaos chaos chaos co zrobi najpiękniejsza deltreos w tej chwili przelatuje nad górami niedługo będzie na miejscu sprzymierzeńcy gdzie jesteście dlaczego pozwoliliście bym zginął dziwne to martwe życie dlaczego dziwne byłem przecież magiem słowa słowa słowa muszę zmartwychwstać chcę zmartwychwstać sprzymierzeńcy pomóżcie mi jak strasznie jest wiedzieć wszystko i nie móc ingerować w bieg wydarzeń wiedzieć chaos chaos w głowie sprzymierzeńcy sprzymierzeńcy sprzymierzeńcy

... i miał je już za sobą. Był w Kraju Ludzi-Zza-Gór. Jeszcze jeden wysiłek. Dysząc parą Mocy przemykał jak błyskawica nad ogromnymi przestrzeniami. I oto jest na miejscu. Zmniejszył szybkość i jak ogromny, ciężki ptak opadł na dach jednego z domów Stolicy Ludzi-Zza-Gór. Musiał jak najszybciej odnaleźć Hagrodoa. Był zmęczony.

spokojnie nie wolno poddawać się szaleństwu zabawne szalony martwy mag trzeba myśleć precyzyjnie dlaczego teraz piękno nie ma na mnie wpływu jest dla mnie tylko pustym słowem więc to wszystko ciało ciało a może i myśli nie wiem nie wiem przecież nawet kim czym teraz jestem czy myślą chyba tak jeżeli rozumuję a może tylko świadomością nie to za mało znaczy świadomość też zapewne ale nie tylko dusza bzdura to niepoważne a właściwie dlaczego nie dusza wszak nic wspólnego z ciałem mieć nie może a więc i z myślami produkowanymi przez ciało bzdury jałowe rozważania w końcu jakie to ma znaczenie kim czym jestem co teraz zrobi koldoron o panie jak to się wszystko skończy co zrobi deltreos nie rozumiem o czym mówią z hagrodoa co zrobi najpiękniejsza jakie to zabawne jej widok działał na mnie jak narkotyk a teraz cóż

Dokończenie na str. 74

Dokończenie ze str. 73

patrzę na nią jak na laleczkowato ładną smarkulę ile ona ma lat siedemnaście szesnaście jestem byłem od niej o czterdzieści lat starszy jaka ona jest pusta jakie puste jest to piękno które ludzie muszą podziwiać skąd u mnie takie inne obce spojrzenie na świat czyżby obiektywne to zasługa deltreosa panie przecież świat równa się pięknu tylko pięknu o panie jakie to straszne pusty świat nie ma w nim miejsca na dobro nie ma miejsca na zło wszystko zmierza ku pięknu.

– Wiesz równie dobrze jak ja, Deltreosie, że żadna wojna nic tu nie pomoże. Niepotrzebnie rozpętałeś tę awanturę w pałacu. Wiem, wiem, że Deloa był przesłuchiwany, ale przecież można to było jakoś delikatniej załatwić. Obaj doskonale wiemy, że nie wolno nam ludzi siłą zmuszać do czegokolwiek. Nasza rola polega na przekonaniu, a nie na nakazywaniu, czy zakazywaniu. Oczywiście, że jest to zadanie dla wielu pokoleń czarowników... Zresztą wiesz o tym wszystkim równie dobrze jak ja, Deltreosie...

to są słowa a działanie w jaki sposób przekonać ludzi pod bokiem koldorona najpiękniejszej i ich służących a zresztą nie mam pojęcia jak można odebrać ludziom przeświadczenie o nadrzędnej roli piękna przeświadczenie którego korzenie są głęboko zapuszczone w podświadomość przecież ci ludzie podczas seansów hipnotycznych krzyczą kocham piękno a dopiero później kocham żonę dzieci matkę i ojca wprawdzie potężny mag może wmówić dowolnie wielkiej rzeszy ludzi wszystko na co ma ochotę od czego sugestia ale przecież nie chodzi o to by uczynić z ludzi bezwolne marionetki tak właśnie postąpiono trzysta lat temu ludzie piękno to wszystko piękno to życie piękno to miłość krzyczeli czarownicy niech piękno będzie dla was bogiem potężny orlonoe zastosował hipnozę dziedziczną zniewalając na raz kilkadziesiąt pokoleń mieszkańców kraju tylko po co to wszystko teraz trzeba inaczej nie wolno po raz drugi nakazywać ludziom czegokolwiek trzeba przekonać tylko czarownicy to potrafią jak trudno zdjąć zły czar co zrobi deltreos co zrobi hagrodoa co zrobi koldoron koldoron zginie a nie obawiający się mocy piękna czarownik zza gór pojawi się nagle tuż przy stojącej na najwyższej wieży pałacu najpiękniejszej i ukazując na kłębiące się na placu tłumy powie patrz najpiękniejsza gdy zrzucę cię stąd na ziemię ci ludzie będą krzyczeć z zachwytu obserwując twój lot po śmierć bo dla nich to będzie piękne bo to jest piękne ale w moim narodzie przerażenie i zgroza stłumiłyby w ludziach zachwyt a tu jest odwrotnie i twardym miękkim wzrokiem będzie spoglądał na cofającą się tyłem w głąb tarasu pobladłą ze strachu panią i gdy wezwani strażnicy przybiegną by go pojmać

„Oto śmierć Czarownika" – pomyślał Koldoron, stojąc nad płonącym ciałem Deloa. „Podobno zwykły człowiek, gdy umiera widzi w ciągu ułamka sekundy całe swoje życie. Czarownik zaś ogląda wydarzenia, które dopiero nastąpią..."

TAKI BYŁ POCZĄTEK

Michał Szarzec

Tym, który pierwszy dostrzegł przedmiot był chłopak. Szedł szybko z pochyloną głową, pod pachą trzymając piłkę. W tej części parku rosły ogromne, stare drzewa, zacieniające żwirową alejkę. Kilkadziesiąt metrów przed nim była spora polana, wolna od drzew i cała rozświetlona ostrymi promieniami słońca.
To stamtąd nadleciał przedmiot.

Mężczyzna odebrał zrazu tylko dźwięk upadającego przedmiotu.
Jego ciężką, zwalistą postać wyrwało to na moment z tępego odrętwienia, w jakim tkwił okupując sporą część parkowej ławki. Kiedy skierował w tę stronę swoje smutne, zamyślone oczy, ujrzał tylko smarkacza z wyrazem głębokiego zdziwienia na twarzy.
Powoli wstał i podszedł bliżej, dostrzegając w dłoni chłopaka coś błyszczącego i efektownego, emanującego przyjemnym, barwnym światłem.
Taki był początek.

Przedmiot udzielił części swojego blasku oczom mężczyzny. Pojął on właśnie przyczynę niemego zachwytu na twarzy chłopca, który bezwiednie upuścił piłkę i wpatrywał się w przedmiot prawie nie oddychając.
Bo rzeczywiście było co oglądać.
Bajeczny, wielokolorowy strumień światła wydobywał się z wnętrza przedmiotu. Całe piękno było właśnie zawarte w kruchej przezroczystej otoczce, przypominającej kryształ lub szlifowane szkło. Odbywał się tam czarowny spektakl barwy i ruchu, jaki tworzyła substancja przypominająca łan wysokiej trawy kołysanej wiatrem, jednocześnie wirującej i mieniącej się nieograniczoną feerią barw i odcieni. Wszystko tam żyło i przelewało się, całkowicie przykuwając swoim pięknem uwagę obu widzów, zapatrzonych i skamieniałych w bezruchu na środku parkowej alejki.
Powrót do rzeczywistości rozpoczął mężczyzna.
On pierwszy dostrzegł w przedmiocie pewną konkretną, wyliczalną wartość. Już szukał w myślach ewentualnego nabywcę potrafiącego docenić rzadką urodę znaleziska. Już smakował szelest banknotów.
Jednym drapieżnym ruchem zagarnął przedmiot z wyciągniętej dłoni chłopca i schował go w połach przepastnej kurtki.

Zdumiony chłopak poczuł nagle, że na dłoni pozostał mu jedynie ślad – śliskość i lepkość przedmiotu. W tej samej chwili doznał uzucia niewysłowionego żalu i bólu. Dusząca wściekłość pchnęła go w kierunku oddalającego się mężczyzny. Biegł jak uwolniona sprężyna. Była w nim determinacja i szał nie pasujący do jego wieku. Jak drapieżny kot, dopadł i wczepił się pazurami w kurtkę mężczyzny.

Wielki, silny mężczyzna był kompletnie zaskoczony rozmiarami furii atakującego chłopaka. Wprost nie nadążał reagować na lawinę ciosów i kopniaków. Jedną ręką chronił przedmiot ukryty pod kurtką, natomiast drugą oganiał się jak od natrętnej muchy. Teraz właśnie ta ręka kryjąca przedmiot, stała się obiektem chaotycznego ataku chłopca, który szarpał ją i drapał, dysząc przy tym i pojękując.
Całe to zajście zaczynało być dla mężczyzny dosyć kłopotliwe. Starał się oderwać od wściekle atakującego smarkacza, rozglądając się jednocześnie w obawie o reakcje ewentualnych świadków tej dziwacznej walki. Rozpraszał w ten sposób swoją uwagę, nie doceniając przeciwnika.
Mężczyzna wydał nagle okropny wrzask. Z rany na przegubie jego ręki sączyła się krew, a ślady po zębach chłopca były bardzo wyraźne i zaczynały sinieć.
Mały smarkacz o tyle osiągnął swój cel, że mężczyzna natychmiast upuścił chowany pod kurtką przedmiot. Wyglądało na to, że i tym razem historia powtarza się, dając zwycięstwo Dawidowi nad Goliatem.
Niestety tylko pozornie.
Chłopca jakby zawiódł instynkt samozachowawczy. Zdawać by się mogło, że teraz całe otoczenie tej sceny w parku krzyczy: „Szybciej! Zwiewaj! Na co czekasz?"
Na próżno.
Chłopak odbiegł od mężczyzny zaledwie o kilkanaście kroków... I zatrzymał się.

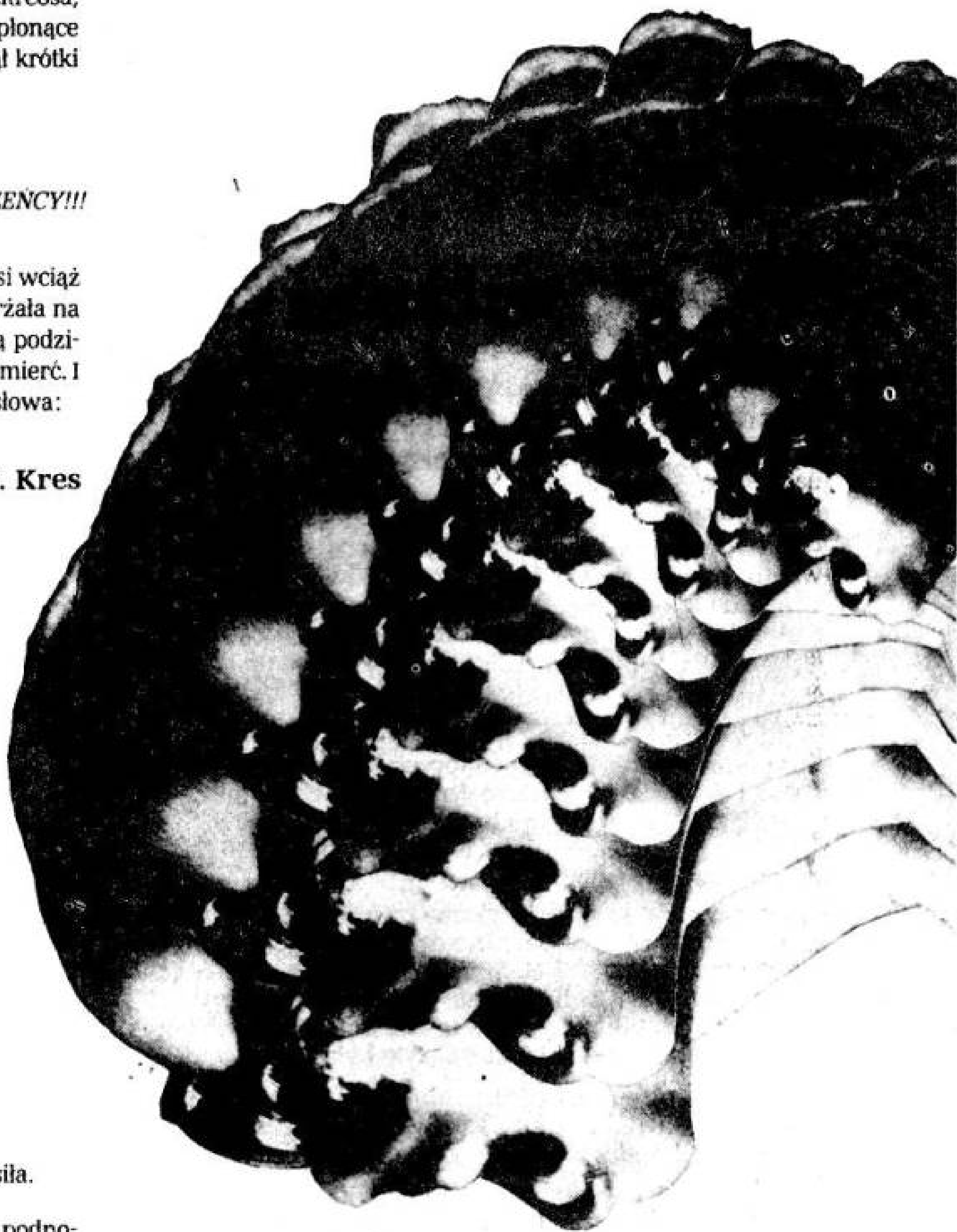
Mężczyzna był kompletnie zaskoczony reakcją chłopca. Pogodził się z utratą przedmiotu i nie miał zamiaru biec za uciekającym urwisem. Zbytnio zwracałby uwagę. Poza tym był ciężki i tłusty, co powodowało, że nawet najmniejsze przyspieszenie mu-

Odwrócił się i pomknął korytarzem w poszukiwaniu Deltreosa, którego obecność czuł gdzieś w pobliżu. Nie widział, jak płonące ciało Deloa jeszcze raz otworzyło oczy, w których zabłysnął krótki krzyk.

jego
już
nie będzie sprzymierzeńcy sprzy
SPRZYMIERZEŃCY!!!

Przyciskając dłonią drgające w rytm uderzeń serca piersi wciąż blada Najpiękniejsza wbiegła do swojej komnaty. Zadrżała na wspomnienie tłumu u stóp wieży. Ludzi, którzy przyszli ją podziwiać i którzy z takim samym zachwytem patrzyliby na jej śmierć. I wtedy po raz pierwszy z myślą o Pięknie wypowiedziała słowa:
– To straszne...

Feliks W. Kres



siałby okupić zadyszką i strugami potu.
Liżąc delikatnie ranny
przegub wpatrywał się
nierozumiejącym wzrokiem w swego
śmiesznego przeciwnika. Bezczelny czy taki głupek?
Spokojnie, bardzo wolno zaczął się zbliżać
do niego. Chłopak stał nadal jak zahipnotyzowany,
gapiąc się w trzymany oburącz przedmiot z wyrazem
bezgranicznego zachwytu na twarzy. Mężczyzna zerknął
w obie strony alejki i zadał cios otwartą dłonią. Tylko raz.
W tył głowy. Była w tym uderzeniu cała jego wściekłość i siła.
Chłopak padł jak ścięty, twarzą na żwir.
„Oby tylko nie rozbiło się to cacko" – pomyślał mężczyzna podnosząc przedmiot i oglądając go ze wszystkich stron. Na szczęście nie był uszkodzony, w jego wnętrzu trwał nieprzerwanie cudowny taniec barw i świateł.
Erupcja kolorów nabierała intensywności i rozmachu. Wnętrze przedmiotu wprost tętniło niezliczoną ilością maleńkich eksplozji, tworzących coraz to nowe połączenia barwnych strumieni świetlnych, zdających się lada chwila wyrwać z tej kruchej otoczki.

Postronny obserwator owej sceny w parku, zdumiałby się widząc wielkiego, opasłego mężczyznę, stojącego na środku cienistej alejki, wpatrującego się z dziecinnym zachwytem w jakiś przedmiot, z którego silne refleksy świetlne zabarwiały twarz osiłka feerią kolorów.
Teraz jednak patrzący zdumiałby się jeszcze bardziej, widząc jak jakiś wyrostek, który dotąd leżał na żwirowej alejce, podnosi zakrwawioną twarz, rozgląda się wokoło i napotkawszy wzrokiem mężczyznę zaczyna się ostrożnie podnosić, skrada się w jego kierunku, trzymając w ręku dość spory kamień. Cała postać chłopca w tej chwili przywodzi na myśl prehistorycznego troglodytę.

Kobieta przyspiesza kroku, pchając przed sobą wózek ze śpiącym już dzieckiem. Drogę przez park wybrała niechętnie, jest to jednak najdogodniejszy skrót w kierunku domu.
Z przyjemnym zdziwieniem dostrzega, że centralny rejon wielkiego parku, zwykle nieoświetlony nocą, teraz jarzy się wesołymi barwami widocznymi z daleka. Pewnie dokonują tam jakichś poważniejszych robót, bo słychać raz po raz głuche dudnienie młota, czy też jakiejś maszyny.
Być może będzie mogła jeszcze tamtędy przejść, a jeżeli zrobi to szybko, dziecko nie zdąży się przebudzić.
Żwir pod kołami wózka szumi i chrzęści, ale mimo to kobieta słyszy jak tam, w miejscu prowadzonych robót, trzaskają gałęzie łamanych drzew i krzewów. Kobieta bez sympatii myśli o tych ludziach, którzy nie potrafią nic zrobić bez zniszczenia bodaj jednego drzewka.

Minęła ostatnią kępę drzew i stanęła jak słup soli, a wózek wypuszczony z rąk potoczył się jeszcze kilka metrów. Cały ten rejon parku, aż po wierzchołki wysokich drzew, zalany był pulsującą poświatą bajecznych barw. Parkowa aleja była tu zupełnie rozorana na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Wokoło wszystkie mniejsze drzewa i krzewy były dosłownie wdeptane w ziemię.
Dzieła zniszczenia dokonywały dwie monstrualne bestie o wyglądzie nieporównywalnym z niczym na ziemi.
Większy z tych potworów miał pysk jak ogromny dzwon, osadzony na gigantycznej, galaretowatej bani. Mimo ogromnych rozmiarów całe to monstrum podskakiwało zwinnie jak piłka, wymachując jednym ogromnym i długim łapskiem, gniotąc wszystko, co tylko napotkało.
Druga bestia, mniejsza, była zupełnie inna. Stała na dwóch podkurczonych łapach i była pokryta czymś połyskującym metalicznie. U szczytu jej korpusu błyszczały dwa ciemne, gorejące otwory przypominające oczy.
Co chwilę większy z potworów dosięgał długim łapskiem swego przeciwnika, waląc z taką siłą, że każde uderzenie przypominało huk młota pneumatycznego. W odpowiedzi na to mniejsza bestia wyrzucała spod nóg całą masę ziemi, darni i korzeni, rażąc tym olbrzyma.
Co jeszcze widziała kobieta?
Widziała jakieś gigantyczne rośliny, liście wielkości blatu stołu leżące dookoła, potworne i dziwaczne w swoich ogromnych rozmiarach robactwo, wijące się wokół.
Kobieta stała tak w bezruchu i patrzyła.
Ogarniało ją jedno wielkie uczucie i pragnienie zarazem.
Chciała wyrwać z tej okropnej sceny rzecz, która była tutaj najcenniejsza – kolorowe, cudowne w swym zachwycającym blasku źródło światła leżące nieopodal. Musi to zrobić koniecznie.
Taki był początek.

■

Droga

Marek Hemerling

I

Słońce przygrzewało coraz mocniej. Cornick przewrócił się na plecy. Pogodne niebo nachylało się nad nim, wlewając nieruchome piękno w dusze patrzącego. Uczucie lekkości śpiewało w sercu mężczyzny. Byłoby wspaniale tak leżeć i nie myśleć o niczym, ale niestety czas się kończył.

Wstał leniwie i podszedł do samochodu stojącego na poboczu drogi. Wóz nie wyglądał najlepiej, ale jeździł – i to na razie musiało wystarczyć. Z czasem może uda się zdobyć coś lepszego.

Ruszył powoli, wsłuchując się w pracę silnika. Chodził równo, chociaż można było wyczuć pewne opory.

– Niedługo pociągnie, ale nie ma tu na co czekać. Może gdzieś dalej uda mi się zorganizować jakiś serwis.

Droga była wąska i roiło się w niej od dziur. Trzeba dużej zręczności, żeby nie zostawić koła w którejś z nich. Ale bywało przecież gorzej.

Przypomniał sobie drogi, po których jechał kiedyś z ojcem, matką i siostrą. Były to normalne, polne drogi z koleinami, a wóz ciągnęła para starych, zabiedzonych chabet. Wtedy nawet w snach nie widział takich samochodów jak ten, który teraz prowadził.

Z zamyślenia wyrwało go głośne trąbienie. Spojrzał w lusterko i zobaczył faceta na motorze. Twarzy nie mógł dostrzec – była zasłonięta ciemną szybą. Z zachowania motocyklisty wynikało, że bardzo się śpieszy i chętnie wyminąłby samochód, ale nie ma na to miejsca. Cornick zboczył nieco, motocyklista dodał gazu i tyle było go widać.

– Właściwie po co się taki facet spieszy – zastanawiał się. – Ojciec mój mawiał często: „Spiesz się powoli, zawsze zdążysz na swój pogrzeb". I zdążył nieborak, niestety.

Ogarnęła go fala wspomnień. Śmierć ojca. Tak niedawna, a jaki ten obraz zamazany w jego świadomości. Pamiętał mgliście, że ojciec wziął na wóz jakiegoś faceta, który szedł sobie drogą. Potem cała rodzina rozbiła namiot na noc, a rankiem nie było ani wozu, ani siostry. Uciekła z przybłędą, pozostawiając rodzinę bez możliwości poruszania się.

Ojciec nie przeżył tego ciosu. Zmarł w kilka dni potem. Był już stary, wóz stanowił wszystko, co posiadali. Matka została przy grobie. Cornick ruszył na pieszą tułaczkę obiecując sobie, że nigdy nie weźmie przygodnego pasażera, jeśli będzie kiedykolwiek posiadać wóz.

Wędrował długo. Często głodował, ale do tego był już przyzwyczajony w dzieciństwie. Stracił rachubę dni. Nocował gdzie się dało. Zimę przesiedział w przydrożnym zajeździe jako chłopiec do wszystkiego. Pracował za kąt do spania i miskę strawy. A z wiosną opuścił gospodę na podarowanym przez właściciela, rozpadającym się rowerze.

Potem zaczęło się normalne życie. Posuwał się cały czas przed siebie. Zmieniały się drogi, krajobrazy, ludzie których spotykał. Wszystko to zlało się w jeden ciąg, z którego nie można już było wziąć pod lupę wspomnień żadnego fragmentu. Z czasem rower został zastąpiony przez jakiś stary, ledwo ciągnący się gruchot na czterech kółkach. Potem przyszły inne samochody. Dorabiał się powoli, ale systematycznie. I, wierny raz powziętej decyzji, nigdy nie wpuszczał do środka przygodnych pasażerów. Pamiętał doskonale, jak oszukano jego ojca i wolał podróżować sam, nie dowierzając nikomu.

Poczuł nagle szarpnięcie kierownicą. Pogrążony we wspomnieniach nie zauważył leżącego na drodze kamienia. Na szczęście samochód trzymał się dzielnie. Cornick spojrzał przed siebie i z zadowoleniem stwierdził, że kilkaset metrów dalej droga rozszerzała się i była wyraźnie lepsza.

– Widocznie położono nową nawierzchnię – pomyślał. – Będzie można zwiększyć tempo. Wlokłem się dotąd niesamowicie.

Wjechał na ten lepszy odcinek i dodał gazu. Samochód poszedł jak burza. Cornick poklepał czule kierownicę.

– Robi co może – mruknął. – Szkoda będzie rozstać się z tym pudłem, ale nie ma innej rady. Przy najbliższej okazji spróbuję go komuś upchnąć i wykombinować inny środek lokomocji.

Minął autobus, potem dwie ciężarówki. W lusterku zauważył czarny wóz jadący w dość znacznej, ale stałej odległości. Nie zwracał jednak na niego uwagi. Upajała go sama jazda. Nareszcie coś, na co czekał od dłuższego czasu. Poczciwa droga, bez specjalnych przeszkód i utrudnień. Jechało się po niej szybko i gładko. Czego więcej potrzeba?

Po jakimś czasie zza kolejnego zakrętu wyłoniło się rozdroże. Stanął niezdecydowany. Którą z dwóch możliwości wybrać? Obie były podobne do siebie, ale każda wiodła w innym kierunku.

– Masz ci los. Którędy jechać dalej?

Czarny wóz, pędzący dotychczas z tyłu, minął go i skręcił w lewo. Cornick, olśniony nagłą decyzją, ruszył za nim.

– Ten kierowca chyba wie, co robi. Nie zastanawiał się przecież ani chwili, więc najwidoczniej jest dobrze zorientowany i można mu zaufać.

Dodał gazu i zbliżył się do czarnego samochodu na tyle, że dostrzegł wyraźnie sylwetki siedzących w nim ludzi. Było ich czterech. Czterech mężczyzn, zwyczajnych jak wszyscy. Chwilę ich obserwował, a potem dał spokój, cóż oni mogą go obchodzić? Mają swoje sprawy – podobnie jak on – a to, że jadą akurat tą samą drogą... Zwykłe zrządzenie losu.

Czarny wóz zwolnił. Cornick, nie zastanawiając się, dodał gazu i wyprzedził. Ale po chwili zorientował się, że tamci go gonią.

– Wyścigów im się zachciało – pomyślał. – Dobra, możemy się zabawić.

Jazda stawała się coraz szybsza. Czarny następował Cornickowi na pięty, ale ten nie rezygnował. Brał zakręty jeden po drugim, na prostych wyciskał całą moc z silnika. Zaczynało mu się to coraz bardziej podobać.

Kolejny wiraż. Cornicka zarzuciło na zewnętrzną. Czarny wszedł po krótszym łuku i wypadli na prostą „łeb w łeb". Cornick dostrzegł twarz swojego rywala przy kierownicy tamtego wozu. Była nieruchoma, ale zdradzała wewnętrzne napięcie. W tej samej chwili poczuł, że jest spychany na pobocze. Próbował kontrować, lecz tamten miał większą masę. Jeszcze jedno zdecydowane szturchnięcie i świat wywinął kozła

II

Odzyskał przytomność w jakiejś chacie. Po izbie krzątał się starzec, zdaje się pitrasił też coś na piecu. Gdy zauważył, że Cornick otworzył oczy, podszedł bliżej.

– Zbudziłeś się, nieboraku – powiedział skrzypiącym głosem. – A już zaczynałem się obawiać, że coś jest nie w porządku. Spałeś całe dwa dni.

– Jak się tu znalazłem?

– Normalnie. Wracam wieczorkiem ze spaceru i widzę rozbity samochód. Podchodzę bliżej, patrzę, leży biedaczysko w środku. Zalany krwią, a dycha jeszcze, więc wywlokłem cię z tego wraka, przyniosłem tu i opatrzyłem.

Cornick dotknął głowy. Ręka trafiła na grubą warstwę bandaża.

– Nieźle mnie urządzili – pomyślał, a głośno dodał: – Dziękuję dziadku. Gdyby nie...

– Dobra, dobra – stary machnął ręką i podreptał w głąb izby. – Zjesz coś, nieboraku?

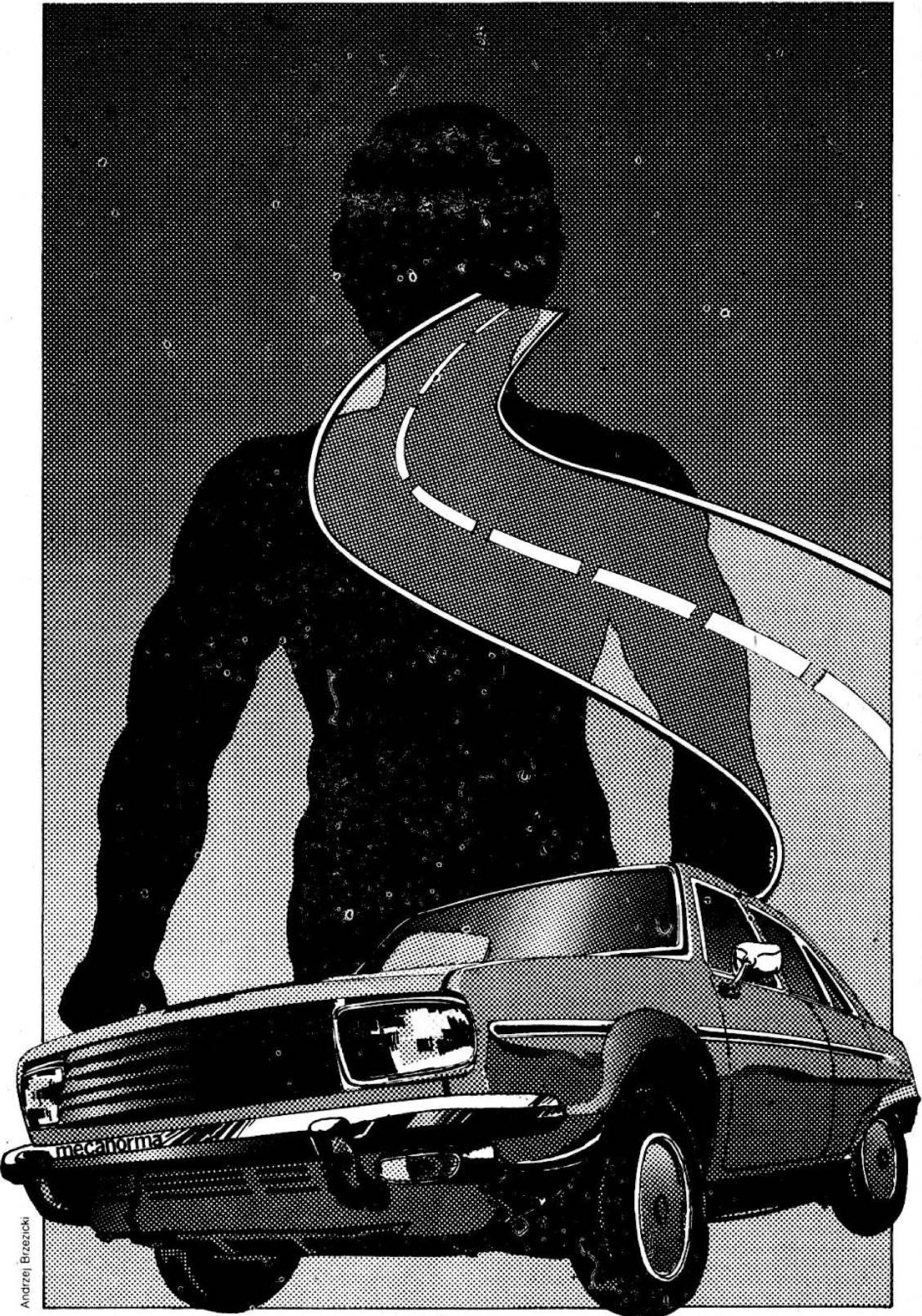
– Pić mi się chce.

– Zaraz będzie rosół, to i pojesz, i popijesz.

Cornick spróbował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem na poduszki.
– Widzicie go, jaki szybki – gderał stary. – Ledwo cię kostucha odstąpiła, a już byś chciał gnać dalej. Przyhamuj z lekka. Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł.
I tak pogadując krzątał się po izbie, szykując posiłek. Cornick przymknął oczy. Był wyczerpany – czuł to wyraźnie. Słowa starego ledwo do niego docierały. Zastanawiał się, dlaczego oni to zrobili, ale niczego sensownego nie mógł wykoncypować. O co im chodziło? W czym im zawinił? Jechał przecież najzupełniej poprawnie.
Rozmyślania przerwał mu starzec. Postawił obok niego miskę z rosołem i przysiadł na brzegu łóżka,.
– Jak ci na imię? – spytał.
Otrzymał odpowiedź zgłuszoną odgłosem przełykanego rosołu.
– A mnie zwali Teodorem. Ale to było dawno, kiedy jeszcze wędrowałem. Potem zabrakło sił. Nie te lata. Zatrzymałem się więc w tym miejscu i zacząłem sobie sam gospodarzyć.
– Kto stoi w miejscu, ten się cofa – zauważył Cornick.
– Mnie tam już wszystko jedno. – Starzec uśmiechnął się dobrodusznie. – Swoją drogę przeszedłem i tutaj jej kres. Nie tęsknię za niczym. Ale tyś młody i pewnie głowę masz gorącą, mimo że trochę podziurawioną.
– A co innego miałbym robić? Ciągnie mnie takie życie. Zresztą, nie tylko ja...
– Racja, racja. Teraz wszyscy tacy. Pędzą i pędzą, i tylko patrzą, jak tu najkrótszą drogą dotrzeć do celu. Dziwny świat. Nie na moje nerwy, o nie. Dawniej ludzie byli inni. Też jechali, ale nie tak jak teraz. Jeden patrzy na drugiego wilkiem. A przedtem ludziska się znali i trzymali razem. I drogi były inne, i koń wystarczył. Ech, dziwny świat, głupi.
– Dlaczego głupi?
– Bo wszyscy powariowali. Spieszą się, nigdzie miejsca nie zagrzeją.
– Chcą, żeby im było lepiej, łatwiej...
– Iiii tam, gadanie. – machnął ręką stary. – Każdemu się wydaje, że tam, gdzie go jeszcze nie było, jest jakieś „niewiadomoco", które trzeba zobaczyć, dotknąć, posmakować. Jak będziesz miał moje lata, sam to pojmiesz.
Cornick wzruszył ramionami. Gada i gada. Poczuł, że chce mu się spać. Ożywcze ciepło rozchodziło się po całym ciele, napełniając umysł błogim lenistwem.
Spał niespokojnie, zrywając się co jakiś czas. Mamrotał przy tym słowa bez związku. Miał gorączkę, ale do rana wszystko mu przeszło i obudził się jak nowo narodzony.
– Widzę po twoich oczach, że wracasz do zdrowia – powitał go starzec. – Chodź, sprawdzimy co z twoją głową.
Rana zasklepiała się w szybkim tempie. Można było już zdjąć opatrunek.
– Goi się jak na psie – stwierdził z zadowoleniem Teodor. – Masz zdrowie, synku. Zdrowie i kupę szczęścia.
– Że mnie znaleźliście, dziadku?
– Że masz czaszkę twardszą od drzewa, barani łbie. Szybko się wyliżesz, ale możesz zostać u mnie, jak długo będziesz chciał.
– Pójdę dalej.
– Pieszo?
– Trudno. Na razie pieszo. Potem zobaczę.
– Jesteś taki sam, jak całe to zwariowane pokolenie. Ale nie możesz iść tak zaraz. Poczekaj, aż nabierzesz sił. Chociaż parę dni, bo inaczej daleko nie zajdziesz. Zasłabniesz jeszcze przy drodze i nikt cię nawet nie zauważy.
Dni mijały. Cornck czuł się coraz lepiej i coraz bardziej chciał wracać na szlak. W rozmowach z Teodorem często o tym wspominał, ale stary tylko machał ręką.
– Jeszcześ całkiem nie wydobrzał, więc mi się tu nie wymądrzaj – powtarzał.
Wiele rozmawiali ze sobą. O życiu, drodze, ludziach. Stary opowiadał, że gdzieś daleko jest miejsce, do którego wszyscy zdążają. Nazywał to Autostradą. Cornick po raz pierwszy w życiu słyszał o czymś takim. Był strasznie ciekaw, jak to może wyglądać i koniecznie chciał wiedzieć, którędy się tam dostać.
– Widzę, że nie wybiję ci tego z głowy, synku. Ale nie będę zabraniać, choć cię polubiłem. Hm, Autostrada. Nic dobrego tam nikogo nie spotyka. Przekonaj się sam, jeśli nie wierzysz staremu. Znałem takich, co wyruszyli i nigdy nie wrócili.
– Po co mieliby wracać, jeśli im tam dobrze?
– Co to znaczy: „dobrze"? Mnie jest dobrze tutaj. Jestem szczęśliwy, że nie muszę nigdzie gnać na złamanie karku, że mam czas na rozmyślania o tym, co przeżyłem. Jestem prostym człowiekiem i nie potrafię mądrze mówić, ale czuję to doskonale. A ty, jeśli chcesz, pędź z innymi. Nie będziesz mógł nawet obejrzeć się za siebie. Ale to już tylko twoja sprawa.

III

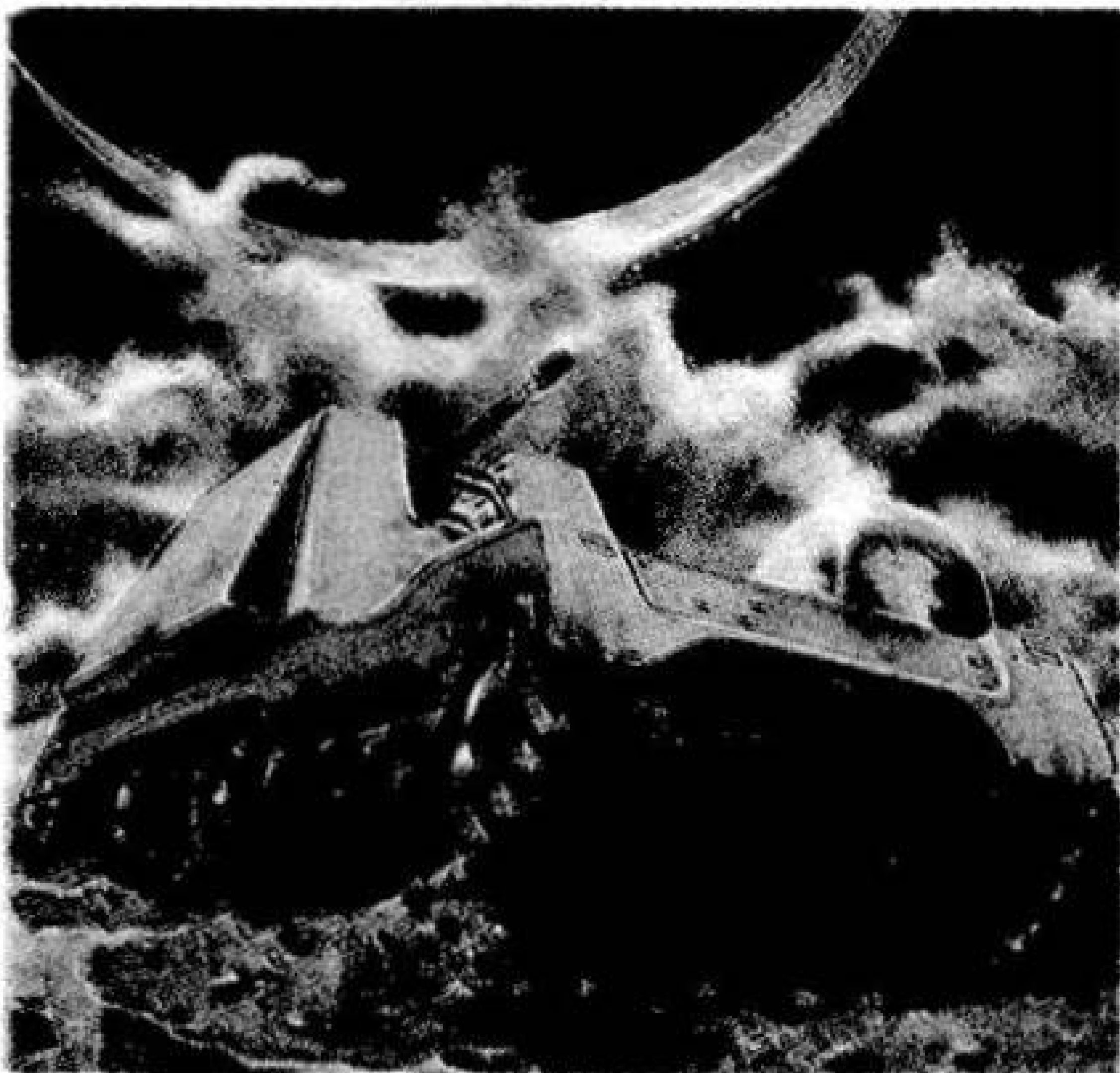
Trzy dni minęły od czasu, jak Cornick opuścił gościnną chatkę Teodora, zaopatrzony w żywność i dobre rady. Stary do końca gderał i złorzeczył, ale pożegnał go serdecznie. Wiedział, że nie wytłumaczy gorącej głowie swoich racji, bo do tych prawd każdy człowiek dochodzi sam i nie ma na to innego sposobu.
Chwilowo jednak Cornick dochodził nie do prawd, lecz do wspaniałego, sportowego wozu, który stał na środku drogi. Najwidoczniej coś nawaliło, a właściciel nie mógł dać sobie z tym rady.
– Ładna maszynka – ocenił Cornick. – Taką można gnać nawet i na koniec świata.
Podszedł bliżej i zauważył, że lewe tylne koło zamieniło się w bezkształtny kapeć, a w środku wozu siedzi kobieta z niewyraźną miną. Skinął głową na powitanie. Ona opuściła szybę i chwilę mu się przyglądała.
– Potrafi pan to naprawić?
– To zależy. Z klejeniem mogłyby być kłopoty, ale jeśli znajdzie się zapasowe koło, to nie ma sprawy.
– Świetnie – ucieszyła się kobieta. – Nazywam się Ivory – wyciągnęła rękę na powitanie. Cornick przedstawił się i uścisnął jej dłoń.
– Sterczę tu już pół dnia i nikt nie chce się zatrzymać – szczebiotała. – Będę ci bardzo wdzięczna, jak mi pomożesz.
Cornick przyjrzał się jej uważnie. Była na pewno starsza od niego i do tego brzydka, ale zachowała jeszcze figurę i poruszała się energicznie.
– Zapasowe koło jest w bagażniku. – Ivory podała mu kluczyki.
Z wymianą poszło gładko. Cornick wycierał właśnie pobrudzone ręce w jakąś szmatę, a ona stała oparta o maskę wozu. Taksowali się spojrzeniami. Wreszcie Ivory wsiadła do środka, zostawiając miejsce przy kierownicy wolne.
– Pakuj się szybciej – wskazała ruchem głowy pusty fotel.
Posłuchał jej i wsiadł.
– Jedziemy? – spytał.
Uśmiechnęła się, odsłaniając dwa rzędy równych, białych zębów.
– A masz coś przeciwko temu?
Bez słowa uruchomił silnik i ruszył, aż zapiszczały opony. Przyspieszenie wgniotło go w fotel.
– Świetnie ciągnie – stwierdził w duchu.
Pokonywali drogę. Opowiedział jej, co mu się przytrafiło, a ona uraczyła go historią swojego życia. Była córką bogatego faceta i wiodło jej się aż do obrzydzenia dobrze. Miała kiedyś męża, który zginął w jakimś wypadku. Ostatnio jeździła bez celu. Raz nawet próbowała poruszać się pod prąd, ale szybko wybito jej to z głowy. W końcu co za sens sprzeciwiać się ogólnie przyjętym normom.
– Chciałam się cofnąć, ale napotkałam całą masę trudności. Nie pozostało mi nic innego, jak podporządkować się. No i jestem tutaj.
Cornick się zdziwił.
– Też pomysł. Jazda w przeciwną stronę. Mnie by nigdy coś takiego nie przyszło do głowy.
Chwilę milczał.
– Wiesz, nie mogę zrozumieć jednej rzeczy – podjął po jakimś czasie. – Dlaczego oni mnie zaatakowali? W czym ja im przeszkadzałem? Męczy mnie to od chwili, gdy odzyskałem przytomność.
Roześmiała się.
– Jaki ty jesteś jeszcze dziecinny. Nie rozumiesz takich prostych rzeczy. Tylko się nie obrażaj...
– Nie obrażam się. Chcę zrozumieć... dlaczego?
– Musiałeś się komuś narazić. Istnieją grupy, kontrolujące niektóre odcinki dróg i dopuszczające tam tylko swoich ludzi.
– Co to za grupy?
– Gangi, mafie, co tylko chcesz. Nie słyszałeś nigdy o tym? Gdzieś ty się uchował?


mecanorma
Andrzej Brzezicki

– Na prowincji – Cornick ponuro zwiesił głowę.
– Wdepnąłeś chyba tam, gdzie cię nie potrzebowano. Pewnie próbowałeś być lepszy od nich i to wszystko.
– Mogli mnie przecież zabić! – zauważył z oburzeniem.
Skwitowała to machnięciem ręki.
– Nie bądź śmieszny. Co znaczy jedno życie, wobec całej tej olbrzymiej machiny, jaką jest świat. Dokładnie nic. Zero. Absolutna pustka.
– To przecież niezgodne z prawem. Każdemu wolno jeździć tam, gdzie mu się podoba.
– Prawo zostaw prawnikom, a życie ludziom.
Poddał się, niestety Ivory miała rację. Wiedział o tym, choć jednocześnie czuł, że tak być nie powinno. Na wszelki wypadek zmienił temat rozmowy.
– Słyszałaś coś o Autostradzie? – spytał.
– Słyszałam, a nawet byłam bardzo blisko tego miejsca.
– Chciałbym tam dotrzeć.
– Czemu nie. Wiem, że o tym wszyscy marzą, ale nie wszystkim się to udaje. Dostać się tam, to wielka sztuka.
– Mimo to muszę spróbować.
– Pamiętaj tylko, że jak już raz tam wpadniesz, nie będziesz miał odwrotu.
Mijali właśnie jakieś miasto. Cornick widział różne drogowskazy i trasy rozchodzące się we wszystkie strony.
– Którędy jechać?
– Nigdy nie wiadomo, która droga prowadzi do celu – odparła Ivory – Niektóre kończą się nagle w szczerym polu, inne mogą cię doprowadzić do miejsca, w którym byłeś już wiele lat przedtem. Czasem ludzie krążą w kółko przez całe życie i nie mogą się nigdzie wyrwać, choć zdaje im się, że poruszają się do przodu.
Krążyli po uliczkach miasta. Wreszcie Cornick podjął decyzję. Wybrał trasę i nie oglądając się już ani razu pognał przed siebie.
Zauważył wkrótce, że droga jest z każdym kilometrem lepsza – była teraz szersza i miała gładszą nawierzchnię.
Zapadł już zmierzch. Ivory poczuła zmęczenie i prosiła, żeby się gdzieś zatrzymać na noc. Po kilku kilometrach trafiła się wygodna zatoczka. Coś w rodzaju parkingu. Był nawet stół i ławki pod daszkiem wspartym na palach. Idealne miejsce na nocleg.
Ivory wydobyła z bagażnika zapasy i przygotowała zaimprowizowaną kolację. Jedli w milczeniu. Cornick czuł jakieś bóle czaszki.
– Widocznie rana jeszcze się dokładnie nie wygoiła – pomyślał. Szybko skończył jeść i poszedł do wozu. Rozłożył swój fotel, rzucił na wierzch gruby koc i wyciągnął się wygodnie. Znużenie dało znać o sobie. Sprawiało mu swoistą przyjemność takie zmęczenie po ciężkim dniu.
Kątem oka dostrzegł, że Ivory weszła do środka i ułożyła się na drugim fotelu. Usłyszał w ciemności jej głos:
– Śpisz?
– Nie, myślę.
– O czym?
– O moim życiu.
– Daj teraz spokój takim myślom.
– Dlaczego?
Poczuł jej oddech na swojej twarzy. Objęła go i pocałowała w usta.
– Czy masz coś przeciwko temu? – spytała.
W milczeniu oddał pocałunek.

IV

Ruszyli w dalszą drogę zaraz po śniadaniu. Pogoda popsuła się. Cornick musiał uważnie prowadzić, bo szosa pokryła się w nocy śliską warstewką szronu.
Rozmawiali niewiele. Cornick ciągle jeszcze był zbyt zafascynowany klasą wozu, a Ivory nie miała ochoty na pogawędkę. Jechali więc w milczeniu, wyprzedzając pojazdy. Mimo wczesnej pory był spory ruch. Kilka razy napotkali na świeże wraki. Krzątała się przy nich służba porządkowa. Cornick nie przejmował się takimi rzeczami. Według niego było to zwyczajne życiowe ryzyko, które każdy człowiek bierze na siebie w momencie przyjścia na świat.
Przejeżdżali akurat przez długi zakręt rozciągnięty nad skrajem sporej przepaści. Widok był tak niezwykły, że Ivory poprosiła, aby zatrzymali się na chwilę. Oparta o barierkę spoglądała w dół na groźne w swej wymowie piękno natury. Groźne i monumentalne.
Cornick nie dał się namówić na podziwianie widoków. W momencie, kiedy Ivory pogrążona w kontemplacji zapomniała o całym świecie, przebiegła mu przez głowę szybka myśl. Nie zastanawiając się włączył silnik i wyrwał gwałtownie do przodu. Zauważył jeszcze w lusterku postać dziewczyny, która biegła środkiem drogi i wymachiwała rękami.
Odetchnął z ulgą. Pozbył się wreszcie zbędnego balastu. Został panem sytuacji. Była to normalna kradzież, ale nie przejmował się. Zastosował po prostu prawa obowiązujące w dżungli, w której przyszło mu żyć. A prawo to mówiło, że tylko silniejszy i sprytniejszy ma szansę przetrwania i wygrania swojej sprawy.
Po paru godzinach jazdy natknął się na drogowskaz. Był stary i zmurszały, ale napis na nim zelektryzował Cornicka. Zatrzymał wóz, wysiadł i przeczytał uważnie – raz, drugi, dziesiąty. Na desce białą farbą wymalowane było słowo: „AUTOSTRADA" i niewielka ilość kilometrów dzieląca go od tego miejsca.
Robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Usiadł, opierając się plecami o drogowskaz. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko jest takie proste. Wystarczy wsiąść do wozu i po godzinie znajdzie się w miejscu, ku któremu dążył przez całe życie. Nawet kiedy nie wiedział jeszcze dokładnie o co chodzi, wyczuwał to podświadomie. Szukał tego miejsca od chwili, gdy opuściwszy matkę zaczął pokonywać szlak na swój własny rachunek. I oto teraz, stało się.
Skoczył na równe nogi i jeszcze raz przebiegł oczami napis na drogowskazie. Bał się, że to może złudzenie. Ale napis pozostał taki, jakim go ujrzał w pierwszej chwili.
– To nie sen – mówił na głos, a łzy ściekały mu po twarzy.
Nie czekał dłużej. Wóz runął naprzód. Zakręty, drzewa, pobocze... Wszystko to zlało się w jedno migotliwe pasmo. Pęd maszyny upajał. Być tam, zaraz, natychmiast, już! Nie dać się wyprzedzić innym. Nie marnować więcej czasu na tych peryferyjnych drogach. On – Cornick – był urodzony do wyższych celów. I z każdym przebytym kilometrem pewność tego faktu rosła w jego duszy.
W godzinę później z lekką obawą wjeżdżał na skrajny pas Autostrady. Sunął powoli, rozglądając się uważnie na boki.
– A więc to tak wygląda – myślał.
Przyspieszył, zjeżdżając coraz bliżej środkowego pasa. Tempo rosło. Dostrzegł inne wozy, jadące w tym samym kierunku.
– Tylko nie dać się zepchnąć na boczny tor.
Włączył się w sznur maszyn. Pęd niósł ich wszystkich wspaniałą szeroką linią Autorstrady. Silniki pracowały na najwyższych obrotach. Ludzie w skupieniu i z uwagą trzymali kierownice. Wspaniała nawierzchnia, równa i gładka jak lustrzana tafla. Migające krajobrazy, którym nie było nawet czasu się przyjrzeć. Tempo, tempo, wciąż szybciej, coraz szybciej – jakby demon pędu opanował ich wszystkich, zespolił z maszynami i kazał mknąć przed siebie. A świat cały pędził wraz z nimi, aby gdzieś tam – dalej – stoczyć się w okrutną nicość.



Gajda Roman

(1908–)

Literat, dziennikarz

Roman Gajda urodził się 10 marca 1908 r. w Pabianicach. Jego ojciec był tkaczem, matka pracowała w przędzalni. Skrajnie trudne warunki materialne sprawiły, że późniejszy autor „Ludzi ery atomowej" ukończył jedynie szkołę podstawową. W wieku dwudziestu lat stracił oboje rodziców. Pracował w różnych zawodach, zdobywając wiedzę na własną rękę. Debiutował jako 18-letni chłopak wierszami i artykułami drukowanymi w lokalnej prasie. Na krótko przed wybuchem wojny napisał autobiograficzną powieść „Miasto mojej młodości". Wydawnictwo „Rój" Melchiora Wańkowicza wyraziło zgodę na jej poblikację, lecz wojna zniweczyła nadzieje autora.

W czasie okupacji Roman Gajda musiał ukrywać się przed Gestapo, za wydrukowanie artykułu ośmieszającego Hitlera. Jeszcze przed zakończeniem wojny zaczął pracować w redakcji „Głosu Ludu", a następnie w zespole „Polskiej Agencji Wydawniczej". W roku 1970 ukazała się pierwsza edycja jego książki „Wybór idiomów angielskich" (Wiedza Powszechna, do 1983 – 3 wydania). Roman Gajda jest również autorem słuchowiska radiowego „Tahiti" oraz pamiętników z lat 1945–1960, które czekają na publikację.

Jedyna powieść fantastyczno-naukowa Romana Gajdy – **„Ludzie ery atomowej"** (Iskry, 1957) została napisana w roku 1948. Ponieważ książka ta doczekała się odrębnego omówienia na łamach „Fantastyki" (6/83), nasi Czytelnicy znają zapewne jej fabułę. Powieść opowiada o losach Polaka, Jana Relskiego, przeniesionego w przyszłość, biorącego udział w konfliktach społeczno-politycznych XXI stulecia. Era atomowa, mimo deklarowanych haseł powszechnego braterstwa i egalitaryzmu, okazuje się jeszcze jedną odmianą systemu totalitarnego opartego na krzywdzie i niesprawiedliwości społecznej. O genezie tej antyutopii pisze autor w liście do redakcji datowanym na 4 V 83 r:

„Do napisania książki przygotowywałem się przez wiele lat, pogłębiając swoje wiadomości z różnych dyscyplin nauki, nie wyłączając fizyki atomowej. Po prostu czułem wewnętrzną potrzebę stworzenia własnego świata, który dojrzewał we mnie długo i powoli się krystalizował (...). Teraz, po 25 latach, jestem przekonany, że powieść wygrała wyścig z czasem. Życie potwierdziło słuszność wielu koncepcji futurologicznych, również w sferze osiągnięć technicznych. Zbudowano obiekty latające, które swoją doskonałością dorównują opisanym przeze mnie torpedostratusom. Promienie śmierci do złudzenia przypominają wiązki promieni laserowych (...), nawet miasto podziemne, ten cud architektury przyszłości, zostało zbudowane niedaleko Kansas w Stanach Zjednoczonych".

Powieść Romana Gajdy, opublikowana w niewielkim nakładzie ośmiu tysięcy egzemplarzy, nie wywarła większego wpływu na kierunki rozwoju polskiej prozy science fiction. Co prawda, utwór doczekał się kilku recenzji prasowych (co w latach 50-tych było zjawiskiem stosunkowo rzadkim), ale były to bez wyjątku opinie o charakterze negatywnym: zarzucano Gajdzie powierzchowność podejmowanej problematyki oraz niedociągnięcia o charakterze stylistyczno-konstrukcyjnym. Fragment prezentowany na „Pożółkłych kartkach", daleki od socjologicznych dywagacji autora, jest opisem zagłady podziemnego miasta, tragiczną panoramą wojny termonuklearnej, jedną z pierwszych, polskich, powojennych wizji katastroficznych przypominającą współczesne epizody... „Gwiezdnych wojen" G.Lukaša.

Bibliografia wybrana:

– W. Kopaliński *„Kiełki nowego"* (w) „Nowa Kultura" 1958/9.

– J. Siewierski *„Wizja przyszłości za złotych 16"* (w) „Nowe Książki" 1958/4.

Gajewski Henryk

(1930–)

Nauczyciel, literat

Henryk Gajewski urodził się 12 listopada 1930 r. w Zambrowie. W latach 1948–1960 pracował jako nauczyciel, później – dozymetrysta w kombinatach przemysłu chemicznego (Kędzierzyn, Tarnów, Płock). Opublikował m.in.: opowiadanie „Marzyciel technikiem" w „Almanachu Młodych" (Wyd. Iskry, 1974), powieści: „Kekule i małpki" (Wyd. CRZZ, 1979), „Fuga" (Wyd. Lubelskie, 1979), „Ballada Płocka" (Ossolineum, 1982). Laureat krajowych konkursów literackich w latach 1966–1967.

Jako autor SF debiutował w roku 1967 na łamach październikowego numeru „Młodego Technika" opowiadaniem **„Przepowiednia"**. Kolejne teksty zamieszczał również w tym samym miesięczniku. Były to: **„Przybysz z rury Golda!"** (12/1968; przedruk w almanachu „Kroki w nieznane", Iskry 1971), **„Metoda Mortona"** (9/1975, przedruk w antologii „Wołanie na Mlecznej Drodze", Nasza Księgarnia 1976), **„Precedens"** (11/1973, przedruk w antologii „Drugi próg życia", Nasza Księgarnia 1980), **„Dewolucja"** (3/1977), **„Władca czasu"** (10/1978), **„Homo sum"**(12/1979). W najbliższym czasie, nakładem Wyd. Ossolineum, ukaże się powieść **„Fiat panis"** ... dotycząca zagadnień rewolucji naukowo technicznej i problemów etycznych z nią związanych.

Opowiadania Henryka Gajewskiego podejmują tematy procesu doskonalenia cywilizacyjnego. Nie są jednak bezkrytyczną apologią tego procesu, przeciwnie – w krótkiej, niezwykle oszczędnej formie informują o zagrożeniach wynikających z niekontrolowanego postępu technicznego (kwestia adaptacji człowieka do warunków zmieniającego się świata, problem ingerencji w psychikę jednostki, zagadnienia kryzysu cywilizacyjnego). W ośmieszaniu, parodiowaniu zjawisk nadchodzącej rzeczywistości autor wykorzystuje takie chwyty formalne jak groteska, pastisz, aluzja słowna itp.

LUDZIE

Wypadki nie dały na siebie długo czekać. Sztab Armii Pokoju postanowił dokonać próbnego lotu bojowego na teren Bieguna Południowego. Ponieważ wyrzutnie ładunków elektrycznych „Z 48" nie były jeszcze gotowe zdecydowano przeprowadzić atak za pomocą torpedostratusów kierowanych z Norbant falami radiowymi, przy użyciu telewizji dla kontroli tras lotu i odszukania właściwego celu. W pierwszym ataku miano zniszczyć wszystkie urządzenia hydrotermiczne, stacje ciepłych wiatrów oraz budynki mieszkalne. Przy następnym miałyby ulec zniszczeniu, przy użyciu bomb wirowych o wielkiej sile, stacje generatorów uranowych w mieście podziemnym (...).

Fantom nie przypuszczał, że niebezpieczeństwo było aż tak bliskie. Torpedostratusy z Norbant przeszły już „strefę śmierci" i za kilka minut miały się zjawić nad miastem maszyn. Wyrzutnie elektrycznych ładunków, mimo że działały bez zarzutu, nie zdołały zatrzymać atakujących....

Fantom patrzył z przerażeniem, jak na ekranie radarowo-telewizyjnym ukazały się groźne sylwetki torpedostratusów nieprzyjacielskich. Pędziły wprost na teren stacji. Eskadra własnych maszyn krążyła w pobliżu czekając na wroga.

– M 35 i M 39 atakować! – krzyknął do tembrafonu. A gdy obie maszyny wykonały rozkaz i zachodziły nieprzyjaciela od tyłu, zakomenderował po raz drugi:

– Ognia!

Rozległ się głuchy trzask i przeciągłe wycie. Nagle na ekranie ukazała się smuga jasnego dymu.

– Trafiony! N 315 trafiony! – usłyszał zwycięski głos płynący z aparatu. Był to meldunek pilota M 35. Na ekranie widać było zupełnie wyraźnie, jak torpedostratus M 35 przewrócił się gwałtownie w powietrzu i z błyskawiczną szybkością pomknął za drugą nieprzyjacielską maszyną, a dopędziwszy ją poczęstował serią świetlnych pocisków, z których kilka utkwiło w kadłubie. Nie upłynęło więcej jak pięć sekund, a z ugodzonego torpedostratusa trysnęły płomienie, a potem spirala gęstego, czerwonego dymu.

– Uwaga! N 325 trafiony! – meldował znowu ten sam głos należący do telepilota, operatora Romila.

Jednostajny szum, przerywany ostrym wyciem, gwizdem i grzmotem wybuchów wstrząsał niewielką salą i wszystko drżało, kotłowało się, jakby się Ziemia rozpadała...

Walka rozgorzała na dobre. Na ekranach radarowych wirowały bez przerwy świetliste punkty, podobne do maleńkich meteorów zabłąkanych wśród oceanu kosmicznej głębi (...).

Marek Fantom sam teraz prowadził do ataku jeden torpedostratus, wyłączywszy operatora. Wybrał N 43. Pa-

ERY ATOMOWEJ

Roman Gajda

łając nienawiścią do U N, porwany szałem walki, postanowił osobiście niszczyć maszyny wroga. Wpadł z niezwykłą szybkością między dwa zawikłane w walce torpedostratusy i serią celnych strzałów przebił na wylot jeden z nich.
Chmura gęstego jak fontanna dymu wystrzeliła z trafionego kadłuba. – Uwaga, torpedostratus N 375 trafiony! – meldował ktoś z jego eskadry. Był to już czwarty w ciągu dziesięciu minut walki.
– Piąty będzie należał do mnie – pomyślał wódz, włączając się znowu do walki po krótkiej przerwie, którą wykorzystał na rozpatrzenie sytuacji ogólnej.
Ale tym razem szczęście nie dopisało mu. Po kilku sekundach stracił maszynę zasypaną gradem pocisków termicznych. Słyszał ich zwycięski, krótki świst gdy przebijały grube, stalowe ściany na wylot, jakby były zrobione z wosku. Wyłączył się z płonącej maszyny i przełączył do następnej, która krążyła nad terenem walki...
U N mieli jeszcze pięć torpedostratusów. Należało jak najprędzej zniszczyć resztę. Fantom miał w swojej eskadrze jeszcze dziewiętnaście, gdyż stracił był sam jedną maszynę. Ale w tej samej chwili U S stracili drugą. Fantom zaatakował maszynę przeciwnika, która próbowała przedrzeć się przez podwójny kordon własnych torpedostratusów i zestrzelił ją w pierwszej sekundzie. Ale inny torpedostratus nieprzyjaciela wykonał zręczny wiraż i wystrzeliwszy pionowo w górę, ostrzem swego kadłuba przedarł się błyskawicznie w kierunku stacji magnetycznej. Pognało za nim kilka maszyn z eskadry Fantoma i w tym momencie, gdy dosięgały go termiczne pociski ścigających, oślepiająca błyskawica zakryła wszystko. Na ekranie telewizyjnym eskadry rozlała się fala migotliwego światła niezwykłej mocy i jak oślepiający reflektor rzuciła cały swój blask na przeciwległą ścianę.
– Łotry! – wykrztusił Fantom przez zaciśnięte zęby – poczęstowali nas chmurą atomową. – I natychmiast rzucił rozkaz: – Wycofać maszyny ze strefy ognia! Uwaga! Ścigać nieprzyjaciela aż do Norbant! Uwaga... Jesteśmy osaczeni – przemknęło mu przez myśl. Lecz na refleksje było już za późno. Na ekranach telewizyjnych ukazało się niepokojące, fioletowe światło.
– Zrzucić ładunki H 150! – krzyknął do tembrofonu, przesuwając dźwignię wyzwolenia śmiercionośnych bomb. Ale aparatura na TR 6 nie działała. Marek Fantom, śmiertelnie blady, spoglądał na białą plamę ekranu telewizyjnego. Po raz pierwszy w życiu odczuł boleśnie gorycz niepowodzenia, a może i ostatecznej klęski (...)
Od tego momentu wypadki rozegrały się błyskawicznie. Torpedostratusy nieprzyjacielskie niechętnie przyjmowały walkę, starając się przedrzeć przez kordon maszyn obrońców. Fantom szybko zorientował się, że torpedostratusy U N nie posiadają załogi, ponieważ wyrzutnie „P 48" nie czyniły im żadnej krzywdy. Rozkazał więc rzucać się na nieprzyjacielskie maszyny, gdyż pociski termiczne nie zawsze trafiały do celu. Sam stracił w ten sposób cztery torpedostratusy w ciągu kilku minut. Zdążył jednak zauważyć, że niektóre z jego maszyn, wbrew rozkazom, wystartowały z załogami, co wprawiło go we wściekłość, gdyż momentalnie ginęły od zabójczych ładunków elektrycznych. Przełączył się znowu na radarowy ekran swojej kabiny kontrolnej, aby zorientować się w położeniu nieprzyjacielskich torpedostratusów. Wtedy ujrzał na jego ciemnym tle świetliste kuleczki, które jak krople żywego srebra opadały szybko na dół.
– Bomby wirowe! ... Rzucili bomby wirowe na miasto generatorów ... – zdołał wyszeptać zbielałymi z przerażenia wargami. Radar nie kłamał. W tym momencie ogłuszający świst rozdarł powietrze, a urządzenia radarowo-telewizyjne przeniosły ten złowróżbny dźwięk do sali teleoperatorów. Nastała długa, niepokojąca cisza. Fantom zakrył rękami twarz. Upływały sekundy, które wydłużały się w nieskończoność. Jeszcze chwila, a potworne bomby, jak upiorne krety przewiercą półkilometrową warstwę ziemskiej skorupy i wówczas miasto stu milionów wolt zaleje morze ognia...
Spojrzał na ekran, na którym bomby znaczyły nieuchronnie swój ognisty ślad, ryjąc w ziemi. Było ich mnóstwo... Nagle oślepiający żar zgasił na chwilę jasność fluoryzujących lamp i szarosrebrzysty blask ekranów. Wszystko zawirowało i straszliwy huk zagłuszył krzyki ginących mieszkańców miasta generatorów atomowych...



Wyd. Iskry, Warszawa 1957, wybór ze stron 280–314

Opracował
Andrzej Niewiadowski

■

CIAŁO OBCE - ŚMIERĆ

Ze Stanisławem Lemem rozmawia Franz Rottensteiner

F.R.: – Jest pan znany przede wszystkim jako autor science fiction, ale pana twórczość określają zdecydowanie dwa bieguny. Z jednej strony poznanie, możliwości i granice naszej wiedzy oraz wynikająca stąd technologia, a z drugiej wartości ludzkie, powiedziałbym nawet wartości wieczne, wartości kultury, uznawane dziś niejednokrotnie za staroświeckie. Czy nie sądzi pan, że SF jako medium nadaje się doskonale do tego, aby w sposób literacki zadawać tego typu pytania?

S.L.: – Owszem, ale SF zmodyfikowana, a więc nie ta, którą sprzedaje się dziś i oferuje jako towar rynkowy. Jeżeli o mnie chodzi, usiłuję stale poszerzać ramy tego gatunku, aby wprowadzać do niego hipotezy fantastyczne, antropologiczne, filozoficzne i inne. Jednym słowem: eksperymentuję z tym medium, przy czym próby te nie są zbyt udane. Czasami jednak odnoszę wrażenie, że stworzyłem coś nowego, jak np. tę historyjkę – nie, nie historyjkę – potraktowaną na serio, chociaż fikcyjną recenzję pod tytułem „Prowokacja", opublikowaną w biblioteczce Suhrkamp, o fikcyjnym niemieckim antropologu, który w czasach III Rzeszy napisał rozprawę o tzw. ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej. To również uważam za rodzaj fantastyki, właśnie tę próbę, jakkolwiek należy potraktować ją poważnie. Tego typu temat nie może być potraktowany ironicznie czy wręcz z humorem. Jednym słowem, myślę, że jest to fałszywe zawężenie gatunku, jeżeli autor SF ogranicza się do tzw. problemów technologicznych, techniczno-instrumentalnych, opierając się na pewnych zamierzchłych mitach i legendach, nieco tylko odświeżonych i przybranych w kostium naukowy. I to uznaje się za nowość w kulturze.

– A więc określa pan „Prowokację" jako rodzaj filozofii spekulatywnej?

– Tak, oczywiście, tak właśnie uważam. Gdybym wierzył stuprocentowo tezie wyeksponowanej w owej nieistniejącej książce, podpisałbym się własnym nazwiskiem. Powstałby wtedy artykuł dyskursywny w stylu „Summa Technologiae". Ponieważ jednak wierzę wprawdzie, że mogą istnieć ludzie traktujący zupełnie serio ową hipotezę, ale ja właśnie do nich nie należę, napisałem to w formie takiej, a nie innej. Wymyśliłem sobie pośrednika jako autora i dopiero jego dzieło streściłem i omówiłem. Chciałem taką okrężną drogą uporać się z tym, co fantastyczne.

– W przekładzie niemieckim niemal jednocześnie ukazały się dwie pana książki: w wydawnictwie Suhrkamp wspomniana już „Prowokacja", pochodząca z ostatniego okresu pana twórczości i w wydawnictwie Insel powieść „Głos Pana" z roku 1968, którą bez wątpienia można zaliczyć do science fiction, jako że m.in. chodzi w niej o pewne zjawiska kosmiczne. Gdzie widzi pan punkty styczne pomiędzy obydwiema książkami, które mimo różnorodnej formy i pozornie odmiennej tematyki mają wiele wspólnego, również w odniesieniu do kwestii śmierci?

– Tak, zgadza się, to interesujące...

– Może przez wzgląd na tych, którzy nie czytali owej powieści, należałoby dodać, że książka kończy się wierszem Swinburne'a opiewającym śmiertelność człowieka jako coś pocieszającego.

– Tak, tak, chciałbym zaznaczyć, że ten analogon nie był zamierzony, świadczy on jedynie o tym, że w mojej podświadomości są pewne nurty, które stale powracają. Nie zależy to ode mnie. Pisałem tę powieść wiele lat temu i stwierdzam z satysfakcją, że biorąc pod uwagę jej problematykę – nie stała się anachronizmem, a nawet niestety wprost przeciwnie: ponieważ chodzi przecież o ten przedzielony świat z wiszącym nad nim mieczem Damoklesa w postaci groźby zagłady atomowej, trzeba stwierdzić, że wszystko jest nadal aktualne. Trochę zbił mnie z tropu fakt, że kiedy pisałem tę książkę pozwalając fikcyjnemu autorowi, genialnemu matematykowi amerykańskiemu, prowadzić narrację w pierwszej osobie, on przedstawiał siebie jako starszego człowieka, który zbliża się do sześćdziesiątki. Pisząc to wyobrażałem sobie naprawdę, że jest to wiek bardzo zaawansowany, a tymczasem dziś sam mam koło sześćdziesiątki. Ale to tylko takie osobiste spostrzeżenie. Sama problematyka pozostała aktualna. Prawdę mówiąc, trudno mi potraktować kwestię zagrożenia życia całej ludzkości jako moje szczególnie udane osiągnięcie futurologiczne. Cieszyłbym się niezmiernie, gdyby okazało się, że nie mam racji, ale wymowa powieści pozostała niestety aktualna, jakkolwiek wygląda na to, że ludzkość, narody Europy i inne, przyzwyczaiły się już nieco do tego wiecznego, nieustającego zagrożenia. Jeżeli jednak zastanowimy się chociaż trochę nad sytuacją, w jakiej znalazł się świat, ogarnie nas zgroza. Moja powieść miała być w pewnym sensie filozoficznie wypowiedzianą obserwacją naszego świata oraz, jakby to powiedzieć, soczewką, w której by się skupiły te problemy. Ów fikcyjny zabieg, czyniący z książki powieść fantastyczną, jest właśnie jakby posłaniem z gwiazd, wiadomością zesłaną z nieba na Ziemię, interpretowaną przez ludzi tak, że można kuć z tego broń. Myśl była niezwykle prosta, to nie jest żadna metafora. To stwierdzenie można przyjąć dosłownie: najbardziej intensywne wysiłki najtęższych umysłów wzbogacają arsenał śmierci, jakim dysponują supermocarstwa. To jest niestety nadal aktualne.



– Sprawa sześćdziesięciu lat. Nie jest żadną wielką tajemnicą, że dokładnie 12 września 1981 roku ukończył pan sześćdziesiąt lat. Może spróbowałby pan podsumować zwięźle swoją dotychczasową twórczość i przedstawić plany na przyszłość, zakładając oczywiście, że wisząca nad nami katastrofa nie nastąpi.

– No cóż, piszę książki od trzydziestukilku lat, moje pierwsze utwory były bardzo słabe, dziś nie potrafię ich nawet przeczytać. Uważam, że są niezwykle naiwne i słabe, myślę tu o takich powieściach jak „Astronauci", „Obłok Magellana" lub „Gość w Kosmosie", jak ją nazwano w NRD, o licznych opowiadaniach, częściowo również o powieści „Transfer". Cóż, człowiek zmienia się w miarę upływu lat. Jeżeli chodzi o inne książki, to w moim życiu były różne okresy twórcze, w tym lata szczególnie płodne, np. kiedy pisałem powieści „Solaris" lub „Niezwyciężony", albo też gdy w stosunkowo krótkim czasie napisałem kilka opowiadań groteskowo-filozoficznych lub humorystyczno-błazeńskich, takich jak „Cyberiada", „Bajki robotów" czy „Dzienniki gwiazdowe". Ostatnio zaś pod wpływem nowych przemyśleń doszło stopniowo do zmiany formy, w związku z czym napisałem właśnie ową „Prowokację", pierwszą część większej całości. Będzie to cykl, powiedzmy, książek nieistniejących. Początkowo pisałem recenzje książek nieistniejących. To była „Próżnia doskonała", przede wszystkim o problemach kultury, ale w formie groteskowej i jakby do śmiechu, przynajmniej częściowo, jakkolwiek wewnątrz tkwi całkiem twarde, istotne jądro. Następnie były wstępy i przedmowy do książek nieistniejących z przyszłego wieku („Wielkość urojona") i wreszcie odczyt potężnego, nieistniejącego mózgu elektronicznego w USA już u progu nowego stulecia, Golema. Z tego powstała książeczka, „Golem XIV". A potem wpadłem na pomysł, zresztą niezwykle zuchwały, niemal heretycki, aby pisać również o książkach, które nie istnieją, ale powinny być. Były to przede wszystkim tematy poważne, bardzo poważne, najistotniejsza była odpowiedź na pytanie, w jaki sposób włączyć do ogólnego obrazu i przebiegu naszego stulecia oraz do rodzaju kultury wydarzenia tak straszliwe, jak np. tak zwane ostateczne rozwiązanie kwestii

żydowskiej podczas II wojny światowej. Pokutuje bowiem optymistyczne przekonanie, że owa katastrofa myśli humanistycznej, katastrofa mająca miejsce w sercu Europy, była czymś w rodzaju anomalii, krótkotrwałej wprawdzie, ale bardzo straszliwej, i że po wojnie i po śmierci Hitlera, powróciliśmy oczywiście znowu do normalnego życia. Otóż ja doszedłem do przekonania, że wprawdzie nie musi to być odstępstwem od reguły, ale może być – uchowaj, Boże – początkiem nowej epoki, w której zjawiska genozidalne będą się powtarzać lub też przybierać inną formę, jak np. krwawy terroryzm występujący pod maską ideologii, która jest właściwie jedynie pretekstem do zabijania innych ludzi. Może to właśnie ta myśl skłoniła mnie do napisania o ludzkości jako całości. Pierwszą częścią jest „Prowokacja", gdyż tak właśnie można, a nawet należy nazywać w kulturze śródziemnomorskiej owe zbrodnie III Rzeszy. I z kolei przeświadczenie – zawdzięczamy je publikatorom techniczno-informacyjnym – że w jednej chwili możemy dowiedzieć się wszystkiego lub prawie wszystkiego o stanie spraw ludzkich na całym świecie. W rzeczywistości jest to oczywiście wykluczone, kompleksu tych spraw nie jest w stanie ogarnąć żadna ludzka istota, żaden umysł. I wtedy wpadłem na pomysł, aby napisać rozsądny odpowiednik „Księgi rekordów" Guinessa; książkę, a raczej o książce, która przy pomocy statystyki przedstawia niesłychane, nieprawdopodobne wręcz wydarzenia zachodzące co kilka sekund każdej godziny na całym świecie. A więc narodziny, tortury itd. Oczywiście, trudno sobie to wszystko wyobrazić, ale gdyby zadać sobie trochę trudu, można by wypełnić książkę samą statystyką i przynajmniej w pewnym stopniu przybliżyć sobie obraz tego co ludzkie i zarazem niewyobrażalne, a co Francuzi nazwali „condition humaine". Jak będzie wyglądała Ziemia, kiedy zamieszka ją 5,5 miliarda istot ludzkich? To będzie dopiero książka!

– Jeżeli sięgnąć pamięcią wstecz, to śmierć była w pańskiej twórczości zawsze czymś stałym. Widać było to już w „Astronautach", gdzie chodziło o zagładę całej kultury, całej planety, a nawet jeszcze wcześniej w powieści (opublikowanej jednak nieco później) „Szpital Przemienienia", i znowu w Pana najnowszej książce. Z drugiej strony w Pana dziełach słychać sporo śmiechu. Czy jest to śmiech rozpaczy?

– Z całą pewnością nie, nie jest to śmiech rozpaczy, lecz śmiech autentyczny, jakkolwiek z pewną domieszką goryczy. Muszę jednak przyznać, że pańska uwaga na temat śmierci była nadzwyczaj trafna. Nie byłem tego świadomy, ale teraz kiedy się zastanawiam, uzmysławiam sobie, że w moich ostatnich książkach odzwierciedlają się pewne sceny związane w mojej pamięci z okresie II wojny światowej, i to w różnych książkach, np. w „Głos Pana". Występuje w niej Żyd, który uciekł z Europy do Ameryki niejaki dr Rappaport, świadek zagłady i masowych morderstw. Widać to również w „Prowokacji", a także w mojej najnowszej powieści...

– Ma pan na myśli dosyć obszerną książkę „Wizja lokalna". Czego dotyczy owa wizja?

– Właściwie to bardzo pogodna powieść, jakby odpowiednik „Kongresu futurologicznego". Różnica polega na tym, że podczas gdy w „Kongresie futurologicznym" ukazana jest wizja psychemizowanej ludzkości i świata, tu chodzi o inną planetę, stanowiącą przeciwieństwo Ziemi i charakteryzującą się poziomem technologicznym doprowadzonym do perfekcji, tak zwaną etykosferę stworzoną instrumentalnie. Nikt nie może uczynić swojemu bliźniemu nic złego. W książce występuje jednak pewien mężczyzna zaprzyjaźniony z moim bohaterem, człowiek, który pamięta jeszcze czasy hitlerowskie, przebywał zresztą w obozie zagłady. Otóż on opowiada o komendancie tamtego obozu, który zamierzał zrobić z jego skóry abażur do lampy, jako prezent urodzinowy dla żony. Jest to oczywiście zupełny anachronizm, gdyż nie zgadza się to czasowo, ktoś mógłby powiedzieć: coś tu jednak nie pasuje w kalendarzu. Nie przejmowałem się tym jednak, chodziło mi właśnie o ten akcent. Ale dlaczego nie przestaję o tym mówić: prawdopodobnie w mojej jaźni istniały bardzo silne moce obronne, dzięki którym tuż po wojnie wyparłem tamte wspomnienia. Nie dały się one jednak wyprzeć całkowicie i teraz powracają jak olej na powierzchnię wody. Tak chyba jest, ale oczywiście to tylko moje przypuszczenie... Jednym słowem: śmierć, no tak, to sprawa ważna i dokuczliwa.

– Śmierć jako ostatnia konstanta ludzkiego bytu, jako kamień probierczy istnienia?

– Tak, właśnie tak. Wierzę w to, co napisałem o hierarchii śmierci w naszej kulturze, a zwłaszcza w naszej społeczności tzw. konsumpcyjnej. Taka jest prawda, takie jest moje zdanie, że mianowicie ta śmierć stała się ciałem obcym, w tym sensie, że usiłuje się ją wyprzeć najróżnorodniejszymi sposobami będącymi i nie będącymi w ludzkiej mocy, odwrócić się od śmierci – ale nie tak jak w średniowieczu, kiedy to myśl o śmierci i jej obecności w życiu ludzkim stanowiły część składową kultury i obyczajów. Teraz nastała epoka hedonistyczna mająca największe kłopoty: nie wie ona nawet, jak należy potraktować to ostateczne wydarzenie, co z nim począć, jak zaszeregować je w układzie ludzkiego życia.





– Czy nie sądzi pan, że śmierć została jakby zepchnięta do subkultury, do pewnych grup religijnych lub pseudoreligijnych, co może doprowadzać do masowych samobójstw?

– Tak, ale jednocześnie istnieją próby, spokrewnione z tym, co w fantastyce naukowej najmarniejsze, np. w sposób pseudonaukowy usiłuje się interpretować śmierć. Są książki, których autorzy – opierając się na rzekomych dowodach naukowych – twierdzą, że istnieje życie po śmierci, i to nie od strony religii (to byłoby jeszcze normalne), ale od strony empirycznej. Ludzie reagują niezwykle intensywnie na twierdzenie, że istnieje życie po śmierci i że można to udowodnić empirycznie. Ja w to oczywiście nie wierzę. Jednym słowem, śmierć jest problemem, z którym nie jest łatwo się uporać. Na pewno nie.

– Przestanmy może mówić o śmierci. Powróćmy do sukcesów, wielu przekładów (co najmniej na 31 języków), milionowych nakładów.

– Tak, to wszystko się zgadza, ale gdybym przeżył te zaszczyty dziesięć lat wcześniej, byłbym bez wątpienia bardziej zadowolony. Godność doktora honoris causa, jaką otrzymałem w Polsce – oczywiście jestem za to bardzo wdzięczny. Ale wydaje mi się, że to ma już całkiem inny ciężar gatunkowy i inną jakość, jeżeli przeżywa się coś takiego tuż przed swoimi sześćdziesiątymi urodzinami, niż gdybym przeżył to jako, powiedzmy, czterdziestolatek. Oczywiście nie jest to moje oryginalne odkrycie, przede mną mówili to już inni. Kiedy Gombrowicz zrobił karierę światową, stwierdził, że przyszła do niego za późno. Nie, nie mam wprawdzie zamiaru kłaść się już do grobu, ale w każdym razie owe honory nie mają już tej wagi, jaką miałyby dla mnie trzydzieści lat temu.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

■

TRZECI STAN

Akcja nowej, ważnej dla polskiej literatury SF powieści Adama Hollanka zawiązana jest wokół problemu możliwości zaistnienia „trzeciego stanu żywej materii" i wszystkich jego konsekwencji egzystencjalnych dla człowieka – według naszych kryteriów – normalnego. Co rozumie się w powieściowym świecie przez ten „trzeci stan żywej materii"? Jest to pośrednia forma istnienia pomiędzy materią ożywioną i martwą, pomiędzy – to również jest jakieś przybliżenie do istoty sprawy – konkretem i czystą abstrakcją, cielesnością i duchowością.

Tego typu dychotomicznych zestawów pojęć można wypisać więcej, ale każdorazowo nazywać one będą ekstrema, pomiędzy którymi, gdzieś w bliżej nieokreślonym środku, znajdować się będzie ów „trzeci stan", kiedy umysł wyzwala się z krępującego jego możliwości i ograniczającego doznania ciała i rozpoczyna nowe, samodzielne życie, *„w którym człowiek może egzystować wiecznie, nagi i wysublimowany, wyzbyty skóry. Wszelkich doznań zmysłowych. Człowiek – umysł. Bez śmierci, bez grzechu, wieczny i kochający"*. A więc jest to stan, w którym człowiek jeśli jeszcze nie osiąga „boskości", to przynajmniej trwałą i solidną „anielskość".

Hollanek jest jednak zbyt inteligentnym i doświadczonym pisarzem, by podobny koncept traktować do końca poważnie i bez dystansu. Toteż jego powieść daje możliwość takiej interpretacji: cały opisany świat jest wytworem imaginacji narratora umieszczonego we wnętrzu gigantycznego robota kosmicznego wykonującego zadania na orbicie okołoziemskiej. Człowiek ów, odbywający karę, zredukowany został do prostych doznań zmysłowych, „bodźcowany" jest za pomocą kar cielesnych – ograniczony jest niemal bez reszty do owej fizyczności: *„...Nie wolno mi czuć, wspominać, marzyć. Mam myśleć w kółko o sprawdzaniu, o niczym więcej (...) słuchać rytmicznej muzyki i trząść się od bolesnych udarów prądu"*. Czyż więc tak „spreparowany" człowiek nie będzie dążył do tego, by wytworzyć sobie własny świat, w którym stoczy wyimaginowaną walkę o prawo do zmysłowego odczuwania, do pełni przeżyć zarówno fizycznych, jak i psychicznych? Za wyobraźniowym rodowodem świata przedstawionego przemawia jego wygląd: pierwotność w czytankowej formie (małpoludy, king-kongi), a obok tego twory wyjęte z mitologicznego bestiarium. Narrator stwarza świat, by – paradoksalnie – nie poddać mu się, dlatego wielokrotnie podkreśla, że jest wrogiem abstrakcji, że istnieje dla niego tylko to, *„co podlega zasięgowi oczu, węchu i słuchu"*. Twierdzi: *„tylko z tego, co czuję przez skórę, składa się życie: z mojej jakże zmysłowej oceny rzeczywistości"*. Tę zmysłowość narratora symbolizuje mocno wybita tytułem powieści skóra ludzka wyznaczająca granice człowieczeństwa w najbardziej dosłownym znaczeniu i odbierająca większość bodźców docierających do człowieka. „Wyzbycie" się skóry (czytaj: materialnej formy istnienia ludzkiego) powoduje przejście do egzystencji bezcielesnej, wiecznej, do przeniknięcia przez świat i zespolenia się z nim, bo przestała istnieć granica nieustannie trwająca pomiędzy człowiekiem i światem. Założywszy, że zamknięty w robocie (w „wielorybie") narrator stwarza wszystko, co znajdujemy w powieści, musimy powiedzieć, że sam siebie wystawia na próby, prowokuje swego rodzaju grę z samym sobą, z własną świadomością – grę o siebie, o przetrwanie w nienormalnych warunkach, w jakich znalazł się i w jakich musi żyć. Z jednej strony – żeby przetrwać w równowadze psychicznej – nadaje sens występkowi, za jaki został ukarany, szuka dla niego wyraźnych racji moralnych, dlatego snuje opowieść o ekspedycji badającej teren wielkiego eksperymentu polegającego (prawdopodobnie) na ożywieniu zniszczonej na wielkich obszarach Ziemi przyrody przez zmianę klimatu na tropikalny; pośrednio poświadcza słuszność własnej ingerencji w ów eksperyment dla ratowania zagrożonej ekspedycji. Z drugiej strony stwarza sytuację, w której stanąć musiał wobec konieczności rozstrzygnięcia własnego statusu ontologicznego, co musi mieć niezwykłą wagę w jego życiu ograniczonym do niezbędnego minimum doznań. Oferuje więc nawet sam sobie nieśmiertelność za cenę ostatecznego wyzbycia się ciała, funduje sobie kontakt z kobietą reprezentującą „trzeci stan żywej materii".

Wobec tych „propozycji" opowiada się za życiem w pełni cielesnym, po prostu za człowieczeństwem w najpełniejszym wymiarze, bez ucieczki w sferę czystej duchowości, bez żadnych form pośrednich i zastępczych.

Ale też, jak się zdaje, narrator zgubił się w stworzonym przez siebie świecie, nie potrafił wyzwolić się z niego, a może nie chciał, nie było mu to potrzebne w jego sytuacji życiowej. Podkreśla więc kilkakrotnie i na różne sposoby, iż historia, jaką snuje, ma kolistą budowę. Raz, dlatego, że świat dżungli, gdzie wszystko się rozgrywa, nie ma kresu – za rzeką mającą być granicą istnieje jego zwierciadlana replika, więc wszystko zacząć się może od początku. Kiedy indziej dlatego, że na planie narracyjnym akcja zostaje zapleciona w okrąg i zdarzenia zaczynają się cyklicznie powtarzać. Historia opowiadana przez narratora osacza go, ale on chyba tego chce, bo ma szansę znów coś przeżyć, znów spotka piękną dziewczynę, którą pewnie uratuje itd. itd.

Myślę że powieść Adama Hollanka jest interesującym pisarskim dokumentem na gruncie – wyraźnie socjologizującej – polskiej fantastyki naukowej, ponieważ włącza w obszar tematów poruszanych przez ten gatunek również problematykę stricte filozoficzną i dotyka spraw podstawowych dla ludzkiej egzystencji. Ujawnia przy tym duże ambicje dyskursywne i artystyczne, stwarza rozmaite możliwości interpretacyjne przez swoją wieloznaczność i rozległość refleksji, które niekiedy nawet przytłaczają skądinąd frapującą fabułę. „Kochać bez skóry" (tytuł niezręczny, choć doskonale oddający główną myśl powieści) jest książką, na którą warto zwrócić baczną uwagę i która zajmie osobne, eksponowane miejsce w naszej literaturze SF.

Leszek Bugajski

Adam Hollanek *„Kochać bez skóry"* KAW, Warszawa 1983, cena zł 40.

KURACJA

Pisarze nie mają dziś tej pewności co dawniej. Rzeczywistość im się wymyka, pióro także. „Markiza wyszła z domu o piątej" – takie zdania są dla nich i dla czytelników nie do zniesienia. Po pierwsze bardzo się już osłuchały, po drugie nie ma prawie już markiz.

Nad naszymi głowami fruwają śmiercionośne cygara, rozpadły się hierarchie i wartości, między cudownie zrównanych w społecznych rolach mężczyznę i kobietę wszedł pan Freud, tuż za nim tuzin wyszczekanych kapłanek ruchu wyzwolenia pań, po nich jeszcze zgrają rozpuszczonych dzieciaków oraz kupa i filozofów i praktyków socjalnego szczęścia pomyślanego na postępową modłę. Z ukrycia, na drugim planie, trzęsą wszystkim politycy i... trzęsą się sami. Gdy w dodatku w zasięgu ręki pisarza znajdzie się chłodziarka z kostkami lodu i alkoholem – znakomitym lekiem na frustracje – jak w tych warunkach tworzyć po staremu wielotomowe sagi z posągowymi postaciami, które wiedzą czego chcą?

Można sobie wyobrazić, że pośrednio tej właśnie sytuacji zawdzięcza fantastyka swą oszałamiającą prosperitę – stała się wszak doskonałym anti-

---

Wśród licznie pojawiających się utworów science fiction powieść „Pożeracz ciepła" Juliusza Stefana Znamierowskiego nie została prawie zauważona, mimo iż na okładce tej historii możemy przeczytać: *„Na kanwie znanego od czasów Verne'a motywu literackiego autor snuje rozważania o roli nauki w rozwoju społeczeństw i odpowiedzialności moralnej badaczy"*.

W książce „Pożeracz ciepła" Znamierowski wykorzystuje, znany z dziewiętnastowiecznych utworów fantastyczno-naukowych, motyw „straszliwego", a raczej niezwykłego odkrycia dokonanego przez uczonego-chemika. Postać Docenta Ulricha Karla von Sieberbacha przypomina bohaterów tamtych opowieści: naukowców-samotników ogarniętych idée fixe, która jest tak przemożna, iż zmusza do dokonania odkrycia bez względu na konsekwencje, jakie może to za sobą pociągnąć. Impuls badaniom von Sieberbacha nadaje jego pyrofobia – lęk przed ogniem. Mechanizmem wyzwalającym podświadomość i zmuszającym go do działania staje się tragedia w Los Alfaques, gdzie eksplozja cysterny z płynnym gazem spowodowała śmierć kilkudziesięciu osób przebywających na kempingu. Od tego momentu bohater, opanowany myślą o „poskromieniu ognistego żywiołu", podejmuje prywatne badania w domowym laboratorium... Akcja, rozwijająca się dość powoli, jest przeplatana scenkami obyczajowymi z życia naukowców RFN końca lat siedemdziesiątych, łącznie z opisem liberalnie pojętych więzów małżeńskich, nakreślonym jednak bez zbytniej przesady i prób szokowania czytelników.

Pyrofobia bohatera jest szczególnego rodzaju – docent traktuje ją wstydliwie i nie chce uciekać się do pomocy lekarzy, do czego nad wyraz nieskutecznie namawia go żona Jane, córka znanego psychoanalityka z Kalifornii. Nie wiadomo, czy jest to ironia odautorska, czy też „niezamierzony" zbieg okoliczności pozwalający uwypuklić przeżywany dramat w zderzeniu poglądów bohatera, ogarniętego fobią, lecz dzielnie sobie z nią radzącego (jak przystało na uczonego niemieckiego), i jego żony mającej zapewne reprezentować neurastenicz-

dotum na nudę i brak sensu. Nieskończenie przyjemniej wymyślać transplanetarne podróże, opisywać przyszłe mechaniczne racje lub piekła, niż oddawać się rejestracji życia, które przecieka przez palce. Chyba że... chyba, że sięgnąć po broń ironii, groteski, parodii (ironia jak wiadomo jest bronią tych, którzy przegrali, a klęskę próbują zamienić w moralne zwycięstwo) i tak radzić sobie z nieznośną codziennością. A najlepiej – metodę ironii i fantastyczności połączyć. Więcej będzie w takim rozwiązaniu i godności i wdzięku, niż w awangardyzowaniu literatury à la Joyce – nie do strawienia najczęściej przez szeregowców czytelnictwa.

Donald Barthelme, do którego opowiadań przymierzam się przy pomocy owych krytycznych truizmów, nie jest pisarzem stricte fantastycznym. Robi na dobrą sprawę, współczesną prozę obyczajową, uprawia bardzo wyrafinowaną formalnie, bardzo przewrotną short story; jeśli sięga po metodę fantastyczności, to robi to może w dziesiątce z 31 prezentowanych nam opowiadań, a i to w ograniczonym zakresie. Jednocześnie większość owych mikrozdarzeń, w jakich uczestniczą bohaterowie jego tekstów – kobiety i mężczyźni, policjanci i dzieciaki, święci i konkwistadorzy, malarze i członkowie stowarzyszeń, porzucone kobiety i rektorzy uniwersytetów, demonstranci pikietujący kościół i chuligani, psychoanalitycy i politycy, faceci z atomowego bunkra i nauczyciele, jeżozwierze i balony...– są to sytuacje nierealne i groteskowe, prawdziwe w sensie prawdy wyłącznie psychologicznej. Dobre do prezentacji demonów oraz aniołów kłębiących się w ludzkim wnętrzu, ale w zwykłym realnym życiu nie do pomyślenia. A jest to już metoda bardzo zbliżająca Barthelmego do autorów antyutopii. Oni też konstruując swe światy nie mówią dosłownie „tak jest, tak będzie, tak się zdarzy", lecz tylko – taka jest wewnętrzna prawda o kierunku, w którym jako ludzkość zmierzamy, i o jego konsekwencjach.

Barthelme, jeden z najwybitniejszych dziś prozaików amerykańskich związanych przez wiele lat z pismem „The New Yorker" (wielce zasłużonym dla rozwoju krótkiej formy, w którym pisywali m.in. Updike i Chever) stawia przed nami na powrót, nie rozstrzygnięty wcale problem literackiego realizmu. Realizmu rozumianego nie jako konwencja do wypełniania, lecz jako w y b ó r metody. W ten sposób fantastyczność może się okazać jedną z metod na realizm właśnie.

Barthelme stosuje różne chwyty, podrabia zarówno mowę ulicy, jak i teksty awangardzistów, przedrzeźnia żargon naukowy, wciela się w idiotów i w mędrców (którzy zachowują się jak idioci), buduje zdania krótkie i lapidarne, by chwilę potem skonstruować zdanie wielostronicowe, prezentuje sytuacje trywialne i hieratyczne, możliwe i nierealne... Każda z tych metod jest znakomita i żadna nie jest wystarczająca. Każda znakomicie radzi sobie z jakimś fragmentem rzeczywistości (widzialnej i tej psychicznej), żadna nie daje sobie rady z całością.

Książka Berthelmego peszy i ośmiela zarazem. Pokazuje młodemu kandydatowi na pisarza, jak wiele jeszcze przed nim – i do pomyślenia, i do zrobienia, i do zburzenia. Dowodzi, że nic w prozie, nic w sztuce nie jest dane raz na zawsze. Dla fantastów, którzy mają sami siebie za pionierów nowych literackich szlaków, a którym, jak wszystkim zresztą, grozi wygodne osunięcie się w ramiona parunastu konwencji odkrytych przez poprzedników, będzie lektura tych opowiadań kuracją trzeźwiącą i bardzo pouczającą.

Maciej Parowski

Donald Barthelme *„Osobliwości"* Wybór Z. Lewicki, tłumaczenie i wstęp A. Kołyszko. PIW, Warszawa 1983 (Współczesna Proza Światowa). Cena zł. 150,-

NA POGRANICZU FANTASTYKI NAUKOWEJ

ne społeczeństwo Stanów Zjednoczonych. Rozważania te autor prowadzi taktownie, nie narzucając czytelnikowi s w o i c h poglądów.

Przez jedną trzecią tekstu książka w ogóle nie zdradza jakiegokolwiek powinowactwa z utworami SF. Dopiero od rozdziału 21 mamy do czynienia z „typowymi" dla literatury fantastyczno-naukowej działaniami bohatera dokonującego niezwykłego odkrycia, które może – jak się okazuje – zmienić świat oraz bieg historii. I podobnie jak w dziewiętnastowiecznych utworach o „straszliwym wynalazku" autor nie wtajemnicza nas w szczegóły, ograniczając się do stwierdzenia, że ów chemik działał *„na przekór logice (...)"* i *„preparat HE okazał się rezultatem niekonwencjonalnego myślenia i zlekceważenia paru niewzruszonych kanonów współczesnej nauki"*, a w innym miejscu wyjaśnia gładko, że zasadą funkcjonowania wynalazku jest *„wymuszanie strukturalnych zmian układu atomowego"*. Ów wynalazek, preparat HE, to Heat Eater, czyli pożeracz ciepła. Właściwie należałoby go nazwać po niemiecku Wärmeverschlinger, ale autor uznał widocznie, że wpływ żony Amerykanki oraz powszechna w naszych czasach terminologia angielska tłumaczy określenie nadane preparatowi przez docenta von Sieberbacha.

I to byłoby właściwie wszystko na temat fantastyczno-naukowego motywu powieści, dalej bowiem akcja rozwija się w odmiennym wymiarze niż w klasycznych utworach SF poświęconych nie tylko „straszliwemu wynalazkowi", lecz również jego zastosowaniu. Po przeprowadzeniu serii eksperymentów bohater zaczyna zdawać sobie sprawę – że zamiast antidotum na swoją pyrofobię (i zarazem środka uniemożliwiającego powstawanie i rozprzestrzenianie się pożarów) wynalazł nową broń masowej zagłady. Dodajmy, że ów środek, czyli ulepszony preparat HE obniżający temperaturę otoczenia poniżej 0°C ma zbliżone cechy do lodu -9 ze znakomitej powieści „Kocia kołyska" Kurta Vonneguta jr.

Bohater nie zamierza jednak uszczęśliwiać ludzkości nową straszliwą bronią. Podejmuje próbę przemilczenia wynalazku, czyli jego całkowitego utajenia, postępując odwrotnie niż jego koledzy z dziewiętnastowiecznej fantastyki technicznej. Docent von Sieberbach nie jest bowiem „szalonym uczonym" i w dodatku wie o okrucieństwach ostatniej wojny, o cierpieniach, jakie jego rodacy sprowadzili na Europę. Jest jednak na tyle naiwny, by przypuszczać, iż jego apolityczność uchroni go od wmieszania w rozmaite machinacje o charakterze przemysłowym, bądź militarnym. W jego otoczeniu pojawiają się różne podejrzane typy, naprowadzone na trop wynalazku przez zawistnego podwładnego. Jedni tylko obserwują, czekając na okazję, drudzy natarczywie domagają się wydania wynalazku. Nieszczęśliwego chemika wybawia z opresji uczony światowej sławy – profesor Niemann, który wydaje oficjalne (!) oświadczenie, że docent von Sieberbach... *„nie dokonał żadnego wynalazku"*, chociaż takie stwierdzenie wcale nie jest przyjemne dla bohatera, głównie z powodów prestiżowych. Laboratorium mieszczące się w domu chemika zostaje zlikwidowane, sam preparat HE – ukryty w niedostępnej przepaści górskiej, gdzie – jak należy wnosić z toku doświadczeń – straci po pewnym czasie swoje niezwykłe właściwości. Profesor Niemann wyjaśnia również, że katastrofa jaka zdarzyła się podczas manewrów na poligonie, kiedy docent przeprowadzał eksperymenty, była najzwyklejszym nieszczęśliwym wypadkiem. Należy domniemać, iż władze wojskowe, podobnie jak profesor, nie przyjęły do wiadomości istnienia preparatu HE. Tak więc powieść Znamierowskiego jest nie tylko utworem science fiction, lecz także political fiction.

Najciekawszą partię historii stanowią rozważania profesora Niemanna umotywowane na tyle sugestywnie, że zarówno bohater jak i czytelnicy zaczynają powątpiewać w realność samego odkrycia. Wypadek na poligonie otrzymał racjonalne uzasadnienie, nikt nigdy – oprócz wynalazcy – nie powtórzył eksperymentu, nikt też – prócz chemika i jego synów – nie obserwował skutków oddziaływania preparatu HE... Wynalazek mógł być zatem „pobożnym życzeniem" docenta („wishfull thinking") wzmocnionym jego chorobą – pyrofobią. Szkoda, że autor nie wykorzystał tego właśnie wątku, który mógł służyć pogłębieniu psychologicznej sylwetki naukowca. Otrzymalibyśmy wtedy utwór z klasycznie technicznym motywem w nieklasycznym wykonaniu ukazującym świat wewnętrzny (inner space) bohatera. Nie leżało to jednak w zamierzeniach Znamierowskiego i dwuznaczność, jaka wynikła z interpretacji wydarzeń fabularnych, należy uznać za przypadkową.

Nikłe zainteresowanie książką, która ukazała się w nakładzie 50 000 egzemplarzy, bierze się chyba stąd, że wydano ją poza serią SF (co automatycznie nie zapewniło jej powodzenia), a motyw „straszliwego wynalazku" jest w niej właściwie tylko pretekstem do ukazania różnych postaw ludzkich we współczesnym świecie.

Jest zatem powieść Znamierowskiego jeszcze jednym utworem usytuowanym na pograniczu fantastyki naukowej, którą niebywale trudno jest zdefiniować. I nic dziwnego, to pogranicze również coraz trudniej określić, chociaż nie ulega wątpliwości, że stanowi ono ciekawą krainę literatury.

T. Zbigniew Dworak

Juliusz Stefan Znamierowski *„Pożeracz ciepła"* Wydawnictwo MON, Warszawa 1983. Cena zł.55,-

PUSTKA, SAMOTNOŚĆ, STRACH

Stało się już nieomal trwałym obyczajem, że twórczości wybitnych artystów światowych nie poznajemy w porządku chronologicznym. Tak też dzieje się z utworami J.G. Ballarda, o których najpierw czytaliśmy w języku polskim krytyczną ocenę sformułowaną przez Stanisława Lema w „Fantastyce i futurologii", potem długo, długo nic, by wreszcie znaleźć w księgarniach „Wyspę" pochodzącą z późniejszego okresu twórczości autora i – jak dotąd – na zakończenie doczekać się sporządzonego przez samego Ballarda wyboru najbardziej reprezentatywnych opowiadań. Ponieważ nie ma u nas zwyczaju tytułowania książek w sposób bezpretensjonalnie reklamowy i „The Best Science Fiction of J.G. Ballard" nie brzmiałoby dobrze, nazwano książkę tytułem jednego z opowiadań – „Ogród czasu".

Obszerny tom przynosi utwory, dzięki którym Ballard stał się znanym pisarzem SF i dzięki którym zaczęto uznawać w nim autora skłaniającego się w stronę szerokiego pojmowania terminu science fiction. „Nowa fala" – cokolwiek by o niej myśleć – wyraźnie ożywiła ten literacki gatunek, wniosła weń wiele nowych treści i w konsekwencji wyraźnie wpłynęła na jego rozwój i dzisiejszy kształt.

Co więc znajdujemy w „Ogrodzie czasu"? Od czego zaczął swą literacką karierę Ballard? Na tym etapie był pisarzem posługującym się przede wszystkim obrazem. Wprawdzie w jakimś wywiadzie podkreślał swoje powiązania z nauką – studiował medycynę, chemię, fizjologię, fizykę, przez pięć lat pracował w piśmie naukowym – ale nie był typem pisarza-intelektualisty. Jego proza wyraźnie odwoływała się do uczuć, działała przez stwarzany nastrój, a nie przez przekazywany ładunek dyskursywny.

Prawdą jest, że autor „Ogrodu czasu" również i dziś nie stawia nowych, odkrywczych problemów, obraca się w kręgu lęków i obaw, jakich pełen jest każdy jego czytelnik uważniej przyglądający się światu, w którym żyje. Trudno jednak oczekiwać od literatury, że jej poszczególne wytwory będą nam dostarczać wyłącznie nowych i odkrywczych doznań intelektualnych, bo wtedy zredukowalibyśmy literaturę do kilkunastu arcydzieł, które zostały już napisane i powiedziały wszystko na temat człowieka.

Ballard jest autorem niezwykle atrakcyjnym, stwarzającym własny styl, model wyobraźni i to głównie stanowi o jego znaczeniu nie tylko na terenie SF. W swojej prozie usiłuje dać wyraz – rozmaicie to przetwarzając – strachowi, w jakim upływa nasze życie zagrożone zagładą totalną. Myślę, że za twórczością Ballarda stoi próba przeanalizowania mechanizmów naszego świata, które zwiastują zbliżającą się katastrofę, ba, nie jedną, ale wiele, grożących nam z różnych stron. Pamiętajmy, że Ballard debiutował w 1956 roku, kiedy już w zasadzie uspokoiła się „zimnowojenna" histeria, ale pozostawiła trwały ślad w świadomości ludzi, a napędzające ją mechanizmy polityczne istniały nadal, tyle tylko, że głębiej ukryte. Ich zrozumienie i zdroworozsądkowe zanalizowanie okazywało się niemożliwe, sens wyścigu zbrojeń czy eksplozywnego rozwoju cywilizacji był nieuchwytny, znajdował się i znajduje poza obszarem panowania potocznej logiki, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę wszystkie tragiczne doświadczenia ludzkości.

W tej sytuacji czas, jeden z głównych tematów utworów Ballarda i najważniejsza z jego obsesji, stawał się czymś namacalnym, nabierał cech nieomal materialnych i przytłaczał człowieka, bo był to czas oczekiwania na katastrofę, czas, który chciałoby się zrzucić z siebie, odepchnąć, wejść w jakiś jego inny, niemożliwy wymiar. Ale tylko w tytułowym opowiadaniu tomu bohaterowie mają szansę cofania czasu, odsuwania zbliżającej się zagłady – w rzeczywistości jej termin jest niewiadomą, może nim być każda sekunda naszego życia. Toteż Ballard ucieka w inną realność, chce ją tworzyć od podstaw, ale w żadnym momencie nie jest możliwe oderwanie się od rzeczywistości, ona dogania go zawsze i powoduje, że świat tych opowiadań jest prawdziwy, mimo że wymyślony przez autora. Na ten świat jest się skazanym, jak w typowym śnie o ucieczce, w który wpisana jest ociężałość i niemożność ucieczki.

Nie bez powodu wspomniałem tu sen – proza Ballarda posiada wiele cech koszmaru sennego i słusznie wskazuje w posłowiu Lech Jęczmyk na jej powiązania z surrealizmem. Zresztą sam Ballard w jednym z opowiadań bezpośrednio i jawnie nawiązuje do Delvaux i Ernsta. Weźmy chociażby „Tajemnicę i melancholię ulicy" Giorgia de Chirico, obraz, na którym długi ciąg arkad jest oświetlony jaskrawym, padającym niemal równolegle do ziemi światłem, jakby pochodzącym od jakiejś eksplozji. Ulica jest pusta, tylko zza rogu budynku wyłania się długi cień tajemniczej, jednorękiej postaci. Na pierwszym planie dziwny, ni to cygański, ni to cyrkowy wóz z otwartymi na oścież drzwiami – czy coś (ktoś?) z niego uciekło? Gdzie jest ukryte? Za którą kolumną? A ulicą biegnie dziewczynka popychając przed sobą kółko, biegnie w stronę niewidocznego źródła światła i w stronę groźnej postaci, której cień leży w poprzek drogi dziewczynki.

Ten obraz, jak również szereg innych, zwłaszcza autorstwa wymienionych malarzy, doskonale oddaje klimat opowiadań Ballarda, a raczej opowiadania Ballarda są literackim odpowiednikiem powstałych wcześniej płócien. Odnajdujemy w nich tę samą groźną i tajemniczą pustkę miast i otwartych przestrzeni, jakby w chwilę po zagładzie wszelkiego życia, gdzie nieliczni ocaleni oczekują w trwodze na swoją kolej i bez osłonek widzą, jak ich świat się rozpada, jak wyczerpuje się jego i również ich energia istnienia. Stąd bezruch i bezsilna rezygnacja.

Kiedy indziej pojawia się znów w opowiadaniach Ballarda tłum ludzi, tak wielki, że wręcz uniemożliwiający życie. Ci ludzie kłębią się, dręczą wzajemnie, bo chcą żyć, mimo że uświadamiają sobie, iż poddani są manipulacji i zmuszani do nadmiernej konsumpcji. Na bunt w tym świecie nie ma miejsca – zbyt znikome są możliwości działania buntownika, zbyt wiele sił kieruje się przeciwko niemu. Charakterystyczne dla prozy Ballarda jest to, że jeśli nawet jej bohaterowie uświadamiają sobie fałsz swego położenia, jeśli odkrywają, że byli oszukiwani, przystają na to z własnej woli, albo zostają do tego zmuszani, albo też – jak w „Klatce piasku" – chcą przegrać, myśląc, że w ten sposób osiągną spokój wewnętrzny.

Człowiek w opowiadaniach Ballarda nie ma szans na ratunek, nawet bohater „Miejsca oczekiwania", mimo euforycznych przeżyć, osiąga tylko możliwość czekania. Symbolizuje to ów kosmonauta, którego szczątki ostatecznie docierają do Marsa, tyle tylko, że Marsem jest zwałowisko gleby marsjańskiej przywiezionej na Ziemię jako balast w powracających statkach kosmicznych.

Człowiek w opowiadaniach Ballarda jest zawsze sam. Nawet w szaleństwie, kiedy potrzebuje najbardziej pomocy drugiego człowieka, jest to niemożliwe, bo zabronione przez ustawę o wolności psychicznej. W tym świecie poprzerywane zostały wszystkie elementarne związki pomiędzy ludźmi, nikt nikomu nie jest bliski, brak jest uczuć. Nawet ludzie opętani wspólną ideą rozstają się bez emocji i każdy podąża swoją drogą. Wygląda to tak, jakby w świecie rządzonym entropią, spadała również temperatura i jakość przeżyć wewnętrznych, jakby roztapiający się świat wchłaniał i roztapiał również poszczególnych ludzi (jak w zakończeniu „Człowieka przeciążonego"). Kategoria entropii, tak ważna w twórczości Balarda, jest zbieżna z całą teorią entropii świata, jaką formułuje w swojej beletrystyce (począwszy od opowiadania „Entropy" z 1960 roku) amerykański pisarz młodego pokolenia Thomas Pynchon. Świat przedstawiony przez autora „Ogrodu czasu" kurczy się niemal ze strachu, jakby sam z siebie chciał się obrócić w nicość, byle nastąpiło to łagodnie, zanim jeszcze przyjdzie ostateczna eksplozja, albo zanim cywilizacja „zje" samą siebie.

Samotny człowiek wobec perspektywy zagłady, wobec pustki i entropii to wizja dramatyczna i okrutna w swojej bezwzględności. Opowiadania Ballarda muszą jednak trafiać w nastroje powszechne, skoro zyskały sobie wielki rozgłos, mimo iż nie należą do tzw. łatwych pozycji fabularnych. Autor „Ogrodu czasu" jest bez wątpienia pisarzem wybitnym, a podstawę tej wybitności stanowi przede wszystkim umiejętność brawurowego łączenia różnych inspiracji w harmonijną całość i docieranie do nastrojów dominujących w naszej epoce.

Leszek Bugajski

J.G. Ballard *„Ogród czasu"* Przełożyli: Lech Jęczmyk, Zofia Uhrynowska-Hanasz. Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1983. Cena zł 190.

WSTĘP DO SEMIOTYKI SCIENCE FICTION

Marc Angenot

Dzisiejszy czytelnik od razu rozpoznaje, kiedy ma do czynienia z tekstem fantastyczno-naukowym. Implikuje to istnienie pewnych prostych, ale nader istotnych zasad i kryteriów. Tak jak współczesny językoznawca bada rodzaj wiedzy, którym dysponuje każdy użytkownik języka, tak i semiotyk usiłuje organizować poznawanie dyskursu literackiego, jaki nieuchronnie poprzedza umiejętność czytania i pisania. Krytycy fantastyki naukowej ignorują wszakże podejście semiotyczne: albo dlatego, że problemy semiotyczne wydają im się upraszczaniem, albo (co bardziej prawdopodobne) że skłaniają się raczej ku idealizmowi filozoficznemu niż ku materializmowi.

W nadziei, że uda nam się dojść do podstawowych założeń istotnych dla semiotycznej definicji gatunku, rozpocznę od kilku uwag na temat tego, czym różni się dyskurs „realistyczny" od naukowo-fantastycznego. Dla ilustracji wybrałem na chybił trafił takie oto fragmenty:

„Na spotkanie pana Bovary wyszła na próg młoda kobieta w niebieskiej wełnianej sukni, przybranej trzema falbanami; wprowadziła go do kuchni, gdzie płonął wielki ogień"[1].

„Dookoła basenu stały krzesła z blentoxu o niezwykłym kształcie... Na driskol miała narzuconą lejącą się suknię z vovaxu, zdobną w aplikacje z bernitalu."[2].

Drugi fragment wyraźnie należy do fantastyki naukowej. Do takiego wniosku prowadzi bez wahania obecność czterech oczywistych „neologizmów". Czy jednak owe wymyślone słowa można naprawdę uznać za neologizmy? Jeżeli nie, to czymże są w istocie? Jak to się dzieje, że zdanie pozwala się rozumieć na przekór swej nieprzezroczystości i „niedoznaczeniu"? Jaki typ komunikatu przekazuje, skoro nie jest całkowicie zrozumiałe? Cóż to za rodzaj czytelniczej satysfakcji pojawia się tutaj, inny od tej, jakiej doznajemy u Flauberta?

Za wszystkmi tymi pytaniami kryje się jeszcze jedno – fundamentalne: jak odróżnić „niebieską wełnianą suknię, przybraną trzema falbanami" od „lejącej się sukni z vovaxu, zdobnej w aplikacje z bernitalu"?

Czytelnik nie wprowadzony w arkana mody z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku nie odczuje zapewne żadnej różnicy. Zarówno „wełniana suknia" jak i „falbany" brzmieć będą dlań tak samo niezwykle jak „vovax" i „bernital". Nie znaczy to jednak, że rozumienie realistycznego charakteru narracji jest całkowicie subiektywne, ale dowodzi, że czytanie wymaga znajomości kodu. Ten fakt prowadzi do kluczowej części mojej tezy.

1. Znak (referencja) paradygmat

Jest sprawą oczywistą, iż opowieść fantastyczno-naukowa nie posiada referencji. A więc, planety Gethen, Fomalhaut, Hain, Urras i Anares (żeby wymienić kilka z utworów Ursuli LeGuin) nie istnieją. Ale fakt ten bynajmniej nie pomaga w określeniu SF. W końcu, Madame Bovary, Monsieur Homas i Yonville l'Abbaye to także znaki bez referencji. Równoległe występowanie takich „wymyślonych" znaków i tamtych drugich, które mają być jakoby tak samo deiktyczne, czy też referencjalne – oto właśnie sedno problemu, gdy chodzi o ustalenie co znaczy „mimesis" i „wiarygodność" w prozie realistycznej.

W odróżnieniu od prozy realistycznej, SF jest gatunkiem dwojako opartym na domysłach. Jej celem estetycznym jest stworzenie dalekiego, dziwnego, ale mimo wszystko zrozumiałego „świata". Już sama narracja o takim świecie zakłada czytanie z presumpcją. Tekst nie wymaga od czytelnika, by zastosował normy, prawa, konwencje świata empirycznego, ale po prostu nabiera paradygmatycznej wyrazistości, która jest zarazem złudna i konieczna. W procesie poznawczego przyswajania tekstu czytelnik przechodzi od rozwojowej (syntagmatycznej) sekwencji intrygi do „nie-tutaj" – a więc do paradygmatu semantycznego i tym samym do immanentnych praktycznych lub teoretycznych modeli, których funkcją jest nadawać tekstowi znaczenie. A więc, z semiotycznego punktu widzenia SF można scharakteryzować jako fikcjonalny dyskurs ufundowany na wyrazistych regułach syntagmatycznych, które rządzą i są rządzone przez zwodnicze nieistniejące paradygmaty. Spróbuję to objaśnić i zilustrować na przykładach. (...)

Jeżeli na nieznajomej plaży dostrzegę żółtą flagę, nieco przybrudzoną i wyblakłą i jeśli uznam ją za sygnał, nie mogę od razu określić, co ona oznacza. By przypisać jej jakieś znaczenie, muszę powiązać konkretny obiekt z abstrakcyjną klasą „żółtych flag" (i od tej chwili przestaje już być ważne, czy jest ona brudna i złachana). Następnie muszę przekonać się, że klasa czerwonych flag kontrastuje w paradygmacie z klasą flag żółtych i klasą flag zielonych a także, iż każda z nich koresponduje z klasą komunikatów: „kąpiel zabroniona" (czerwona flaga), „kąpiel dozwolona, ale bez opieki ratownika" (flaga żółta), oraz „kąpiel pod opieką ratownika" (flaga zielona). Teraz mogę się z tego czegoś dowiedzieć – dzisiaj wolno mi się kąpać, choć mogłoby to być niebezpieczne z braku opieki ratowników. Suma wszystkiego, co daje się oznaczyć, a więc paradygmaty semantyczne, zakreśla granice możliwego komunikatu. Z informacji nadawanej przez flagi (w ich „świecie dyskursu") nie dowiem się jeszcze, czy woda jest ciepła czy zimna, głęboka czy płytka. Fenomeny semiotyczne nie są więc umieszczone w próżni. W życiu codziennym współistnieją wraz z innymi symbolami, indeksami i różnego rodzaju kluczami. Gdy nadciągają wielkie czarne chmury lub gdy wieje silny wiatr, nie muszę mieć czerwonej flagi (którą zresztą wiatr najpewniej zerwie), by dojrzeć niebezpieczeństwo. Jeżeli zaś flaga została wywieszona, a wszyscy mimo to się kąpią mogę pomyśleć, że ten, który wysyła komunikat jest przesadnie ostrożny i przyłączę się do tłumu kąpiących się.[3]

Czytelnik fantastyki naukowej znajduje się w takiej samej sytuacji, co pływak na nieznanej plaży. Może zrekonstruować znaczenie niektórych znaków w tekście tylko pod warunkiem, że zna paradygmat, czyli cały szereg klas komplementarnych wobec danego znaku. W każdym tekście literackim występują sygnały mylące, które nie odsyłają do żadnego zjawiska empirycznego. W fantastyce naukowej paradygmaty semantyczne są wszakże dużo bardziej kompleksowe niż w moim przykładzie z flagami, a przy tym obecne tylko fragmentarycznie i przez to zwodnicze, jako że w tekście nie pojawiają się w integralnej postaci.

Moim celem jest więc udowodnić, że fantastyka naukowa funkcjonuje zgodnie ze swymi aksjomatami semantycznymi jako paradygmatyczne „widmo", które odciąga uwagę czytelnika od syntagmatycznej struktury tekstu, kierując ją na mylne tropy, będące ważnym elementem satysfakcji z lektury. W tym sensie SF jest u-topią (nie-miejscem), tak pod względem oddziaływania ideologicznego, jak i pod względem deszyfracji: podobnie jak w utopii czytelnik przenosi się z locus – miejsca istniejącej sekwencji syntagmatycznej w non locus, czyli nie-miejsce – do paradygmatycznej „fatamorgany", która – trzeba założyć – steruje komunikatem. Dlatego twierdzę, że SF nie jest określona przez bezpośredni stosunek pomiędzy swoim światem fikcyjnym i światem empirycznym, ale przez relacje – inherentne dla dyskursu powieściowgo – między syntagmą i paradygmatem.

2. Neologizmy i słowa fikcyjne

Słowa tworzone przez autorów fantastyki naukowej dla osiągnięcia efektu zadziwienia nie są bynajmniej neologizmami, ale „słowami fikcyjnymi". Słowa te stanowią zarazem jedną z najbardziej wyrazistych cech gatunku. Można je podzielić na dwie kategorie: a) słowa, które mają suponować językowe formy przyszłości bądź „światów równoległych", b) słowa pochodzące rzekomo z języków pozaziemskich – związane z tym, co Myra Barnes nazywa egzolingwistyką.[4]

Pomimo różnic w samym statusie owych nieistniejących wyrazów, ich efekt bywa najczęściej taki sam. Każde „słowo fikcyjne" bez względu na etymologię zostanie odczytane w określonym kontekście. Elementy sąsiadujące promieniują znaczeniem na znaki nieprzezroczyste. Zastosowanie tego samego słowa fikcyjnego w rozmaitych kontekstach umożliwia czytelnikowi wyrobienie sobie „dokładniejszej" wykładni jego znaczenia:

„Hiero pomyślał, że zna różne gatunki leemutów, człekokształtne szczury i kosmate wrzaskuny, niedźwiedziąsta (które wcale nie były niedźwiedziami), stimery i dużo, dużo innych".[5]

Leksykalne wytwory Lewisa Carrolla mogą zilustrować podobne zabiegi w fantastyce naukowej:

„Just the place for a Snark, the Bellman cried,
As he landed his cerw with care;
Supporting each man on the top of the tide
By a finger entwined in his hair".[6]

Carroll nie pragnie opisywać Snarka jako „istoty pozalingwistycznej", przypisuje mu po prostu ciąg predykatów, które powinny ukształtować wyrazisty paradygmat. A zatem Carroll bawi się naszym kosztem, tworzy sieć skojarzeń, które choć nie całkiem bez związku, prowadzą do nikąd. Autorzy SF nie wpuszczają czytelników w ślepy zaułek, tak jak czyni to Carroll. Próbują raczej namówić odbiorcę, by uwierzył, iż możliwe jest zrekonstruowanie konsekwentnego paradygmatu, którego struktura semantyczna byłaby rzekomo homologiczna względem struktur fikcyjnego „świata" tekstualnego.

Tymczasem w praktyce znaczenie znaku wypełnia syntagma. Słowa nie mają charakteru stałego „entité linguistique", znaczenie nadaje im dopiero ich kontekst syntagmatyczny. I tak na przykład, słowo „duck" ma poza kontekstem tyle znaczeń, że jest praktycznie pozbawione znaczenia. W jednym zdaniu może znaczyć „kaczka", w

innym „moje złotko", w trzecim znów „zrobić unik" albo „drelich" lub też „pojazd amfibia"[7]. A jednak użytkownik tych słów nie może się oprzeć wrażeniu, że znaczenie wyrazu poprzedza jego użycie: konsekwencja syntagmatyczna powoduje, że wierzymy w poprzedzające istnienie struktur paradygmatycznych.

„Lejąca się suknia z vovaxu zdobna w aplikacje z bernitalu" – jeżeli czytelnik w jakiejś mierze zrozumie ten fragment, to przypuszczalnie „vovax" i „bernital" będą dlań rzeczownikami – co w trywialnym odbiorze znaczy substytut obiektu empirycznego. Ale w takim przypadku traci się z pola widzenia oświetlenie semantyczne nadawane wyrazowi przez syntagmę. Syntagmatyczne wtrącanie wyrazów fikcyjnych sprawia złudzenie struktury paradygmatycznej, rzekomo korespondującej z bytami empirycznymi.

Czasami może się wydawać, że nowe słowo powstało ex nihilo. Innym znów razem powstaje złudzenie, że łatwo ustalić jego etymologię – a i jedno i drugie dopuszcza próby definicji i wywiera na czytelniku wrażenie, że słowo to jest kluczem socjolingwistycznym, symptomem opisywanej epoki. Uwaga czytelnika przenosi się ze znaku na diachroniczny model słowotwórczy. Neologizacja implikuje liczne zasady sterujące powstawaniem wyrazów. Przykład na to znajdziemy choćby w „Le Vingtième Siècle" (1883) Alberta Robide'a, gdzie autor wymyślił słowo „tele", jako skrót dla „telefonoskopu" – znanego później jako „telewizja". Forma „tele", w której opuszczono sylaby z końca to tylko klucz wskazujący, że chodzi o społeczeństwo z rozwiniętą technologią (implikuje to grecki przedrostek), która przeniknęła do życia codziennego (co wynika z „potoczności" skróconej formy wyrazu).

Czytelnik odbiera kontekstualne znaczenie nowego wyrazu i zarazem wyrabia sobie obraz społeczeństwa, o którym mowa, za pośrednictwem formacji semantycznej i zakresu używalności wyrazu. W dziewiętnastym stuleciu zapożyczenia z greki i łaciny przydawały tekstowi naukowości. Dzisiaj inne sposoby tworzenia wyrazów pozostawiają czytelnikowi wrażenie „futurystyki". Dotyczy to złożeń, akronimów oraz heterogennych compositów, traktowanych przez purystów językowych jako barbaryzmy.

SF powoli, krok po kroku, wykształciła własny słownik, którym posługują się rozmaici pisarze i który przeniknął do języka potocznego: android, cyborg, roboty, chronoliza... Całkiem niewykluczone, że takie wyrazy jak samolot, aeronautyka, kosmonautyka i telewizja zostały po raz pierwszy użyte w utworze literackim i dopiero później weszły do powszechnego obiegu.

3. Egzolingwistyka

Jednym z pierwszych francuskich dzieł kosmicznych są „Les Posthumes" (Listy zza grobu) Restifa de la Bretonne'a z roku 1802. Podróżując po rozmaitych galaktykach, arcyksiążę Multipliandre napotyka gigantyczne pchły, inteligentnych mieszkańców jednej z komet. Pchła wyznaje miłość swej lubej w takich oto gorących słowach: *„Amagilego! syni dlia psoueh sgyngllu bouun envitage"*, co znaczy, (jak chce Restif): *„O, cudna panienko! Pozwól mi skosztować słodkich uroków, które dostrzegam na powierzchni twego ślicznego i kuszącego ciała!"* (część III str. 256). Tak oto, u zarania dziejów fantastyki naukowej pojawia się jeden z pierwszych przykładów języka pozaziemskiego. I nie jest to przykład jedyny, gdyż autor opisuje także język Rondinów, ludu księżycowego, który „składa się 24 słów męskich i 24 słów żeńskich, dobrych na każdą okazję" (list 208). Głównego bohatera napastuje marsjański olbrzym – hipopotam bagienny: *„Zwierzę to, które na Marsie nazywają Nüsüsümü* (ü wymawia się tak jak we francuskim) *skoczyło nań, krzycząc: Mümüarümü, co znaczy: Chcę cię wy...!"*.

W tych dziwacznych urywkach ważna jest nie tyle marsjańska „performacja" lingwistyczna, czyli „mowa" Marsjan, ile postulowany przez nią paradygmat – nieobecny paradygmat – czyli cały język marsjański, bez którego nie byłoby możliwe mówienie. Wiarygodność bierze się z domysłu wobec tekstu – z tego co tekst implikuje, ale szerzej nie ukazuje. W tekście, który opowiada o obcym, innym świecie wiele można zasygnalizować, ale przekazać bezpośrednio można tylko słowa. Istnienie języka, nawet jeśli zaprezentowany został jedynie w paru dziwacznych „cytatach" implikuje istnienie rozumnych form życia oraz fikcyjnego świata „referencjonalnego". Georges Mounin zaproponował, żeby zbadać coś, co dla każdego języka naturalnego jest krańcowo niezwykłe, a mianowicie to, czego nie można wymówić (w kategoriach fonetycznych)[8]. Niewymawialność jest tym paradoksalnym elementem, który przydaje wiarygodności nawet najsłabszej fantastyce naukowej.

Egzolingwistyka jest tak stara jak literatura oparta na domyśle. Wymyślone języki spotykamy już u Johna Mandeville'a i u Thomasa More'a. Najbardziej znane przykłady sztucznie utworzonych języków – Nowomowę (Newspeak) George'a Orwella, uchroniczny angielski Lyona S. DeCampa (The Wheels of IF, 1948), język Anthony Burgessa z „Mechanicznej pomarańczy" (A Clockward Orange, 1963), języki hobbitów Tolkiena i inne – przebadała Myra Barnes, poświęciwszy temu swą rozprawę doktorską.[9] Posługując się fragmentami, które wspomniani autorzy „zacytowali", badaczka ta spróbowała wyizolować cechy charakterystyczne wymyślonych języków i sprawdzić, na ile są one wzajemnie zależne. Jej rozprawa ilustruje moje twierdzenie: aktywność poznawcza czytelnika, sama możliwość zrozumienia fantastyki naukowej jest nierozdzielnie związana z domysłem. Odbiorca zostaje przeniesiony do złudnego „nie-tutaj" natury semiotycznej, do paradygmatów, które w przekazie tekstualnym są zasygnalizowane, a jednak nieobecne.

4. Od realnej syntagmy do nieobecnego paradygmatu

Nowe słowa oraz podrobione języki pozaziemskie stanowią tylko dwa wyraziste przejawy zjawiska właściwego całej semantyce SF. Opowiadanie fantastyczno-naukowe zawsze suponuje coś „niewypowiedzianego", co steruje przekazem. Retoryka wiarygodności ma na celu nie tyle przekonać czytelnika do tego, co powiedziano explicite, ale do tego, czego się domyśla lub co zakłada. Główny akcent spoczywa więc nie na postaciach i wydarzeniach z przyszłości lub ze świata pozaziemskiego, ale na typach, modelach, normach i instytucjach, które owe postacie i wydarzenia w sposób skrótowy i aluzyjny przedstawiają.

W każdej performancji lingwistycznej zawarta jest implikacja reguły, a w każdym wypowiedzeniu paradygmat semantyczny. Każda akcja zakłada model (którego się trzyma lub nie), każda kategoria – inwentarz, każdy egzemplarz – nadbudowaną strukturę i każda wartość – aksjologię, każda grupa – rolę i kryteria konformizmu. Wszystkie wydarzenia (oraz przekazy o tych wydarzeniach) odnoszą się do jednej ogólniejszej struktury.

Czytając SF powoli oddalamy się od ciągu narracyjnego samego w sobie (czyli od syntagmy) ku rzekomym ogólnym systemom (paradygmatom). Pojęcie paradygmatu należałoby tutaj poszerzyć włączając doń cały szereg konfiguracji semiotycznych, nie ograniczonych strukturą lingwistyczną. Na przykład: postacie w SF nigdy nie są pojedynczymi osobami, ale reprezentantami jakiejś grupy lub gatunku, co trafnie dostrzegał Kingsley Amis w „New Map of Hell" (NY 1975).

Podczas gdy powieść realistyczna ma skłonić czytelnika, by uwierzył w wydarzenia, o których opowiada, powieść fantastyczno-naukowa musi skłonić go do wiary w to, czego nie pokazuje i pokazywać nie może: w skomplikowany wszechświat, gdzie wydarzenia te mają miejsce. Czytelnik powieści realistycznej zaczyna od ogólnego (ogólne miejsce, topos ideologiczny), zmierzając ku szczegółowi (aż po specyficzną intrygę, którą rządzi owa struktura ideologiczna). Czytelnik SF porusza się po innych torach: z pojedynczych detali dedukuje ogólne zasady, które stanowią przedłużenie fantazji autora i dodają jej wytworom wiarygodności. Czytelnik zajmuje się rekonstrukcją w oparciu o hipotezę, która „materializuje" świat fikcji.

W „Pułapce na planecie Zarkass" (Piege sur Zarkass, Paris 1958) Stefana Wula główny bohater, Ziemianin z odrazą przypatruje się rodowitemu Zarkassjańczykowi:

„Jedna jego ręka była bladoróżowa. Na drugiej połyskiwała nowa brązowawa skóra – lśniąc niczym łupina jakiegoś owocu. Przechodząc, Lawrence nadepnął na odrzucony kawałek epidermy... Wrzasnął: jak się tak będziesz dalej łuskał na moich oczach, dam ci kopniaka w dupę". (Rozdz.!)

Fragment ten staje się oczywisty tylko wówczas, gdy uzupełnimy go odpowiednią regułą zrozumiałości, której autor umyślnie nie wprowadza od razu. Otóż Zarkassjańczycy, istoty o wyglądzie przypominającym ludzki, regularnie zmieniają skórę; tak jak czynią to węże. Uwaga czytelnika nie jest tu więc skierowana na powierzchowną anegdotę – wymianę słów między Ziemianinem i Zarkassjańczykiem – ale na to, czego się można domyślić, a co nie jest wytłumaczone wprost: na osobliwe właściwości bilogiczne obcego oraz na stosunek między tubylcami i kolonialistami-rasistami z Ziemi (czytelnikowi chcącemu uzupełnić informacje z tekstu mogą służyć pomocą empiryczne paradygmaty jego własnego świata). Przypuszczenia jednakże na tym się nie kończą: inne cechy Zarkassjańczyków można powiązać ze wspomnianą charakterystyką biologiczną. Czytelnik nieuchronnie buduje nowe hipotezy, które prowadzą coraz dalej i dalej. Tym samym konstruuje strukturę nie zintegrowaną z wątkiem, strukturę, po której przebiega ciąg narracyjny, ale która nigdy nie ukazuje się w całej pełni. Wątek linearny ustala płaszczyznę paradygmatu, którego złożoność i granice można jedynie przeczuwać. Jest to retoryczny wyznacznik „realizmu", jakiego szuka się w SF. W utworze prozą, który dzieje się na innej planecie, coś, co dla „czytelnika z Ziemi" wydaje się być zdumiewające, dla narratora – mieszkańca tej planety musi być całkiem nieistotne i banalne. Dlatego byłoby nienormalne, gdyby narrator już na początku podkreślał to, co jest zupełnie oczywiste. Oto bardziej realistycznie oddziaływuje podawanie informacji en passant, pośród narracji i ze stosownym dystansem. Dlatego znaczna część czytelników powieści „The Dispossessed" Ursuli LeGuin nawet się nie połapała, że przedstawiciele gatunku Ceti na planetach Urras i Anarres mają ciało i twarz obrośnięte sierścią. Po cóż bowiem Shevek –

Marc ANGENOT
Belg z pochodzenia, jest profesorem zwyczajnym literatury francuskiej i komparatystyki literackiej na Uniwersytecie McGill w Montrealu. Zajmuje się przede wszystkim teorią gatunków literackich, dyskursu społecznego i semiotyką narracji. Zagadnienia powieści popularnej podejmuje w książce „Le roman populaire. Recherches en paralittérature" (Montreal 1975). Tekst niniejszy jest przekładem z czasopisma „Književna smotra" 46/1982. Po raz pierwszy ukazał się on w piśmie „Science Fiction Studies" 17/1979.

narrator – miałby mówić o rzeczach dla niego oczywistych? Wspomina o tym mimochodem, dość okrężnie, relacjonując spotkanie z Ambasadorem Ziemi:

„Jej skóra była żółtobrązowa jak żelazista glina i bez włosów, z wyjątkiem ciemienia; nie była ogolona lecz naga." (Rozdz. 11)

Nawet gdy SF opisuje pierwsze spotkanie Ziemian z Obcymi, to choć ci drudzy usiłują „wyjaśnić" ile tylko można (pod warunkiem, że są przychylnie usposobieni), zawsze zapominają o fundamentalnym systemie wartości: jest on równocześnie zbyt oczywisty i zbyt skomplikowany. A samo wartościowanie nigdy nie bywa w tekście wyizolowane, niesie za sobą hierarchię, instytucje, całe społeczeństwo w pigułce. W tym sensie czytanie tekstu to swego rodzaju wędrówka w ciemności: semiotyka SF zakłada model centryfugalny.

Autor mógłby naturalnie objaśnić każdy szczegół, ale byłoby to męczące i sprzeczne z regułami „gatunku". Powieści fantastyczno-naukowe są konstruowane na podobieństwo gabinetu luster w lunaparku. Są jak szklany labirynt, dezorientujący wędrowca, który się przezeń przedziera. Zawiera się w tym immanentna estetyka SF: gdy tylko mechaniczna transpozycja „ziemskich" paradygmatów wystarcza do wytłumaczenia każdej wypowiedzi w opowiadaniu, mamy do czynienia z infantylną odmianą fantastyki naukowej. Jeżeli natomiast paradygmaty empiryczne i „egzotopowe" dzieli maksymalny dystans, zaś obce reguły organizują konsekwentną całość, satysfakcja czytelnika nie ma granic.

W „The Left Hand of Darkness" Ursula LeGuin zaczyna następującym incipitem (zakłada się, że incipit danego tekstu zawiera klucz umożliwiający jego deszyfrację, to co francuska krytyka socjologiczna nazywa „warunkiem czytelności").

„Z Archiwum Tain. Transkrypt dokumentu ansiblu ol-ollol-934-2 na Gethenie; nadany do Stabilu na Ollul: raport Genli Ai, pierwszego Mobila na Gethenie/Zima, Cykl Hainiczny 93, roku ekumenicznego 1490/97".

Człowiekowi, który nie jest zagorzałym miłośnikiem fantastyki naukowej powyższy fragment wyda się czystym nonsensem. A jednak fikcyjne słowa nie zostały użyte wyłącznie dlatego, żeby wytworzyć efekt oddalenia. Powtarzają się one w rozmaitych kontekstach konstruując paradygmat: wysłannik Ligi bada nie miejsca ale systemy instytucjonalne. Satysfakcja odbiorcy bierze się nie tyle z ostatecznej struktury, która jest ekstrapolowana, co z jej stopniowej rekonstrukcji. Prawdziwy obraz wartości opowiadania SF jest nie do odtworzenia na podstawie fragmentów, ponieważ nie oddają one całego bogactwa ukrytych znaczeń. Słowa Michela Butora o „Finnegan's Wake" można mutatis mutandis odnieść również do „liczącej się" SF: *„Każde słowo staje się podobne do kolejowej zwrotnicy, my zaś poruszamy się od słowa do słowa w bezmiarze szlaków".*

Cele, inherentnie związane z gatunkiem SF uniemożliwiają jej autorowi zamach na samą zasadę budowania paradygmatów: bywa jednak, że używa on techniki, która stanowi ich ostrą krytykę. Pewien sceptycyzm jeśli chodzi o granice ludzkiej wiedzy, sceptycyzm widoczny we współczesnej SF, a zwłaszcza w utworach Stanisława Lema, przejawia się w „Solaris" właśnie jako daremny trud budowania paradygmatu. Centralnym tematem powieści Lema jest syzyfowa praca na polu taksonomii i nazewnictwa. Przedmiotem narracji staje się nie tyle zagadkowa planeta Solaris, ile sama „solarystyka", nauka, która planetę tę bada, zaś jej owoce zebrane zostały w tysiącach tomów „Solarianów". Setki definicji, opisów, hipotez, modeli taksonomicznych pojawiają się w tekście pod postacią krótkich wyrywkowych aluzji. To jest ów nieobecny paradygmat. Ale autor bardzo ostrożnie ocenia stosunek pomiędzy tą „wiedzą" i jej przedmiotem"

„Giese... jak długo mógł, posługiwał się po prostu językiem opisu, a kiedy brakło mu słów, radził sobie stwarzając nowe słowa, często niefortunne, nie przystające do opisywanych zjawisk. Ale w końcu żadne terminy nie oddają tego, co się dzieje na Solaris. Jego „Górodrzewy", jego „długopnie", „grzybiska", „mimoidy", „symetriady" i „asymetriady", „pacierzowce" i „chyże" brzmią szalenie sztucznie, dają jednak jakieś wyobrażenie o Solaris nawet tym, którzy oprócz niewyraźnych fotografii i nader niedoskonałych filmów nic nie widzieli."[11]

Współczesna SF rozwija w swej własnej strukturze, niczym w parabolicznej zamkniętej osi, własny projekt poznawczy. „Realizm" SF opiera się na paradygmatycznej ułudzie: kody, serie, koordynaty i systemy są równocześnie nieobecne i konieczne, aby nadać koherencję syntagmie. To właśnie Lem przyznaje i stwierdza w zacytowanym fragmencie tekstu.

5. Nieobecny paradygmat, paradygmat empiryczny i referencja

Czytelnik projektuje na tekst semantyczne, logiczne i antropologiczne struktury własnego świata empirycznego. To wcale nie podważa mojej ogólnej hipotezy.

Na zasadzie analogii, przybliżenia lub inwersji paradygmaty świata empirycznego zostaną użyte do interpretacji tekstu fantastyczno-naukowego. Krytyka SF włożyła wiele energii, próbując ustalić odległość między światem empirycznym i fikcyjnym. Takie nastawienie może być bardzo pożyteczne, opiera się jednak zwykle na założeniu, iż świat empiryczny jest homogenny i że konstrukcja słowna da się bezpośrednio zestawić z rzeczywistością empiryczną. To zaś odciąga analizę od semiotyki struktury tekstualnej. Nie ma wątpliwości, że istnieje związek między światopoglądem społeczeństwa, w którym żyje autor oraz toposem powieściowym, gdyż bez takiego związku świat fikcyjny byłby oderwany i niezrozumiały. Pierwszym zadaniem krytyków SF jest wszakże rozpoznanie „świata" SF jako świata wyobcowanego od empirycznej rzeczywistości czytelnika i rządzącego się własnymi prawami. Nawet kwestia wiarygodności, objęta porozumiewawczym milczeniem jest ściśle związana z transformacjami metaforycznymi, metonimicznymi i innymi przekształceniami empirycznych struktur poznawczych w paradygmaty powieściowe.

Autor SF rozmyślnie myli „mapę" i „grunt" (nic dziwnego, że Van Vogta i innych fascynowała ogólna semantyka Korzybskiego). Ileż to map nakreślili autorzy SF począwszy od mapy Lincoln Island (Jules Verne), aż po Urras i Anarres (Ursula LeGuin). Prawdziwość opowiadania jest implikowana przez koherencję kodu. Pomieszanie tych kwestii często występowało w utopiach osiemnastowiecznych. Przybywszy na Utopię, europejski podróżnik zapytywał swego mądrego przewodnika: jak się mówi „ukraść", „zgwałcić", „zabić"? U nas takie słowa nie istnieją – brzmiała odpowiedź. A podróżnik zdumiony konkludował: „Jak to? Nie ma kradzieży? Nie ma gwałtów? Nie ma mordów?"

„Nie możemy powiedzieć, że język tworzy rzeczywistość (w dosłownym sensie słowa „tworzyć"), ani też, że język stanowi kopię rzeczywistości (w którymkolwiek znaczeniu słowa „kopia")".[12]

Prawdziwość języka jest dwojakiego charakteru: zewnętrzna (ponieważ referuje ona świat empiryczny) i wewnętrzna (ze względu na operacyjny charakter kodu). SF wykorzystuje przepaść między oznaczonym i referencją – dwoma pojęciami, które są nie do połączenia, a zarazem w sposób konieczny się zazębiają, zależąc jedno od drugiego. Moim zamiarem było pokazać, że SF tworzy paradygmatyczną fatamorganę i dlatego nieuchronnie wymaga czytania opartego na domyśle. Rozpatrywanie cech immanentnych dla danego gatunku stanowi podstawową przesłankę jego zrozumienia. Opis semiotyczny w żadnym razie nie jest alfą i omegą krytyki literackiej, a jednak jeśli go pominiemy, podejdziemy do tekstu na sposób idealistyczny, co zwiększy ryzyko wpadnięcia w semiotyczne pułapki, które próbowałem tu zidentyfikować.

Przełożył
Jerzy Chmielewski

---

1. G. Flaubert: *Pani Bovary* (1856). Przełożyła Aniela Micińska.
2. B.R. Bruss: *Complot Vénus Terre* (1966).
3. Na myśl tę naprowadził mnie Luis Preto. *Pertinence et pratique*. Editions de Minuit, Paris 1975. Zwłaszcza rozdział 1.
4. Myra E. Barnes: *Linguistics and Language in SF-Fantasy*. Arno Ress, New York 1975.
5. Sterling E. Lanier: *Hiero's Journey*. Rozdz.1.
6. *„Tak, to wyspa żmirłacza!" brzmiał okrzyk Brząkacza,*
Gdy na ląd mimo wściekłe opory,
Ekspediował kamratów nad powierzchnią grzywacza,
Uwikławszy im palec w kędziory.
(Lewis Carroll. *The Hunting of the Snark*). Polski przekład Roberta Stillera ukazał się pod tytułem *Wyprawa na żmirłacza* Gdańsk 1982.
7. Z synchronicznego punktu widzenia można pominąć fakt, że wyrażenia nie mają wspólnej etymologii.
8. Georges Mounin: *La Communication avec l'espace. W: Introduction à la sémilogie*. Editions de Minuit, Paris 1970.
9. Zob. *Science Fiction Studies* nr 7.
10. Michel Butor: *Introduction aux fragments de Finnegan's Wake*. Gallimard, Paris 1972.
11. Stanisław Lem: *Solaris*. Warszawa 1963.
12. Adam Schaff: *Language et réalité*. Gallimard Paris 1966.

Wykaz cytowanych tekstów SF:

– FElix Bodin *Le Roman de l'avenir* Lecointe & Pougin, Paris 1835,
– B.R. Bruss *Complot Vénus-Terre* Fleuve noir, Paris 1963,
– Sterling E. Lanier *Hiero's Journey* Bantam, New York 1973,
– Ursula K. LeGuin *The Left Hand of Darkness* Ace Books, New York 1969,
– Ursula K. LeGuin *The Dispossessed* Harper Row, New York 1974,
– Stanisław Lem *Solaris*. Warszawa 1963.
– (N. Restif de la Bretonne) *Les Posthumes, lettres recues après la mort du Mari par la Femme qui le croit à Florence Par Feu Cazotte* (autor zmyślony). Duchéne, Paris 1802. Tom 4,
– Albert Robide *Le Vingtiéme Siécle* G. Decaux, Paris 1883, Stefan Wul *Piége sur Zarkass* W: *Oevres* Laffont, Paris 1970.

WSZECHŚWIAT WIEDZIAŁ, ŻE POJAWI SIĘ CZŁOWIEK?

Trzeciego lipca 1983 r., jak co wieczór, wielebny Robert Evans obserwuje rozgwieżdżone niebo. Ten australijski astronom zauważa nagle dziwne światło. Indentyfikuje je. To łabędzi śpiew gwiazdy masywnej z galaktyki M 83: widowiskowa supernowa. Przy końcu życia gwiazdy masywne rosną i świecą niezwykle jasno.

Natychmiast zaalarmowano satelity na orbicie okołoziemskiej. Dwa z nich Exosat i Iue (International Ultraviolet Explorer) juz 4 lipca zapuszczają swoje sztuczne spojrzenie na supernową. Pierwszy raz mozna obserwować to zjawisko od samego początku. 15 lipca supernowa osiąga swoją maksymalną jasność. Teraz przychodzi kolej na IRAS (Infrared Astronomical Satelite). Za pomocą tych obserwatorów na niebie naukowcy usiłują odkryć sekrety gwiazdy, która umiera.

Od wynalezionej w XVII wieku przez nieznanego holenderskiego rzemieślnika lunety astronomicznej, doszliśmy z biegiem lat do najpotężniejszych teleskopów. Co więcej, człowiek zaczął widzieć to, co niewidzialne.

Oko ludzkie, które widziało dotychczas tylko światło Słońca i jego odbicia na przedmiotach, nagle uwolniło się od tej pierworodnej zaćmy. Bowiem to, co widzialne, jest tylko fragmentem widma elektromagnetycznego, które przebiega od promieniowania radiowego do promieniowania gamma, przechodząc przez podczerwień, ultrafiolet i promieniowanie X. A gwiazdy przemawiają całą skalą widma. By więc uzyskiwać dane bardziej subtelne, naukowcy stworzyli astronomię tego, co niewidzialne.

Prawie całe promieniowanie zatrzymuje atmosfera naszej planety. A jednak jego część do nas dochodzi. Pierwsza wiadomość z zewnątrz została zauważona przypadkowo. Odkrywcą był Karl Jansky, inzynier z Bell Telephone Laboratories, który szukał przyczyn zaburzeń łączności radiowej. Jego odkrycie, początkowo trzymane w tajemnicy, potwierdziły w czasie Drugiej Wojny Światowej dziwne zakłócenia w radarach. Sygnały wydawały się pochodzic ze Słońca.

W 1963 r. pracujący w USA astronom holenderski, Marteen Schmidt, odkrywa kwazary, niezwykle silne i odległe źródła promieniowania, które przypisuje się jądrom szczególnie aktywnych galaktyk. W 1963 r. Arno Penzias i Robert Wilson odkrywają istnienie szumu wszechświata, śladu pierwotnego wybuchu (nagroda Nobla w 1978 r.). W 1967 r. studentka z Cambridge, Jocelyn Bell rejestruje po raz pierwszy sygnały pulsara, obiektu kosmicznego, który obraca się z szaloną prędkością wokół siebie. Jej szef, Anthony Hewish, dostanie Nobla w 1974 r.

Dając nura w dziewicze głębiny przestrzeni, radioastronomowie wzbogacają kosmiczny „zwierzyniec". Następnie przychodzi kolej na satelity. Dzięki tym urządzeniom, które niwelują barierę atmosfery, narodziła się nowa astronomia. Od 1970 r. obserwuje się kosmos na wszystkich długościach fal elektromagnetycznych. Każde nowe okno na wszechświat uzupełnia łamigłówkę. Astronomia podczerwieni pozwala wykrywać fale skrajnie słabe, emitowane przez obiekty najchłodniejsze, i identyfikuje obłoki międzygwiezdne.

„Okienko" ultrafioletu też jest swego rodzaju przedłużeniem badanej przez teleskopy widzialnej części widma. Kilka satelitów wrażliwych na promieniowanie ultrafioletowe rozpoczęło już śledzenie przestrzeni kosmicznej. Ostatni z nich International Ultraviolet Explorer rozpoczął niedawno patrolowanie, ponad naszymi głowami. Zawdzięcza mu się wyjaśnienie zagadki gorącej aureoli wokół naszej galaktyki i pierwsze w nadfiolecie obserwacje obiektów pozagalaktycznych. W 1986 r., o ile do tego czasu plany się nie zmienią – amerykański Space Shuttle zabierze w kosmos Space Telescope, precyzyjne narzędzie obdarzone podwójnym wzrokiem – w dziedzinie widzialnej i w ultrafiolecie.

Astronomowie przeglądają także pochodzące z nieba promienie X. Nazywają je promieniami gwałtowności. Świadczą one bowiem o ogromnych energiach intensywnych pól magnetycznych albo gwiazd „egzotycznych" (gwiazd neutronowych) lub, być może, czarnych dziur.

Astrofizycy zainteresowali się na koniec promieniami gamma. Astronomia gamma wśród wszystkich tych młodych dyscyplin jest najmłodsza. Mimo że wciąż jeszcze ząbkuje, nie przestaje nas zadziwiać. Satelita Cos-B, niemy od kwietnia 1982 r., po siedmiu latach dobrej i wiernej służby wyjaśnił sporo tajemnic. Ujawnił na przykład, że pulsary w mgławicy Krab i Vela są potężnymi emiterami promieniowania gamma, podobnie jak i kwazar 3C 273. Satelita Cos-B odkrył też tajemnicze źródło promieniowania gamma w naszej galaktyce. Nazwano je „Geminga", co w dialekcie mediolańskim oznacza „nie ma niczego". Niektórzy chcieli widzieć w tym obiekcie „czarne słońce", cienistego kolegę naszej jaśniejącej gwiazdy. Najnowsze obserwacje obaliły tę hipotezę. Natura niemal wszystkich źródeł gamma jest nadal badaczom nieznana.

Astronomia gamma informuje astrofizyków o fantastycznych perygrynacjach kosmicznego promieniowania. Porusza się ono z szybkościami zbliżonymi do prędkości światła. Przybyłe z krańców wszechświata, przynosi informacje o najbardziej odległych zakątkach kosmosu.

Człowiek staje oszołomiony przed informacjami z nieba. „Pojęcie nieskończoności – stwierdza Jaques Lequeux, dyrektor Obserwatoruim Marsylii i autor „Nowej rewolucji astronomicznej" – pozostaje obce ludzkiej duszy". A jednak nauka proponuje nam dzisiaj podróż w nieskończony kosmos.

Ziemia – jak wiadomo – jest tylko małą planetą, poruszającą się wokół Słońca. Słońce jest zaledwie jedną z miliardów gwiazd, które tworzą milczącą większość astralnej „populacji". Dzięki amerykańskim sondom, które w latach siedemdziesiątych zdobyły mnóstwo informacji – latach nazywanych „dziesięcioleciem planet" – znamy już nieco lepiej Układ Słoneczny i jego dziewięć planet. Znajduje się on na peryferiach naszej galaktyki, jakieś 30 tys. lat świetlnych od centrum.

Nasza galaktyka – Droga Mleczna – ma kształt spłaszczonego dysku o średnicy 100 tys. lat świetlnych. Ma strukturę spiralną i obraca się wokół osi prostopadłej dysku. „Zamieszkują" ją miliardy gwiazd. Oddzielającą je przestrzeń wypełnia rzadki gaz i mikroskopijne ziarna materii, pyłu międzygwiezdnego. W ramionach spiralnej struktury galaktyki formują się nowe gwiazdy.

Wokół Drogi Mlecznej błąkają się dwie galaktyki-satelity. Obłoki Magellana. O dwa miliony lat świetlnych dalej zlokalizowano trzecią: Andromedę. Wszystkie tworzą część „gromady" dwudziestu siedmiu galaktyk, nazywanej Układem Lokalnym. Gromada Virgo, odległa o 30 milionów lat świetlnych, liczy nie mniej niż tysiąc galaktyk. Układ Lokalny i Virgo należą z kolei do supergromady galaktycznej.

Jak daleko człowiek mógł sięgnąć wzrokiem, napotykał te miliardy galaktyk spętane w gromady, a następnie w supergromady. Kosmos wydawał się czymś nieskończonym, gdzie napotyka się kolosalne energie i najskrajniejsze warunki fizyczne: zero absolutne i płomień jądrowy, głęboką próżnię i niesłychane gęstości. Astronomowie amerykańscy donieśli ostatnio o niezwykłym odkryciu w tych ogromnych przestrzeniach, które oddzielają gromady galaktyk: Dziury Wolarza, kolosalnej próżni o rozmiarach 300 milionów lat świetlnych – nowej enigmy.

W tym wszechświecie królują gwiazdy. Nad tyglem, w którym warzy się materia, pracują świadomi rzemieślnicy. Sposobem alchemików gwiazdy przemieniają swoje jądra za pomocą syntezy termojądrowej. Pierwotny hel i wodór przekształcają się w substancje bogate, skomplikowane i zróżnicowane. Później – umierając – gwiazdy rozsiewają te pierwiastki w przestrzeń, gdzie pewnego dnia narodzi się nowa gwiazda. W teorii mechanizm ten jest ściśle sprecyzowany. Ale aby go sprawdzić uczeni muszą przenikać arkana życia i śmierci gwiazd.

Aby się narodzić, kryją się wewnątrz mglistych obłoków. Tylko promieniowanie pod-



czerwone i fale milimetrowe informują badaczy o aktywności tych astralnych kołysek. Gwiazda rodzi się, kiedy udaje się jej wzniecić w swoim jądrze syntezę, co daje temperatury 10 milionów stopni.

Życie gwiazdy jest sprzężone z jej masą: im większa jest ta masa, tym gwiazda będzie bardziej niebieska, piękna i błyszcząca, ale jej istnienie będzie krótkie... w skali kosmicznej, oczywiście. Przy masie równej 0,8 masy Słońca przeżyje 35 miliardów lat. Przy masie 20 razy większej od naszej gwiazdy, tylko 8 miliardów lat.

Kiedy wyczerpie się w jej jądrze energia jądrowa, gwiazda umiera. Jeśli masa jej jest mniejsza od 1,4 masy Słońca, stanie się białym karłem. Jeżeli nie, to może się przeistoczyć w gwiazdę neutronową – pulsar. Może również umierać w wyjątkowym rozkwicie, tak jak gwiazda zauważona na początku lipca przez wielebnego Evansa. Dokonując równocześnie implozji i eksplozji, stanie się promieniującą supernową.

Być może zakończy ona swoje życia pod postacią czarnej dziury, pochłaniającej gwiazdy, od dawna przeczuwanej przez teoretyków. Spopularyzowana przez film Walta Disneya, czarna dziura jest stworzeniem najbardziej fascynującym w kosmicznym zoo. Zwłoki gwiazdy, które kurczą się aż do rozmiarów punktu o niezwykłej gęstości, wciągają wszystko, co znajduje się w pobliżu. Jej przyciąganie grawitacyjne jest tak duże, że nawet światło nie może mu umknąć. Trudno więc czarną dziurę „zobaczyć". Ale astrofizycy nie tracą nadziei, że kiedyś uda się ją zlokalizować, mają już pewne podejrzenie, zwłaszcza w środku galaktyki M 87 – jeszcze jednego z astralnych potworów.

Genialny teoretyk brytyjski, Steven Hawking, dotknięty nieuleczalną chorobą, która prowadzi do zaniknięcia funkcji życiowych organizmu, zamieniając go w byt wyłącznie umysłowy, twierdzi, że czarne dziury są śmiertelne – w ramach nieskończenie długiego życia; są to bądź co bądź najbardziej stabilne obiekty w naszym wszechświecie.

Człowiek zabłąkany wśród ogromu i wieczności podjął się napisania sagi makrokosmosu. Być może, jest to największe osiągnięcie stulecia.

Na początku jakieś 15 miliardów lat temu, zaszła niezwykła eksplozja, Wielki Wybuch. Rozpoczęło się rozszerzanie się wszechświata. W kosmicznej „zupie" zderzają się cząstki elementarne. To pierwotny chaos. W milionowej części sekundy kwarki łączą się po trzy, aby utworzyć protony i neutrony. W jednej setnej sekundy po początku temperatura osiąga 1 000 miliardów stopni. Pod koniec trzeciej minuty wynosi już tylko miliard stopni. Protony i neutrony mogą się zetknąć, aby utworzyć złożone jądra atomowe deuteru. Ingrediencje konieczne do formowania gwiazdy są już pod ręką.

Historia wszechświata – jak mówi astrofizyk Hubert Reeves – jest historią samoorganizującej się materii. Na uprzywilejowanych wysepkach z chaosu wyłania się porządek – dzięki siłom, które wszystko reżyserują i wszędzie są te same: grawitacja, elektormagnetyzm i słabe oddziaływania jądrowe.

Stała ekspansja wszechświata, ta teza, z którą zgadza się większość astrofizyków, przedziwnie działa na ludzką duszę. Czy wszechświat zagubi się w nieskończoności? Byłby „otwarty". Czy też pewnego dnia odmieni swój ruch, aby skurczyć się do punktu wyjścia? Byłby „zamknięty" – aby następnie powtórnie narodzić się w nowej eksplozji: „nasz" Wielki Wybuch byłby jedną z wielu pulsacji.

Odpowiedź kryje się w masie wszechświata. Czy starczy materii, aby zahamować jego bieg ku nieskończoności? Na dziś odpowiedź jest negatywna. Ale ostatnio prace nad neutrinem, które przypisują mu nieskończenie małą masę, podczas, gdy dotychczas uważano ją za zerową – mogą wzmocnić hipotezę zamkniętego wszechświata. Podobnie jak i zupełnie niedawne doniesienie zespołu z uniwersytetu Cornell w Stanach Zjednoczonych o odkryciu w konstelacji Lwa gigantycznego ciemnego obłoku, którego ciężar ma odpowiadać 100 miliardom Słońc!

Miejsce człowieka, drobiny w tym straszliwym świecie, wywołuje głębokie zastanowienie. Po cichu prześlizgujemy się tu od fizyki do metafizyki. Odrzucając „przypadek i konieczność", tak drogie sercu Jaques'a Monoda, dla którego „materia nie jest większa od życia, a życie nie jest większe od człowieka", niewielką grupę naukowców z krajów anglosaskich łączy swego rodzaju „zasada antropomorficzna". Freeman Dyson, wybitny matematyk z Princeton i autor książki „Disturbing the Universe", podsumował to w ten sposób: „Wszechświat wiedział jakoś, że człowiek ma się pojawić". Zupełnie tak, jakby od początku wszechświat był w pewien sposób „zaprogramowany", aby doprowadzić do złożonej inteligentnej istoty cząsteczkowej.

opracowała
Magdalena Hen

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT INŻYNIERII GENETYCZNEJ

Karol Mieczykowski

Pod takim tytułem ukazała się niedawno nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego książka amerykańskiego publicysty naukowego Roberta Cooke'a. Na polskim rynku czytelniczym, jest to pierwsza popularna publikacja porządkująca wiedzę o inżynierii genetycznej i skutkach wynikających z dalszego jej rozwoju.

Już we wstępie Cooke ostrzega: *Teraz i w ciągu następnych kilku lat robimy i będziemy robili rzeczy, które jeszcze do niedawna wydawały się nam zupełnie niemożliwe. Ale rachunek za te eksperymenty natura może nam wystawić już dzisiaj.* Ludzkość z coraz większym przyspieszeniem wchodzi w erę inżynierii genetycznej, stając przed wyzwaniem ogromnym i nieobliczalnym – wyzwaniem, po którym wszystko może wyglądać inaczej. Czy chcemy tego czy nie, inżynieria genetyczna jest faktem i jest już za późno na zahamowanie jej rozwoju.



Jednak dla Cooke'a podniecenie panujące w środowisku naukowców, reakcje wojskowych, polityków i opinii publicznej są takie same, jak wtedy, gdy staliśmy u progu zastosowania energii atomowej. Okazało się, że mentalność ludzi, ich systemy wartości i wyobraźnię przerosły produkty i możliwości, które sami stworzyli. Zrozumieliśmy to z chwilą wybuchu pierwszej bomby atomowej w Hiroszimie. Wymachując, jak małpa brzytwą, bojowymi głowicami termojądrowymi sięgamy dziś jednocześnie po broń jeszcze groźniejszą – po sekret życia. Czy więc z czystym sumieniem możemy zaufać ludziom w białych fartuchach? Czy mamy im wierzyć, kiedy twierdzą, że ich prace są konsekwencją pasji badawczej, że mają na celu likwidację trapiących ludzkość cierpień i chorób? Podobnie przecież mówili wcześniej fizycy jądrowi. Roztaczali wizję obfitej i taniej energii, a co za tym idzie – wizję powszechnego dobrobytu.

Energia atomowa nie przyniosła powszechnego dobrobytu. Posłużyła przede wszystkim do skonstruowania niszczycielskich broni. Niemniej jednak trudno dziś wyobrazić sobie świat bez przemysłu atomowego, lekarstw, środków chemicznych i tworzyw otrzymywanych przy użyciu technik nuklearnych. Podobnie jest z inżynierią genetyczną, oferującą:

- W medycynie: możliwość „wstawiania" informacji genetycznej w komórki, w których oryginalne „instrukcje" zostały zdekompletowane, przemieszane lub w ogóle ich brakuje. Umożliwi to leczenie ponad tysiąca chorób o podłożu genetycznym, między innymi hemofilii (znanej jako choroba krwawiących), choroby Tay-Sachsa (powodującej niedorozwój umysłowy), ślepoty czy choroby bardzo rozpowszechnionej – cukrzycy.
- W przemyśle: hodowanie specjalnie zaprojektowanych drobnoustrojów mających wykonywać odpowiednie zadania. Nowo skonstruowane drobnoustroje zostaną np. zaprzęgnięte do produkcji niektórych leków.
- W rolnictwie: manipulacje genetyczne pozwalające na stworzenie odpornych na choroby i wysokoplennych roślin, np. zbóż, które (podobnie jak rośliny strączkowe) będą pobierały azot bezpośrednio z powietrza.

Ale inżynieria genetyczna to także możliwości i sposoby mające na celu zmianę ciała ludzkiego i kontrolę urodzeń.

Cooke pyta: *Ile czasu upłynie zanim przeczytamy w gazetach o łonach do wynajęcia?* Ogłoszenia te będą zamieszczane przez młode kobiety zawodowo trudniące się wynajmowaniem swoich macic jako inkubatorów dla zdrowych, zapłodnionych jaj innych kobiet, takich, które nie mogą lub nie chcą zajść w ciążę nie z przyczyn biologicznych, ale aby nie deformować figury albo nie przerywać kariery zawodowej. Z pewnością powstaną wątpliwości, kto jest prawdziwą matką – czy ta, której jajo i cechy genetyczne były istotne, czy ta, która urodziła? Stąd już tylko krok do prób udoskonalania jaj ludzkich przez włączenie, usuwanie lub zmianę pewnej ilości genów. Nadejdzie z pewnością taki dzień, kiedy każda komórka jajowa i każda komórka nasienna będą musiały przejść surową kontrolę przed połączeniem się. Dojdzie do stanu, w którym pewne cechy genetyczne będą konstruowane na zamówienie, jako – przykładowo – odpowiedź na kaprysy mody.

Innym narzędziem inżynierii genetycznej jest klonowanie. Pobranie materiału genetycznego z wątroby i wszczepienie go w niezapłonione jajo, z którego uprzednio usunięto jajowy materiał genetyczny, powoduje, że w konsekwencji takiego zabiegu jajo rozwinie się w osobnika tożsamego z osobnikiem, który jest dawcą materiału genetycznego. Zabieg ten można powtarzać wielokrotnie i wszyscy otrzymani w ten sposób osobnicy będą do siebie bliźniaczo podobni.

Klonowanie jest obecnie praktykowane przez hodowców roślin i nie ma w tym nic złowieszczego. W odniesieniu do człowieka technika ta stwarza jednak ogromne możliwości nadużyć, włącznie do rozmnożenia kasty niewolników o identycznych, odpowiednio dobranych cechach gwarantujących posłuszeństwo.

Najwięcej kontrowersji towarzyszy obecnym doświadczeniom genetycznym z bakteriami i wirusami. W tysiącach laboratoriów biologicznych typowym materiałem służącym do przeprowadzania eksperymentów genetycznych jest bakteria E.coli. Bakteria ta, całkowicie nieszkodliwa, zamieszkuje przewód pokarmowy człowieka. Ten wygodny materiał badawczy może stać się najgroźniejszym wrogiem populacji. Gdyby w jakimkolwiek ośrodku badawczym celowo czy też przypadkowo, poprzez genetyczne mutacje udało się wyhodować gangsterską odmianę E.coli, skutki tego byłyby tragiczne.

Podobne zastrzeżenia można sformułować pod adresem prac polegających na wszczepianiu do aparatu genetycznego wirusa lub bakterii materiału genetycznego pobranego od człowieka. Takie eksperymenty były już przeprowadzane. Niebezpieczeństwo polega na tym, że wirus wraz z genami ludzkimi mógłby zostać przeniesiony do łatwo transmitowalnego zarazka, a ten z kolei stałby się tożsadnikiem dla raka – działałby podobnie, jak komar przenoszący malarię.

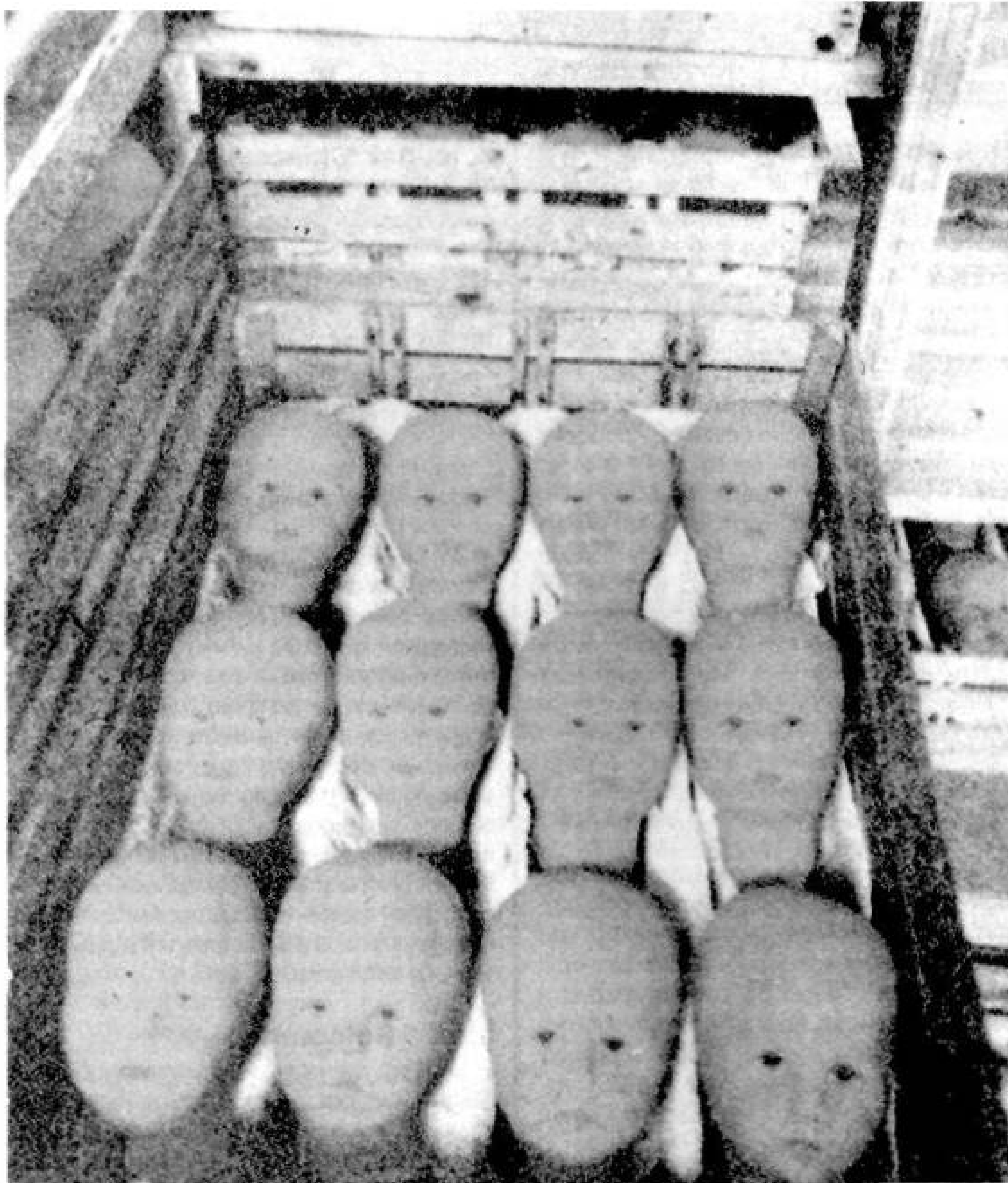
Ale nawet jeżeli jako populacja przebrniemy szczęśliwie przez pionierski okres eksperymentów z bakteriami i wirusami, staniemy przed piętrzącymi się problemami natury etycznej. Cooke uważa, że o ile bez zastrzeżeń godzimy się na manipulowanie genami zbóż, o tyle staniemy bezradnie wobec problemu manipułowania zestawem genów ludzkich. Co będzie, jeżeli zechcemy stworzyć mężczyzn i kobiety przystosowanych do życia pod wodą? Na pewno byłby to ogromny krok na drodze eksploatacji zasobów mórz i oceanów. Cel jest może nawet wart ryzyka, ale czy ci ludzie będą się uważali za spadkobierców naszej kultury, a my, czy będziemy ich uznawali za pełnowartościowych członków społeczeństwa?

Istnieje wreszcie zagadnienie użycia inżynierii genetycznej jako cichej broni podboju. Cooke uważa, że niebezpieczne nadużycie inżynierii genetycznej może być wynikiem tajnego projektu militarnego. Nadużycie to będzie przybrane w określenie „obronny" lub pojawi się jako nieszkodliwa faza „badań naukowych".

Robert Cooke jest przede wszystkim dziennikarzem. Książka jest więc napisana z ogromną pasją, niemal sensacyjnie. Nie znajduje to uznania w oczach biologów, którzy pragną spokojnie prowadzić dalej swoje prace. Zgódźmy się, że dziennikarz ma prawo do przesady – tym bardziej, jeżeli sprawa dotyczy rzeczy najważniejszej, całego ludzkiego gatunku. W mikrobiologii, jak chyba w żadnej innej dziedzinie, wszystko to co zdarzy się gdziekolwiek w świecie będzie dotyczyło nas wszystkich.

I jeszcze jedno – badania genetyczne są śmiesznie tanie – w porównaniu np. z kosztami poznania struktury materii, opanowania reakcji termojądrowej czy podboju kosmosu. A więc ci, którzy będą chcieli uzbroić się w genetyczne głowice, nie muszą koniecznie dysponować wielomiliardowym budżetem. To także należy brać pod uwagę.

Trzeciego marca 1978 r. wielki dziennik amerykański „New York Post" donosił ogromnymi czcionkami na pierwszej stronie: *„urodziło się dziecko bez matki – pierwszy ludzki klon"*. Tę niebywałą informację przedrukowała niemal cała prasa amerykańska i część europejskiej. Jednak większość pism zaopatrzyła doniesienie takim mniej więcej komentarzem: „New York Post" dał się „podpuścić", klonowanie człowieka jest niemożliwe, nic takiego nie mogło się zdarzyć.



Andrzej Brzezicki

CZŁOWIEK POWIELONY

Maciej Iłowiecki

Zanim zastanowimy się nad tym, czy coś takiego mogło się zdarzyć czy nie, musimy sobie przypomnieć, czym właściwie jest klonowanie. Otóż „klon" (nie mylić z nazwą pięknego drzewa) jest słowem pochodzenia greckiego, które w starożytnej grece oznaczało „pęd", „gałąź"; we współczesnej biologii słowem „klon" określa się organizm powstały wyłącznie z jednego rodzica. Najogólniej – klonowanie jest rozmnażaniem bezpłciowym i w świecie istot żywych zjawiskiem dość powszechnym.

Przypominamy sobie, że każda komórka żywej istoty zawiera pełną informację genetyczną o tej istocie, to znaczy kompletny zapis wszystkich cech danego organizmu, cały plan jego budowy i zarazem instrukcję jego rozwoju. Teoretycznie więc każda komórka mogłaby uruchomić ową instrukcję i odtworzyć cały organizm lub jego część. W rzeczywistości umiejętność tę mają przede wszystkim rośliny: z fragmentu rośliny lub nawet pojedynczej komórki roślinnej można odtworzyć całą roślinę i tak też się często w przyrodzie dzieje. Nazywa się to rozmnażaniem wegetatywnym. Wśród zwierząt uruchamianie instrukcji genetycznych bez zapłodnienia występuje znacznie rzadziej. Czasem zdolność tę mają komórki niepłciowe (somatyczne), czyli komórki dowolnej tkanki – wówczas z łatwością odtwarzają zniszczoną czy utraconą część organizmu. Taką cudowną zdolność regeneracji ma wiele zwierząt niższych, zaś z wyżej rozwiniętych – na przykład jaszczurki.

Czy jednak możliwe byłoby sztucznymi sposobami „uruchomienie programu genetycznego" w dowolnej komórce ciała ssaka?

Coś takiego udało się już u płazów, a więc u zwierząt rozmnażających się wyłącznie drogą płciową. Najsłynniejsze było doświadczenie Johna B. Gurdona w Anglii w 1960 r.: uczony pobrał od pewnej żaby niezapłodnioną komórkę jajową, usunął z niej jądro (zatem usunął pierwotny zestaw genów) i do pozbawionego jądra jaja wszczepił jądro komórki jelita innej żaby tego gatunku. Następnie różnymi zabiegami spowodował rozwój tak spreparowanego jaja i po odpowiedniej inkubacji otrzymał... nową całkowicie zdrową żabę! Ta nowa żaba była oczywiście absolutnie identyczną kopią osobnika, który dostarczył jądro swej komórki jelitowej. Komórka jelitowa, jak każda komórka, zawierała przecież w jądrze plan budowy c a ł e g o organizmu – ale, będąc wyspecjalizowana, w normalnych warunkach mogła odtworzyć tylko sobie podobne komórki jelita, mogła wykorzystywać tylko niewielką część swego zestawu genów.

Zatem Gurdon udowodnił rzecz niezwykłą: że w pewnych warunkach nienaturalnych, ale zdarzających się w przyrodzie, geny zawarte w dowolnej komórce ciała zdolne są do odtworzenia całego organizmu! Teoretycznie zatem wydaje się możliwe dokonanie czegoś takiego z dowolną komórką ciała dowolnego zwierzęcia i otrzymanie, powiedzmy, tysięcy identycznych krów z tysięcy komórek pobranych z jednej krowy, wybranej jako najlepszy okaz swego gatunku. Już widać, że w hodowli klonowanie byłoby metodą rewolucyjną – można by nieustannie powielać wybrane, idealne z punktu widzenia ludzkich potrzeb okazy danego gatunku. Produkcja mięsa i mleka przestałaby być problemem.

Gdyby się udało klonować l u d z k i e komórki somatyczne, zmieniłoby to zupełnie oblicze medycyny, dałoby nowe, niewiarygodne możliwości leczenia. Klonowanie byłoby bowiem najprostszym sposobem wytwarzania ż y w y c h „części zamiennych", których w dodatku organizm nie odrzucałby, bo hodowano by je przecież z jego własnych komórek. Na przykład pobierano by od człowieka nieco komórek i metodami inżynierii genetycznej uruchamiano by w nich te części „instrukcji genetycznej", które zawierają zapis budowy serca, nerek, wątroby, oka, ręki albo nogi. Komórki rozwijałyby się w odpowiednie narządy, którymi już bez trudu można by zastępować narządy chore lub utracone części ciała. Brzmi to jak bajka i dziś jeszcze bajką pozostaje. Wszakże na naszych oczach tyle już fantazji się ziściło...

W procesie ewolucji komórki większości wyższych zwierząt straciły, niestety, zdolność klonowania. Zauważono jednak, że czasem można tę utraconą zdolność przywrócić i że tym łatwiej to zrobić, im komórka jest młodsza, np. jeśli pobrano ją z embrionu. Doświadczenia Gurdona wskazały drogę – próby klonowania komórek różnych zwierząt czyni się dziś w wielku laboratoriach. W 1981 r. Karl Illmensee z Uniwersytetu w Genewie i Peter Hoppe z Jackson Laboratory w Bar Harbor (Stan Maine, USA) donieśli o udanym klonowaniu myszy, a zatem ssaków! Ogłosili, że w laboratorium w Genewie żyją trzy myszy-klony, nie różniące się n i c z y m od siebie i będące identycznymi kopiami myszki, która dostarczyła komórki do klonowania. Doświadczenie to zrobiło ogromne wrażenie, bo od myszy do człowieka znacznie bliższa droga niż od żaby. Niektórzy podważają wyniki Ilmensee'ego i Hoppego, twierdząc, że dzisiejsze techniki inżynierii genetycznej i embriologii eksperymentalnej nie pozwalają jeszcze na klonowanie ssaków. Uniwersytet w Genewie powołał nawet specjalną komisję do zbadania sprawy. Niezależnie od ustaleń owej komisji wydaje się jednak oczywiste, że prędzej czy później klonowanie ssaków, a wśród nich i ludzi – będzie jednak możliwe.

Co się wtedy stanie? O rewolucji w hodowli i medycynie już wspomniałem. O możliwości odtwarzania dawno wymarłych zwierząt (jeśli tylko dysponuje się ich utrwalonymi komórkami) pisałem w felietonie „Spotkać mamuta" (Fantastyka 6/83). Możemy jeszcze bardziej popuścić cugli wyobraźni: dzięki klonowaniu może udało by się kiedyś odtworzyć żywą kopię zmarłego przed tysiącleciami faraona, w którego mumii zachowały się niezniszczone komórki z programem genetycznym. Duńczycy znaleźli kiedyś w bagnach w pobliżu Tollund doskonale zakonserwowane ciało człowieka, który żył na obszarze dzisiejszej Danii przed dwoma tysiącami lat. W jego komórkach tkwi utrwalony zapis genetyczny... Co by się stało, gdyby kiedykolwiek możliwe było powielenie żywej kopii człowieka z pierwszych lat naszej ery?

Klonowanie daje oczywiście możliwość wyhodowania tysięcy kopii pojedynczego osobnika, zatem uprawniony jest wniosek i taki: że kiedyś, kiedy techniki klonowania ludzi będą odpowiednio doskonałe i kiedy samo klonowanie uzna się być może za rzecz naturalną, będzie się powielać jedną osobę w wielu kopiach. Trudno sobie wyobrazić istnienie takich kopii, identycznych pod każdym względem; pół biedy jeszcze, kiedy kryterium odtwarzania byłaby doskonałość walorów umysłu i charakteru, choć i taki świat, wypełniony

Dokończenie na stronie 94

Dokończenie ze strony 93

tysiącami Albertów Einsteinów wydaje się raczej nie do zniesienia. A przecież klonowanie byłoby zapewne ulubionym sposobem „pomnażania siebie" przede wszystkim różnych dyktatorów i przywódców. Całe szczęście, że to jeszcze klasyczna fantastyka naukowa.

Wracajmy do informacji z „New York Post". Otóż w 1978 r. w poważnym wydawnictwie amerykańskim ukazała się książka Davida Rorvika pt. „In His Image. The Cloning of a Man" („Na jego podobieństwo. Klonowanie człowieka"). Rorvik jest znanym w USA dziennikarzem naukowym, był reporterem „Time'a", specjalizuje się w tematyce medycznej, napisał kilka książek popularyzujących trudne sprawy medycyny. Ma opinię reportera solidnego i znającego się na rzeczach, o których pisze. Książka „In His Image" przedstawia w formie reportażu naukowego taką oto historię. Pewien miliarder, nazywany Maxem (wszystkie nazwiska są oczywiście kryptonimami) ma obsesję: chce, by z komórki jego ciała odtworzono jego młodszą kopię. Nie szczędzi sił i środków – na wyspie „gdzieś za Hawajami" buduje nowoczesne laboratorium i zaprasza tam uczonego, którego Rorvik zwie Darwinem. Uczony dokonuje klasycznego klonowania: jądra z komórek pobranych z ciała Maxa wszczepia w pozbawione jąder komórki jajowe, wzięte od czterech młodych i zdrowych dziewcząt. Następnie Darwin pobudza tak spreparowane jajeczka, by zapoczątkowały rozwój i wszczepia je dawczyniom. W 1976 r. jedna z dziewcząt – kryptonim Sparrow – rodzi dziecko, absolutnie identyczne z Maxem. Jest to pierwszy na świecie ludzki klon, pierwszy „człowiek powielony".

Książka Rorvika byłaby wcale niezłą powieścią SF, gdyby nie fakt, że jej autor zapiera się cały czas, iż jest to raport z autentycznych wydarzeń. Bliższych danych nie może jednak podać, ponieważ zagroziłoby to dobru dziecka-klonu.

Książka Rorvika wywołała burzę w Stanach Zjednoczonych i nie tylko. Napisana jest rzeczywiście jak autentyczny reportaż i niektóre gazety (m.in. „New York Post") tak ją właśnie potraktowały. Wielu czytelników naprawdę się przeraziło. Sprawa wywołała interpelację w Kongresie USA i różne akcje ze strony organizacji społecznych (m.in. Komisji Praw Człowieka) i instytucji państwowych. Grupa wybitnych uczonych zwróciła się do sądu federalnego, by na mocy Ustawy o Wolności Informacji (Freedom of Information Act) zarządził zbadanie, gdzie i kto prowadzi w USA prace nad klonowaniem. Sprawa dotyczy zarówno Krajowych Instytutów Zdrowia (tzw. NIH), jak i laboratoriów wojskowych. Znane pismo naukowe „Science" zwróciło się do wybitnych uczonych z pytaniem: *„czy coś takiego jest możliwe?"*. Brytyjski biolog J.D. Bromhall wytoczył Rorvikowi proces o to, że dziennikarz wykorzystał w swej kontrowersyjnej książce otrzymane od niego informacje naukowe. Większość zapytanych autorytetów naukowych stwierdziła bez wahania, że historia opisana przez Rorvika nie mogła wydarzyć się naprawdę. Techniki klonowania nie są jeszcze na tyle rozwinięte, by mógł powstać ludzki klon. Eksperci byli zgodni: ludzki klon nie może powstać d z i s i a j – ale w przyszłości wszystko jest możliwe i książka Rorvika w specyficzny sposób wskazuje tę możliwość.

Amerykański komitet, powołany do zbadania tej sprawy, orzekł *„Rorvik, opisując historię Maxa jako prawdę popełnił fałszerstwo, ale zarazem klonowanie jest realnością, a udoskonalenie jego technik doprowadzi do zadziwiających i być może niebezpiecznych rezultatów"*.

David Rorvik upiera się nadal, że gdzieś tam w ukryciu rośnie i rozwija się zdrowe dziecko – pierwszy ludzki klon, identyczna kopia miliardera Maxa.

Maciej Iłowiecki

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

A jednak Chińczycy...

...nie dają się wyprzedzić. Tak uważają chińscy historycy, którzy na podstawie analizy fragmentów „Traktatu o Jowiszu" astronoma Gan De (rok 365 p.n.e.) doszli do wniosku, iż Gan De rzeczywiście zaobserwował i opisał księżyc Jowisza. Nie dowodzi to, że Chińczycy już przed naszą erą znali lunety, bowiem księżyce odkryte przez Galileusza i Simona Mariusa (niezależnie) mogą być obserwowane nawet bez przyrządów optycznych. Prawdopodobnie księżycem opisanym przez Gan De był Ganimedes (średnica 5726 km)

Walizkową radiostację...

...do łączności satelitarnej opracowali amerykańscy specjaliści z Ames Research Center. Cały system mieści się w dwóch walizkach, może być zasilany z akumulatora samochodowego, zaś jest instalowany w ciągu dwóch minut. Za przekaźnik służy satelita radiokomunikacyjny ATS-3 umieszczony na orbicie już w roku 1967. Radiostacja może być użyta do rozmów z naziemnymi stacjami na północy i na południu Ameryki oraz z większością stacji na obszarach Atlantyku i Pacyfiku. Może ona znaleźć zastosowanie w sytuacjach wyjątkowych – podczas trzęsień ziemi bądź innych katastrof, kiedy ulegnie zniszczeniu stacjonarna sieć łączności.

Morze Północne...

...powoli upodabnia się do innych mórz na naszej Ziemi, twierdzą naukowcy z Centrum Badań Hydrogeologicznych w Wielkiej Brytanii. Opublikowane przez nich sprawozdanie to długa lista trucizn, spływających co roku do Morza Północnego. Jest tu więc 7740 ton ołowiu, 5930 t miedzi, 3090 t cynku, 2880 t chromu, 3650 t niklu, 840 t kadmu i 44 t rtęci, nie licząc oczywiście zanieczyszczeń biologicznych.

Myślenie ma przyszłość

Świat po dwutysięcznym roku bywa opisywany jako świat nieustającego hałasu, ryku silników, wybuchów, drgań i szczęku samobieżnych dróg. Badacze z uniwersytetu w Teksasie dokonali ciekawego odkrycia, które być może ułatwi życie naszym potomkom. Grupę studentów poddano dziesięciominutowemu działaniu hałasu o szerokim paśmie i natężeniu 100 decybeli. U studentów, którzy podczas próby rozwiązywali trudne zadania matematyczne chwilowe obniżenie wrażliwości słuchu wystąpiło w znacznie mniejszym nasileniu (o ok. 2 decybele) niż u innych siedzących bezczynnie kolegów. Tak więc skupienie na trudnym problemie intelektualnym częściowo wyłącza zmysły, pośrednio chroniąc organizm przed skutkami nawet dużego nasilenia dźwięków.

Kosmiczny termometr

Europejska Agencja Przestrzeni Kosmicznej (ESA) przygotowuje projekt obserwacji astronomicznych prowadzonych w paśmie podczerwieni. Do roku 1990 planuje się wystrzelenie specjalnego satelity ISO wyposażonego w infraczerwony teleskop. Pozwoli to na badanie galaktyk i obiektów pozagalaktycznych nawet najbardziej oddalonych od Ziemi. Nowe metody zbierania informacji oznaczają możliwość dokonywania analiz spektroskopowych i fotometrycznych galaktyk oraz poszczególnych gwiazd, jak również międzygwiezdnych i międzygalaktycznych obłoków.

Wodór – paliwo przyszłego świata?

Akumulator ołowiowy o masie 1 kg daje od 15 do 30 kWh. Akumulator srebro-cynkowy o tej samej masie daje już 75 kWh. Z jednego kilograma benzyny można uzyskać do 2750 kWh energii do napędzania pojazdu. Natomiast 1 kg wodoru daje aż ... 11 000 kilowatogodzin! Wodór ma ponadto największą prędkość spalania ze wszystkich paliw gazowych i szeroki zakres zapalności: od 4 do 77% wodoru w mieszaninie z powietrzem (zakresy benzyny i oleju napędowego wynoszą odpowiednio od 0,6 do 6% oraz od 0,6 do 6,5%). Wodór wymaga również znacznie mniejszej energii zapłonu niż paliwa węglowodorowe. Akumulatorami są tutaj zbiorniki wodorków ciężkich (żelazotytanowych) i lekkich (magnezowoniklowych). Rozgraniczenie to jest istotne, bowiem w zależności od zastosowanego materiału zmienia się masa zbiornika paliwa i sposób uwalniania wodoru. Przeprowadzone przez firmę Mercedes próby z autobusem miejskim zasilanym wodorem wykazały, iż zbiornik wodorków o pojemności 50 dm³ pozwala autobusowi na przebycie 150 km bez wymiany akumulatora. Istotny jest również fakt, że produktem spalania jest tutaj woda, która nie zatruwa środowiska. Mimo to wszystkich domorosłych konstruktorów ostrzegamy – mały fiat jest o wiele lżejszy, niż autobus. Łatwo mógłby polecieć. I to niekoniecznie w kierunku wymarzonym przez kierowcę. ▸

Ogólnopolski konkurs literacki

Poznański Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki „ORBITA", Redakcja miesięcznika „NURT" i Wydawnictwo Poznańskie ogłaszają ogólnopolski otwarty konkurs literacki na utwór (opowiadanie, zbiór opowiadań, powieść, utwór sceniczny) o tematyce SF i fantastycznej. Oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane prace należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu do dnia **31 maja 1984** roku (decyduje data na stemplu pocztowym) na adres:

Osiedlowy Dom Kultury „ORBITA"
Osiedle Kosmonautów 118
61-641 Poznań.

Każda praca musi być sygnowana godłem, jakim należy również opatrzyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora. Nadesłane maszynopisy nie będą zwracane.
Organizatorzy konkursu, poza opublikowaniem najlepszych prac, przewidują nagrody pieniężne: I – 12 000 zł, II – 7 000 zł, III – 5 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 2 000 zł (zastrzega się prawo innego podziału nagród).
Ogłoszenie wyników konkursu przewidziane jest na czerwiec 1984 roku. Informacje: Poznań tel. 20-12-22

* * *

Nowy adres Centrali Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki: 00-973 Warszawa ul. Żwirki i Wigury 30 skrytka pocztowa 77

LĄDOWANIE DZIESIĄTE

Nadchodzą odpowiedzi na ankietę, którą pozwoliłem sobie poczęstować Czytelników. Jej wyniki dadzą nam – redaktorom i Wam, odbiorcom naszego pisma, wiele do myślenia. Zwłaszcza, że biorących udział jest bardzo wielu. Tymczasem normalna porcja wybranych, czytelniczych komentarzy na temat naszego pisma.

Antydonos w Rzeczywistości

W związku z notatką p. S. Kordaczuka o naszym piśmie w numerze 41 tygodnika „Rzeczywistość" otrzymaliśmy od jednego z naszych Czytelników wycinek z tego pisma oraz komentarz:
Pewien antyfizyk postanowił zbadać antyrzeczywistość i udać się w antypodróż antykosmiczną. Podróżował więc przez antypowietrze ku antyrakiecie naładowany antypasją zbadania antymaterii. W antypojeździe antykosmicznym, usadowiwszy się wreszcie w antyfotelu naprzeciw antylustra i antyurządzeń antynawigacyjnych dostrzegł antysemitę.
Nasz Czytelnik pisze, że jest to mała modyfikacja starej anegdoty i podpisuje się **Znawca**. Pozostawiam bez komentarza.

Konflikt pokoleń?

Starsi nie kochają komiksów. Tymczasem wydawnictwa światowe zachłystują się komiksem SF. Jest on potrzebny tak samo jak literatura. Dopóki nie istnieje jeszcze w Polsce „przemysł komiksowy", a są znakomici twórcy (Połch) drukujcie chociaż wy. Jeśli ktoś nie lubi, najwyżej nie przeczyta. A przecież tak wielu tych, który chcą oglądać i nie mają gdzie.

Marek Gizmajer *z Warszawy*

Wydawcy na cenzurowanym

Parada wydawców jest więcej niż pożądana. W szczególności zainteresowały mnie wywiady z naszymi rodzimymi edytorami. Z wielu wypowiedzi wynika ich bynajmniej nie przypadkowy związek z SF. Takie wrażenie odniosłem po przeczytaniu rozmów z p. Troszczyńską, pilotującą serię „Stało się jutro" oraz z p. Kledzikiem z Wydawnictwa Poznańskiego. Tymczasem jedna z najbardziej liczących się oficyn – „Czytelnik", zmniejsza nagle bez pardonu swego charakterystycznego kosmonautę do rozmiarów wręcz mikroskopijnych, jakby w celu utrudnienia zakupu. Chyba kryzys nie ingeruje tak dalece w opracowania graficzne, by p. Brykczyński był zmuszony do miniaturyzacji swego dawno zaakceptowanego symbolu. O wydawnictwie „Iskier" i p. Hałajkiewiczu nie ma co wspominać. Wciąż jeszcze nie możemy pochwalić się w Polsce jednorodną, starannie wydaną, liczącą się serią SF. Jedynie poznańska, moim zdaniem, mogłaby pretendować do takiego miana. Czytałem w „Tu i Teraz", że walczycie o takie specjalistyczne wydawnictwo; mam nadzieję, że powstanie ono kiedyś. Życzę powodzenia...

Wojciech M. Chudziński
z bydgoskiego oddziału PSMF

PS: Opublikujcie zestawienie polskich książek SF wydanych za granicą.

Dziwię się krytyce niektórych czytelników pod adresem „Pożółkłych kartek". Są to przecież rzeczy niezwykle cenne. Nawiasem mówiąc, w XXI i XXIII wieku także z łezką i uśmiechem będzie się przyjmować dzisiejszych supermenów. Wchodząc do biblioteki zawsze wybieram książki z fantastyki współczesnej oraz najmilszy przerywnik – lekturę tego typu, jaką proponują „Pożółkłe kartki". Wiem, że wielu czytelników pragnęłoby znać książki, jakie po wojnie zostały wydane w kraju w poszczególnych wydawnictwach. Proponowałbym więc zamieszczenie tytułów i nazwisk autorów.

Piotr Gabriel *(student)*

Jakież to bestsellery

Do diabła z tymi waszymi bestsellerami. Proszę mi napisać, proszę opublikować ile listów dostajecie z propozycjami umieszczenia takich podłych tekstów, jakie wysuwacie na czoło listy. Przysięgnę, że to są żądania jednostek, jednostek nie bardzo zorientowanych w tym co naprawdę w SF wartościowe, zwłaszcza w polskiej. Nie wierzę, aby większość miała tak spaczony gust, żeby wybrała aż dwie książki pana Krzepkowskiego. Dobrze, że antologia „Spotkania w przestworzach" znalazła się poza pierwszą dziesiątką w redakcyjnym wyborze najlepszych.

Janusz Aniołkiewicz *ze Szczecina*

Mimo, iż naprawdę zwiększyła się ilość wydawanych u nas książek z gatunku science fiction, wybór pozycji zagranicznych, a także krajowych, jest w gruncie rzeczy niezwykle ubogi, i wcale nie odzwierciedla sytuacji u nas i gdzie indziej. Prymitywna metoda – duże nakłady i mało autorów – ciągle święci u nas triumfy. A wy z tego wybieracie bestsellery! Jedna pozycja Strugackich, jedna Aldissa i gdzieś tam Żwikiewicz, Parowski, czy Hollanek. To nie jaskółki, które zrobią wiosnę SF.

Jan Gustlikowski *z Wrocławia*

Więcej słowników

Myślę, że powinniście obok słownika pisarzy umieścić także i słownik wyrażeń oraz zwrotów stosowanych w SF; ułatwiłoby to przynajmniej tym, co dopiero zaczynają swe kontakty z tym gatunkiem prozy, lepszą w nim orientację.

Lech Zacharski *z Warszawy*

Jakże potrzebny byłby jakiś leksykon, w zwięzły sposób charakteryzujący stan posiadania polskiej SF, jej autorów, jej tytuły, a więc dane biograficzne i bibliograficzne. W takim leksykonie powinien się też znaleźć spis książek polskich z dziedziny fantastyki tłumaczonych czy przetłumaczonych na obce języki oraz spis pozycji zagranicznych wydanych po polsku.

J. B. *(profesor, filolog)*

Ktoś u was szuka naukowych laurów, więc morduje czytelników „Fantastyki" nudnymi wyliczankami na „Pożółkłych kartkach" nazwisk i książek, których dawno już nigdzie dostać nie można, ani nawet wypożyczyć. Po co to komu? Co komu z tego może przyjść? Jak już się robi taką rzecz, to niech praca naukowa nie psuje „Fantastyki", tylko zostanie odpowiednio skrócona i poprawiona przed dostaniem się na wasze łamy.

[illegible]mko *z Poznania*

Co z konkursem. Zgubiliście teksty?

Nie oszukujcie nas dłużej. Pogubiliście czy popaliliście nasze teksty i krzyczycie o zalewie, o powodzi, z której się wam trudno wykaraskać. Przyznajcie się do grzechów bez bicia. Ogłoście wyniki. Pokażcie co dobre, a co złe. Wymieńcie nazwiska wyróżnionych czy obiecujących. Nie skazujcie nas na piekło milczenia.

Stefan Kredycz *z Warszawy (pseudonim)*

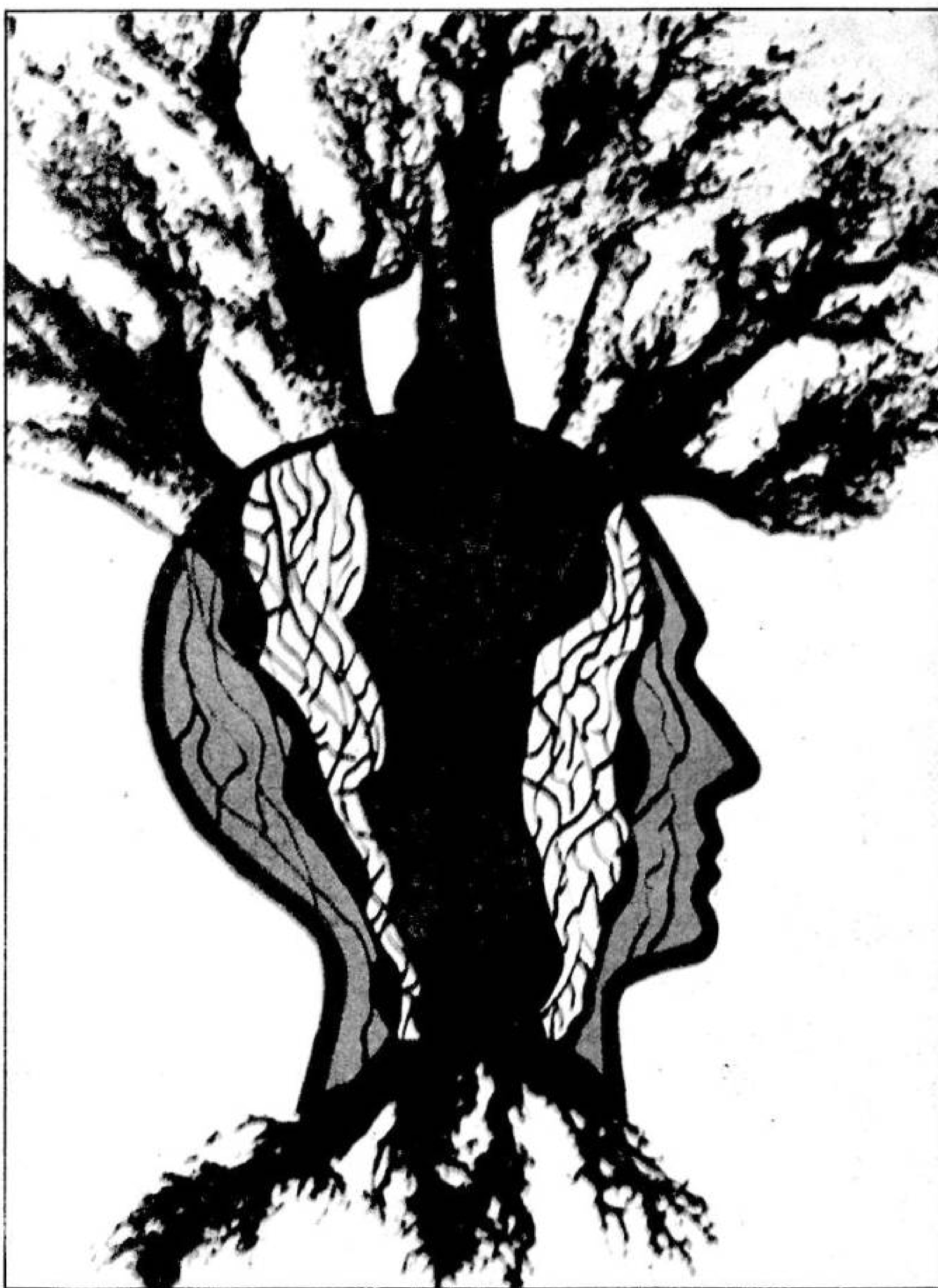
Piszecie, że zalał was potop tekstów? Ile z tego potopu uratuje wasza arka? Kilka, kilkanaście? Sądzę, że wśród nadesłanych prac będzie zacznie więcej zasługujących na uwagę. Uważam, że nieustający – tak przecież głosiliście – konkurs winien być podzielony na kwartalne lub półroczne etapy. Pod koniec każdego drukowana by była lista dziesięciu czy dwudziestu najlepszych prac. Można by też przyznawać doroczną nagrodę czytelników. Otrzymałby ją autor, którego praca uzyskałaby najwięcej głosów.

Maciek Dusza *z Warszawy*

Na zakończenie dzisiejszego zbioru czytelniczej krytyki moja krótka informacja: wkrótce zespół kompetentnych osób zabierze się do opracowywania popularnego leksykonu polskiej SF. KAW, jak nas poinformowano, ma się podobno podjąć jego wydrukowania. Wiem, że takie wydawnictwo potrzebne jest nie tylko na rynek krajowy, lecz również na eksport. Ma ono wejść w skład słownika twórców SF krajów socjalistycznych oraz znaleźć się w wydaniu międzynarodowym leksykonu, nad którym podjęła pracę organizacja World Science Fiction.

Redaktor





Zbigniew Lałata

SFWoA przyznało tegoroczną nagrodę NEBULA. Jej laureatami zostali:

- Michael BISHOP za powieść„*No Enemy But Time*"
- John KESSEL za minipowieść„*Another Orphan*"
- Connie WILLIS za nowelę„*Fire Wath*"
- Connie WILLIS za opowiadanie„*A Letter from the Clearys*"

Brytyjskie nagrody BRITISH SCIENCE FICTION UNION otrzymali:

- Brian W.ALDISS za powieść„*Heliconia Spring*"
- Keith ROBERTS za opowiadanie„*Kitemaster*"
- Tim WHITE za twórczość plastyczną
- Film„*Blade Runner*"

Amerykański magazyn „Science Fiction Chronicle" od kilku lat walczący z „Locusem" o palmę pierwszeństwa na krajowym rynku rozdzielił w tym roku swoje nagrody. Otrzymali je:

- Gene WOLFE za powieść„*The Sword of the Lictor*"
- Joanna RUSS za minipowieść„*Solus*"
- Connie WILLIS za nagrodzoną Nebulą nowelę „Fire Wath"
- Greg BEAR za opowiadanie„*Petra*"

SF PO JAPOŃSKU



Japończycy znani są z kultywowania swoich tradycji. Ogromny rozwój techniki w ich kraju zdaje się zupełnie nie przeszkadzać odwoływaniu się do historycznych wartości sztuki japońskiej. Dobrym sprawdzianem tych twierdzeń mogłaby być – oczywiście – science fiction, dziedzina skierowana przecież wyraźnie ku przyszłości. Szczególnie plastyka SF jest do tego predestynowana.



I oto mamy przed sobą wielki magazyn japońskiej fantastyki, jego numer trzeci z bieżącego roku. Doszedł do nas, ponieważ zawiera między wieloma innymi utworami światowej i japońskiej fantastyki – opowiadanie znanego polskiego pisarza SF Konrada Fiałkowskiego „Strażnik". Przejrzenie magazynu przekonuje, że wpływy europejskiej i amerykańskiej fantastyki mocno zmieniły gusty japońskich plastyków, tych oczywiście, którzy biorą się za ilustrowanie SF. Mimo to zachowują oni niektóre charakterystyczne cechy japońskiej sztuki: jej drobiazgową precyzję, dbałość o szczegół, o jednoznaczność i prostotę wyrazu. Świadczy o tym chociażby okładka, która uderza nie tylko fantastyką rysunku tytułowego, nie samą egzotyką (dla nas) pisma japońskiego, ale przede wszystkim oryginalnym układem całości.





Pozwalamy sobie także zademonstrować, specyficzne dla sztuki budowania książek japońskich przerywniki rysunkowe – ozdoby gęsto zapisanych japońskim pismem stronic fantastycznego magazynu, który notabene zawiera treści podobne do zamieszczanych w naszej „Fantastyce".

A.H.





総てのSF好きに捧げる
四季のSF読書ノート
SFの本
SFを愛する若き読み手による
一球入魂のスーパーガイド雑誌
新時代社



Jeremiej Parnow

Zbudź się w Famaguście

